

TOM CLANCY



KARDYNAŁ
Z KREMLA

Tom Clancy

Kardynał z Kremla

Tłumaczenie: Bogdan Bosakirski

Warszawa 1998

Tytuł oryginału The Cardinal of the Kremlin

Wydanie drugie

Pułkownikowi F. Carterowi Cobbowi i jego żonie

Przeprosiny

W pierwszym wydaniu „Bez skrupułów” znalazł się fragment wiersza, który trafił do mnie przypadkiem, i którego tytułu ani nazwiska autora nie byłem w stanie ustalić. Wiersz ten wydał mi się idealny jako epitafium dla mojego przyjaciela Kyle’a Haydocka, który zmarł na raka w wieku 8 lat i 26 dni — dla mnie zawsze będzie z nami.

Później dowiedziałem się, że tytuł tego wiersza brzmi „Ascension”, a autorką tych wspaniałych strof jest Colleen Hitchcock, niezwykle utalentowana poetka z Minnesoty.

Chciałbym skorzystać z okazji i polecić jej wiersz wszystkim studentom literatury. Mam nadzieję, że jej poezja wywrze na nich równie wielkie wrażenie, tak jak to się stało w moim przypadku.

...Miłość nie miłością,

Jeżeli zmiana skłoni ją do zdrady,

Albo odstępca skusi niestałością.

O nie! Lecz miłość jest pochodnią trwałą,

Patrzy na burzę, niczym nie zachwianą...

William Shakespeare, Sonet 116

(przekład Marii Sułkowskiej)

...Działania szpiegów, sabotażystów i tajnych agentów uważa się powszechnie za wykraczające poza prawa państwowe i międzynarodowe. Dlatego napiętnowane są jako sprzeczne z wszelkimi uznanymi zasadami postępowania. Mimo to, jak wykazuje historia, żadne państwo z działań takich nie rezygnuje, jeżeli służą one żywotnym interesom narodowym Marszałek polny wicehrabia Montgomery of Alamein

Różnica między człowiekiem dobrym a złym polega na motywie działania.

William James

Podziękowania

Jeżeli kiedykolwiek rzucono perły przed wieprze, to chyba wówczas, gdy liczni przedstawiciele środowiska naukowego starali się wyjaśnić mi teoretyczne i praktyczne aspekty obrony strategicznej. Winien jestem podziękowania Gregory'emu Barryemu, Bruce'owi, Russowi, Tomowi, Danny'emu, Bobowi i Jimowi. Wiele zawdzięcza im również nasz kraj, a kiedyś zawdzięczać będzie świat.

Specjalne podziękowania należą się także Chrisowi Larssonowi oraz firmie Space Media Network za dostarczenie zdjęć satelitarnych. Wykonane przez nich „zobrazowania przestrzenne”

dały paru osobom powód do niepokoju — a to zaledwie początek...

Spis treści

Prolog. Zagrożenia — stare, nowe i ponadczasowe

Przyjęcie

KLIPER HERBACIANY

Znużony lis

Jasne gwiazdy i szybkie okręty

Oko węża — paszcza smoka

Pierwsze ostrzeżenie

Katalizatory

Przekazanie materiału

Okazje

Ocena strat

Przedsięwzięcia

Sukces i porażka

Narady

Zmiany

Kulminacja

Ocena szkód

Zmowa

Przewaga

Podróznicy

Klucz do przeznaczenia

Pierwsze rozdanie

Śmiałe przedsięwzięcia

Doskonale opracowane plany

Reguły gry

Wszyscy gotowi

Wbrew prawom

Konszachty

Prolog. Zagrożenia — stare, nowe i ponadczasowe

Zwali go Łuczniem. Był to tytuł zaszczytny, chociaż jego ziomkowie odrzucili łuki ponad sto lat temu, gdy poznali broń palną. To imię częściowo odzwierciedlało ponadczasową istotę walki. Pierwszym z zachodnich najeźdźców — bo tak o nich myśleli — był Aleksander Wielki. Po nim przyszli inni. W końcu wszyscy ponieśli klęskę. Plemiona afgańskie za powód swego oporu podawały obronę islamu, ale pełna determinacji odwaga tych ludzi stanowiła w takim samym stopniu część ich rasowego dziedzictwa, jak ich ciemne, bezlitosne oczy.

Łucznik był człowiekiem młodym — i jednocześnie starym. W chwilach, gdy miał

okazję, a także chęć, wykapać się w górskim strumieniu, każdy mógł dostrzec młode mięśnie trzydziestolatka. Były to jędrne mięśnie człowieka, dla którego wspinaczka na kilkusetmetrową skałę była czymś równie powszednim i nie zasługującym na uwagę, jak spacer do najbliższej skrzynki pocztowej.

To oczy miał stare. Afgańczycy są ludźmi przystojnymi, jednak ich szczerze twarze i jasna skóra, poddane działaniu słońca, wiatru i kurzu tracą szybko znamiona młodości, wskutek czego wyglądają często na starszych niż są w rzeczywistości. W przypadku Łucznika przyczyną nie był

wiatr. Jeszcze trzy lata temu Łucznik — absolwent koledżu był nauczycielem matematyki w kraju, gdzie za wystarczającą edukację uważano umiejętność czytania Świętego Koranu. Ożenił

się wcześniej, jak to było w zwyczaju w jego ojczyźnie, i dochował dwójki dzieci. Ale żona i córka zginęły. Zabiły je rakiety wystrzelone przez myśliwiec szturmowy Su-24. Syn zaginął.

Został porwany. Najpierw radzieckie lotnictwo zrównało z ziemią rodzinną wieś żony, potem żołnierze zabili pozostałych przy życiu dorosłych. Sieroty odesłano do Związku Radzieckiego, gdzie miały być nauczane i szkolone innymi „nowoczesnymi” metodami. A wszystko przez to, że jego żona chciała, aby babka zobaczyła swe wnuki przed śmiercią. I dlatego, jak wspominał

Łucznik, że ostrzelano radziecki patrol o kilka kilometrów od tej właśnie wsi. W dniu, w którym dowiedział się o zdarzeniu — a było to w tydzień po fakcie — nauczyciel algebry i geometrii poukladał równo książki na swym biurku i opuścił miasteczko Ghazni udając się w góry. Wrócił

tam tydzień później po zmroku i udowodnił, że godzien jest swego dziedzictwa zabijając trzech żołnierzy radzieckich i zabierając ich broń. Pierwszego zdobycznego Kałasznikowa miał do tej pory.

Nie dlatego jednak nazwano go Łuczniem. Dowódca oddziału mudżahedinów,

„bojowników o wolność”, był przywódcą spozregawczym. Nie patrzył z góry na przybysza, który młodość spędził w szkołach ucząc się cudzoziemskich zwyczajów. Nie miał mu też za złe

początkowego braku wiary. Kiedy nauczyciel przyłączył się do grupy, jego znajomość islamu była bardzo pobieżna. Dowódca pamiętał rześiste łzy, padające jak deszcz z oczu młodego człowieka, gdy imam pocieszał go, pouczając o woli Allaha. W ciągu miesiąca stał się najbardziej bezwzględnym i najwaleczniejszym członkiem oddziału, co było oczywistym wyrazem boskich zamiarów. To jego wysłał dowódca do Pakistanu, by wykorzystując swą wiedzę i znajomość cyfr nauczył się posługiwać raketami ziemia-powietrze. Pierwszymi pociskami, w jakie wyposażył mudżahedinów spokojny, poważny człowiek z Amerykistanu, były radzieckie SA-7, zwane przez Rosjan „strzałami”. Te przenośne wyrzutnie raketowe były skuteczne jedynie przy ogromnej zręczności, która cechowała tylko nielicznych. Wśród nich najlepszym był nauczyciel. I właśnie ze względu na jego sprawność w posługiwaniu się rosyjskimi „strzałami” członkowie oddziału zaczęli go nazywać Łucznikiem.

Teraz miał ze sobą nowy pocisk, amerykańskiego Stingera, ale wszystkie rakietki ziemia-powietrze nazywano w tym oddziale, a nawet w całej dolinie, „strzałami” — narzędziami Łucznika. Leżał jakieś sto metrów poniżej wierzchołka wzgórza, na ostrej skalnej grani, z której mógł obserwować całą lodowcową dolinę. Obok usadowił się jego zwiadowca, Abdul. Imię odpowiednie, gdyż Abdul znaczy tyle co „służący”, a chłopak niósł dwa zapasowe pociski do wyrzutni. Co ważniejsze, miał sokole oczy. Były to oczy płonące — oczy sieroty.

Wzrok Łucznika przeszukiwał górzysty teren, szczególnie skaliste krawędzie. W jego źrenicach odbijały się niezliczone lata zmagañ. To poważny człowiek, ten Łucznik. Przyjazny, rzadko jednak widywano uśmiech na jego twarzy. Nie próbował znaleźć dla siebie nowej narzeczonej, nie próbował też połączyć swego smutku ze świeżym żalem którejś z wdów. W jego życiu było miejsce na jedną tylko namiętność.

— Tam — powiedział spokojnie Abdul, wskazując ręką kierunek.

— Widzę — potwierdził Łucznik.

Walka w kotlinie, jedna z wielu toczonych tego dnia, trwała już pół godziny, wystarczająco długo, by radzieccy żołnierze otrzymali wsparcie śmigłowców z bazy znajdującej się dwadzieścia kilometrów za następnym pasmem górskim. Dostrzegli Mi-24, gdy słońce błysnęło w oszklonym nosie: przemykał się nad górskim grzbieciem o dziesięć kilometrów od nich. Jeszcze wyżej, już poza ich zasięgiem, krążył dwusilnikowy transportowiec An-26, wypełniony aparaturą obserwacyjną i radiową do koordynowania działań w powietrzu i na ziemi.

Ale oczy Łucznika śledziły tylko Mi-24, śmigłowiec szturmowy napchany raketami i amunicją, który otrzymywał teraz informacje od krążącego samolotu dowodzenia.

Stingery okazały się niezbyt przyjemną niespodzianką dla Rosjan. Ich taktyka walki z powietrza zmieniała się z dnia na dzień, starając się sprostać nowemu zagrożeniu. Dolina była głęboka, lecz węższa niż inne w okolicy. By uderzyć na walczących towarzyszy Łucznika, pilot musiał przelecieć wzdłuż tej kamiennej alei. Powinien lecieć dość wysoko, co najmniej tysiąc metrów nad jej dnem, w obawie przed Stingerem, który mógł wraz z obsługą znajdować się gdzieś wśród strzelających. Łucznik widział zygzakowaty lot śmigłowca, dzięki któremu pilot mógł obserwować teren i wybierać

dalszą trasę. Tak jak się spodziewał, maszyna nadleciała od zawietrznej, dzięki czemu wiatr powstrzymał łoskot wirnika na kilka dodatkowych bardzo istotnych sekund. Radioodbiornik w krążącym wyżej samolocie nastawiony był na częstotliwość używaną przez mudżahedinów, co pozwalało Rosjanom słyszeć ostrzeżenia o swoim zbliżaniu się, a także zorientować się w miejscu ukrycia grupy z wyrzutnią. Abdul rzeczywiście miał radio, ale wyłączone i wepchnięte w zwoje odzienia.

Łucznik powoli podniósł wyrzutnię i skierował jej dwuczęściowy celownik na lecący ku nim śmigłowiec. Kciukiem włączył zasilanie i wsparł policzek na prowadnicy. Natychmiast usłyszał świergot bloku naprowadzania. Pilot dokonał już oceny sytuacji i podjął decyzję. Do pierwszego ataku schodził na drugim końcu doliny, poza zasięgiem rakiet. Nos śmigłowca opuszczał się ku dołowi, a strzelec siedzący z przodu, trochę poniżej pilota, kierował celowniki na obszar, na którym znajdowali się mudżahedini. Na dnie doliny pojawił się dym. To Rosjanie użyli moździerzy, by wskazać swoim, gdzie znajdowali się ich dręczyciele. Śmigłowiec nieco zmienił kurs. Teraz z podwieszonych wyrzutni rakiet strzeliły smugi ognia — pierwsza salwa pocisków pomknęła w dół.

Nagle ukazała się inna smuga dymu, tym razem biegnąca w górę. Śmigłowiec szarpnął w lewo, a smuga pomknęła ku niebu, dość daleko od maszyny, ale wyraźnie wskazując na niebezpieczeństwo w dole. Tak w każdym razie myślał pilot. Dłonie Łuczniaka zacisnęły się na wyrzutni. Śmigłowiec ześlizgiwał się prosto na niego, rosnąc szybko w wewnętrznym pierścieniu celownika. Był już w zasięgu strzału. Łucznik nacisnął kciukiem lewej dłoni przycisk zwalniający żyroskop. Czujnik podczerwieni w głowicy Stingera po raz pierwszy poczuł ciepło promieniujące z turbin Mi-24. Dźwięk przenoszony prowadnicą, przez policzek do ucha, zmienił

się. Głowica uchwyciła już swój cel. Pilot śmigłowca postanowił ostrzelać obszar, z którego odpalono w jego kierunku „rakietę”. Przeleciał jeszcze trochę w lewo i zaczął nawracać.

Ostrożnie badając skały, z których wyleciała rakietą, nieświadomie skierował dysze wylotowe silników niemal prosto na Łuczniaka.

Teraz rakietą wyskrzeczającą Łucznikowi swoją gotowość, ale on cierpliwie czekał. Starał

się myśleć jak jego przeciwnik. Sądził, że pilot podleci jeszcze bliżej, zanim zacznie ostrzeliwać znieawidzonych Afgańczyków. Tak też zrobił. Gdy śmigłowiec znalazł się już o jakieś tysiąc metrów od niego, Łucznik odetchnął głęboko, wziął lekkie przewyższenie celu i wyszeptał krótką modlitwę zemsty. Prawie nie zauważył, kiedy nacisnął spust.

Wyrzutnia podskoczyła w jego rękach. Stinger wzbił się lekkim łukiem, a potem pomknął

w dół ku swemu celowi. Łucznik miał wystarczająco dobry wzrok, by zobaczyć rakietę, choć smużka dymu, jaką za sobą ciągnęła, była ledwo widoczna. Lotki manewrowe poruszyły się o ułamek milimetra, posłuszne rozkazom przekazywanym przez komputerowy mózg rakiety —

mikroprocesor wielkości znaczka pocztowego. W krążącym wysoko An-26 obserwator zauważył

mały obłoczek kurzu i wyciągnął rękę po mikrofon, by przekazać ostrzeżenie, ale zanim go ujął, rakietę trafiła w cel.

Pocisk uderzył w jeden z silników śmigłowca i eksplodował. Maszyna została natychmiast sparaliżowana. Wał napędowy wirnika ogonowego został rozerwany i śmigłowiec zaczął gwałtownie obracać się w lewo. Strzelec nadał gorączkowe wezwanie o pomoc.

Tymczasem pilot, chcąc w autorotacji sprowadzić maszynę na ziemię, gorączkowo wypatrywał kawałka płaskiego miejsca. Przełączył silnik na bieg jałowy i zwolnił dźwignię skoku ogólnego.

Ze wzrokiem utkwionym w płaszczyznę wielkości kortu tenisowego wyłączył urządzenia i uruchomił pokładowy system gaśniczy. Jak większość lotników, najbardziej bał się pożaru, ale już wkrótce miał się przekonać, że nie to było najgorsze.

Łuczniczka patrzyła, jak Mi-24 uderza nosem o skalisty występ, jakieś dwadzieścia metrów poniżej jego stanowiska. Co ciekawe, mimo rozbicia się maszyny pożar nie wybuchł. Śmigłowiec przetoczył się jeszcze jak błędny, potem ogon zarzuciło przed dziób i maszyna spoczęła na burcie. Łuczniczka pobiegła w dół, a za nią Abdul. Dotarcie na miejsce zajęło im pięć minut.

Pilot szarpał się w pasach wisząc głową w dół. Czuł ból, ale dzięki temu wiedział, że żyje.

Nowy model śmigłowca miał zamontowane usprawnione systemy zabezpieczające, dzięki którym zawdzięczał przeżycie. Szybko się zorientował, że strzelec nie żyje: wisiał nieruchomo z przodu, ze złamanym karkiem i rękami wyciągniętymi bezwładnie ku ziemi. Nie mógł sobie jednak pozwolić na wzruszenie. Fotel był pogięty, a osłona kabiny zgruchotana tak, że jej metalowe żebra stały się więzieniem. Na dodatek dźwignia otwierania awaryjnego zacięła się, a ładunki odstrzelujące drzwi nie zadziałały. Wyciągnął pistolet i zaczął strzelać w metalowe wręgi. Zastanawiał się czy An-26 usłyszał ich wołanie o pomoc i czy śmigłowiec ratowniczy leci już ku nim. Nadajnik awaryjny miał w kieszeni kombinezonu i zamierzał go użyć natychmiast po wydostaniu się z rozbitej maszyny. Podważając i odginając metal pociął sobie rękę do krwi, ale udało mu się uwolnić z kabiny... Gdy oswobodził się z pasów i wyczołgał na skaliste podłoże, jeszcze raz podziękował losowi za to, że nie było mu dane zakończyć życia w słupie tłustego dymu. Miał złamaną lewą nogę. Postrzępiony koniec białej kości przebił materiał kombinezonu.

Mimo głębokiego szoku, w jakim się znajdował, widok rany przeraził go. Wsunął do kabury pusty już pistolet i wziął jakiś kawałek metalu, który mógł mu służyć za laskę. Musiał uciekać.

Dokuśtykał do końca skalnego występu i zobaczył ścieżkę. Do swoich miał trzy kilometry. Już miał zacząć schodzić, kiedy usłyszał coś za sobą. Obrócił się i w mgnieniu oka jego nadzieja ustąpiła miejsca grozie. Zrozumiał, że śmierć w płomieniach byłaby zbawieniem.

Łuczniczka, błogosławiąc imię Allaha, wyciągał nóż z pochwy.

Niewiele już z niego zostało — pomyślał Ryan. Kadłub pozostał właściwie nietknięty, a w każdym

razie tak wyglądał. Ale bliżny po spawaniu widać było wyraźnie, jak szwy na potworze Frankensteina. Dość trafne porównanie, powiedział sobie w duchu. To człowiek stworzył takie rzeczy, lecz pewnego dnia mogą one zniszczyć swych stwórców w ciągu godziny.

— Boże, to zdumiewające... Z zewnątrz wydają się takie wielkie...

— A od środka są takie małe? — dokończył Ramius. W głosie jego słychać było smutek.

Nie tak dawno kapitan Marko Ramius z Wojenno-Morskowo Flota wprowadził swój okręt do tego właśnie suchego doku. Potem już tu nie zaglądał, by nie patrzeć jak amerykańscy technicy tną go niczym zwłoki w czasie sekcji, wydobywają rakiety, reaktor, sonary, pokładowe komputery i sprzęt łączności, peryskopy, a nawet piece kuchenne. Wszystko to zabrano do analizy w bazach wojskowych rozrzuconych po całych Stanach. Ramius sam poprosił, by nie kazano mu tego oglądać. Jego nienawiść do systemu radzieckiego nie rozciągała się na okręty, które ten system budował. Na tym okręcie dobrze mu się pływało — i to on właśnie, „Czerwony Październik”, uratował mu życie.

Ryanowi także. Jack przesunął palcem po bliźnie na czole, tuż przy linii włosów. Ciekaw był, czy starto jego krew z pulpitu sterowniczego. — Dziwię się, że nie chciałeś go wyprowadzić

— zwrócił się do Ramiusa.

— Nie — potrząsnął głową Marko. — Chcę się tylko pożegnać. To był dobry okręt.

— Nawet bardzo — przytaknął Jack. Patrzył na powierzchnie załataną dziurę w lewej burcie, wyrwaną torpedą z Alfą. Tak dobry, że uratował mój tyłek, kiedy tamci nas rąbnęli —

pokiwał w milczeniu głową. Obaj mężczyźni przyglądali się pracom bez słowa, z dala od marynarzy i żołnierzy piechoty morskiej, od grudnia strzegących okolicy doku.

Ponownie napełniano suchy dok. Do betonowego pudła wlewała się brudna woda z Elizabeth River. Okręt miał być wyprowadzony dziś w nocy. Sześć amerykańskich podwodnych okrętów szturmowych „oczyszczało” już ocean na wschód od bazy Marynarki w Norfolk. Miało to wyglądać na część ćwiczeń, w których bierze udział także kilka okrętów nawodnych. Była godzina dziewiąta wieczorem. Napełnianie doku potrwa godzinę. Na pokładzie znajdowała się już trzydziestoosobowa załoga, która za pomocą silników dieslowskich miała poprowadzić okręt w jego drugi i ostatni rejs ku głębokiemu rowowi oceanicznemu na północ od Puerto Rico. Tam, na głębokości ośmiu tysięcy metrów, okręt zostanie zatopiony.

Ryan i Ramius patrzyli, jak po raz pierwszy od blisko roku woda zalewa drewniane podpory kadłuba, podchodzi pod kil okrętu. Przybierała coraz prędzej, przykrywając znaki zanurzenia wymalowane na dziobie i rufie. Na pokładzie grupa marynarzy, ubrana w jasnopomarańczowe kamizelki ratunkowe, krzątała się przygotowując do rzucenia czternastu grubych lin cumowniczych, przytrzymujących okręt przy nabrzeżu.

„Czerwony Październik” w milczeniu przyjmował napływającą wodę. Może wie, jaki los go czeka — pomyślał Ryan. Była to głupia myśl, ale wiedział, że żeglarze przypisują cechy ludzkie statkom, na których służą.

Wreszcie okręt się poruszył. Woda odsunęła go od drewnianych podpór. Przy wtórze stłumionych odgłosów, bardziej chyba wyczuwalnych niż słyszalnych okręt wolno, kołysząc się nieznacznie uniósł się nad podporami.

W kilka minut później okrętowy diesel zadudnił, a marynarze na pokładzie i na nabrzeżu zaczęli ściągać liny. Jednocześnie zdjęto brezent zasłaniający suchy dok od strony morza i zebrani ujrzeli ścielącą się po wodzie mgłę. Warunki do przeprowadzenia operacji były doskonałe. Bo też musiały być doskonałe. Marynarka czekała na nie od półtora miesiąca: bezksiężycowa noc, gęsta mgła, która o tej porze roku nawiedzała okolice zatoki Chesapeake.

Kiedy rzucono już ostatnią cumę, oficer na mostku podniósł małą syrenę i dał sygnał.

— Odbijamy! — krzyknął.

Marynarze na dziobie ściągnęli banderę i złożyli drzewce. Dopiero teraz Ryan zauważył, że była to bandera radziecka. Uśmiechnął się. To miły gest. Ktoś inny wciągnął na drzewce gaflowe z tyłu kiosku banderę radzieckiej marynarki wojennej z czerwoną gwiazdą i emblematem radzieckiej Floty Północnej. Marynarka amerykańska, zawsze wrażliwa na tradycje, oddawała w ten sposób cześć człowiekowi stojącemu obok Ryana.

Obaj patrzyli, jak okręt rusza. Dwie śruby z brązu powoli obracały się w biegu wstecznym, ciągnąc go w kierunku rzeki. Jeden z holowników pomógł „Październikowi” obrócić się dziobem ku północy. Po minucie znikł z pola widzenia. Tylko wolne dudnienie diesla słychać było jeszcze nad zaolejonymi wodami portu.

Marko wytarł nos i kilkakrotnie zamrugał oczami. Kiedy odwrócił się od nabrzeża, głos jego brzmiał już pewnie.

— To co, Ryan, dlatego przyleciałeś tu aż z Anglii?

— Nie, wróciłem kilka tygodni temu. Mam nową robotę.

— Możesz powiedzieć, co za robota? — zapytał Marko.

— Kontrola zbrojeń. Chcą, żebym koordynował sprawy wywiadowcze w zespole negocjacyjnym. Mamy tam lecieć w styczniu.

— Moskwa?

— Tak. Posiedzenie wstępne: ustalenie porządku obrad i przygotowania techniczne...

takie tam rzeczy. A co u ciebie?

— Pracuję w AUTEK na Bahama. Dużo słońca i piasku. Widzisz moją opaleniznę? —

promieniał Ramius. — Przyjeżdżam do Waszyngtonu co dwa, trzy miesiące. Za pięć godzin wracam. Pracujemy nad nowym rozwiązaniem wyciszania. — Znowu się uśmiechnął. —

Wszystko tajne.

— Świetnie! Wpadnij kiedyś do mnie. Jestem ci winien obiad. — Jack podał swoją wizytówkę. — Tu masz mój numer. Zadzwoń na kilka dni przed przylotem, tak żebym mógł

wszystko załatwić w Agencji. — Ramius i jego oficerowie znajdowali się pod bardzo dokładną ochroną służby bezpieczeństwa w CIA. Najciekawsze jest to, myślał Jack, że sprawa ta dotąd nie wyszła na jaw. Do żadnego ze środków masowego przekazu nie przedostała się najmniejsza wzmianka, a jeżeli tak, staranie to utajniono, prawdopodobnie Rosjanie też nic nie wiedzieli o losie swojego raketowego okrętu podwodnego „Czerwony Październik”. W tej chwili skręca już chyba na wschód — pomyślał — i przepłynie nad tunelem drogowym Hampton Roads. W jakąś godzinę później zanurzy się i skieruje na południowy wschód. Pokręcił głową.

Smutek Ryana z powodu końca, jaki czekał okręt, złagodziła nieco myśl o celu, w jakim go zbudowano. Pamiętał swoją reakcję, gdy rok temu znalazł się w jego przedziale raketowym, po raz pierwszy tak blisko wszystkich tych strasznych urządzeń. Jack pogodził się z faktem, że broń nuklearna służy utrzymaniu pokoju na świecie — jeśli to naprawdę można nazwać pokojem.

Lecz jak większość ludzi, którzy zastanawiają się nad tym problemem, wolałby znaleźć lepsze rozwiązanie. Dzisiejsze pożegnanie oznaczało o jeden okręt podwodny mniej, o dwadzieścia sześć rakiet mniej, o sto osiemdziesiąt dwie głowice mniej. Chociaż statystycznie — powiedział sobie — nie znaczy to dużo.

Ale jednak to już coś.

Piętnaście tysięcy kilometrów dalej, dwa i pół tysiąca metrów nad poziomem morza kłopot sprawiała pogoda, niezwykła jak na tę porę roku. Było to w Tadżyckiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Wilgoć znad Oceanu Indyjskiego, niesiona przez południowy wiatr, objawiała się tu w postaci niemiłosiernie chłodnej mżawki. Wkrótce nadejdzie zima, która tutaj zaczyna się wcześniej — zazwyczaj tuż po słonecznym, bezwietrznym lecie. Dookoła będzie biało i mroźno.

Pracowali tu w większości członkowie Komsomołu, młodzi i chętni do pracy. Pomagali przy ukończeniu budowy rozpoczętej w 1983 roku. Jeden z nich, student ostatniego roku fizyki w Państwowym Uniwersytecie Moskiewskim, otarł krople deszczu z twarzy i wyprostował się, by złagodzić ból w krzyżu. To nie jest praca dla młodego, obiecującego inżyniera — pomyślał

Morozow. Zamiast bawić się przyrządami geodezyjnymi, mógłby konstruować lasery w

laboratorium. Chciał jednak zostać członkiem Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, a oprócz tego uniknąć służby wojskowej. Takie połączenie odroczenia, ze względu na studia, z pracą w Komsomole, było bardzo pomocne w osiągnięciu jego celu.

— Co tam? — usłyszał za sobą. Obrócił się i zobaczył jednego z tutejszych inżynierów, specjalistę od budownictwa lądowego, uważającego się za fachowca od betonu.

— Według mnie ustalenie punktu jest właściwe, towarzyszu inżynierze. Starszy mężczyzna podszedł i spojrzał przez lunetkę przyrządu. - Tak jest — powiedział. — Chwała Bogu, to już ostatni.

Obaj drgnęli na odgłos dalekiego wybuchu. Saperzy wyrównywali jeszcze jedno skalne zwalisko za linią zasieków. Nie trzeba być wojskowym — pomyślał Morozow — by się w tym wszystkim połapać.

— Macie dobrą rękę do precyzyjnych przyrządów. Może zostaniecie inżynierem lądowym, co? Będziecie wznosić różne użyteczne dla naszego państwa obiekty...

— Nie, towarzyszu inżynierze. Zajmuję się fizyką wielkich energii, głównie laserami. —

To też użyteczne rzeczy — pomyślał.

Tamten chrząknął i pokiwał głową.

— Więc może wróćcie tu, jak Bóg da.

— Czy...

— Ja nic nie mówiłem — rzucił inżynier z wyczuwalnym naciskiem w głosie.

— Rozumiem — cicho powiedział Morozow. — Tak właśnie podejrzewałem.

— Byłbym ostrożny z rozgłaszaniem takich przypuszczeń — odparł inżynier, niedbale odwracając się w drugą stronę.

— To wspaniałe miejsce do obserwacji gwiazd — stwierdził Morozow, oczekując określonej odpowiedzi.

— Nie wiem — odrzekł inżynier z uśmiechem kogoś wtajemniczonego. — Nigdy nie widziałem tu astronoma.

Morozow uśmiechnął się do siebie. A więc odgadł prawidłowo. Wyznaczano tu miejsca, w których zamontowanych zostanie sześć zwierciadeł. Znajdowały się one w różnej odległości od punktu centralnego — budynku pilnowanego przez uzbrojonych wartowników. Taka precyzja, jak wiedział, potrzebna jest tylko w dwóch przypadkach. Pierwszy to astronomia — skupia się wtedy światło pochodzące z kosmosu. W drugim wypadku chodzi o wysyłanie światła. Młody inżynier powiedział

sobie, że tu właśnie chciałby przyjechać. To miejsce zmieni świat.

Przyjęcie

Załatwiano tu interesy. Interesy wszelkiego rodzaju. Wiedział o tym każdy z obecnych.

Każdy brał w tym udział. Każdy ich potrzebował. A mimo to każdy z tu obecnych zmierzał, w ten czy inny sposób, do położenia temu kresu. Dla zgromadzonych w Sali św. Jerzego w Wielkim Pałacu Kremlofskim takie rozdwojenie stanowiło nieodłączny element ich życia.

Uczestników, w większości Rosjan i Amerykanów, można było podzielić na cztery grupy.

Pierwsza to dyplomaci i politycy. Łatwo ich było odróżnić po eleganckich strojach, wyprostowanych sylwetkach, sztucznych uśmiechach i ostrożnej mowie, na którą nie miały wpływu nawet liczne wznoszone alkoholem toasty. Byli tu panami — wiedzieli o tym i potwierdzali to swym zachowaniem.

Grupa druga to wojskowi. Nie można prowadzić rozmów rozbrojeniowych bez tych, którzy tę broń mają, konserwują, sprawdzają, pieszczą — cały czas wmawiając sobie, że politycy, którzy nimi kierują, nigdy nie wydadzą rozkazu jej użycia. Odziani w mundury, stali przeważnie w małych grupkach, jednolitych pod względem narodowości i rodzaju wojsk. Każdy trzymał napełnioną do połowy szklankę i serwetkę, a jednocześnie obojętnie wodził

pozbawionymi wyrazu oczami po sali, jakby wypatrując niebezpieczeństwa na nieznanym polu walki. Bo też i było to dla nich pole bezkrwawej bitwy, która wpłynie na przebieg bitew prawdziwych, jeżeli ich polityczni władcy stracą kiedyś panowanie nad sobą, równowagę duchową, perspektywę, stracą to coś, co powstrzymuje człowieka przed rozrzutnym szafowaniem cudzym życiem. Ci żołnierze wierzyli tylko sobie, a czasem bardziej swym wrogom w mundurach o innej barwie, niż swym władcom w cywilnych ubraniach. Przynajmniej wiadomo było, jakie stanowisko zajmuje inny żołnierz. A tego nie da się powiedzieć o politykach, nawet swoich. Wojskowi rozmawiali między sobą cicho, stale uważając, kto ich słucha, robili przerwy, by łyknąć ze szklanki, a przy okazji po raz kolejny rozglądali się wokoło. Byli ofiarami, ale i drapieżnikami — być może psami trzymanymi na smyczy przez tych, którzy uważali się za panów sytuacji.

W to też żołnierze nie bardzo wierzyli.

Trzecia grupa — dziennikarze. Tych wyróżniały ubrania, zazwyczaj pogniecione na skutek częstego pakowania i rozpakowywania toreb lotniczych, zbyt małych, by pomieścić wszystko, czego potrzebowali. Brakowało im oglądy polityków, ich przyklejonych uśmiechów.

Zamiast tego rzucali ciekawskie spojrzenia dzieci, zabarwione wszakże cynizmem starych rozpustników. Szklanki z napojem trzymali przeważnie w lewej ręce, czasami razem z małym notatnikiem zamiast serwetki, w prawej natomiast — na wpół ukryty długopis. Krążyli po sali jak drapieżne ptaki. Zawsze można było znaleźć kogoś, kto chciał porozmawiać. Dostrzegali to inni i schodzili się, by razem spijać informacje. Postronny obserwator mógł określić atrakcyjność takich informacji na podstawie szybkości, z jaką reporterzy przerzucali się do innego źródła.

Pod tym względem dziennikarze amerykańscy i zachodnioeuropejscy różnili się od swych radzieckich kolegów, którzy na ogół nie odstępowali swych panów, niczym dworacy swych władców w dawnych czasach. Chcieli w ten sposób wyrazić lojalność wobec Partii, a także posłużyć jako osłona przed reprezentantami prasy z innych stron świata. Ale wraz z nimi stanowili tylko widownię obecną na przedstawieniu objazdowego teatru.

Wreszcie grupa czwarta, niewidzialna. Ci, których nie tak łatwo rozpoznać: szpiegzy i ścigający ich agenci kontrwywiadu. Różnili się od oficerów służby bezpieczeństwa, nieufnie obserwujących każdego spod ścian sali, niezauważalnych jak kelnerów krążących z ciężkimi, srebrnymi tacami zastawionymi kryształowymi, pamiętającymi jeszcze czasy Romanowych, kieliszkami z wódką i szampanem. Oczywiście niektórzy kelnerzy byli agentami kontrwywiadu.

Ci musieli krążyć po sali, łowiąc każdy najdrobniejszy strzęp rozmowy, ściszony głos, słowo nie pasujące do atmosfery wieczoru. Nie było to łatwe zadanie. W rogu kwartet smyczkowy grał

utwory kameralne, których nikt chyba nie słuchał, ale to także jest typowe dla przyjęć dyplomatycznych. Brak takiej muzyki zostałby natychmiast zauważony. Poza tym natłok ludzkich głosów. W sali było ponad sto osób, a każda z nich przegadała co najmniej połowę przyjęcia. Stojący koło muzyków mówili głośnie, by przekrzyczeć ich grę. Cały ten hałas wibrował w sali o wymiarach sześćdziesiąt pięć na dwadzieścia metrów. Jej parkiet i stiuki na ścianach potęgowały dźwięk do poziomu, przy którym słuch dziecka mógłby poważnie ucierpieć.

Z tego hałasu i swej niewidzialności korzystali szpiegzy, by stać się duchami uczty.

Byli tutaj. Wszyscy o tym wiedzieli. Każdy w Moskwie miał coś do powiedzenia o szpiegach. Jeżeli spotkałeś się z obywatelem zachodniego państwa w okolicznościach, które dały się uzasadnić, najrozsądniej było o tym zameldować. Nawet jeżeli zdarzyło się to tylko raz, wystarczyło, że w pobliżu przechodził moskiewski milicjant, czy spacerował oficer Armii Radzieckiej, a już zostałeś zauważony, już sporządzona została notatka. Może lapidarna, może nie. Wiele się zmieniło, rzecz jasna, od czasów Stalina, ale Rosja pozostała Rosją i nieufność do obcokrajowców jest starsza od jakiegokolwiek ideologii.

Większość obecnych na sali myślała o tym, nie zdając sobie z tego sprawy — oprócz tych oczywiście, którzy rzeczywiście brali udział w tej szczególnej grze. Dyplomaci i politycy mają praktykę w ostrożnym formułowaniu wypowiedzi, więc nie zaprzęтали tym sobie zbyt wiele głów.

Dla reporterów była to po prostu zabawa, taka fantastyczna gra, która ich właściwie nie dotyczyła,

choć każdy zachodni dziennikarz wiedział, że jest ipso facto uważany przez rząd radziecki za agenta wywiadu. Najbardziej świadomi byli wojskowi. Znali bowiem wartość informacji wywiadowczych, potrzebowali ich i doceniali, nienawidząc jednocześnie tych, którzy je zbierali, za ich skryte knowania.

Kto jest szpiegiem?

Była także i garstka osób, która nie pasowała do żadnej kategorii — albo też pasowała do więcej niż jednej.

— Jak się panu podoba Moskwa, doktorze Ryan? — Jack usłyszał za plecami głos jakiegoś Rosjanina. Oderwał się od oglądania pięknego, starego zegara.

— Jakoś tu zimno i ciemno — odpowiedział, łyknąwszy szampana. — Niestety, nie mieliśmy zbyt wielu okazji, żeby cokolwiek zwiedzić.

I już nie będą mieli, bowiem delegacja amerykańska, przebywająca od czterech dni w Związku Radzieckim miała wracać zaraz po zakończeniu sesji technicznej, poprzedzającej spotkanie plenarne, czyli już jutro.

— Szkoda — powiedział Siergiej Gołowko.

— Tak — zgodził się Jack. — Jeżeli cała wasza architektura jest tak piękna, to chciałbym mieć kilka dni na jej podziwianie. Ten, kto zbudował pałac, miał wytworny smak. — Z uznaniem kiwnął głową w kierunku wspaniałych, białych ścian, łukowego sklepienia i złotych ornamentów.

Właściwie uważał, że trochę to przeładowane, ale wiedział też, że Rosjanie mają w ogóle skłonność do niejakiej przesady. Dla nich, rzadko mających czegokolwiek pod dostatkiem, „mieć dość” oznaczało „mieć więcej niż ktoś inny”, a najlepiej „mieć więcej niż wszyscy pozostali”.

Ryan uważał to za dowód narodowego kompleksu niższości. Przypomnił sobie, że ludzie, którzy czują się gorsi, odczuwają patologiczną chęć odrzucenia tego, co postrzegają. Ten właśnie czynnik dominował nad pozostałymi aspektami procesu rozbrojeniowego, wypierając zwyczajną logikę jako podstawę osiągnięcia porozumienia.

— Ci dekadencyjcy Romanowowie — zauważył Gołowko. — To wszystko wzrosło z potu chłopstwa.

Ryan obrócił się z uśmiechem.

— No, przynajmniej część ich podatków poszła na coś pięknego, nieszkodliwego i nieśmiertelnego. Moim zdaniem to o wiele pożyteczniejsze od kupowania uzbrojenia, które dziesięć lat później okazuje się już przestarzałe. To jest pomysł, Siergieju Nikołajewiczu: przestawmy nasze współzawodnictwo polityczno-wojskowe z broni nuklearnej na piękno.

— A więc jest pan zadowolony z postępów?

Znowu interesy — pomyślał Ryan. Wzruszył ramionami i nadal rozglądał się po sali. —

Chyba uzgodniliśmy porządek obrad. A pozostałe szczegóły będą musiały wypracować już te typki przy kominku. — Patrzył na jeden z olbrzymich kryształowych kandelabrow i zastanawiał

się, ile roboczołat zużyto na jego wykonanie i jaka to musiała być zabawa z zawieszaniem czegoś takiego, ważącego tyle, co mały samochód.

— Jest pan zadowolony, jeśli chodzi o kontrolę realizacji umowy?

Wszystko się zgadza — pomyślał Ryan uśmiechając się nieznacznie. Gołowko jest z GRU. „Narodowe Techniczne Środki Kontroli” — zwrot określający satelity szpiegowskie i inne metody prowadzenia obserwacji obcych państw — w Ameryce leżały w gestii CIA, w Związku Radzieckim natomiast zajmował się nimi radziecki wywiad wojskowy GRU. Pomimo uzgodnionego w zasadzie porozumienia co do inspekcji lokalnych, główny wysiłek kontroli zgodności z układem będzie spoczywał na satelitach szpiegowskich. To zaś już podwórko Gołowki.

Nie było tajemnicą, że Jack pracuje dla CIA. I nie musiało, ponieważ nie był oficerem operacyjnym. Przydzielenie Ryana do zespołu negocjatorów rozbrojeniowych wynikało logicznie z jego obecnego zadania związanego z nadzorem niektórych systemów broni strategicznych na terenie Związku Radzieckiego. By móc podpisać jakikolwiek układ rozbrojeniowy, obie strony musiały przede wszystkim zaspokoić swój instytucjonalny paranoiczny lęk, że jedna strona nie wytnie potem drugiej jakiegoś numeru. W tych właśnie sprawach Jack miał doradzać przewodniczącemu delegacji — kiedy pan przewodniczący był łaskaw go słuchać.

— Kontrola realizacji postanowień — powiedział po chwili Jack — to zagadnienie techniczne i do tego trudne. Niestety, niezbyt dobrze się na tym znam. A co sądzą wasi o naszej propozycji ograniczenia systemów naziemnych?

— My bardziej polegamy na lądowych systemach raketowych niż wy — odparł

Gołowko. Głos jego stał się teraz ostrożniejszy, ponieważ pytanie dotyczyło sedna stanowiska radzieckiego.

— Nie rozumiem, dlaczego nie stawiacie na okręty podwodne, tak jak my.

— To kwestia zawodności, jak dobrze o tym wiecie.

— Do diabła! Przecież na okrętach podwodnych można polegać — rzucił Jack przynętę, udając jednocześnie zainteresowanie zegarem. Była tam wspaniała scenka: jakiś facet o wyglądzie wieśniaka podaje miecz innemu i ruchem ręki posyła go na bitwę. Nic nowego —

pomyślał Jack. Jakiś stary dupek radzi dzieciuchowi, żeby dał się zabić.

— Mieliśmy, niestety, kilka wypadków.

— No tak, ten okręt klasy Yankee, który zatonął w pobliżu Bermudów.

— No i ten drugi.

— Słucham? — Ryan obrócił się, z trudem powstrzymując uśmiech.

— Proszę, panie doktorze, by nie obrażał pan mojej inteligencji. Zna pan sprawę „Czerwonego Października” tak samo jak ja.

— Jak się nazywał? Ach tak, to ten z klasy Typhoon, który straciliście gdzieś przy Karolinach. Byłem wówczas w Londynie. Potem już mi o tym nie mówiono.

— Myślę, że te dwa przypadki wystarczająco ilustrują problem, z jakim boryka się Związek Radziecki, Nie możemy ufać naszym raketowym okrętom podwodnym do tego stopnia, co wy swoim.

— Taak — bąknął Ryan i dodał w myślach: że już nie wspomnę o kapitanach. Starał się, by nic nie można było wyczytać z wyrazu jego twarzy.

— Czy mogę jednak zadać zasadnicze pytanie? — nie ustępował Gołowko.

— Oczywiście, ale pod warunkiem, że nie oczekuje pan zasadniczej odpowiedzi.

— Czy wasz wywiad będzie przeciwny przedłożonemu projektowi traktatu?

— A skąd ja mam znać odpowiedź na takie pytanie? — Jack zastanowił się przez chwilę.

— A wasz?

— Nasze organy bezpieczeństwa państwowego zrobią to, co im się każe — zapewnił Gołowko.

No tak — pomyślał Ryan, głośno zaś wyjaśnił: — U nas, jeżeli prezydent uzna, że układ rozbrojeniowy mu się podoba i że uda mu się przepchnąć go przez Senat, to nie ma znaczenia, co o sprawie myśli CIA, czy Pentagon...

— Przecież wasz kompleks wojskowo-przemysłowy... — przerwał mu Gołowko.

— O Boże, ależ wy lubicie ten temat! Siergieju Nikołajewiczu, pan dobrze wie, jak jest naprawdę.

Gołowko był jednak oficerem wywiadu wojskowego, o czym Ryan przypomniał sobie zbyt późno, i mógł nie wiedzieć. To, jak dalece Ameryka i Związek Radziecki nie rozumiały się wzajemnie, było zabawne i jednocześnie nadzwyczaj niebezpieczne. Jack zastanawiał się czy tutejsze agencje wywiadu starają się dojść prawdy, tak jak robi to teraz CIA, czy też mówią swym władcom to, co ci

chęć usłyszeć, czyli tak jak w przeszłości zbyt często zachowywała się CIA. Chyba jednak to drugie — pomyślał. Bez wątplenia rosyjskie agencje wywiadowcze były rozpolitykowane, tak jak kiedyś CIA. Trzeba przyznać, że sędzia Moore zadał sobie wiele trudu, by z tym skończyć. Ale sędzia nie miał szczególnych zakusów na prezydenturę, i to różniło go od jego radzieckich kolegów. Jednemu z szefów KGB udało się dojść na szczyt, a co najmniej jeszcze jeden próbował. KGB stała się tworem politycznym, co odbiło się na jej obiektywności.

Jack westchnął nad szklanką. Problemy między obu państwami nie skończą się wraz z odejściem do lamusa fałszywych obrazów partnera, lecz przynajmniej sprawy potoczyłyby się wtedy bardziej normalnie.

Być może. Ale przyznał się sam przed sobą, że rozwiązanie to mogłoby się okazać równie mało skuteczne, jak wszystkie dotychczasowe. Ostatecznie jeszcze go nie wypróbowano.

— Czy mogę coś zaproponować?

— Oczywiście — przytaknął Gołowko.

— Przestańmy rozmawiać na tematy zawodowe. Pan opowie mi o tej sali, a ja wypiję trochę szampana. — I dodał w myśli: Zaoszczędzi to nam jutro mnóstwa czasu przy pisaniu notatki ze spotkania.

— Może chce pan trochę wódki?

— Nie, dziękuję. Te bąbelki są świetne. Wasza produkcja?

— Tak, gruzińska — z dumą potwierdził Gołowko. — Myślę, że lepsza od francuskiej.

— Chętnie zaopatryłbym się w kilka butelek przed wyjazdem. Gołowko roześmiał się, a w jego głosie wyczuć można było mieszaninę rozbawienia i władzy: — Zajmę się tym. Otóż...

pałac ukończono w tysiąc osiemset czterdziestym dziewiątym roku, kosztował jedenaście milionów rubli, co na owe czasy było sporą sumą. To ostatni z wielkich pałaców i, jak myślę, najładniejszy.

Ryan nie był jedynym oglądającym salę balową. Większość członków delegacji amerykańskiej nigdy tu nie była. Oprawdzali ich, udzielając wyjaśnień, Rosjanie równie jak oni znudzeni przyjęciem, Z tyłu szło kilku pracowników ambasady amerykańskiej, pilnie rozglądając się na strony.

— Misza, co myślisz o Amerykankach? — zapytał swego doradcę minister obrony Jazow.

— Te, które idą w naszą stronę, wcale nie są takie złe, towarzyszu ministrze — odparł pułkownik.

— Trochę chudawe... o, przepraszam. Zapomniałem, że twoja piękna Elena też była szczupła. Piękna

z niej była kobieta...

— Dziękuję za pamięć, Dmitri Timofiejewiczu.

— Dobryj dzień, gaspadin pułkownik — odezwała się jedna z Amerykanek.

— Ach tak, pani...

— Foley. Poznaliśmy się na meczu hokejowym w listopadzie.

— Znasz tę panią? — spytał minister.

— Mój siostrzeniec Michaił... nie, to właściwie wnuk siostry Eleny... gra w młodzieżowej drużynie hokejowej. Zostałem zaproszony na jeden z meczy, no i okazało się, że do zespołu dopuścili jakiegoś imperialistę! — odpowiedział doradca z przymrużeniem oka.

— Czy pani syn dobrze gra? — zapytał marszałek Jazow.

— Jest trzeci na liście strzelców bramek — odparła pani Foley.

— Wspaniale! Zostanie pani u nas, a syn, kiedy dorośnie, będzie grał w reprezentacji wojskowej. — Jazow uśmiechnął się. Sam był już czterokrotnym dziadkiem. — Co pani tu robi?

— Mój mąż pracuje w ambasadzie. O, jest tam, zajmuje się dziennikarzami. A ja musiałam tu dzisiaj przyjść — nigdy w życiu nie widziałam czegoś tak wspaniałego! — zaczęła wylewnie. Błyszczące oczy wskazywały, że wypła już co nieco. Chyba szampana — pomyślał

minister. Wygląda na taką, co lubi szampana, jest dość atrakcyjna i zadała sobie trudu, by dość dobrze nauczyć się rosyjskiego, co jak na Amerykankę było wystarczająco niezwykle. —

Podłoga jest tak wspaniała — ciągnęła — że chodzenie po niej to przestępstwo. W Stanach nie mamy czegoś takiego.

— Nigdy nie mieliście carów, na wasze szczęście — odpowiedział Jazow jak przystało na dobrego marksistę. — Ale jako Rosjanin przyznać muszę, że jestem dumny z ich poczucia piękna.

— Później nie widywałam już pana na meczach — zwróciła się Foley do Miszy.

— Nie mam czasu.

— Ale przynosi pan szczęście! Wtedy drużyna wygrała. Eddie zdobył jedną bramkę i przyczynił się do strzelenia jeszcze jednej.

— A nasz mały Misza zdobył tylko dwie kary za wysokie kije — uśmiechnął się pułkownik.

— Ma imię po tobie? — zapytał minister.

— Tak.

— Nie widziałam tego u pana, kiedy się wówczas spotkaliśmy. — Pani Foley wskazała na trzy złote gwiazdy na piersi pułkownika.

— Może dlatego że nie zdejmowałem płaszcza.

— Zawsze je nosi — zapewnił marszałek. — Odznaczenie Bohatera Związku Radzieckiego nosi się zawsze.

— Czy to odpowiednik naszego najwyższego Medalu Zasługi?

— Mniej więcej tak — odpowiedział Jazow za swojego doradcę. W tej sprawie Misza był szczególnie nieśmiały. — Pułkownik Filitow jest jedynym żyjącym żołnierzem, który zdobył aż trzy takie odznaczenia za męstwo na polu walki.

— Naprawdę? Jak można zdobyć aż trzy?

— Walcząc z Niemcami — krótko odpowiedział pułkownik.

— Zabijając Niemców — stwierdził dobitnie Jazow. W czasach, gdy Filitow należał do najjaśniejszych gwiazd Armii Czerwonej, on sam był zaledwie porucznikiem. — Misza to jeden z najlepszych czołgistów.

Pułkownik aż się zarumienił.

— Wykonywałem swoje obowiązki, jak wielu żołnierzy w czasie ostatniej wojny.

— Mój ojciec też otrzymał odznaczenia wojenne. Dowodził dwoma akcjami wyzwolenia jeńców z obozów na Filipinach. Nie mówił o tym dużo, ale dostał za to garść medali. Czy pan opowiada swoim dzieciom o tych jasnych gwiazdach?

Filitow zeszywniał. Jazow odpowiedział za niego:

— Synowie pułkownika Filitowa już od dłuższego czasu nie żyją.

— Och, panie pułkowniku... bardzo mi przykro — powiedziała pani Foley.

I rzeczywiście było jej przykro.

— To było dawno. — Filitow uśmiechnął się. — Świetnie pamiętam pani syna z meczu.

To udany chłopak. Niech pani kocha swoje dzieci, droga pani, bo nie zawsze je będzie pani miała.

Proszę mi wybaczyć na chwilę.

Misza odszedł w stronę toalet, a pani Foley spojrzała żałośnie na ministra.

— Ja naprawdę... panie ministrze...

— Przecież nie mogła pani o tym wiedzieć. Misza najpierw utracił synów, jednego po drugim, potem zaś żonę. Poznałem ją, gdy byłem jeszcze bardzo młodym człowiekiem. Piękna dziewczyna, tancerka w balecie Kirowa. To smutne, ale my Rosjanie przywykliśmy do wielkich smutków. No, dość już tego. W jakim zespole gra pani syn? — Zainteresowanie marszałka Jazowa hokejem wzrosło na widok ładnej, młodej buzi.

Minutę później Misza był już w toalecie. Oczywiście Amerykanów i Rosjan kierowano do różnych pomieszczeń. Pułkownik Filitow znalazł się w prywatnej ubikacji jakiegoś księcia, a może carskiej metresy? Umył ręce i spojrzał w lustro w złoconych ramach. Myślał tylko o jednym: Znowu. Następne zadanie. Westchnął, poprawił mundur i w chwilę później ponownie był „na scenie”.

— Przepraszam. — Ryan obracając się wpadł na starszego pana w mundurze. Gołowko powiedział coś po rosyjsku, ale Ryan nie zrozumiał. Potrącony oficer rzucił parę uprzejmie brzmiących słów i odszedł, jak zauważył Jack, w kierunku ministra obrony.

— Kto to? — zapytał Ryan swego rosyjskiego przewodnika.

— Pułkownik jest osobistym doradcą ministra — odparł Gołowko.

— Czy trochę nie za stary na pułkownika?

— To bohater wojenny. Nie zmuszamy takich ludzi do przechodzenia na emeryturę.

— Chyba słusznie — przytaknął Jack.

Oprowadziwszy go po sali św. Jerzego Gołowko pokazał Jackowi sąsiednią — św.

Włodzimierza. Wyraził nadzieję, że następnym razem spotkają się właśnie tutaj. W sali św.

Włodzimierza, jak wyjaśnił, podpisuje się traktaty. Obaj oficerowie wywiadu przepili do siebie na tę intencję.

Przyjęcie skończyło się po północy. Ryan wsiadł do siódmej z podstawionych limuzyn.

W drodze powrotnej do ambasady nie rozmawiano. Wszyscy czuli działanie wypitego alkoholu, a w samochodach, szczególnie w Moskwie, nie prowadzi się rozmów. Zbyt łatwo można w nich założyć podsłuch. Dwóch współpasażerów zapadło w sen i Ryan też był tego bliski. Przed zaśnięciem powstrzymywała go myśl, że za pięć godzin lecą. Jeśli więc jeszcze trochę wytrzyma, będzie mógł pospać w samolocie. Dopiero niedawno się tego nauczył. Kiedy dojechali, przebrał

się i zszedł do stołówki ambasady na kawę. Wystarczy to, by utrzymać się na nogach jeszcze kilka godzin i sporządzić niezbędne notatki.

W ciągu minionych czterech dni wszystko poszło zadziwiająco dobrze. Aż za dobrze.

Jack powtarzał sobie, że średnie wyciąga się z wyników złych i dobrych. Projekt traktatu był gotowy. Jak wszystkie projekty ostatnich lat, tak i ten został pomyślany przez Rosjan bardziej jako narzędzie negocjacji niż jako dokument do negocjacji. Jego szczegóły dostały się już do gazet i już niektórzy kongresmani w swych wystąpieniach podkreślali, że jest to świetny układ i dlatego nie mielibyśmy nań się zgodzić?

Rzeczywiście, dlaczego? — ironizował Jack. Kontrola realizacji traktatu. To pierwsza przyczyna. Druga... czy była jakaś inna? Dobre pytanie. Dlaczego tak bardzo zmienili swoje stanowisko? Były niewątpliwie dowody, że sekretarz generalny Narmonow chce zredukować wydatki na wojsko, ale wbrew społecznemu odczuciu, broń jądrowa nie jest pozycją, którą wykreśla się z budżetu. Głowice atomowe są tanie, jak na zadanie, które mają spełniać: to bardzo oszczędny sposób zabijania ludzi. Głowica atomowa i rakieta należą do kosztownych zabawek, są jednak tańsze niż taka sama siła niszczenia zawarta w czołgach i artylerii. Czy Narmonow chce rzeczywiście zmniejszyć zagrożenie wojną nuklearną? Zagrożenie takie nie zależy przecież od samego posiadania broni, lecz zawsze od polityków i błędów jakie mogą oni popełnić. Czy też wszystko to tylko symbol? Narmonowowi, pomyślał Jack, łatwiej przychodziło tworzyć symbole niż konkrety. Jeżeli to symbol, to dla kogo?

Narmonow miał w sobie urok, i siłę — tego rodzaju wewnętrzną moc, która wiązała się z zajmowanym przezeń stanowiskiem, ale bardziej jeszcze płynęła z jego osobowości. Jakim był

człowiekiem? Czego chciał? Ryan otrząsnął się — to nie jego resort. Inny zespół CIA tu, w Moskwie badał polityczną pozycję Narmonowa. Jego zadaniem, zresztą o wiele łatwiejszym, było opracowanie zagadnień technicznych. Może i łatwiejszym, ale sam nie znał jeszcze odpowiedzi na własne pytania.

Gołowko wrócił już do biura i właśnie pisał odręczną notatkę. Ryan niechętnie poprze przedłożony projekt. Ponieważ z jego zdaniem liczy się dyrektor CIA, należy przypuszczać, że takie też będzie stanowisko Agencji. Oficer odłożył pióro i przez chwilę tarł oczy. Wstawanie z kacem to straszna rzecz, ale siedzenie w takim stanie całą noc, aż do świtu — to już przekracza obowiązki radzieckiego oficera. Zastanawiał się, dlaczego jego rząd w ogóle przedłożył taką propozycję i dlaczego Amerykanie tak chętnie na nią przystali. Nawet Ryan, który ma dość rozumu w głowie. O co chodzi Amerykanom? Kto kogo chce wymanewrować?

To dopiero pytanie.

Powrócił myślami do Ryana, którego przydzielono mu zeszłego wieczora. Jak na swe lata miał dobrą

pozycję — odpowiednik pułkownika w KGB czy w GRU, i to w wieku zaledwie trzydziestu pięciu lat. Co zrobił, że zaszedł tak wysoko? — zastanawiał się Gołowko. Chyba ma dobre układy, a to się liczy zarówno w Waszyngtonie, jak i w Moskwie. Jest odważny — ta sprawa z terrorystami pięć lat temu. Ma rodzinę, to zaś Rosjanie cenią bardziej niż Amerykanom mogłoby się wydawać. Rodzina oznacza bowiem stabilizację, ta zaś z kolei przewidywalność działań. Przede wszystkim — myślał Gołowko — Ryan to człowiek myślący. Dlaczego więc nie sprzeciwia się układowi, który daje większe korzyści Związkowi Radzieckiemu niż Ameryce?

Czy nasza ocena jest niewłaściwa? — zanotował Gołowko. Czy Amerykanie wiedzą coś, czego my nie wiemy? Oto pytanie.

Albo inaczej: czy Ryan wie coś, o czym on nie wie? Pułkownik zmarszczył czoło, ale potem przypomniał sobie coś, o czym on wiedział, a Ryan nie. Uśmiechnął się lekko. Wszystko to należało do wielkiej gry. Największej z możliwych.

— Szliście chyba przez całą noc.

Łucznik skinął poważnie głową i postawił na ziemi plecak, który od pięciu dni przyginał mu plecy. Ciężarem nie ustępował plecakowi Abdula. Jak zauważył oficer CIA, chłopiec był bliski omdlenia. Obaj przysunęli sobie poduszki i usiedli.

— Chcecie się czegoś napić? — Oficer nazywał się Emilio Ortiz. Miał wystarczająco zagmatwane pochodzenie, by móc uchodzić za potomka któregoś z ludów kaukaskich.

Także trzydziestolatek, średniej budowy ciała, o mięśniach pływaka — dzięki sportowi bowiem otrzymał stypendium Uniwersytetu Południowej Karoliny, gdzie ukończył studia lingwistyczne.

Ortiz miał nieprzeciętne zdolności językowe. Po dwóch tygodniach przyswajania sobie dowolnego języka, dialektu czy akcentu mógł uchodzić za tubylca. Był też człowiekiem wyrozumiałym, przestrzegającym zasad wyznawanych przez ludzi, z którymi przyszło mu pracować. Tak więc napój, który zaproponował, nie był — bo być nie mógł — alkoholem. Był to sok jabłkowy. Ortiz patrzył, jak Łucznik pije go z namaszczeniem podobnym temu, z jakim znawca win próbuje nowy rocznik Bordeaux.

— Niech Allah błogosławi temu domowi — powiedział Łucznik po wypiciu pierwszej szklanki. To, że z pozdrowieniem czekał aż skończy pić sok, było u tego człowieka nieomal wyrazem poczucia humoru. Ortiz widział malujące się na jego twarzy zmęczenie, którego poza tym nie było po nim znać. W odróżnieniu od swego młodego tragarza, Łucznik wydawał się nieczuły na takie ludzkie słabostki. Nie było to prawdą, ale Ortiz rozumiał, że siła, która pcha go do działania, stłumiła w nim ludzkie odruchy.

Obaj mężczyźni ubrani byli prawie identycznie. Ortiz spoglądał na odzienie Łuczniaka i zastanawiał się nad jego zakrawającym na ironię podobieństwem do ubiorów Apaczy amerykańskich i

meksykańskich. Jeden z przodków Ortiza służył jako oficer pod rozkazami Terrazas, gdy armia meksykańska pokonała w końcu Victorio w górach Tres Castillos.

Afgańczycy także nosili luźne spodnie przepasane w biodrach. Także byli małymi zwinnymi wojownikami. I także traktowali jeńców jako krwawą rozrywkę dla swych noży. Patrzył na nóż Łucznika i zastanawiał się, do czego go używano. Zaraz jednak pomyślał, że nie chce o tym wiedzieć.

— Macie ochotę coś zjeść? — zapytał.

— To może poczekać — odpowiedział Łucznik sięgając po swój plecak. Razem z Abdulem przyprawdzili dwa objuczone wielbłądy, lecz to, co najważniejsze znajdowało się w jego plecaku. — Wystrzeliłem osiem rakiet. Trafiłem sześć statków powietrznych, ale jeden miał

dwa silniki i udało mu się uciec. Z tych pięciu zestrzelonych dwa to śmigłowce, a trzy —

myśliwce bombardujące. Pierwszy trafiony śmigłowiec to ten nowy model „dwadzieścia cztery”, o którym nam mówiłeś. Miałeś rację: rzeczywiście miał nowe wyposażenie. Mam tu coś z tego.

Zakrawa to na ironię — pomyślał Ortiz — że najbardziej precyzyjny i delikatny sprzęt przetrwał atak, który zgładził załogę. Łucznik wyciągnął sześć płytek obwodów drukowanych zespołu laserowego znacznika celu, który stał się obecnie standardowym wyposażeniem śmigłowców Mi-24. Kapitan armii amerykańskiej, dotychczas trzymający się z boku i nie zabierający głosu, teraz podszedł bliżej i zaczął oglądać wyjmowane elementy. Ręce trzęsły mu się lekko.

— Macie też laser? — zapytał kapitan w języku pusztu, choć z wyraźnym obcym akcentem.

— Bardzo zniszczony, ale mamy. — Łucznik obrócił się do Abdula, lecz chłopiec już spał. Byłby się uśmiechnął, gdyby nie przypomniał sobie, że sam też miał syna.

Ortiz spochmurniał. Nieczęsto zdarzało się dowodzić partyzantem o takim wykształceniu, jakie miał Łucznik. Pewnie był dobrym nauczycielem, już nigdy jednak nie będzie uczył. Już nigdy nie będzie taki, jak kiedyś. Wojna, niczym śmierć nieodwracalnie zmieniła życie Łucznika.

Cholernie szkoda.

— Masz nowe rakiety? — zapytał Łucznik.

— Mogę dać ci dziesięć. Model trochę poprawiony, zasięg zwiększony o pięćset metrów.

I do tego pozoracyjne rakiety dymne.

Łucznik skinął głową, a kąciki ust podgięły mu się w sposób, który w bardziej pokojowych czasach mógłby się przerodzić w początek uśmiechu.

— Może teraz dobiore się do ich transportowców. Rakiety dymne sprawują się bardzo dobrze,

przyjacielu. Za każdym razem spychają najeźdźców w moją stronę. Jeszcze nie połapali się w tej taktyce.

Przecież to tylko sztuczka — pomyślał Cortiz. — Według niego to taktyka. Chce teraz zapolować na transportowce, chce zabijać setki Rosjan jednym uderzeniem. Boże, co myśmy zrobili z tego człowieka! Oficer CIA potrząsnął głową. To nie jego zmartwienie.

— Jesteś zmęczony, przyjacielu. Odpocznij. Zjeść możemy później. Zrób mi ten zaszczyt i rozgość się w moim domu.

— Masz rację — przytaknął Łucznicz. Po dwóch minutach już spał. Ortiz i kapitan przeglądali dostarczony sprzęt. Była tam także instrukcja obsługi laserowego wyposażenia śmigłowca oraz tabele kodów radiowych. Do południa lista zdobyczy była gotowa. Rozpoczęto przygotowania do przesłania całego ładunku do ambasady, skąd natychmiast zostanie wysłany samolotem do Kalifornii. Tam przeprowadzone będą dokładne badania.

Samolot Sił Powietrznych VC-137 wystartował punktualnie. Była to specjalna wersja szacownego Boeinga 707: litera „V” w nazwie maszyny oznaczała, że zaprojektowano ją dla VIP-ów, co widać było po eleganckim wyposażeniu wnętrza. Jack wyciągnął się na kanapie i całkowicie poddał się ogarniającemu go zmęczeniu. W dziesięć minut później ktoś nim potrząsnął.

— Szef woła — powiedział jeden z członków delegacji.

— Czy on nigdy nie śpi? — burknął Jack.

— Mów do mnie jeszcze...

Ernest Allen zajmował najbardziej elegancką kabinę, znajdującą się dokładnie na wysokości skrzydeł samolotu, wyposażoną w sześć pluszowych foteli obrotowych. Na stole stał

dzbanek z kawą. Jeżeli nie napije się kawy, wkrótce przestanie cokolwiek kojarzyć. Jeżeli ją wypije, już nie zaśnie. No, ale rząd nie płaci mu za spanie. Ryan sięgnął po dzbanek.

— Słucham pana.

— Czy możemy ich sprawdzić? — Allen darował sobie wstęp.

— Jeszcze nie wiem — odparł Jack. — Tu nie chodzi tylko o narodowe środki kontroli.

Nadzorowanie likwidacji tyłu wyrzutni...

— Dopuszczają przecież możliwość ograniczonej kontroli na miejscu — zauważył któryś z młodszych członków delegacji.

— Jestem tego świadom — odpowiedział Jack. — Problem w tym, jakie to ma znaczenie.

— Po czym dodał w myślach: Ciekawe, dlaczego tak nagle zgodzili się na coś, o co zabiegaliśmy od ponad trzydziestu lat...?

— Słucham? — nie rozumiał tamten.

— Rosjanie bardzo się napracowali przy nowych wyrzutniach ruchomych. A jeżeli mają ich więcej, niż zakładamy? Czy będziemy w stanie wykryć kilkaset wyrzutni w ruchu?

— Ale na nowych satelitach mamy radary obserwacji terenu, i...

— Oni wiedzą o tym — i jeśli zechcą, mogą się przed nimi ukryć... Chwileczkę.

Wiadomo, że nasze raketowe okręty podwodne mogą się wymykać — i robią to — rosyjskim satelitom rozpoznawczym. Jeżeli to możliwe z okrętami, to z całą pewnością możliwe z pociągami — zakończył Jack. Allen przysłuchiwał się rozmowie bez słowa, pozwalając by jego podwładny przedstawił to rozumowanie zamiast niego. Ernie Allen — stary, szczwany lis!

— A więc CIA będzie przeciwna?! Do diabła, to przecież największe ustępstwo, na jakie dotychczas poszli!

— W porządku, to jest duże ustępstwo. Wszyscy o tym wiemy. Ale zanim je przyjmiemy, może należałoby sprawdzić, czy nie oddają czegoś, co jest już nieistotne. Są także jeszcze inne sprawy.

— Będzie pan zatem przeciwny...

— Niczemu nie jestem przeciwny. Mówię tylko, żebyśmy się nie spieszyli i pomyśleli, zamiast dać się ponieść euforii.

— Ale ich projekt traktatu jest... niemal za dobry, żeby był prawdziwy.

— W ten sposób jego rozmówca potwierdził punkt widzenia Ryana, chociaż nie to było jego zamiarem.

— Panie doktorze — odezwał się Allen — zakładając, że szczegóły techniczne zostaną dopracowane w sposób dla pana zadowalający, jak oceniłby pan ten układ?

— Patrząc na to z technicznego punktu widzenia, pięćdziesięcioprocentowa redukcja przenoszonych głowic bojowych nie ma żadnego wpływu na równowagę strategiczną. Jest...

— Ależ to niepoważne! — zaprotestował jeden z asystentów Allena. Jack wycelował w niego palec wskazujący niczym lufę pistoletu.

— Przypuśćmy, że trzymam pistolet skierowany prosto w pańskie serce — powiedzmy, browning dziewiątka, załadowany trzynastoma nabojami. Umawiamy się, że wyjmę z magazynka siedem nabojów. Ale pistolet nadal ma sześć pocisków i wycelowany jest w pańską pierś. I co, czuje się pan

bezpieczniej?

Ryan uśmiechnął się i nie opuszczając „pistoletu” ciągnął dalej:

— Ja bym się nie czuł. I o tym właśnie mówimy. Jeżeli obie strony zmniejszą swoje arsenały o połowę, nadal pozostanie jeszcze pięć tysięcy głowic bojowych, które mogą dolecieć do Ameryki. Zastanówcie się, jak duża to liczba. Obecne porozumienie ogranicza tylko

„nadzabijanie”. Różnica między pięcioma a dziesięcioma tysiącami to właśnie różnica w odległości, na jaką rozrzucone zostaną szczątki. Jeżeli zaczniemy rozmowy na temat zredukowania liczby głowic do tysiąca po każdej stronie, może wtedy zaczną uważać, że do czegoś dochodzimy.

— Czy uważa pan, że limit tysiąca głowic jest do osiągnięcia? — zapytał Allen.

— Nie, sir. Czasami chciałbym, żeby tak było, ale powiedziano mi, że taki limit stwarzałyby możliwość „wygrania” wojny nuklearnej, cokolwiek takie określenie znaczy. — Jack wzruszył ramionami i zakończył:

— Jeżeli to porozumienie przejdzie, sir, to oczywiście będzie lepiej niż było dotąd. Może jego wartość symboliczna jest wartością samą w sobie. Jest to czynnik, który należy uwzględnić

— ale to już nie do mnie należy. Obu stronom przyniesie pewne oszczędności budżetowe, choć nieznaczne w skali ogólnych wydatków zbrojeniowych. Obie strony zachowają połowę swoich arsenałów nuklearnych, czyli tę nowszą, efektywniejszą połowę. Sedno sprawy pozostaje bez zmian: w wypadku wojny nuklearnej obie strony będą równie martwe! Według mnie projekt traktatu nie zmniejsza, jak to się mówi, „zagrożenia wojennego”. Aby je naprawdę zmniejszyć, musimy albo całkowicie zlikwidować to cholerne uzbrojenie, albo wymyślić coś, co uniemożliwi jego zastosowanie. Moim zdaniem, powinniśmy zacząć od tego drugiego, a potem spróbować likwidacji. Może wówczas świat stanie się bezpieczniejszy...

— Oznaczałoby to rozpoczęcie nowego wyścigu zbrojeń.

— Proszę pana, ten wyścig zaczął się tak dawno, że już właściwie nie jest „nowy”.

KLIPER HERBACIANY

— Są już następne zdjęcia Duszanbe — usłyszał w słuchawce Ryan.

— W porządku, będę za kilka minut. — Jack wstał i przeszedł na drugą stronę korytarza, do biura zastępcy dyrektora Agencji do spraw informacyjnych, admirała Greera. Jego szef siedział tyłem do okna, z którego rozciągał się widok na pokryty grubą warstwą skrzącego się śniegu pagórkowaty teren wokół siedziby CIA. Wciąż uprzątało śnieg z parkingu, a warstwa na gzymsie ciągnącym się za oknami siódmego piętra miała prawie ćwierć metra grubości.

— O co chodzi, Jack? — zapytał admirał.

— Duszanbe. Nieoczekiwanie rozjaśniło się nad nimi. Chciał pan, żebym pana zawiadomił.

Greer spojrział na ekran monitora stojącego w rogu gabinetu, obok komputera, którego nie chciał używać — w każdym razie nie przy obcych, by nie popisywać się próbą pisania dwoma palcami, a jak miał dobry dzień — to i kciukiem. Mógł kazać transmitować „na żywo” do swojego gabinetu wykonywane właśnie przez satelitę fotografie, ale ostatnio tego unikał. Jack nie wiedział dlaczego.

— Dobrze, przejdziemy się.

Ryan otworzył przed admirałem drzwi. Skręcili w lewo, doszli do końca korytarza, wzdłuż którego mieściły się gabinety kierownictwa i wsiedli do wydzielonej windy. Miała tę zaletę, że nie trzeba było długo na nią czekać.

— Jak samopoczucie po zmianie czasu? — zapytał Greer. Ryan przyleciał poprzedniego dnia.

— Świetnie, panie admirale. Lot na zachód nie męczy mnie tak strasznie, jak lot na wschód. — Boże, jak dobrze być na ziemi — dodał w duchu.

Drzwi rozsunęły się i obaj poszli w stronę nowo dobudowanej części, mieszczącej Biuro Analiz Informacji Obrazowych. Był to własny, prywatny niejako, wydział Zarządu Informacyjnego, niezależny od Krajowego Centrum Rozpoznania Fotograficznego — wspólnej organizacji CIA i DIA służącej całemu amerykańskiemu wywiadowi.

Nawet Hollywood mogłoby być dumne z takiej sali projekcyjnej. Mieściło się tam około trzydziestu foteli oraz ekran zajmujący blisko czterdzieści metrów kwadratowych ściany. Art Graham, szef Biura, czekał już na nich.

— Przyszliście w samą porę. Za jakąś minutę będziemy mieli pierwsze ujęcia. —

Podniósł słuchawkę i połączył się z kabiną projekcyjną. Ekran rozjaśnił się błyskawicznie. Teraz nazywało się to „zobrazowaniem przestrzennym”, przypominał sobie Jack.

— Mamy szczęście. Syberyjski front wysokiego ciśnienia skręcił nagle na południe i jak mur zatrzymał front ciepły. Wspaniała widzialność. Temperatura przy ziemi około zera, wilgotność względna też bardzo niska! - cieszył się Graham. — Wprowadziliśmy tu satelitę, by wykorzystać takie warunki pogodowe. Jest odchyłony od idealnej pozycji pionowej nad obiektem zaledwie o trzy stopnie. Ruscy chyba nie zorientowali się, że przelatuje teraz nad nimi.

— Jest Duszanbe — zamruczał Jack, gdy na ekranie ukazała się część Tadżyckiej SRR.

Pierwszy obraz pochodził z jednej z kamer szerokokątnych, których satelita rozpoznawczy KH-14 miał na pokładzie jedenaście. Znajdował się na orbicie dopiero od trzech tygodni i był

pierwszym satelitą szpiegowskim najnowszej generacji. Duszanbe kilkadziesiąt lat temu przez krótki czas jako Stalinabad — to dopiero musiała być uciecha dla jego mieszkańców, pomyślał

Ryan — było prawdopodobnie jednym ze starożytnych miast położonych na szlaku karawan. W

odległości niespełna dwustu kilometrów znajdował się Afganistan. Legendarna Samarkanda Tamerlana leżała na północnym wschodzie... Może tysiąc lat temu przejeżdżała tamtędy Szecherezada... Zastanawiał się, dlaczego historia tak się zwykle toczy, że te same miejsca, te same nazwy w każdym stuleciu odżywają na nowo.

Obecne zainteresowanie CIA rejonem Duszanbe nie dotyczyło jednak handlu jedwabiem.

Na ekranie pojawił się teraz obraz z kamery wysokiej rozdzielczości. Penetrowała głęboką, górską dolinę, gdzie nieopodal miasteczka Nurek rzekę wstrzymywał kamiennie-betonowy próg tamy elektrowni wodnej. Chociaż elektrownia znajdowała się zaledwie o pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Duszanbe, linie energetyczne nie biegnęły w stronę tego półmilionowego miasta, lecz prowadziły w kierunku szczytów górskich widocznych z elektrowni.

— To wygląda jak podstawy do kolejnego ciągu słupów — zauważył Ryan.

— Równoległego do poprzedniego — przytaknął Graham. — Montują na tamie kilka nowych generatorów. Dotąd wiedzieliśmy, że pobierają z elektrowni zaledwie połowę wytwarzanej mocy.

— Kiedy podłączą resztę? — zapytał Greer.

— Musiałbym pogadać z naszym konsultantem. Pociągnięcie linii nie zabierze więcej niż parę tygodni, a górna część siłowni jest już ukończona. Wygląda na to, że fundamenty pod nowe generatory są też gotowe. Pozostało im jedynie zsynchronizowanie całości. Razem sześć, może osiem miesięcy, jeżeli pogoda się pogorszy.

— Tak szybko? — zdziwił się Jack.

— Przerzucili tu ludzi z dwóch budów hydrotechnicznych serii „Bohater”. O tej nigdy nie wspomiano, ale ściągnięto tutaj wojska inżynieryjne z ważnych placów budowy. Ruscy naprawdę wiedzą, jak przyspieszyć w razie konieczności. Te sześć do ośmiu miesięcy to bardzo ostrożny szacunek, panie doktorze. Mogą to zrobić szybciej — powiedział Graham.

— Ile będą mieli mocy po ukończeniu prac?

— To nie jest duża budowla. Łączna moc szczytowa... przy nowych generatorach...

według mnie jakieś tysiąc sto megawatów.

— To dużo, a wszystko idzie na te wzgórza — powiedział Ryan niemal do siebie. Obraz na ekranie przesuwał się dalej.

Wzniesienie określane przez Agencję jako „Mozart” było wysokie. Znajdowało się jednak w najbardziej na zachód wysuniętej części łańcucha himalajskiego, toteż w porównaniu z nim wydawało się karzełkiem. Wykonana przez saperów droga prowadziła na sam szczyt, na którym znajdowało się także lądowisko dla śmigłowców, zapewniających połączenie z dwoma lotniskami w Duszanbe. Obiekt składał się z szesnastu budynków, w tym jednego mieszkalnego.

Widok z okien tego ostatniego musiał być wspaniały, choć w swej typowej formie budownictwa radzieckiego był równie atrakcyjny jak blok sprasowanego żużlu. Ukończono go przed sześcioma miesiącami i teraz mieszkali w nim specjaliści z rodzinami. Mógł się w tym miejscu wydawać dziwny, ale przesłanie było jasne: ci, którzy tu mieszkają, są uprzywilejowani. Inżynierowie i naukowcy, ludzie z takimi umiejętnościami, że państwu opłacało się otaczać ich troską i zaspokajać wszelkie ich potrzeby. Żywność dowożono ciężarówkami, a w razie złej pogody używano śmigłowców. W kolejnym budynku mieścił się teatr, w następnym — szpital. Programy telewizyjne odbierano dzięki stacji satelitarnej położonej obok budynku ze sklepami. Troskliwość tego rodzaju nie była wcale powszechna w Związku Radzieckim. Obejmowała jedynie wysokich funkcjonariuszy partyjnych oraz ludzi, którzy pracowali nad sprawami o kluczowym znaczeniu dla wojska. To nie był ośrodek sportów narciarskich.

Potwierdzały to ostatnio ukończone prace: pas zasieków oraz wieże strażnicze. Jedną z charakterystycznych cech rosyjskich kompleksów wojskowych były właśnie te wieże. Rosjanie mieli na ich punkcie prawdziwego bzika. Trzy szeregi płotów w odstępach dziesięciometrowych, przy czym pas zewnętrzny był zazwyczaj zaminowany, a po pasie wewnętrznym biegały psy.

Wieże znajdowały się na pasie wewnętrznym, rozstawione co dwieście metrów. Oddział

wartowniczy skoszarowano w nowym, betonowym budynku, odbiegającym jakością od przeciętnych baraków.

— Czy można zrobić zbliżenie któregoś z wartowników? — zapytał Jack.

Graham wydał polecenie przez telefon i jeden z techników zaczął korygować obraz, zarówno po to

by spełnić życzenie Ryana, jak i po to, aby sprawdzić kalibrację kamery i warunki pogodowe.

Obraz powiększył się, ruchoma kropka rosła do ludzkich kształtów odzianych w szynel i chyba w futrzaną czapę. Z prawego ramienia zwisał Kałasznikow. Obok szedł duży pies nie dającej się rozpoznać rasy. Człowiek i pies zostawiali za sobą obłoczki pary. Ryan mimowolnie pochylił się do przodu, jakby miało mu to zapewnić lepszy widok.

— Czy nie wydaje się wam, że ten facet ma naramienniki z zielonym pokryciem? —

spytał Graham.

— Uhm. Jasne, to KGB — mruknął w odpowiedzi ekspert od rozpoznania.

— Tak blisko Afganistanu? — zdziwił się admirał Greer. — Przecież wiedzą, że działają tam nasi ludzie. Muszą więc sprawę zabezpieczenia terenu potraktować poważnie.

— Chyba te wzgórza były im bardzo potrzebne — zauważył Ryan. — O sto kilometrów dalej żyje kilka milionów ludzi, którzy uważają, że zabijanie Rosjan to wola Boga. Ten obiekt jest ważniejszy niż dotąd uważaliśmy. W każdym razie nie jest to byle ośrodek, nie z takim zabezpieczeniem. W innym wypadku nie musieliby go stawiać tutaj, a już z pewnością nie wybraliby miejsca, do którego trzeba doprowadzać nowe zasilanie oraz ryzykować wystawienie całości na działanie wroga. Dziś to może ośrodek badawczo-rozwojowy, ale na przyszłość mają chyba większe plany.

— Na przykład?

— Może polowanie na moje satelity? — Art Graham uważał je wszystkie za swoje.

— Czy próbowali ostatnio polaskotać któregoś? — ciekaw był Jack.

— Od kwietnia, kiedy im pogroziliśmy, jeszcze nie. Przynajmniej raz zwyciężył rozsądek.

Była to stara historia. Kilka razy w ciągu ostatnich paru lat amerykańskie satelity rozpoznawcze i wczesnego ostrzegania były „łaskotane” wiązkami laserowymi lub mikrofalowymi, wystarczającymi by je „oślepić”, ale nie powodując poważniejszych uszkodzeń.

Dlaczego Rosjanie tak robili? To właśnie pozostawało zagadką. Czy chcieli po prostu sprawdzić reakcje amerykańskie, przekonać się, czy wywoła to zamieszanie w NORAD, dowództwie obrony przestrzeni powietrznej Ameryki Północnej, mieszczącym się w górze Cheyenne w stanie Kolorado? Może były to próby określenia dla własnych potrzeb stopnia czułości takich satelitów?

A może demonstracja swoich możliwości ich niszczenia? Czy też po prostu, jak to określali brytyjscy koledzy Jacka, krwiożerczość? Trudno było powiedzieć, co naprawdę myślą Rosjanie.

Oczywiście nieodmiennie twierdzili, że są niewinni. Gdy jeden z amerykańskich satelitów został czasowo „oślepiony” nad Sary-Szagan, Rosjanie oświadczyli, że to w wyniku pożaru rurociągu gazowego. Fakt, że pobliskim rurociągiem Chimkent-Pawłodar przesyłano głównie ropę naftową, umknął uwagi prasy zachodniej.

Satelita przesunął się już znad obszaru Duszanbe. W sąsiednim pomieszczeniu na kilkunastu magnetowidach przewijano taśmę — teraz będzie można spokojnie przeanalizować całość zapisu.

— Popatrzmy jeszcze raz na „Mozarta” i na „Bacha” — zarządził Greer.

— Cholerny dojazd — stwierdził Jack. Zespół mieszkalno-przemysłowy na „Mozarcie”

był oddalony zaledwie o kilometr od obiektu znajdującego się na szczycie sąsiedniej góry

„Bach”, lecz łącząca je droga budziła lęk. Mieli teraz przed sobą zatrzymany obraz „Bacha”.

Układ ogrodzeń i wież powtarzał się, ale tutaj odległość między skrajnym a środkowym ogrodzeniem wynosiła co najmniej dwieście metrów. Podkład tworzyła lita skała. Jack ciekaw był, jak się w takich warunkach zakłada miny — a może ich tam nie było? Teren zniwelowano niewątpliwie przy pomocy spychaczy i materiałów wybuchowych; był gładki niczym stół

bilardowy. Z wież wyglądał pewnie jak strzelnica.

— Chyba nie żartują, co? — zauważył spokojnie Graham.

— A więc to tego chronią... — zamyślił się Ryan.

— Na ogrodzonym terenie znajdowało się trzynaście budynków. Na obszarze wielkości dwóch boisk piłkarskich — także dokładnie wyrównanym — widać było dziesięć dziur, w dwu grupach. Jedna składała się z sześciu otworów, każdy o średnicy około dziewięciu metrów, tworzących sześciokąt. W drugiej cztery otwory układały się w romb, przy czym były trochę mniejsze, bo o średnicy poniżej ośmiu metrów. W każdym tkwiła betonowa kolumna o średnicy około pięciu metrów, wpuszczona w skalne podłoże. Na ile dało się wnioskować z obrazu, wszystkie te dziury miały głębokość co najmniej dwunastu metrów. Kolumny zwieńczone były metalowymi kopułami, które zdawały się składać z segmentów w kształcie półksiężyców.

— Są otwierane. Ciekaw jestem, co jest w środku? — zadał retoryczne pytanie Graham.

W Langley każda z dwustu osób znających sprawę Duszanbe chciałyby wiedzieć, co znajduje się pod tymi metalowymi kopułami. Zmontowano je na kolumnach zaledwie kilka miesięcy temu.

— Panie admirale, muszę mieć dostęp do pewnej sprawy — powiedział Jack.

— Jakiej?

— KLIPER HERBACIANY.

— Nie żądasz za wiele? Sam nie mam do niej dostępu — zachnął się Greer.

Ryan odchylił się w fotelu.

— Panie admirale, jeżeli oni w Duszanbe robią to samo co my w KLIPRZE

HERBACIANYM, to musimy się z tym zapoznać. Skąd, u diabła, mamy wiedzieć, czego szukać, skoro nie wiemy, jak taki obiekt wygląda!

— Powtarzam to już od pewnego czasu — roześmiał się admirał. — Urząd do spraw Inicjatywy Obrony Strategicznej nie będzie zachwycony. Sędzia będzie musiał załatwić to u prezydenta.

— To niech idzie do prezydenta. A jeżeli to, co się tutaj dzieje ma związek z propozycją rozbrojeniową, którą właśnie przedłożyli?

— Tak myślisz?

— Kto wie? — rzucił Jack. — Zbieg okoliczności. To mnie po prostu niepokoi.

— Dobrze, porozmawiam z dyrektorem.

Dwie godziny później Ryan jechał już do domu. Skierował swego Jaguara XJS na George Washington Parkway. Samochód ten był jedną z wielu miłych pamiątek po służbie w Anglii.

Jack do tego stopnia uwielbiał nadmiar mocy dwunastocylindrowego silnika, że rzadko już używał sędziwego, małego Volkswagena. Jak zawsze, starał się po drodze nie myśleć o sprawach zawodowych. Skupił uwagę na jeździe, wykorzystując możliwości wszystkich pięciu biegów.

— A więc, James? — zapytał dyrektor Agencji.

— Ryan uważa, że nowa działalność na „Bachu” i „Mozarcie” może mieć związek z rokowaniami rozbrojeniowymi. Chyba ma rację. Chce mieć dostęp do KLIPRA HERBACIANEGO. Powiedziałem mu, że będziesz musiał załatwić to u prezydenta. —

Uśmiechnął się admirał Greer.

— Dobrze, dam mu pisemne zezwolenie. Może to poprawi nastrój generała Parksa.

Zaplanowali pełny tekst na koniec tygodnia. Załatwić Jackowi, żeby był przy tym. — Sędzia Moore uśmiechnął się sennie. — A ty, co o tym myślisz?

— Według mnie ma rację: Duszanbe i KLIPER HERBACIANY to zasadniczo takie same badania. Zbyt wiele tu rzucających się w oczy podobieństw, żeby to uznać za przypadek. Musimy uściślić

nasze oceny.

— W porządku. — Moore obrócił się w kierunku okna i pomyślał: Świat znowu się zmienia. Potrwa to dziesięć albo więcej lat, ale się zmienia. Za dziesięć lat to już nie będzie moje zmartwienie. Z całą pewnością jednak będzie to zmartwienie Ryana. — Polecę tam jutro. Może też będziemy mieli szczęście w sprawie Duszanbe. Foley przekazał Kardynałowi, że bardzo się tym interesujemy.

— Kardynałowi? To dobrze.

— Jeżeli jednak coś się przydarzy... — zaczął sędzia.

— Chryste Panie, mam nadzieję, że jest ostrożny — przerwał jego zastępca do spraw informacyjnych.

„Po śmierci Dymitra Fiodorowicza Ministerstwo Obrony już nie to samo” — lewą, zdrową ręką pisał w swym pamiętniku pułkownik Michaił Siemionowicz Filitow. Wstał jak zwykle wcześniej i siedział teraz przy stuletnim, dębowym biurku, które tuż przed śmiercią kupiła mu żona. Kiedy to było? Prawie trzydzieści lat temu — odpowiedział sobie Misza. W lutym minie trzydzieści. Zamknął na chwilę oczy. Cholernie ciężkie trzydzieści lat.

Nie było dnia, by nie wspominał swej Eleny. Na biurku stała jej fotografia — wyblakła przez lata, brunatna odbitka w zaśnieżonej srebrnej ramce. Jakoś nigdy nie miał czasu, by ją wypolerować, a nie chciał w domu gosposi. Zdjęcie ukazywało młodą dziewczynę z długimi, zgrabnymi nogami i rękami uniesionymi nad lekko przechyloną na bok głową. Na krągłej, słowiańskiej twarzy szeroki, ponętny uśmiech, doskonale wyrażający radość, jaką sprawiał jej taniec w balecie Kirowa.

Misza także się uśmiechnął na wspomnienie swego pierwszego wrażenia, gdy jako młody oficer-czołgista w nagrodę za najlepiej utrzymane czołgi w dywizji dostał bilet na przedstawienie: Jak im się to udaje? Tak stać na czubkach palców niczym na cienutkich szrudłach. Pamiętał, jak sam w dzieciństwie chodził na szrudłach, ale żeby to robić z taką gracją! A potem ona uśmiechnęła się do młodego, przystojnego oficera z pierwszego rzędu. Na jedną króciutką chwilę ich oczy spotkały się. Na mgnienie oka jej uśmiech zmienił się ledwo dostrzegalnie i przez tę bezkresną sekundę przeznaczony był już nie dla widowni, lecz tylko dla niego. Kula wystrzelona prosto w serce nie mogłaby w nim dokonać większych spustoszeń.

Misza nie pamiętał już reszty przedstawienia. Do dziś nie wie, co to był za balet. Przypominał sobie teraz, jak przez resztę wieczoru kręcił się w fotelu, myśląc gorączkowo, co ma robić dalej.

Porucznika Filitowa uważano za oficera z przyszłością. Dla tego młodego, zdolnego czołgisty brutalne czystki stalinowskie w korpusie oficerskim oznaczały możliwość szybkiego awansowania. Pisał artykuły o taktyce broni pancerniej, ćwiczył nowe sposoby walki, głośno protestował przeciwko fałszywym „lekcjom” z wojny w Hiszpanii — wszystko z pewnością człowieka urodzonego do tej służby.

Co mam teraz robić? — pytał wówczas sam siebie. Armia Czerwona nie nauczyła go, jak się zachowywać wobec artystów. To nie była wiejska dziewczucha znudzona pracą w kołchozie i oddająca się każdemu, kto ją chciał — szczególnie młodemu oficerowi, który mógłby ją stamtąd zabrać. Misza pamiętał hańbę swej młodości — chociaż wtedy nie napawało go to wstydem —

kiedy błyskiem gwiazdek na naramiennikach wabił do łóżka każdą dziewczynę, która wpadła mu w oko.

Nawet nie wiem, jak się nazywa — mówił sobie tamtego wieczora, wierząc się w teatralnym fotelu. Co mam robić? No i oczywiście postąpił tak, jakby cała sprawa była ćwiczeniami wojskowymi. Zaraz po zakończeniu przedstawienia przepchał się do toalety, umył

ręce i twarz, usunął scyzorykiem resztki smaru spod paznokci. Zmoczył i przyczesał krótkie włosy, obejrzał dokładnie mundur tak, jakby to zrobił generał podczas inspekcji, strzepnął kurz, wyskubał jakieś niteczki, potem odsunął się od lustra i sprawdził, czy buty świecą się jak należy.

Nie zauważył przy tym, że inni przyglądali mu się z ledwie skrywanymi uśmiechami. Zgadywali, po co był cały ten przegląd, i życzyli powodzenia — chociaż z odrobiną zazdrości. Zadowolony ze swego wyglądu Misza wyszedł z teatru i zapytał portiera, gdzie jest wejście dla artystów. Ta informacja kosztowała go rubla. Obszedł budynek i przed odpowiednim wejściem natknął się na kolejnego portiera. Był to brodaty, stary człowiek ubrany w długi płaszcz, z przypiętymi doń baretkami odznaczeń otrzymanych w czasach rewolucji. Misza spodziewał się szczególnych względów, jak to żołnierz od żołnierza. Okazało się jednak, że weteran traktował wszystkie baletnice jak własne córki, a nie ulicznice, które miałby rzucać do stóp oficerom. Co to, to nie!

Misza zastanawiał się nad zaproponowaniem pewnej sumki, ale zarzucił tę myśl, nie chcąc sprawiać wrażeń, że uważa starego za alfonsa. Zamiast tego powiedział spokojnie i rozsądnie, oraz zgodnie z prawdą, że zadurzył się w pewnej tancerce, której imienia nie zna i chciałby ją po prostu poznać.

— Po co? — zapytał chłodno stary portier.

— Dziadku, ona się do mnie uśmiechnęła — odpowiedział Misza jak zauroczony mały chłopiec.

— A ty się zakochałeś. — Zabrzmiało to szorstko, po chwili jednak na twarzy portiera pojawił się cień zadumy. — Ale nie wiesz która to?

— Była... w grupie. To znaczy, nie tańczyła żadnej z głównych ról. Jak to się nazywa?

Zapamiętam jej twarz do końca życia. — Był już tego pewien.

Portier obrzucił go spojrzeniem, zwrócił uwagę na elegancki mundur, na wyprostowane plecy. To nie jeden z tych butnych NKWD-owskich wieprzy, aroganckich oficerków z oddechem cuchnącym wódką. To żołnierz, a do tego młody i przystojny.

— Towarzyszu poruczniku, macie szczęście. A wiecie dlaczego? Macie szczęście, bo ja też byłem

kiedyś młody i mimo upływu lat ciągle to pamiętam. Zaczną wychodzić za jakieś dziesięć minut. Stańcie no tam i ani mru-mru.

Minęło trzydzieści minut. Wśród wychodzących dwójkami i trójkami Misza widział też tancerzy i to, że trzymali za ręce takie piękne dziewczyny obrażało jego poczucie męskości, ale starał się o tym nie myśleć. Kiedy drzwi się otworzyły, został niemal oślepiony żółto-białym światłem buchającym w ciemność nieoświetlonej uliczki, i dlatego o mało jej nie przegapił — tak inaczej wyglądała bez makijażu.

Ujrzawszy jej twarz, nie mógł się zdecydować, czy to ta właściwa. Zbliżał się do niej ostrożniej, niż gdyby szedł pod ogień niemieckich dział.

— Siedzieliście na miejscu numer dwanaście — odezwała się pierwsza, zanim on zdobył się na odwagę, by coś powiedzieć. A ten jej głos!

— Tak, towarzyszeko artystko — wyjąkał.

— Podobało się wam przedstawienie, towarzyszu poruczniku? — Przy tym nieśmiały, ale jakby zachęcający uśmiech.

— Było wspaniałe! — Bo przecież było.

— Nieczęsto widzujemy przystojnych młodych oficerów w pierwszym rzędzie — zwróciła uwagę.

— Dostałem bilet w nagrodę za osiągnięcia w mojej jednostce. Jestem czołgista — oświadczył dumnie i zaraz pomyślał: Nazwała mnie przystojnym!

— Czy towarzysz czołgista ma jakieś nazwisko?

— Jestem porucznik Michaił Siemionowicz Filitow.

— A ja — Elena Iwanowna Makarowa.

— Za zimno, żebyście tak tu stała, towarzyszeko artystko. Czy w pobliżu jest jakaś restauracja?

— Restauracja? — roześmiała się. — Jak często bywacie w Moskwie?

— Moja dywizja stacjonuje trzydzieści kilometrów stąd, ale niezbyt często przyjeżdżam do miasta — przyznał.

— Towarzyszu poruczniku, w całej Moskwie jest tylko kilka restauracji. Może wstąpicie do mnie?

— Noo... oczywiście — wyjąkał swą odpowiedź w chwili, gdy drzwi znowu się otwierały.

— Marta — zwróciła się Elena do dziewczyny, która właśnie wychodziła — mamy wojskową eskortę do domu!

— Zaraz dołączą Tania i Resa — odpowiedziała Marta.

Na wiadomość o towarzystwie Misza poczuł pewną ulgę. Spacer do jej mieszkania zajął pół godziny. Moskiewskie metro jeszcze nie działało i lepiej było przejść się niż czekać na tramwaj o tak późnej porze.

Zapamiętał, że bez makijażu była piękniejsza. Chłodne zimowe powietrze przydało jej policzkom wszystkich niezbędnych kolorów. Szła z gracją, którą zawdzięczała dziesięciu latom intensywnych ćwiczeń. Płynęła ulicą jak zjawą, podczas gdy on kroczył niezdarnie w swych ciężkich buciorach. Czuł się jak czołg jadący obok rasowego konia. Pilnował się, by nie iść zbyt blisko, z obawy, że ją strątuje. Wówczas nic jeszcze nie wiedział o sile, tak dobrze skrytej pod tym wdziękiem.

Nigdy przedtem noc nie była tak wspaniała jak tamta, chociaż przez następnych dwadzieścia lat było ich jeszcze wiele. Ale już w ciągu ostatnich trzydziestu — ani jednej. Mój Boże — pomyślał — w czerwcu, czternastego, obchodzilibyśmy pięćdziesięciolecie naszego małżeństwa. Mój Boże. — Nieświadomie przetarł oczy chusteczką.

Jednak to te trzydzieści lat wciąż zaprzętało mu umysł.

Wspomnienia rozsadały pierś, zaciśnięte na piórze palce pobiełały. Ciągłe dziwiło go, że miłość i nienawiść to uczucia tak sobie bliskie. Misza powrócił do swoich notatek.

Godzinę później wstał z za biurka i podszedł do szafy w sypialni. Założył mundur pułkownika wojsk pancernych. Teoretycznie był już na emeryturze, właściwie już w czasach, gdy obecni pułkownicy jeszcze się nie narodzili. Praca w Ministerstwie Obrony niosła jednak ze sobą pewne przywileje, a Misza pracował w najbliższym otoczeniu ministra. To jeden powód.

Pozostałe trzy widniały na jego mundurze: trzy złote gwiazdy zawieszane na ciemnoczerwonych wstążkach. Filitow był jedynym żołnierzem w historii Armii Radzieckiej trzykrotnie odznaczonym gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego za odwagę na polu bitwy w obliczu wroga. Inni też mieli takie odznaczenie, ale, otrzymali je z przyczyn politycznych. Obrażało to jego poczucie dobrego smaku. Nie miało to być przecież odznaczenie za pracę biurową, ani tym bardziej znaczek, który jeden partyjniak przypina drugiemu do kłapy jako kolorową ozdobę.

Bohater Związku Radzieckiego to tytuł, który się powinno nadawać takim jak on za to, że ryzykowali życie, przelewali krew oraz, jakże często, umierali za Rodiną. Zawsze gdy wkładał

mundur, przypominał sobie o tym. Bielizna skrywała zabliznione już rany, za które otrzymał trzecią złotą gwiazdę. Kiedy niemiecki pocisk kalibru osiemdziesiąt osiem milimetrów przebił

pancerz jego czołgu, powodując pożar na rakach amunicyjnych, Filitow obrócił jeszcze wieżę i ostatnim strzałem z działła siedemdziesiąt sześć milimetrów wykończył szwabskich czołgistów.

Zapalił się na nim kombinezon, a rany spowodowały utratę pięćdziesięciu procent sprawności w prawym ręku. Mimo to jeszcze przez dwa dni dowodził resztkami swego pułku na Łuku Kurskim. Gdyby wyskoczył z czołgu wraz z załogą, lub dał się natychmiast ewakuować zgodnie z zaleceniem lekarza pułkowego, może wyzdrowiałby całkowicie. Ale nie, wiedział, że nie może nie odpowiedzieć ogniem, że nie może porzucić swych żołnierzy w środku bitwy. A więc strzelał

— i palił się. Gdyby nie to, zostałbym może generałem lub nawet marszałkiem — rozpamiętywał

Misza. Czy sprawiłoby to jakąś różnicę? Filitow był zbyt wielkim realistą, by dłużej się nad tym zastanawiać. Gdyby nadal walczył, pewnie już by nie żył. A tak, dane mu było spędzić więcej czasu z Eleną. Przychodziła niemal codziennie do instytutu oparzeń w Moskwie. Początkowo była przerażona jego ciężkimi obrażeniami, później była z nich dumna — tak jak Misza. Nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości, że jej mąż wypełnił swój obowiązek względem Rodiny.

Teraz zaś spłacał swój dług wobec Eleny.

Filitow wyszedł z mieszkania i wszedł do windy. Z trudnością utrzymywał teczkę w prawej ręce — do tego właściwie sprostawała się przydatność tej połowy jego ciała. Babuszka-windziarka przywitała się z nim jak co dzień. Obydwoje mieli już swe lata. Była wdową po sierżancie z pułku Miszy, także odznaczonym Złotą Gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego.

— Jak tam wnuczka? — zapytał pułkownik.

— Aniołek — odpowiedziała windziarka.

Filitow uśmiechnął się: trochę z przyjaznego rozbawienia — czyż jest coś takiego jak brzydkie niemowlę — a także dlatego że takie określenie jak „anioł” przetrwało siedemdziesiąt lat naukowego socjalizmu.

Samochód już na niego czekał. Kierowca, świeżo po szkole podoficerskiej i kursie samochodowym, z całą powagą zasałutował pułkownikowi i otworzył przed nim drzwiczki:

— Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku.

— A rzeczywiście, Żdanow, dobry — odpowiedział Filitow. Większość oficerów odpowiadała jakimś mruknięciem, ale Filitow był frontowcem, którego sukcesy na polu walki były wynikiem troski o żołnierzy. Jak zauważył, niewielu oficerów zrozumiało tę lekcję. To źle.

W samochodzie panowało przyjemne ciepło, ponieważ już od kwadransa ogrzewanie włączone było na pełny regulator. Filitow był coraz bardziej wrażliwy na chłód — niewątpliwie oznaka wieku. Dopiero co wyszedł ze szpitala po przebytym zapaleniu płuc, trzecim w ciągu ostatnich pięciu lat. Wiedział, że któryś z następnych razów będzie już ostatni. Odrzucił od siebie tę myśl. Zbyt wiele razy

oszukiwał śmierć, by się jej teraz bać. Życie przychodzi i odchodzi z tą samą prędkością, w ciągu jednej małej chwilki. Ciekaw był, czy zauważy, kiedy nadejdzie ta jego ostatnia chwilka. Czy będzie go to obchodziło?

Zanim pułkownik zdążył odpowiedzieć sobie na pytanie, samochód hamował przed Ministerstwem Obrony.

Ryan był pewien, że zbyt długo jest już w służbie państwowej. W końcu zaczął — no, może nie tyle lubię latanie, co doceniać wygodę tego środka komunikacji. Znajdował się o cztery godziny lotu od Waszyngtonu. Przyleciał tu wojskowym Learjetem C-21, pilotowanym przez młodą kobietę w stopniu kapitana i o wyglądzie studentki drugiego roku.

Starzejesz się, Jack — powiedział sobie. Z lotniska na szczyt góry przetransportowano go śmigłowcem, co przy takiej wysokości nie było łatwe. Nigdy przedtem nie był w Nowym Meksyku. Wysokie góry pozbawione drzew, powietrze tak rzadkie, że z trudnością oddychał.

Niebo za to tak czyste, że przez chwilę czuł się jak astronauta, który w chłodną, bezchmurną noc patrzy na świecące nieprzerwanie gwiazdy.

— Może kawy? — zapytał sierżant. Podał Ryanowi kubek, z którego para unosiła się w ciemność skąpo oświetloną skrawkiem księżyca w nowiu.

— Dziękuję. — Pociągnął łyk i rozejrzał się wokół. Niewiele dostrzegał świateł. Za następnym grzbiem górskim znajdowało się prawdopodobnie jakieś osiedle, widział też łunę świateł Santa Fe, ale nie mógł określić, jak daleko jest od miasta. Wiedział, że miejsce, w którym się znajduje, wznosiło się jakieś trzy tysiące pięćset metrów nad poziom morza (najbliższe morze oddalone było o setki kilometrów), w nocy zaś nie sposób określić odległości. Wszystko pięknie, gdyby nie to zimno. Zgrabiące palce zaciskały się na kubku. Zapomniał rękawiczek.

— Siedemnaście minut — oznajmił ktoś. — Wszystkie systemy gotowe. Cel śledzony automatycznie. OS za osiem minut.

— OS? — zdziwił się Ryan. Zdał sobie sprawę, że jego pytanie brzmiało trochę śmiesznie. Było tak zimno, że aż zmartwiały mu policzki.

— Odbiór sygnału — wyjaśnił major.

— Mieszka pan w pobliżu?

— Jakieś siedemdziesiąt kilometrów w tamtą stronę. — Machnął ręką gdzieś w przestrzeń. — Według tutejszych pojęć, jest to właściwie po sąsiedzku. — Brookliński akcent majora uzupełnił ten komentarz.

To ten z doktoratem nowojorskiego uniwersytetu stanowego w Stony Brook —

przypomniawszy sobie Ryan. Dwudziestodwuletni major nie wyglądał na żołnierza, a już na pewno nie na żołnierza zawodowego. W Szwajcarii nazwano by go gnomem: wzrost zaledwie metr sześćdziesiąt, chudy jak szczapa, twarz pokryta trądzikiem. Teraz głęboko osadzonymi oczami wpatrywał się w odcinek horyzontu, nad którym powinien ukazać się wahadłowiec

„Discovery”. Ryan powrócił myślami do dokumentów, które czytał lecąc tutaj. Ten facet nie pamięta pewnie koloru ścian w swoim domu; jego prawdziwym domem było Krajowe Laboratorium Los Alamos, znane w okolicy jako „Wzgórze”. Ukończył z pierwszą lokatą akademię wojskową w West Point, a dwa lata później zrobił doktorat w dziedzinie fizyki wysokich napięć. Jego praca doktorska otrzymała klauzulę „Ścisłe tajne”. Jack przeczytał ją i nie pojmował, dlaczego tak ją zakwalifikowano. Mimo że sam miał doktorat, nie rozumiał niczego: ten dwustużnicowy dokument równie dobrze mógłby być napisany w języku kurdyjskim.

Nazwisko Alana Gregory’ego wymieniano już jednym tchem ze Stephenem Hawkingiem z Cambridge, czy Freemanem Dysonem z Princeton. Tyle tylko że niewiele osób je znało. Jack ciekaw był, czy kiedyś rozważano także utajnienie nazwiska.

— Panie majorze, czy wszystko gotowe? — zapytał generał lotnictwa. Jack zauważył pełen szacunku ton. Gregory nie był zwykłym majorem.

Nerwowy uśmiech: — Tak jest, panie generale. — Major wytarł spoczone, mimo piętnastu stopni poniżej zera, ręce o spodnie munduru. A więc ten dzieciak przeżywa jednak jakieś emocje.

— Żonaty? — zapytał Ryan. W aktach nic o tym nie było.

— Zaręczony. Ona jest doktorem w zakresie optyki laserowej, też na „Wzgórzu”.

Pobieramy się trzeciego czerwca — dokończył lekko załamującym się głosem.

— Gratuluję. Wszystko zostanie w rodzinie? — zaśmiał się Jack.

— Tak jest. — Major Gregory nadal wpatrywał się w horyzont na południowym zachodzie.

— OS! — powiedział ktoś za nim. — Mamy sygnał.

— Okulary! — rozległo się z głośnika. — Wszyscy założyć okulary ochronne!

Jack chuchnął w ręce, zanim sięgnął do kieszeni po plastikowe gogle. Poradzono mu, żeby je tam trzymał, to będą ciepłe, a mimo to czuł ich chłód na twarzy. W każdym razie oślepl

całkowicie — nie widział już ani gwiazd, ani księżyca.

— Śledzenie! Jest synchronizacja. Mamy połączenie z „Discovery”. Wszystkie systemy gotowe.

— Cel uchwycony! — rozległ się inny głos. — Rozpoczynamy procedurę sprawdzającą... cel pierwszy uchwycony... odpalanie automatyczne włączone.

Ani jeden dźwięk nie wskazywał na to, co się stało. Ryan nie widział niczego — a może jednak? Miał przelotne wrażenie, że... no właśnie, że co? Czy to tylko moja wyobraźnia?

Usłyszał, jak stojący obok major przeciągle wypuszcza powietrze.

— Koniec próby — padło z głośnika i Jack ściągnął z twarzy okulary.

— To wszystko? — Nie wiedział, co w końcu zobaczył. Co tu przed chwilą zaszło?

Czyżby był aż tak nieorientowany, że nawet po wcześniejszym uzyskaniu informacji nie może zrozumieć, co działo się na jego oczach?

— Światła laserowego prawie nie sposób zobaczyć — wyjaśnił major Gregory. — Na tej wysokości nie ma tyle kurzu, ani wilgoci, o które mogłoby się odbić i być widzialne.

— W takim razie, po co te okulary?

Młody oficer uśmiechnął się, zdejmując swoje:

— Powiedzmy, że w najmniej odpowiedniej chwili przeleci jakiś ptak. Trafienie go wiązką lasera byłoby dość widowiskowe. I niezbyt bezpieczne dla pańskich oczu.

Trzysta kilometrów nad ich głowami „Discovery” kontynuował swój lot w kierunku linii horyzontu. Prom będzie przebywał na orbicie przez następne trzy dni, prowadząc „rutynowe badania naukowe”, tym razem (jak to podano prasie) tajne badania oceanograficzne dla Marynarki amerykańskiej. Już od tygodni gazety spekulowały na temat zadań wahadłowca twierdząc, że chodzi tu o śledzenie z orbity raketowych okrętów podwodnych. Nie było lepszego sposobu na zachowanie tajemnicy niż ukrycie jej pod płaszczykiem innej „tajemnicy”. Jeżeli ktokolwiek zwracał się w tej sprawie do rzecznika Marynarki, otrzymywał odpowiedź: „Bez komentarzy”.

— Udało się? — zapytał Jack. Spojrzał w górę, ale nie dostrzegł świetlistej kropki —

kosmicznego samolotu wartego miliard dolarów.

— Zaraz sprawdzimy. — Major odwrócił się i ruszył w stronę pomalowanego w ochronne plamy samochodu, stojącego o kilka metrów dalej. Za nim szedł generał, a na końcu Ryan.

W samochodzie, gdzie temperatura była bliska zeru, starszy chorąży przewijał nagraną taśmę wideo.

— Gdzie znajdowały się cele? — zapytał Jack. — Nie było tego w materiałach informacyjnych.

— Jakieś czterdzieści pięć stopni szerokości południowej i trzydzieści długości zachodniej — odpowiedział generał. Major Gregory przysiadł przed ekranem monitora.

— To w okolicach Falklandów, prawda? Dlaczego właśnie tam?

— Raczej bliżej Południowej Georgii — sprostował generał. — To takie ładne, spokojne, mało uczęszczane miejsce, no i we właściwej odległości.

Poza tym, o czym wiedział też Ryan, w promieniu trzech tysięcy mil morskich nie było żadnych rosyjskich urządzeń rozpoznawczych. Próba KLIPRA HERBACIANEGO została zaplanowana dokładnie na czas, gdy wszystkie radzieckie satelity szpiegowskie znajdowały się poza horyzontem. Wreszcie, odległość „strzału” ściśle równała się odległości do stanowisk radzieckich rakiet balistycznych umiejscowionych wzdłuż linii kolei transsyberyjskiej.

— Gotowe! — odezwał się chorąży.

Obraz nie był zbyt dobry. Kamera znajdowała się na poziomie morza, a dokładnie mówiąc na pokładzie „Observation Island”, statku pomiarowego wracającego z prób z raketami Tridentna Oceanie Indyjskim. Sąsiedni monitor pokazywał obraz zarejestrowany przez „Cobra Judy” — zainstalowany na statku radar do wykrywania i śledzenia rakiet w locie. Na obu ekranach widać było cztery obiekty tworzące trochę nierówny szereg. Cyferki zegara w prawym dolnym rogu ekranu migały jak w relacjach ze slalomu alpejskiego, pokazując czas z dokładnością do trzech miejsc po przecinku.

— Trafienie! — Jedna z kropek znikła w obłoczku zielonej poświaty.

— Pudło! — Następna nie tknięta.

— Pudło! — Jack zmarszczył się niezadowolony. Oczekiwał, że zobaczy świetlne promienie biegnące po niebie, ale to zdarzało się tylko na filmach. Tam, w górze, nie było przecież pyłu, który znaczyłby drogę wiązki energii.

— Trafienie! — Druga kropka zniknęła.

— Trafienie! — Została już tylko jedna.

— Pudło!

— Pudło! — Ostatnia nie chce umierać — pomyślał Ryan.

— Trafienie! — Ale musiała. — Czas łączny jedna przecinek osiem zero sześć sekundy.

— Pięćdziesiąt procent — powiedział cicho major Gregory. — I to z autokorektą. —

Powoli kiwał głową. Udawało mu się powstrzymać uśmiech, ale radość widać było w oczach.

— Działa!

— Jakiej wielkości były cele? — zapytał Ryan.

— Trzy metry. Oczywiście balony. — Gregory szybko tracił zimną krew — wyglądał jak dzieciak zaskoczony lawiną gwiazdkowym prezentów.

— Tej samej średnicy co kadłuby rosyjskich SS-18.

— Coś koło tego — włączył się generał.

— A gdzie było drugie zwierciadło?

— Na wysokości dziesięciu tysięcy kilometrów, obecnie nad Wyspą Wniebowstąpienia.

Oficjalnie jest to satelita meteorologiczny, któremu nie udało się wejść na swoją orbitę — uśmiechnął się generał.

— Nie wiedziałem, że można je umieszczać tak wysoko. Major Gregory roześmiał się:

— My też nie wiedzieliśmy.

— A więc wypuściliście wiązkę stąd w kierunku zwierciadła na wahadłowcu, stamtąd w kierunku tego drugiego nad równikiem, a dalej — do celu?

— Tak właśnie — potwierdził generał.

— Rozumiem z tego, że system celowania znajduje się na satelicie?

— Tak. — W głosie generała wyczuwało się niechęć. Jack szybko przeprowadził w myśli kilka obliczeń.

— Oznacza to, że jesteście w stanie zlokalizować trzymetrowy cel z odległości dziesięciu tysięcy kilometrów. Nie wiedziałem, że potrafimy to zrobić. Jakim sposobem?

— Tego nie musi pan wiedzieć — chłodno odparł generał.

— Cztery razy trafiliście i cztery chybiliście — osiem strzałów w czasie poniżej dwóch sekund, a przecież pan major mówił, że system celowania dokonywał poprawek. Gdyby były to rakiety SS-18 wystrzelone w pobliżu Południowej Georgii, czy zostałyby unieszkodliwione?

— Prawdopodobnie nie — przyznał Gregory. — Zespół lasera wytwarza zaledwie pięć megadzuli. Wie pan, co to dżul?

— Zanim tu przyleciałem, zrobiłem sobie powtórkę z fizyki. Dżul to iloczyn niutona i metra, a megadżul to milion dżuli, tak? O ile rozumiem, to...

— Megadżul to odpowiednik mniej więcej laski dynamitu. A więc walnęliśmy ich pięć.

W efekcie przesłana energia równa się kilogramowi materiału wybuchowego, ale efekt fizyczny nie jest całkiem porównywalny.

— Twierdzi więc pan, że wiązka lasera nie przepala celu na wylot, raczej go uderza — i na tym właśnie wyczerpywała się już wiedza techniczna Ryana.

— Nazywamy to „trafieniem uderzeniowym” — odpowiedział generał. — Ale tak, z grubsza ma pan rację. Energia zostaje przesłana z prędkością światła, czyli znacznie szybciej niż jakikolwiek pocisk.

— A więc ta cała gadanina, którą słyszałem o polerowaniu kadłuba rakiety lub jej obracaniu dla zapobieżenia przepaleniu na wylot...

Major Gregory znowu się roześmiał:

— Lubię takie gadki. To tak, jakby baletnica kręciła piruety przed lufą karabinu. Nic jej to nie pomoże. Chodzi o to, że energia musi znaleźć swój cel, a tym celem jest właśnie korpus rakiety. Pełno w nim zbiorników, bo prawie wszystkie ich rakiety mają napęd na ciekłe paliwo, prawda? Efekt hydrostatyczny powoduje rozerwanie zbiorników ciśnieniowych. Puff — i po rakiecie. — Major uśmiechnął się, jakby opowiadał o psikusie sprawionym nauczycielowi w szkole.

— W porządku, chcę wiedzieć, jak to wszystko działa.

— Ależ... — zaczął generał, lecz Ryan mu przerwał.

— Panie generale, otrzymałem zezwolenie na zapoznanie się z KLIPREM

HERBACIANYM. Wie pan o tym, więc dość tych ogólników.

Generał skinął głową w kierunku majora, a ten zaczął:

— Mamy pięć laserów po jednym megadżulu każdy...

— Gdzie?

— Stoi pan właśnie na jednym z nich. Cztery pozostałe zainstalowane są w pobliżu tego wierzchołka. Oczywiście energia mierzona jest w impulsie. Każdy laser wytwarza ciąg impulsów o energii miliona dżuli w czasie kilku mikrosekund, to jest kilku milionowych sekundy.

— A ponownie ładują się w...?

— ...czterdzieści sześć tysięcznych sekundy. Inaczej mówiąc, możemy oddać dwadzieścia strzałów na sekundę.

— Przecież teraz nie strzelaliście z taką prędkością.

— Po prostu nie musieliśmy — odpowiedział Gregory. — Czynnikiem ograniczającym jest obecnie oprogramowanie celowania. Pracujemy nad tym. Dzisiejsza próba miała sprawdzić część tego oprogramowania. Wiemy, że te lasery pracują dobrze — mamy je tu od trzech lat.

Wiązki laserowe zbiegają się w zwierciadle znajdującym się pięćdziesiąt metrów stąd i tam skupiane są w pojedynczą wiązkę.

— Muszą być... chciałem powiedzieć, że te wiązki muszą być idealnie zgrane?

— Specjaliści nazywają to „układem laserowym ze sprzężeniem fazowym”. Wszystkie wiązki muszą być dokładnie w fazie — odparł Gregory.

— Jak to osiągacie? — zapytał Ryan i zawahał się. — Dobrze, proszę się nie trudzić i tak bym prawdopodobnie nie zrozumiał. A więc wiązka trafia na zwierciadło...

— Zwierciadło jest tu właśnie najważniejsze. Składa się z tysięcy segmentów, a każdy z nich sterowany jest elementem piezoelektrycznym. Nazywa się to „optyka adaptacyjna”.

Wysyłamy impuls kontrolny w kierunku zwierciadła, które tym razem było na wahadłowcu, i otrzymujemy dane o zniekształceniach atmosferycznych. Sposób, w jaki warstwa atmosfery zniekształca wiązkę, analizowany jest przez komputer. Zwierciadło uwzględnia poprawkę na zniekształcenia i wtedy dokonujemy strzału właściwego. Zwierciadło na promie kosmicznym ma także optykę adaptacyjną. Zbiera i ogniskuje wiązkę oraz wysyła ją do zwierciadła satelity

„Latający Obłok”, które skupia promień na celach. Pif-paf!

— I to wszystko? — Ryan pokręcił głową. W ciągu ostatnich dziewiętnastu lat wydano czterdzieści miliardów dolarów na badania podstawowe w dwudziestu różnych dziedzinach tylko po to, by przeprowadzić tę jedną próbę.

— Oczywiście było parę drobiazgów, które musieliśmy poprawiać — przyznał Gregory.

Te drobiazgi oznaczały kolejne pięć, sześć lat i dalsze miliardy dolarów, nawet nie wiedział ile i nie dbał o to. Liczyło się dla niego jedynie to, że cel był już w zasięgu ręki. Właśnie po dzisiejszej próbie KLIPER HERBACIANY przestał być tylko pomysłem na papierze.

— To pan jest tym facetem, który dokonał przełomu w systemach celowania, tym który wymyślił sposób otrzymywania informacji korygujących z wiązki kontrolnej?

— Coś w tym rodzaju — odpowiedział za Gregory'ego generał. — Panie doktorze, ta część systemu jest tak bardzo utajniona, że nie będziemy dalej rozmawiać, dopóki nie otrzyma pan zezwolenia na piśmie.

— Panie generale, celem mojego pobytu jest porównanie waszej działalności z podobnymi działaniami radzieckimi. Jeżeli pan chce, byśmy panu powiedzieli, co robią Rosjanie, musimy wiedzieć, u diabła, czego mam szukać!

Jego słowa nie wywołały żadnej reakcji. Jack wzruszył ramionami, sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i podał generałowi kopertę. Major Gregory popatrzył na nią ze zdumieniem.

— Nadal się to panu nie podoba? — dodał Ryan, gdy generał skończył czytać.

— To prawda.

Ryan przemówił głosem bardziej lodowatym, niż otaczająca ich noc:

— Panie generale, kiedy służyłem w piechocie morskiej, nigdy mnie nie uczono, że mają mi się podobać rozkazy. Wymagano jedynie, abym je wykonywał. — A widząc poruszenie generała dodał: — Naprawdę jestem po pańskiej stronie, generale.

— Proszę kontynuować, panie majorze — zwrócił się po chwili generał Parks do Gregory'ego.

— Nazwałem mój algorytm programu „Taniec z wachlarzem” — zaczął major. Generał mimo woli uśmiechnął się. Gregory był za młody, by słyszeć coś o Sally Rand.

— Czy to wszystko? — zapytał Ryan, gdy młodzieniec już skończył. Wiedział, że każdy

„komputerowiec” w KLIPRZE HERBACIANYM musiał zadać sobie to samo pytanie: Dlaczego sam na to nie wpadłem! Nic dziwnego, że Gregory uważany jest za geniusza. Dokonał

epokowego przełomu w technice laserowej w czasach uniwersyteckich, a teraz następnego w dziedzinie programowania. — Ależ to proste!

— Owszem, ale uruchomienie zajęło mi dwa lata. Potrzebny był do tego komputer typu Cray-2, żeby program działał z potrzebną prędkością. Nadal musimy nad tym pracować, ale po przeanalizowaniu dzisiejszych niedociągnięć, zajmie to nam nie więcej niż cztery do pięciu miesięcy.

— Co dalej?

— Budowa lasera o energii pięciu megadzuli. Inny zespół jest już prawie gotów. Potem połączymy dwadzieścia takich urządzeń i będziemy mogli wysyłać impuls stu megadzuli dwadzieścia razy na sekundę, trafiając nim w dowolny cel. Energia uderzenia będzie wówczas równa, powiedzmy... dwudziestu, trzydziestu kilogramom materiału wybuchowego.

— A to już może rozwalić dowolną raketę wykonaną przez kogokolwiek...

— Tak jest — potwierdził z uśmiechem major Gregory.

— Z tego, co mi pan powiedział, rozumiem, że ten cały KLIPER HERBACIANY naprawdę działa.

— Sprawdziliśmy poprawność architektury systemu — poprawił Ryana generał. —

Zaczęliśmy się do tego przymierzać już dawno temu. Przed pięciu laty mieliśmy do przeskoczenia jedenaście problemów technicznych, teraz zostały jeszcze trzy. Za pięć lat nie będzie już żadnego. I wtedy możemy rozpocząć budowę.

— Implikacje strategiczne... — zaczął Ryan i zamilkł. — O Boże!

— To zmieni świat — przyznał generał.

— Wiecie, że w Duszanbe bawią się w to samo?

— Tak jest — potwierdził major Gregory. — Może wiedzą coś, czego my jeszcze nie wiemy.

Ryan skinął głową. Gregory był na tyle inteligentny, żeby wiedzieć, że ktoś może być lepszy od niego. Co za facet!

— Panowie, w śmigłowcu jest moja teczka. Każcie przynieść ją tutaj. Mam w niej kilka zdjęć satelitarnych, które mogą was zainteresować.

— Kiedy zrobiono te zdjęcia? — zapytał generał w pięć minut później, przerzucając odbitki.

— Kilka dni temu — odpowiedział Jack.

Major Gregory wpatrywał się w nie przez dłuższą chwilę.

— No tak. Tu mamy dwie, trochę inne instalacje. Nazywa się to „układ rozproszony”.

Ten układ z sześcioma kolumnami to nadajnik. Budynek w środku zaprojektowano prawdopodobnie dla sześciu laserów. Kolumny są optycznie stabilnymi podstawami zwierciadeł.

Wiązki laserów wychodzą z budynku, odbijają się od zwierciadeł, a te sterowane komputerem, nakierowują wiązkę na cel.

— Co pan rozumie przez „optycznie stabilne”?

— Zwierciadła powinny być sterowane z bardzo dużą dokładnością — tłumaczył

Ryanowi Gregory. — Izolując je od gruntu eliminuje się także drgania, których przyczyną może być na przykład przechodzący człowiek lub przejeżdżający samochód. Jeżeli do luster dotrze minimalna

dawka drgań o ich częstotliwości rezonansowej, wszystkie starania na nic. My używamy resorowania dla podniesienia współczynnika izolacji. Tę metodę opracowano pierwotnie dla potrzeb okrętów podwodnych. No, a ten układ w kształcie rombu to... oczywiście, to odbiornik.

— Co? — Umysł Jacka znowu trafił na zaporę nie do pokonania.

— Przypuśćmy, że chce pan wykonać naprawdę dobre zdjęcie czegoś. Mówię —
naprawdę dobre. Użyje pan wtedy lasera jako światła stroboskopowego.

— Ale po co cztery lustra?

— Łatwiej i taniej jest wykonać cztery małe lustra niż jedno duże — wyjaśnił Gregory.

— Taak. Ciekaw jestem, czy próbują zrobić obraz holograficzny. Gdyby potrafili zsynchronizować fazy wiązek oświetlających... teoretycznie jest to możliwe. Chociaż jest parę rzeczy, które to utrudniają, ale Rosjanie lubią brać byka za rogi... Do diaska! — Jego oczy rozblęły. — To cholernie ciekawy pomysł! Będę musiał się nad tym zastanowić.

— Czy chce mi pan powiedzieć, że wybudowali to wszystko po to, by fotografować nasze satelity?
— zapytał Jack.

— Nie, proszę pana. Oczywiście tak też mogą to wykorzystywać. Świetna przykrywka.

Ale system, który zobrazuje satelitę na orbicie geosynchronicznej, jest w stanie stracić takiego

„ptaszka” z orbity niskiej. Jeżeli założymy, że te cztery zwierciadła tworzą teleskop, to pamiętajmy też, że może to być zarówno teleobiektyw aparatu fotograficznego, jak i celownik optyczny karabinu. To może być cholernie efektywny system celowniczy. Ile energii elektrycznej dochodzi do tych budynków?

— Obecnie moc tej elektrowni wynosi około pięciuset megawatów. Ale...

— Ciągną nowe linie przesyłowe — przerwał mu Gregory. — Dlaczego?

— Siłownia ma dwa poziomy, czego nie widać na tym ujęciu. Wygląda na to, że uruchamiają część górną. Da to łącznie wysyłaną moc rzędu tysiąca stu megawatów.

— Ile przesyłają do tego miejsca?

— Nazywamy je „Bach”. Około stu megawatów, a reszta idzie na „Mozarta”, do tego osiedla wybudowanego na sąsiednim wierzchołku. Podwajają więc ilość energii.

— To coś więcej — zauważył Gregory. — Jeżeli nie podwajają wielkości osiedla, czemuż by nie przyjąć, że nadwyżka energii idzie właśnie do laserów?

Jacka niemal zatkąło. Dlaczego, u diabła, nie pomyślałeś o tym! — sklął siebie w duchu.

— To znaczy — ciągnął Gregory — to znaczy... jakieś pięćset megawatów dodatkowej mocy. O rany, a jeżeli im się udało? Czy bardzo trudno sprawdzić, co się tam dzieje?

— Proszę spojrzeć na fotografie i powiedzieć, czy łatwo się tam dostać — zaproponował

Ryan.

— No, tak — Gregory oderwał wzrok od zdjęć. — Dobrze byłoby wiedzieć, jaką moc mają na wyjściu te ich urządzenia. Od jak dawna to stoi?

— Jakieś cztery lata, ale jeszcze nie skończyli. „Mozart” jest nowy. Do niedawna pracowników kwaterowano w tym budynku koszarowym oraz w budynku pomocniczym.

Zauważyliśmy, że budynek mieszkalny postawiono w tym samym czasie co ogrodzenie. Kiedy Rosjanie zaczynają rozpieszczać swoich pracowników oznacza to, że prace są naprawdę ważne.

A skoro są też ogrodzenia i wieże strażnicze, wiemy, że to sprawa wojska.

— Jak wykryliście to miejsce? — zapytał Gregory.

— Przez przypadek. Agencja weryfikowała własne dane meteorologiczne dotyczące Związku Radzieckiego. Jeden z techników postanowił przeprowadzić komputerową analizę miejsc najbardziej nadających się do tego typu obserwacji. To jest właśnie jedno z takich miejsc.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy niebo było bardzo zachmurzone, ale zwykle jest tak pogodnie, jak to widać na zdjęciach. To samo dotyczy Sary-Szagan, Semi-pałatyńska... i jeszcze jednego

— Storożewaja. — Mówiąc to Ryan wykladał kolejne zdjęcia. Gregory przyjrzał się im uważnie.

— Rzeczywiście bardzo się uwijają — powiedział.

— Dzień dobry, Misza — przywitał Filitowa marszałek Związku Radzieckiego, Dymitr Timofiejewicz Jazow.

— Dzień dobry, towarzyszu ministrze — odpowiedział pułkownik. Sierżant pomógł

ministrowi zdjąć płaszcz, inny wniósł tacę z zastawą do herbaty. Obaj wyszli, gdy tylko Misza otworzył swoją teczkę.

— No i jak tam wygląda mój rozkład dnia? — zapytał Jazow nalewając herbatę do dwóch filiżanek. Na zewnątrz budynku Rady Ministrów było jeszcze ciemno. Wewnętrzna strona kremłowskiego muru zalana była ostrym białoniebieskim światłem reflektorów, a w snopach światła pojawiali się i znikali wartownicy.

— Bardzo wypełniony, Dymitrze Timofiejewiczu — odpowiedział Misza. Jazow nie był

takim człowiekiem jak Dymitr Ustinow, ale Filitow musiał przyznać, że pracował od rana do wieczora, jak przystało na oficera. Podobnie jak Filitow, marszałek Jazow był także pancernikiem. Chociaż w czasie wojny nigdy się nie spotkali, wiedzieli o sobie dzięki sławie, jaką obaj zyskali. Misza zasłynął jako dowódca na polu walki. Formaliści twierdzili, że w głębi serca był on starej daty kawalerzystą, mimo że serdecznie nie znosił koni. Jazow natomiast zdobył reputację błyskotliwego oficera sztabowego, organizatora — no i oczywiście członka partii. Był przede wszystkim człowiekiem partii, inaczej nigdy nie doszedłby do stopnia marszałka. — Przyjeżdża delegacja z placówki eksperymentalnej w Tadżyckiej SRR.

— Ach, ci z JASNEJ GWIAZDY. Dzisiaj miałem otrzymać ten raport, zgadza się?

— Naukowcy — prychnął Misza. — Jakbym im przyłożył po tyłkach, to by wiedzieli, co znaczy prawdziwa broń.

— Czasy lanc i szabel już minęły, Michaile Siemionowiczu — powiedział z uśmiechem Jazow. Nie był wprawdzie tak błyskotliwy jak Ustinow, ale też i nie tak głupi, jak jego poprzednik Siergiej Sokołow. Swój brak doświadczenia technicznego równoważył

niesamowitym wyczuciem zalet nowych systemów uzbrojenia i rzadko spotykanym zrozumieniem kadry Armii Radzieckiej. — Wynalazki takie mają nadzwyczajną przyszłość.

— Oczywiście, wolałbym tylko, żeby tymi pracami kierował prawdziwy żołnierz, nie jacyś nawiedzeni profesorowie.

— Ale generał Pokryszkin...

— To pilot myśliwski, a ja mówiłem o żołnierzu, towarzyszu ministrze. Piloci lubią wszystko, co ma dużo wskaźników i przycisków. Poza tym Pokryszkin spędził ostatnio więcej czasu na uczelniach niż w samolocie. Nawet nie pozwalają mu już samodzielnie latać. Przestał

być żołnierzem dziesięć lat temu. Teraz tylko załatwia sprawy dla tych magików. — A jednocześnie buduje tam swoje małe królestwo, ale ten temat zachowamy na inny dzień —

dokończył w duchu Filitow.

— Chcesz dostać nowy przydział, Misza? — zapytał chytrze Jazow.

— Ale nie tam! — Filitow roześmiał się, po chwili jednak spoważniał. — Chodzi mi o to, Dymitrze Timofiejewiczu, że oceny postępu prac, które dostajemy z GWIAZDY są... jakby tu powiedzieć... wypaczone przez fakt, że brak tam prawdziwego wojskowego. Kogoś, kto wie, czym jest broń.

Minister obrony pokiwał z namysłem głową.

— Tak, teraz cię rozumiem. Tamci myślą w kategoriach „instrumentów”, a nie „broni”, to prawda. Złożoność tych prac mnie niepokoi.

— Ile części ruchomych ma ten układ?

— Nie wiem, chyba tysiące.

— Urządzenie nie stanie się bronią, dopóki zwykły żołnierz, choćby porucznik, nie będzie się mógł nim pewnie posługiwać. Czy ktoś spoza ich grona dokonał oceny niezawodności? —

zapytał Filitow.

— Nie, o ile pamiętam.

Filitow podniósł filiżankę. — No właśnie, Dymitrze Timofiejewiczu. Czy nie uważacie, że Biuro Polityczne będzie się tym interesować? Do tej pory byli oczywiście skłonni finansować prace eksperymentalne, ale... — Filitow wypił łyk herbaty — ...ci z GWIAZDY przyjeżdżają tu po fundusze na rozbudowę laboratoriów do stanu operacyjnego, a my nie mamy żadnej obiektywnej oceny tych prac.

— Jak według ciebie możemy taką ocenę uzyskać?

— Oczywiście ja tego nie potrafię. Jestem za stary i nie dość wykształcony, ale w ministerstwie jest paru inteligentnych, młodych oficerów, szczególnie w pionie wojsk łączności.

Ściśle mówiąc, nie są to żołnierze pierwszoliniowi, ale jednak wojskowi i na tyle kompetentni, by przyrzeć się tym elektronicznym cudówkom. To tylko moja propozycja. — Filitow nie naciskał.

Rzucił ziarno pomysłu. Jazowem łatwiej było manipulować niż Ustinowem.

— A co ze sprawami czelabińskiej fabryki czołgów? — Jazow zmienił temat.

Z odległości prawie kilometra Ortiz patrzył, jak Łucznik wspina się pod górę. Dwóch ludzi i dwa wielbłądy. Nikt ich nie weźmie za oddział partyzancki, za jaki uchodziłaby dwudziestoosobowa grupa. Ortiz wiedział, że nie to jest najważniejsze, ale Rosjanie zostali doprowadzeni do takiego stanu, iż atakowali wszystko co tylko się poruszało. Vaya con Dios.

— Napiłbym się piwa — powiedział kapitan.

Ortiz obrócił się. — Panie kapitanie, tylko to że zachowuję się tak jak ci ludzie, pozwala mi skutecznie z nimi współdziałać. Przestrzegam ich praw, respektuję ich obyczaje, a to oznacza: żadnej gorzały, żadnej wieprzowiny, żadnych podchodów do ich kobiet.

— O, kurwa — parsknął kapitan. — Te ciemne dzikusy... — ale Ortiz mu przerwał.

— Kapitanie, jeżeli raz jeszcze usłyszę, że pan tak mówi czy choćby głośno myśli, będzie to pański

ostatni dzień tutaj. Ci ludzie pracują dla nas. Dostarczają nam rzeczy, których nie możemy zdobyć nigdzie indziej. Dlatego ma pan ich traktować z szacunkiem, powtarzam, z szacunkiem, na który zasługują. Czy to jasne?

— Tak jest — odpowiedział kapitan i pomyślał: Chryste, ten facet sam zmienił się w takiego śmierdziela jak oni.

Znużony lis

— To robi wrażenie — pod warunkiem, że rozumie się, co oni tam robią — Jack ziewnął.

Wrócił z Los Alamos do Waszyngtonu wojskowym samolotem i znów był niewyspany. Mimo że odbył już tyle takich podróży, nie nauczył się jeszcze, jak sobie z tym radzić. — Ten Gregory to łośki facet. Rozpracowanie instalacji na „Bachu” zajęło mu dwie sekundy, a to, co powiedział, pokrywało się prawie słowo w słowo ze sprawozdaniem Krajowego Centrum Rozpoznania Fotograficznego. — Różnica polegała na tym, że analitycy z KCRF potrzebowali czterech miesięcy i trzech raportów na piśmie, by dojść do właściwych wniosków.

— Uważasz, że powinien być w zespole analitycznym?

— To tak, jakby pan pytał, czy na sali operacyjnej powinien być chirurg. A przy okazji: chciał, żebyśmy umieścili kogoś w „Bachu” — powiedział Jack, patrząc w sufit.

Admirał Greer o mało nie upuścił kubka: — Ten dzieciuch naoglądał się filmów z komandosami!

— Miło wiedzieć, że ktoś w nas jednak wierzy — zachichotał Jack, ale po chwili ciągnął

poważnie: — W każdym razie Gregory chce wiedzieć, czy dokonali jakiegoś przełomu w mocy

„na wyjściu” lasera... przepraszam, ostatnio mówi się „na przejściu”. Podejrzewa, że większość nowo uzyskanej mocy z hydroelektrowni popłynie na „Bacha”.

Oczy Greera zwęziły się: — To fatalnie. Czy według ciebie ma rację?

— Rosjanie mają mnóstwo specjalistów od laserów. Proszę pamiętać, że Nikołaj Basow dostał Nobla. Od dawna zajmuje się badaniami nad bronią laserową wraz z Jewgienijem Wielichowem, znanym pacyfistą. Z kolei szefem Instytutu Laserów jest syn Dymitrija Ustinowa.

„Bach” to niemal z pewnością laser w układzie rozproszonym. Musimy jednak wiedzieć, jaki to rodzaj lasera: gazodynamiczny, chemiczny, czy może na swobodnych elektronach. Według niego to ten ostatni, ale to tylko przypuszczenie. Podał mi dane wskazujące na zalety umieszczenia zespołu

laserowego na tej górze, gdzie powietrze jest silnie rozrzedzone. Wiemy też, ile potrzeba im mocy, żeby mogli spełnić swoje zamierzenia. Na tej podstawie chce policzyć, jaka w przybliżeniu jest ogólna moc systemu. Dane te będą raczej zaniżone. Z tego, co powiedział

Gregory, oraz z faktu wybudowania zespołu mieszkalnego na „Mozarcie” należy sądzić, że ośrodek będzie gotowy do rozpoczęcia prób z laserami w niedalekiej przyszłości, mniej więcej za jakieś dwa, trzy lata. Jeżeli tak, to Ruscy wkrótce zmontują laser, którym będą mogli zdmuchnąć każdego naszego satelitę. Nie będzie rozbijał go, tylko „przypali”, jak mówił major, kamery i panele baterii słonecznych. Ale następny krok...

— Jasne. Wyścig się zaczął.

— Czy są jakieś szanse na to, by Ritter i jego ludzie z Operacyjnego mogli coś wywąchać na „Bachu”?

— Myślę, że rozważymy taką możliwość — powiedział niezdecydowanie Greer i zmienił temat. — Wyglądasz na trochę wymiętego.

Jack zrozumiał: nie musi wiedzieć, co zamierza Zarząd Operacyjny. Mógł teraz mówić jak zwykły człowiek. — Całe to podróżowanie było dość męczące. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, resztę dnia chciałbym już mieć wolną.

— W porządku, zobaczymy się jutro. Aha, jeszcze coś, Jack. Był telefon w twojej sprawie z Komisji Nadzoru Giełdowego.

— Ach tak — Jack kiwnął głową — całkiem o tym zapomniałem. Do mnie dzwoniли tuż przed odlotem do Moskwy.

— O co idzie?

— Mam akcje pewnej firmy, której urzędnikom zarzuca się spekulacje giełdowe.

Kupiłem je dokładnie wtedy, kiedy i oni. KNG chce wiedzieć, dlaczego zrobiłem to właśnie wtedy.

— No i...? — zapytał admirał. CIA miała już za sobą dość skandali i Greer nie życzył sobie żadnego w czasie, kiedy to on pełnił urząd.

— Dostałem cynk, że to ciekawa firma. Kiedy sprawdziłem, okazało się, że wykupują własne akcje. Jak oni kupują, to ja też. Wszystko legalnie, szefie. Mam to zarejestrowane. Robię to przez komputer, to znaczy, od kiedy tu pracuję, już nie robię, ale mam wszystko na twardym dysku. Nie złamałem żadnych przepisów, sir, i mogę to udowodnić.

— Postaraj się zamknąć tę sprawę w ciągu kilku najbliższych dni — podsunął Greer.

— Tak jest, panie admirale.

W pięć minut później Jack siedział już w samochodzie. Jazda do domu na Peregrine Cliff była łatwiejsza niż zwykle — trwała zaledwie pięćdziesiąt minut zamiast siedemdziesięciu pięciu, jak to bywało zazwyczaj. Cathy była w pracy, Sally w szkole, a Jack w przedszkolu. Ryan nalał sobie w kuchni szklankę mleka, wypił, a potem wszedł po schodach na górę, zrzucił buty i zwałił się na łóżko, nawet nie ściągnąwszy spodni.

Pułkownik wojsk łączności Giennadij Josifowicz Bondarienko siedział naprzeciw Miszy wyprostowany i dumny, jak przystało na wyższego oficera w tak młodym wieku. Nie robił

wrażenia, by w najmniejszym choć stopniu onieśmiałała go osoba pułkownika Filitowa, który miał przecież dość lat, by być jego ojcem, ponadto zaś stanowił swoistą legendę w Ministerstwie Obrony. A więc to jest ten weteran — pomyślał Bondarienko — prawie wszystkich bitew pancernych pierwszych dwóch lat Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. W jego oczach dostrzegł upór, którego nie zdołały zatrzeć ani wiek, ani zmęczenie. Spostrzegł także niesprawność ręki pułkownika i przypomniał sobie, jak do tego doszło. Chodziły słuchy, że stary Misza nadal jeździ z kilkoma wiarusami ze swego pułku do fabryk czołgów zarówno po to, by osobiście sprawdzić jakość produkowanego sprzętu, jak i po to, by w strzelaniu z czołgowego działka sprawdzić precyzję swych bezwzględnych, niebieskich oczu. Kariera tego człowieka napełniała Bondarienkę pełnym podziwu szacunkiem. Bardziej niż kiedykolwiek dumny był z tego, że też nosi mundur.

— Czym mogę służyć towarzyszu pułkownikowi? — zapytał.

— Z waszych akt wynika, że macie smykałkę do elektroniki, Giennadiju Josifowiczu. —

Filitow wskazał teczkę leżącą na biurku.

— To moje zajęcie, towarzyszu pułkowniku. — Bondarienko miał więcej niż

„smykałkę”, o czym obaj dobrze wiedzieli. Brał udział w pracach nad dalmierzami laserowymi dla wojska, a od niedawna uczestniczył w badaniach nad zastosowaniem łącz laserowych zamiast radiowych w zabezpieczonej przed zakłóceniami łączności na linii frontu.

— To, o czym będziemy teraz mówić, jest ściśle tajne. — Młody pułkownik poważnie skinął głową i Filitow ciągnął: — Od kilku lat ministerstwo finansuje specjalny program badań nad laserami, noszący nazwę „Jasna Gwiazda”. Oczywiście nazwa też jest tajna. Głównym celem badań jest wykonanie wysokiej jakości fotografii sputników zachodnich, a w dalszej fazie —

oślepienie ich, jeżeli działanie takie będzie konieczne z przyczyn politycznych. Badania prowadzone są przez naukowców pod dowództwem byłego pilota myśliwskiego z Wojsk OP, bo tego rodzaju sprzęt podlega, niestety, wojskom obrony powietrznej. Osobiście wolałbym, żeby kierował tym wszystkim prawdziwy żołnierz, ale... — Misza zamilkł i wskazał palcem na sufit.

Bondarienko uśmiechnął się ze zrozumieniem. Polityka — powiedzieli sobie bez słów — a więc nic

dziwnego, że niczego nie można załatwić.

— Minister chce, żebyście tam polecieeli i ocenili możliwość zastosowania tych urządzeń do celów wojskowych, szczególnie pod kątem niezawodności ich działania. Jeżeli ośrodek ten ma osiągnąć zdolność operacyjną, dobrze byłoby wiedzieć, czy to cholerstwo będzie działało wtedy, gdy będzie nam potrzebne.

Młody pułkownik potakiwał głową z namysłem, podczas gdy w myślach popuścił już cugle fantazji. To wspaniałe zadanie, może nawet więcej niż wspaniałe. Raport przedłoży samemu ministrowi za pośrednictwem jego najbardziej zaufanego doradcy. Jeżeli mu się powiedzie, będzie miał w aktach rekomendację ministra, a to oznacza generalskie gwiazdki, większe mieszkanie dla rodziny, dobre wykształcenie dzieci, i wiele różnych rzeczy, na które przez tyle lat pracował.

— Przypuszczam, towarzyszu pułkowniku, że już wiedzą o moim przyjeździe?

Misza zaśmiał się drwiąco:

— Czy tak to się teraz robi w Armii Czerwonej? Zawiadamiać o inspekcji? Nie, Giennadiju Josifowiczu, jeżeli mamy ocenić niezawodność, musimy to zrobić przez zaskoczenie.

Macie tu pismo samego marszałka Jazowa. Wystarczy, by ochrona was przepuściła. Zajmują się nią nasi koledzy z KGB — dodał chłodno. — Macie wolny wstęp do wszystkich pomieszczeń.

Gdyby były jakiegokolwiek trudności, dzwońcie natychmiast do mnie. Zawsze jestem uchwytany pod tym numerem. Nawet jeżeli będę w łaźni, przyjedzie po mnie kierowca i przywiezie tutaj.

— Czy ma to być szczegółowy raport, towarzyszu pułkowniku?

— Na tyle szczegółowy, by taki stary, znużony czołgista jak ja mógł zrozumieć na czym polega całe to ich czarowanie — powiedział Misza. — Myślicie, że będziecie potrafili to wszystko zrozumieć?

— Jeżeli nie zrozumieję, towarzyszu pułkowniku, powiadomię was o tym.

Bardzo dobra odpowiedź — zapamiętał Misza. Bondarienko wysoko zajdzie. Potem głośno powiedział:

— Świetnie, Giennadiju Josifowiczu. Wolę, kiedy oficer mówi mi czego nie wie, niż kiedy próbuje mydlić mi oczy. — Bondarienko zrozumiał aluzję. Mówiono, że dywan w gabinecie Filitowa jest rdzawoczerwony od krwi oficerów, którzy próbowali go przechytrzyć opowiadając mu jakieś bzdury. — Kiedy możecie wyjechać?

— A czy to duży obiekt?

— Tak. Zamieszkuje tam czterystu naukowców i inżynierów oraz około sześciuset osób personelu pomocniczego. Przygotowanie raportu może wam zająć do tygodnia. Szybkość jest w tym wypadku

mniej ważna niż dokładność.

— Wobec tego będę musiał zapakować jeszcze jeden mundur. Mogę wyruszyć za dwie godziny.

— Świetnie. No to w drogę — rzucił Misza i sięgnął po teczkę z kolejną sprawą.

Jak to było w zwyczaju, Misza pracował o parę minut dłużej niż minister. Własne dokumenty zamknął w szafie pancерnej. Pozostałe kazał zanieść do Archiwum Głównego znajdującego się kilka metrów od jego gabinetu. Potem przyniesiono mu notatkę z informacją, że pułkownik Bondarienko wyleciał samolotem rejsowym Aeroflotu do Duszanbe o 17.30 oraz że transport lądowy z lotniska cywilnego do JASNEJ GWIAZDY jest załatwiony. Filitow odnotował w pamięci, by po powrocie Bondarienki pogratulować mu przebiegłości. Jako oficer Głównego Inspektoratu Ministerstwa Obrony mógł zażądać specjalnego przewozu i polecieć bezpośrednio na lotnisko wojskowe w Duszanbe, jednak służba ochrony JASNEJ GWIAZDY

bez wątpienia miała tam swoich ludzi, którzy powiadamiali o tego rodzaju przylotach. A tak pułkownika z Moskwy można było, przez pomyłkę, potraktować jak gońca, pułkownicy w Moskwie zazwyczaj bowiem nimi bywają. Filitow uważał to za obraźliwe. Człowiek, który ciężką służbą zdobył stanowisko dowódcy pułku, w gruncie rzeczy najlepsze stanowisko w każdej armii, nie powinien być sztabowym niewolnikiem usługującym swemu generałowi. Ale wiedział też, że podobnie działo się w każdym sztabie. Przynajmniej Bondarienko będzie miał

szansę dopieć tym dekonnikom w Tadżykistanie.

Wstał i sięgnął po płaszcz. W chwilę później wyszedł z gabinetu, a jego sekretarz, chorąży, niemal odruchowo zadzwonił na dół, by podstawiono samochód. Auto czekało już, gdy Misza ukazał się w drzwiach wyjściowych.

Czterdzieści minut później Filitow siedział w wygodnym stroju domowym. Telewizja nadawała coś tak bezmyślnego, że można to było bez obaw sprowadzić z Zachodu. Na kuchennym stole, obok wieczornego posiłku, stała otwarta półlitrowka wódki. Misza jadł

kielbasę, czarny chleb i kiszane ogórki. Prawie to samo, co jadał ze swoimi żołnierzami w polu, a było to dwa pokolenia temu. Przekonał się, że jego żołądek łatwiej sobie radzi z takim prostym jedzeniem niż z wymyślnymi potrawami. Zdumiewało to personel szpitala, do którego trafił

niedawno z powodu zapalenia płuc. Teraz co dwa kęsy wypijał łyk wódki i patrzył przez okno, w którym żaluzje opuszczone były tylko do pewnej wysokości. Miejskim światłom Moskwy towarzyszyły tysiące żółtych prostokątów rozświetlonych okien.

Umiał bez trudu przypominać sobie różne zapachy. Świeży zapach dobrej, rosyjskiej ziemi, delikatna, zielonkawa woń trawy na łąkach, zaduch oleju napędowego, a przede wszystkim ostre wyziewy prochu z czołgowego działa, które wgryzały się w kombinezon i za nic nie dawały się wyprać. Dla czołgisry to właśnie była woń bitwy, to wraz z ostrym dymem płonących czołgów i fetorem palących

się załóg. Znów sięgnął po kielbasę, odciął kawałek i na końcu noża podniósł do ust. Patrzył w okno, lecz niczym na ekranie telewizora, widział horyzont oświetlony promieniami zachodzącego słońca i słupy dymu unoszące się nad odległymi zieleniami i błękitami, czerwieniami i brązami. Teraz kęs czarnego, dobrze wypieczonego chleba.

I jak zawsze w noc poprzedzającą zdradę, nawiedziły go duchy.

— Aleśmy im pokazali, towarzyszu kapitanie, no nie? — mówi jakiś zmęczony głos.

— Musieliśmy się wycofać, kapralu — słyszy własne słowa. — Ale rzeczywiście pokazaliśmy tym sukinsynom, że z naszymi T-34 igrać nie można. Dobry chleb ukradliście.

— Ukradłem? Ależ towarzyszu kapitanie, obrona tych wieśniaków to ciężka robota, prawda?

— A nie suszyło was przy tym? — to znowu Misza-kapitan.

— W rzeczy samej, kapitanie. — Kapral śmieje się, wyciąga zza pleców butelczynę. To nie państwowa-monopolowa, to samogon, który Misza dobrze zna. Każdy prawdziwy Rosjanin twierdzi, że samogon smakuje najlepiej, ale żaden po niego nie sięga, jeżeli jest obok normalna wódka. W każdym razie, w owej chwili samogon to napój, którego mu trzeba właśnie tam, na rosyjskiej ziemi, gdy waruje z resztkami swej kompanii czołgów między zabudowaniami sowchozu a pierwszymi oddziałami pancерnej lawiny Guderiana.

— Jutro rano znowu ruszą — trzeźwo zauważa kierowca-mechanik.

— I znowu będziemy rozwalać te ich szaropopielate czołgi — mówi ładowniczy.

Po czym — myśli sobie Misza — wycofamy się o następne dziesięć kilometrów. Tylko dziesięć, jeżeli będziemy mieli szczęście i jeżeli sztabowi pułku uda się zapanować nad sytuacją lepiej niż dzisiejszego popołudnia. Tak czy inaczej, jutro o zachodzie słońca sowchoz będzie już w rękach Niemców. Wciąż ustępujemy.

— Nie ma się co nad tym zastanawiać. — Misza wyciera dokładnie ręce i rozpiną kieszeń munduru. Czas najwyższy podnieść się na duchu.

— Ale kruszyna — mówi kapral, po raz setny patrząc swemu kapitanowi przez ramię na wyciągnięte z kieszeni zdjęcie, i jak zawsze z zazdrością. — Delikatna jak kryształ. A jakiego macie wspaniałego syna. To szczęście, towarzyszu kapitanie, że tak podobny do matki. Wasza żona taka drobna... jak też bez kłopotów udało jej się urodzić tego dużego chłopaka?

— Bóg raczy wiedzieć — odpowiada machinalnie. To ciekawe, ale już po kilku dniach wojny nawet zatwardziały ateista wzywał imienia boskiego. Nawet niektórzy komisarze, ku niemej uciechu żołnierzy.

— Wrócę do ciebie — obiecuje Misza fotografii — na pewno wrócę. Przejdę przez całą armię

niemiecką, przez wszystkie ognie piekielne, wrócę do ciebie, Eleno.

Właśnie przynoszą pocztę, co jest raczej rzadkie na linii frontu. Tylko jeden list, do kapitana Filitowa, ale rodzaj papieru i delikatny charakter pisma mówią mu, jak ważne to posłanie. Rozcina kopertę błyszczącym ostrzem noża szturmowego, wyciąga kartkę tak ostrożnie, jak mu pozwala pośpiech, byle nie pobrudzić czołgowym smarem słów ukochanej. W chwilę później podrywa się na równe nogi i krzyczy ku gwiazdom zmierzchającego nieba:

— Na wiosnę znowu będę ojcem!

To chyba ostatniej nocy urlopu, na trzy tygodnie przed początkiem tego piekła...

— Wcale mnie to nie dziwi — beztrąsko mówi kapral — po tym, jak żeśmy dziś szwabom przypieprzyli. Oto dowódca! Może nasz kapitan będzie robił za rozplodowca...

— Jesteście niekulturalny, kapralu Romanów. Mam żonę.

— To może ja... zamiast towarzysza kapitana...? — pyta kapral i znowu podaje butelkę.

— Za jeszcze jednego wspaniałego syna, kapitanie, i za zdrowie waszej pięknej żony.

W oczach młodego człowieka widać łązy radości, ale też smutek, wie bowiem, że tylko najwyższa łaskawość losu mogłaby sprawić, by sam kiedykolwiek został ojcem. Nigdy jednak nie wypowie tego na głos. Świetny żołnierz ten Romanow, wspaniały towarzysz, może już dowodzić własnym czołgiem.

Romanow dostał w końcu czołg — wspominał Misza, spoglądając na nocne światła Moskwy. Pod Wiaźmą nie zawahał się wjechać swoją maszyną między uszkodzony T-34 swego kapitana a nacierającego niemieckiego Tygrysa, ratując życie kapitanowi, lecz tracąc własne w pomarańczowoczerwonych płomieniach. Owego dnia Aleksiej Iljicz Romanow, kapral Armii Czerwonej, otrzymał Order Czerwonego Sztandaru. Misza wątpił, czy mogło to wynagrodzić matce stratę jej piegowatego, niebieskookiego syna.

W butelce zostało jeszcze trochę wódki, a Misza siedząc samotnie przy stole szlochał, jak się to już nieraz zdarzało.

Tyle śmierci.

Ci głupcy z Naczelnego Dowództwa! Romanow zabity pod Wiaźmą, Iwanienko pod Moskwą. W okolicach Charkowa poległ porucznik Abaszyn: Mirka, przystojny młody poeta. Ten szczupły, wrażliwy, młody oficer o lwim sercu zginął prowadząc piąty z kolei kontratak, który umożliwił Miszy wycofanie za Doniec resztek pułku, tuż przed morderczym uderzeniem wroga.

I jego Elena, ostatnia ofiara... wszyscy oni zabici nie przez obcego najeźdźcę, lecz przez zbrodniczą, obojętną bezduszość własnej ojczyzny.

Misza po raz ostatni pociągnął z butelki. Nie, to nie ojczyzna winna, nie Rodina, nigdy nie Rodina. To przez tych nieludzkich skurwysynów, którzy...

Wstał i zataczając się ruszył do sypialni. W pokoju zostało zapalone światło. Zegarek na nocnym stoliku wskazywał za kwadrans dziesiątą, i gdzieś w głębi mózgu Misza znalazł ulgę na myśl, że ma przed sobą dziewięć godzin snu, by wyleczyć się ze skutków nałogu, którym niszczył szczupłe i silne niegdyś ciało, bez szwanku wychodzące ze straszliwych trudów nie kończących się bojów. Ale przy napięciu, w jakim Misza żył teraz, czas bitwy wydawał się wakacjami. W podświadomości cieszył się jednak, że wkrótce się to skończy i nadejdzie wreszcie odpoczynek.

W pół godziny później ulicą przejechał samochód. Siedziała w nim kobieta, odwożąca do domu syna z meczu hokejowego. Spojrzała w górę i zauważyła, że w pewnych oknach paliły się światła, i żaluzje nie są całkiem spuszczone.

Powietrze było rozrzedzone. Bondarienko wstał jak zawsze punktualnie o piątej i z dziesiątego piętra, na którym znajdował się jego pokój, zjechał windą na parter. Dopiero po chwili zaskoczyło go to, że o tej porze działa.

A więc technicy przyjeżdżali i wyjeżdżali do pracy przez całą dobę. Dobrze — pomyślał.

Wyszedł na zewnątrz, owinał szyję ręcznikiem i spojrzał na zegarek. Skrzywił się nieco: w Moskwie miał stałą trasę, szlak wymierzony dookoła bloków, a tu nie był pewny odległości, nie wiedział, gdzie kończy się jego pięć kilometrów. No trudno — wzruszył ramionami — to było do przewidzenia. Pobiegł w kierunku wschodnim. Widok, jaki zobaczył, zapierał dech w piersiach. Wkrótce miało wzejść słońce, wcześniej niż w Moskwie, bo znajdował się na innej szerokości geograficznej. Postrzępione wierzchołki gór w czerwonej otoczce wyglądały jak zęby smoka. Uśmiechnął się: najmłodszy syn lubi rysować smoki.

Sam lot tutaj był równie widowiskowy. Księżyc w pełni oświetlał równiny pustyni Kara-kum, nad którą przelatywali. A potem te piaszczyste nieużytki jakby zatrzymały się przed murem zbudowanym przez bogów. Na przestrzeni trzech stopni długości geograficznej trzystumetrowy płaskowyż zmieniał się w pięcioletnie szczyty. Widział z samolotu łunę światła Duszanbe, jakieś siedemdziesiąt kilometrów na północny zachód. Dwie rzeki, Kafirnigan i Surchandarja, otaczały miasto liczące pół miliona mieszkańców. Pułkownik Bondarienko, jak każdy na jego miejscu, zastanawiał się, dlaczego powstało właśnie tu, co takiego kazało ludziom jeszcze w starożytności założyć miasto między dwiema rzekami spływającymi z gór. Miejsce wyglądało na niezbyt gościnne, ale być może dawno temu odpoczywały tutaj długie karawany dwugarbnych wielbłądów, a może było to skrzyżowanie szlaków, czy też... — Bondarienko otrząsnął się z fantazji. Wiedział, że w ten sposób odsuwa poranne ćwiczenia. Zawiązał na twarzy maskę chirurgiczną, chroniąc w ten sposób usta i nos przed lodowato zimnym powietrzem. Najpierw głębokie skłony dla rozluźnienia mięśni, potem przy ścianie budynku ćwiczenia rozciągające mięśnie nóg, wreszcie bieg lekkim, wydłużonym krokiem.

Natychmiast poczuł, że przez płócienną maskę na twarzy oddycha ciężiej niż zazwyczaj.

Oczywiście, to przez wysokość. Trzeba będzie skrócić bieganie. Blok mieszkalny pozostał za nim. Bondarienko spojrział w prawo, przebiegając koło czegoś, co na jego planie ośrodka oznaczone było jako warsztaty mechaniczne i optyczne.

— Stój! — zawołał ktoś nagle.

Bondarienko zamruczał pod nosem. Nie lubił, gdy mu przerywano ćwiczenia, szczególnie, kiedy sprawcą był, jak zobaczył, ktoś z zielonymi naramiennikami KGB. Szpiedzy bawią się w żołnierzy. Ciekawe, czy byłby takim służbistą w Afganistanie.

— O co chodzi, sierżancie?

— Pokażcie, towarzyszu, wasze dokumenty. Nie znam was.

Na szczęście żona Bondarienki naszyła kilka kieszeni na dres Nike, który kupiła mu na moskiewskim bazarze jako prezent na ostatnie urodziny. Podskakując lekko w miejscu Bondarienko podał legitymację.

— Kiedy przyjechaliście, towarzyszu pułkowniku? — zapytał sierżant. — I co wy tu właściwie robicie o tak wczesnej porze?

— Gdzie jest wasz oficer? — przeciął sucho Bondarienko.

— W wartowni głównej, jakieś czterysta metrów stąd — sierżant wskazał kierunek.

— W takim razie, chodźmy z nim porozmawiać. Pułkownik Armii Radzieckiej nie tłumaczy się sierżantom. No, dalej, wam też przydadzą się ćwiczenia! — i pobiegł pierwszy.

Sierżant, około dwudziestki, miał na sobie długi płaszcz, karabin i pas z ładownicą. Już po dwustu metrach Giennadij usłyszał, że tamten z trudem łapie oddech.

— Tutaj, towarzyszu pułkowniku — w minutę później wysapał sierżant.

— Nie powinniście tyle palić — skwitował jego wysiłek Bondarienko.

— Co się tu, u diabła, dzieje? — rzucił zza biurka porucznik KGB.

— Wasz sierżant mnie zatrzymał. Jestem pułkownik Bondarienko, Giennadij Josifowicz, i właśnie odbywani poranny trening.

— W zachodnim dresie?

— Co was, do cholery, obchodzi, w czym ćwiczę! — Kretynie, czy według ciebie szpiedzy tak sobie biegają?

— Towarzyszu pułkowniku, jestem oficerem dyżurnym ochrony. Nie znam was, a moi przełożeni nie uprzedzili mnie o waszym przyjeździe.

Giennadij sięgnął do jednej z kieszeni i wyciągnął przepustkę specjalną oraz dokumenty.

— Jestem specjalnym wysłannikiem Ministerstwa Obrony Związku Radzieckiego. Cel mojej wizyty nie powinien was interesować. Przyjechałem na osobisty rozkaz marszałka Związku Radzieckiego Jazowa. Jeżeli macie jakieś dodatkowe pytania, zadzwońcie bezpośrednio do niego, pod ten numer.

Porucznik KGB dokładnie przejrzał dokumenty, upewniając się, że było w nich to, co przed chwilą usłyszał.

— Proszę wybaczyć, towarzyszu pułkowniku, ale mamy rozkaz dokładnego przestrzegania zasad ochrony. Poza tym, niecodziennie można spotkać tu kogoś ubranego po zachodniemu i biegającego o świcie.

— Wydaje mi się, że biegi są w ogóle czymś niezwykłym dla waszych żołnierzy — zauważył Bondarienko z przekąsem.

— Tu, na górze, prawie nie ma miejsca na normalne ćwiczenia fizyczne, towarzyszu pułkowniku.

— Naprawdę? — uśmiechnął się Bondarienko, wyciągając jednocześnie notes i ołówek.

— Twierdzicie, że podchodzicie do swoich obowiązków poważnie, ale nie dbacie o odpowiednią kondycję fizyczną swoich żołnierzy. Dziękuję wam za tę informację, towarzyszu poruczniku.

Pomówię o tym z waszym dowódcą. Czy już mogę iść?

— Teoretycznie mam rozkaz zapewnienia eskorty wszystkim gościom oficjalnym.

— Świetnie. Lubię biegać w towarzystwie. Zrobicie mi tę uprzejmość, poruczniku?

Oficer KGB zdał sobie sprawę, że wpadł w pułapkę. W pięć minut później dyszał ciężko, jak ryba wyrzucona na brzeg.

— Co najbardziej zagraża bezpieczeństwu tego obiektu? — zapytał go Bondarienko, i to złośliwie, bo nie zwalniając tempa.

— Granica z Afganistanem jest o sto jednaście kilometrów stąd — sapiąc odpowiedział

porucznik. — Od czasu do czasu ich bandy zapuszczają się na terytorium radzieckie, o czym zapewne słyszeliście.

— Czy mają kontakty z miejscowymi?

— Jeszcze tego nie wykryliśmy, ale to kolejny problem. Miejscowa ludność to głównie muzułmanie.
— Porucznik zaczął kaszleć i Giennadij przystanął.

— Według mnie, w tak chłodnym powietrzu pomaga maska — powiedział. — Trochę ociepla powietrze przed wdechem. Wyprostujcie się, towarzyszu poruczniku, i oddychajcie głęboko. Jeżeli rzeczywiście poważnie podchodzicie do założeń ochrony obiektu, to wy i wasi ludzie winniście być w odpowiedniej formie fizycznej. Zapewniam was, że Afgańczykom jej nie brakuje. Dwa lata temu spędziłem jakiś czas z grupą Specnazu, ścigającą ich po kilku marnych górkach. Nigdy ich nie złapaliśmy. — Za to oni nas dostali — dodał w myślach. Bondarienko nigdy nie zapomni tej zasady...

— Śmigłowce?

— Przy złej pogodzie, poruczniku, nie zawsze startują. W moim przypadku staraliśmy się udowodnić, że też potrafimy walczyć w górach.

— My, oczywiście, codziennie wysyłamy patrole.

Sposób, w jaki to powiedział, zaniepokoił Bondarienkę. Postanowił to później sprawdzić.

— Ile przebiegliśmy?

— Dwa kilometry.

— Na tej wysokości to już pewien wysiłek. Dobrze, z powrotem pójdziemy spacerem.

Wschód słońca był wspaniały. Nad bezimienną górę wyśliznęła się gorejąca kula, której promienie, biegnąc w dół zboczy wypędzały cień z głębokich, oblodzonych dolin. Ten obiekt nie stanowił łatwego celu, nawet dla owych nieludzkich, barbarzyńskich mudżahedinów. Wieże strażnicze były dobrze ustawione, miały otwarte pole ostrzału na kilka kilometrów. Ze względu na mieszkających tu cywilów nie używano wprawdzie reflektorów, ale noktowizory i tak lepiej się tu sprawdzały i pułkownik był pewien, że KGB ich używa. Wzruszył ramionami: nie system ochrony był powodem jego przyjazdu, chociaż pozwalało to na wbiecie szpili lokalnemu KGB.

— Czy mogę zapytać skąd macie ten dres? — Oficer KGB odzyskał już oddech.

— Jesteście żonaci, poruczniku?

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

— Ja nie przepytuję swojej żony, gdzie mi kupuje prezenty urodzinowe. Oczywiście, nie jestem czekistą. — Bondarienko wykonał następne kilka głębokich skłonów, by pokazać, że mimo wszystko jest tym lepszym.

— Towarzyszu pułkowniku, chociaż mamy różne obowiązki, obaj służyliśmy Związkowi Radzieckiemu.

Jestem młodym, niedoświadczonym oficerem, co już mi wytknęliście. Niepokoi mnie niepotrzebna rywalizacja między armią i KGB.

Bondarienko odwrócił się i spojrzał na porucznika.

— Dobrze to ujęliście, mój młody towarzyszu. Może będziecie o tym pamiętać, gdy już otrzymacie generalskie gwiazdki.

Rozstali się przy wartowni. Bondarienko szybkim krokiem wrócił do bloku mieszkalnego; poranny wiatr omal nie zamienił w lód kropli potu na karku. Wszedł do środka i wszedł do windy.

Stwierdził, bez zdziwienia, że o tak wczesnej porze nie było jeszcze gorącej wody w łazience.

Wziął więc zimny prysznic, ogolił się, ubrał i poszedł do kantyny na śniadanie.

W ministerstwie Filitow musiał być dopiero na dziewiątą, a po drodze chciał wstąpić do łaźni. Wśród wielu rzeczy, których nauczył się przez te lata było i to, że nic tak nie leczy kaca i nie rozjaśnia umysłu jak łaźnia parowa. Sprawdzał to już nie raz. Kierowca podwiózł go do Łaźni Sandunowskiej przy Kuźnieckim Moście, jakieś pół kilometra od Kremla. Przyjeżdżał tu zresztą w każdą środę. Mimo wczesnej pory nie był sam. Gromadka innych, prawdopodobnie równie ważnych, osób z trudnością wchodziła po szerokich, marmurowych schodach na drugie piętro, do lepszych, oczywiście już tak nie określanych, pomieszczeń łaźni; zarówno w swej dolegliwości, jak i sposobie jej usuwania pułkownik nie był osamotniony — znały je tysiące moskwičan. Były wśród nich kobiety. Misze zawsze ciekawiło, czy damska część łaźni różni się od tej, do której właśnie zmierzał. Dziwne. Przychodził tutaj odkąd trafił do ministerstwa, czyli od 1943 roku, a mimo to nigdy mu się nie udało rzucić okiem na tę drugą część. Teraz już jestem na to za stary —

powiedział do siebie.

Rozebrał się, wziął duży ręcznik kąpielowy ze stosu w rogu pokoju i pęk brzoszowych witek. Odetchnął kilkakrotnie chłodnym, suchym powietrzem szatni, a potem otworzył drzwi do parówki. Marmurową niegdyś posadzkę zastąpiły w większości pomarańczowe kafelki. Misza pamiętał czasy, kiedy oryginalna podłoga była prawie nie tknięta.

Dwaj mężczyźni po pięćdziesiątce o coś się spierali, prawdopodobnie o sprawy polityki.

Słyszał ich chrapliwe głosy ponad świstem pary uchodzącej z podgrzewacza zajmującego środek pomieszczenia. Doliczył się jeszcze pięciu innych osób, siedzących ze zwieszonymi głowami i w samotności, cierpliwie walczących z kacem. Wybrał sobie miejsce w pierwszym rzędzie i usiadł.

— Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku — usłyszał głos z odległości paru metrów.

— A, dzień dobry, towarzyszu profesorze — powitał Misza jednego ze stałych bywalców łaźni. Trzymał mocno oburącz swoje brzoszowe witki czekając, aż wystąpią poty. Nie trwało to długo, jako że temperatura w pomieszczeniu sięgała sześćdziesięciu stopni. Oddychał ostrożnie, tak jak to robią doświadczeni amatorzy łaźni. Aspiryna przełknięta z poranną herbatą zaczynała już działać, chociaż głowa nadal była ciężka, oczy nabiegłe krwią, a powieki opuchnięte. Smałał

plecy gałązkami, jakby wyganiał truciznę z ciała.

— Jak się dziś ma nasz bohater spod Stalingradu? — Akademię najwyraźniej nie zamierzał dać mu spokoju.

— Równie dobrze jak nasz geniusz z Ministerstwa Oświaty. — Usłyszał wymuszony śmiech. Misza nigdy nie mógł zapamiętać jego nazwiska... Ilja Władimirowicz Jakiśtam. Tylko dureń może się śmiać mając kaca. Ten człowiek pił z powodu swojej żony, jak sam twierdził.

Pijesz, by się od niej uwolnić, tak? Chwalisz się, że pieprzysz swoją sekretarkę. A ja zaprzedałbym duszę za jedno jedyne spojrzenie na Elenę, na moich synów — mówił sobie Misza

— moich dwóch przystojnych synów. W takie właśnie ranki dobrze jest o tym pamiętać.

— Wczorajsza „Prawda” pisała o rozmowach rozbrojeniowych — ciągnął profesor. —

Czy jest jakaś nadzieja na postępy?

— Nie mam pojęcia — odpowiedział Misza.

Wszedł łaziebny, młody niewysoki, może dwudziestopięcioletni chłopak. Rozejrzał się po obecnych i zapytał:

— Może ktoś chce się napić?

Picie alkoholu w łaźni jest stanowczo zabronione, ale jak powiedziałby każdy prawdziwy Rosjanin, to tylko poprawia smak wódki.

— Nie! — buchnęła chóralna odpowiedź. Dzisiejszego rana nikt nie miał ochoty na najmniejszego nawet klina, zauważył Misza z niejakim zdumieniem. No, ale to środek tygodnia.

W sobotę rano będzie całkiem inaczej.

— No, dobrze — rzucił łaziebny, kierując się ku drzwiom. — Na zewnątrz czekają świeże ręczniki. Podgrzewacz wody w basenie jest już naprawiony, towarzysze. Pływanie to też doskonałe ćwiczenie. Używajcie mięśni, które teraz tak przypiekacie, a zyskacie świeżość na cały dzień. Na pewno wam się przyda.

Misza podniósł głowę. Więc to jest ten nowy.

— Z czego, do cholery, jest taki zadowolony? — rzucił ktoś z kąta.

— Cieszy się, że nie jest starym pijusem! — odpowiedział mu inny, a paru się roześmiało.

— Pięć lat temu nie miałem po wódce takiego kaca. Mówię wam, że dzisiejsza kontrola jakości w gorzelniach to już nie to, co dawniej — ciągnął ten z kąta.

— Wasza wątroba, towarzyszu, też nie ta, co dawniej.

— Starzenie się to straszna rzecz.

Misza obrócił się, by zobaczyć, kto to powiedział. Mężczyzna miał około pięćdziesiątki i obwisły brzuch koloru śniętej ryby. Palił papierosa, co też było sprzeczne z regulaminem łaźni.

— Straszniejszą jest nie starzeć się, ale wy, młodzi, zapomnieliście o tym — powiedział

nie wiedząc czemu. Głowy podniosły się, obecni zauważyli ślady po oparzeniach na jego plecach i piersi. Nawet ci, którzy nie wiedzieli, kim jest Michaił Siemionowicz Filitow, zrozumieli, że nie jest to człowiek, z którego można żartować. Misza posiedział jeszcze dziesięć minut, a potem wyszedł.

Łaziebny czekał na zewnątrz. Filitow oddał mu witki oraz ręcznik i poszedł wziąć zimny prysznic. W kwadrans później był już nowo narodzony. Ból i depresja po wódce minęły, znikło zmęczenie. Ubrał się szybko i zszedł na dół. Kierowca Filitowa, ujrzawszy zmianę w jego ruchach, ciekaw był cóż takiego leczniczego jest w tym smażeniu się jak befszytk.

Chłopak z łaźni miał swoje zadanie. Po jakimś czasie ponowił propozycję i wtedy okazało się, że kilka osób nabrało ochoty na trunk. Wyszedł więc z łaźni tylnymi drzwiami i poszedł do małego lokaliku, którego właściciel więcej zarabiał na sprzedaży wódki „na lewo” niż na chemicznym czyszczeniu odzieży. Wracał z półlitrowką, na której widniał napis Wódka, bez nazwy trunku. Wysokiej jakości „Stolicznaja” sprzedawana była tylko za granicę i warstwom uprzywilejowanym. Te pół litra kosztowało dwa razy tyle, co w sklepie — wprowadzenie ograniczeń w sprzedaży alkoholu uruchomiło całkiem nowy, i niezwykle zyskowny, sektor czarnego rynku w Moskwie. Przy okazji łaziebny oddał małą kasetę fotograficzną, którą otrzymał

od tamtego z brzołowymi witkami. Czuł teraz ulgę. Był to jedyny jego kontakt. Nie znał jego nazwiska. Rzucił umówione hasło ze zrozumiałą obawą, czy aby ta część moskiewskiej siatki CIA nie została już dawno temu zdekonspirowana przez pion kontrywywiadu KGB, czyli osławiony Zarząd Drugi. Życie i tak miał już zmarnowane i był tego świadom. Musiał jednak coś robić. Musiał — po roku spędzonym w Afganistanie, po tym wszystkim, co tam widział i po tym, do czego go tam zmuszono! Przez chwilę zastanawiał się, kim jest ów stary człowiek z bliznami, ale zaraz upomniał sam siebie, że jego zawód ani tożsamość nie powinny go interesować.

Pralnia chemiczna obsługiwała głównie klientów zagranicznych, takich jak dziennikarze, biznesmeni, paru dyplomatów, a także pewną Rosjankę, która przynosiła do czyszczenia swą odzież kupioną na Zachodzie. Odebrała właśnie angielski płaszcz, zapłaciła trzy ruble i wyszła.

Przeszła kilkaset metrów do najbliższej stacji metra, zjechała ruchomymi schodami na peron, wsiadła

do pociągu linii zdanowsko-krasnopresnieńskiej, oznaczonej na planie miasta kolorem czerwonym. W zatłoczonym pociągu nikt nie zauważył, że przekazała kasetę. W gruncie rzeczy sama nie widziała nawet twarzy tego mężczyzny. On z kolei wysiadł na następnej stacji

„Puszkinskaja” i zjechał na perony stacji „Gorkowskaja”. W dziesięć minut później kasetę przekazano dalej, tym razem Amerykaninowi, który po trwającym do późna w nocy przyjęciu dyplomatycznym, nieco spóźniony jechał rano do swojej ambasady.

Nazywał się Ed Foley. Był attache prasowym w ambasadzie USA przy ulicy Czajkowskiego. On i jego żona, Mary Pat, także agentka CIA, spędzili w Moskwie już blisko cztery lata. Oboje czekali na chwilę, gdy wyjadą z tego ponurego, szarego miasta na zawsze.

Mieli dwójkę dzieci, którym od dawna bardzo brakowało gry w baseball i hot-dogów.

Nie znaczyło to wcale, by nie działali z powodzeniem. Rosjanie wiedzieli, że CIA wykorzystuje do pracy operacyjnej wiele tandemów „mąż-żona”, ale myśl, że szpiedzy zabierają za granicę dzieci nie mieściła im się w głowie. Poza tym mieli dobre przykrywkę: Ed Foley przed przejściem do Departamentu Stanu pracował jako reporter w „New York Timesie”. Zmienił

pracę, bo jak mówił, pieniądze prawie takie same, ale jako reporter od spraw kryminalnych nie miał szans na wyjazdy dalsze niż do więzienia w Attica pod Nowym Jorkiem. Jego żona większość czasu spędzała z dziećmi, chociaż brała czasem zastępstwa w Szkole Anglo-Amerykańskiej przy Leninowskim Prospekcie 78. Starszy syn grał w młodzieżowej drużynie hokejowej. Nadzorujący ich oficerowie KGB zapisali w aktach, że Edward Foley-junior jest całkiem dobrym, jak na siedmiolatka, skrzydłowym. Prawdziwym zmartwieniem rządu radzieckiego w przypadku tej amerykańskiej rodziny było przesadne zainteresowanie Foleya-seniora przestępczością w radzieckiej stolicy, która nawet w najgorszych sytuacjach niewiele przypominała to, o czym pisał będąc w Nowym Jorku. Ta jego ciekawość była jednak dowodem, że jest względnie nieszkodliwy; nazbyt wścibski, by być oficerem wywiadu; ten raczej stara się nie zwracać na siebie uwagi.

Ostatnie kilkaset metrów od stacji metra do ambasady Foley przeszedł na piechotę.

Najpierw skinął uprzejmie głową milicjantowi przed wejściem do owego posępnego budynku, a potem stojącemu na straży wewnątrz sierżantowi piechoty morskiej. Jego gabinet był nieduży. W

wydanym przez Departament Stanu „Spisie placówek w ZSRR” ambasadę określono jako

„zagęszczoną i trudną w eksploatacji”. Zdaniem Foleya autor tego opisu prawdopodobnie zdefiniowałby jakąś wypaloną rudere w nowojorskiej dzielnicy South Bronx jako „lokal wymagający drobnych napraw”. Podczas ostatniego remontu w ambasadzie z dotychczasowego składziku i komórki na szczotki zrobiono pokój, od biedy nadający się do użytku, bo o wymiarach trzy na trzy metry. Ta komórka była teraz jego osobistą ciemnią fotograficzną.

Dlatego też od ponad dwudziestu lat ktoś z rezydentury CIA zawsze zajmował ten pokoik, chociaż

Foley był pierwszym szefem rezydentury, który uczynił zeń swój gabinet.

Miał trzydzieści trzy lata, był wysoki, a przy tym bardzo szczupły. Z pochodzenia był

Irlandczykiem z nowojorskiej dzielnicy Queens. Jego intelekt szedł w parze z niewiarygodnie wolnym rytmem serca i kamienna twarzą, która pozwoliła mu przejść przez studia. Właśnie tam, na ostatnim roku został zwerbowany przez CIA. Następne cztery lata pracował w „New York Timesie”, tworząc w ten sposób „przykrywkę” na przyszłość. W dziale miejskim wspomina go jako kompetentnego, trochę leniwego reportera, który pisywał poprawne teksty, lecz daleko by nie zaszedł. Jego szef nie rozpaczał z powodu przeniesienia Eda do pracy w Departamencie Stanu, ponieważ zyskiwał miejsce dla energicznego, obrotnego absolwenta wydziału dziennikarstwa Uniwersytetu Columbia. Ówczesny korespondent „Timesa” opisał Foleya kolegom i znajomym jako nieudacznika, do tego nudnego, wystawiając mu tym samym najbardziej pożądaną opinię w szpiegowskim rzemiośle: „On? Jest za głupi na szpiega”. Z tego i z paru innych powodów Foleyowi powierzono kierowanie najdłuższym i najwartościowszym agentem Centralnej Agencji Wywiadowczej — pułkownikiem Michałem Siemionowiczem Filitowem, o pseudonimie Kardynał. Pseudonim był do tego stopnia utajniony, że tylko parę osób w Agencji wiedziało, iż oznacza coś więcej niż wysokiej rangi duchownego w purpurze.

Meldunki Kardynała opatrzone były adnotacją INFORMACJA WYWIADOWCZA O

SPECJALNYM ZNACZENIU — TYLKO DLA DELTY. W całym rządzie amerykańskim tylko sześć osób miało prawo wglądu do materiałów kategorii DELTA. Co miesiąc zmieniano kryptonim dla całego zbioru informacji. Teraz brzmiał on ATŁAS, a raporty z tym nagłówkiem otrzymywało jakieś dwadzieścia osób. Oczywiście dane z meldunków były odpowiednio przetwarzane, zanim opuściły krąg DELTY.

Foley wyjął z kieszeni kasetę z filmem i zamknął się w ciemni. Potrafił wywoływać film nawet na wpół śpiąc lub po pijanemu, co już prawdę mówiąc, parę razy mu się zdarzyło. W sześć minut później zakończył pracę i posprzątał po sobie. Były redakcyjny szef Foleya zdziwiłby się widząc, jak schludny jest tu, w Moskwie.

Wykonywał teraz czynności, które nie uległy zmianie od blisko trzydziestu lat. Za pomocą małej przegładarki do slajdów obejrzał sześć wywołanych klitek filmu. Zapamiętał w parę sekund treść każdej z nich i zaczął wystukiwać tłumaczenie na swej przenośnej maszynie do pisania, z taśmą tak zużytą, że nawet KGB nie zwróciłoby na nią uwagi. Jak wielu dziennikarzy, Foley nie był zbyt biegły w maszynopisanu: jego teksty pełne były skreśleń i poprawek.

Używany przez niego papier był nasycony specjalnymi substancjami chemicznymi, co uniemożliwiało stosowanie gumki do ścierania. Transkrypcja zajęła mu blisko dwie godziny. Na koniec raz jeszcze przejrzał klatki filmu, by upewnić się, czy nie przeoczył czegoś lub nie popełnił jakiegoś istotnego błędu gramatycznego. Zadowolony, lecz z drżeniem, którego nigdy nie udało mu się przezwyciężyć, zgniótł taśmę fotograficzną w kulkę, położył na metalowej popielniczce i po chwili płomień zapalki obrócił w popiół jedyny namacalny dowód istnienia Kardynała. Następnie Foley zapalił cygaro, by

stłumić nieco charakterystyczny zapach palonego celuloиду. Złożone strony maszynopisu powędrowały do kieszeni i Foley ruszył schodami na górę, do centrum łączności ambasady. Tam zostawił niewinnie brzmiącą wiadomość dla Departamentu Stanu w Waszyngtonie, skrytka 4108: „W związku z waszym pismem z 29

grudnia. Zestawienie kosztów wysłane pocztą dyplomatyczną. Foley”. Jako attache prasowy płacił mnóstwo rachunków za drinki swoich kolegów-dziennikarzy. Odnosili się do niego z lekceważeniem, którego nie próbował nawet odwzajemniać. Te właśnie rachunki zmuszały go do sporządzania wielu raportów finansowych dla gryzipiórków w Departamencie Stanu, a przy okazji bardzo go bawiło, jak ciężko musi „pracować” brać dziennikarska na podtrzymanie jego przykrywki operacyjnej.

Następnie Foley udał się do stałego kuriera ambasady. Ten element działalności moskiewskiej placówki, mimo że mało znany, nie zmienił się od trzydziestu lat: kurier zawsze czekał w pogotowiu, chociaż zakres jego czynności stopniowo się powiększał. Obecny emerytowany chorąży armii amerykańskiej, odznaczony Krzyżem Zasługi i czterema medalami za rany na polach bitewnych Wietnamu był jedną z czterech osób w ambasadzie, które wiedziały, dla kogo naprawdę pracuje Foley. Kiedy się uśmiechał, robił to zawsze na sposób rosyjski: ustami, a nie oczami.

— Nie miałbyś ochoty przelecieć się do domu? W oczach kuriera błysnęła radość.

— Akurat teraz, na rozgrywki pucharowe w niedzielę? Chyba pan żartuje. Mam wpaść koło czwartej?

— Właśnie. — Foley zamknął drzwi i wrócił do siebie. Kurier telefonicznie zarezerwował miejsce na lot British Airways do Londynu o siedemnastej czterdzieści.

Różnica czasu między Waszyngtonem a Moskwą sprawiła, że wiadomość od Foleya dotarła nad Potomak wczesnym rankiem. O szóstej pracownik CIA wszedł do kancelarii Departamentu Stanu i z różnych przegródek pocztowych powyciągał blankiety otrzymanych depesz, po czym wrócił do Langley. Pracownikiem tym był starszy oficer Wydziału Operacyjnego, odsunięty od pełnienia służby za granicą w wyniku obrażeń odniesionych w Budapeszcie. Jakiś chuligan rozbił mu głowę, ale ujęty przez milicję, został skazany na pięć lat więzienia. Gdyby wiedzieli, kim w rzeczywistości był poszkodowany, tamten dostałby medal, a nie wyrok, myślał agent. Przekazał depesze do właściwych biur i wrócił do siebie.

Kiedy Bob Ritter, zastępca dyrektora CIA do spraw operacyjnych, przyszedł o siódmej dwadzieścia pięć do pracy, wiadomość od Foleya leżała już na biurku. Poletko Rittera, oficjalnie zwane Zarządem Operacyjnym, to wszyscy pracownicy operacyjni CIA oraz wszyscy zwerbowani i pracujący dla nich obywatele państw obcych. Wiadomość z Moskwy (jak zwykle było ich kilka, ale ta liczyła się najbardziej) włożył natychmiast do osobistej szafy na akta i zaczął przygotowywać się do codziennego sprawozdania z dyżuru nocnego, zdawanego przez oficerów nocnej zmiany.

— Otwarte. — Foley podniósł głowę, gdy usłyszał pukanie. Wszedł kurier.

— Samolot odlatuje za godzinę. Muszę się spieszyć.

Foley sięgnął do biurka i wyciągnął coś, co wyglądało jak kosztowna srebrna papierośnica. Podał ją kurierowi, który ostrożnie włożył pudełko do wewnętrznej kieszeni marynarki. W środku znajdowały się kartki maszynopisu oraz niewielki ładunek wybuchowy. W

przypadku niewłaściwego otwierania pudełka lub gwałtownych ruchów, jak na przykład upuszczenia na podłogę, spowodowałby on zniszczenie łatwopalnego papieru. Wybuch mógłby wtedy pociągnąć za sobą zapalenie się ubrania kuriera, co tłumaczyło ostrożność, z jaką chował

tę „papierośnicę”.

— Powinienem wrócić we wtorek rano. Czy mam panu coś przywieźć?

— Słyszałem, że wyszedł kolejny zbiór komiksów „Far Side” — powiedział, czym wywołał uśmiech na twarzy sierżanta.

— Dobrze, sprawdzę. Zapłaci mi pan po powrocie.

— Bezpiecznej podróży, Augie.

Jeden z kierowców ambasady zawiózł Augiego na lotnisko Szeremietiewo, około trzydziestu kilometrów od Moskwy. Paszport dyplomatyczny umożliwił mu szybkie przejście przez punkty kontroli wprost do samolotu brytyjskiego, odlatującego do Londynu. Miał miejsce w klasie turystycznej, po prawej stronie samolotu. Walizeczkę kurierską postawił na siedzeniu przy oknie, a sam usiadł na środkowym fotelu. Samoloty z Moskwy rzadko są przepełnione, dlatego miejsce po jego lewej stronie pozostawało puste. Boeing rozpoczął kołowanie punktualnie. Kapitan podał czas przelotu oraz lotnisko docelowe i samolot nabierał rozpędu na pasie startowym. Gdy oderwał się od ziemi, stu pięćdziesięciu pasażerów na pokładzie, jak to zwykle bywało, zaczęło klaskać. Kuriera zawsze to bawiło. Augie Giannini wyciągnął teraz z kieszeni książkę i zaczął czytać. Oczywiście w czasie lotu nie mógł pić ani spać. Z obiadem postanowił poczekać do kolejnego etapu podróży. Stewardesie udało się jedynie wmusić w niego filiżankę kawy.

W trzy godziny później Boeing ciężko przysiadł na lotnisku Heathrow w Londynie. Tak jak poprzednio, Augie przeszedł przez posterunki kontrolne bez zatrzymywania. To, że spędził w powietrzu więcej godzin niż zawodowi piloci, dawało mu prawo do poczekalni pierwszej klasy, które znaleźć można w większości dużych portów lotniczych. Czekał tu przez godzinę na kolejnego Boeinga, tym razem lecącego na waszyngtońskie lotnisko międzynarodowe imienia Dullesa.

Nad Atlantykiem kurier zjadł obiad. Obejrzał także film, którego dotąd nie widział, co zdarzało mu się rzadko. Gdy kończył czytać książkę, samolot podchodził do lądowania na waszyngtońskim lotnisku. Przetarł dłonią twarz, starając się przypomnieć sobie, która to teraz godzina w Waszyngtonie. Kwadrans później wsiadł do niepozornego, rządowego Forda, na miejsce obok

kierowcy, by móc wyprostować nogi.

— Jak lot? — zapytał kierowca.

— Jak zawsze: nuudny.

Nudny, ale lepsze to niż loty śmigłowcem sanitarnym nad wietnamskim Płaskowyżem Centralnym. Za latanie samolotami i czytanie książek rząd płacił mu dwadzieścia tysięcy rocznie, co w połączeniu z emeryturą wojskową zapewniało mu całkiem znośne warunki życia. Nigdy go nie obchodziło, co przewozi w poczcie dyplomatycznej, czy też w tym metalowym pudełku schowanym na piersiach. Według niego wszystko to było stratą czasu. Świat i tak się nie zmienia.

— Jest pojemnik?

— Tak. — Giannini sięgnął do kieszeni, a potem trzymając je oburącz, podał do tyłu.

Siedzący tam oficer CIA umieścił pojemnik w wyłożonym pianką pudełku. Był wykładowcą w Biurze Służb Technicznych, będącym częścią Wydziału Naukowo-Technicznego, pionu CIA wykonującego wiele prac biurowych. Ten właśnie oficer był specjalistą od min-pułapek i urządzeń wybuchowych. Gdy dotarł do gabinetu Rittera otworzył na jego biurku przywieziony pojemnik i wyszedł, nawet nie spojrzawszy, co było w środku.

Ritter podszedł do kserokopiarki, zrobił kilka odbitek z niebezpiecznego maszynopisu, a następnie go spalił. Chodziło nie tyle o środki bezpieczeństwa, ile o zagrożenie pożarowe. Ritter nie chciał ani skrawka tego łatwopalnego papieru w swoim gabinecie. Zaczął czytać materiał, zanim z maszyny wyszły ostatnie kopie. Jak zawsze, już przy czytaniu pierwszego akapitu zaczął

kręcić głową. Podszedł następnie do biurka i połączył się z dyrektorem CIA.

— Zajęty? „Ptaszek” przyleciał.

— Przychodź natychmiast — polecił sędzia Arthur Moore. Nie było nic ważniejszego od meldunków Kardynała.

Po drodze Ritter zaszedł po admirała Greera i we dwójkę zjawili się w przestronnym gabinecie dyrektora.

— Nie sposób nie lubić tego faceta — powiedział Ritter, podając kserokopie. — Namówił

Jazowa, żeby wysłać do ośrodka „Bach” jakiegoś pułkownika, by przygotował „ocenę niezawodności” całego systemu. Ten pułkownik, Bondarienko, ma złożyć raport jak to wszystko działa, ale napisany w języku zrozumiałym dla ministra, który będzie przedstawiał sprawę na posiedzeniu Politbiura. Oczywiście Misza ustawił się w roli gońca, tak że raport przejdzie przez jego rękę.

— Ten chłopak, z którym rozmawiał Ryan, chyba nazywa się Gregory, chciał, żebyśmy wsadzili kogoś do tego ośrodka — przypomniał z uśmiechem Greer. — Ryan powiedział mu, że to niemożliwe.

— No i dobrze — stwierdził Ritter. — Niech wszyscy wiedzą, że ci w Operacyjnym potrafią tylko wszystko spieprzyć.

Cała CIA czerpała przewrotną dumę z tego, że jedynie jej porażki były nagłaśniane w prasie. Szczególnie zaś Zarządowi Operacyjnemu zależało na takiej właśnie społecznej ocenie, jaką nieustannie wystawiała im prasa.

Potknięcia KGB nigdy nie zwracały podobnej uwagi. W ten tak często ukazywany negatywny obraz Agencji wierzyły nawet radzieckie agencje wywiadowcze. Mało komu przychodziło do głowy, że przecieki były celowe.

— Chciałbym — zauważył trzeźwo sędzia Moore — żeby ktoś wyjaśnił Miszy, że są starzy szpiedzy i odważni szpiedzy, ale bardzo niewielu starych i odważnych jednocześnie.

— To bardzo ostrożny facet, szefie — zapewnił Ritter.

— Tak, wiem — rzucił Moore i zabrał się do czytania.

„Od czasu, gdy zmarł Dymitr Fiodorowicz, w Ministerstwie Obrony już nie jest tak samo.

Czasami zastanawiam się, czy marszałek z należytą powagą traktuje te wszystkie nowinki techniczne, ale komu mogę wyjawić swe obawy? Czy KGB by mi uwierzyło? Muszę uporządkować myśli. Tak, muszę zebrać myśli, zanim wysunę jakieś oskarżenia. Ale tym samym mogę złamać zasady tajemnicy...

Jaki mam wybór? Jeżeli nie zdołam udokumentować swoich obaw, kto potraktuje mnie poważnie? Ciężko jest zmusić się do złamania tej podstawowej zasady, ale bezpieczeństwo państwa jest ważniejsze. Musi być”.

Jak epickie poematy Homera zaczynały się od inwokacji do muzy, tak raporty Kardynała niezmiennie zaczynały się w podobny sposób. Pomysł zrodził się pod koniec lat sześćdziesiątych: raporty Kardynała miały wyglądać jak sfotografowane kartki z jego osobistego dziennika.

Rosjanie uwielbiali prowadzenie takich zapisków. Każdy meldunek otwierało słowiańskie *cri de coeur*, wyraz osobistego zatroskania decyzjami politycznymi podejmowanymi w Ministerstwie Obrony. Czasami autor wyrażał zaniepokojenie niedostatecznymi środkami bezpieczeństwa podjętymi wobec jakiegoś projektu wojskowego albo sprawnością nowego czołgu czy samolotu.

Za każdym razem ze szczegółami omawiał zalety techniczne danego modelu broni, lub podjętą decyzję ministerialną. Zawsze jednak główny nacisk kładł w pamiętniku na rzekomy problem biurokratyczny wewnątrz ministerstwa. Gdyby kiedykolwiek przeszukano mieszkanie Filitowa, jego

dziennik zostałby szybko znaleziony. Nie byłby schowany, a tego przecież należy oczekiwać u szpiega. Bez wątplenia uznano by, że Misza złamał zasady tajemnicy państwowej, za co z pewnością dostałby naganę, dawało mu to jednak jakąś szansę wybronięcia się. Lub tak przynajmniej zakładano.

„Kiedy będę już miał raport Bondarienki, za jakiś tydzień, dwa — może uda mi się przekonać ministra, że badania te mają zasadnicze znaczenie dla naszej ojczyzny” — kończył się zapis.

— Wygląda więc na to, że dokonali jakiegoś przełomu w poziomie mocy wyjściowej lasera — powiedział Ritter.

— Teraz mówi się „mocy przejścia” — poprawił go Greer. — W każdym razie tak mi powiedział Jack. Nie są to, panowie, najlepsze wieści.

— Jak zwykle nic nie uchodzi twej uwagi, James — stwierdził Ritter. — Mój Boże, a jeżeli im uda się przed nami?

— Dziury w niebie nie będzie. Pamiętajcie, że wdrożenie tego systemu zajmie około dziesięciu lat od chwili jego zatwierdzenia, a przecież jeszcze go nie sprawdzili — podsumował

dyrektor Agencji. — Świat się nie zawalił. To może nawet działać na naszą korzyść. Prawda, James?

— Jeżeli dostaniemy od Miszy dający się wykorzystać opis ich rozwiązania technicznego, to tak. W większości zagadnień jesteśmy bardziej od nich zaawansowani — odpowiedział

zastępca do spraw informacyjnych. — Ryan będzie potrzebował odpowiednich danych do swego opracowania.

— Ależ on nie jest dopuszczony do tej sprawy! — zaproponował Ritter.

— Kiedyś miał już w ręku materiały kategorii DELTA — przypomniał Greer.

— Raz, tylko raz, i wtedy było to uzasadnione. Jak na amatora, poszło mu nawet dobrze.

James, w tym nie ma nic takiego, co mógłby wykorzystać, oprócz naszych uzasadnionych podejrzeń, że Ruskim udał się ten przełom w kwestii mocy... przejścia. Podejrzewał to już zresztą ten chłopak, Gregory. Powiedz Ryanowi, że mamy potwierdzenie jego przypuszczeń z innych źródeł. Panie sędzio, proszę powiedzieć prezydentowi, że coś tam się dzieje, ale dokładniej będzie wiadomo dopiero za kilka tygodni. Na razie nie powinniśmy niczego więcej podawać.

— To brzmi sensownie — zgodził się sędzia. Greer przytaknął bez komentarza.

Każdy z nich odczuwał pokusę stwierdzenia, że jest to najważniejsze zadanie Kardynała, lecz zabrzmiałoby to zbyt pompatycznie jak na trzech wyższych funkcjonariuszy CIA. Poza tym przez te wszystkie lata Kardynał przekazał do CIA sporą liczbę ważnych informacji. Po wyjściu zastępców, sędzia Moore jeszcze raz przeczytał meldunek. Na końcu Foley dopisał, że Ryan dosłownie wpadł na

Kardynała i to pod nosem samego marszałka Jazowa, tuż po przekazaniu Miszy nowego zadania przez Mary Pat. Ci Foleyowie, co za parka — pokręcił głową sędzia. I jak to się dziwnie składa, że Ryan poniekąd nawiązał kontakt z pułkownikiem Filitowem. Raz jeszcze Moore pokręcił głową. Co za zwariowany świat.

Jasne gwiazdy i szybkie okręty

Jack nawet nie pytał, jakie „źródło” potwierdziło podejrzenia majora Gregory’ego.

Działalność operacyjna była czymś, od czego starał się trzymać jak najdalej — jak dotąd z powodzeniem. Dla niego ważne było jedynie to, że pod względem wiarygodności informacja została zaliczona do klasy pierwszej. Ostatnio CIA zaczęła stosować nową, cyfrową skalę ocen od 1 do 5, zamiast dotychczasowej literowej od A do E. Z pewnością jakiś Pomocnik Zastępcy Kogośtam, wyedukowany w Harvard Business School, poświęcił temu pomysłowi pół roku znoej pracy i otrzymał odpowiednie wynagrodzenie.

— A co z dokładniejszymi danymi technicznymi?

— Kiedy je otrzymamy, dam ci znać — odparł Greer.

— Mam tylko dwa tygodnie, szefie — zauważył Ryan. Terminy to nie żarty, szczególnie gdy przygotowywany dokument przeznaczony jest dla samego prezydenta.

— Odnoszę wrażenie, że gdzieś już o tym czytałem — rzucił oschle admirał. — Także ci z Agencji Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia codziennie dzwonią do mnie w tej sprawie. Tak sobie myślę, że mógłbyś tam pojechać i poinformować ich osobiście.

Ryan skrzywił się. W całej tej specjalnej zbiorczej ocenie wywiadowczej chodziło właściwie o ustawienie dekoracji do kolejnego aktu rozmów rozbrojeniowych. Agencja Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia także potrzebowała takiej oceny, żeby wiedzieć czego żądać, a z czego bezpiecznie ustąpić. Składało to dodatkowy ciężar na jego barki, ale jak lubił podkreślać Greer, Jack najlepiej pracował pod presją. Czasami zastanawiał się czy czegoś nie spieprzyć, tylko po to, by obalić ten pogląd szefa.

— Kiedy będę musiał tam pojechać?

— Jeszcze nie zdecydowałem.

— Czy może mnie pan uprzedzić na kilka dni wcześniej?

— Zobaczymy.

Rzecz niezwykła — major Gregory był w domu. A co więcej miał dzień wolny. Nie on sam się

jednak o to postarał lecz generał, który zdecydował, że stała praca bez rozrywki zaczyna już odciskać swe piętno na tym młodym człowieku. Nie przyszło mu wszakże do głowy, że Gregory może pracować także w domu.

— Mógłbyś choć na chwilę przestać? — zapytała Candi.

— Dobrze, a co będziemy robić w przerwach? — uśmiechnął się znad klawiatury.

Osiedle nazywało się Panorama Gór. Nazwa niezbyt oryginalna w części kraju, gdzie jedynym sposobem, by nie widzieć gór, było zamknięcie oczu. Gregory miał w domu pojemny komputer osobisty, w który zaopatrzyło go szefostwo badań, i od czasu do czasu pisał na nim swój „kod”. Musiał oczywiście pamiętać, że to nad czym pracował, było ściśle tajne. Często żartował, że sam nie ma zezwolenia na oglądanie tego, co robi. W instytucjach rządowych nie należało to do rzadkości.

Doktor Candace Long była wyższa od swego narzeczonego (miała metr siedemdziesiąt pięć wzrostu), smukła, o krótkich, ciemnych włosach i trochę skrzywionych zębach, ponieważ nie chciała nosić aparatu korekcyjnego. Jej okulary były nieco grubsze niż szkła Alana.

Miała szczupłą sylwetkę, bo jak wielu naukowców praca tak ją pochłaniała, że zapominała o posiłkach. Po raz pierwszy spotkali się na seminarium doktoranckim, na Uniwersytecie Columbia. Specjalizowała się w fizyce optycznej, szczególnie zwierciadłach z optyką adaptacyjną, czyli w dziedzinie, którą wybrała jako uzupełnienie swego życiowego hobby

— astronomii. Mieszkając na wyżynach Nowego Meksyku mogła prowadzić samodzielne obserwacje przy użyciu własnego teleskopu za pięć tysięcy dolarów, a przy okazji wykorzystywała także instrumenty ośrodka do sondowania nieba. Był to, tak twierdziła, jedyny skuteczny sposób na ich kalibrację. W gruncie rzeczy, niezbyt interesowała ją obsesja Alana na punkcie obrony antyrakietowej, była za to pewna, że przyrządy, nad którymi pracowali, znajdą praktyczne zastosowanie w dziedzinie, która pasjonowała ją samą.

W tej chwili żadne z nich nie było kompletnie ubrane. Oboje nazywali siebie żartobliwie molami książkowymi. I jak to często bywa w takich razach, wzbudzi w sobie uczucia, o które bardziej pociągający koledzy i koleżanki z uczelni nigdy by ich nie podejrzewali.

— Co robisz? — spytała.

— Chodzi o te spudłowane strzały. Według mnie to sprawa kodu sterowania zwierciadłami.

— Taak? — To przecież była jej działka. — Jesteś pewny, że to kwestia oprogramowania?

— Tak — kiwnął głową Alan. — Mam w biurze dane z „Latającego Obłoku”.

Koncentracja wiązki była prawidłowa, ale w niewłaściwym miejscu.

— Ile zajmie korekta?

— Parę tygodni. — Skrzywił się patrząc na ekran, a potem wyłączył komputer. — Do diabła, jeżeli generał dowie się, że to robię, już nigdy nie wpuści mnie do firmy.

— Wciąż ci to powtarzam. — Stojąc za jego plecami, zarzuciła mu rękę na szyję.

Odchylił się do tyłu, opierając głowę między jej piersiami. Milutkie — pomyślał. To, że dziewczyny są ładne, było dla Alana istotnym odkryciem. Jeszcze w szkole średniej umawiał się czasami na randki, ale okres jego studiów, najpierw w akademii wojskowej, a potem w uniwersytecie, wypełniały głównie wykłady, biblioteka, laboratoria, czyli prowadził iście klasztorny tryb życia. Kiedy poznał Candi, zainteresowały go początkowo jej pomysły na ustawianie zwierciadeł, przy kawie w klubie studenckim zauważył jednak, że nie tylko znała się świetnie na fizyce optycznej, ale była ponadto — no, cóż, atrakcyjna. Nieważne, że spraw, o których rozmawiali w łóżku, nie rozumiałaby nawet jedna setna ludności kraju, dla nich były tak samo interesujące, jak to, co wyprawiali w łóżku — lub prawie tak samo. Tu zresztą też trzeba było dokonać wielu eksperymentów, a więc jak na dobrych naukowców przystało, kupili podręczniki (tak o tych książkach myśleli), by poznać i wykorzystać wszelkie możliwości. Jak każda nowa dziedzina studiów, tak i tę uznali za fascynującą.

Gregory chwycił głowę doktor Lang i przyciągnął ku swojej twarzy.

— Na razie nie mam ochoty pracować.

— To miło mieć dzień wolny.

— Może uda mi się załatwić jeszcze jeden w przyszłym tygodniu...

Borys Filipowicz Morozow wysiadł z autobusu w godzinę po zachodzie słońca wraz z czternastoma innymi młodymi inżynierami i technikami przydzielonymi ostatnio do JASNEJ

GWIAZDY — chociaż nazwy tego przedsięwzięcia jeszcze nie znał. Na lotnisku w Duszanbe powitali ich funkcjonariusze KGB, którzy dokładnie sprawdzili ich dowody tożsamości. Później w autobusie jakiś kapitan KGB wygłosił wykład na temat środków bezpieczeństwa oraz zachowania tajemnicy, i mówił w taki sposób, że wysłuchali go z uwagą. Nie wolno im było rozmawiać o swojej pracy z kimkolwiek poza ośrodkiem, nie wolno było pisać o tym, co robią, ani też informować kogokolwiek, gdzie się znajdują. Zamiast adresu mieli podawać numer skrytki pocztowej w Nowosybirsku, czyli blisko dwa tysiące kilometrów od prawdziwego miejsca ich pobytu. Kapitan nie musiał mówić, że ich korespondencja będzie czytana przez służbę bezpieczeństwa ośrodka. Morozow odnotował w pamięci, by nie zalepiać kopert —

rodzina mogłaby się tylko niepokoić widząc, że jego listy były otwierane i ponownie zalepiane.

Poza tym nie miał przecież nic do ukrycia. Sprawdzenie go przed wysłaniem tutaj zajęło służbie bezpieczeństwa zaledwie cztery miesiące. Oficerowie KGB w Moskwie, którzy grzebali w jego życiorysie, nie znaleźli w nim niczego niepokojącego i nawet sześć rozmów, jakie musiał z nimi

odbyć, skończyło się w miłej atmosferze.

Na koniec kapitan przeszedł na lżejszy ton, opisując działalność towarzyską i sportową w ośrodku oraz miejsce i czas odbywających się co dwa tygodnie zebrań partyjnych. Morozow miał

najszczerzy zamiar brać w nich udział tak regularnie, jak pozwolą mu na to obowiązki zawodowe. Zakwaterowanie, ciągnął oficer, to sprawa jeszcze nie rozwiązana. Morozow i kilku jego kolegów otrzymają miejsca w byłym hotelu robotniczym po zespołach budowlanych, które przygotowywały skalisty teren pod ośrodek. Jest tam dość miejsca, pokój gier, biblioteka, a nawet teleskop na dachu, jako że powstało kółko astronomiczne. Co godzinę jeździ autobus do osiedla głównego, gdzie znajduje się kino, kawiarnia i piwiarnia. W ośrodku mieszka dokładnie trzydzieści jeden niezamężnych kobiet, dodał wreszcie kapitan, ale z jedną z nich jest zaręczony i jeżeli ktokolwiek będzie próbował z nią flirtować, zostanie na miejscu zastrzelony. Wywołało to salwę śmiechu. Niezbyt często spotykało się oficera KGB z poczuciem humoru.

Było już ciemno, gdy autobus mijał bramę ośrodka i wszyscy czuli się zmęczeni. Miejsce zakwaterowania nie rozczarowało zbytnio Morozowa. Łóżka były piętrowe — jemu dostało się górne w rogu. Napisy na ścianach apelowały o zachowanie ciszy w sypialniach, pracowano tu bowiem na trzy zmiany, przez całą dobę. Młodemu inżynierowi wystarczyło, że może się wreszcie przebrać i pójść spać. Przydzielono go na miesiąc do Sekcji Prac Sterowniczych, by mógł zapoznać się z działalnością ośrodka. Później miał dostać stały przydział. Zасыpiając zastanawiał się, co też oznaczają owe „prace sterownicze”.

Dobłą stroną furgonetek jest to, że ma je wiele osób, a postronny obserwator nie może dostrzec, kto siedzi wewnątrz — pomyślał Jack, gdy taka biała furgonetka zatrzymała się na podjeździe przed jego domem. Oczywiście kierowca i siedzący obok niego ochroniarz byli z CIA. Ten drugi wysiadł, rozejrzał się po okolicy i dopiero wtedy odsunął boczne drzwi. Ukazała się znajoma twarz.

— Cześć Marko — powiedział Ryan.

— Aaa, to jest szpiegski dom! — wykrzyknął wesoło były kapitan pierwszej rangi Marynarki Radzieckiej, Marko Aleksandrowicz Ramius. Opanował już język znacznie lepiej, nadal jednak mówił z błędami. — Nie, dom sternika.

Jack uśmiechnął się i pokręcił głową,

— Marko, o tym nie możemy rozmawiać.

— Twoja rodzina nie wie?

— Nikt nie wie. Ale nie martw się, moja rodzina wyjechała.

— Rozumiem. — Marko Ramius wszedł za Jackiem do środka. Zgodnie z paszportem, legitymacją ubezpieczeniową i prawem jazdy stanu Wirginia był teraz Markiem Ramsayem. To jeszcze jeden dowód pomysłowości CIA, chociaż całkiem sensowny: zachowywanie oryginalnych imion. Marko

trochę zeszczupłał, ponieważ jadał obecnie mniej mącznych potraw.

Był też opalony. Gdy spotkali się po raz pierwszy na pokładzie raketowego okrętu podwodnego

„Czerwony Październik”, Marko — teraz już Mark — miał jeszcze typową dla podwodniaków

„cerę piekarza”. Teraz wyglądał jak żywa reklama plaż Miami.

— Wyglądasz na zmęczonego — powiedział „Mark Ramsay”.

— Sporo ostatnio podróżuję. Jak ci się podobają wyspy Bahama?

— Widzisz moją opaleniznę, co? Biały piasek, słońce, ciepło każdego dnia. Jak na Kubie, kiedy tam byłem, tylko tu człowiek bardziej dobry.

— W AUTEK? — zapytał Jack.

— Tak, ale o tym nie mogę mówić — odpowiedział Marko. Popatrzyli na siebie. AUTEK

oznaczało atlantycki ośrodek studiów nad działaniami podwodnymi. Przeprowadzano tam ćwiczenia, w których brali udział ludzie i okręty, a które nazywano miniwojnami. Wszystko, co się tam działo, było oczywiście objęte tajemnicą. Marynarka dobrze ochraniała swoje działania podwodne. A więc Marko pracował nad rozwiązaniami taktycznymi dla marynarki, bez wątpienia przyjmując w grach wojennych i na wykładach rolę radzieckiego dowódcy. W

marynarce radzieckiej Ramius znany był przecież jako Nauczyciel. To, co naprawdę ważne nie zmienia się nigdy.

— Podoba ci się tam?

— Nie mów nikomu, ale mnie pozwolili być kapitanem amerykańskiej submariny przez cały tydzień i amerykański kapitan zgadzał się na wszystko. Trafiam lotniskowiec! Tak, trafiam

„Forrestal”. Byliby ze mnie dumni we Flocie Północnej, nie?

— Co na to Marynarka? — roześmiał się Jack.

— Tamten kapitan i ja popiliśmy dużo. Kapitan „Forrestal” ześlony, ale rozumie, nie? On tu będzie w następny tydzień i pogadamy o ćwiczeniu. On też się nauczy, to dobrze dla wszystkich. — Ramius przerwał opowiadanie. — Rodzina gdzie?

— Cathy pojechała z wizytą do ojca. — Ja i on... nie przepadamy za sobą.

— Bo ty szpieg?

— Z powodów osobistych. Napijesz się czegoś?

— Piwo może być.

Jack poszedł do kuchni, Ramius zaś zaczął rozglądać się wokół siebie. Pięć metrów nad piękną wykładziną podłogi wznosił się łukowaty sufit pokoju, a i reszta świadczyła o tym, że na dom wydano sporo pieniędzy. Gdy Jack wrócił, Mark spojrzał na niego podejrzliwie.

— Ryan, ja nie głupi — powiedział z powagą. — CIA tak dobrze nie płaci.

— Wiesz, co to jest rynek akcji? — zapytał z uśmiechem Ryan.

— Tak. Zainwestowałem w to część swoich pieniędzy. — Wszyscy oficerowie

„Czerwonego Października” mieli dość odłożonych pieniędzy, by już nie musieli pracować.

— Widzisz, ja zarobiłem na akcjach dużo pieniędzy, ale później zabrałem się za coś innego.

To dało Ramiusowi do myślenia.

— Ty nie jesteś... jak się mówi... chciwy? Nie chcesz być dalej chciwy?

— A ile pieniędzy człowiek potrzebuje — zadał retoryczne pytanie Ryan. Ramius w zamyśleniu skinął głową.

— Teraz ja mam kilka pytań do ciebie.

— Aha, praca — roześmiał się Marko. — O tym to nie zapominasz.

— Kiedyś w swoich relacjach wspominałeś o ćwiczeniach, kiedy ty odpaliłeś raketę, a potem wystrzelono raketę w twoją stronę.

— Tak, lata temu... Był osiemdziesiąty pierwszy rok, kwiecień... tak, kwiecień dwudziesty. Dowodzę okrętem raketowym klasy Delta i wtedy strzelamy dwie rakiety z Morza Białego: jedna na Morze Ochockie, druga na Sary-Szagan. Oczywiście próbujemy rakiety podwodne, ale i radar, i baterię obrony przeciwraketowej, co symulowała strzelanie rakiety w mój okręt.

— Powiedziałeś wtedy, że się nie udało.

Marko skinął głową:

— Rakiety lecą spod wody wspaniale. Radar od Sary-Szagan pracuje, ale za wolny, żeby przechwycić. Powiedzieli, że kłopot z komputerem. Powiedzieli, że załatwiają nowy komputer, i już więcej nie słyszałem o tym. Trzecia część próby prawie udana.

— Ta z ostrzelaniem ciebie? Pierwszy raz o tym słyszeliśmy. W jaki sposób przeprowadzono tę próbę? — zapytał Ryan.

— Oni nie strzelili rakiety lądowej, to jasne — powiedział Marko, unosząc palec w górę.

— Oni robią tak, rozumiesz o co idzie, nie? Sowieci nie tacy głupi, jak myślisz. Wiesz oczywiście, że cała sowiecka granica ogrodzona płotem z radarów. Jak tylko zauważają wystrzeloną ракетę, to zaraz liczą sobie, gdzie jest ten okręt podwodny, bo to prosta sprawa.

Potem dzwonią do Dowództwa Strategicznych Wojsk Raketowych. Strategiczne Wojska Raketowe mają na to pułk starych rakiet w pogotowiu. I oni byli gotowi strzelać na mnie w trzy minuty po tym, jak radarem wykryli moją raketę. — Przerwał na chwilę. — U was w Ameryce tego nie ma.

— Nie. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Ale nasze nowe rakiety odpalane są ze znacznie większych odległości.

— Prawda, ale to jednak dobrze dla Sowietów, co?

— Czy na tym systemie można polegać?

— Nie za bardzo — wzruszył ramionami Marko. — To zależy czy ludzie gotowi w czasie... jak powiedzieć?... w czasie kryzysu. W czasie kryzysu wszyscy gotowi i system może działać. A jak system działa, to dużo, dużo bomb nie wybucha w Związku Radzieckim. Każda to uratowanie setek tysięcy obywateli. To ważne dla radzieckiego kierownictwa. Setki tysięcy niewolników więcej po zakończonej wojnie — dodał, by wykazać niechęć dla rządu swej dotychczasowej ojczyzny. — Czegoś takiego w Ameryce nie ma, co?

— Ja nigdy o tym nie słyszałem — odpowiedział Ryan zgodnie z prawdą.

— Nam mówili, że wy macie — pokręcił głową Ramius. — Jak my odpalimy rakiety, to zanurzamy się głęboko i szybko odpływamy.

— Ostatnio próbują ocenić jak dalece rząd radziecki zainteresowany jest zrobieniem u siebie tego, co myśmy zrobili w ramach naszego programu Inicjatywy Obrony Strategicznej.

— Zainteresowany? — parsknął Ramius. — W Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej zginęło dwadzieścia milionów Rosjan. Myślisz, że chcą tego jeszcze raz? Mówię ci, że Sowieci są w tej sprawie bardziej inteligentni od Amerykanów. Dostaliśmy twardą szkołę i więcej nauczyliśmy się. Kiedyś opowiem ci o moim rodzinnym mieście po wojnie, o zniszczeniu wszystkiego. Tak, to była dobra szkoła w obronie Rodiny.

O tym podejściu Rosjan też należy pamiętać — pomyślał Jack. Nie chodzi o to, że mają zbyt długą pamięć. Przeszli w swej historii takie rzeczy, o których nigdy nie da się zapomnieć.

Oczekiwać od Rosjan, że zapomną o swoich stratach w drugiej wojnie światowej byłoby równie

daremne i równie bezsensowne, jak żądać od Żydów, by zapomnieli o Holokauście.

Tak więc ponad trzy lata temu — analizował w myślach — Rosjanie przeprowadzili ważną próbę obrony przed rakietami balistycznymi wystrzelonymi z okrętu podwodnego. Radar przechwytywania i prowadzenia celu działał prawidłowo, całość nie udała się jednak z powodu jakichś kłopotów z komputerem. Ciekawe. Ale...

— Czy przyczyna — zapytał głośno — dla której komputer nie funkcjonował prawidłowo...

— Nic więcej nie wiem — przerwał Marko. — Mogę jedynie powiedzieć, że próba była uczciwa.

— Co masz na myśli?

— Nasz pierwszy... nasz pierwotny rozkaz mówił, żeby strzelać z określonego miejsca.

Ale rozkaz zmienili, jak tylko okręt wypłynął z portu. „Tajne — tylko dla kapitana”. Taki przyszedł nowy, podpisany przez doradcę ministra obrony, jakiś pułkownik Armii Czerwonej.

Ale nazwiska już nie pamiętam. Rozkaz od ministra, ale podpisany przez pułkownika, nie?

Chciał, żeby próba była... jak to mówicie?

— Spontaniczna?

— Właśnie! Nie spontaniczna. Prawdziwa próba to ma być zaskoczenie. A więc dostaję rozkaz, co mnie wysyła w inne miejsce i każe strzelać o innej godzinie. Na pokładzie mam generała z wojsk obrony powietrznej i jak on zobaczył ten nowy rozkaz, to dostaje szału. Bardzo, bardzo zły, ale co to za próba bez zaskoczenia? Amerykański raketowiec podwodny nie dzwoni do Rosjan i nie mówi, w jaki dzień będzie strzelać. Albo jesteś gotowy, albo nie — zakończył

Ramius.

— Nie wiedziałem, że przyjeżdżacie — oschle zauważył generał Pokryszkin.

Pułkownik Bondarienko starał się zachować obojętny wyraz twarzy. Mimo że miał

pisemny rozkaz ministra obrony i sam był oficerem innego rodzaju wojsk, rozmawiał przecież z generałem, mającym własnych protektorów w Komitecie Centralnym. Lecz i generał musiał

uważać. Bondarienko ubrany był w swój najnowszy i najlepiej skrojony mundur z kilkoma rzędami baretek, z których dwie wskazywały na odznaczenia za męstwo w wojnie afgańskiej oraz ze specjalną odznaką oficera sztabowego Ministerstwa Obrony.

— Towarzyszu generale, przykro mi, jeśli spowodowałem jakieś zamieszanie, ale otrzymałem rozkazy, które mam wykonać.

— Rozumiem. — Pokryszkin uśmiechnął się i wskazał na srebrną tacę. — Herbaty?

— Bardzo proszę.

Generał sam nalał dwie filiżanki, nie wzywając ordynansa.

— Dostaliście, widzę, Czerwony Sztandar? To za Afganistan?

— Tak jest, towarzyszu generale. Byłem tam przez pewien czas.

— A za co dostaliście?

— Zostałem przydzielony do grupy Specnazu jako specjalny obserwator. Tropiliśmy małą bandę. Niestety, byli sprytniejsi, niż sądził dowódca grupy. Daliśmy się wciągnąć w zasadzkę i połowa grupy została albo ranna, albo zabita, w tym sam dowódca. — I dodał w myślach: na co sobie zasłużył. — Przejąłem dowodzenie i wezwałem posiłki. Bandyta wycofali się, zanim podciągnęły większe siły, ale i tak mieli ośmiu zabitych.

— Skąd ekspert od łączności...

— Zgłosiłem się na ochotnika. Mieliśmy kłopoty z łącznością na linii frontu, dlatego postanowiłem zbadać to osobiście. Nie jestem prawdziwym żołnierzem liniowym, towarzyszu generale, ale niektóre rzeczy trzeba sprawdzić samemu. Mam już pewne zastrzeżenia dotyczące tego ośrodka. Jesteśmy niebezpiecznie blisko granicy z Afganistanem, a wasz oddział ochrony zachowuje się, no, może nie tyle niedbale, co wygodnicko.

Pokryszkin przytaknął:

— Ochrona to KGB, jak bez wątplenia zauważyliście. Składają meldunki, ale bezpośrednio mi nie podlegają. W sprawie wczesnego ostrzegania o możliwych zagrożeniach dogadałem się z tutejszym lotnictwem frontowym. Ich ośrodek szkolenia rozpoznawczego ćwiczy w okolicznych dolinach. Mój kolega z Frunze załatwił objęcie ich działaniami całego tego obszaru. Jeżeli ktokolwiek zbliży się od strony Afganistanu, a to spory odcinek do przejścia, będziemy o tym wiedzieli sporo wcześniej.

Bondarience podobał się ten pomysł. Niezależnie od tego, co się mówiło o Pokryszkinie, nie należał jednak do tych, którzy — jak zdarza się wielu generałom — wszystkiego zapomnieli.

— A więc, Giennadiju Josifowiczu, o co wam dokładnie chodzi? — Zapytał generał.

Teraz, gdy obaj przekonali się, że są zawodowcami, atmosfera stała się trochę cieplejsza.

— Minister życzy sobie oceny skuteczności i niezawodności waszych systemów.

— A co wiecie o laserach? — zapytał Pokryszkin z lekkim zdziwieniem.

— Znam się na ich zastosowaniu praktycznym. Należałem do zespołu akademika Goremykina, pracującego nad nowym systemem łączności z zastosowaniem laserów.

— Naprawdę? Mamy tu kilka takich urządzeń.

— Nie wiedziałem o tym.

— Ależ tak. Używamy ich na wieżach strażniczych oraz do łączności między laboratoriami a warsztatami. To łatwiejsze i bezpieczniejsze niż zakładanie linii telefonicznych.

Wasz wynalazek, Giennadiju Josifowiczu, okazał się bardzo użyteczny. Wiecie oczywiście, jakie jest nasze zadanie.

— Tak jest, towarzyszu generale. Jak blisko celu jesteście?

— Za trzy dni przeprowadzimy główną próbę systemu.

— Ach tak? — Bondarienko był wielce zaskoczony tą wiadomością.

— Zgodę na jej przeprowadzenie otrzymaliśmy dopiero wczoraj. Być może ministerstwo nie zostało dokładnie powiadomione. Czy moglibyście zostać do tego czasu?

— Nie przepuściłbym takiej okazji.

— To wspaniale. — Generał Pokryszkin wstał. — No to chodźmy obejrzyć tych moich magików.

Niebo było przejrzyste, niebieskie błękitem ciemniejszym niż zwykle, znajdowali się bowiem w wysokiej warstwie atmosfery. Bondarienkę zdziwiło, że generał sam prowadzi terenowego UAZ-a 469.

— Nie musicie pytać, pułkowniku. Sam siebie wożę, ponieważ nie ma u nas miejsca na zbędny personel, a poza tym... poza tym jestem pilotem myśliwskim. Dlaczego miałbym powierzać swoje życie jakiemuś gołowąsowi, który ledwo potrafi zmieniać biegi? Jak wam się podobają nasze drogi?

Niezbyt — przyznał w duchu Bondarienko. Generał pędził w dół drogą o szerokości zaledwie pięciu metrów, z urwistym zboczem z prawej strony.

— Powinniście spróbować takiej jazdy, kiedy wszystko oblodzone — roześmiał się generał. — Ostatnio pogoda jest dla nas łaskawa. Zeszłej jesieni padało przez dwa tygodnie, co się tu zdarza dość rzadko, jako że monsun powinien zrzucić całą tę wilgoć w Indiach. Zima za to jak dotąd znośna, bezśnieżna.

Zmienił biegi, gdy droga przestała opadać. Z przeciwnej strony nadjeżdżała ciężarówka i

Bondarienko ze wszystkich sił starał się nie kulić na siedzeniu, gdy prawe koła samochodu załomotały na kamieniach nierównego pobocza. Pokryszkin zabawiał się jego kosztem, lecz tego należało się spodziewać. Ciężarówka przemknęła niecały metr od nich i łazik wrócił na środek czarnej wstęgi drogi. Generał znowu zmienił biegi. Zaczęli wjeżdżać pod górę.

— Nie mamy tu nawet miejsca na porządne biuro, przynajmniej dla mnie — powiedział

Pokryszkin. — Naukowcy mają pierwszeństwo.

Rankiem, biegnąc dookoła osiedla, Bondarienko widział tylko jedną wieżę strażniczą.

Teraz, gdy samochód pokonywał ostatnie metry wzniesienia, można było zobaczyć cały ośrodek doświadczalny JASNEJ GWIAZDY.

Przejechali przez trzy punkty kontrolne. Na każdym z nich Pokryszkin zatrzymywał pojazd i okazywał przepustkę.

— Co z wieżami strażniczymi? — zapytał Bondarienko.

— Wszystkie obsadzone są przez okrągłą dobę. Czekiści mają tu ciężko. Musiałem im zainstalować ogrzewanie elektryczne — roześmiał się generał.

— Mamy więcej energii elektrycznej niż możemy wymyślić dla niej zastosowań.

Przedtem mieliśmy tu psy wartownicze, biegające między ogrodzeniami, ale musieliśmy z tego zrezygnować: dwa tygodnie temu kilka z nich zamarzło na śmierć. Wiedziałem, że to się nie uda.

Zostało jeszcze parę, lecz teraz chodzą ze strażnikami. Najchętniej i tych bym się pozbył.

— Ale...

— Za dużo pysków do żywienia — przerwał mu Pokryszkin. — Gdy zaczyna padać śnieg, żywność transportujemy śmigłowcami. Psom, żeby trzymały się dobrze, potrzebne jest mięso. A wiecie, jak to działa na morale załogi ośrodka, gdy psy jedzą mięso, którego nie starcza dla naukowców? Nie są warte takiego zachodu. Zgadza się z tym dowódca oddziału KGB i stara się uzyskać zgodę na pozbycie się ich z ośrodka. Na wszystkich wieżach są noktowizory: możemy zobaczyć intruza na długo przed tym, nim wyczuje go czy zobaczy nasz pies.

— Jak liczny jest oddział wartowniczy?

— To wzmocniona kompania piechoty: stu szesnastu oficerów i żołnierzy pod dowództwem pułkownika. Przez całą dobę na służbie jest co najmniej dwudziestu ludzi. Połowa tu, połowa na drugim szczycie. Tutaj na każdej wieży po dwóch ludzi, plus czterech na patrolu, i oczywiście strażnicy w punktach kontroli pojazdów. Obszar jest dobrze chroniony, pułkowniku.

Cała kompania piechoty, z bronią ciężką, na szczycie góry... Żeby mieć pewność, załatwiliśmy ćwiczenia grupy Specnazu, która miała nas tu zaatakować. Rozjemcy orzekli, że wszyscy oni zostali „zabici”, zanim dotarli na odległość czterystu metrów od pierwszej linii ogrodzeń. Jeden z nich o mało co nie zginął naprawdę. Taki poruczniczek prawie że spadł z tej góry. — Pokryszkin spojrzał na Bondarienkę. — Jesteście teraz zadowoleni?

— Tak jest, towarzyszu generale. Proszę wybaczyć moje nadmiernie ostrożne usposobienie.

— Przecież nie dostaliście tych piękniutek wstążeczek za tchórzostwo — zażartował

generał. — Zawsze jestem otwarty na nowe pomysły. Jeżeli zechcecie mi coś powiedzieć, przychodźcie śmiało.

Bondarienko pomyślał, że jednak polubi generała Pokryszkina. Znajdował się wystarczająco daleko od Moskwy, by nie zachowywać się jak nadgorliwiec, i w odróżnieniu od większości generałów, z pewnością nie podziwiał aureoli nad swoją głową w czasie porannej toalety. Może jednak z tym ośrodkiem nie jest tak źle. Filitow będzie zadowolony.

— Jakbym był myszą i widział nad sobą sokoła — powiedział Abdul.

— Więc rób to, co robi mysz — rzucił obojętnie Łucznik. — Siedź w ukryciu. Spojrzał w górę, na krążący samolot. Był pięć tysięcy metrów nad nimi i gwizd jego silników turbinowych prawie do nich nie dochodził. Za wysoko na wystrzelenie rakiety — wielka szkoda. Inni mudżahedini mieli już na koncie zestrzelenia Antonowów, Łucznik — ani jednego. W ten sposób można byłoby zabić ze czterdziestu Rosjan. Ale tamci też się uczyli, jak wykorzystywać te przerobione transportowce do obserwacji z powietrza. Nie ułatwiało to życia partyzantom.

Szli we dwóch wąską ścieżką wzdłuż zbocza góry, pozostającą jeszcze w cieniu, chociaż większość kotliny zalana była słońcem świecącym na bezchmurnym, zimowym niebie. Nad niewielką rzeką znajdowały się ruiny zbombardowanej wsi. Mieszkało tam niegdyś około dwustu osób, dopóki nie nadleciały bombowce. Widzieli teraz leje ciągnące się nierównymi szeregami przez jakieś dwa, trzy kilometry. Bomby jakby przemaszerowały przez dolinę, a ci, których nie dosięgły, uciekli do Pakistanu, pozostawiając za sobą pustkę. Nie było żywności, z której mogliby skorzystać partyzanci, nie było gościnnych domów, nie było nawet meczetu, w którym mogliby się pomodlić. W Łuczniku wciąż jeszcze tkwiło coś, co dziwiło się okrucieństwu tej wojny. Walka między mężczyznami to co innego; może być zaszczytem, który czasem warto dzielić z godnym tego wrogiem. Ale Rosjanie tak nie walczyli. I jeszcze nazywają nas dzikusami...

Tak wiele przepadło. To, kim był kiedyś, nadzieje na przyszłość, całe jego poprzednie życie coraz bardziej się oddalało z każdym mijającym dniem. Teraz myślał o tym chyba tylko wtedy, gdy spał, a kiedy się budził, sny o spokojnym, spełnionym życiu ulatywały jak poranna mgła. I te sny jednak powoli blakły. Nadal jawiły mu się twarze żony, córki, syna, lecz były już jak fotografie — płaskie,

bez życia, okrutne pamiątki czasów, które nie wrócą. Ale przynajmniej wyznaczały cel jego życia. Kiedy czuł litość dla swych ofiar, kiedy zastanawiał się, czy Allah naprawdę pochwała jego czyny, zamykał na chwilę oczy i przypominał sobie, dlaczego krzyki umierających Rosjan brzmią w jego uszach równie słodko jak niegdyś okrzyki namiętności jego żony.

— Odlatują — usłyszał głos Abdula i obrócił się.

Słońce błysnęło na stateczniku pionowym samolotu przelatującego nad odległymi grzbietami gór. Nawet gdyby znajdował się na ich szczycie, Antonow i tak leciał za wysoko.

Rosjanie nie byli głupi i nie latali niżej niż to było konieczne. Jeśli naprawdę chce dobrać się do któregoś z nich, musi podejść blisko lotniska... lub opracować nową taktykę. To był pomysł.

Idąc nie kończącą się skalistą ścieżką, Łucznik zaczął się nad tym zastanawiać.

— Będzie działać? — zapytał Morozow.

— Właśnie taki jest cel tej próby: sprawdzić działanie — wyjaśnił mu cierpliwie starszy inżynier. Pamiętał czasy, kiedy sam był młody i niecierpliwy. A Morozow miał zdolności.

Wskazywały na to jego papiery z uniwersytetu. Ten syn robotnika z kijowskiej fabryki swoją inteligencją i ciężką pracą zdobył skierowanie do najslawniejszej uczelni Związku Radzieckiego.

Ukończył ją z najwyższym wyróżnieniem, wystarczającym, by go zwolnić z obowiązku służby wojskowej, co ludziom bez koneksji politycznych udawało się rzadko.

— Ta nowa powłoka lustrzana... — Morozow patrzył na zwierciadło z odległości kilku zaledwie centymetrów. Obaj mieli na sobie kombinezony, maski i rękawiczki, by nie uszkodzić powierzchni zwierciadła numer cztery.

— Jak się zorientowaliście, to też sprawdzamy — powiedział inżynier, po czym odwrócił się i zawołał: — Gotowe!

— Opuścić stanowisko! — polecił ktoś inny.

Zeszli na dół drabinką umocowaną wzdłuż kolumny, potem przedostali się przez wykop do betonowej cembrowiny, która go otaczała.

— Głęboko tu — zauważył Morozow.

—

Tak.

Musimy

również

sprawdzić

skuteczność

naszych

zabezpieczeń

przeciwwstrząsowych.

Starszy inżynier wyraźnie się tym martwił. Teraz usłyszał silnik łożnika, obejrzał się i zobaczył dowódcę ośrodka, prowadzącego jakiegoś człowieka do pomieszczenia z laserami.

Jeszcze jeden gość z Moskwy — pomyślał. Czy uda nam się kiedykolwiek czegoś dokonać, jeżeli ci partyjniacy będą nam ciągle stali nad głowami?

— Mieliście okazję poznać generała Pokryszkina? — zapytał Morozowa.

— Nie. Co to za człowiek?

— Widziałem gorszych. Jak większość ludzi, tak i on uważa, że najważniejsze są tu lasery. Lekcja pierwsza, Borysie Filipowiczu: naprawdę ważne są tu zwierciadła — one i komputery. Lasery są bezużyteczne, jeśli nie potrafimy zogniskować ich energii w określonym punkcie przestrzeni.

Z tej lekcji Morozow wywnioskował, którą częścią badań zawiaduje ten człowiek. Młody inżynier zrozumiał już jednak lekcję podstawową: wszystkie elementy systemu pracować muszą idealnie. Jeżeli którykolwiek z nich będzie niesprawny, to najdroższa w Związku Radzieckim aparatura stanie się jedynie zbiorem osobliwych zabawek.

Oko węża — paszcza smoka

Przerobiony Boeing 767 miał dwie nazwy. Pierwotną — Przyrząd Optyczny Pilotowany, i obecną, która przynajmniej brzmiała lepiej — „Cobra Belle”. Samolot dźwigał w swym szerokim kadłubie największy teleskop na podczerwień, jaki udało się tam ulokować. A i tak trzeba było dodać niezgrabny garb ciągnący się od kabiny pilotów do połowy kadłuba. Po tej przeróbce Boeing rzeczywiście wyglądał jak wąż, który połknął coś, wielkiego i teraz nie może tego strawić.

Bardziej jednak godne uwagi były litery na stateczniku pionowym: U.S. ARMY. Fakt umieszczenia tego napisu, który doprowadzał do szału Siły Powietrzne, był następstwem szczególnej zdolności

przewidywania, czy też uporu ze strony Armii, która nawet w latach siedemdziesiątych nie przerwała badań nad obroną przeciwrakietową. W podległym Armii

„Warsztaciku” (tak nazywano tego typu laboratoria) wynaleziono czujniki na podczerwień, zamontowane teraz na pokładzie POP.

Samolot był tylko częścią przedsięwzięcia Sił Powietrznych, określanego zbiorczą nazwą

„Cobra”. Współdziałał z radarem „Cobra Dane”, znajdującym się w bazie lotnictwa Shemya, i często odbywał wspólne loty z „Cobra Belle”, przerobionym z Boeinga 707. Kryptonim „Cobra”

oznaczał bowiem cały system środków wykrywania radzieckich rakiet balistycznych. Armia czerpała satysfakcję z tego, że lotnictwo potrzebuje jej pomocy, choć jednocześnie zdawała sobie sprawę z prób przejęcia tej działalności.

Załoga spokojnie wykonywała czynności przedstartowe — mieli dużo czasu. Byli to ludzie z Boeinga: jak dotąd Armia pomyślnie odparła próby umieszczenia przez Siły Powietrzne swoich ludzi na pokładzie POP. Drugi pilot, były lotnik wojskowy przesuwając palcem po liście, beznamytnie wyczytywał kolejne czynności, podczas gdy pierwszy pilot i nawigator-inżynier pokładowy naciskali przyciski, sprawdzali wskaźniki i wykonywali wszystko, co niezbędne, by lot przebiegał bezpiecznie.

Najgorsza część zadania to pogoda na ziemi. Shemya, jedna z wysepek zachodnich Aleutów, ma około siedmiu kilometrów długości i czterech kilometrów szerokości. Jej najwyższy punkt wznosi się siedemdziesiąt dwa metry nad poziomem ciemnoszarego oceanu. To, co na Aleutach uchodziło za przeciętne warunki atmosferyczne, na większości znanych lotnisk byłoby powodem zamknięcia ruchu, zaś przy tak zwanej złej pogodzie załoga Boeinga wolałaby siedzieć w kabinie lokomotywy, a nie samolotu. W bazie Shemya powszechnie uważano, że Rosjanie dokonują prób z raketami międzykontynentalnymi w rejonie Morza Ochockiego tylko po to, by możliwie jak najbardziej uprzykrzyć życie Amerykanom. Dziś pogoda była całkiem przyzwoita.

Widać było niemal cały pas startowy, zakończony niebieskimi lampami w kulistej poświacie z mgły. Jak większość lotników, pilot wolał startować za dnia, lecz tutejsza zima stwarzała wyjątek od tej zasady. Przebiegł w myślach dzisiejsze dobrodziejstwa pogody: podstawa chmur na czterech tysiącach metrów, jeszcze nie pada. Pewną uciążliwość stanowią wiatry boczne, ale tu wiatr nigdy nie wieje wtedy, kiedy jest potrzebny — a ściślej mówiąc, projektanci pasa startowego nie wiedzieli, że wiatr jest czymś, z czym należy się liczyć przy lataniu samolotami, albo też niewiele ich to obchodziło.

— Wieża, tu Charlie Bravo, proszę o zezwolenie na kołowanie.

— Charlie Bravo, zezwalam. Kierunek wiatru dwa-pięć-zero, prędkość siedem koma pięć.

Wieża nie musiała podawać, że „dobra Belle” jest na pierwszym miejscu w kolejce oczekujących na start — byli jedynym samolotem w bazie. Boeing miał się rzekomo znajdować w Kalifornii na

próbach sprzętu, naprawę zaś dwadzieścia godzin temu ściągnięto go tutaj.

— Zrozumiałem. Charlie Bravo na rozbiegu — potwierdzono z Boeinga i w dziesięć minut później samolot mknął po pasie startując do kolejnego rutynowego lotu.

W dwadzieścia minut później POP osiągnął pułap operacyjny czternastu tysięcy metrów.

Lot był równie płynny jak w pasażerskich samolotach rejsowych, tyle że zamiast sączyć pierwsze drinki i zamawiać posiłki, operatorzy pokładowi rozpięli pasy foteli i przystąpili do pracy.

Należało włączyć przyrządy, uruchomić komputery, przygotować linie przesyłania danych i łączności fonicznej. Samolot wyposażony był we wszystkie znane systemy łączności, a miałby także na pokładzie specjalistę od telepatii, gdyby jeden z programów badawczych Ministerstwa Obrony spełnił swego czasu pokładane w nim nadzieje. Dowódcą dzisiejszego lotu był artylerzysta, z dyplomem uniwersyteckim w dziedzinie... astronomii. Ostatnio dowodził

baterią rakiet Patriot w Niemczech. Większość ludzi patrząc na samoloty ma chęć nimi polatać, tego człowieka natomiast interesowały one jedynie jako cele do zestrzeliwania, podobnie jak rakiet balistyczne. Stąd jego współpraca przy modyfikacjach rakiet Patriot, które oprócz samolotów mogły też strącać rakiety. Z tego okresu pozostała mu dokładna znajomość urządzeń do śledzenia rakiet w locie.

Dzisiejsze zadanie pułkownika wiązało się z informacją przesłaną telefaksem z waszyngtońskiej siedziby agencji wywiadu wojskowego DIA: za cztery godziny i szesnaście minut Rosjanie przeprowadzą próbę z międzykontynentalną rakieta balistyczną typu SS-25.

Telefaks nie mówił nic o sposobie zdobycia tej informacji, ale pułkownik wiedział, że nie uzyskali jej czytając dział ogłoszeń w „Izwiestiach”. Zadaniem „Cobra Belle” było obserwowanie startu rakiety, przechwycenie wszystkich sygnałów telemetrycznych z zainstalowanych w niej urządzeń kontrolno-pomiarowych, a co najważniejsze, wykonanie zdjęć głowicy w locie. Zgromadzone dane zostaną później zanalizowane w celu określenia parametrów rakiety, szczególnie zaś celności. To interesowało Waszyngton najbardziej.

Jako dowódca lotu, pułkownik nie miał wiele do roboty. Jego pulpit kontrolny stanowiła płyta z kolorowymi światełkami pokazującymi działanie różnych systemów pokładowych. POP

był względnie nowym elementem arsenału Armii, toteż wszystko na pokładzie pracowało dość dobrze. Dziś szwankował tylko zapasowy kanał transmisji danych, ale technik już się nim zajął.

Pułkownik wypił łyk kawy. Przy takiej beczynności udawanie zainteresowania wymagało od niego pewnego wysiłku, gdyby jednak miał znudzoną minę, dawałby zły przykład załodze.

Sięgnął do kieszeni na rękawie kombinezonu i wyciągnął cukierek. To zdrowsze od papierosów, które palił będąc jeszcze porucznikiem, chociaż niezbyt dobre dla zębów, jak podkreślał dentysta w jednostce. Ssał cukierek przez kilka minut, zanim zdecydował, że należy się czymś zająć.

Rozpiął pasy fotela i poszedł do kabiny pilotów.

— Dzień dobry wszystkim. — Była bowiem godzina 0004-Lima, czyli po prostu cztery minuty po północy czasu lokalnego.

— Dzień dobry, panie pułkowniku — odpowiedział pilot w imieniu swojej załogi. — Czy tam za nami wszystko działa?

— Jak na razie. Jaka pogoda w strefie patrolowania?

— Gęsta warstwa chmur na wysokości trzech i pół do czterech i pół tysiąca —

odpowiedziała nawigatorka, pokazując zdjęcie satelitarne. — Kierunek wiatru trzy-dwa-pięć, prędkość piętnaście metrów na sekundę. Wskazania naszych systemów nawigacyjnych zgodne z danymi kontroli lotów w bazie Shemya — dodała.

Zazwyczaj Boeing 767 ma załogę dwuosobową, ale nie w tym przypadku. Od czasu zestrzelenia przez Rosjan koreańskiego Boeinga pasażerskiego, każdy samolot lecący nad zachodnim Pacyfikiem prowadził szczególnie dokładną nawigację. Odnosiło się to zwłaszcza do

„Cobra Belle”, ponieważ Rosjanie bardzo nie lubili wszelkich statków i samolotów zajmujących się zbieraniem danych wywiadowczych. Nigdy nie latano bliżej niż siedemdziesiąt pięć kilometrów od wybrzeży radzieckich, nie wchodziło też w strefę identyfikacyjną radzieckiej obrony powietrznej. Mimo to Rosjanie dwukrotnie wysłali im na spotkanie myśliwce, by okazać swoje zaniepokojenie.

— Mamy nie podchodzić zbyt blisko — powiedział pułkownik i oparł się o fotele pilotów, żeby wyrzeć przez okienka. Oba silniki pracowały bez zarzutu. Co prawda do dłuższych lotów nad oceanem wolałby mieć samolot czterosilnikowy, ale to już nie zależało od niego. Nawigatorkę zdziwiło nieco zainteresowanie dowódcy. Ten, jakby przepraszając, poklepał

ją po ramieniu. Pora wychodzić.

— Ile jeszcze do strefy obserwacji?

— Trzy godziny siedemnaście minut, panie pułkowniku. Do strefy oczekiwania jeszcze trzy godziny trzydzieści dziewięć minut.

— Chyba pójde się zdrzemnąć — powiedział kierując się ku wyjściu. Zamknął za sobą drzwi kabiny, minął zespół teleskopu i poszedł w stronę kabiny głównej. Dlaczego załogi latające są teraz tak cholernie młode? Pewnie myślą, że drzemka jest mi potrzebna, a nie że inaczej zanudzę się na śmierć. W kabinie za nim pilot i drugi pilot wymienili znaczące spojrzenia: ten stary piernik chyba nie wierzy, że potrafimy pilotować? Usiedli wygodniej w fotelach i znowu zaczęli wypatrywać migających świateł pozycyjnych innych samolotów. Ich maszynę prowadził

autopilot.

Morozow, tak jak i inni naukowcy w sali sterowania, miał na sobie biały kitel z przypiętą doń przepustką. Jego przydział do zespołu sterowania zwierciadłami był prawdopodobnie tymczasowy, chociaż inżynier zaczynał już doceniać ważność tej części prac. W Moskwie uczył

się, jak działają lasery, przeprowadzał w laboratorium widowskie doświadczenia, ale nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy, że wiązka promieniowania opuszczająca urządzenie to dopiero początek. Zresztą JASNA GWIAZDA ma już za sobą przełom w zakresie mocy laserów.

— Włączyć komputer — powiedział starszy inżynier do mikrofonu.

Sprawdzali kalibrowanie systemu kierując zwierciadła na odległą gwiazdę. Nie chodziło o jakąś konkretną — do każdej próby wybierali taki cel na chybił trafił.

— Czyż to nie fantastyczny teleskop? — rzucił, patrząc na ekran monitora.

— Niepokoiła was stabilność systemu. Dlaczego?

— Jak się domyślacie, potrzebujemy bardzo wysokiego stopnia dokładności. W gruncie rzeczy do tej pory nie testowaliśmy całego systemu. Możemy z łatwością śledzić gwiazdy, ale...

— wzruszył ramionami. — Stawiamy dopiero pierwsze kroki, przyjacielu. Tak jak ty.

— Dlaczego z pomocą radaru nie wyszukacie jakiegoś sputnika i nie śledzicie go?

— Świetne pytanie! — roześmiał się starszy inżynier. — Sam byłem ciekaw. Ma to jakiś związek z układem o kontroli zbrojeń lub czymś w tym rodzaju. Podobno na razie mają nam wystarczyć współrzędne celów, przekazywane telefonicznie, a nie własne namiary. Bzdura! —

orzekł w końcu.

Morozow odchylił się w fotelu i rozejrzał dookoła. Po drugiej stronie sali trwała gorączkowa krzątanina w zespole sterowania zwierciadłami, a w pobliżu stała grupa wojskowych, szepczących coś do siebie. Spojrzał na zegar: sześćdziesiąt trzy minuty do rozpoczęcia próby. Technicy wychodzili jeden po drugim do toalety. Nie czuł takiej potrzeby, podobnie jak jego kierownik sekcji, który w końcu oświadczył, że jest zadowolony z pracy systemów i przełączył wszystkie bloki w stan gotowości.

Amerykański satelita systemu DSP wisiał na orbicie geostacjonarnej, na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy siedmiuset kilometrów nad określonym punktem Oceanu Indyjskiego.

Jego olbrzymi teleskop zwierciadlany typu Schmidta był stale nakierowany na Związek Radziecki. Dane z satelity, którego główne zadanie miało polegać na natychmiastowym ostrzeżeniu w razie odpalenia rosyjskich rakiet w kierunku Stanów Zjednoczonych przekazywano za pośrednictwem australijskiej stacji naziemnej w Alice Springs do różnych ośrodków wojskowych w Stanach. Obecnie warunki obserwacji były wspaniałe. Prawie cała widoczna półkula planety pogrążona była

w ciemnościach. Na tle chłodnej, zimowej powłoki dawało się ustalić najmniejsze nawet źródło ciepła.

Technicy w kalifornijskim Sunnyvale, którzy sterowali systemem DSP, jak zawsze zabawiali się wyliczaniem obserwowanych zakładów przemysłowych: to stalownia imienia Lenina w Kazaniu, tamto to olbrzymia rafineria koło Moskwy, a tutaj...

— Uwaga, rozbłysk w Plesiecku — oznajmił sierżant. — Wygląda na start rakiety międzykontynentalnej z ośrodka doświadczalnego.

Major, który tej nocy miał służbę, połączył się natychmiast z „Kryształowym Pałacem”, jak nazywano siedzibę NORAD dowództwa obrony powietrznej Ameryki Północnej, usytuowaną we wnętrzu góry Cheyenne w Kolorado, i upewnił się, że oni też odebrali tę informację z satelity.

— To ta próba, o której nam mówili — powiedział do siebie. Widzieli, jak świetlista plama gazów wylotowych rakiety zaczęła skręcać w kierunku wschodnim. Rakieta wchodziła na balistyczny — stąd jej nazwa — tor lotu. Major znał na pamięć dane techniczne wszystkich radzieckich rakiet. Jeżeli to model SS-25, pierwszy stopień powinien oddzielić się właśnie...

teraz.

Ekran rozbłysł przed ich oczami ognistą kulą o średnicy ponad pięciuset metrów. Kamera na orbicie dokonała mechanicznego „zmrużenia oczu”, zmniejszając czułość po oślepieniu czujników nagłym wybuchem energii cieplnej. W trzy sekundy później urządzenia obserwowały chmurę gorących odłamków opadających ku ziemi.

— Chyba się rozleciała — całkiem zbytecznie skomentował sierżant. — Wracaj, Iwanie, do deski kreślarskiej...

— Wciąż mają kłopoty z drugim stopniem — dodał major. Przez chwilę zastanawiał się nad przyczyną błędu, ale w gruncie rzeczy niewiele go to obchodziło. Rosjanie pospieszyli się z produkcją „dwudziestekpiątek” i montowaniem ich na platformach kolejowych. Miało to zwiększyć ruchliwość tej wersji rakiet na paliwo stałe. Majora cieszyły rosyjskie kłopoty.

Wystarczyło, że pociski były choć trochę zawodne, by ich stosowanie wiązało się z ryzykiem. Ta właśnie niepewność była ciągle najlepszą gwarancją pokoju.

— Halo, „Kryształowy Pałac”! Rejestrujemy próbę jako nieudaną w pięćdziesiątej siódmej sekundzie po starcie. Czy „Cobra Belle” obserwowała ich z góry?

— Zgadza się — odpowiedział oficer w NORAD. — Ściągamy ich do bazy.

— Zrozumiałem. Dobranoc, Jeff.

W dziesięć minut później dowódca „Cobra Belle” potwierdził odbiór rozkazu i wyłączył

nadajnik. Popatrzył na zegarek i westchnął. Jeszcze nie chciało mu się wracać do bazy. Kapitan nadzorujący urządzenia obserwacyjne samolotu zaproponował, żeby wykorzystać czas na ich kalibrowanie. Pułkownik zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową. Nowy samolot i świeża załoga potrzebowali ćwiczeń. Przełączono system obserwacyjny na tryb wskazywania celów ruchomych. Komputer, który dotąd rejestrował wszystkie źródła ciepła wykryte przez kamerę, teraz zaczął wyszukiwać tylko cele ruchome. Technicy obserwowali na ekranach, jak szybko urządzenie eliminowało gwiazdy, teraz wskazując tylko nisko krążące satelity i kawałki złomu kosmicznego. Czulość systemu pozwalała zarejestrować nawet ciepło ludzkiego ciała z odległości ponad tysiąca kilometrów. Wkrótce wyodrębniona została grupa celów: kamera przesuwiała się od jednego do drugiego, a ich obraz był cyfrowo rejestrowany przez komputer. Z

założenia było to jedynie ćwiczenie, dane zostaną jednak przekazane do NORAD, by pomóc w uaktualnianiu ich bazy informacji o obiektach krążących wokół Ziemi.

— Wasze osiągnięcia w uzyskaniu wielkości mocy wiązki są oszałamiające —

powiedział pułkownik Bondarienko.

— Tak — zgodził się generał Pokryszkin. — Zabawne, jak to się dzieje: jeden z moich magików zauważa coś i mówi drugiemu, tamten powtarza trzeciemu, ten trzeci z kolei mówi coś, co wraca do pierwszego, i tak dalej. Mamy tutaj najlepsze umysły w kraju, a mimo to dochodzenie do właściwych rozwiązań wydaje się tak samo naukowe, jak potknięcie się o krzesło. To w tym wszystkim najdziwniejsze, ale i najbardziej ekscytujące Giennadiju Josifowiczu, że nie przeżyłem niczego równie podniecającego, od czasu, gdy zostałem pilotem.

To miejsce zmieni świat. Po trzydziestu latach pracy chyba stworzyliśmy podstawy systemu, który ochroni Rodinu przed wrogimi raketami.

Bondarienko pomyślał, że to jednak przesada, ale dopiero próba wykaże jak duża.

Generał Pokryszkin był niewątpliwie najodpowiedniejszym człowiekiem do kierowania całym zadaniem. Ten były pilot myśliwski miał wybitny talent do nadzorowania prac naukowców i inżynierów, których miłość własna rozmiarami często dorównywała czołgowi, tyle że o wiele łatwiej podlegała zranieniu. Kiedy trzeba było postraszyć, straszył. Kiedy trzeba było pochlebstw, przypochebiał. W zależności od potrzeb był im ojcem, stryjem, bratem. Wszystko to wymagało człowieka o szczodrym, rosyjskim sercu. Pułkownik sądził, że dobrym przygotowaniem do obecnego zadania było dla generała dowodzenie pilotami myśliwskimi.

Musiał być wspaniałym dowódcą pułku. Utrzymywanie równowagi między prośbą a groźbą jest trudne, lecz temu człowiekowi przychodziło równie łatwo jak oddychanie. Bondarienko bacznie obserwował jego poczynania, uważając, że z takich lekcji może czerpać naukę, która przyda mu się we własnej przyszłej karierze.

Sala sterowania, oddzielona od pomieszczeń z laserami, z trudem mogła pomieścić aparaturę i obsługujących ją ludzi. Ponad setka inżynierów, w tym sześćdziesięciu doktorów fizyki oraz technicy, z których każdy mógłby wyklądać przedmioty ścisłe w dowolnej uczelni Związku Radzieckiego, krążyli lub siedzieli przy swych pulpitych. Większość paliła i system klimatyzacyjny, używany do chłodzenia komputerów, ledwie nadążał z wymianą powietrza.

Wszędzie widać było wskaźniki cyfrowe, w większości pokazujące czas: lokalny, czas Greenwich, według którego określano pozycje sputników, no i oczywiście czas moskiewski. Inne wskaźniki podawały

dokładne

współrzędne

sputnika-celu

Kosmos-1810,

noszącego

międzynarodowe oznakowanie 1986-102A. Wystrzelony z kosmodromu w Tiuratom 26 grudnia 1986 roku, wciąż krążył, ponieważ nie udało się go ściągnąć wraz z wykonanymi przezeń zdjęciami. Dane telemetryczne wskazywały, że systemy elektryczne nadal działały, chociaż orbita powoli się obniżała. Obecne perygeum, czyli odległość od najbliższego punktu orbity do Ziemi, wynosiło sto osiemdziesiąt kilometrów. Teraz Kosmos zbliżał się do tego właśnie punktu, znajdującego się nad JASNĄ GWIAZDĄ.

— Włączyć zasilanie! — polecił główny inżynier. — Ostatnia próba systemu.

— Kamery śledzące włączone — rozległ się w zawieszonych na ścianach głośnikach meldunek jednego z techników. — Przepływ chłodziwa w normie.

— Automatyka sterowania zwierciadłami włączona — zameldował inżynier obok Morozowa. Młody inżynier siedział na brzegu fotela, wpatrując się w pusty jeszcze ekran.

— Sekwencjonowanie komputerowe włączone — dodał ktoś inny. Bondarienko popijał

herbatę. Bezskutecznie starał się zapanować nad sobą. Zawsze chciał być obecny przy wystrzeleniu rakiety kosmicznej, ale jak dotąd nie było mu to dane. Teraz zaś był świadkiem czegoś podobnego. Ogarnęło go podniecenie. Otaczający go ludzie i urządzenia stapiali się w jedno dla wykonania zadania. Meldowali kolejno gotowość swoją i nadzorowanych urządzeń, aż w końcu padło:

— Wszystkie układy laserowe włączone.

— Gotowi do strzału — oznajmił wreszcie główny inżynier. Oczy wszystkich zwróciły się ku prawej stronie budynku, gdzie obsługa kamer śledzących celowała w północno-zachodni odcinek horyzontu. Pojawiła się tam biała kropka biegnąca ku górze czarnej kopuły nocnego nieba...

— Cel uchwycony!

Inżynier obok Morozowa zdjął ręce z pulpitu, by przypadkowo nie nacisnąć jakiegoś przełącznika. Migła lampka z napisem STEROWANIE AUTOMATYCZNE.

Dwieście metrów dalej sześć zwierciadeł ustawionych wokół budynku z laserami jednocześnie obróciło się i ustawiło prawie pionowo, śledząc cel znajdujący się za postrzępionymi górami na horyzoncie. W chwilę potem taki sam manewr wykonały cztery zwierciadła układu zobrazowania. Zawyły syreny i zamigotały światła, ostrzegając obecnych na zewnątrz, by odwrócili głowy od budynku z laserami.

Na tablicy kontrolnej głównego inżyniera, obok ekranu monitora, przyczepiona była fotografia Kosmosu-1810. Aby wykluczyć jakąkolwiek pomyłkę, inżynier i trzech innych miało zidentyfikować cel wizualnie.

— Ten tam, to Kosmos-1810 — informował kapitan pułkownika na pokładzie „Cobra Belle”. — Uszkodzony satelita rozpoznawczy. Miał pewnie awarię silników manewrujących i nie zszedł z orbity po otrzymaniu polecenia z Ziemi. Jest na orbicie malejącej i zostało mu jeszcze jakieś cztery miesiące. Nadal wysyła standardowe dane telemetryczne. Dla nas nic ważnego, po prostu informuje Ruskich, że jeszcze lata.

— Baterie słoneczne wciąż chyba pracują — zauważył pułkownik. Źródła ciepła znajdowały się wewnątrz satelity.

— Tak. Ciekaw jestem, dlaczego po prostu go nie wyłączyli... W każdym razie, temperatura wewnętrzna wynosi... eee... jakieś piętnaście stopni Celsjusza. Przy takim chłodnym tle łatwo jest dokonać pomiaru. W słońcu moglibyśmy mieć trudności z wyłapaniem różnicy między ciepłem wewnętrznym a nagraniem powierzchni...

Zwierciadła układu laserowego powoli się przesuwały śledząc cel. Ruch ten można było zaobserwować na sześciu monitorach. Impuls z lasera małej mocy odbił się od jednego ze zwierciadeł i „pomknął” ku celowi... Układ został wycelowany, a na monitorze pulpitu sterowania pojawił się także bardzo wyraźny obraz celu. Jego tożsamość została potwierdzona i główny inżynier przekręceniem klucza uruchomił system. Odtąd JASNĄ GWIAZDĄ nie kierowały już ludzkie ręce. Sterowanie przejął całkowicie zespół komputerów ośrodka.

— Trzyma się celu — powiedział Morozow do swego starszego kolegi. Tamten przytaknął. Liczba na wskaźniku odległości szybko malała w miarę zbliżania się sputnika, który pędził ku swojej zagładzie z prędkości trzydziestu dwóch tysięcy kilometrów na godzinę.

Widzieli na ekranach lekko zaokrągloną plamkę, jaśniejącą wewnętrznym ciepłem na tle chłodnej przestrzeni. Znajdowała się dokładnie w środku siatki celowniczej, jak biały owal w lunecie sztucera.

Niczego oczywiście nie usłyszeli, pomieszczenie laserów miało bowiem pełną izolację dźwiękową i termiczną. Niczego też nie można było zobaczyć z ziemi. Ale w sali sterowania setka ludzi wpatrzonych w monitory w tej samej chwili kurczowo zacisnęła dłonie.

— Co, u diabła? — krzyknął kapitan. Obraz Kosmosu-1810 rozjaśniał nagle jak słońce.

Komputer szybko przestroił czułość instrumentów, przez kilka sekund nie mógł jednak nadążyć za zmianą temperatury obiektu.

— Co go, cholera... panie pułkowniku, to nie jest ciepło własne. — Kapitan wystukał na klawiaturze polecenie i na wskaźniku pojawiła się przybliżona temperatura satelity.

Promieniowanie podczerwone jest funkcją czwartej potęgi, co oznacza, że ciepło wydzielane przez obiekt jest kwadratem kwadratu jego temperatury. — Panie pułkowniku, temperatura celu wzrosła z piętnastu stopni do... około tysiąca ośmiuset w ciągu dwóch sekund. Nadal rośnie...

nie, już spada. Znowu rośnie! Tempo wzrostu nieregularne, prawie jak... znowu spada. O co tu, u diabła, chodzi?

Pułkownik uruchomił na swym pulpicie łączności szyfrowany kanał łączności satelitarnej z dowództwem NORAD i zaczął mówić głosem tak beznamiętnym, jaki zawodowi wojskowi zachowują tylko na najgorsze okazje:

— „Kryształowy Pałac”, tu „Cobra Belle”. Podaję wiadomość specjalną.

— Słyszemy cię, „Cobra Belle”.

— Obserwujemy zastosowanie wielkiej energii, powtarzam wielkiej energii. „Cobra Belle” melduje „Ścięcie”. Jak zrozumieliście? Odbiór. — Pułkownik odwrócił się i wtedy kapitan ujrzał jego pobladłą twarz.

W siedzibie NORAD oficer dyżurny starał się szybko przypomnieć sobie, co oznacza sygnał „Ścięcie”. W dwie sekundy później wyrwało mu się do mikrofonu: — O Jezu! — A potem: — „Cobra Belle”, potwierdzam otrzymanie sygnału „Ścięcie”. Nie przerywać połączenia, czekać na dalsze rozkazy... — Jezu... — powtórzył.

Obrócił się do swego zastępcy:

— Przekazać sygnał „Ścięcie” do ośrodka w Nowym Meksyku. Niech czekają na potwierdzenie pisemne. Odszukać pułkownika Welcha i ściągnąć go tutaj.

Następnie podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer swego najwyższego szefa, głównodowodzącego NORAD.

— Tak — rozległo się burknięcie w słuchawce.

— Panie generale, mówi pułkownik Henriksen. „Cobra Belle” podała sygnał „Ścięcie”.

Meldują, że zaobserwowali użycie wielkich energii.

— Czy ośrodek w Nowym Meksyku został poinformowany?

— Tak jest. Ściągamy też Dauga Welcha.

— Otrzymaliście już dokładniejsze dane?

— Będziemy je mieli przed pańskim przyjazdem.

— Dobrze, pułkowniku. Już jadę. Wyślijcie po tego wojaka samolot do bazy Shemya.

Tymczasem na pokładzie „Cobra Belle” pułkownik rozkazał oficerowi łączności przesłać wszystko, co zarejestrowali, łączem cyfrowym do NORAD i do Sunnyvale. Transmisja trwała niespełna pięć minut. Następnie polecił pilotom skierować się do Shemya. Mieli jeszcze paliwo na dwie godziny patrolu, ale uważał, że dzisiaj nic już się więcej nie zdarzy. Wystarczy to, co miało miejsce przed chwilą. Pułkownikowi dane było zobaczyć coś, co widziało niewielu w dziejach ludzkości. Przed chwilą ujrzał przemianę świata, i w odróżnieniu od większości, zrozumiał znaczenie tego wydarzenia. To wyróżnienie — powiedział sobie — a jednak żałuję, że mnie spotkało.

— Kapitanie, tamtym już się udało. — I dodał w duchu: Mój Boże.

Jack Ryan miał właśnie zjechać z drogi I-495, kiedy w samochodzie zadzwonił telefon.

— Tak?

— Wracaj, jesteś tu potrzebny.

— Dobrze.

Odłożył słuchawkę, zjechał w dół, przejechał pod Obwodnicą Waszyngtońską i nie opuszczając pasma ruchu przy krawężniku wjechał na nią od drugiej strony, kierując się ku siedzibie CIA. Wziął sobie wolne popołudnie, żeby spotkać się z inspektorami Komisji Nadzoru Giełdowego. Okazało się, że urzędnicy owej spółki zostali oczyszczeni z wszelkich zarzutów, co oczyszczało też i jego, lub oczyści, jeżeli Komisja kiedykolwiek zakończy tę sprawę. Myślał, że to już koniec zajęć na dziś i wracał do domu, a tu... jechał do Langley z niechęcią, zastanawiając się, cóż takiego ważnego zdarzyło się tym razem.

Major Gregory i trzej jego ludzie z zespołu oprogramowania rysowali na tablicy sekwencję komend programu sterowania zwierciadłami, kiedy do pokoju wszedł sierżant.

— Panie majorze, telefon do pana.

— Jestem zajęty. Nie może poczekać?

— To generał Parks.

— Pan każe, sługa musi — mruknął pod nosem Gregory. Rzucił kredę najbliższemu stojącemu asystentowi i wyszedł z pokoju. Po minucie trzymał już słuchawkę.

— Leci po ciebie śmigłowiec — powiedział generał bez żadnych wstępów.

— Panie generale, właśnie próbujemy...

— W bazie Kirtland będzie czekał samolot łącznikowy. Nie ma czasu na samolot rejsowy. Nie zabieraj ze sobą niczego. Pospieszcie się, majorze.

— Tak jest.

— Co się stało? — zapytał Morozow inżyniera, który z gniewnym wyrazem twarzy obserwował wskaźniki pulpitu.

— Rozmycie wiązki. Myślałem, cholera, że już się z tym uporaliśmy. W drugim końcu sali monitor pokazywał obraz sporządzony przez układ laserowy małej mocy: wyglądał jak klatka czarno-białego filmu, z tym, że to, co tam byłoby czarne, tu było brązowe. Technik wizji zestawiał na ekranie dwa ujęcia celu: przed i po próbie.

— Żadnych dziur — zauważył kwaśno Pokryszkin.

— I co z tego? — zdumiał się Bondarienko. — Ludzie, wyście go stopili! Wygląda jak wyciągnięty z pieca hutniczego.

Rzeczywiście tak było: płaskie arkusze poskręcały się pod wpływem ciepła, którego resztki jeszcze uchodziły w przestrzeń. Zamontowane na kadłubie baterie słoneczne, które miały zbierać energię słońca, wydawały się całkowicie wypalone. Przy bliższym przyjrzeniu się obrazowi widać było, że cały kadłub sputnika został zniekształcony pod wpływem uderzenia wiązki.

Pokryszkin kiwnął głową, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił:

— Mieliliśmy tylko wypalić mu dziurę na wylot. Wyglądałoby to na trafienie sputnika przez kawałek kosmicznego złomu. O taką koncentrację energii nam chodziło.

— Ale możecie teraz zniszczyć dowolnego satelitę amerykańskiego!

— Nie budowaliśmy JASNEJ GWIAZDY po to, by niszczyć satelity, towarzyszu pułkowniku. To mogliśmy robić z łatwością już przedtem.

Teraz wreszcie Bondarienko zrozumiał. JASNĄ GWIAZDĘ zbudowano w tym właśnie celu, ale osiągnięcia w otrzymywaniu wiązki wysokoenergetycznej, które uzasadniały finansowanie badań, czterokrotnie przewyższały oczekiwania. Dlatego Pokryszkin chciał za jednym zamachem pokonać

dwa szczeble: stworzyć system przeznaczony do zwalczania sputników, a zarazem mogący znaleźć zastosowanie w obronie antyrakietowej. Był to ambitny, chociaż nie w zwykłym tego słowa znaczeniu człowiek. Bondarienko odłożył takie rozważania na później i zaczął zastanawiać się nad tym, co zobaczył. Co się nie udało? Pewnie to rozmycie wiązki. Kiedy wiązka lasera przechodzi przez powietrze, część swojej energii zostawia w atmosferze w postaci ciepła. To z kolei „zaburza” powietrze i zniekształca przebieg wiązki, co w rezultacie powoduje jej rozmycie, przesuwanie się po celu, a także zwiększenie jej przekroju ponad wartość założoną.

Mimo wszystko — myślał pułkownik — energia wiązki była tak duża, że spowodowała topienie metalu w odległości stu osiemdziesięciu kilometrów! To nie porażka, to olbrzymi skok naprzód, ku całkowicie nowej technice.

— Czy są jakieś uszkodzenia systemu? — zapytał generał kierownika badań.

— Nie, w przeciwnym wypadku nie otrzymalibyśmy obrazu po próbie. Wygląda na to, że rozwiązania kompensacji zniekształceń atmosferycznych są wystarczające dla wiązki zobrazowania, lecz nie dla promieniowania bardzo dużej mocy. To połowa sukcesu, towarzyszu generale.

— Tak. — Pokryszkin przetarł oczy. Po chwili odezwał się głośniej:

— Towarzysze, dzisiaj dowiedliśmy, że wiele już osiągnęliśmy, wciąż jednak dużo pozostaje do zrobienia.

— A to należy do mnie — powiedział sąsiad Morozowa. — Już my się do tego cholerstwa dobierzemy!

— Może potrzebujecie jeszcze jednego do waszego zespołu?

— To częściowo sprawa zwierciadeł i częściowo komputerów. Znacie się na tym?

— Sami sprawdzicie. Kiedy zaczynamy?

— Jutro. Opracowanie danych telemetrycznych zajmie im dwanaście godzin. Następnym autobusem pojedę do osiedla i w domu strzelę sobie kielicha. Moja rodzina wyjechała na tydzień.

Może i wy macie ochotę napić się ze mną?

— Jak myślisz, co to było? — zapytał Łucznik.

Właśnie wdrapali się na krawędź łańcucha górskiego, gdy pojawił się meteor. W każdym razie z początku wyglądało to jak ognisty szlak meteorytu sunącego po niebie. Ale ta cienka, złota nitka utrzymywała się, a nawet przesuwiała w górę, bardzo szybko, niemniej zauważalnie.

Cienka, złota linia — zastanawiał się Łucznik. To powietrze się tak jarzyło. Co było tego przyczyną? Na chwilę zapomniał, kim jest i gdzie się znajduje. Myślami wrócił do czasów uniwersyteckich.

Ciepło — tylko ono mogło spowodować jarzenie się powietrza. Gdy meteoryt spada, w wyniku tarcia... ale to nie mógł być meteoryt. Jeżeli nawet ruch w górę był złudzeniem, a nie miał pewności, wzrok bowiem często płata figle, to jednak ta złota linia istniała przez co najmniej pięć sekund, a może i dłużej. Umysł także nie umie mierzyć czasu. Taak. Łucznik usiadł

nagle i wyciągnął notatnik. Dał mu go ten człowiek z CIA i polecił prowadzić dziennik wydarzeń. To pożyteczna rzecz, o której przedtem nigdy nie pomyślał. Zapisał godzinę, datę, miejsce i przybliżony kierunek. Za kilka dni będzie wracał do Pakistanu i może człowiek z CIA zainteresuje się tą sprawą.

Pierwsze ostrzeżenie

Kiedy dojechali, było już ciemno. Kierowca, który wiózł Gregory'ego, zjechał z George Washington Parkway w kierunku wejścia do Pentagonu. Wartownik podniósł szlaban i nie rzucający się w oczy rządowy Ford (w tym roku bowiem Pentagon kupował Fordy) podjechał

rampą, minął kilka zaparkowanych samochodów i zatrzymał się przy schodach, tuż za autobusem pracowniczym. Gregory dobrze znał dalszą procedurę: okazać strażnikowi przepustkę, przejść przez wykrywacz metali, potem wzdłuż korytarza udekorowanego flagami państwowymi, obok bufetu i rampą do rzędu sklepików oświetlonych i udekorowanych w stylu dwunastowiecznych lochów. W czasach szkolnych Gregory zabawiał się grą komputerową „Lochy i Smoki”. Już pierwsza jego wizyta w tej ponurej, wielokątnej budowli przekonała go, że autorzy owej gry stąd właśnie czerpali swe natchnienie.

Biuro Inicjatywy Obrony Strategicznej mieściło się poniżej pasażu handlowego Pentagonu (ściśle mówiąc, wejście znajdowało się pod sklepem cukierniczym), tego trzystumetrowego ciągu, który służył niegdyś za parking dla autobusów i taksówek. Później nastąpiła era bomb umieszczanych w samochodach i ministerstwo uznało, że parkowanie samochodów w tej strefie to nie najszcześniejsze rozwiązanie. Obecnie była to najnowocześniejsza i najlepiej strzeżona część Pentagonu, mieszcząca najnowszy i najmniej bezpieczny program wojskowy. Teraz Gregory wyjął drugą przepustkę. Pokazał ją czterem wartownikom przy wejściu, a następnie przyłożył do płytki na ścianie, która odczytała zapis magnetyczny przepustki i zezwoliła na przepuszczenie majora. Poczekalnia, podwójne szklane drzwi, uśmiech do recepcjonistki, potem do sekretarki generała Parksa. Kiwnęła mu głową: niezbyt ją cieszyło zostawanie w pracy po godzinach i nie była w nastroju do uśmiechów.

Generał Bill Parks też nie miał ochoty do żartów. W przestronnym gabinecie stało jego biurko, niski stolik do nieoficjalnych rozmów oraz duży stół konferencyjny. Na ścianach wisały oprawione w ramki zdjęcia ukazujące najróżniejsze działania w kosmosie, a także przedstawiające prawdziwe i wymyślone pojazdy kosmiczne... i broń. Parks był zazwyczaj człowiekiem serdecznym. Kolejne

stopnie kariery zawodowej, począwszy od pilota-oblatywacza, pokonywał tak płynnie, jak można by się spodziewać po prostodusznym, wylewnym facecie. W

istocie jednak Parks był typem samotnika o ujmująco nieśmiałym, choć spokojnym uśmiechu.

Jego koszuli nie zdobiły baretki licznych odznaczeń, jakie posiadał, oprócz odznaki pilota najwyższej klasy. Nie musiał imponować ludziom swoimi dokonaniem, wystarczyło kim był: jednym z najinteligentniejszych ludzi w instytucjach rządowych. Plasował się z pewnością w pierwszej dziesiątce, a może nawet na samym jej szczycie. Gregory wszedł i zauważył, że generał ma już gościa.

— Znowu się spotykamy, panie majorze — powiedział Ryan, obracając się ku niemu. W

rękach trzymał segregator z blisko dwustu stronami, z których połowę już przerzucił.

Gregory stanął przed Parksem na baczność i regulaminowo zameldował swoje przybycie.

— Jak lot?

— Bombowo, panie generale. Czy automat z napojami jest tam gdzie dawniej? Trochę mnie wysuszyło.

Przez twarz Parksa przemknął nieznaczny uśmiech:

— No dobrze, mamy jeszcze trochę czasu.

Gdy drzwi zamknęły się za Gregorym, generał powiedział:

— I jak tu nie lubić tego dzieciaka.

— Ciekawe czy jego mamuśka wie, co synuś porabia po lekcjach — zażartował Ryan, ale po chwili ciągnął już poważnie: — Widział coś z tych materiałów?

— Nie, nie było czasu. Zresztą pułkownik z „Cobra Belle” będzie tu dopiero za jakieś pięć godzin.

Jack kiwnął głową. To dlatego on i Art Graham z działu satelitarnego byli tu jedynymi ludźmi z CIA. Reszta będzie smacznie spała, podczas gdy oni mają przygotować pełny raport na jutro rano. Parks też mógł sobie darować osobiste przybycie i zostawić całą robotę swym naukowcom, ale to nie ten typ człowieka. Im częściej Ryan spotykał Parksa, tym bardziej go lubił. Generał miał najważniejszą cechę przywódcy: wyobraźnię, przy czym biegła ona w podobnym kierunku, co wyobraźnia Ryana. Był wojskowym wysokiego stopnia, który nienawidził broni nuklearnej. W samym tym nastawieniu nie kryło się nic szczególnie nadzwyczajnego, ponieważ ludzie w mundurach są przeważnie schludni, a broń nuklearna strasznie zanieczyszcza świat. Wielu jednak żołnierzy, marynarzy, lotników nie wyrażało na głos swoich opinii i wiązało karierę zawodową z tą właśnie bronią, mając wszakże nadzieję, że nigdy nie zostanie użyta. Ostatnich dziesięć lat Parks spędził na poszukiwaniu sposobu

jej eliminacji.

Jack lubił ludzi, którzy próbowali płynąć pod prąd. Odwaga moralna jest pierwiastkiem rzadszym niż odwaga fizyczna, i odnosi się to zarówno do wojskowych, jak i całej reszty.

Gregory powrócił z puszką Coca-Coli z automatu — nie lubił kawy. Trzeba było zabierać się do pracy.

— Co tym razem, panie generale?

— Mamy tu taśmę wideo z „Cobra Belle”. Wystartowali na obserwację radzieckiej próby z rakieta międzykontynentalną typu SS-25. Rozerwała się w locie, ale dowódca postanowił nie wracać od razu do bazy, chcąc wypróbować trochę urządzenia pokładowe. No i zobaczył coś takiego. — Generał uruchomił magnetowid.

— To Kosmos-1810 — powiedział Art Graham, podając fotografię. — Satelita rozpoznawczy, który się zbuntował.

— Ujęcie z kamery na podczerwień? — zapytał Gregory, popijając Coca-Colę. — O

rany!

To, co było zaledwie jasną kropką, nagle rozkwitło jak eksplodująca gwiazda w filmie fantastycznym. Nie była to jednak science fiction. Obraz zmieniał się odpowiednio do tego, jak komputerowy system obrazowania próbował wytrzymać jaskrawość wybuchu energii. U spodu ekranu pojawiły się cyfry licznika, pokazujące przybliżoną temperaturę jarzącego się Kosmosu.

Po kilku sekundach obraz znikł, ale komputer znowu dostosował układ do obserwacji satelity.

Przez parę sekund obraz migał, po czym pojawiło się nowe ujęcie.

— To już w dziewięćdziesiąt minut później, kiedy po kilku okrążeniach przechodził nad Hawajami — powiedział Graham. — Mamy tam kamery do obserwacji satelitów rosyjskich.

Proszę spojrzeć na zdjęcie, które podałem.

— „Przed” i „po”, tak? — wzrok Gregory’ego przeskakiwał z jednego obrazu na drugi.

— No, baterie słoneczne pooszły! Z czego zrobiony jest korpus satelity?

— Głównie z aluminium — odpowiedział Graham. — Rosjanie wolą mocniejsze konstrukcje. Wzmocnienie wewnątrz to może być stal, ale raczej tytan lub magnez.

— Co określa skrajną wartość przesłanej energii — powiedział Gregory. — Rozwalili go, tak rozgrzali, że aż się usmażyły baterie słoneczne, a i w środku przerwało chyba obwody elektryczne.

Na jakiej to było wysokości?

— Sto osiemdziesiąt kilometrów.

— Sary-Szagan? Czy może to nowe miejsce, które pokazywał mi pan Ryan?

— Duszanbe, to nowe — potwierdził Ryan.

— Przecież nie wykończono jeszcze nowych linii przesyłowych.

— Zgadza się — odezwał się Graham. — Mogą więc co najmniej podwoić moc, której efekty tu widzieliśmy. Lub przynajmniej tak im się wydaje. — Mówił to głosem człowieka, który właśnie dowiedział się o nieuleczalnej chorobie w rodzinie.

— Czy mogę zobaczyć jeszcze raz pierwszy film? — poprosił Gregory. Zabrzmiało to niemal jak rozkaz i Jack zauważył, że generał Parks natychmiast go wykonał.

Przez następny kwadrans Gregory stał o metr przed monitorem, popijał Colę i wpatrywał się w ekran. Ostatnie trzy razy odtwarzano film klatka po klatce, a po każdym ujęciu major sporządzał notatki. W końcu miał już dosyć.

— Za pół godziny będę mógł określić poziom energii, ale jak na razie wygląda na to, że mają kłopoty.

— Rozmycie wiązki — powiedział generał Parks.

— I kłopoty z celowaniem, panie generale. Przynajmniej tak się wydaje. Potrzebuję trochę czasu na obliczenia, no i dobry kalkulator. Swój zostawiłem w pracy — przyznał z zakłopotaniem. U paska, obok elektronicznego przywoływacza, miał tylko pusty pokrowiec.

Graham rzucił mu drogi, programowany kalkulator Hewlett-Packard.

— Jaka to była moc? — zapytał Ryan.

— Muszę mieć trochę czasu, żeby ustalić dokładnie — zaczął mu wyjaśniać Gregory, jakby mówił do dziecka opóźnionego w rozwoju. — Na oko, jest to ośmiokrotnie więcej niż wynoszą nasze możliwości. Potrzebuję jakiegoś spokojnego kąta do pracy. Czy mogę przysiąść w pokoju śniadaniowym? — zapytał Parksa. Generał potwierdził skinieniem głowy i Gregory wyszedł z gabinetu.

— Aż osiem razy... — odezwał się Art Graham. — Boże, mogą nam ugotować satelity DSP. Mogą, do cholery, skasować każdego satelitę łączności, którego tylko sobie wybiorą. Są oczywiście sposoby na ich obronę...

Ryan poczuł się trochę zagubiony. Specjalizował się w dziedzinie historii i ekonomii i jeszcze nie opanował języka fizyki.

— Trzy lata — westchnął Parks, nalewając sobie kawy. — Co najmniej o trzy lata przed nami.

— Ale tylko pod względem mocy wiązki.

Jack spoglądał to na jednego, to na drugiego. Zdawał sobie sprawę z doniosłości tematu, który rozważali, ale nie rozumiał jego istoty. Po dwudziestu minutach wrócił Gregory.

— Według rnoich obliczeń — zaczął wyjaśniać — szczytowa moc wyjściowa to jakieś dwadzieścia pięć do trzydziestu milionów watów. Jeżeli przyjmiemy, że w układzie było sześć laserów, to... no, to wystarczy, nie? Kwestie zestawienia odpowiedniej ich liczby i wycelowania w jeden punkt.

Po chwili ciągnął dalej.

— To niepomysłna wiadomość, ale jest i dobra: Niewątpliwie mają kłopoty polegające na rozmyciu wiązki. Trafienie celu pełną mocą udało się im tylko w czasie pierwszych kilku tysięcznych sekundy. Później zaczęło się rozmycie wiązki. Przeciętna moc wiązki wynosiła siedem do dziewięciu megawatów. A poza tym wygląda na to, że mieli też problemy z celowaniem. Albo podpory nie były odpowiednio resorowane, albo nie wzięli poprawki na zakłócenia ruchu obrotowego Ziemi. Albo i jedno, i drugie. Niezależnie od przyczyny mają trudności z utrzymaniem celu przez trzy sekundy kątowe. Oznacza to, że w przypadku satelitów geostacjonarnych dokładność będzie wynosiła plus minus dwieście czterdzieści metrów. Takie cele są oczywiście względnie stałe i współczynnik precyzji może być większy lub mniejszy.

— Dlaczego? — zapytał Ryan.

— Z jednej strony, jeżeli przymierzamy się do celu ruchomego, a satelity na niskich orbitach poruszają się dość szybko, jakieś osiem tysięcy metrów na sekundę, czyli tysiąc czterysta metrów na stopień kątowy, to mierzymy do celu poruszającego się z prędkością pięciu stopni na sekundę. Dotąd wszystko jasne? Rozmycie wiązki oznacza, że laser oddaje do atmosfery dużo swej energii. Jeżeli podąża szybko za celem, to co chwila robi nową dziurę w powietrzu. Ale powstanie niekorzystnie wielkiego rozmycia zajmuje trochę czasu, i to jest pozytywne. Z drugiej strony, jeżeli są kłopoty z drganiami, to przy każdej zmianie punktu celowania, do geometrii celu należy wprowadzać nowe wartości, co strasznie komplikuje sytuację. Strzelanie do względnie stałego celu, na przykład do satelity łączności, upraszcza sprawy celowania, ale za to strzela się wzdłuż tej samej osi, aż wywali się całą energią wiązki w powietrze. Czy teraz już jasne?

Ryan chrząknął potwierdzająco, chociaż jego umysł kolejny raz przekraczał granice swych możliwości. Z trudem rozumiał język, którym mówił ten chłopak, a informacje, jakie Gregory starał mu się przekazać, należały do dziedziny po prostu zupełnie dlań niezrozumiałej.

Do rozmowy włączył się Graham:

— Czy to znaczy, że nie musimy się martwić tą sprawą?

— Wprost przeciwnie! Jeżeli jest energia, to zawsze znajdzie się sposób na jej wyemitowanie. Nam się to już udało. To łatwizna.

— Jak już wam mówiłem — tłumaczył Morozowowi inżynier — osiągnięcie odpowiedniej mocy lasera to łatwizna. Trudność tkwi dopiero w sposobie jej emitowania w kierunku celu.

— A wasz komputer nie może skorygować... właściwie czego?

— Musi tu wchodzić w grę kilka rzeczy. Dziś sprawdzimy wszystkie te dane.

Najważniejsze? Chyba program kompensacji atmosferycznej. Sądziliśmy, że jesteśmy w stanie tak korygować proces celowania, żeby uniknąć rozmycia wiązki... cóż, nie udało się. Wczorajsza próba to trzy lata prac teoretycznych. Moje wysiłki. I nic z tego. — Spojrzał przed siebie pośepnie. Jak powiedzieliby lekarze, operacja jego chorego dziecka nie była całkiem udana, ale jest jeszcze nadzieja.

— A więc to jest źródłem wzrostu mocy lasera? — zapytał Bondarienko.

— Właśnie. Dwójka naszych młodych, on ma trzydzieści dwa lata, a ona dwadzieścia osiem, wymyśliła sposób na powiększenie poprzecznego przekroju rezonatora. Musimy jeszcze poprawić sterowanie elektromagnesami oscylacyjnymi — powiedział Pokryszkin.

Pułkownik skinął głową. Istota lasera na elektronach swobodnych, nad którym pracowały obie strony, polega na tym, że można go przestrajać tak jak radio, wybierając długość fali wiązki.

Tak w każdym razie mówi teoria. W praktyce osiągnano najwyższą moc w mniej więcej stałym zakresie fal — i to niewłaściwym. Gdyby poprzedniego dnia dało się osiągnąć trochę inną długość fali, taką, która łatwiej przenikałaby przez atmosferę, rozmycie wiązki byłoby mniejsze o jakieś pięćdziesiąt procent. Wymagało to jednak lepszego sterowania magnesami nadprzewodnikowymi. Nazwano je oscylacyjnymi, ponieważ tworzą oscylujące pole magnetyczne w laserowym rezonatorze. Niestety zastosowanie większego rezonatora miało także nieoczekiwany wpływ na możliwości sterowania strumieniem magnetycznym. Nie umiano jeszcze znaleźć teoretycznego wytłumaczenia tego faktu. Wśród naukowców panował pogląd, że w budowie elektromagnesu jest jakiś mały, dotąd nie dostrzeżony błąd. Inżynierowie oczywiście replikowali, że owszem, błąd jest, ale w wyjaśnieniach naukowców, ponieważ magnesy z całą pewnością działają prawidłowo. Wymiana poglądów była ożywiona, ale serdeczna. Kilka bardzo inteligentnych osób starało się wspólnie dociec prawdy, tej naukowej, która nie zależy od ludzkich mniemań.

Bondarienko dostawał zawrotu głowy od szczegółów, cały czas pilnie notując. Dotąd uważał się za znawcę laserów, koniec końców pomagał przy projektowaniu ich nowych zastosowań, ale teraz widząc wykonaną tu pracę, uznał się za dziecko, które błędzi po uniwersyteckich laboratoriach i cieszy się ze światełek przyrządów. Najważniejszym rozwiązaniem, jak zapisał, jest kształt

rezonatora, pozwalający na niezwykley wzrost emitowanej mocy. Pomysł ten powstał w stołówce, gdzie pewien inżynier i pewna fizyczka natknęli się wspólnie na kawałek prawdy. Pułkownik uśmiechnął się do siebie. Oboje młodych naukowców rzeczywiście używało słowa „prawda” i to w sposób bardzo naturalny. W istocie wyrazem tym posługiwano się w ośrodku tak często, że Bondarienko zastanawiał się, czy nie kryje się tu jakiś żart znany tylko wtajemniczonym. Eto poprawno? pytali, mówiąc o jakimś fakcie: Czy tak jest naprawdę?

No, ale jedno — myślał pułkownik — jest na pewno prawdą. Tych dwoje, którzy spotkali się w stołówce, by porozmawiać o swym życiu uczuciowym — słyszał już tę historię ze szczegółami — dokonało wspólnie ogromnego skoku naprzód w dziedzinie mocy laserów.

Reszta przyjdzie w odpowiednim czasie — powiedział sobie Bondarienko. Zawsze tak jest.

— Wygląda na to, że waszym głównym zmartwieniem jest sterowanie za pomocą komputera zarówno strumieniem magnetycznym, jak i układem zwierciadeł.

— Właśnie tak, pułkowniku — przytaknął Pokryszkin. — Do usunięcia tych trudności potrzebujemy dodatkowych funduszy i wsparcia. Musicie powiedzieć tym w Moskwie, że to, co najważniejsze, zostało już zrobione, i że sprawdziło się w działaniu.

— Przekonaliście mnie, towarzyszu generale.

— Ależ nie, towarzyszu pułkowniku. Jesteście po prostu na tyle inteligentni, że pojmujecie prawdę!

Obaj roześmiali się i uścisnęli sobie ręce. Bondarienko nie mógł doczekać się powrotu do Moskwy. Minęły już czasy, kiedy oficer radziecki obawiał się być posłańcem złych wiadomości.

Przynoszenie dobrych zawsze jednak sprzyjało karierze.

— Nie używają chyba optyki adaptacyjnej — powiedział generał Parks.

— Chcę wiedzieć, skąd pochodzą ich powłoki optyczne.

— Słyszę to już drugi raz. — Ryan wstał i zrobił parę kroków wokół stołu dla rozruszania nóg. — Co to za sprawa z tym lustrem? Jest chyba ze szkła, nie?

— Nie, bo szkło nie wytrzymałoby takiej energii. Obecnie używamy do tego miedzi lub molibdenu — odparł Gregory. — Lustro ze szkła ma warstwę odblaskową od spodu. W naszym przypadku warstwa taka nałożona jest od przodu, a z tyłu zwierciadła znajduje się układ chłodzący.

— Co? Trzeba się było bardziej przykładać do przedmiotów ścisłych na uniwerku!

— Światło nie odbija się od gołego metalu — włączył się Graham. Ryanowi wydawało się, że jest jedynym głupkiem w tym pomieszczeniu, i to na niego właśnie padło napisanie tej specjalnej oceny wywiadowczej.

— Odbija się od powłoki optycznej — ciągnął tamten. — W urządzeniach szczególnie precyzyjnych, na przykład w teleskopach astronomicznych, lico lustra wygląda jak plama benzyny na powierzchni kałuży.

— Po co więc ten metal?

Na pytanie Jacka odpowiedział major:

— Metalu używa się, by powierzchnia odbłyskowa była jak najchłodniejsza. W gruncie rzeczy próbujemy od tego odejść. Pracuje na tym zespół ADAMANT, zajmujący się badaniami nad nowymi materiałami i technikami. Prawdopodobnie kolejne zwierciadło będzie z diamentu.

— Co takiego?!

— Ze sztucznego diamentu wykonanego z czystego węgla C-12. Jest to forma izotopowa zwykłego węgla, i nadaje się świetnie. Problem stanowi pochłanianie energii — ciągnął Gregory.

— Jeżeli powierzchnia zatrzymuje zbyt dużo światła, energia cieplna może spowodować odparowanie pokrycia i rozpad zwierciadła. Kiedyś byłem świadkiem takiej sytuacji: rozpadło się półmetrowe lustro, a odgłos był taki, jakby Bóg strzelił palcami. W przypadku diamentu z C -12

mamy do czynienia z prawie nadprzewodnikiem ciepła. Pozwala to na zwiększenie gęstości mocy i na zmniejszenie rozmiarów zwierciadła. W General Electric już wiedzą jak wyprodukować idealnie czysty diament z C -12, Candi bada właśnie czy można z tego zrobić lustro.

Ryan przerzucił trzydzieści stron swoich notatek, a potem przetarł oczy.

— Majorze, jeżeli pan generał pozwoli, pojedzie pan ze mną do Langley. Chciałbym, żeby poinformował pan o tym wszystkim ludzi z naszego Wydziału Naukowo-Technicznego, a także by przejrzał pan wszystko, co zgromadziliśmy o badaniach rosyjskich. Zgoda, panie generale? — zapytał Jack, na co Parks skinął przyzwalająco.

Ryan i Gregory wyszli razem. Okazało się, że przepustka potrzebna jest również do opuszczenia budynku. Zmieniono już warty, ale czujność pozostała niezmienna. Kiedy doszli do parkingu, major nazwał Jaguara Ryana „bombowym”. To tak się nadal mówi? — zdziwił się w duchu Jack.

— Jak to się stało, że żołnierz piechoty morskiej trafił do CIA? — zapytał Gregory, podziwiając skórzane obicia foteli samochodu. I skąd ma pieniądze na coś takiego? — pomyślał.

— Zaproszono mnie. Przedtem wykładałem historię w Akademii Marynarki w Annapolis.

Nie ma to jak być sławnym sir Johnem Ryanem. Ale nie sądzę, by moje nazwisko znalazło się w podręcznikach o laserach...

— Gdzie pan studiował?

— W Boston College, a doktorat zrobiłem po drugiej stronie rzeki, w Uniwersytecie Georgetown.

— Nic pan nie mówił o swoim tytule doktorskim.

Ryan roześmiał się:

— Nie w tej dziedzinie, chłopie. Mam ogromne trudności ze zrozumieniem, o co wam w ogóle chodzi, ale to mnie wyznaczili do wyjaśnienia całości... no, powiedzmy, tym, którzy zajmują się sprawami rozbrojeniowymi. Współpracuję z nimi z ramienia wywiadu przez ostatnie sześć miesięcy.

— Ta banda chce mnie pozbawić pracy, chce to wszystko przehandlować — burknął

Gregory.

— Na tym polega ich praca — powiedział Jack. — Chciałbym, żeby mi pan pomógł ich przekonać, że to, co robicie jest ważne.

— Rosjanie uważają, że jest ważne.

— Właśnie się o tym przekonaliśmy, prawda?

Kiedy Bondarienko przyleciał do Moskwy, był mile zaskoczony, że czekał na niego służbowy samochód z wojsk OPK. Z pewnością uprzedził ich generał Pokryszkin. Było już po godzinach pracy i pułkownik kazał zawieźć się do domu. Jutro napisze sprawozdanie i przedstawi je pułkownikowi Filitowowi, a później, być może, poinformuje o wszystkim samego ministra. Siedząc nad kieliszkiem zastanawiał się, czy Pokryszkin go „ustawiał”, by stworzyć fałszywe wrażenie. Chyba nie — odpowiedział sam sobie. Owszem, generał dołożył wszelkich starań, by dobrze „sprzedać” siebie i swój ośrodek, ale nie była to zwykła „pokazówka”. Nie mogli zafałszować próby, z całą otwartością dyskutowali o swoich problemach. To, o co prosili, było im rzeczywiście potrzebne. Pokryszkin wie, o co walczy, stawia swoją karierę... no, jeżeli nie na drugim miejscu, to co najwyżej „obok” realizowanych celów. Niczego więcej nie można żądać. A jeżeli buduje przy tym swe własne królestwo, to i tak jest ono warte zbudowania.

Materiał odebrano w sposób rutynowy i zarazem jedyny w swoim rodzaju. Pasaż handlowy niczym nie różnił się od innych — ciąg dziewięćdziesięciu trzech sklepów i pięciu małych kin pod wspólnym dachem. Było tam sześć sklepów obuwniczych i trzy jubilerskie. Był

też sklep z artykułami sportowymi, a w nim, ponieważ znajdował się na zachodzie, ściana pełna strzelb myśliwskich Winchester model 70; coś takiego rzadko widuje się na wschodnim wybrzeżu. Trzy eleganckie sklepy z odzieżą męską i siedem z damską rozrzucone były po całym pasażu. Jeden ze sklepów dla pań przylegał do sklepu z bronią.

Odpowiadało to właścicielce „Listków Ewy”, gdyż skomplikowany system alarmowy sklepu

sportowego w połączeniu z lokalną ochroną pasażu umożliwiał trzymanie sporych zapasów ekskluzywnej odzieży bez opłacania wygórowanej stawki ubezpieczeniowej. Początki były niepewne: moda z Paryża, Rzymu, Nowego Jorku niezbyt dobrze przyjmowała się na zachód od Missisipi, może oprócz zachodniego wybrzeża Pacyfiku. Na szczęście społeczność naukowa pochodziła z obu krańców Ameryki i trzymała się swoich zwyczajów. Odzież Ann Klein I nie wymagała specjalnej promocji wśród bywalców klubów sportowych, by stać się przebojem nawet w Górach Skalistych.

Do tego właśnie sklepu weszła Ann. Właścicielka wiedziała, że łatwo jest jej dogodzić.

Nosiła rozmiar szósty, a jeżeli coś przymierzała, to tylko po to, by sprawdzić, jak w tym wygląda.

Nie potrzebowała żadnych poprawek. Ułatwiała to wszystkim życie, a właścicielce pozwalało na udzielanie Ann pięcioprocentowego rabatu. Wydawała tu sporo pieniędzy, co najmniej dwieście dolarów za każdym razem, a była stałą klientką. Pojawiała się w sklepie co jakieś sześć tygodni.

Właścicielka nie wiedziała, kim jest, chociaż wyglądała i zachowywała się jak lekarka. Była taka dokładna, zwracała uwagę na każdy szczegół. Co ciekawe, płaciła gotówką: jeszcze jeden powód do udzielania rabatu, ponieważ firmy kart kredytowych otrzymywały pewien procent od sprzedaży w zamian za gwarancję płatności. Płatność gotówką nie tylko zwracała sklepowi te pięć procent, ale i dawała nieco więcej. Szkoda — myślała właścicielka — że nie wszystkie jej klientki są takie. Ann miała brązowe oczy i ciemne, lekko falujące włosy do ramion, figurę zaś szczupłą, drobną. Inną ciekawostką było to, że nie używała perfum i dlatego właścicielka uznała ją za lekarkę. Poza tym przychodziła w porze, gdy ruch był najmniejszy, co oznaczałoby, że jest panią swego czasu. Tak, to by pasowało: „pani doktor” ubierała się też odpowiednio do swego zawodu. To wszystko przemawiało do wyobraźni właścicielki, zawsze widziała w jej ruchach celowość działania.

Tym razem Ann wybrała bluzkę i spódnicę, i poszła do przymierzalni w głębi sklepu.

Weszła do tej samej co zawsze kabiny. Rozpięła zamek spódnicy i guziki bluzki, ale przed założeniem nowego kompletu sięgnęła pod drewnianą ławeczkę, oderwała kasetę z mikrofilmem, przyklepioną taśmą poprzedniego wieczora, i włożyła ją do torebki. Potem przebrała się i wyszła z kabiny, by przejrzeć się w lustrze.

Dlaczego Amerykanki noszą takie szmaty? — Tania Bisiarina zapytała w duchu swe uśmiechnięte odbicie. Była kapitanem Wydziału „S” Zarządu Pierwszego KGB (znanego także jako „Zagraniczny”). Meldunki przekazywała do Wydziału „T”, zajmującego się wywiadem naukowym we współpracy z Państwowym Komitetem ZSRR do spraw Nauki i Techniki.

Podobnie jak Edward Foley, „prowadziła” tylko jednego agenta, o kryptonimie „Li via”.

Komplet kosztował dwieście siedemdziesiąt trzy dolary. Kapitan Bisiarina zapłaciła gotówką. Będzie musiała pamiętać, by założyć kupione dziś rzeczy, gdy przyjdzie tu następnym razem — choć naprawdę wyglądały jak szmata.

— Do zobaczenia, Ann — zawołała za nią właścicielka. Tylko pod tym imieniem znana była w Santa Fe. Pani kapitan odwróciła się i pomachała ręką: mimo swej głupoty właścicielka była dość miłą kobietą. Jak przystało na dobrego oficera wywiadu kapitan Bisiarina wyglądała i zachowywała się tak, by nie zwracać na siebie uwagi. W tym środowisku oznaczało to: ubierać się w sposób umiarkowanie modny, jeździć porządnym, ale nie rzucającym się w oczy samochodem oraz żyć w stylu znamionującym komfort, chociaż nie bogactwo. Pod tym względem Ameryka była łatwym terenem. Jeżeli prowadziło się odpowiedni styl życia, to nikt nie zadawał zbędnych pytań. Przedostanie się przez granicę okazało się zadaniem niemal śmiesznym. Tyle czasu spędziła dopasowując dokumenty i odpowiednią historię życia, a tu strażnicy graniczni puścili tylko psa w poszukiwaniu narkotyków (przekraczała bowiem granicę z Meksykiem na przejściu w El Paso) i z uśmiechem machnęli „Droga wolna”. Teraz, w osiem miesięcy później, sama uśmiechała się na myśl o swym ówczesnym zdenerwowaniu.

Jazda do domu zabrała jej czterdzieści minut. Po drodze, jak zawsze, sprawdzała czy nie jest śledzona. Wywołała film, wykonała odbitki, może nie dokładnie tak, jak to robił Foley, ale różnice były nieistotne. Tym razem na zdjęciach widniały dokumenty rządowe. Włożyła wywołany film do małego rzutnika i wyświetlała klatki na białą ścianę sypialni. Bisiarina miała wykształcenie techniczne, dlatego między innymi dostała to zadanie. Potrafiła więc poznać się na wadze tego, co otrzymała. Była pewna, że jej przełożeni będą zadowoleni.

Następnego ranka złożyła materiał w skrytce. Dalej film pojechał do Meksyku w ciężarówce należącej do firmy przewozowej z Austin, która dostarczała sprzęt do wierceń ropy naftowej. Przed końcem dnia materiał będzie w ambasadzie radzieckiej w Mexico City, a w dzień później na Kubie, skąd samolotem rejsowym Aerofłotu poleci bezpośrednio do Moskwy.

Katalizatory

— A więc, pułkowniku, jaka jest wasza ocena? — zapytał Filitow.

— JASNA GWIAZDA ma szansę stać się najważniejszym przedsięwzięciem w Związku Radzieckim, towarzyszu pułkowniku — odpowiedział z przekonaniem Bondarienko, podając jednocześnie około czterdziestu stron rękopisu. — Oto brudnopis mojego raportu. Sporządziłem go w samolocie. Jeszcze dziś każę przepisać na maszynie, ale myślałem, że chcielibyście może...

— Dobrze myśleliście. Zdaje się, że przeprowadzili próbę.

— Tak, trzydzieści sześć godzin temu. Widziałem ją. Pozwolono mi także obejrzeć większość urządzeń przed i po próbie. Zarówno ośrodek, jak i jego kierownictwo zrobili na mnie duże wrażenie. Jeżeli mogę wyrazić swoją opinię, generał Pokryszkin jest wybitnym oficerem i najwłaściwszym człowiekiem na tym stanowisku. Z pewnością nie karierowicz, a raczej nowoczesny oficer, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Kierowanie naukowcami tam, w górach, to niełatwe zadanie...

— Wiem coś o naukowcach — mruknął Misza. — Czy chcecie mi powiedzieć, że zorganizował ich jak jednostkę wojskową?

— Nie towarzyszu pułkowniku. Pokryszkin nauczył się, jak zapewnić im względną szczęśliwość, a sobie — wydajność ich pracy. W ośrodku panuje poczucie... poczucie pewnej misji do spełnienia, które rzadko można spotkać nawet w korpusie oficerskim. Nie mówię tego o, tak sobie, Michaile Siemionowiczu. Byłem pod wielkim wrażeniem wszelkich przejawów działalności ośrodka. Wygląda chyba jak laboratorium lotów kosmicznych. Słyszałem, że tam tak jest, ale sam nigdy w żadnym nie byłem i nie mogę dokonywać żadnych porównań.

— A jak tam urządzenia?

— JASNA GWIAZDA nie jest jeszcze systemem broni. Mają pewne kłopoty techniczne.

Pokryszkin przedstawił mi je i dokładnie wyjaśnił. Jak na razie jest to eksperyment, ale najważniejsze problemy zostały już rozwiązane. Za kilka lat będzie to broń o potężnych możliwościach.

— A koszty? — zapytał Misza, na co Bondarienko wzruszył ramionami.

— Niemożliwe do określenia. Będzie to drogie, ale najbardziej kosztowna część przedsięwzięcia, faza badawczo-rozwojowa, jest już na ukończeniu. Ostateczne koszty powinny być niższe od

zakładanych, oczywiście w zakresie samej broni. Nie umiem ocenić kosztów sprzętu pomocniczego, radarów, satelitów rozpoznawczych. To zresztą nie wchodziło w zakres moich obowiązków. — Poza tym Bondarienko, jak żołnierze na całym świecie, myślał w kategoriach zadań, a nie kosztów.

— Co powiecie o niezawodności systemu?

— Będzie mały problem, ale da się to załatwić. Pojedyncze lasery są skomplikowane i trudne do konserwacji. Mając jednak w zapasie więcej laserów niż rzeczywiście potrzeba, można byłoby je wymieniać według określonego planu konserwacji i napraw, żeby zawsze mieć przygotowaną odpowiednią ich liczbę. Taka, w gruncie rzeczy, jest propozycja naczelnego inżyniera ośrodka.

— A więc udało im się rozwiązać zasadniczy problem mocy wyjściowej?

— Opisuję to z grubsza w brudnopisie swojego raportu. Wersja końcowa będzie dokładniejsza.

Misza pozwolił sobie na uśmiech:

— Tak, że nawet ja będę mógł to zrozumieć?

— Towarzyszu pułkowniku — odrzekł poważnie Bondarienko — wiem, że lepiej znacie się na sprawach technicznych niż chcecie się przyznać. Rozwiązanie problemu mocy wyjściowej jest w gruncie rzeczy proste, oczywiście w teorii. Dokładne dane techniczne są dość skomplikowane, ale można do nich dojść na podstawie przebudowy rezonatora laserowego. Tak jak w przypadku pierwszej bomby atomowej: jeżeli ma się już teorię, to stronę techniczną można opracować.

— Świetnie. Możecie skończyć raport do jutra?

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Misza wstał i Bondarienko zrobił to samo.

— Przeczytam wasz wstępny raport dziś po południu. Przygotujcie na jutro pełną wersję.

Spróbuję przetrwać ją przez weekend, a w przyszłym tygodniu pójdziemy z tym do ministra.

Niezbadane są wyroki Allaha — myślał Łucznik. Tak bardzo chciał zestrzelić radziecki transportowiec, a wystarczyło tylko wrócić w strony rodzinne, do nadrzecznego miasteczka Ghazni. Przed tygodniem opuścił Pakistan. W tym czasie burza uniemożliwiła starty rosyjskich samolotów, co pozwoliło mu podróżować dość szybko. Kiedy pojawił się na miejscu z pełnym zapasem rakiet, jego dowódca właśnie planował atak na znajdujące się w pobliżu miasteczka lotnisko. Zimowa pogoda wszystkim dawała się we znaki. Na wysuniętych posterunkach niewierni postawili żołnierzy afgańskich, służących zdradzieckiemu rządowi w Kabulu. Nie wiedzieli jednak, że dowodzący batalionem major działał na rzecz lokalnych mudżahedinów. W

odpowiednim momencie jego posterunki miały przepuścić trzystu partyzantów, pozwalając im zaatakować obóz radziecki.

Akcja zakrojona była na dużą skalę. Mudżahedinów podzielono na trzy stuosobowe kompanie, i wszystkie trzy miały pójść do ataku. Dowódca rozumiał potrzebę zachowania rezerwy taktycznej,

dysponował jednak zbyt małą liczbą ludzi na tak rozciągnięty pas natarcia.

Ryzykowali, ale w końcu on i jego partyzanci niczego innego nie robili od 1980 roku. Czy więc podjęcie jeszcze jednego ryzyka miało jakieś znaczenie? Jak zawsze dowódca będzie w miejscach największego zagrożenia, a Łucznik w pobliżu niego. Szli z kierunkiem wiatru w stronę lotniska i znieawidzonych maszyn. Przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa Rosjanie będą próbowali startować, zarówno po to, by usunąć się spod ostrzału, jak i po to, by zapewnić swoim wsparcie z powietrza. Łucznik przyjrzał się przez lornetkę czterem śmigłowcom Mi-24: we wszystkich uzbrojenie podwieszono pod krótkimi skrzydłami po obu stronach kadłuba.

Mudżahedini mieli tylko jeden móździerz, którym mogli niszczyć śmigłowce na ziemi, toteż Łucznik pozostawał w tyle tuż za linią atakujących, by zapewnić im wsparcie. Nie było już czasu na zainstalowanie rakiety dymnej, ale w nocy i tak nie miałyby to znaczenia.

Jakieś sto metrów przed nimi przywódca partyzantów spotkał się w umówionym miejscu z majorem armii afgańskiej. Objęli się i pozdrowili w imię Allaha: syn marnotrawny powrócił na łono islamu. Major zameldował, że dwóch jego dowódców kompanii będzie działać zgodnie z planem, ale dowódca trzeciej jest wierny Rosjanom. Za kilka minut zaufany sierżant ma zabić owego oficera, dzięki czemu podległy mu odcinek będzie wolny podczas odwrotu. Po wykonaniu zadania sierżant wystrzelił flarę. W przenikliwie zimnym wietrze partyzanci czekali na rozpoczęcie akcji.

Radziecki kapitan i afgański porucznik byli przyjaciółmi, co w chwilach zastanowienia obydwaj konstatawali ze zdziwieniem. Przyjaźni tej sprzyjał z jednej strony fakt, że radziecki oficer starał się szanować zwyczaje miejscowej ludności, z drugiej zaś wiara jego afgańskiego kolegi, że przyszłość należy do marksizmu-leninizmu: wszystko lepsze od rywalizacji międzyplemiennych i krwawych waśni rodowych, prześladowających ten nieszczęsny kraj od najdawniejszych czasów. W poruczniku wcześniej wykryto kandydata na ideologiczne nawrócenie, wysłano do Związku Radzieckiego i pokazano, jak jest tam dobrze (w porównaniu z Afganistanem), a zwłaszcza jak dobra jest państwowa służba zdrowia. Ojciec porucznika zmarł

piętnaście lat przedtem z powodu infekcji złamanej ręki. Nie ciesząc się względami wodza plemienia, jego jedyny syn nie miał idyllicznej młodości.

Teraz obaj oficerowie wpatrywali się w mapę i omawiali plan działania patroli na nadchodzący tydzień. Musieli wciąż kontrolować teren, by powstrzymać tych bandytów duszmanów. Dziś patrole wystawiała druga kompania.

Do bunkra wszedł sierżant z meldunkiem. Nie okazał po sobie zdumienia, jakie odczuł na widok dwóch oficerów zamiast spodziewanego jednego. Lewą ręką podał kopertę afgańskiemu porucznikowi. Prawa skrywała rękojeść noża trzymanego w obszernym rękawie munduru.

Zachowywał obojętność pod ciężarem wzroku radzieckiego kapitana i prawie nie patrzył na drugiego oficera, którego miał rozkaz zabić. Wreszcie Rosjanin obrócił się, by wyrzeć przez szczelinę bunkra, a oficer afgański odłożył meldunek na stół z mapami i sformułował odpowiedź.

Rosjanin obrócił się nagle — coś go zaniepokoiło. Wiedział, że coś jest nie w porządku, zanim zdał

sobie sprawę co. Dostrzegł szybki ruch ręki sierżanta ku szyi przyjaciela. Schylił się po karabinek w chwili, gdy afgański porucznik odskoczył do tyłu, by uniknąć pierwszego pchnięcia. Udało mu się tylko dlatego że sierżantowi nóż zaplątał się w przydługie rękaw munduru. Tamten klnąc wyciągnął go w końcu i ciał swą ofiarę w brzuch. Porucznik wrzasnął.

Zdołał jednak złapać sierżanta za nadgarstek, zanim nóż rozciął mu brzuch do końca. Zwarli się twarzą w twarz tak, że czuli swoje oddechy. Ani na jednej, ani na drugiej nie malował się strach: tylko szok i wściekłość. Ostatecznie ten rękaw źle dopasowanego munduru uratował życie porucznika, ponieważ Rosjanin zdążył tymczasem odbezpieczyć karabinek i wystrzelić dziesięć pocisków w bok napastnika. Sierżant padł bez jęku. Porucznik podniósł zakrwawioną dłoń ku oczom. Kapitan wszczął alarm.

Charakterystyczny, metaliczny terkot Kałasznikowa usłyszeli mudżahedini oczekujący o czterysta metrów dalej. Wszystkim przez głowy przebiegła ta sama myśl: plan został odkryty.

Niestety, nie przygotowano innego wariantu. Na lewo od nich pozycje kompanii trzeciej rozjarzyły się nagle ogniami wystrzałów. Strzelano w pustkę, partyzantów bowiem tam nie było, ale jazgot musiał zaalarmować oddalone o trzysta metrów oddziały rosyjskie. Mimo wszystko przywódca rozkazał partyzantom atakować. Wspierało ich blisko dwustu żołnierzy armii afgańskiej, którzy z ulgą przeszli na drugą stronę. Ci nowi mudżahedini właściwie nie zmienili układu sił, ponieważ oprócz kilku karabinów maszynowych nie mieli broni ciężkiej. Jedyne moździerz partyzantów nie został jeszcze ustawiony.

Łucznicz zaklął, widząc, że na odległym od nich o trzy kilometry lotnisku gasną światła.

Zastąpiły je migające punkty latarek załóg biegnących do maszyn. W chwilę później flary opadające na spadochronach zamieniły noc w dzień. Ostry, południowo-wschodni wiatr odpędzał

je dalej, lecz pojawiały się nowe. Jedyne, co mógł zrobić, to włączyć wyrzutnię. W oddali widział śmigłowce Mi-24 i jeden samolot transportowy An-26. Lewą ręką podniósł lornetkę do oczu i zobaczył, że ku temu dwusilnikowemu górnopłatowi, przycupniętemu jak ptak śpiący w niechronionym gnieździe, biegnie już kilka postaci. Ponownie skierował lornetkę na śmigłowce.

W chwili, kiedy jeden z nich zaczął unosić się w górę, walcząc z rozrzedzonym powietrzem i wyjąłym wiatrem, na teren lotniska zaczęły padać pociski moździerza. O kilka metrów od innego Mi-24 upadł pocisk fosforowy, powodując pożar zbiorników. Załoga wyskoczyła z maszyny, na kimś płonęło już ubranie. Zaledwie odbiegli na bezpieczną odległość, gdy śmigłowiec eksplodował, zapalając przy tym sąsiedniego Mi-24. Inna maszyna bez zapalania świateł pozycyjnych uniosła się w sekundę później, zawróciła i zniknęła w ciemnościach nocy.

Łucznicz był pewien, że śmigłowce jeszcze wrócą. Niemniej udało im się zniszczyć dwa pozostałe na ziemi, czyli poszło lepiej niż się spodziewał.

Wszystko inne wyglądało jednak źle. Pociski moździerzowe padały przed szeregiem atakujących partyzantów. Widział błyski strzałów i wybuchów. Ponad ten huk wzbijał się teraz drugi odgłos pola bitwy: bojowe okrzyki wojowników i jęki rannych. Z tej odległości trudno było odróżnić Rosjan od

Afgańczyków. Nie tym jednak miał się teraz zajmować.

Abdulowi nie trzeba było mówić, by wypatrywał na niebie śmigłowców. Łucznik użył

wyrzutni, próbując wyszukać niewidzialne ciepło ich silników, ale nic nie znalazł. Spojrzał w stronę jedyne go pozostałego na lotnisku samolotu. Pociski moździerzowe padały coraz bliżej Antonowa, lecz załodze udało się uruchomić silniki. Zauważył, że maszyna zaczyna kołować, ocenił kierunek wiatru i wywnioskował, że samolot po starcie przeleci nad lewą, najbezpieczniejszą strefą manewrową lotniska. Start w tak rozrzedzonym powietrzu nie będzie łatwy, a wykonując zwrot pilot zechce zyskać na prędkości kosztem wznoszenia. Łucznik klepnął

Abdula w ramię i zaczął biec w lewo. Po stu metrach zatrzymał się i znowu spojrział w stronę radzieckiego transportowca: właśnie zaczynał rozbieg wśród czarnych tumanów kurzu, podskakując na zamrzniętym, nierównym podłożu.

Łucznik pozwolił rakiecie „przyrzeć się” celowi: natychmiast ćwierkanie czujnika potwierdziło wykrycie ciepła silników w tej zimnej, bezksiężycowej nocy.

— Sto pięćdziesiąt! — krzyknął drugi pilot poprzez warkot silników i odgłosy bitwy.

Obserwował przyrządy, podczas gdy pilot starał się utrzymać samolot w osi pasa startowego. —

Startowa!

Pilot ściągnął na siebie stery, nos maszyny podniósł się i An -26 oderwał się od twardej, brudnej nawierzchni. Drugi pilot natychmiast wciągnął podwozie, co zmniejszyło opór powietrza i pozwoliło zwiększyć prędkość samolotu. Pilot łagodnym zakretem ominął największą, jak się wydawało, koncentrację ognia z ziemi. Teraz musiał lecieć na północ, do Kabulu, ku bezpieczeństwu. Siedzący z tyłu nawigator, zamiast zajmować się mapami, wystrzeliwał co pięć sekund flarę. Nie robił tego po to, by pomóc żołnierzom na ziemi, chociaż flary miały też i taki skutek. Ich głównym jednak zadaniem było oszukanie wystrzeliwanych z ziemi rakiet przeciwlotniczych. Instrukcja przewidywała jedną flarę co pięć sekund.

Łucznik dokładnie mierzył czas pomiędzy kolejnymi odpaleniami. Kiedy wypadały z luku ładowni samolotu i zapalały się, słyszał zmianę tonu czujnika. Jeżeli miał trafić w cel, musiał uchwycić lewy silnik i dokładnie wyliczyć moment odpalenia. Wyznaczył już w myślach najodpowiedniejszy punkt: jakieś dziewięćset metrów od miejsca, w którym się znajdował. Tuż przed osiągnięciem przez samolot owego punktu rozbłysła kolejna flara. W sekundę później czujnik powrócił do normalnego tonu oznajmiającego uchwycenie celu — i Łucznik nacisnął

spust. Jak zawsze, poczuł niemal zmysłową rozkosz, gdy wyrzutnia szarpnęła w jego rękach.

Otoczające go odgłosy bitwy znikły. Teraz istniała dla niego tylko mknąca plamka żółtego płomienia.

Dopiero co nawigator wystrzelił flarę, gdy Stinger uderzył w lewy silnik. W pierwszym momencie

przez głowę przemknęła mu wściekła myśl: instrukcja kłamie! Inżynier pokładowy nie miał czasu myśleć. Prawie bezwiednie przerzucił wyłącznik awaryjny turbiny numer jeden.

Spowodowało to odcięcie dopływu paliwa, odłączenie instalacji elektrycznych, ustawienie śmigła w chorągiewkę i uruchomienie instalacji przeciwpożarowej. Pilot pchnął pedał, by sterem pionowym wyrównać ściąganie w lewo, wynikłe z utraty mocy silnika, i pochylił maszynę w dół.

Było to niebezpieczne, ale musiał wybrać między wysokością a prędkością. Zdecydował, że bardziej jest mu potrzebna prędkość. Inżynier zameldował o wycieku paliwa z lewego zbiornika, ale do Kabulu tylko sto kilometrów. Następny meldunek był gorszy:

— Sygnalizacja pożaru lewego silnika!

— Otwórz butle!

— Już otworzone! Wszystko poszło!

Pilot powstrzymał się od spojrzenia w bok. Byli jakieś sto metrów nad ziemią i nie mógł

sobie pozwolić na dekoncentrację. Kątem oka dostrzegł błysk żółtopomarańczowego płomienia, ale starał się o tym nie myśleć. Jego wzrok przeskakiwał z horyzontu na prędkościomierz i wysokościomierz, i znowu na horyzont.

— Tracimy wysokość — zameldował drugi pilot.

— Jeszcze dziesięć stopni na klapach — poleciał pierwszy. Uznał, że ma wystarczającą prędkość, żeby zaryzykować taki manewr. Drugi pilot sięgnął w dół, by wychylić klapy jeszcze o dziesięć stopni — i w ten sposób przesądził o losie samolotu i załogi.

Wybuch rakiety uszkodził przewody hydrauliczne klap lewego skrzydła. Zwiększone ciśnienie potrzebne do zmiany ich ustawienia rozerwało przewody i klapy schowały się samoczynnie. Utrata nośności lewej strony o mało nie wciągnęła maszyny w korkociąg, ale pilotowi jakoś udało się wyrównać. Zbyt wiele jednak działo się naraz. Samolot zaczął

gwałtownie opadać. Wiedząc, że prawy silnik jest bezpieczny, pilot krzyknął, by zwiększono jego moc. Miał nadzieję, że uratuje ich wejście na poduszkę powietrzną, spowodowaną bliskością ziemi, choć utrzymanie lotu poziomego w tych warunkach było właściwie niemożliwe. Zdawał

sobie sprawę, że w rozrzedzonym powietrzu opadają znacznie szybciej. Musiał lądować. W

ostatniej chwili włączył reflektory lądowania, by wyszukać kawałek płaskiego terenu, ale zobaczył tylko skały. Wykorzystując resztki sterowności skierował opadający samolot między dwie największe. Na sekundę przed uderzeniem w ziemię parsknął przekleństwem — nie z rozpacz, lecz ze wściekłości.

Przez chwilę Łucznik myślał, że samolot mu ucieknie. Rozbłysk po trafieniu był

niewątpliwy, ale przez następnych kilka sekund nic nie było widać. Wstęga ognia, która potem wystrzeliła, potwierdzała, że cel został śmiertelnie ugodzony. W trzydzieści sekund później nastąpił wybuch na ziemi, o jakieś dziesięć kilometrów dalej, w pobliżu planowanej trasy odwrotu; przed świtem będzie mógł obejrzeć swoje dzieło. Teraz obrócił się na dźwięk terkotliwego gwizdu nadlatującego śmigłowca. Abdul odrzucił wykorzystaną już prowadnicę wyrzutni i z prędkością, której nie powstydziliby się wyćwiczony żołnierz, zamontował moduł

wykrywania i sterowania na nowej lufie. Podał gotową wyrzutnię Łucznikowi, który zaczął wypatrywać w powietrzu kolejnego celu.

Nie mógł jeszcze wiedzieć, że atak na Ghazni załamywał się. Radziecki dowódca szybko zareagował na odgłosy strzałów — będący na miejscu Rosjanin nie zdołał zapanować nad strzelaniną na oślep trzeciej kompanii afgańskiej — i w ciągu dwóch minut obsadził stanowiska żołnierzami.

Mudżahedini mieli teraz przed sobą gotowy do walki batalion, ukryty w schronach i wspierany bronią ciężką. Ogień maszynowy zatrzymał atakujących o jakieś dwieście metrów przed radzieckimi pozycjami. Przywódca partyzantów i major -dezerterski starali się własnym przykładem zagrać swoich ludzi do ponownego ataku. Wzdłuż linii rozległ się dziki okrzyk wojenny, na przywódcy zbiegły się jednak linie pocisków smugowych. Przeszywały go przez parę sekund, zanim odrzuciły na bok jak lalkę. Strata dowódcy, jak to zazwyczaj bywa z prymitywnymi wojownikami, zniszczyła ich wolę walki. Zła wieść rozniosła się wzdłuż linii szybciej niż otrzymali ją dowódcy grup przez radio. Mudżahedini natychmiast zaczęli odwrót, ostrzeliwując się bezładnie. Radziecki dowódca dostrzegł, co się dzieje, ale nie ruszył w pościg.

Od tego były śmigłowce.

Łucznik zorientował się, że coś jest nie w porządku, gdy rosyjskie moździerze zaczęły wystrzeliwać pociski oświetlające w inne miejsce. Jeden ze śmigłowców rozpoczął ostrzał

partyzantów rakietami i bronią maszynową, ale Łucznik nie mógł go uchwycić w celowniku.

Potem usłyszał okrzyki swych towarzyszy: nie zuchwałę hasła do ataku, lecz nawoływania do odwrotu. Stał. Teraz jego broń i umiejętności naprawdę się przydadzą. Kazał Abdulowi doczepić zapasowy moduł naprowadzania do kolejnej prowadnicy z rakietą. W niespełną minutę później chłopiec był gotów.

— Tam, na prawo. — Wskazał Łucznikowi kierunek.

— Widzę.

Na niebie pojawiła się chmura świecących kresk; to śmigłowiec odpalił rakiety. Łucznik nakierował wyrzutnię w tym kierunku i usłyszał sygnał uchwycenia celu. Nie znał odległości, w nocy nie da się jej bowiem określić, ale musiał zaryzykować. Począł, aż sygnał przejdzie w ciągły i

odpalił drugiego już tej nocy Stingera.

Pilot Mi-24 zauważył lecącą raketę. Śmigłowiec znajdował się jakieś sto metrów nad płonącymi flarami, zawieszonymi w powietrzu na spadochronikach. Pchnął dźwignię do przodu, nurkując wśród świateł. Udało się. Pocisk zgubił swój cel i skierował się ku jednej z flar, eksplodując zaledwie trzydzieści metrów od maszyny. Pilot natychmiast wykonał zwrot i rozkazał strzelcowi odpalić salwę dziesięciu rakiet ku ziemi, wzdłuż śladu lotu pocisku.

Łucznik przypadł do ziemi za skalnym występem, na którym miał stanowisko. Rakiety uderzyły w odległości mniej więcej stu metrów od niego. Zaczął się więc pojedynek „Jeden na jednego”... a pilot był niegłupi. Łucznik sięgnął po następną wyrzutnię. Zawsze modlił się o taką okazję. Ale śmigłowiec zniknął. Gdzie mógł się podziać?

Pilot ześlizgnął się na zawietrzną, wykorzystując wiatr, tak jak go szkolono, do zagłuszania hałasu wirnika. Zażądał przez radio flar na swój odcinek i natychmiast otrzymał

potwierdzenie z ziemi. Rosjanie chcieli dostać każdego operatora wyrzutni, jaki im się nawinął.

Uchodzących mudzahedinów ostrzeliwał drugi śmigłowiec, ten zaś miał wytropić ich osłonę przeciwlotniczą. Mimo związanego z tym niebezpieczeństwa, było to zadanie, o którym pilot wprost marzył. Operatorzy wyrzutni byli jego osobistymi wrogami. Trzymał się poza znanym mu zasięgiem Stingerów i czekał, aż flary oświetlą ziemię.

Łucznik raz jeszcze użył układu wykrywającego wyrzutni do poszukiwania śmigłowca.

Nie było to zbyt skuteczne, ale jego znajomość taktyki radzieckiej podpowiadała mu sektor, w którym mógł znajdować się Mi-24. Dwukrotnie już pojawił się sygnał, i dwukrotnie zanikł, gdy śmigłowiec tańcząc w lewo i prawo oraz zmieniając wysokość starał się utrudnić Łucznikowi jego zadanie. To naprawdę dobrze wyszkolony nieprzyjaciel — powiedział do siebie partyzant —

i tym bardziej ucieszy mnie jego śmierć. Niebo nad nim rozświetlały flary, wiedział jednak, że jeżeli pozostanie na miejscu, w tym migocącym świetle nikt go nie zauważy.

— Widzę ruch na godzinie dziesiątej — zameldował strzelec w śmigłowcu.

— To nie to — odpowiedział pilot. Pchnął dźwignię w prawo i ześlizgując się obserwował teren. Rosjanie przechwycili kilka amerykańskich Stingerów i dokładnie sprawdzili, jaką mają prędkość, zasięg i czułość. Według pilota znajdowali się co najmniej trzysta metrów poza ich zasięgiem. Jeżeli teraz zostanie ostrzelany, to wykorzysta ślad rakiety dla określenia swego celu, nadleci szybko i rozwali operatora, zanim ten będzie mógł odpalić następną.

— Ustaw racę dymną — polecił Łucznik.

Abdul miał już tylko jedną. Był to mały przedmiot wykonany z plastiku, z lotkami, niewiele różniący się od zabawki. Raca taka kosztowała sześć dolarów, a opracowano ją specjalnie do szkolenia pilotów lotnictwa amerykańskiego, by dać im odczuć strach, jakiego się doznaje pod ostrzałem rakiet. Wszystko co potrafiła, to przez kilka sekund lecieć w miarę prosto, zostawiając za sobą smugę dymu. Mudzahedini otrzymywali te race jako środek odstraszenia samolotów radzieckich, gdy skończyły się im rakiety przeciwlotnicze. Łucznik znalazł dla nich właściwsze zastosowanie. Abdul odbiegł już jakieś sto metrów i zakładał racę na prowadnicę ze stalowego drutu. Po chwili wrócił do swego mistrza, ciągnąc za sobą przewód do odpalania.

— No, Rusku, gdzie jesteś? — rzucił Łucznik pytanie w ciemność.

— Przed nami, przed nami coś się poruszyło, jestem tego pewien — zameldował strzelec pokładowy.

— Zobaczymy. — Pilot odpalił dwie rakiety, które uderzyły w ziemię dwa kilometry dalej, w znacznej odległości na prawo od Łuczniaka.

— Teraz! — zakomenderował Łucznik. Widział, skąd strzelał śmigłowiec i już skierował w tę stronę wyrzutnię. Czujnik podczerwieni zaczął ćwierkać.

Pilot aż się skulił widząc biegnący ku nim płomień, nim jednak zdołał wykonać manewr, już wiedział, że pocisk go minie. Został wystrzelony blisko ostrzelanego uprzednio miejsca.

— Teraz cię mam! — krzyknął. Strzelec pokładowy zaczął ostrzelać z broni maszynowej.

Łucznik zobaczył smugi pocisków i usłyszał kule trzaskające o ziemię, na prawo od siebie. To było dobre najście: prawie udało im się trafić. Ale ogień z broni pokładowej dał mu doskonały punkt celowania. Odpalił trzeciego Stingera.

— Jest druga! — krzyknął strzelec przez telefon pokładowy. Pilot rzucił maszynę w dół, wykonując jednocześnie skręt w prawo, lecz tym razem nie miał już dookoła siebie flar. Stinger uderzył w łopatę wirnika, wybuchł, i śmigłowiec jak kamień zaczął spadać w dół. Pilotowi udało się wprawdzie nieco zwolnić opadanie, mimo to jednak ciężko uderzyli w ziemię. Cud, że nie stanęli w płomieniach. W chwilę później za oknami kabiny pojawili się uzbrojeni żołnierze.

Wśród nich pilot dostrzegł rosyjskiego kapitana.

— Co z wami, towarzyszu?

— Moje plecy — wykrztusił z siebie lotnik.

Łucznik już odchodził. Wystarczająco skorzystał, jak na jedną noc, z łaski Allaha.

Porzuciwszy puste rury wyrzutni, biegł z Abdulem za wycofującymi się mudzahedinami.

Mogliby zostać ujęci, gdyby rosyjscy żołnierze ruszyli za nimi w pościg. Jak na razie ich dowódca trzymał wszystkich na pozycjach, a jedyny ocalały śmigłowiec zadowalał się krążeniem nad obozem. W pół godziny później Łucznik dowiedział się, że przywódca partyzantów nie żyje.

Rankiem samoloty radzieckie spróbują złapać ich na otwartej przestrzeni, muszą więc szybko dotrzeć do skał. Zostało do zrobienia jeszcze jedno: Łucznik wziął Abdula i trzech innych, by odnaleźć zestrzelony tej nocy transportowiec. Ceną za rakiety Stinger było sprawdzenie każdej straconej maszyny i wyszukanie przedmiotów, które mogłyby zainteresować CIA.

Pułkownik Filitow skończył kolejny zapis w dzienniku. Jak zauważył Bondarienko, jego znajomość spraw technicznych była o wiele lepsza, niż mogłoby to wynikać z dyplomów uczelnianych. W ciągu tych z górą czterdziestu lat spędzonych na wysokich szczeblach Ministerstwa Obrony Misza doksztąpił się w wielu dziedzinach techniki: od kombinezonów przeciwchemicznych, poprzez łącznościowe urządzenia szyfrujące, aż po... lasery. Oznaczało to, że chociaż teorię nie zawsze rozumiał tak, jakby sobie życzył, sprzęt i jego działanie mógł opisać równie dobrze, jak technicy, którzy go montowali. Dzisiejsze zapisanie wszystkich informacji w dzienniku zajęło mu cztery godziny. Te dane musiały pójść w świat: implikacje były zbyt przerażające.

Kłopot z systemem obrony strategicznej polega na tym, że żadna broń nie jest

„ofensywna” czy „defensywna” sama w sobie. Istota każdej broni, tak jak uroda każdej kobiety, zależy od punktu widzenia obserwatora — lub kierunku, w który zwraca on swój wzrok. Jak wykazuje historia, powodzenie w działaniach wojennych uzależnione było zawsze od zachowania odpowiedniej równowagi między środkami ofensywnymi i defensywnymi.

Radziecka strategia nuklearna — rozważał Misza — jest bardziej sensowna niż strategia Zachodu. Rosjanie nie uważają, by wojna nuklearna była nie do pomyślenia. Nauczono ich podejścia pragmatycznego: to zagadnienie, jakkolwiek skomplikowane, ma jednak rozwiązanie, chociaż nie idealne. W odróżnieniu od wielu myślicieli Zachodu, Rosjanie przyznają, że żyją w świecie niedoskonałym. Strategia radziecka od czasów kryzysu kubańskiego w 1962 roku —

przyczyny śmierci pułkownika Olega Pieńkowskiego, który Miszę zwerbował — opierała się na prostej zasadzie: „ograniczenie zniszczeń”. Nie chodzi bowiem o unicestwienie wroga za pomocą broni nuklearnej, a raczej o to, by nie niszczyć do końca, by pozostał jeszcze ktoś, z kim można byłoby negocjować warunki zakończenia wojny. Zadaniem, które zaprzęta radzieckie umysły, jest zapobieżenie zniszczenia Związku Radzieckiego przez broń nuklearną wroga. Zniszczenia, jakie stały się udziałem Rosjan w obu wojnach światowych z ich blisko czterdziestoma milionami zabitych, były tak duże, że nie pragnęli następnych.

Nie uważano tego zadania za łatwe, ale wynikało ono z przyczyn zarówno technicznych jak i politycznych. Teoria marksizmu-leninizmu ujmuje historię jako proces: nie jako zwykły zbiór minionych wydarzeń, lecz jako naukowy wyraz społecznej ewolucji człowieka, która zakończy się, musi się zakończyć, uznaniem przez całą ludzkość marksizmu-leninizmu za idealną formę każdego społeczeństwa. Zaprzysięgły marksista wierzy więc równie niezachwianie w ostateczne zwycięstwo

swego światopoglądu jak chrześcijanin, żyd czy muzułmanin wierzy w życie po śmierci. I tak jak wspólnoty religijne na przestrzeni dziejów wykazują gotowość szerzenia Dobrej Nowiny ogniem i mieczem, tak obowiązkiem marksisty jest jak najszybsze urzeczywistnienie swej wizji.

Cała trudność polega na tym, że są na świecie ludzie, którzy nie podzielają marksistowsko-leninowskiego poglądu na historię. Nazywani są przez doktrynę komunistyczną reakcyjnymi siłami imperializmu, kapitalizmu, burżuazji i całej reszty panteonu wrogów, których opór da się przewidzieć — nie da się natomiast przewidzieć ich taktyki. Podobnie jak szuler wie, że wygra, tak też komuniści „wiedzą”, że wygrają. Ale tak jak szuler, i oni miewają chwile, gdy przyznają z niechęcią, że szczęście czy też mówiąc naukowo „zmienna losowa”, może zniweczyć ich rachuby. Przy braku odpowiedniego poglądu naukowego demokracjom zachodnim brakuje także wspólnego etosu, a to sprawia, że ich działań nie sposób przewidzieć.

Dlatego właśnie Wschód obawia się Zachodu. Od czasów przejęcia przez Lenina władzy w kraju, który przemianował na Związek Radziecki, komunistyczny rząd wydaje miliardy na szpiegowanie Zachodu. Celem podstawowym, jak w działalności każdego wywiadu, jest przewidzenie tego, co druga strona zechce, i co może, zrobić.

Mimo jednak niezliczonych sukcesów taktycznych pozostawał problem zasadniczy: wielokrotnie radzieckie władze niewłaściwie odczytywały działania i intencje Zachodu. W erze atomu taka nieobliczalność może oznaczać, że jakiś niezrównoważony przywódca amerykański, albo — co mniej prawdopodobne — angielski lub francuski, może położyć kres Związkowi Radzieckiemu i tym samym opóźnić o całe pokolenia zwycięstwo światowego socjalizmu (dla Rosjan to pierwsze oznacza większą stratę, żaden bowiem prawdziwy Rosjanin nie chciałby widzieć, jak świat zmierza do socjalizmu pod przywództwem chińskim). Największe zagrożenie dla marksizmu-leninizmu stanowi zachodni arsenał nuklearny. Stworzenie dlań przeciwwagi to najważniejszy cel radzieckich wojskowych. W odróżnieniu jednak od Zachodu Rosjanie nie uważają, by zapobieżenie użyciu tej broni równało się zapobieżeniu wojnie. Skoro według nich postaw i reakcji Zachodu nie da się przewidzieć, zakładają, że polityka zastraszania się wystarcza. Chcieliby wyeliminować, lub co najmniej zredukować zachodni arsenał nuklearny na wypadek, gdyby kolejny kryzys groził przejściem od słów do czynów.

Z takim właśnie zamysłem stworzyli własny arsenał atomowy. Unicestwienie miast z milionami mieszkańców jest zawsze prostym zadaniem, ale unicestwienie rakiet krajów zachodnich nie jest już tak proste. By móc niszczyć rakiety amerykańskie, trzeba było stworzyć kilka generacji niezwykle dokładnych (i bardzo drogich) rakiet w rodzaju SS-18, których jedynym zadaniem jest zamienienie baterii amerykańskich rakiet Minuteman, bazy okrętów podwodnych i bazy lotnictwa w świecący pył. A ponieważ wyrzutnie rakiet i bazy marynarki znajdują się poza rejonami zaludnionymi ewentualne uderzenie mające na celu arsenał zachodni mogłoby zostać przeprowadzone bez spowodowania światowej zagłady. Amerykanie tymczasem nie mają wystarczającej liczby odpowiednio celnych głowic bojowych, by w ten sam sposób zagrozić radzieckim siłom raketowym. Tak więc Rosjanie w razie ataku na obiekty strategiczne i środki bojowe przeciwnika mieliby przewagę.

Słabym punktem jest Marynarka. Ponad połowa amerykańskich głowic bojowych znajduje się na atomowych okrętach podwodnych. Marynarka amerykańska nadal uważa, że jej raketowe okręty podwodne nie zostały nigdy wykryte przez marynarkę radziecką. Nie jest to zgodne z prawdą: w ciągu dwudziestu siedmiu lat okręty amerykańskie śledzone były trzy razy, choć nigdy nie dłużej niż cztery godziny. Pomimo lat trudów marynarki radzieckiej nie spodziewano się, że zadanie to się uda. Nawet Amerykanie przyznają, że nie są w stanie wyśledzić własnych boomerów, jak nazywają raketowe okręty podwodne. Z drugiej zaś strony, Amerykanie potrafią wykrywać radzieckie okręty raketowe i dlatego Rosjanie umieszczają na nich tylko część swoich głowic bojowych. Do niedawna żadna ze stron nie mogła w pełni wykorzystać okrętów podwodnych do przenoszenia broni przeciwuderzeniowej.

Ale gra nabiera nowych rumieńców. Amerykanie wyprodukowali kolejny cud techniki.

Wkrótce do arsenału raketowego okrętów podwodnych włączone zostaną pociski raketowe Trident D-5, zdolne do niszczenia chronionych obiektów wojskowych przeciwnika. Stwarza to poważne zagrożenie dla Rosjan, ponieważ jest jakby lustrzanym odbiciem możliwości ich własnego potencjału raketowego. Istotnym elementem nowego systemu amerykańskiego są jednak satelity lokalizacji globalnej GPS, bez których okręty podwodne nie byłyby w stanie określić własnego położenia wystarczająco dokładnie, by uderzyć na system obrony przeciwnika.

Pogmatwana logika równowagi nuklearnej znowu zwraca się przeciw sobie samej, jak to z nią bywa co najmniej raz na pokolenie.

Dość wcześnie uświadomiono sobie, że rakiety są bronią ofensywną z zadaniem defensywnym, i że zdolność niszczenia przeciwnika jest klasyczną formułą zarówno zapobiegania wojnie, jak i pokojowego osiągnięcia własnych celów. Fakt, że taka siła przypadająca w udziale obu stronom przekształciła historycznie wypróbowany wzór jednostronnego zastraszania na dwustronne powstrzymywanie, nie spodobał się, niestety, żadnej z nich.

Powstrzymywanie nuklearne: zapobieganie wojnie przez zagrożenie obustronną zagładą.

Strony powiedziały sobie mniej więcej tak: „Jeżeli wy zabijecie naszych bezbronnych cywilów, to my zabijemy waszych”. Taka obrona była już nie obroną własnego społeczeństwa, lecz groźbą bezsensownej przemocy wobec innego. Misza skrzywił się. Żadne dzikie plemię nie głosiło nigdy czegoś takiego. Nawet najbardziej niecywilizowani barbarzyńcy byli na to zbyt postępowi, a przecież to właśnie postanowiły — czy o to potknęły się społeczeństwa najbardziej rozwinięte.

Zasada powstrzymywania sprawdza się w działaniu, jednakże zarówno Związek Radziecki, jak i Zachód żyją w zagrożeniu. Taka sytuacja nikogo nie zadowala, niemniej Sowieci uzyskali to, co uważają za najlepsze w owym złym układzie: stworzyli arsenał strategiczny zdolny w poważnym stopniu obezwładnić stronę przeciwną, gdyby kryzys światowy tego wymagał. Zdolność eliminacji większości arsenału amerykańskiego daje im możliwość narzucenia sposobu prowadzenia wojny nuklearnej. W ujęciu klasycznym jest to pierwszy krok ku zwycięstwu. Z

radzieckiego punktu widzenia twierdzenie Zachodu, jakoby „zwycięstwo” w wojnie nuklearnej nie było możliwe, jest jego pierwszym krokiem ku klęsce. Teoretycy obu stron zawsze jednak uznawali stan kwestii nuklearnej za niezadowalający i spokojnie pracowali nad innymi sposobami jej rozwiązania.

Już w latach pięćdziesiątych tak Ameryka, jak i Związek Radziecki rozpoczęły badania nad wynalezieniem skutecznego systemu obrony przeciwrakietowej. Ośrodek radziecki umieszczony został w południowo-zachodniej Syberii, w Sary-Szagan. Pod koniec lat sześćdziesiątych ich system był bliski uruchomienia, ale nastanie ery wieloczołowych głowic samonaprowadzających zniweczyło piętnaście lat pracy — i to, jak na ironię, obu stronom. W

pojedyunku między systemami ofensywnymi i defensywnymi przewagę osiągają zazwyczaj te pierwsze.

Ale to już przeszłość. Broń laserowa i inne systemy emisji wysokoenergetycznych, wsparte mocą komputerów, stworzyły podwaliny całkowicie nowej strategii. Skuteczny system obrony staje się, jak przeczytał pułkownik Filitow w raporcie Bondarienki, rzeczywistością. A cóż to znaczy?

Znaczy to, że przeznaczeniem nuklearnego układu sił jest powrót do klasycznej równowagi między „atakami” a „obroną”, przy czym oba elementy należą do jednej strategii.

Zawodowi wojskowi są zdania, że teoretycznie jest to korzystniejsze, choć bowiem chciałby się uważać za największego mordercę na świecie? Równocześnie jednak zaczynają podnosić swoje wstrętne łby różne rozwiązania taktyczne. Nacisk i odstąpienie, manewr i kontrmanewr.

Amerykański system obrony strategicznej mógłby podważyć radziecką strategię nuklearną.

Gdyby Amerykanie zdolni byli zapobiec zniszczeniu swoich wyrzutni lądowych przez rakiety SS-18, wówczas to pierwsze, obezwładniające uderzenie, które według Rosjan miało zmniejszyć zniszczenia Rodiny, nie byłoby już możliwe. A to oznaczałoby, że wszystkie te miliardy utopione w produkcji rakiet balistycznych można było równie dobrze wrzucić do morza.

Na tym jednak nie koniec. Podobnie jak kiedyś barbarzyńca uważał scutum rzymskiego legionisty za część uzbrojenia, zza którego ten mógł bezkarnie zadawać ciosy mieczem, tak obecnie w inicjatywie Obrony Strategicznej upatrywać można podobnej tarczy, zza której przeciwnik może dokonać pierwszego, obezwładniającego ataku raketowego, a potem użyć swych systemów obronnych do zmniejszenia, czy nawet wyeliminowania skutków uderzenia odwetowego.

Jest to oczywiście pogląd uproszczony. Żaden system nie daje gwarancji właściwego użycia, więc nawet gdyby ów system działał, to i tak przywódcy polityczni znaleźliby — a czym Misza był przekonany — metodę użycia go w sposób najmniej korzystny. Pod tym względem można na nich całkowicie polegać. Sprawdzający się system obrony strategicznej to jakby nowy element niepewności w układzie sił. Jest mało prawdopodobne, by jedna ze stron zdołała zlikwidować wszystkie nadlatujące rakiety, a śmierć „zaledwie” dwudziestu milionów obywateli to rzecz zbyt

przerazająca, nawet dla kierownictwa radzieckiego, by ją brać pod uwagę w kalkulacjach. Najprostszy nawet system obrony strategicznej może jednak zniszczyć tyle głowic bojowych, że koncepcja uderzenia na obiekty wojskowe przeciwnika traci swoje znaczenie.

Gdyby Rosjanie pierwsi stworzyli taki system, skromny arsenał amerykański, przeznaczony do ataku na instalacje przeciwnika, mógłby zostać zneutralizowany o wiele łatwiej niż podobny arsenał radziecki, a to oznaczałoby, że nie ma potrzeby zmieniać koncepcji strategicznej, nad którą Rosjanie pracowali przez trzydzieści lat. Rząd radziecki tylko by na tym zyskał: miałby więcej precyzyjnych rakiet do ewentualnego wyeliminowania pocisków amerykańskich oraz tarczę, która zatrzymałaby większą część uderzenia odwetowego skierowanego na zapasowe wyrzutnie raketowe. Amerykańskie systemy morskie udałoby się zneutralizować eliminując satelity nawigacyjne systemu GPS: bez nich można by co prawda niszczyć całe miasta, lecz możliwość ataku na podziemne wyrzutnie raketowe zostałaby bezpowrotnie stracona.

Scenariusz, nad którym rozmyślał pułkownik Michaił Siemionowicz Filitow, był typową radziecką analizą sytuacyjną. Przypuśćmy, że wybuchą jakiś kryzys (zazwyczaj bliskowschodni, ponieważ nikt nie jest w stanie przewidzieć, co się tam wydarzy). Moskwa podejmuje działania dla ustabilizowania sytuacji, ale wtrąca się Zachód, oczywiście niezdarnie i głupio, i zaczyna otwarcie mówić w prasie o konfrontacji nuklearnej. Wywiad błyskawicznie przekazuje do Moskwy, że uderzenie nuklearne jest całkiem prawdopodobne. Jednostki rakiet SS-18

Strategicznych Wojsk Raketowych zostają potajemnie postawione w stan pełnej gotowości.

Alarm zostaje także ogłoszony w nowych bazach broni laserowej. W czasie, gdy te głąby z Ministerstwa Spraw Zagranicznych — żaden wojskowy nie jest najlepszego zdania o swych kolegach-dyplomatach — starają się załagodzić konflikt, Zachód przybiera różne pozy i straszy, być może atakując jakiś okręt radzieckiej marynarki wojennej, by wykazać swe zdecydowanie w tej sprawie, a już na pewno mobilizując armie NATO, by zagrozić inwazją na Europę Wschodnią. Świat ogarnia prawdziwa panika. Kiedy ton zachodnich wystąpień osiąga dopuszczalny pułap, wojska raketowe otrzymują rozkaz odpalenia pocisków: trzystu rakiet SS-18, niosących po trzy głowice bojowe na każdą podziemną wyrzutnię amerykańską. Bazy lotnictwa bombowego i bazy okrętów podwodnych atakowane są mniejszymi ładunkami, by możliwie ograniczyć straty w ludziach, ponieważ Rosjanie nie mają zamiaru zaostrzać sytuacji ponad

potrzebę.

Równocześnie

lasery

zneutralizują

tyle

amerykańskich

satelitów

rozpoznawczych i nawigacyjnych, ile się tylko da, pozostawiając jednak nietknięte satelity łączności — taka zagrywka dla wykazania „dobrych” intencji. Amerykanie nie mogliby odpowiedzieć na atak przed uderzeniem głowic radzieckich (Misza nie był tego pewien, ale informacje z KGB i GRU mówiły o pewnych niedociągnięciach w amerykańskim systemie dowodzenia; w grę wchodziły też czynniki psychologiczne). Prawdopodobnie Amerykanie trzymać będą swe okręty podwodne w rezerwie, przedtem wystrzelując ocalałe Minutemany na radzieckie wyrzutnie raketowe: zakłada się przy tym, że jakieś dwieście do trzystu głowic amerykańskich przetrwa pierwsze uderzenie. Wiele z nich wycelowanych będzie w puste już silosy, a radziecki system obrony unicestwi większość nadlatujących pocisków.

Pod koniec pierwszej godziny Amerykanie uświadomią sobie, jak bardzo nie doceniono rakiet odpalanych z okrętów podwodnych. „Gorącą linią” Moskwa-Waszyngton nieustannie przesyłane będą ostrożne wezwania: „Nie powinniśmy dopuścić do eskalacji działań”. Wtedy Amerykanie zaczną prawdopodobnie myśleć. Jest to istotny element gry: zmusić ludzi do zaprzestania działań i zastanowienia się. Można napadać na miasta pod wpływem impulsu lub w stanie wściekłości, ale nie po głębszym namyśle.

Filitowa nie martwiło to, że każda ze stron będzie uważać swoje systemy obronne za racjonalne uzasadnienie uderzenia ofensywnego. W razie kryzysu jednak istnienie tych systemów mogłoby złagodzić strach przed rozpoczęciem ataku, gdyby strona przeciwna nie miała podobnych. Dlatego też obie strony muszą je mieć. Dzięki temu, że zmniejszy się prawdopodobieństwo ataku, a tym samym świat stanie się bezpieczniejszy. Rozbudowy systemów obronnych nie da się już zatrzymać. Równie dobrze można byłoby próbować powstrzymać przyływy i odpływy oceanu. Starego żołnierza cieszyło, że rakiety międzykontynentalne, tak przeciwne etyce wojny klasycznej, mogłyby zostać w końcu zneutralizowane, że śmierć w bitwie byłaby znowu wynikiem walki zbrojnych ludzi, tak jak być powinno...

No cóż — pomyślał — jesteś już zmęczony, za późno na takie rozważania. Trzeba było kończyć pisanie meldunku, zamieścić datę ostatecznej wersji raportu Bondarienki, sfotografować całość i przekazać film łącznikowi.

Przekazanie materiału

Prawie świtało, kiedy Łucznicz odnalazł wrak zestrzelonego samolotu. Nie licząc Abdula, było z nim

jeszcze dziesięciu ludzi. Musieli się śpieszyć, bo ze wschodem słońca pojawią się z pewnością Rosjanie. Przyglądał się z pagórka zniszczonej maszynie. Uderzenie w ziemię oderwało oba skrzydła. Kadłub ślizgał się jeszcze lekko pod górę, objając się przy tym i pękając, aż w końcu tylko ogon pozostał nienaruszony. Łucznik nie zdawał sobie sprawy, że tylko dzięki świetnemu pilotowi kraksa zakończyła się tak właśnie, że sprowadzenie samolotu na ziemię graniczyło z cudem. Skinął na swoich towarzyszy i szybko podeszli do wraku. Kazał im szukać broni oraz wszelkiego rodzaju dokumentów, a potem ruszył z Abdulem w kierunku ogona.

Jak zawsze, miejsce katastrofy pełne było sprzeczności: niektóre ciała porozrywane były na strzępy, inne wydawały się nietknięte, gdyż śmierć nastąpiła wskutek urazów wewnętrznych.

Zwłoki wydawały się dziwnie spokojne, jeszcze nie zmrożone niską temperaturą. W części ogonowej naliczył sześć trupów w rosyjskich mundurach. Jeden z nich, w mundurze kapitana KGB, nadal tkwił przypięty pasami do fotela. Na ustach miał różową pianę. Chyba jeszcze żył

tuż po katastrofie i kaszłał krwią — pomyślał Łucznik. Obrócił ciało nogą i zobaczył teczkę przykutą do lewej ręki oficera. To wyglądało obiecująco. Pochylił się, by sprawdzić, czy kajdanki dadzą się łatwo zdjąć, ale nie zdołał ich rozpiąć. Wzruszył ramionami i wyciągnął nóż: trzeba będzie po prostu odciąć dłoń. Obrócił ją i zaczął...

Ręka podskoczyła, a przenikliwy krzyk poderwał Łuczniaka na równe nogi. Jeszcze żyje?

Gdy Łucznik ponownie pochylił się nad nim, nad ustami rannego wybuchła mgiełka krwawego kaszlu, a szok i ból spowodowały, że oczy były teraz szeroko otwarte. Wargi poruszały się, ale niczego nie można było zrozumieć.

— Sprawdź, czy jeszcze ktoś żyje — polecił Łucznik swemu pomocnikowi. Potem odwrócił się do oficera KGB i powiedział w języku pusztu:

— Cześć, Rusku.

Machnął nożem o kilka centymetrów przed oczami rannego.

Rosjanin znowu zaczął kaszleć. Ocknął się już całkowicie i w pełni odczuwał ból. Wił się w męce, gdy Łucznik go obszukiwał, chcąc sprawdzić, czy ma broń. Żebra na pewno miał

złamane, ręce i nogi wyglądały na nienaruszone. Z trudem wypowiedział kilka słów. Łucznik nie mógł go zrozumieć, mimo że znał trochę rosyjski. I choć to, co tamten chciał mu powiedzieć było tak oczywiste, trzeba było prawie pół minuty, by wreszcie zdołał uchwycić sens:

— Nie zabijaj mnie...

Wrócił do przeszukiwania kieszeni munduru. Wyciągnął portfel oficera i przerzucił jego zawartość. Zatrzymał się nad fotografiami. Kapitan miał żonę. Niewysoka, z ciemnymi włosami, pełną twarzą; nie była piękna, ale ładnie się uśmiechała. Kobieta zachowuje taki uśmiech dla mężczyzny, którego

kocha. Ten uśmiech rozjaśniał jej twarz w sposób, który Łucznikowi nie był

obcy. Jego uwagę przykuły dwa kolejne zdjęcia. Rosjanin miał syna. Pierwsze zdjęcie zrobiono, kiedy chłopiec miał jakieś dwa lata, rozczochrane włosy i szelmowski uśmiezek. Nie można nienawidzić dziecka, nawet jeśli to dziecko oficera KGB. Następne zdjęcie tak się różniło od pierwszego, że trudno było je ze sobą skojarzyć. Tu chłopiec nie miał już włosów, skóra na twarzy była naciągnięta i przezroczysta jak karty starego wydania Koranu. Dziecko umierało. Ile miało lat... trzy, może cztery? Umierające dziecko, na którego twarzy malował się uśmiech odwagi, bólu, miłości. Dlaczego Allah musi doświadczać dzieci swym gniewem — pomyślał.

Obrócił zdjęcie ku twarzy oficera.

— Twój syn? — zapytał po rosyjsku.

— Nie żyje. Rak — odpowiedział ranny, ale spostrzegł, że ten bandyta go nie rozumie. —

Choroba, długa choroba. — Na krótką chwilę z twarzy znikł ból, a pozostał tylko smutek. To ocaliło mu życie. Ze zdumieniem patrzył, jak bandyta wkłada nóż do pochwy, lecz ból nie pozwolił mu na żadne słowo czy gest.

Nie, nie ześlę jeszcze jednej śmierci na tę kobietę — pomyślał Łucznik i taka decyzja go zaskoczyła. Jakby głos samego Allaha przypominał mu, że litość jest drugą po wierze ludzką cnotą. To było za mało, jego towarzysze broni nie dadzą się bowiem przekonać jednym świętym werselem, ale Łucznik znalazł jeszcze w kieszeni spodni Rosjanina kółko z kluczykami: jednym z nich otworzył kajdanki, a innym — walizeczkę. Pełna była teczek z dokumentami, oklejonych kolorową taśmą i ostemplowanych jakąś pieczęcią, która zawierała jednak słowo dobrze Łucznikowi znane: TAJNE.

— Przyjacielu, odwiedzisz jednego z moich przyjaciół. Jeżeli dożyjesz — powiedział

Łucznik w pusztu.

— Czy to poważna sprawa? — zapytał prezydent.

— Przypuszczalnie nawet bardzo poważna — odpowiedział sędzia Moore. — Chciałbym przyjść z paroma osobami, które dokładnie ją zrelacjonują.

— Czy Ryan nie pisze opracowania na ten temat?

— On też będzie, a także major Gregory, o którym już pan słyszał. Prezydent spojrział w kalendarz na biurku i powiedział:

— Mogę wam poświęcić czterdzieści pięć minut. Bądźcie tu o jedenastej.

— Przyjdziemy, panie prezydencie.

Moore odłożył słuchawkę, a potem nacisnął klawisz interkomu:

— Proszę przysłać do mnie doktora Ryana.

Jack wszedł minutę później. Nie miał nawet czasu, by usiąść.

— O jedenastej mamy być u Szefa. Co z twoim opracowaniem?

— Nie nadaję się do gadania o fizyce, ale to może załatwić Gregory. Rozmawia właśnie z admirałem i panem Ritterem. Generał Parks też będzie?

— Tak.

— Dobrze. Ile materiału ilustracyjnego mam zabrać ze sobą?

Sędzia Moore zastanawiał się przez chwilę.

— Nie musimy mącić mu w głowie. Weź parę zdjęć ogólnych i dobry szkic całości. Czy ty też uważasz, że to ważna sprawa?

— Nie stanowi to zagrożenia bezpośredniego, nawet gdybyśmy pofolgowali swej wyobraźni, ale nie jest zbyt dla nas korzystne. Trudno ocenić jaki wywrze to wpływ na rozmowy o ograniczeniu zbrojeń. Nie wydaje mi się, by był jakiś bezpośredni związek.

— Nie ma. Jesteśmy tego pewni — przerwał mu dyrektor CIA, potem skrzywił się i dodał: — W każdym razie, wydaje się nam, że jesteśmy pewni.

— Panie sędzio, po firmie krąży sporo materiałów dotyczących tej sprawy, których jeszcze nie widziałem.

Moore uśmiechnął się dobrotliwie:

— A skąd o tym wiesz, chłopcze?

— Prawie cały zeszły piątek spędziłem na przeglądaniu starych materiałów na temat radzieckiego systemu obrony przeciwrakietowej. W osiemdziesiątym pierwszym Rosjanie przeprowadzili w Sary-Szagan ważną próbę, o której wiedzieliśmy bardzo dużo. Wiedzieliśmy, na przykład, że założenia testu zostały zmienione przez Ministerstwo Obrony. Kopertę z rozkazem zamknięto i ostemplowano w Moskwie, a następnie doręczono osobiście kapitanowi okrętu, który wystrzeliwał rakiety, Marko Ramiusowi. Opowiedział mi tę historię od swojej strony. Z tego i kilku innych rzeczy, na które się natknąłem, wnoszę, że mamy u nich swojego człowieka, i to gdzieś bardzo wysoko.

— Co to za „kilka innych rzeczy”? — chciał wiedzieć sędzia.

Jack zawahał się przez chwilę, ale postanowił ujawnić swe przypuszczenia:

— Kiedy uciekł „Czerwony Październik”, pokazał mi pan meldunek, który musiał

pochodzić z dobrego źródła, z Ministerstwa Obrony. Na te czce był kryptonim WIERZBA, o ile dobrze pamiętam. Później widziałem jeszcze jedną teczkę z takim opisem, dotyczącą całkiem innej sprawy, chociaż też związanej z obronnością. Dlatego myślę, że istnieje źródło o często zmienianym kryptonimie. Coś takiego robi się tylko w przypadku bardzo ważnego agenta, a jeżeli ja nie mam dostępu do jego meldunków, to znaczy, że jest on szczególnie dobrze chroniony. Dwa tygodnie temu powiedział pan, że raport na temat ośrodka koło Duszanbe został

potwierdzony przez „inne źródła” — uśmiechnął się Jack. — Płaci mi pan, panie sędzio, za to, bym wyszukiwał powiązania między faktami. Nie obrażam się za pomijanie mnie w sprawach, które mnie nie obchodzą, tym razem jednak mam wrażenie, że dzieje się coś, co należy do zagadnienia, którym się zajmuję. Jeżeli mam przedstawić sytuację prezydentowi, to powinienem być dopuszczony do właściwych informacji.

— Siadaj, Ryan — Moore nie tracił czasu na pytanie Jacka, czy już z kimś rozmawiał na ten temat. A więc nadszedł już czas na przyjęcie nowego członka do „Bractwa DELTY”? Po chwili uśmiechnął się chytrze.

— Już go spotkałeś — stwierdził i w ciągu kilku następnych minut powiedział Jackowi resztę.

Ryan odchylił się w fotelu i zamknął oczy. Po chwili dokładnie przypomniał sobie tamtą twarz.

— O Boże, i to on dostarcza nam informacji... Czy możemy je wykorzystywać?

— Już wcześniej dostarczał nam danych technicznych. Większość z nich została użyta.

— Czy powiemy o tym prezydentowi? — zapytał Jack.

— Nie. I jest to jego decyzja, a nie nasza. Jakiś czas temu powiedział nam, że nie interesują go szczegóły tajnych operacji, lecz ich wyniki. Za dużo mówi — jak większość polityków, ale jest na tyle inteligentny, by zdawać sobie z tego sprawę. Zdarzało nam się już tracić agentów dlatego że prezydenci nie umieli trzymać języka za zębami, by nie wspomnieć o niektórych członkach Kongresu.

— Kiedy ma nadejść meldunek stamtąd?

— Wkrótce, może za tydzień, a może dopiero za trzy...

— Gdyby się udało, moglibyśmy połączyć to, co oni wiedzą, z tym, co my wiemy... —

Ryan spojrział przez okno na pozbawione liści gałęzie drzew. — Odkąd jestem w Firmie, panie sędzio, co najmniej raz dziennie zadaję sobie pytanie: Co tu jest naprawdę istotne — to, co wiemy, czy to, czego nie wiemy?

— Na tym polega ta gra, doktorze. — Moore pokiwał głową ze zrozumieniem. — Proszę zebrać

notatki. Ale niech pan nie wspomina o naszym przyjacielu. Sam powiem, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Jack wracał do swojego pokoju kręcąc głową ze zdziwieniem. Już kilkakrotnie podejrzewał, że dopuszczano go do spraw, o których nie wiedział sam prezydent. Teraz był już tego pewien. Zastanawiał się, czy to dobry pomysł — i przyznał, że nie wie. Myśli jego zaprzętało znaczenie agenta i jego informacji. Historia знаła już takie przypadki. W 1941 roku, w Japonii wspaniała agent Richard Sorge, w którego ostrzeżenia Stalin nie uwierzył. Oleg Pieńkowski, który przekazał Zachodowi informacje o radzieckich posunięciach wojskowych, co prawdopodobnie zapobiegło wojnie nuklearnej w czasie kryzysu kubańskiego w 1962 roku. A teraz jeszcze jeden. Ryan nie zdawał sobie sprawy, że chyba jako jedyny w CIA wiedział, jak agent ten wygląda, a jednocześnie nie znał ani jego nazwiska, ani kryptonimu. Nie przyszło mu do głowy, że sędzia Moore nie wie, jak wygląda Kardynał: od lat unika spojrzenia na jego fotografię z przyczyn, których nie mógłby wyjaśnić nawet swym zastępcom.

Zadzwonił telefon. Spod koca wysunęła się ręka i podniosła słuchawkę.

— Taak...

— Dzień dobry, Candi — powiedział Al Gregory w odległym o trzy tysiące kilometrów Langley.

Doktor Candace Long przekręciła się w łóżku i spojrzała na budzik.

— Jesteś na lotnisku?

— Jeszcze tutaj, w Waszyngtonie, kochanie. Jeżeli mi się uda, przylecę wieczorem. — W głosie słyhać było zmęczenie.

— Co się dzieje? — zapytała.

— Była próba i teraz muszę paru osobom wytłumaczyć, o co w tym chodziło.

— Dobrze, ale daj mi znać, kiedy wracasz. Wyjadę po ciebie. — Candi Long była zbyt zasnana, by zdać sobie sprawę z tego, że narzeczony złamał zasady zachowania tajemnicy odpowiadając na jej pytanie.

— Oczywiście. Kocham cię.

— Ja ciebie też, kochanie. — Odłożyła słuchawkę i ponownie spojrzała na budzik. Mogła jeszcze godzinę pospać. Do pracy będzie musiała pojechać z koleżanką. Al wyjeżdżając zostawił samochód przed laboratorium. Weźmie go jadąc na lotnisko.

Ryan znowu miał zabrać majora Gregotyego ze sobą. Generał Parks pojechał z Moore'em limuzyną Agencji.

— Pytałem już pana wcześniej czy są szansę, aby się dowiedzieć, co Ruscy szykują w Duszanbe?

Jack zawahał się przez chwilę, uświadomił sobie jednak, że Gregory i tak usłyszy o wszystkim w Białym Domu.

— Mamy pewne źródła, które starają się dowiedzieć, co tamci zrobili, by zwiększyć moc wyjściową.

— Chciałbym wiedzieć, jak to robicie — zagadnął major.

— Nie, wcale by pan nie chciał. Proszę mi wierzyć. — Ryan na chwilę oderwał wzrok od jadących przed nim samochodów. — Jeśli wiedząc coś takiego, popełni się choćby najmniejszą niezhęć, mogą zginąć ludzie. Już tak bywało. Rosjanie nie patyczkują się ze szpiegami.

Krąży nawet historia o tym, jak to jednego spalili, to znaczy żywcem włożyli do pieca krematoryjnego.

— Dobra, dobra... Nie ma takich...

— Panie majorze — przerwał Ryan — niech pan któregoś dnia wyjdzie z tego swojego laboratorium i zobaczy, jaki świat może być wredny. Pięć lat temu pewni ludzie chcieli zabić moją żonę i dziecko. W tym celu musieli przebyć pięć tysięcy kilometrów, a mimo to przylecieli.

— Ależ tak, to pan jest tym facetem...

— Stara historia, majorze — przerwał Jack. Był już zmęczony ciągłym przypominaniem tamtej sprawy.

— Jak to właściwie jest, proszę pana? Chodzi mi o to, że walczył pan, tak naprawdę, no i...

— To nie zabawa. — Ryan o mało nie roześmiał się z tego, co powiedział.

— Po prostu trzeba działać, i to wszystko. Albo robi się to dobrze, albo ginie. Przy odrobinie szczęścia nie wpada się w popłoch aż do czasu, gdy jest już po wszystkim.

— U nas, w laboratorium powiedział pan o swojej służbie w piechocie morskiej.

— Trochę to pomogło. Kiedyś starano się czegoś mnie nauczyć w tym fachu. — I w myślach dodał: to było wtedy, kiedy ty chodziłeś jeszcze chyba do szkoły średniej. Dość wspomnień. Zwrócił się do Gregory'ego:

— Czy miał pan już okazję poznać prezydenta?

— Nie, proszę pana.

— Mów mi Jack, dobrze? Prezydent to równy gość, słucha uważnie i zadaje trafne pytania. Nie daj się oszukać jego pozorną sennością. Według mnie taka poza służy mu do przechytrzenia polityków.

— Łatwo się dają na to nabrać? — zainteresował się Gregory.

— Niektórzy tak — roześmiał się Jack. — Będzie tam też szef rokowań rozbrojeniowych, wujek Ernie, Ernest Allen. Dyplomata w starym stylu, po studiach w Dartmouth i Yale. Ten jest sprytny.

— To właśnie on chce, żebym stracił pracę. Po co prezydent go trzyma?

— Ernie wie, jak należy rozmawiać z Rosjanami. To zawodowiec, nie pozwala, by odczucia osobiste przeszkadzały mu w pracy. Tak naprawdę to nie wiem, co on myśli o negocjacjach. To tak jak z lekarzami: chirurg nie musi cię osobiście lubić, żeby naprawić to, co jest nie w porządku. A co do pana Allena, cóż, on wie, jak przebrnąć przez te wszystkie głupoty, które spotyka się w czasie negocjacji. Nic o tym nie wiesz, prawda? — Jack z uśmiechem pokręcił głową, wpatrując się w ruch na jezdni. — Wszyscy myślą, że to takie dramatyczne, a wcale tak nie jest. Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś równie nudnego. Obie strony całymi godzinami mówią dokładnie to samo. Powtarzają się co kwadrans, i tak godzina po godzinie, dzień po dniu. Potem, po jakimś tygodniu, jedna ze stron dokonuje małej zmiany, i znowu powtarza ją godzinami. Druga strona konsultuje się ze swoimi władzami, też coś zmienia i zaczyna powtarzać to w kółko. Tak to się ciągnie całymi tygodniami, miesiącami, niekiedy nawet latami. Ale wujek Ernie jest w tym dobry. Jego to ekscytuje. Ja już po tygodniu byłbym skłonny rozpętać wojnę, byle tylko zakończyć takie rozmowy. — Jack znów się roześmiał. — Nie mów tego nikomu. Jest to równie interesujące jak przyglądanie się schnącej farbie, czyli nudne jak cholera, ale ważne i potrzeba do tego umysłu szczególnego rodzaju. Ernie to oschły, stary zrzęda, lecz zna się na tej robocie.

— Generał Parks mówi, że to właśnie Allen chce zamknąć naszą firmę.

— Majorze, do cholery, sam go zapytaj. Też się chętnie dowiem. Jack zjechał z Pennsylvania Avenue w ślad za limuzyną Moore'a.

W pięć minut później siedział z Gregorym w poczekalni skrzydła zachodniego, pod kopią znanego obrazu przedstawiającego Waszyngtona nad Delaware. W tym czasie sędzia rozmawiał

z Jeffreyem Peltem, doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Prezydent właśnie kończył spotkanie z sekretarzem handlu. W końcu agent Tajnej Służby zawołał ich i poprowadził korytarzami.

Gabinet Owalny jest w rzeczywistości — podobnie jak studia telewizyjne — znacznie mniejszy niż można by się spodziewać. Ryanowi i Gregory'emu wskazano małą sofę wzdłuż ściany północnej. Nie usiedli jeszcze, prezydent bowiem stał przy biurku. Ryan zauważył, że Gregory nieco pobladł, i zaraz przypomniał sobie swoje pierwsze tu spotkanie z prezydentem.

Nawet stali bywalcy Białego Domu przyznają, że ten pokój i władza w nim zawarta ich także

onieśmielają.

— Witam cię, Jack. — Prezydent podszedł, by uścisnąć mu dłoń. — A pan jest pewnie tym słynnym majorem Gregory.

— Tak jest — Gregory o mało nie udusił się z wrażenia i musiał odchrząknąć, by złapać oddech. — Chciałem powiedzieć: tak, panie prezydencie.

— Spokojnie, proszę siadać. Może trochę kawy? — Prezydent wskazał tacę na rogu biurka.

Gdy podał Gregory'emu filiżankę, tamten aż wybałuszył oczy. Ryan starał się jak mógł

powściągnąć uśmiech. Człowiek, który przywrócił prezydenturze „imperialność” (cokolwiek by to znaczyło) miał wyjątkowy dar zjednywania sobie ludzi i sprawiania, by czuli się swobodnie.

Albo raczej stwarzania takich pozorów — poprawił się Jack. Taki wstęp z kawą często jeszcze bardziej odbierał im swobodę i może wcale nie był to przypadek.

— Panie majorze, słyszałem wiele dobrego o panu i pańskiej pracy. Generał twierdzi, że jest pan jego najjaśniejszą gwiazdą. — Słyszac to Parks poruszył się w fotelu. Prezydent usiadł

koło Jeffa Pelta. — No to zaczynajmy.

Ryan otworzył teczkę i wyciągnął z niej fotografię. Potem położył na stoliku szkic.

— Panie prezydencie, to jest zdjęcie satelitarne miejsc określanych przez nas jako „Bach”

i „Mozart”, znajdujących się w górach, na południowy wschód od miasta Duszanbe w Tadżyckiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej, około stu kilometrów od granicy z Afganistanem. Góra ta ma wysokość około dwóch tysięcy trzystu metrów. Obserwujemy ten teren od dwóch lat. To zaś

— wyciągnął kolejną fotografię — jest Sary-Szagan, gdzie od trzydziestu lat Rosjanie prowadzą badania nad obroną przed rakietami balistycznymi. Tu, w tym miejscu, znajduje się prawdopodobnie doświadczalna „strzelnica” laserowa. Uważamy, że dwa lata temu Rosjanie dokonali istotnego przełomu w osiąganym mocy laserów. Wtedy też zmienili działalność na

„Bachu”, przystosowując to miejsce do pracy z laserami. W zeszłym tygodniu przeprowadzili próbę, chyba z użyciem pełnej mocy. Ten układ na „Bachu” to emiter laserowy.

— To przy jego pomocy ustrzelili satelitę? — spytał Jeff Pelt.

— Tak jest — odpowiedział major Gregory. — „Zażużlili” go, jak mówimy u nas w laboratorium. Władowali w niego tyle energii, że stopili metal i całkowicie zniszczyli baterie słoneczne.

— My jeszcze tego nie potrafimy? — zapytał Gregory'ego prezydent.

— Nie, sir. Nie potrafimy osiągnąć takiej energii na wyjściu.

— Jak to możliwe, że nas wyprzedzili? Ładujemy przecież w lasery kupę pieniędzy, prawda, panie generale?

Po ostatnich wydarzeniach Parks czuł się nieswojo, ale jego głos nie zdradzał żadnych emocji:

— Rosjanie też, panie prezydencie. W wyniku badań nad syntezą jądrową udało się im dokonać kilku istotnych osiągnięć. Od lat inwestują w badania fizyki wysokiej energii. Jest to część prac nad stworzeniem reaktora termojądrowego. Jakies piętnaście lat temu działania te zostały połączone z badaniami nad obroną przeciwrakietową. Jeżeli poświęca się masę czasu i wysiłku na badania podstawowe, należy spodziewać się rezultatów i rzeczywiście wiele uzyskali.

Wynaleźli kwadrupol częstotliwości radiowej, który my wykorzystujemy w doświadczeniach ze strumieniem cząstek neutralnych. Wynaleźli Tokamak — urządzenie stosujące silne pola magnetyczne, które skopiowaliśmy w Uniwersytecie Princeton. Wynaleźli żyrotron. To trzy główne osiągnięcia w dziedzinie fizyki wielkich energii, o których nam wiadomo. Niektóre wykorzystujemy w naszych badaniach prowadzonych w ramach Inicjatywy Obrony Strategicznej. Oni z pewnością wpadli na te same zastosowania.

— Dobrze, a co wiemy o próbie, którą przeprowadzili?

Znowu głos zabrał Gregory:

— Panie prezydencie, wiemy, że została ona przeprowadzona przez ośrodek koło Duszanbe, ponieważ pozostałe ośrodki z laserami o bardzo dużej mocy, w Sary -Szagan i Semipałatyńsku, były poza horyzontem... chciałem powiedzieć, że stamtąd nie mogli zobaczyć tego satelity. Wiemy, że nie był to laser pracujący w podczerwieni, ponieważ taka wiązka zostałaby wykryta przez czujniki na pokładzie „Cobra Belle”. Jeśli miałbym zgadywać, panie prezydencie, to powiedziałbym, że użyto lasera na swobodnych elektronach.

— Mamy potwierdzenie — wtrącił sędzia Moore — że tak właśnie jest.

— My w KLIPRZE HERBACIANYM też pracujemy na takim. Wygląda na to, że jest najlepszy do zastosowań wojskowych.

— Mogę zapytać dlaczego, majorze? — zainteresował się prezydent.

— Ze względu na swoją sprawność, panie prezydencie. Akcja laserowa odbywa się w strumieniu swobodnych elektronów, to znaczy takich, które — jak to zazwyczaj ma miejsce w próżni — nie są związane z atomami. Wytwarza się wiązkę elektronów za pomocą akceleratora liniowego i wstrzeliwuje ją do rezonatora, w którego osi czynny jest laser małej mocy. Chodzi o to, by przy pomocy elektromagnesów spowodować oscylacje elektronów poprzeczne do ich toru.

Otrzymujemy wówczas wiązkę światła pokrywającą się z częstotliwością drgań magnesów oscylacyjnych. Oznacza to, panie prezydencie, że można ją przestrajać jak radio. Zmieniając energię strumienia elektronów można dokładnie wybrać generowaną długość fali światła. Potem elektrony kierowane są ponownie do akceleratora liniowego i znowu wstrzeliwane do rezonatora.

Ponieważ elektrony są już wysokoenergetyczne, tu właśnie uzyskuje się dużą sprawność układu.

Krótko mówiąc chodzi o to, panie prezydencie, że na wyjściu można teoretycznie otrzymać czterdzieści procent energii zasilania układu. Przy stałym utrzymaniu takiej energii można nią rozbijać wszystko w zasięgu wzroku. Kiedy mówimy, panie prezydencie, o wysokich energiach, używamy danych względnych. W porównaniu z ilością prądu zużywanego w naszym kraju na gotowanie posiłków, energia potrzebna laserowemu systemowi obronnemu jest bardzo znikoma.

Kłopot polega na tym, by umieć zaprząć ją do pracy, a tego jeszcze nie potrafimy.

— A dlaczego? — prezydent lekko pochylił się do przodu.

— Wciąż jeszcze uczymy się, jak zmusić laser do pracy. Sprawa podstawowa to rezonator. To w nim energia elektronów zmienia się w wiązkę światła. Nie udało się nam jeszcze zbudować szerokiego rezonatora laserowego. Jeżeli jest za wąski, otrzymuje się energię o tak wysokiej gęstości, że spalić może powłoki optyczne zarówno w samym rezonatorze, jak i na zwierciadłach, którymi nakierowuje się wiązkę na cel.

— Ale oni rozwiązali ten problem. Jak to zrobili, pańskim zdaniem?

— Wiem tylko, co my staramy się zrobić. Przetworzenie energii w wiązkę oznacza zmniejszenie energii elektronów, prawda? Trzeba więc ustawić zbieżność pola magnetycznego, które utrzymuje elektrony, a jednocześnie utrzymywać oscylacje pola. Jeszcze do tego nie doszliśmy. Prawdopodobnie im się to udało, i to dzięki badaniom nad syntezą termojądrową.

Wszystkie pomysły na otrzymywanie energii w wyniku syntezy kontrolowanej związane są z użyciem pola magnetycznego utrzymującego plazmę wysokoenergetyczną, czyli w gruncie rzeczy to, co my próbujemy zrobić ze swobodnymi elektronami. Większość badań podstawowych w tej dziedzinie została zrealizowana w Rosji. Wyprzedzają nas, ponieważ poświęcili więcej czasu i pieniędzy sprawie najistotniejszej.

— W porządku. Dziękuję, panie majorze. — Prezydent zwrócił się teraz do sędziego Moore'a. — Arturze, co o tym myśli CIA?

— Nie będziemy zaprzeczać majorowi Gregory'emu, który spędził cały dzień na instruowaniu naszych ludzi z Wydziału Naukowo-Technicznego. Otrzymaliśmy potwierdzenie, że Rosjanie rzeczywiście mają tam sześć laserów na swobodnych elektronach. Dokonali przełomu w kwestii mocy wyjściowej. Staramy się odkryć, na czym ten przełom polega.

— Uda się wam? — zapytał generał Parks.

— Powiedziałem, panie generale, że się staramy. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, przed końcem miesiąca będziemy mieli wiadomość.

— Wiemy, że Rosjanie potrafią zbudować laser o bardzo dużej mocy — podjął temat prezydent. — Moje następne pytanie: czy jest to broń?

— Prawdopodobnie nie, panie prezydencie — odpowiedział generał Parks. — W każdym razie, jeszcze nie teraz. Mają kłopoty z rozmyciem wiązki, ponieważ nie wiedzą, jak skopiować naszą optykę adaptacyjną. Ściągnęli dużo rozwiązań technicznych z Zachodu, ale tego jeszcze nie mają. A dopóki nie będą mieli, nie będą też mogli używać lasera naziemnego w sposób, w jaki my to robimy, to znaczy przesyłając wiązkę do celu za pośrednictwem zwierciadła satelitarnego. Niemniej to, co już mają, może poważnie uszkodzić satelitę na niskiej orbicie okołoziemskiej. Oczywiście są sposoby, by się przed tym zabezpieczyć, ale w gruncie rzeczy to zupełnie jak z odwieczną rywalizacją między zbroją a włóczęgą. Koniec końców wygrywa włóczęga.

— I dlatego powinniśmy wypracować całkowitą likwidację arsenałów — przemówił po raz pierwszy Ernie Allen, a generał Parks spojrzał w jego stronę z nieukrywaną irytacją. — Panie prezydencie, mamy właśnie przedsmak, tylko przedsmak tego, jak niebezpieczne i destabilizujące mogą być takie systemy uzbrojenia. Jeżeli uznamy ośrodek koło Duszanbe za system antysatelitarny, to zauważymy, jakie będą tego implikacje w dziedzinie sprawdzania realizacji postanowień układu rozbrojeniowego, a także zbierania danych wywiadowczych w ogóle...

Jeżeli nie postaramy się zatrzymać tych procesów już teraz, popadniemy w chaos.

— Nie można zatrzymać postępu — odezwał się Parks.

— Postępu? — parsknął Allen. — Do diabła, omawiamy właśnie projekt traktatu przewidującego redukcję uzbrojenia o połowę. To jest postęp, generale. W czasie próby, którą przeprowadziliście nad południowym Atlantykiem, połowa waszych strzałów była chybiona. Co znaczy, że ja mogę usunąć tyle samo pocisków, co i wy.

Ryan pomyślał, że słysząc to generał spadnie z krzesła. Ale Parks przybrał pozę intelektualisty.

— Proszę pana, była to pierwsza próba systemu eksperymentalnego, w czasie której połowa strzałów trafiła w cel. Ściśle zaś mówiąc, wszystkie cele zostały zlikwidowane w ciągu niecałej sekundy. Major Gregory upora się z zagadnieniem celowania przed nastaniem lata.

Prawda, chłopcze?

— Tak jest! — wykrzyknął radośnie Gregory. — Musimy tylko trochę przerobić program.

— W porządku. Jeżeli ludzie sędziego Moore'a będą nam mogli powiedzieć — ciągnął

Parks — co zrobili Rosjanie, by zwiększyć moc laserów, to biorąc pod uwagę, że większość naszego

systemu jest już sprawdzona, za dwa, trzy lata będziemy mieli gotową całość. Wtedy będziemy zastanawiać się nad zastosowaniami.

— A jeżeli Rosjanie zaczną zestrzeliwać wasze zwierciadła kosmiczne? — oschle zapytał

Allen. — Może to być najlepszy naziemny system laserowy, ale przyda się jedynie do obrony stanu Nowy Meksyk.

— Najpierw będą musieli te zwierciadła znaleźć, a to jest trudniejsze niż pan myśli.

Możemy umieścić je bardzo wysoko, pięćset do półtora tysiąca kilometrów nad Ziemią, Możemy też użyć techniki stealth, by utrudnić wykrycie radarem. Z większością satelitów nie można tego zrobić, ale z tymi tak. Lustra będą stosunkowo małe i lekkie, co oznacza, że można umieścić ich wiele w przestrzeni kosmicznej. Czy pan wie, jaka jest ogromna, ile krąży w niej kawałków złomu? Nigdy nie uda im się wydłubać wszystkich zwierciadeł — zakończył Parks z pewnością w głosie.

— Jack, przyglądałeś się Rosjanom. Co ty o tym sądzisz? — Prezydent zwrócił się do Ryana.

— Panie prezydencie, główny opór, który musimy pokonać, to rosyjska mania obrony ojczyzny przed atakiem, dosłownie obrony. Włożyli w to trzydzieści lat pracy i kupę forsy, ponieważ uważali, że warto było. Jeszcze za czasów prezydenta Johnsona Kosygin powiedział:

„obrona jest moralna, napaść jest niemoralna”. Tak też mówi przeciętny Rosjanin, niekoniecznie komunista. W gruncie rzeczy trudno mi nie zgodzić się z tak poważnym argumentem. Jeżeli rzeczywiście wkroczymy w nową fazę współzawodnictwa, będzie ono dotyczyło raczej obrony niż ataku. Trudno bowiem zabić milion cywilów przy pomocy lasera — zauważył na koniec Jack.

— Ależ to zmieni równowagę sił — zaprotestował Ernest Allen.

— Obecna równowaga może i jest dość stabilna, ale oparta na szaleństwie — powiedział

Ryan.

— Jest skuteczna, to znaczy utrzymuje pokój.

— Proszę pana, ten pokój to pasmo kryzysów. Mówi pan, że można o połowę zredukować arsenały. No i co z tego? Zmniejszy pan arsenały radzieckie o dwie trzecie, a mimo wszystko zostanie im wystarczająca liczba głowic, by przemienić Amerykę w krematorium. To samo dotyczy naszych arsenałów. Jak mówiłem w drodze powrotnej z Moskwy, proponowana obecnie umowa o redukcji uzbrojenia to tylko zabieg kosmetyczny. Nie zapewnia wcale większego bezpieczeństwa. To symbol, być może ważny, ale tylko symbol o niewielkiej treści.

— No, nie wiem — włączył się generał Parks. — Nie miałbym nic przeciwko zredukowaniu o połowę liczby moich celów. — Uwaga ta ściągnęła na niego zabójcze spojrzenie Allena.

— Jeżeli będziemy mogli wykryć, co takiego robią Rosjanie, jakie to będzie miało znaczenie dla nas? — zapytał prezydent.

— Jeżeli CIA dostarczy nam dane, które będziemy mogli wykorzystać? Co powiecie, majorze? — Parks zwrócił się ku Gregory'emu.

— To za trzy lata będziemy mieli przygotowany system, który za następne pięć, dziesięć lat będzie gotowy do użytku — odpowiedział tamten.

— Bardzo pan pewny — stwierdził prezydent.

— Tak bardzo, jak to jest możliwe, panie prezydencie. Podobnie jak przy Programie Apollo, jest to nie tyle sprawa stworzenia nowej gałęzi nauki, ile kwestia sposobu wdrożenia techniki, którą już dysponujemy, kwestia opanowania zasad działania.

— Jest pan, majorze, zadufanym młodym człowiekiem — odezwał się cierpko Allen.

— Tak, jestem. Uważam, że możemy tego dokonać. Nasz cel nie różni się tak bardzo od pańskiego. Pan chce się pozbyć głowic atomowych, i my też. Może będziemy mogli panu w tym pomóc.

Pif-paf! — pomyślał Ryan, tłumiąc uśmiech. Jednocześnie dało się słyszeć dyskretne pukanie do drzwi. Prezydent spojrzał na zegarek.

— Musimy już kończyć. Mam jeszcze do omówienia w czasie lunchu z prokuratorem generalnym kilka przedsięwzięć dotyczących działalności antynarkotykowej. Dziękuję panom za przybycie. — Raz jeszcze spojrzał na zdjęcia satelitarne i wstał. Pozostali także podnieśli się i wyszli z gabinetu bocznymi drzwiami, ukrytymi w białych stiukowych ścianach.

— Dobrze ci poszło, mały — powiedział Ryan cicho do Gregory'ego.

Candi Long wsiadła do samochodu, który czekał już przed domem. Siedziała w nim jej koleżanka z Uniwersytetu Columbia, doktor Beatrice Taussig, także specjalistka od optyki fizycznej. Znały się jeszcze z czasów studenckich. Taussig była bardziej błyskotliwa niż Candi.

Miała też sportowego Nissana 300Z, a jak nim jeździła, świadczyły liczne mandaty. Samochód pasował jednak do jej strojów, fryzury i zuchwałej osobowości, którą gasiła mężczyzn jak świece.

— Dzień dobry — Candi Long wśliznęła się na siedzenie, zapięła pas i zatrzasnęła drzwi.

Kiedy za kierownicą siedzi Bea, trzeba zapinać pas, chociaż ona sama tego nie robi.

— Ciężką miałaś noc, Candi? — Tego ranka Bea miała na sobie prosty, prawie męskiego kroju wełniany kostium i jedwabny szalik na szyi. Candi nie mogła pojąć, kogo obchodzi, co się ma na

sobie, skoro i tak cały dzień chodzi się w zwykłym, białym fartuchu laboratoryjnym.

Pomyślała z uśmiechem, że chyba tylko Ala, jego jednak interesowało raczej to, co jest pod fartuchem.

— Lepiej mi się śpi, gdy on jest tutaj.

— Dokąd pojechał? — zapytała Taussig.

— Do Waszyngtonu. — Ziewnęła. Poranne słońce rzucało cienie na drogę przed nimi.

— Po co? — Bea wrzuciła niższy bieg i dodała gazu wjeżdżając na autostradę. Candi poczuła, jak wciska się bokiem w fotel. Dlaczego ona tak pędzi? To nie Grand Prix Monaco.

— Mówił, że przeprowadzono jakąś próbę i że komuś tam musi wyjaśnić to i owo.

— Hmm. — Beatrice spojrzała w lusterko. Wypatrzyła lukę w porannej rzece samochodów i nadal jadąc na trójce wśliznęła się w przerwę zaledwie o trzy metry dłuższą niż jej Nissan. Rozległ się gniewny dźwięk klaksonu samochodu, który jechał za nimi. Zaśmiała się.

Część jej umysłu, nie zajęta prowadzeniem odnotowała fakt, że próba, którą miał objaśniać Al, nie była próbą amerykańską. Nie było zaś zbyt wielu takich, których próby ta pokraka musiałaby objaśniać. Bea nie rozumiała, co Candi widzi w Alu Gregorym. Miłość, powtarzała sobie, jest ślepa, by nie powiedzieć głucha i głupia, zwłaszcza głupia. Biedna, naiwna Candi Long. Mogło jej się lepiej powieść. Gdyby kiedyś mieszkała razem z nią w akademiku... gdyby tylko można było dać jej jakoś do zrozumienia...

— Kiedy Al wraca?

— Chyba dziś wieczorem. Ma jeszcze zadzwonić. Wezmę jego samochód. Zostawił go przed laboratorium.

— Zanim do niego wsiądziesz, połóż ręcznik na siedzeniu — zaśmiała się Bea. Gregory miał Chevroleta Citation. Wspaniały samochód dla takiego pokraki. Pełno w nim było celofanowych opakowań po „Hostess Twinkies”, a mył go raz na rok, bez względu na to czy było to potrzebne, czy nie. Ciekawa była, jaki jest w łóżku, ale odsunęła od siebie te obrazy. Nie rano, nie zaraz po przebudzeniu. Na myśl o tym, że jej przyjaciółka... z czymś takim, cierpła jej skóra.

Candi jest taka naiwna, taka niewinna, i tak nierozumna w pewnych sprawach. Cóż, może jej przejdzie. Jest jeszcze nadzieja.

— Jak tam prace nad tym waszym diamentowym zwierciadłem?

— Mówisz o ADAMANT? Jeszcze rok i wszystko będziemy wiedzieli. Szkoda, że nie pracujesz już w naszym zespole — powiedziała doktor Long.

— Z mojego stołka administracyjnego więcej widać — odpowiedziała Bea z zadziwiającą szczerością. — Poza tym nie jestem tak bystra jak ty.

— Ale ładniejsza — z żalem westchnęła Candi.

Bea spojrzała na swą koleżankę: tak, jest jeszcze nadzieja.

Misza otrzymał gotowy raport przed czwartą. Opóźnienie, wyjaśnił mu Bondarienko, wynikało z tego, że wszystkie maszynistki uprawnione do przepisywania ściśle tajnych materiałów były zajęte. Raport miał czterdzieści jeden stron, w tym szkice. Młody pułkownik dotrzymał słowa: przełożył ten bełkot techniczny na zwykły, zrozumiały język. Zeszły tydzień Misza spędził w archiwum, czytając wszystko, co udało mu się znaleźć o laserach. Chociaż nie całkiem dokładnie pojmował zasadę ich działania, jego wyszkolona pamięć wchłonęła wszystkie szczegóły techniczne. Czuł się teraz jak papuga. Mógł powtarzać słowa nie rozumiejąc ich znaczenia. No, ale to wystarczało.

Czytał powoli, starając się wszystko zapamiętać. Mimo chłopskiego akcentu i niewybrednego słownictwa, umysł miał znacznie bystrzejszy niż przypuszczał pułkownik Bondarienko. Jak się okazało, nie musiał bardzo się starać. Istotna część odkrycia była dość prosta: chodziło nie o powiększenie rozmiaru rezonatora, ale o dostosowanie jego kształtu do pola magnetycznego. Mając odpowiedni kształt, można zwiększać rozmiar rezonatora według potrzeb... Ale nowym czynnikiem ograniczającym staje się w tej sytuacji zespół magnesów nadprzewodnikowych do sterowania impulsem. Misza westchnął głęboko. Zachód już to opanował, natomiast Związek Radziecki nie miał odpowiednich materiałów. Dlatego jak zwykle KGB postarało się o nie na Zachodzie, a następnie przemyciło przez Szwecję i Czechosłowację.

Czy kiedykolwiek się w tym połapią?

Raport kończył się stwierdzeniem, że pozostałe problemy dotyczą systemu optycznego i komputerowego. Muszę sprawdzić, co w tej sprawie robią nasze organy wywiadu — postanowił

Filitow. Następne dwadzieścia minut spędził na studiowaniu szkicu nowego lasera. Gdy był już w stanie z zamkniętymi oczami odtworzyć najdrobniejszy nawet szczegół, odłożył raport do teczki. Popatrzył na zegarek i zadzwonił po sekretarza. Po kilku sekundach chorąży stanął w drzwiach.

— Słucham, towarzyszu pułkowniku.

— Zanieście to do Archiwum Głównego, Dział Piąty, Tajne o Specjalnym Znaczeniu. A gdzie jest worek z dokumentami do spalenia?

— Jest u mnie, towarzyszu pułkowniku.

— Przynieście mi go.

Chorąży wyszedł i po chwili wrócił z brezentowym workiem, który każdego dnia wędrował do sekcji niszczenia dokumentów. Misza zaczął wkładać do niego papiery.

— Możecie odejść. Sam zaniosę, kiedy będę wychodził.

— Dziękuję, towarzyszu pułkowniku.

— I tak ciężko pracujecie, Juriju Iljiczu. Do widzenia.

Kiedy sekretarz zamknął za sobą drzwi, Misza wyciągnął kilka dodatkowych stron dokumentów, których nie sporządzono w ministerstwie. Mniej więcej co tydzień zajmował się osobiście workiem z makulaturą. Chorąży, który prowadził sekretariat Filitowa, przypuszczał, że pułkownik robi to z uprzejmości, a może i dlatego że ma wyjątkowo tajne dokumenty do zniszczenia. W każdym razie był to zwyczaj, któremu Filitow hołdował na długo przedtem, zanim chorąży zaczął tu pracować. Wewnętrzna służba bezpieczeństwa uważała to za normalne.

W trzy minuty później Misza wszedł do pomieszczenia, w którym niszczone dokumenty. Młody sierżant przywitał się z pułkownikiem tak, jakby witał się ze swym dziadkiem. Następnie otworzył zsypanie i patrzył, jak bohater spod Stalingradu stawia teczkę, prawą, okaleczoną ręką otwiera worek, a lewą podnosi go i wytrząsa około kilograma tajnych dokumentów wprost do gazowego paleniska pieca zainstalowanego w podziemiach ministerstwa.

Nie mógł wiedzieć, że pomaga niszczyć dowody zdrady stanu. Pułkownik podpisał w rejestrze zapis o spaleniu dokumentów jego sekcji, kiwnął przyjaźnie głową i zostawiwszy worek na haku, udał się do czekającego przed wejściem samochodu.

Misza wiedział, że tej nocy znowu nawiedzą go duchy, że jutro znów pójdzie do łaźni, i że kolejna porcja informacji pojedzie na Zachód. W drodze do domu kierowca zatrzymał się przed specjalnym sklepem przeznaczonym wyłącznie dla elity. Kolejek tu prawie nie było. Misza kupił trochę kiełbasy, czarny chleb i pół litra „Stolicznej”. W gościu „braterstwa broni” kupił też dodatkową butelkę dla swego kierowcy. Wódka to dla młodego żołnierza więcej niż pieniądze.

W kwadrans później Misza był już w swoim mieszkaniu. Wyciągnął z szuflady pamiętnik i przede wszystkim odtworzył rysunek z raportu Bondarienki. Co chwilę spoglądał na stojącą obok fotografię żony. W większości raport oficjalny zgadzał się z wcześniejszą wersją rękopisową. Musiał jednak dopisać dziesięć nowych stron, precyzyjnie rozmieszczając na nich swe uwagi krytyczne. Raporty Kardynała były zawsze wzorem zwartości i przejrzystości, wynikiem długoletniej praktyki pisania dyrektyw operacyjnych. Kiedy wreszcie skończył, założył rękawiczki i poszedł do kuchni. Odczepił od stalowej blachy dna zachodnoniemieckiej lodówki zawieszony tam na magnesach mały aparat fotograficzny. Pomimo rękawiczek Misza posługiwał się nim z łatwością. Sfotografowanie nowych stron pamiętnika zajęło mu około minuty. Potem zwinął film, wyjął kasetę i schował ją do kieszeni. Aparat odłożył na miejsce, zdjął rękawiczki i spuścił całkowicie żaluzje w oknie pokoju. Musiał być ostrożny. Gdyby przyjrzeć się dokładnie zamkowi w drzwiach wejściowych, można by na nim zauważyć liczne zadrapania świadczące o tym, że otwierał go specjalista. W gruncie rzeczy każdy mógł zrobić takie zadrapania. Po otrzymaniu potwierdzenia, że jego meldunek dotarł do Waszyngtonu (sygnałem jest ślad otarcia opony na umówionym odcinku krawężnika), wyrwie strony z dziennika, zabierze je do ministerstwa, tam wrzuci do worka, a następnie całość osobiście wysypie do pieca.

Dwadzieścia lat temu Misza nadzorował instalowanie tego urządzenia do niszczenia dokumentów.

Gdy skończył, znów popatrzył na zdjęcie Eleny i zapytał, czy dobrze zrobił. Ale Elena, jak zawsze, po prostu uśmiechała się. To już tyle lat — pomyślał — a za każdym razem mam wyrzuty sumienia. Potrząsnął głową. Teraz nastąpiła końcowa część rytuału, jadł kielbasę i chleb, a w tym czasie nawiedzali go nieżyjący od dawna przyjaciele z czasów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Nie mógł jednak zdobyć się, by zapytać tych, którzy polegli za ojczyznę, czy miał

rację zdradzając ją. Wydawało mu się, że zrozumieliby go lepiej niż Elena, bał się to jednak sprawdzić. Półlitrowka też nie przynosiła odpowiedzi, ale przynajmniej do nieprzytomności otepiała umysł. W końcu po dziesiątej na chwiejnych nogach dojrzał do łóżka, zostawiając nie pogaszone światła.

Kilka minut po jedenastej bulwarem, przy którym mieszkał Misza, przejechał samochód i para niebieskich oczu spojrzała w okna mieszkania pułkownika. Tym razem był to Ed Foley.

Zauważył położenie żaluzji. Wracając do domu sam przekazał tajną wiadomość. Pewien moskiewski sprzątacznik ulic umieścił tu i ówdzie parę drobnych sygnałów, jak na przykład znak kredą na słupie latarni. Każdy z tych sygnałów polecał członkom grupy łącznikowej stawienie się na umówione miejsce. Inny pracownik moskiewskiej rezydentury CIA miał o świcie sprawdzić znaki i gdyby któregoś brakowało, Foley osobiście mógł przerwać dalszą operację.

Mimo napięcia, z jakim wiązała się ta praca Ed Foley uważał wiele jej elementów za zabawne. Przede wszystkim ułatwili mu ją sami Rosjanie, przydzielając Kardynałowi mieszkanie przy bardzo ruchliwej ulicy. Poza tym, wywołując tę całą aferę z podsłuchami w nowym budynku ambasady, uniemożliwili Foleyom przeprowadzkę do przylegającego budynku mieszkalnego, a przez to zmusili ich do przejeżdżania tym właśnie bulwarem każdego wieczora.

Na rękę było im także i to, że ich syn gra w tutejszej drużynie hokejowej. Tego będzie mu bardzo brakować, kiedy już stąd wyjadą — pomyślał Foley, wysiadając z samochodu. Już teraz wolał

hokej niż baseball. No cóż, był jeszcze futbol amerykański. Foley nie chciał, by jego syn grywał

w futbol. Zbyt wiele dzieci przy tej grze odnosi ciężkie obrażenia, a zresztą jego syn i tak nie będzie wystarczająco wysoki. Ale to przeszłość, teraz trzeba myśleć o teraźniejszości.

Musiał uważać, by we własnym mieszkaniu nie powiedzieć głośno czegoś niepotrzebnego. Było oczywiste, że każdy pokój, w każdym mieszkaniu zajmowanym przez Amerykanów, ma więcej mikrofonów niż jest mrówek w mrowisku. Po latach pobytu w Moskwie Ed i Mary Pat uczynili sobie jednak z tego rozrywkę. Teraz Ed po wejściu do mieszkania powiesił płaszcz i pocałował żonę, łaskocząc ją jednocześnie w ucho. Mary zachichotała na znak, że rozumie. Oboje byli już bardzo zmęczeni tą placówką. Jeszcze tylko parę miesięcy.

— Jak było na przyjęciu? — zapytała na użytek zamaskowanych mikrofonów.

— Do kitu, jak zwykle — zarejestrowały jego odpowiedź magnetofony.

Okazje

Beatrice Taussig nie napisała meldunku, mimo że to, co usłyszała przypadkiem od Candi, uznała za ważne. Miała dostęp do niemal wszystkiego, co działo się w Krajowym Laboratorium Los Alamos, a jednak nic nie wiedziała o jakiegokolwiek pozaplanowej próbie. Część prac związanych z Inicjatywą Obrony Strategicznej prowadzono wprawdzie także w Europie i Japonii, w żadnym jednak z owych centrów AI Gregory nie byłby potrzebny do udzielania wyjaśnień. A więc to rosyjska próba. Skoro zaś ścigali tę pokrakę do Waszyngtonu (samochód, przypomniała sobie, zostawił przed laboratorium, z czego wynikało, że przysłali po niego śmigłowiec), sprawa musi być poważna. Nie lubiła Gregory'ego, nie miała wszakże powodów, by wątpić w zdolności jego umysłu. Ciekawa była, co to za próba, ale nie miała wglądu w materiały dotyczące Rosjan.

Umiała powściągać swoją ciekawość. Musiała ją powściągać — to, co robiła, było wystarczająco niebezpieczne.

I częściowo dlatego tak podniecające — pomyślała z uśmiechem.

— A więc trzech brakuje — podsumował major KGB, gdy za linią afgańskich żołnierzy Rosjanie przetrząsali resztki An-26. Nigdy dotąd nie widział skutków katastrofy lotniczej i teraz tylko dzięki zimnemu powietrzu owiewającemu twarz nie pozbył się gwałtownie śniadania.

— Co z waszym człowiekiem? — Kapitan piechoty Armii Radzieckiej, który jeszcze wczoraj był doradcą w batalionie marionetkowej armii afgańskiej, rozejrzał się, by sprawdzić czy żołnierze odpowiednio strzegą miejsca wypadku. Jego żołądek sprawiał się jako tako, chociaż widok przyjaciela z niemal do końca rozprutym brzuchem był największym szokiem, jakiego w życiu doznał. Zastanawiał się, czy afgański towarzysz przeżyje operację.

— Chyba go tu nie ma. — Kadłub samolotu pękł na kilka części. Gdy uderzył o ziemię, pasażerowie w przedniej części, oblani paliwem, spłonęli, tak że nie można ich było zidentyfikować. Mimo to żołnierze złożyli z resztek zwłok prawie wszystkich. Wszystkich oprócz trzech. Eksperci medycyny sądowej będą musieli określić, kto naprawdę zginął, a kogo uważać za zaginionego. Normalnie wobec ofiar katastrofy zwykłego samolotu pasażerskiego (formalnie An-26 należał do Aeroflotu, a nie do radzieckiego lotnictwa wojskowego) nie byłiby aż tak drobiazgowi, w tym wypadku jednak dokładano wszelkich starań. Zaginiony kapitan był

oficerem Zarządu Dziewiątego KGB, zajmującego się służbami wartowniczymi. Przebywał w tym rejonie kontrolując oddziały i działania zabezpieczające w niektórych, szczególnie strzeżonych miejscach. Miał ze sobą parę niezwykle ważnych dokumentów, a co więcej znał

bardzo dobrze wielu pracowników i liczne przedsięwzięcia KGB. Dokumenty mogły ulec

niszczeniu, znaleziono bowiem resztki kilku spalonych na popiół teczek, ale dopóki śmierć kapitana nie zostanie ostatecznie potwierdzona, w moskiewskiej centrali KGB kilka osób będzie bardzo nieszczęśliwych.

— Zostawił rodzinę, to znaczy żonę. Syn zmarł w zeszłym miesiącu. Podobno jakaś odmiana raka — cicho powiedział major KGB.

— Mam nadzieję, że zaopiekujecie się wdową — rzucił kapitan.

— Tak, zajmie się tym specjalny wydział. Czy to możliwe, by tamci zabrali go ze sobą?

— Wiemy tylko, że tu byli. Zawsze przeszukują miejsca wypadków, rozglądając się szczególnie za bronią. A dokumenty? — kapitan wzruszył ramionami. — Walczymy z prymitywnymi dzikusami, towarzyszu majorze. Wątpię czy interesują ich jakiegokolwiek dokumenty. Prawdopodobnie po mundurze rozpoznali go jako oficera KGB, zaciągnęli gdzieś i zmasakrowali. Nie uwierzycie, co też oni potrafią zrobić z pojmanymi ludźmi.

— Barbarzyńcy — mruknął major. — Zestrzelili nie uzbrojony samolot pasażerski. —

Rozejrzał się. „Lojalni” żołnierze afgańscy (co za optymistyczne określenie! — pomyślał) wkładali ciała i pozostałe szczątki do gumowych worków, które miały być przewiezione śmigłowcami do Ghazni, a stamtąd samolotem do Moskwy w celu dokładniejszego zbadania. —

A jeżeli tamci zabrali ciało mojego oficera?

— To już nigdy go nie odnajdziemy. Jest pewna szansa, lecz niezbyt duża: jeżeli gdzieś zauważymy krążące sępy, wysyłamy tam śmigłowiec, ale... — kapitan potrząsnął głową —

wygląda raczej na to, że ciało jest tutaj. Potrzeba tylko czasu, by potwierdzić ten fakt.

— Biedak... miał biurową robotę... a to nawet nie był jego teren. Człowiek, który ma tu przydział, z powodu woreczka żółciowego leży w szpitalu. No i ten wziął dodatkowo rejon chorego.

— A jego normalny teren działania?

— W Tadżyckiej SRR. Moim zdaniem chciał się czymś zająć, byle tylko nie myśleć o własnych kłopotach.

— Jak się czujesz, Rusku? — zapytał Łucznik swego więźnia. Nie mógł udzielić mu dostatecznej pomocy. Najbliższa grupa medyczna, składająca się z francuskich lekarzy i pielęgniarek, znajdowała się w jaskini koło Hasan Khel. Ranni partyzanci, którzy mogli sami chodzić, kierowali się w tamtą stronę. Ciężej ranni... cóż mogli dla nich zrobić? Byli dobrze zaopatrzeni w środki uśmierzające ból — wyprodukowane w Szwajcarii ampułki z morfiną, którą wstrzykiwano umierającym, by złagodzić ich cierpienia. W kilku wypadkach morfina była wybawieniem, każdego jednak, kto rokował nadzieję na wyzdrowienie, transportowano na noszach na południowy wschód, w stronę granicy z Pakistanem.

Ci, którzy przeżyją tę blisko stukilometrową wędrówkę, znajdą opiekę w czymś, co uchodziło za prawdziwy szpital obok zamkniętego lotniska w Miram Shah. Tę grupę prowadził Łucznik. Udało mu się przekonać swych towarzyszy, że Rosjanin jest więcej wart żywy niż martwy, i że ci z Amerykistanu dużo dadzą za funkcjonariusza rosyjskiej policji politycznej i za jego dokumenty. Tylko plemienny przywódca partyzantów mógł zakwestionować jego twierdzenie, ale nie żył. Pogrzebano jego ciało tak szybko, jak na to pozwalała religia — teraz był już w raj. I tak Łucznik stał się najstarszym i najgodniejszym wojownikiem w grupie.

Któż mógłby w jego twardym jak stal spojrzeniu i w zimnych słowach odkryć, że po raz pierwszy od trzech lat w sercu jego zagościła litość? Nawet on był tym zdziwiony. Dlaczego takie myśli przyszły mu do głowy? Czy to wola Allaha? Chyba tak — pomyślał — któż inny bowiem mógłby mnie powstrzymać przed zabiciem Rosjanina?

— Boli — odpowiedział w końcu Rosjanin. Ale litość Łuczniaka nie sięgała aż tak daleko.

Mudżahedini dawali morfinę tylko swoim. Widząc, że nikt ich nie obserwuje, Łucznik oddał

Rosjaninowi jego zdjęcia rodzinne. Na jedną krótką chwilę wyraz jego oczu złagodniał. Oficer KGB patrzył nań ze zdumieniem, które przyćmiło ból. Zdrową ręką wziął zdjęcia i przycisnął do piersi. Na twarzy malowała się wdzięczność — wdzięczność i zaskoczenie. Pomyślał o swym zmarłym synu, zastanowił się nad własnym losem. Najgorsze co może mnie spotkać —

rozumował ogarnięty bólem — to połączenie się ze swym dzieckiem, gdziekolwiek ono teraz jest. Afgańczycy nie mogli go już bardziej zranić, ani na ciele, ani na duszy. Kapitan osiągnął

stan, w którym ból był niczym narkotyk, tak wszechobejmujący, że męka ta stała się znośna, niemal wygodna. Już kiedyś o tym słyszał, ale dopiero teraz uwierzył.

Nie w pełni odzyskał jeszcze jasność umysłu. Półprzytomny zastanawiał się, dlaczego go nie zabito. Dość nasłuchiwał się w Moskwie opowiadań o tym, jak Afgańczycy traktują pojmanych... Czy dlatego właśnie zgodziłeś się na tę dodatkową podróż? — Zastanawiał się nad swoim losem, nad tym, jak nim pokierował.

Nie możesz umrzeć, Walety — mówił sobie — musisz żyć. Masz żonę, która dość już wycierpiała, i teraz też cierpi.. Myśl ta zamarła w nim. Kapitan wsunął fotografie do kieszeni na piersi i poddał się ogarniającemu go znów omdleniu, w czasie którego organizm starał się sam wrócić do zdrowia. Nie ocknął się, gdy przywiązano go do deski, którą następnie umocowano do żerdzi ciągniętych za koniem. Grupa Łuczniaka ruszyła w drogę.

Misza obudził się z huczącymi w głowie odgłosami bitwy. Na zewnątrz było jeszcze ciemno — do wschodu słońca zostało trochę czasu. Postanowił pójść do łazienki. Ochlapał twarz zimną wodą i połknął trzy aspiryny. Zbierało mu się na wymioty. Pochylił się nad muszlą klozetu, ale bez efektu — tylko trochę żółci. Wyprostował się i spojrział w lustro, by zobaczyć, co zdrada uczyniła z Bohatera Związku Radzieckiego. Nie mógł, i nie będzie już mógł przestać, to oczywiste, ale... patrz, Misza,

zobacz, jak wyglądasz. Niebieskie kiedyś oczy były teraz przekrwione i bez życia, różowa cera zmieniła się w trupioszarą. Skóra obwisła, a szara szczecina zasłaniała twarz, którą niegdyś uznawano za ładną. Wyprostował prawą rękę — blizna była sztywna, jakby zrobiona z plastiku. No cóż... Wyplukał usta i poczłapał do kuchni, by zrobić sobie kawy.

Jeszcze jej trochę miał, także kupionej w sklepie dla nomenklatury. Włączył zachodniej produkcji ekspres. Zastanawiał się, czy nie zjeść czegoś, ale postanowił poprzestać na kawie.

Zjeść mógł już w biurze. Po paru minutach kawa była gotowa. Wypił od razu całą filiżankę, nie zważając na szkodliwość gorącego napoju. Następnie podniósł słuchawkę i zadzwonił po służbowy samochód. Chciał, żeby kierowca był wcześniej, i chociaż nie powiedział, że zamierza rano pojechać do łaźni, sierżant, który w garażu odebrał telefon, znał przyczynę.

W dwadzieścia minut później Misza stał już przed blokiem. Oczy mu łzawiły, z bólem mrużył powieki pod uderzeniami zimnego północno-zachodniego wiatru, który próbował

wepchnąć go z powrotem do budynku. Sierżant chciał przytrzymać pułkownika, ale Filitow pochylił się lekko do przodu, by przeciwstawić się niewidzialnej sile natury pchającej go do tyłu, i wsiadł do samochodu, jak gdyby wsiadał do swego starego T-34, szykując się do walki.

— Do łaźni, towarzyszu pułkowniku? — zapytał kierowca, usadowiwszy się na przednim siedzeniu.

— Czy sprzedałeś wódkę, którą ci dałem?

— Ależ... tak, towarzyszu pułkowniku — odparł młodzik.

— No i dobrze. To zdrowsze niż picie. Tak, szybko do łaźni — powiedział pułkownik z udawaną powagą. — Może to jeszcze uratuje mi życie.

— Jeżeli Niemcy nie zdołali was zabić, to wątpię, czy zrobi to kilka kropel rosyjskiej wódki — powiedział wesoło chłopak.

Misza pozwolił sobie na uśmiech, wywołany błyskiem przypomnienia: ten kierowca wygląda nawet jak kapral Romanow.

— Chciałbyś kiedyś zostać oficerem?

— Dziękuję, towarzyszu pułkowniku, ale zamierzam wrócić na studia. Chcę się zająć chemią przemysłową, podobnie jak mój ojciec.

— Twój ojciec to szczęśliwy człowiek, sierżancie. Ruszamy.

Samochód dojechał na miejsce w ciągu dziesięciu minut. Sierżant otworzył pułkownikowi drzwi, a później zaparkował tak, by mógł widzieć wejście do budynku. Zapalił papierosa i otworzył książkę. To była bardzo dobra służba, lepsza niż taplanie się w błocie z kompanią piechoty. Spojrzał na

zegarek. Misza wróci dopiero za jakąś godzinę. Szkoda, że stary jest zupełnie samotny. Co za marne szczęście, żeby bohater doszedł do czegoś takiego.

Kolejne czynności w łaźni były Miszy tak dobrze znane, że mógłby je wykonywać nawet przez sen. Rozebrał się, założył pantofle, wziął ręcznik i brzoszowe witki, otworzył drzwi do parówki. Był dziś wcześniej niż zwykle — większość stałych gości jeszcze się nie pojawiła. Tym lepiej. Zwiększył ilość pary i usiadł, by pozwolić swej huczącej głowie na odpoczynek. Trzech innych mężczyzn rozsiadło się w różnych miejscach pomieszczenia. Rozpoznał dwóch, ale nie byli to jego znajomi i żaden nie miał ochoty na pogawędkę. Miszy to odpowiadało: zwykła czynność poruszania szczęką powodowała ból, a aspiryny działały dziś powoli.

W kwadrans później z bladego ciała zaczął ściekać pot. Podniósł głowę, zobaczył

łaziebnego, usłyszał zwyczajową śpiewkę o picciu (nikt jeszcze nie chciał) i fragment o basenie.

Brzmiało to całkiem normalnie, ale właściwe znaczenie słów wypowiedzianych przez łaziebnego było inne: „Wszystko bezpieczne. Jestem gotowy do odbioru”. Potwierdzeniem było otarcie przez Misze potu z czoła przesadnym ruchem, charakterystycznym dla starszych ludzi: „Gotów”.

Łaziebny wyszedł. Misza zaczął wolno liczyć do trzystu. Gdy doszedł do dwustu pięćdziesięciu siedmiu, jeden z równie skacowanych współtowarzyszy wstał i wyszedł, ale Misza się tym nie przejął; miał zbyt duże doświadczenie. Kiedy doliczył do trzystu, z lekkim drzeniem nóg podniósł się i wyszedł bez słowa.

Powietrze w przebieralni było o wiele chłodniejsze. Ten drugi jeszcze nie wyszedł.

Rozmawiał o czymś z łaziebnym, Misza czekał więc cierpliwie, aż zostanie zauważony.

Łaziebny ruszył ku niemu, i pułkownik zrobił kilka kroków w jego stronę. Potknął się jednak na obluzowanym kafelku i o mało nie upadł, ale zdążył wyciągnąć przed siebie zdrową rękę.

Łaziebnemu nie udało się go w czas złapać. Brzoszowe witki upadły na podłogę.

Młodzieniec podniósł je natychmiast i pomógł Miszy wstać. Po chwili podał mu świeży ręcznik i skierował w stronę pryszniców.

— Wszystko w porządku, towarzyszu? — zapytał ten drugi spod przeciwległej ściany.

— Tak, dziękuję. To moje stare kolana, no i ta stara posadzka. Powinni zwracać więcej uwagi na podłogę.

— Rzeczywiście powinni. Chodźmy razem pod natryski — powiedział mężczyzna. Miał

około czterdziestu lat i nieokreślony wygląda poza tym, że oczy były przekrwione. — Byliście na wojnie, co?

— Pancerniak. Walnęło mnie działo niemieckie, ale ja im też przyłożyłem. To było na Łuku Kurskim.

— Mój ojciec też tam był. Służył w Siódmej Armii Gwardyjskiej Koniewa.

— Ja byłem na przeciwnym końcu „łuku”, w Drugiej Pancерnej pod Konstantym Rokossowskim. Moja ostatnia bitwa.

— Nawet widać dlaczego, towarzyszu...

— ...Filitow, Michaił Siemionowicz. Pułkownik wojsk pancernych.

— Jestem Klementi Władimirowicz Watutin, ale ze mnie żaden bohater. Miło mi was poznać, towarzyszu pułkowniku.

— To przyjemnie, kiedy staremu człowiekowi okazuje się szacunek. Ojciec Watutina rzeczywiście brał udział w bitwie kurskiej — ale jako oficer polityczny. Przeszedł na emeryturę w stopniu pułkownika NKWD, syn zaś podążył śladem ojca, służąc w organizacji przemianowanej później na KGB.

Po dwudziestu minutach, kiedy pułkownik jechał już do biura, łaziebny wymknął się tylnymi drzwiami do pralni chemicznej. Jej kierownik zajmował się właśnie oliwieniem pompy na zapleczu. W myśl prostej zasady bezpieczeństwa nie powinien znać ani nazwiska, ani miejsca pracy człowieka, który przyniósł kasetę. Włożył ją do kieszeni, podał trzy półlitrowki wódki i wrócił do oliwienia maszyny. Serce waliło mu jak zawsze w takim dniu. Bawiło go trochę, że ta jego działalność jako agenta CIA przynosiła mu korzyści materialne. Na nielegalnym handlu alkoholem zarabiał bony, za które można było kupować zachodnie towary i najlepszą żywność w sklepach walutowych. Myjąc zatłuszczone ręce, ważył w myślach, czy te dochody rekompensują napięcie związane z wykonywanymi zadaniami. Od pół roku był częścią siatki łączników.

Jeszcze o tym nie wiedział, ale jego działalność w tej strukturze dobiegała końca. Nadal będzie używany do przekazywania informacji, lecz już nie od Kardynała. Niedługo potem człowiek z łaźni poszuka sobie innej pracy i to ogniwo w łańcuchu bezimiennych agentów rozpadnie się —

stanie się niewykrywalne nawet dla niezmordowanych oficerów kontrwywiadu z Zarządu Drugiego KGB.

W kwadrans później pojawiła się stała klientka przynosząc jeden ze swych angielskich płaszczy z dopinaną na zamek błyskawiczny podszewką. Jak zawsze coś tam mówiła o zwróceniu szczególnej uwagi, o stosowaniu najłagodniejszego sposobu czyszczenia płaszcza, a kierownik pralni jak zawsze potakiwał i przypominał, że jest to najlepsza pralnia chemiczna w Związku Radzieckim. Nie miał wydrukowanych blankietów, musiał więc wypisać kwit w trzech egzemplarzach przez kalkę. Pierwszy przypiął do płaszcza, drugi włożył do małego pudełka, a trzeci — najpierw jednak sprawdził kieszenie płaszcza.

— Towarzyszko, zostawiliście tu jakieś drobne. Dziękuję, ale nie potrzebuję dodatkowych pieniędzy.
— Podał jej monety, razem z kwitem. I coś jeszcze. Jakie to łatwe. Nikt nie sprawdza kieszeni, niczym na Zachodzie.
— Ach, doprawdy jesteście bardzo ucziwi, towarzyszu — podziękowała nieco przesadnie klientka.
— Do widzenia.
— Do widzenia — odpowiedział. — Następny!

Owa pani, a nazywała się Swietłana, poszła jak zwykle do stacji metra. Jej harmonogram przewidywał spokojny spacer na wypadek jakichkolwiek kłopotów podczas przejmowania lub przekazywania materiału. Ulice Moskwy były jak zawsze pełne zaferowanych, ponurych ludzi, z których wielu spoglądało na jej odzież z błyskiem zawiści w oczach. Miała dużo angielskich ubrań, ponieważ pracując w Gosplanie, radzieckim urzędzie planowania gospodarczego, wielokrotnie jeździła służbowo na Zachód. To właśnie w Anglii została zwerbowana przez brytyjską Secret Intelligence Service. Korzystano z niej w łączności z Kardynałem, ponieważ CIA nie miała w Rosji zbyt wielu czynnych agentów. Uważano, by wyznaczać jej zadania tylko w środku tego łańcucha, nigdy zaś na którymś z końców. Dane, jakie sama przekazywała Zachodowi, to informacje ekonomiczne niewielkiej wartości i jej niezbyt częste usługi jako łączniczki były bardziej użyteczne niż owe informacje, z których była tak dumna. Oczywiście kierujący nią oficerowie nigdy jej tego nie powiedzieli. Każdy szpieg sądzi, że posiada najwartościowsze materiały, jakie kiedykolwiek wykradzono. Dzięki temu gra staje się jeszcze bardziej interesująca i niezależnie od wszystkich motywów ideologicznych (oraz innych), szpiegdy uważają swoją działalność za najwspanialszą grę, bowiem stale muszą przechytrzać najpotężniejsze siły swoich krajów. Swietłanie naprawdę podobało się takie balansowanie na poszarpanej grani między życiem a śmiercią, chociaż nie wiedziała dlaczego. Wierzyła także, że jej wysoko postawiony ojciec, członek Komitetu Centralnego, zdoła ją przed wszystkim uchronić. W końcu, to dzięki jego wpływom mogła podróżować dwa, trzy razy w roku do Europy Zachodniej. Ten jej ojciec to nadęty facet, ale Swietłana była jedynaczką, matką jego jedynej wnuczki i środkiem jego wszechświata.

Weszła na stację „Kuznieckij Most” w chwili odjazdu pociągu. Zgranie w czasie zawsze było trudną sprawą — w godzinach szczytu pociągi moskiewskiego metra jeżdżą co trzydzieści sekund. Swietłana spojrzała na zegarek. Znowu udało się jej przyjść w samą porę: jej kontakt będzie w następnym pociągu. Poszła peronem do miejsca, w którym znajdują się przednie drzwi drugiego wagonu, tak by wsiąść pierwsza. Pomagał w tym także jej ubiór. Często brano ją za cudzoziemkę, a moskwianie traktowali obcokrajowców z szacunkiem zastrzeżonym zazwyczaj dla koronowanych głów — lub dla ludzi ciężko chorych. Nie czekała długo. Wkrótce usłyszała łoskot nadjeżdżającego pociągu. Głowy wszystkich obróciły się, jak zwykle, ku światłom pierwszego wagonu, a piskliwy dźwięk hamulców wypełnił łukowate sklepienie stacji. Drzwi otworzyły się, ludzie wysiadali tłumnie. Swietłana wsiadła, przeszła kilka kroków w stronę tylnej części wagonu i chwyciła się poręczy nad głową. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte, i żaden z mężczyzn nie wstał, by jej

ustąpić. Zanim jeszcze pociąg ruszył, spojrzała ku przodowi wagonu, wkładając lewą rękę bez rękawiczki do kieszeni płaszcza.

Nigdy nie widziała twarzy człowieka, któremu miała przekazać film, ale wiedziała, że on znał jej twarz. Kimkolwiek był, doceniał jej zgrabną figurę, o czym świadczył sygnał: w ścisku zatłoczonego wagonu ręka ukryta za egzemplarzem „Izwestii” przesunęła się po jej lewym pośladku, zatrzymała i lekko przycisnęła. To było coś nowego, lecz odpędziła od siebie pokusę ujrzenia jego twarzy. Czy okazałby się dobrym kochankiem? Mogłaby spróbować. Jej były mąż był taki... ale nie. Tak było lepiej, bardziej poetycznie, bardziej swojsko: jakiś mężczyzna, którego twarzy nigdy nie pozna, uważał ją za piękną i godną pożądania. Mocno ujęła kasetę kciukiem i palcem wskazującym, czekając aż pociąg zatrzyma się na stacji „Puszkinskaja”. Oczy miała zamknięte, a ledwo dostrzegalny uśmiech błędził po twarzy, gdy wyobrażała sobie wygląd i przymioty łącznika, którego ręka ją pieściła. Gdyby jej oficer prowadzący znał te myśli, przestraszyłby się nie na żarty; na zewnątrz nie dawała jednak niczego po sobie poznać.

Pociąg zwalniał, ludzie wstawali z miejsc i przesuwali się do wyjścia. Swietłana wyjęła rękę z kieszeni. Z nieznanых jej powodów kasetka była trochę śliska: woda albo jakaś oleista substancja z pralni. Ręka mężczyzny opuściła jej biodro, pozostawiając wyczuwalny ślad łagodnego nacisku, i powędrowała w górę, by odebrać mały blaszany cylinder w chwili, gdy ona obracała głowę w prawo.

Tuż za nią jakaś starsza kobieta potknęła się i wpadła na łącznika, co spowodowało wytrącenie Swietłanie z rąk kasety. W pierwszej chwili nie zdała sobie z tego sprawy, ale gdy tylko pociąg zatrzymał się, mężczyzna był już na kolanach szukając zguby. Spojrzała w dół

bardziej zdziwiona niż przestraszona i zobaczyła jego potylicę: łysiał, a włosy przykrywające uszy były siwe. To był starszy mężczyzna! Znalazł kasetę i szybko wstał. Stary, ale z ikrą —

pomyślała, rzucając okiem na zarys jego szczęki. Mocny profil... tak, byłby dobrym kochankiem, a do tego cierpliwym, najlepszym z możliwych typów. Wyskoczyła z pociągu, zostawiając swe myśli za sobą. Nie zauważyła, że jakiś mężczyzna siedzący po lewej stronie wagonu wstał i przepychając się wśród wsiadających, wyskoczył z wagonu na sekundę przed zamknięciem drzwi.

Na imię miał Borys, był oficerem KGB i właśnie wracał do domu, by wypocząć po nocnej służbie. Zazwyczaj czytał gazetę „Sowieckij Sport”, ale dziś zapomniał kupić ją w kiosku w budynku centrali i całkiem przypadkowo zobaczył na czarnej, brudnej podłodze wagonu metra coś, co mogło być jedynie kasetą fotograficzną, przy tym mniejszą od normalnie stosowanych.

Nie widział próby przekazania i nie wiedział, kto ją upuścił. Podejrzewał, że był to ten mężczyzna po pięćdziesiątce, który podniósł ją z taką wprawą. Gdy wysiadł z wagonu, zdał sobie sprawę, że niewątpliwie przekazano ją w metrze. Był jednak zbyt zaskoczony, by odpowiednio zareagować — zbyt zaskoczony i zbyt zmęczony po całonocnej służbie.

Kiedyś był oficerem operacyjnym w Hiszpanii, dopóki zawał nie zmusił go do powrotu do kraju i do

pracy za biurkiem. Miał stopień majora, ale uważał, że za swą poprzednią działalność powinien być zostać pułkownikiem. Nie to jednak zaprzętało mu teraz głowę. Szukał

na peronie siwowłosego mężczyzny w brązowym płaszczu. Tam jest! Ruszył za nim, czując lekkie ukłucie po lewej stronie piersi. Zlekceważył to. Rzucił palenie już kilka lat temu, a lekarz w KGB powiedział mu, że trzyma się całkiem nieźle. Szedł jakieś pięć metrów za tamtym.

Bardziej już się nie zbliżał — pora na cierpliwość. Podążał za nim do przejścia na stację

„Gorkowskaja”, a potem na peron. Tutaj sprawa nieco się skomplikowała: w tłumie ludzi spieszących do pracy stracił z oczu tego, którego śledził. Major był niskiego wzrostu i w tłoku miał trudności z odnalezieniem tropionego. Czy może sobie pozwolić na zmniejszenie odległości? Oznaczałoby to przepychanie się wśród ludzi... i zwrócenie na siebie uwagi. Dość ryzykowne.

Oczywiście przeszedł odpowiednie przeszkolenie, ale było to ponad dwadzieścia lat temu.

Teraz rozpaczliwie starał się przypomnieć sobie zasady postępowania. Znał się na pracy operacyjnej, wiedział, jak wykrywać i gubić kogoś, kto cię śledzi, jako oficer Zarządu Pierwszego nie był wszakże tak biegły w prowadzeniu obserwacji jak ci szpicle z Zarządu Drugiego. Co mam teraz robić? — wściekał się na siebie. Cóż to za szansa! Ludzie z Zarządu Pierwszego oczywiście nie znosili swoich kolegów z Drugiego, i złapanie jednego z nich na... a jeżeli jest tu też facet z „Dwójki”? Może jest po prostu świadkiem ćwiczeń? Może jakiś facet z

„Dwójki”, kontrolujący tego łącznika, przeklina go za wtrącanie się w nie swoje sprawy? Czy mogą z tego wynikać jakieś nieprzyjemności? Co mam robić? Rozejrzył się z nadzieją, że zobaczy ludzi z kontrwywiadu pilnujących łącznika. Nie spodziewał się, że rozpozna jakąś twarz, ale może zauważył sygnał nakazujący mu przerwanie obserwacji. Wydawało mu się, że wie, jak taki sygnał wygląda, a tu nic. Co mam robić? Pocił się w zimnej hali metra, a ból serca wzmagął

się, utrudniając jeszcze podjęcie decyzji. Każdy sektor moskiewskiego metra miał zainstalowaną tajną sieć telefoniczną i każdy oficer KGB wiedział, jak się nią posługiwać. Ale tym razem nie miał czasu na odszukanie takiego aparatu i skorzystanie z niego.

Musiał śledzić tego mężczyznę, musiał zaryzykować. Jeżeli decyzja okaże się błędna —

no cóż, jest doświadczonym oficerem operacyjnym, działał tak, jak uważał za właściwe, wypatrywał też sygnału przerwania operacji. Ci z „Dwójki” mogli go straszliwie skłąć, ale wiedział, że jego przełożeni z Zarządu Pierwszego będą go bronić. Podjął już decyzję — i ból w piersi ustał. Nadal jednak pozostała sprawa odnalezienia go w tej ciżbie. Major przeciskał się powoli przez tłum, nie zwracając uwagi na złorzeczenia, ale w końcu przejście zagrodziła mu grupa rozmawiających robotników. Wyciągnął szyję, by rozejrzeć się za tym, kogo szukał. Jest!

Stoi tam, spogląda na prawo... Dźwięk nadjeżdżającego pociągu przyniósł odprężenie.

Starał się nie patrzeć za często na obiekt swego zainteresowania. Usłyszał świst otwierających się

drzwi wagonu, a potem zgrzytliwe szuranie nóg ludzi tłoczących się przy wejściu.

Wagon był przepelniony! Ten człowiek już wszedł, lecz w drzwiach było pełno ludzi.

Oficer podbiegł do następnych i wepchnął się do środka tuż przed ich zamknięciem. Z

niepokojem pomyślał, że być może zrobił to w sposób zbyt rzucający się w oczy, teraz jednak było już za późno. Gdy pociąg ruszył, zaczął przepychać się do przodu. Siedzący i stojący ludzie zauważyli to jego niestosowne zachowanie. Zobaczył, że jakaś ręka poprawia kapelusz, zaszeleściły trzy, cztery gazety — każda z tych czynności mogła być sygnałem ostrzegawczym dla łącznika.

Jedną rzeczywiście była. Ed Foley poprawił okulary dłonią odzianą w rękawiczkę i trzymającą także drugą od pary, po czym spojrział w okno. Łącznik obrócił się i powtórzył w myślach, podobnie jak Foley, co w takim wypadku przewidywała instrukcja. Łącznik powinien pozbyć się filmu: Najpierw prześwietlić go wyciągając z kasety, a potem wyrzucić do najbliższego śmietnika. Wiedział, że zdarzyło się to już dwukrotnie i za każdym razem łącznikowi udało się wyjść bez szwanku. Uczono ich, jak to zrobić — mówił sobie Foley —

wiedzą, jak to zrobić. Kardynał zostanie ostrzeżony, potem wykona drugi film, potem...

Foleyowi nigdy jeszcze się to nie przydarzyło, i teraz musiał zebrać wszystkie siły, by zachować pozorną obojętność. Łącznik nie wykonał żadnego niepotrzebnego ruchu; wysiadł po prostu na następnej stacji. Nie zrobił niczego co zwracałoby uwagę, niczego co mogłoby się wydać niezwykle. W razie czego powie, że znalazł ten drobiazg — „czy to był film, towarzyszu?” —

wałający się na podłodze wagonu. Myślał, że to śmieć, do wyrzucenia. Manipulował w kieszeni, starając się wyciągnąć film z kasety. Oddający miał zawsze zostawiać kilka milimetrów taśmy na zewnątrz, by można było wyszarpnąć całość — tak w każdym razie mówiono łącznikowi. Ale kasetka była śliska, nie mógł złapać końca naświetlonego filmu. Pociąg zatrzymał się i łącznik wysiadł. Nie wiedział, kto za nim idzie. Nie wiedział nic oprócz tego, że zobaczył sygnał

przerwania operacji, który także znaczył, by w określony sposób zniszczyć to, co miał przy sobie.

Nigdy jednak tego jeszcze nie robił. Starając się nie rozglądać, wyszedł ze stacji nie szybciej niż pozostali pasażerowie. Foley nawet nie spojrział przez okno wagonu — było to prawie nieludzkie, ale zdołał się powstrzymać. Obawiał się, że w ten sposób mógłby jeszcze bardziej narazić swego łącznika.

Tamten jechał już ruchomymi schodami, jeszcze kilka sekund i będzie na ulicy. Znajdzie jakąś uliczkę, prześwietli film, wyrzuci go do kratki kanału razem z papierosem, który właśnie zapalił. Jeden płynny ruch ręki — nawet gdyby został złapany, to i tak nie będzie dowodu, a jego wyuczona historyjka, wbita w głowę codziennym powtarzaniem, była wystarczająco wiarygodną, by zasiać w

KGB wątpliwości, jego szpiegowska kariera była jednak zakończona. Wiedział o tym i zdziwiła go fala ulgi, która ogarnęła go niczym przyjemna, ciepła kąpiel.

Zimne powietrze przywróciło go do rzeczywistości. Właśnie wschodziło słońce, a niebo było wspaniale przejrzyste. Skreślił w prawo, oddalając się od stacji. O parędziesiąt metrów dalej była mała uliczka i krata ściekowa, z której mógł skorzystać: zanim tam dojdzie, prawie dopali papierosa, to też już uprzednio przećwiczył. Gdyby tylko udało się teraz wyciągnąć film z kasety na słońce... Cholera. Zdjął drugą rękawiczkę i zatarł dłonie. Chwycił paznokciami film. Udało się! Zgniół taśmę. Z powrotem włożył kasetę do kieszeni i...

— Towarzyszu! — donośny głos jak na człowieka w tym wieku — pomyślał łącznik. W

brązowych oczach tamtego błysnęła czujność i mocno zacisnął rękę na jego kieszeni. Drugą, jak zauważył łącznik, trzymał w kieszeni własnego płaszcza. — Chcę zobaczyć, co macie w ręku.

— Kim jesteście? — wrzasnął kurier. — O co chodzi?

Nieznajomy wykonał znaczący ruch prawą ręką ukrytą w kieszeni. — Jestem człowiekiem, który zabije was tu, na środku ulicy, jeżeli natychmiast nie pokażecie, co macie w ręku. Jestem major Borys Czurbanow. — Czurbanow wiedział, że już wkrótce będzie inaczej; wyraz twarzy tego człowieka był potwierdzeniem, że zarobił na pułkownikowskie epolety.

W dziesięć minut później Foley był już w ambasadzie. Wysłał jednego ze swych współpracowników — ściśle mówiąc, współpracowniczkę — do miasta, by odszukała znak sygnalizujący udane pozbycie się materiału. Miał nadzieję, że się wygłupił, że zareagował

przesadnie na pasażera, któremu bardzo spieszyło się do pracy. Ale... w twarzy tamtego było coś, co mówiło mu „zawodowiec”. Nie wiedział co — ale było. Położył dłonie na biurku i patrzył

na nie przez kilka minut.

Gdzie popełniłem błąd? — zadał sobie pytanie. Uczono go analizować własne działania, krok po kroku szukając niedociągnięć, fałszywych kroków... Czy był przedtem śledzony?

Oczywiście był, i to często, jak wszyscy Amerykanie z ambasady. Jego osobisty „cień” to człowiek, którego na własny użytek nazywał „Griszą”. Ale „Griszę” widywał rzadko. Rosjanie nie wiedzieli, kim naprawdę jest Foley. Był tego pewien. Ta myśl go zmroziła. W fachu wywiadowczym pewność to najkrótsza droga do klęski. Dlatego nigdy nie łamał zasad pracy operacyjnej, nigdy nie odstępował od tego, co wpojono mu w Camp Peary, nad rzeką York w stanie Wirginia, a co praktykowano na całym świecie.

No cóż, następna jego czynność była już z góry określona. Poszedł do pokoju łączności i wysłał teleks do Departamentu Stanu, tym razem skierowany na skrytkę, której nie używał do normalnej korespondencji. W minutę po nadejściu wiadomości do Departamentu, przyjechał po nią oficer dyżurny nocnej zmiany w Langley. Forma wiadomości była niewinna, ale nie jej treść:

„KARDYNALNE KŁOPOTY. DANE W DRODZE”.

Nie zawieziono go na plac Dzierżyńskiego. Siedziba główna KGB, przez długie lata używana jako więzienie — a raczej jako lochy, ze względu na to, co w nich się działo — była teraz wyłącznie budynkiem biurowym, zgodnie bowiem z prawem Parkinsona agencja tak się rozrosła, że pochłonęła całą dostępną powierzchnię. Przesłuchania prowadzono obecnie w więzieniu lefortowskim, niedaleko kina „Sputnik”. Tam było dużo miejsca.

Siedział samotnie w pokoju, którego całe umeblowanie stanowiły stół i trzy krzesła.

Łącznikowi nawet przez myśl nie przeszło, by stawiać opór. Nadal nie zdawał sobie sprawy, że gdyby uciekł lub wdał się w walkę z człowiekiem, który go aresztował, mógłby być wolny. Nie chodziło tu o to, że major Czurbanow miał pistolet — którego w rzeczywistości nie miał — ale o to, że Rosjanom, którym brakuje wolności, brakuje też pomysłowości niezbędnej do czynnego oporu. Dla niego życie już się skończyło — i pogodził się z tym. Łącznik był człowiekiem bojaźliwym, ale bał się tylko tego, co być musi. Nie można walczyć z przeznaczeniem —

powiedział sobie.

— No, Czurbanow, i cóż my tu mamy? — zapytał młody, mniej więcej trzydziestoletni kapitan z Zarządu Drugiego.

— Dajcie to do wywołania — Czurbanow podał kasetę. — Według mnie ten człowiek jest łącznikiem. — Opowiedział, co zobaczył i co zrobił. Nie powiedział tylko, że wkręcił film z powrotem do kasy. — To czysty przypadek, że go zauważyłem — zakończył relację.

— Nie wiedziałem, że wy z Pierwszego znacie się na tym. Dobra robota, towarzyszu majorze.

— Bałem się, że niepotrzebnie wtrąciłem się w którąś z waszych operacji i...

— Już dawno byście o tym wiedzieli. Sporządźcie teraz pełny raport. Sierżant zaprowadzi was do stenografa, a ja wezwę zespół do przesłuchań. To zajmie kilka godzin. Może chcecie zadzwonić do żony?

— Film — nalegał Czurbanow.

— Dobrze, sam go zaniosę do laboratorium. Idźcie z sierżantem, przyjdę do was za kwadrans.

Laboratorium znajdowało się w przeciwległym skrzydle budynku. Zarząd Drugi miał tu tylko małą pracownię, ponieważ większość ich pracy związana była z Lefortowem. Kapitan złapał laboranta przed rozpoczęciem kolejnego zadania. W czasie wywoływania zadzwonił do pułkownika. Nie można było jeszcze stwierdzić, co odkrył ten z „Jedynki”, ale z pewnością chodziło tu o działalność szpiegowską, a taką traktowano jako sprawę najwyższej wagi. Kapitan pokręcił głową: ten weteran wywiadu tak po prostu natknął się na coś podobnego...

— Zrobione. — Laborant przyniósł wywołaną taśmę i jedną odbitkę, jeszcze wilgotną po ostatnim płukaniu. Oddał też kasetę w małej, brązowej kopercie. — Film został prześwietlony i ponownie wkręcony do kasety. Udało mi się uratować część jednej klatki. Jest ciekawa, ale tak naprawdę nie wiem o co chodzi.

— A co z resztą taśmy?

— Nic się nie da zrobić. Wystawienie filmu na światło słoneczne spowodowało bezpowrotne zniszczenie obrazu.

Technik mówił coś jeszcze, ale kapitan przyglądał się już powiększeniu. Był na nim rysunek z opisami wykonanymi dużymi literami. Nad rysunkiem widniał napis: JASNA GWIAZDA ZESPÓŁ NR 1, w innym miejscu odczytał: UKŁAD LASERÓW. Kapitan zaklął i wybiegł z pokoju.

Gdy pojawił się u siebie, major Czurbanow pił herbatę z zespołem śledczych. Atmosfera była koleżeńska, i jeszcze miała się poprawić.

— Towarzyszu majorze, prawdopodobnie wykryliście coś nader ważnego — powiedział kapitan.

— Służę Związkowi Radzieckiemu — gładko wyrecytował major. Była to doskonała odpowiedź, taka jaką zalecała partia. Może uda mu się przeskoczyć rangę podpułkownika i od razu zostanie pułkownikiem...

— Pokażcie no. — Dowodzący zespołem śledczym pułkownik wyciągnął rękę.

Dokładnie obejrzał fotografię. — To wszystko?

— Reszta uległa zniszczeniu.

Pułkownik zamruczał pod nosem. Będzie z tym kłopot, ale nie taki znów duży. Rysunek wystarczy, by ustalić, co to za miejsce. Wygląda na robotę młodej osoby, prawdopodobnie kobiety ze względu na schludne wykonanie. Pułkownik podniósł wzrok i spojrzął w okno.

— Trzeba zawiadomić górę, i to szybko. To, co tu zaznaczono... cóż, nic o tym nie słyszałem, ale chyba jest ściśle tajne. Zabierajcie się, towarzysze, do pracy. Ja muszę zadzwonić w kilka miejsc. Wy, kapitanie, weźmiecie kasetę do laboratorium. Niech zdejmą z niej odciski palców i...

— Towarzysze, dotykałem jej gołymi rękami — powiedział zawstydzony Czurbanow.

— Nie macie za co przeproszać, towarzyszu majorze. Wasza czujność jest więcej niż wzorowa — powiedział wspaniałomyślnie pułkownik. — Mimo wszystko sprawdźcie odciski.

— A szpieg? — zapytał kapitan. — Mamy go przesłuchiwać?

— Tu jest potrzebny doświadczony człowiek. Znam kogoś takiego. — Pułkownik wstał.

— Do niego też zadzwonię.

Kilka par oczu obserwowało łącznika, oceniało jego twarz, zdecydowanie, inteligencję.

Nadal siedział sam w pokoju przesłuchań. Wyjęto mu z butów sznurowadła, zabrano pasek, papierosy, wszystko czego mógłby użyć, żeby targnąć się na życie lub spróbować się uspokoić.

Nie mógł określić pory dnia, a brak nikotyny powodował, że stał się niespokojny, jeszcze bardziej zdenerwowany. Rozejrzał się po pokoju i zobaczył lustro. Nie wiedział, że jest jednostronnie przezroczyście. Pokój był całkowicie dźwiękoszczelny, by uniemożliwić mierzenie upływu czasu na podstawie kroków dochodzących z korytarza. Parę razy zaburczało mu w brzuchu. Milczał. W końcu drzwi się otwały.

Człowiek, który w nich stanął, miał około czterdziestu lat i ubrany był w porządne, cywilne ubranie. Niósł kilka kartek papieru. Obszedł stół i nie patrząc na łącznika usiadł na drugim końcu. Gdy wreszcie spojrzął, jego wzrok nie wykazywał żadnego zainteresowania —

jakby oglądał zwierzę w zoo. Łącznik próbował wytrzymać to spojrzenie z podobną obojętnością, ale mu się nie udało. Przesłuchujący wiedział już, że będzie to łatwy przypadek. Po piętnastu latach praktyki umiał to bezbłędnie ocenić.

— Masz wybór — powiedział po jakiejś minucie. Głos nie był twardy, brzmiał rzeczowo.

— To może się dla ciebie skończyć albo niegroźnie albo bardzo źle. Dopuściłeś się zdrady wobec ojczyzny. Nie muszę ci mówić, co robi się ze zdrajcami. Jeżeli chcesz żyć, opowiesz mi teraz wszystko. Jeżeli tego nie zrobisz, i tak się dowiemy, a ty zginiesz. Jeśli opowiesz nam to jeszcze dzisiaj, pozwolimy ci żyć.

— I tak mnie zabijecie — powiedział łącznik.

— To nieprawda. Jeżeli teraz będziesz współpracował, w najgorszym wypadku dostaniesz długi wyrok obozu pracy o zastrzonym reżimie. Może nawet wykorzystamy cię do zdemaskowania innych szpiegów. W takim przypadku dostaniesz się do obozu o umiarkowanym reżimie, i z niższym wyrokiem. Ale żeby tak się stało, musisz z nami współpracować, i to już, zaraz. Wyjaśnię ci to. Jeżeli natychmiast wrócisz do normalnego życia, ludzie, dla których pracujesz, nie dowiedzą się, że zostałeś aresztowany. Nadal będą korzystali z twoich usług, a to pozwoli nam ująć ich na gorącym uczynku i udowodnić im szpiegostwo. Będziesz zeznawał

przeciwko nim w czasie procesu, dzięki czemu władza może okazać ci łaskę. Takie publiczne okazanie łaski jest także korzystne dla państwa. Ale żeby do tego doszło, żeby ocalić życie, żeby odpokutować za zbrodnię, musisz z nami współpracować, od zaraz. — Przerwał, a po chwili ciągnął łagodniejszym tonem:

— Słuchajcie no, towarzyszu. Nie lubię zadawać ludziom bólu, ale jeżeli będzie trzeba, wydam takie polecenie bez wahania. Nie będziecie w stanie wytrzymać tego, co wam zrobimy.

Tego nikt nie wytrzyma. Choćbyście byli nie wiem jak odważni, wasz organizm ma pewne granice wytrzymałości. Mój też. I każdy inny. To tylko kwestia czasu. Czas jest dla nas ważny tylko przez następne kilka godzin, rozumiecie? Potem nie będziemy się już spieszyć. Człowiek rozłupie młotem najtwardszy kamień. Zaoszczędźcie sobie bólu, towarzyszu. Ocalcie życie. —

Umilkł, a jego oczy, dziwnie smutne i zawzięte zarazem, wpatrywały się w oczy łącznika.

Śledczy zobaczył w nich, że wygrał. Zawsze można to poznać po oczach. Oporni, twardzi nigdy nie wodzą oczami dookoła. Mogą patrzeć wprost w twoje, lub jeszcze częściej, w określony punkt na ścianie za tobą. Ci najtwardsi zazwyczaj wybierają stały punkt, w który się wpatrują i z niego czerpią swe siły. Ale nie ten tutaj. Jego wzrok biegał po pokoju, szukał

wsparcia, ale bez skutku. Cóż, spodziewał się, że nie będzie z nim kłopotów. Może jeszcze jeden gest...

— Chcecie zapalić? — Śledczy wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i wytrząsnął jednego na blat stołu.

Łącznik wziął papierosa — bibułka zajaśniała niczym biała flaga kapitulacji.

Ocena strat

— Co wiemy? — zapytał sędzia Moore.

W Langley było kilka minut po szóstej. Widok za oknem nastrajał równie ponuro jak miny dyrektora Agencji i jego dwóch zastępców.

— Śledzono łącznika numer cztery — powiedział Ritter, zastępca do spraw operacyjnych.

Przejrzał trzymane w ręku notatki. — Foley zauważył to tuż przed otrzymaniem materiału i dał

łącznikowi sygnał przerwania akcji. Twierdzi, że śledzący prawdopodobnie nie widział jego twarzy i podążył za łącznikiem. Podobno zachowywał się niezbyt profesjonalnie i to jest dziwne, ale Ed zawierzył swemu instynktowi a on ma prawdziwego nosa. Wysłał w miasto swojego człowieka, by odszukał sygnał naszego łącznika, że zgubił tego, kto go śledził, ale znaku nie było. Należy przyjąć, że facet jest spalony. Dopóki nie dowiemy się czegoś przeciwnego, musimy też założyć, że kasetka dostała się w ich ręce. Foley zlikwidował ten kanał. Kardynał

zostanie ostrzeżony, by nie korzystać już z agenta, który dotąd przejmował kasety. Przekażę Edowi, żeby zastosował normalny sygnał o utracie materiałów, a nie sygnał zagrożenia.

— Dlaczego? — zapytał admirał Greer. Odpowiedział mu sędzia Moore.

— James, informacja, którą miał nam przekazać, jest bardzo ważna. Jeżeli użyjemy sygnału wpadki, to... cholera, kiedyś powiedzieliśmy mu, że jeżeli taki nadamy, ma zniszczyć wszystko, co mogłoby go obciążyć. A jeżeli nie będzie mógł odtworzyć tej informacji? Jest nam potrzebna.

— Poza tym, Ruscy muszą się sporo napracować, żeby dojść do niego — ciągnął Ritter.

— Chcę, żeby Foley otrzymał odtworzone dane i przesłał je nam, a potem — potem chcę wyciągnąć stamtąd Kardynała, raz na zawsze. Zrobił już swoje. Jak tylko dostaniemy ten materiał, natychmiast prześlemy mu sygnał zagrożenia, który, mam nadzieję, tak go przestraszy, że zdecyduje się na ewakuację.

— Jak chcesz to zrobić? — zapytał Moore.

— Kanałem „mokrym”, północnym — odpowiedział jego zastępca do spraw operacyjnych.

— Co o tym sądzisz, James? — Moore zwrócił się do Greera, zastępcy do spraw informacyjnych.

— To rozsądne. Potrzeba trochę czasu na przygotowanie. Jakies dziesięć do czternastu dni.

— Zaczynamy więc od dzisiaj. Zadzwoń do Pentagonu i poproś o jakąś łajbę. Tylko niech dadzą coś dobrego.

— Dobrze — przytaknął Greer. Potem uśmiechnął się. — Już nawet wiem, o którą prosić.

— Jak tylko będziemy wiedzieli, co dostaniemy, wyślemy tam naszego człowieka, pana Clarka — powiedział Ritter. Reszta przytaknęła w milczeniu. Clark był swego rodzaju legendą w Zarządzie Operacyjnym. Jeżeli ktoś miał to zrobić, to właśnie on.

— Dobrze, daj znać Foleyowi — powiedział Sędzia.

— Będę musiał o wszystkim powiadomić prezydenta. — Niezbyt cieszył się na to spotkanie.

— Nikt nie trwa wiecznie. Kardynałowi i tak udawało się trzy razy dłużej niż można było oczekiwać — zauważył Ritter. — Nie zapomnij o tym również powiedzieć prezydentowi.

— Dobrze. Panowie, do roboty.

Admirał Greer wrócił do swojego gabinetu. Dochodziła siódma. Zadzwoił do OP-02 w Pentagonie, czyli do zastępcy szefa sztabu Marynarki do spraw działań podwodnych. Przedstawił

się i zapytał:

— Co teraz porabia „Dallas”?

Komandor Mancuso też już był na nogach. Jego ostatni rejs na „Dallas” zacznie się za pięć godzin, wraz z przyływem. W części rufowej mechanicy uruchamiali reaktor. Nad przygotowaniami czuwał pierwszy oficer, a w tym czasie Mancuso raz jeszcze przeglądał

otrzymane rozkazy. Po raz ostatni miał płynąć kursem „północnym”; w marynarce amerykańskiej i brytyjskiej kurs „północny” oznaczał Morze Barentsa, czyli podwórko radzieckiej marynarki wojennej. Gdy już tam dotrze, przeprowadzi, jak to się oficjalnie w marynarce określa, „badania oceanograficzne”, co oznacza, że „Dallas” będzie śledzić radzieckie atomowe okręty podwodne.

To niełatwa robota, lecz Mancuso był ekspertem w tej dziedzinie, a na dodatek miał kiedyś okazję przyrzec się dokładnie takiemu właśnie rosyjskiemu boomerowi — okazję, jakiej nie miał

żaden z amerykańskich podwodniaków. Z nikim nie mógł o tym porozmawiać, nawet ze swymi kolegami-kapitanami. Drugi medal „Za wzorową służbę”, który dostał za tamtą operację, został

utajniony: nie mógł go nosić, i chociaż fakt jego przyznania odnotowano w poufnej części jego teczeki personalnej, nawet tam nie podano uzasadnienia. Ale to już przeszłość, Mancuso był zaś człowiekiem patrzącym w przyszłość. Jeżeli ma odbyć jeszcze jeden, ostatni rejs, to może być i na północ. Zadzwoił telefon.

— Tu kapitan — rzucił w słuchawkę.

— Bart, tu Mike Williamson — usłyszał głos dowódcy Drugiej Grupy Okrętów Podwodnych. — Czekam na ciebie.

— Tak jest, już idę — odpowiedział zdziwiony Mancuso i odłożył słuchawkę. W chwilę później wspiał się na pokład, opuścił okręt i przeszedł wzdłuż wyasfaltowanego nabrzeża Tamizy do miejsca, gdzie czekał na niego samochód admirała. W cztery minuty potem znalazł się w sztabie Drugiej Grupy.

— Zmiana rozkazu — powiedział kontradmirał Williamson, gdy tylko Mancuso zamknął za sobą drzwi.

— Co się dzieje?

— Płyniesz pełną parą do Faslane. Już tam na ciebie czekają. To wszystko, co wiem.

Rozkaz wydano w OP -02. Do mnie dotarł za pośrednictwem dowództwa sił podwodnych na Atlantyku w ciągu trzydziestu sekund. — Williamson nie musiał mówić nic ponadto. Szykowało się coś ważnego, a takie sprawy zlecano „Dallas” dość często. Właściwie zlecano je Mancuso, lecz Mancuso to „Dallas”.

— Brakuje mi ludzi w sekcji sonaru. Mam kilku dobrych młodzików, ale nowy szef sekcji jest w szpitalu. Jeżeli to jakaś delikatna sprawa, to...

— Czego ci trzeba? — zapytał admirał Williamson i natychmiast otrzymał odpowiedź. —

W porządku, załatwię to. Za pięć dni masz być w Szkocji, a ja w tym czasie coś wymyślę. Płyn ostro, Bart.

— Tak jest, panie admirale. — Reszty dowie się w Faslane.

— Jak się czujesz Rusku? — zapytał Łucznik.

Czuł się nieco lepiej. Przez ostatnie dwa dni był przekonany, że umrze. Teraz już nie miał

tej pewności. Może to fałszywa nadzieja, ale przedtem jej nie doświadczał. Teraz Czurkin zastanawiał się czy ma przed sobą jakąś przyszłość i czy powinien się jej obawiać. Strach.

Zapomniał o nim. W krótkim odstępie czasu dwukrotnie stawał oko w oko ze śmiercią. Pierwszy raz w spadającym, płonącym samolocie: kiedy uderzyli w ziemię miał wrażenie, że to kres życia.

Po raz drugi gdy ocknął się z letargu i ujrzał nad sobą afgańskiego bandytę z nożem. Wiedział

wtedy, że śmierć nadeszła, a przecież zatrzymała się i oddaliła. Dlaczego? Ten bandyta z dziwnymi oczami — okrutnymi i łagodnymi zarazem, bezlitosnymi i współczującymi — chciał

zachować go przy życiu. Dlaczego? Czurkin miał obecnie czas i siły, by zadać to pytanie, ale odpowiedzi nie otrzymał.

Jechał w czymś. Czuł, że leży na stalowej płycie. Ciężarówka? Nie, nad głową też miał

stalową płaszczyznę. Gdzie ja jestem? Na zewnątrz chyba ciemno. Światło nie wpadało przez otwory strzelnicze w burcie... to transporter opancerzony! Skąd ci bandyci mają coś takiego?

Dokąd...

Wieźli go do Pakistanu! Przekazają... Amerykanom? Nadzieja raz jeszcze zmieniła się w rozpacz. Zakaszlał ponownie i na ustach pojawiła się krew.

Łuczniczka miała szczęście. Jego grupa natknęła się na inną, która prowadziła do Pakistanu dwa radzieckie transportery piechoty BTR-60. Tamci byli dumni, że mogą zabrać ze sobą rannych ludzi Łuczniczki. W końcu był wśród nich sławny, nie szkodziło też mieć pod ręką operatora wyrzutni rakiet na wypadek, gdyby pojawiły się rosyjskie śmigłowce. Co prawda niebezpieczeństwo takie właściwie im nie groziło. Noce były długie, pogoda się pogorszyła.

Jechali z prędkością około piętnastu kilometrów na godzinę po płaskim terenie, i nie mniej niż pięć na godzinę po skalistym. Już niedługo dotrą do granicy, na odcinek kontrolowany przez mudżahedinów. Partyzanci zaczęli czuć się swobodniej. Czekał ich wkrótce tydzień względnego spokoju, no i Amerykanie nieźle płacą za radziecki sprzęt. Ten typ transportera wyposażony był

w noktowizory, których kierowca używał teraz jadąc po górskiej drodze. W zamian chcieli rakiet, pocisków mózdzierzowych, paru karabinów maszynowych i środków medycznych.

Wszystko układało się dla nich pomyślnie. Chodziły słuchy, że być może Rosjanie, których oddziały starały się unikać bezpośrednich starć z Afgańczykami, w końcu się wycofają.

Kontakt z przeciwnikiem nawiązywała najpierw radziecka piechota, a dopiero potem ściągała wsparcie artyleryjskie i lotnicze. Jeżeli nie liczyć kilku zawziętych grup spadochroniarzy i zniechęconych oddziałów Specnazu, Afgańczycy zyskali w swym odczuciu przewagę moralną na polu walki — oczywiście dzięki Świętej Sprawie. Kilku przywódców partyzanckich przebąkiwało już o zwycięstwie. Rozniosło się to po oddziałach i teraz nawet zwykli partyzanci wierzyli, że święta wojna nie potrwa długo.

O północy oba transportery dotarły do granicy. Stąd jazda stała się łatwiejsza. Drogi w głąb Pakistanu strzegły ich oddziały. Kierowcy transporterów mogli przyspieszyć i wreszcie cieszyć się jazdą. Dojechali do Miram Shah w trzy godziny później. Łuczniczka wysiadł pierwszy, zabierając ze sobą rosyjskiego więźnia i swoich rannych.

Emilio Ortiz czekał na niego z puszką soku jabłkowego. Oczywiście nie wyszły mu z orbit, gdy uświadomił sobie, że człowiek, którego przywiózł Łuczniczka, to Rosjanin:

— Przyjacielu, kogoś mi tu sprowadził?

— Jest ciężko ranny. A oto kim jest... — tu Łucznik podał jeden z naramienników Rosjanina, potem teczkę — ...i co miał ze sobą.

Ortiz zaklął niezrozumiale dla Łuczniaka. Na ustach rannego zauważył zakrzepłą krew i zrozumiał, że stan jego zdrowia nie rokuje wielkich nadziei... ale co za zdobycz! Dopiero w chwilę później, po odstawieniu rannego do szpitala polowego, Ortizowi przyszła do głowy kolejna myśl: Cóż u diabła mamy z nim zrobić? Tutejszy zespół medyczny, oprócz kilku Włochów i Szwedów, również złożony był głównie z Francuzów. Ortiz znał większość z nich i podejrzewał, że niejeden składa meldunki francuskiej agencji wywiadowczej DGSE. Z drugiej jednak strony w grupie tej było kilku naprawdę dobrych lekarzy i pielęgniarek. Afgańczycy też o tym wiedzieli i strzegli ich niczym samego Allaha. Chirurg zajmujący się wstępną klasyfikacją rannych umieścił Rosjanina na trzecim miejscu w kolejce do operacji, potem zajęła się nim pielęgniarka. Łucznik kazał Abdulowi mieć oko na wszystko — nie po to ciągnął rannego taki szmat drogi, by go teraz wykończono. Następnie poszedł porozmawiać z Ortizem.

— Słyszałem, co się stało w Ghazni — powiedział oficer CIA.

— Wola boska. Ten Rosjanin stracił syna. Nie mogłem... może tego dnia zbyt wielu już zabiłem — Łucznik westchnął głęboko. — Przyda się na coś?

— To się przyda. — Ortiz przerzucał dokumenty. — Nie wiesz przyjacielu, czego dokonałeś. To co, porozmawiamy o ostatnich dwóch tygodniach?

Relacja Łuczniaka trwała aż do świtu: opowiadał z notatnikiem w ręku o swych działaniach, robiąc przerwy tylko wtedy, gdy Ortiz zmieniał taśmy w magnetofonie.

— Opowiedz mi o świetle, które widziałeś na niebie.

— Tak, to było bardzo dziwne. — Łucznik tarł już oczy.

— Człowiek, którego tu przywiozłeś, właśnie tam jechał. Tu jest plan tej bazy.

— Gdzie to właściwie jest... i co to jest?

— Nie wiem. Jakieś sto kilometrów od granicy afgańskiej. Pokażę ci na mapie. Jak długo będziesz po tej stronie?

— Około tygodnia.

— Muszę zameldować o wszystkim moim przełożonym. Może zechcą się z tobą spotkać.

Będziesz, mój przyjacielu, hojnie nagrodzony. Zrób listę potrzebnych ci rzeczy, długą listę.

— A Rosjanin?

— Z nim też porozmawiamy. Jeżeli przeżyje.

Łącznik spacerował wzdłuż Łazowskiego Zaułka, czekając na kontakt. Mimo niepewności starał się być dobrej myśli. W końcu uwierzył śledczemu i późnym popołudniem wykonał kredą znak w umówionym miejscu. Wiedział, że zrobił to o pięć godzin później niż powinien, miał jednak nadzieję, że jego oficer prowadzący uzna, że przyczyną opóźnienia była ucieczka. Nie postawił znaku fałszywego, który ostrzegłby oficera CIA, że został zwerbowany przez drugą stronę. Grał teraz w zbyt niebezpieczną grę. Spacerował po chodniku i czekał na pojawienie się oficera prowadzącego.

Nie wiedział, że tamten siedzi w swym biurze, w ambasadzie amerykańskiej, i przez następne kilka tygodni nie wybierze się w ten rejon Moskwy. Co najmniej przez taki okres bowiem nie planowano nawiązania kontaktu z łącznikiem. Kanał łączności z Kardynałem już nie istniał. CIA równie dobrze mogłaby stwierdzić, że nic takiego nigdy nie istniało.

— Moim zdaniem tracimy czas — powiedział śledczy. Wraz z innym wyższym oficerem Zarządu Drugiego siedział przy oknie w pewnym mieszkaniu. Przy sąsiednim oknie usadowił się funkcjonariusz z kamerą. Dziś rano dowiedzieli się, co oznacza JASNA GWIAZDA; generał

dowodzący Zarządem Drugim dał tej sprawie absolutne pierwszeństwo. Tamten skapcaniały weteran z „Jedynki” wpadł na trop gigantycznego wprost przecieku.

— Myślicie, że łącznik kłamał?

— Nie. Łatwo go było złamać... chociaż nie, nie tak znów łatwo. On sam się załamał —

powiedział z pewnością siebie śledczy. — Chyba spóźniliśmy się z wypuszczeniem go w miasto.

Myślę, że tamci już wiedzą, i że łączność została zerwana.

— Ale co wyszło nie tak... chciałem powiedzieć, że z ich punktu widzenia, wszystko mogło przebiec zgodnie z planem.

— Owszem — zgodził się śledczy. — Jednakże jak wiemy, informacje te mają niezwykłą wartość. Ich źródło musi być równie cenne. Dlatego podjęli nadzwyczajne kroki, by je chronić.

Teraz już nie pójdzie nam tak łatwo.

— To co, zgarniamy go?

— Tak.

Do spacerującego po ulicy łącznika podjechał samochód. Oficerowie patrzyli, jak wsiada do środka, a potem ruszyli do swojego auta.

W pół godziny później wszyscy byli z powrotem w więzieniu lefortowskim. Na twarzy śledczego

malował się smutek.

— Powiedzcie no mi, dlaczego mam wrażenie, żeście mnie okłamali.

— Ależ nie! Zrobiłem wszystko, co miałem zrobić. Być może za późno, ale o tym wam mówiłem.

— A znak, który postawiliście? Czy oznacza, że was mamy?

— Nie!!! — Łącznik był bliski paniki. — Przecież to wszystko też już wam wyjaśniłem.

— Widzicie, chodzi o to, że nie wiemy, jaka jest różnica między jednym takim znaczkiem a drugim. Może chcecie być sprytni, i wykiwać nas. — Śledczy pochylił się do przodu. —

Oczywiście możecie nas, towarzyszu, oszukać. Każdy może, ale tylko na jakiś czas, nie na długo.

Zamilkł na chwilę, pozwalając by jego wypowiedź dotarła do łącznika. Przesłuchiwanie takich słabeuszy to łatwa sprawa. Daj nadzieję, a później ją odbierz, przywróć i znowu jej pozbaw. Na przemian podnoś na duchu i wtrącaj w rozpacz tak długo, że w końcu nie będą już wiedzieli, co właściwie czują. Gdy zabraknie im wiary własnych odczuć, będą na twojej łasce.

— Zaczynamy od początku. Kim jest ta kobieta, którą spotykaliście w metrze?

— Nie wiem, jak się nazywa. Jest po trzydziestce, ale wygląda młodo. Ładna, szczupła, jasne włosy. Zawsze dobrze ubrana, jak cudzoziemka, ale to nie cudzoziemka.

— Ubrana jak cudzoziemka... to znaczy jak?

— Zwykle ma na sobie zachodni płaszcz. To widać po materiale i po kroju. Jak mówiłem, jest ładna no i...

— Dalej, dalej — ponaglał śledczy.

— Mój sygnał to położenie ręki na jej tyłku. Chyba to lubi. Często przyciska się wtedy do mnie.

Przesłuchujący nie znał jeszcze tego szczegółu, lecz natychmiast uznał, że jest prawdziwy. Takich szczegółów nie można wymyślić, a poza tym ten pasował do całości. Kobieta z metra lubiła przygodę. Zawodowcy nie mają takich odruchów. Wywnioskował z tego, a nawet był pewien, że to Rosjanka.

— Ile razy się spotkaliście?

— Tylko pięć. Nigdy tego samego dnia tygodnia, bez stałego rozkładu, ale zawsze w drugim wagonie tego samego pociągu.

— A człowiek, któremu przekazywaliście?

— Nigdy nie widziałem jego twarzy, w każdym razie całej. Zawsze trzymał się poręczy u sufitu, a gdy obracał ku mnie głowę, to w taki sposób, żeby ręka zasłaniała mu twarz od mojej strony. Widziałem tylko jej kawałek, nigdy w całości. Myślę, że to zagranicznik, choć nie wiem jakiej narodowości.

— Pięć razy i nigdy nie widziałeś jego twarzy?! — huknął śledczy, waląc pięścią w stół.

— Masz mnie za głupka?!

Łącznik skulił się i zaczął szybko:

— Nosi okulary, z pewnością zachodnie. Zwykle jest w kapeluszu. No i trzyma złożoną gazetę, „Izwestia”, zawsze „Izwestia”. Między gazetą a jego ręką można zobaczyć tylko mały fragment twarzy. Jego sygnał, że jest gotów do odbioru, to lekkie obrócenie gazety, tak jakby szukał dalszego ciągu artykułu. Potem odwraca się, kryjąc twarz.

— Jak się odbywa przekazanie? Powtórzcie!

— Gdy pociąg staje, on idzie do przodu, jakby przygotowując się do wyjścia na następnej stacji. Mam to w ręku i kiedy przechodzę do wyjścia, odbiera to za plecami.

— Znacie więc jej twarz, ale ona nie zna waszej. On widział waszą twarz, ale wy jego —

nie... — Używa tej samej metody odbierania materiału. To dobry kawałek roboty operacyjnej, ale dlaczego stosowany jest dwa razy w tym samym kanale? KGB także stosuje tę metodę. Jest trudniejsza od innych, szczególnie w zatłoczonym metrze, w godzinach szczytu. Pomyślał, że najpowszechniejszy sposób przekazywania materiału, czyli za pomocą schowka, w tym kanale łączności nie był używany. To też było zastanawiające. Powinien być przynajmniej jeden schowek, wtedy KGB mogłaby dojść po nitce do kłębka...

Rozpoczęto lokalizowanie przecieku, ale trzeba było działać ostrożnie. Należało przecież brać pod uwagę możliwość, że szpieg sam (sama?) jest oficerem służby bezpieczeństwa. To w istocie idealna pozycja dla agenta wywiadu, ponieważ umożliwia dostęp do wszystkich danych, w tym także do wcześniejszych informacji o podejmowanych działaniach kontrwywiadu. Coś takiego już się kiedyś zdarzyło: badanie przecieku zaalarmowało szpiega, a udało się to odkryć dopiero w kilka lat po zakończeniu śledztwa. Innym osobliwym szczegółem było to, że zachowana klatka filmu przedstawiała nie rysunek techniczny, lecz wykonany odręcznie szkic...

Pismo odręczne — czy to z tego właśnie powodu nie używano skrytek? Mogłoby to doprowadzić do zdemaskowania szpiega. Co za głupi sposób na...

Ale nie było tu nic głupiego, i nic przypadkowego. Metody używane w łączności były wprawdzie niezwykle, niemniej profesjonalne. Musiało się w tym wszystkim kryć coś, do czego śledczy jeszcze

nie dotarł.

— No to jutro razem przejedziemy się metrem.

Pułkownik Filitow obudził się bez huku w głowie, co było przyjemnością samą w sobie.

Jego „zwyčajne” zajęcia poranne nie różniły się zbyt od „tamtych”, tyle że nie miał kaca i nie musiał jechać do łaźni. Ubrał się, a potem sprawdził, czy pamiętnik jest na swoim miejscu, w szufladzie biurka. Miał nadzieję, że będzie go mógł zniszczyć, tak samo jak zwykle. Przygotował

już nowy dziennik, który zacznie po zniszczeniu tego. Poprzedniego dnia usłyszał co nieco o nowych rozwiązaniach w technice laserowej, a w przyszłym tygodniu otrzyma sprawozdanie na temat systemów raketowych.

W samochodzie rozsiadł się wygodnie, w drodze zaś do pracy, uważniej niż zazwyczaj wyglądał przez okno. Ulicami, mimo wczesnej pory, jeździły już ciężarówki. Jedna z nich zasłoniła mu umówiony odcinek krawężnika, na którym umieszczano sygnał „utrata materiału”.

Trochę go to zirytowało, ale ponieważ jego raporty rzadko ginęły, niezbyt się tym przejął. Znak „przekazano bez przeszkód” umieszczano gdzie indziej, tak, by zawsze był dobrze widoczny.

Siedząc wygodnie, pułkownik Filitow spoglądał przez szybę, gdy samochód zbliżał się do owego miejsca. To tu... ale sygnału nie było. Dziwne. Czy tam wcześniej, na krawężniku, znajdował się umówiony znak? Będzie musiał to sprawdzić wracając do domu. Przez lata jego pracy dla CIA w ten czy w inny sposób zaginęło kilka jego meldunków. Nigdy jednak nie użyto sygnału

„niebezpieczeństwo”, nigdy też nie odebrał telefonu z pytaniem o Siergieja, co oznaczało, że musi natychmiast opuścić mieszkanie. Prawdopodobnie i teraz nie ma zagrożenia. Po prostu przykra niedogodność. Cóż... Pułkownik odprężył się i zaczął rozmyślać nad rozkładem swych zajęć w ministerstwie.

Tym razem metro było całkowicie obstawione — w ten rejon skierowano aż stu ludzi z Zarządu Drugiego. Większość ubrana była jak przeciętni moskwianie. Część, w strojach roboczych, kręciła się koło tablic rozdzielczych, gdzie oprócz instalacji elektrycznej ukryta była, jak w całym metrze, tajna sieć telefoniczna. Śledczy i jego więzień jeździli tam i z powrotem na liniach „czerwonej” i „zielonej”, wypatrując dobrze ubranej kobiety w zachodnim płaszczu.

Miliony ludzi podróżowały każdego dnia metrem, ale oficerowie kontrwywiadu byli pewni swego. Dla nich pracował czas — oraz pociąg do przygody i ryzyka u poszukiwanej.

Prawdopodobnie nie była dość zdyscyplinowana, by oddzielać codzienne zajęcia od tajnej działalności. Znano już takie przypadki. Jednym z artykułów wiary, wyznawanych przez wszystkich oficerów bezpieczeństwa na całym świecie, było to, że ludzie szpiegujący przeciwko swej ojczyźnie mają pewną podstawową ułomność. Tacy zdrajcy, mimo swego sprytu, wcześniej czy później zaczynają zachowywać się beztrosko, ściągając na siebie zgubę.

I przynajmniej w tym przypadku mieli rację. Swietłana weszła na peron z bukietem owiniętym w brązowy papier. Łącznik przede wszystkim rozpoznał jej włosy. Fryzura się nie wyróżniała, ale coś nieuchwytnego, coś w sposobie trzymania głowy spowodowało, że wskazał

ją palcem — szarpnięta przez stojącego obok oficera KGB ręka natychmiast opadła. Kobieta obróciła się i ujrzał jej twarz. Była odprężona i tym różniła się od twarzy reszty podróżnych, na których malowała się ponura moskiewska apatia. Na pierwszy rzut oka zrobiła na nim wrażenie osoby korzystającej z życia. Ale to się zmieni.

Rzucił kilka słów do radiotelefonu i kiedy Swietłana wsiadła do następnego pociągu, miała już towarzystwo. W uchu człowieka z „Dwójki”, który ją obstawiał, tkwiła słuchaweczka, przypominająca aparat dla słabo słyszących. Funkcjonariusze przy telefonach sieci specjalnej zaalarmowali kolegów na wszystkich stacjach tej linii. Kiedy wysiadła gotowa była już cała grupa mających ją śledzić. Ruchomymi schodami wyjechali za nią na ulicę. Tam czekał

samochód, i do akcji włączyli się kolejni funkcjonariusze. Co najmniej dwóch ludzi utrzymywało stały kontakt wzrokowy. Taki najbliższy trzymający się zespół wymieniał się szybko w ramach grupy, w miarę powiększania się zastępców tropicieli. Doszli za nią do budynku Gospłanu na Prospekcie Marksa, naprzeciw hotelu „Moskwa”. Nie zauważyła, że jest śledzona, ale też i nie próbowała tego sprawdzać. W ciągu pół godziny zrobiono dwadzieścia zdjęć, które pokazano łącznikowi. Rozpoznał ją.

Dalsze działania były już ostrożniejsze. Strażnik w budynku, który podał jej nazwisko oficerowi KGB, został ostrzeżony, by z nikim nie rozmawiał o tym, o co go pytano. Pełny zestaw danych osobowych był już gotowy wczesnym popołudniem i śledczy, który prowadził teraz całość sprawy, z przerażeniem wyczytał, że Swietłana Waniejewa jest córką członka Komitetu Centralnego. Będą komplikacje. Pułkownik szybko złożył inny zestaw fotografii i ponownie pokazał je więźniowi, ale ten spośród sześciu różnych i tym razem wybrał właściwą. Kogoś z rodziny faceta z Komitetu Centralnego nie można było tak po prostu... ale została rozpoznana, a sprawa była poważna. Watutin poszedł się naradzić z szefem zarządu.

Sprawa była dość delikatna. Uważane przez Zachód za wszechmocne KGB zawsze jednak podporządkowane było aparatowi partyjnemu i nawet ono potrzebowało zgody na zajęcie się członkiem rodziny tak ważnego urzędnika. Szef Zarządu Drugiego udał się do przewodniczącego. Wrócił pół godziny później:

— Możecie ją zdjąć.

— Sekretarz Komitetu Centralnego...

— ...nie został powiadomiony — przerwał generał.

— Ale...

— Macie tu rozkaz. — Watutin otrzymał kartkę z poleceniem wypisanym własnoręcznie przez przewodniczącego KGB.

— Towarzyszka Waniejewa?

Podniosła głowę i zobaczyła jakiegoś mężczyznę w cywilnym ubraniu — Gosplan nie było instytucją wojskową — który dziwnie na nią patrzył.

— Czym mogę służyć? — zapytała.

— Jestem kapitan Klementi Władimirowicz Watutin z milicji. Czy zechcecie pójść ze mną? — Śledczy patrzył na nią uważnie, lecz nie dostrzegł żadnej reakcji.

— A to po co? — zapytała.

— Niewykluczone, że możecie nam pomóc w zidentyfikowaniu pewnej osoby. Tutaj nie mogę powiedzieć nic więcej — powiedział przepaszająco.

— Czy to długo potrwa?

— Kilka godzin. Potem odwiozą was do domu.

— Dobrze. Nie mam w tej chwili nic pilnego do roboty.

Wstała bez słowa, a sposób, w jaki spojrzała na Watutina, zdradzał pewne poczucie wyższości. Milicja moskiewska nie cieszyła się zbytnim szacunkiem mieszkańców, zaś stopień zaledwie kapitana w jego wieku wystarczająco wiele mówił o karierze zawodowej tego funkcjonariusza. Po krótkiej chwili była już w płaszczu, wzięła jakieś zawiniątko pod pachę i wyszli z budynku. Przynajmniej kulturowy ten kapitan — pomyślała, gdy otwierał przed nią drzwi. Swietłana wywnioskowała też, że kapitan Watutin wie, kim ona jest, a ściśle mówiąc, kim jest jej ojciec.

Czekający na nich samochód ruszył natychmiast. Dziwiła ją trasa, dopiero jednak kiedy przejechali przez plac Chochłowski, nabrała pewności.

— Nie jedziemy do Ministerstwa Sprawiedliwości? — zapytała.

— Nie, jedziemy na Lefortowo — rzucił niedbale Watutin.

— Ale...

— Nie chciałem was denerwować w biurze. Tak naprawdę jestem pułkownik Watutin z Zarządu Drugiego.

Waniejewa drgnęła, lecz błyskawicznie się opanowała:

— W czym to mam wam pomóc?

Jest dobra — zauważył Watutin. To dopiero będzie przeciwnik. Pułkownik był lojalny wobec partii, ale niekoniecznie wobec jej funkcjonariuszy. Nienawidził korupcji niemal tak samo jak zdrady.

— Taka mała sprawa, bez wątpienia wróćcie na obiad do domu.

— Moja córka...

— Odbierze ją jeden z moich ludzi. Jeżeli sprawy trochę się przeciągną, wasz ojciec nie zmartwi się, kiedy ją zobaczy, prawda?

Uśmiechnęła się:

— Nie. Ojciec uwielbia ją rozpuszczać.

— Chyba jednak nie zajmie to aż tyle czasu — powiedział Watutin, wyglądając przez okno. Samochód wjechał przez bramę na teren więzienia. Pułkownik pomógł jej wysiąść z samochodu, a sierżant otworzył przed nimi drzwi wejściowe. Daj im nadzieję, a potem ją odbierz. Delikatnie ujął ją pod ramię. — Moje biuro jest tam. O ile wiem, często wyjeżdżacie na Zachód.

— To część mojej pracy. — Miała się teraz na baczności, ale nie bardziej niż każdy, kto tu trafił.

— Tak, wiem. Wasza sekcja zajmuje się tekstyliami. — Watutin otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do środka.

— To ona! — zawołał jakiś głos.

Swietłana Waniejewa stanęła jak wryta, Watutin ponownie ujął ją za ramię i podprowadził do krzesła:

— Proszę usiąść.

— O co chodzi! — krzyknęła, wreszcie naprawdę zaniepokojona.

— Ten człowiek został ujęty w czasie przenoszenia kopii tajnych dokumentów państwowych. Zznał, że dostał je od was — powiedział Watutin, siadając za biurkiem.

Waniejewa obróciła się i spojrzała na łącznika.

— Nigdy w życiu nie widziałam tej twarzy! Nigdy!

— Tak, wiem o tym — powiedział oschle Watutin.

— Co... — nie mogła znaleźć właściwych słów — ależ to bzdura!

— Dobrze was wyszkolono. Nasz przyjaciel mówi, że sygnałem do przekazania mu materiału było przejechanie ręką po waszym tyłku.

Obróciła się w stronę swego oskarżyciela.

— Gównojad! Takie zero powiedziało coś takiego! To... — przez moment bezsilnie bełkotała — ... to bezwartościowe nic. Brednie!

— A więc zaprzeczacie oskarżeniu? — zapytał Watutin. Złamanie jej będzie prawdziwą przyjemnością.

— Oczywiście! Jestem lojalną obywatelką radziecką, jestem członkiem partii. Mój ojciec...

— Wiem, kim jest wasz ojciec.

— Dowie się o tym, pułkowniku Watutin, a jeżeli chcecie mnie zastraszyć...

— Nie straszmy was, towarzyszko Waniejewa, prosimy tylko o informację. Dlaczego towarzyszka jechała wczoraj metrem? Wiem, że macie samochód.

— Często jeżdżę metrem. To łatwiejsze niż jazda samochodem, a poza tym musiałam po drodze coś załatwić. — Podniosła swój pakunek z podłogi. — Proszę, zostawiłam płaszcz w pralni. Bardzo niewygodnie jest tam parkować, wejść do środka, a potem wyjechać. Dlatego pojechałam metrem. To samo dzisiaj, kiedy go stamtąd zabierałam. Możecie sprawdzić w pralni.

— I nie przekazałyście tego przedmiotu naszemu przyjacielowi? — Watutin podniósł kasetę fotograficzną.

— Nawet nie wiem, co to jest.

— Oczywiście, oczywiście — pokiwał głową Watutin. — No, cóż... — Nacisnął

przycisk interkomu. W chwilę później otworzyły się drzwi boczne i weszło trzech ludzi. Watutin machnął w kierunku Swietłany. — Przygotujcie ją.

Zareagowała nie tyle strachem, co niedowierzaniem. Próbowwała poderwać się z krzesła, ale dwóch mężczyzn chwyciło ją za ręce i przytrzymało na miejscu. Trzeci podwinął rękaw sukienki i wbił igłę w ramię, zanim zdążyła krzyknąć.

— Nie wolno wam — powiedziała — nie możecie...

— Właśnie, że możemy — odparł Watutin. — Ile to potrwa?

— Działa przez co najmniej dwie godziny — odpowiedział lekarz. Wraz z dwoma pomocnikami

dźwignął Swietlanę z krzesła. Watutin obszedł biurko i podniósł jej pakunek. —

Będziecie się mogli nią zająć, gdy skończę badanie. Nie przewiduję żadnych kłopotów, w jej karcie zdrowia nie widać żadnych przeciwwskazań.

— Świetnie. Tylko coś zjem i zaraz do was schodzę. — Machnął ręką w kierunku drugiego więźnia.
— Zabrać go. Już z nim skończyliśmy.

— Towarzyszu, ja... — zaczął łącznik.

— Nigdy więcej nie waż się używać tego słowa — przerwał mu Watutin. Zdanie zabrzmiało tym groźniej, że wypowiedziano je łagodnie.

Pułkownik Bondarienko zajmował się teraz w ministerstwie sprawami broni laserowej.

Była to decyzja ministra obrony Jazowa, oczywiście z zalecenia pułkownika Filitowa.

— A więc, pułkowniku, co tam macie? — zapytał Jazów.

— Nasi koledzy z KGB dostarczyli częściowe plany amerykańskiego zwierciadła z optyką adaptacyjną — powiedział Bondarienko, podając dwa egzemplarze wykresów.

— Nie możemy zrobić tego sami? — zapytał Filitow.

— W gruncie rzeczy jest to dość pomysłowe rozwiązanie, a według meldunku, są na etapie przygotowywania modelu jeszcze doskonalszego. Cała sprawa polega na tym, że nie będzie już trzeba tak wielu siłowników.

— Co to takiego? — spytał Jazow.

— Siłowniki to urządzenia, które zmieniają profil zwierciadła. Zmniejszenie liczby siłowników oznacza zmniejszenie wymagań wobec systemu komputerowego sterującego zestawem zwierciadeł. To tutaj wymaga sterowania szczególnie sprawnym komputerem, którego u nas nie potrafimy jeszcze skonstruować. Przewiduje się, że nowe zwierciadło będzie wykorzystywać zaledwie jedną czwartą mocy obliczeniowej komputera. To pozwoli na mniejszy komputer i krótszy program sterujący. — Bondarienko pochylił się. — Towarzyszu ministrze, jednym z głównych problemów, jak wskazałem w raporcie, jest system komputerowy JASNEJ

GWIAZDY. Nawet gdybyśmy byli w stanie wyprodukować zwierciadło takie jak to, nie mamy na razie sprzętu i oprogramowania, żeby go najefektywniej wykorzystać. Myślę, że byłoby inaczej, gdybyśmy mieli to najnowsze zwierciadło.

— Ale nie mamy jeszcze jego planów? — zapytał Jazow.

— Niestety. KGB już nad tym pracuje.

— Nie możemy nawet skopiować tych „słowników” — zrzędził Filitow. — Mamy dane i rysunki od kilku miesięcy, a wciąż żaden dyrektor fabryki nie dostarczył nam...

— Potrzebny jest czas i fundusze — powiedział z naganą Bondarienko. Powoli uczył się, jak wypowiadać się z pewnością siebie w tak szczególnym gronie.

— Fundusze — mruknął Jazow — ciągle fundusze. Możemy zbudować świetny czołg, ale potrzebne odpowiednie fundusze. Możemy doścignąć Zachód pod względem broni podwodnej, potrzebne jedynie odpowiednie fundusze. Każdy ukochany projekt każdego uczonego w Związku Radzieckim przyniesie nam w efekcie broń idealną, jeżeli tylko zapewnimy odpowiednie fundusze. Niestety, dla wszystkich nie wystarczy. — I pomyślał: Jest coś, dzięki czemu dorównujemy Zachodowi.

— Towarzyszu ministrze — powiedział Bondarienko — od dwudziestu lat jestem zawodowym wojskowym. Służyłem w sztabach batalionów i dywizji, brałem też bezpośredni udział w walce. Zawsze służyłem Armii Czerwonej, i tylko Armii Czerwonej. JASNA GWIAZDA należy do innego rodzaju wojsk. Mimo to chcę powiedzieć, że jeżeli będzie to konieczne, powinniśmy zmniejszyć nakłady na produkcję czołgów, samolotów czy okrętów, byle tylko doprowadzić do ukończenia tego przedsięwzięcia. Mamy dość broni konwencjonalnej, żeby powstrzymać każdy atak NATO, nie mamy jednak takiej, która powstrzymałaby zachodnie rakiety przed obróceniem naszego kraju w perzynę. — Tu się zmytygował. — Proszę wybaczyć mi tak dobitne wyrażenie własnego zdania.

— Płacimy wam za myślenie — powiedział Filitow. — Towarzyszu ministrze, zgadzam się z poglądami tego młodego człowieka.

— Michaile Siemionowiczu, dlaczego mam wrażenie, że moi pułkownicy szykują pałacowy zamach stanu? — Jazow uśmiechnął się, co było u niego rzadkością, i zwrócił się do młodszego pułkownika. — Spodziewałem się po was, Bondarienko, że tu, w tych ścianach powiecie, co sądzicie. A jeżeli udało się wam przekonać tego starego pancerniaka, że to wasze science fiction jest warte realizacji, będę się musiał nad tym zastanowić. Twierdzicie więc, że powinniśmy dać temu przedsięwzięciu szczególnie priorytet?

— Towarzyszu ministrze, należy to rozważyć. Nadal potrzebne są pewne badania podstawowe, i według mnie nakłady na nie trzeba by znacznie zwiększyć. — Bondarienko nie wypowiedział się na temat decyzji, o której mówił Jazow. To sprawa polityki, do której zwykły pułkownik nie powinien się mieszać. Kardynałowi przyszło na myśl, że jednak nie doceniał tego młodego, inteligentnego oficera.

— Tętno rośnie — powiedział lekarz prawie trzy godziny później. — Czas start.

Pacjentka świadoma. — Szpule magnetofonu rejestrowały jego słowa.

Nie wiedziała, w którym momencie kończy się sen, a zaczyna jawa. Dla większości ludzi linia

podziału jest zamazana, szczególnie, gdy brak dzwonka budzika lub pierwszych promieni słońca. Do Swietłany sygnały takie nie dochodziły. Jej pierwszym uświadomionym odczuciem była dezorientacja. Gdzie jestem? — pytała przez kwadrans samą siebie. Efekt działania barbituranów powoli zanikał, ale nic nie zastępowało wygodnego odprężenia tego snu bez marzeń. Czy teraz... płynęła?

Próbowała się poruszyć, lecz... nie mogła? Spoczywała wygodnie, każdy centymetr kwadratowy jej ciała był równomiernie podtrzymywany, tak że żaden mięsień nie był napięty czy naciągnięty. Nigdy nie zaznała tak wspaniałego odprężenia. Gdzie jestem?

Nic nie widziała — nie, to też nie było prawdą. Nie całkiem czarno, ale... szaro... jakby nocna chmura, odbijająca miejskie światła Moskwy, bezkształtna, choć mająca swoją strukturę.

Nic nie słyszała, ani szumu ulicy, ani dźwięków lejącej się wody, czy zatraskiwanych drzwi...

Obróciła głowę, ale widok się nie zmienił: szara nicość, jakby wewnątrz chmury, lub kłęb waty, czy...

Wciągnęła powietrze. Nie miało żadnego zapachu, żadnego smaku, nie było ani wilgotne, ani suche, nawet temperatury nie mogła wyczuć. Próbowała coś powiedzieć... ku swemu zdumieniu nie usłyszała jednak żadnego dźwięku. Gdzie jestem!

Swietłana zaczęła dokładniej badać otaczający ją świat. To eksperymentowanie zajęło jej jakieś pół godziny. Panowała nad emocjami, nakazywała sobie zachowanie spokoju, odprężenie się. To chyba sen. To musi być sen. Nic złego nie może się jej przydarzyć, nie jej. Prawdziwy strach jeszcze nie nadszedł, ale już czuła, że się zbliża. Zebrała się w sobie, by go powstrzymać.

Zbadać otoczenie. Obróciła oczy w prawo, potem w lewo. Światła było tylko tyle, że nie znajdowała się w całkowitej ciemności. Ręce były na swoim miejscu, lecz wydawały się odległe od ciała. Nie mogła przyciągnąć ich ku sobie, mimo że próbowała, jak się jej wydawało przez wiele godzin. Podobnie z nogami. Próbowała zacisnąć prawą dłoń w pięść... nie zdołała jednak nawet zmusić palców, by się zetknęły.

Oddychała coraz szybciej. Tylko tyle mogła. Czuła jak powietrze wchodzi i wychodzi, czuła ruchy klatki piersiowej — ale nic ponad to. Zamknięcie oczu to przejście z nicości szarej do nicości czarnej, i to wszystko. Gdzie ja jestem!

Ruch — powiedziała sobie. — Więcej ruchu. Obróciła się, szukając oporu, czegoś wyczuwalnego poza swoim ciałem. Ale nic nie poczuła oprócz tego samego powolnego, płynnego oporu. Niezależnie od tego, w którą stronę się odwróciła, wrażenie unoszenia się było jednakie. Nieważne czy przyciąganie działało na nią z góry czy z dołu, z lewa czy z prawa.

Zawsze było takie samo. Krzyknęła najgłośniej jak mogła, by po prostu usłyszeć coś prawdziwego, bliskiego, by upewnić się, że istnieje sama dla siebie. Usłyszała jedynie odległe, zamierające echo jakiegoś obcego głosu.

Dopiero teraz ogarnęła ją panika.

— Czas: dwanaście minut... piętnaście sekund — powiedział do mikrofonu lekarz. Jego stanowisko kontrolne znajdowało się pięć metrów nad zbiornikiem. — Tętno rośnie, osiągnęło sto czterdzieści, oddech czterdzieści dwa, napad ostrej reakcji lękowej. — Spojrzał na Watutina.

— To szybciej niż zazwyczaj. Im inteligentniejszy dany osobnik...

— ...tym większą wykazuje potrzebę impulsu sensorycznego — burknął Watutin. Czytał

materiały na temat tej metody, ale odnosił się do niej sceptycznie. To nowość, wymagająca pomocy specjalistycznej, bez której jak dotąd świetnie sobie radził.

— Tętno osiągnęło chyba maksimum, sto siedemdziesiąt siedem. Większych zakłóceń brak.

— W jaki sposób wytlumiacie jej mowę? — zapytał Watutin lekarza.

— To coś nowego. Używamy elektronicznego urządzenia, które odtwarza jej głos w odwróconej fazie, a przez to prawie całkowicie go neutralizuje. Jakby krzyczała w próżni.

Udoskonalenie aparatury zajęło dwa lata.

— Uśmiechnął się. Podobnie jak Watutin, lubił swoją pracę. Teraz miał szansę wykazania w praktyce działania czegoś, na co poświęcił lata pracy, by zastąpić dotychczasowe metody działania policji czymś nowym, lepszym, czymś, co firmował własnym nazwiskiem.

Swietłana znajdowała się na krawędzi hiperwentylacji i lekarz zmienił skład podawanej mieszanki powietrza. Musiał dokładnie obserwować oznaki jej procesów życiowych. Ta technika przesłuchiwania nie zostawiała na ciele żadnych śladów, żadnych blizn, żadnych dowodów torturowania — w gruncie rzeczy nie była to w ogóle forma tortury. Przynajmniej nie fizycznej.

Jedyną wadą takiej deprivacji sensorycznej było to, że przerażenie, jakie wzbudzała w badanym, mogło wywołać częstoskurcz serca, co z kolei mogło doprowadzić do śmierci.

— Już lepiej — powiedział patrząc na odczyt ekg. — Tętno ustabilizowało się na stu trzydziestu ośmiu, równy, chociaż przyspieszony rytm zatokowy. Badana jest pobudzona, lecz stabilna.

Strach nie pomagał. Chociaż umysł Swietłany nadal szalał, jej organizm zaczął dążyć do przywrócenia stanu równowagi. Walczyła o odzyskanie panowania nad sobą i znowu poczuła, że jest dziwnie spokojna.

Żyję czy umarłam? Starła się dotrzeć do swych wspomnień, wrażeń, na nic się jednak nie natknęła... ale...

Jakiś odgłos.

Bum-bang, bum-bam, bum... — co to takiego?

Serce, oczywiście.

Oczy miała wciąż otwarte, a wzrok przebiegał pustkę w poszukiwaniu czegokolwiek. Coś tam było, gdyby tylko udało jej się to odnaleźć. Umysł jej poszukiwał jakiegoś sposobu: muszę się do tego dostać, muszę to uchwycić.

Była jednak uwięziona w czymś, czego nie umiała nawet opisać. Znowu zaczęła się ruszać. Niczego nie mogła złapać, niczego dotknąć. Wszystko było płynne.

Dopiero teraz zaczęła rozumieć swą samotność. Jej zmysły domagały się wrażeń, bodźców, czegokolwiek! Ośrodki sensoryczne mózgu szukały dla siebie pokarmu, lecz znajdowały tylko pustkę.

A jeżeli jestem martwa? — zadała sobie pytanie.

Czy takie są odczucia, gdy się jest martwym... Nicość?... Potem kolejna niespokojna myśl:

Czy to piekło?

Coś tu jednak było. Ten dźwięk. Skupiła się na nim, ale im bardziej starała się go usłyszeć, tym trudniej jej to przychodziło. Jakby próbowała złapać kłęb dymu, który był gdzieś tam, gdzie dłoń nie sięgała — lecz musiała to pochwycić!

Próbowała więc. Szczelnie zamknęła powieki i skoncentrowała całą wolę na rytmicznym odgłosie pracy ludzkiego serca. Osiągnęła tylko tyle, że dźwięk ten umknął jej zmysłom. Zanikł

tak, że słyszała go już tylko w swojej wyobraźni, a i ta się wkrótce znużyła.

Jęknęła, lub przynajmniej tak jej się wydawało. Prawie nic nie usłyszała. Jak to możliwe, by nie słyszała samej siebie?

Czy jestem martwa? To naglące pytanie wymagało odpowiedzi, ale odpowiedź mogła być zbyt straszna, by o niej myśleć. Musiało być coś... lecz czy się odważy? Tak!

Świetlana Waniejewa ugryzła się w język tak mocno, jak tylko mogła. Poczowała słonawy smak krwi.

Żyję! — odpowiedziała sobie. Upajała się tą świadomością przez bardzo długi, jak się jej wydawało, czas. Nawet jednak najdłuższy czas kiedyś się kończy: Ale gdzie jestem? czy zostałam pogrzebana... żywcem? **POGRZEBANA ŻYWCEM!**

— Tętno znowu rośnie. Chyba nawrót napadu lękowego — powiedział lekarz do magnetofonu. To niedobrze, pomyślał. Asystował przy przygotowywaniu pacjentki. Bardzo atrakcyjna kobieta: na gładkim brzuchu znać było tylko nieliczne rozstępy poporodowe.

Natłuściwszy jej skórę ubrano ją w specjalny skafander wykonany z najwyższej jakości gumy, tak delikatnej, że ledwie wyczuwalnej w stanie suchym. Ciecz w zbiorniku to woda o specjalnym składzie — duża zawartość soli powodowała, że ciało unosiło się w niej bezwładnie. Wskutek wykonywanych ruchów Swietłana przekręcała się twarzą w dół, wcale tego nie czując. Jedynym niebezpieczeństwem była możliwość splątania przewodów powietrznych, ale nad tym czuwało dwóch płetwonurków, którzy jednocześnie pilnowali się by jej nie dotknąć i nie pozwalali, by dotknęły jej przewody. To właśnie nurkowie mieli najtrudniejsze zadanie.

Spojrzenie, jakie lekarz posłał pułkownikowi Watutinowi, wyrażało zadowolenie z siebie.

Ta najtajniejsza część bloku przesłuchań w Lefortowie pochłonęła lata pracy. Basen szerokości dziesięciu metrów i głębokości pięciu, specjalnie zasolona woda, skafandry wykonane na zamówienie, kilkanaście osobolat eksperymentowania potwierdzającego prace teoretyczne — to wszystko stworzyło technikę przesłuchań o niebo przewyższającą przestarzałe metody używane przez KGB od czasów rewolucji. Poza jednym przypadkiem śmiertelnym: badany doznał zawału na tle lękowym... Dane pomiarów znowu się zmieniły.

— Proszę bardzo. Wygląda na to, że osiągnęliśmy etap drugi. Czas: jedna godzina sześć minut. — Lekarz obrócił się do Watutina. — Jest to zazwyczaj długa faza. Ciekawe, ile będzie trwała w tym przypadku.

Watutin spojrzał na niego jak na dziecko grające w wymyślną, okrutną grę. Jakkolwiek bardzo mu zależało, żeby wyciągnąć z badanej wszystko co wie, jakaś część jego świadomości była jednak przerażona tym, na co patrzył. Zastanawiał się, czy wynikało to z obawy, że pewnego dnia będą chcieli wypróbować to na nim...

Swietłana opadła z sił. Drzenie wywołane wielogodzinnym strachem wycieńczyło jej ciało. Oddech stał się teraz krótki, jak u kobiety na chwilę przed porodem. Nawet ciało ją opuściło, a umysł próbował wyrwać się z zamknięcia i sam prowadzić poszukiwania. Jej świadomość miała wrażenie, że oddzieliła się od tego zbędnego worka mięsa — samotna i wolna.

Tylko że owa wolność była nie mniejszym przekleństwem niż to, co przeszła do tej pory.

Mogła teraz poruszać się swobodnie, widziała przestrzeń dookoła siebie, lecz była ona pusta. Poruszała się jakby płynąc czy lecąc w przestrzeni trójwymiarowej, której granic nie potrafiła dostrzec. Czuła, że nogi i ręce poruszają się bez wysiłku, ale gdy chciała je zobaczyć, okazywało się, że znajdują się poza jej polem widzenia. Czuła ich ruchy, ale... nie było ich w miejscu, w którym być powinny. Część umysłu, zachowująca jeszcze rozsądek, mówiła, że wszystko to jest złudzeniem, że płynie ku swej zagładzie — lecz chyba lepsze to niż samotność?

Wysiłek ten trwał całą wieczność. A przecież jej niewidzialne kończyny nie czuły zmęczenia. Swietłana odsunęła od siebie złe przecucia i rozkoszowała się wolnością, tym, że może widzieć

przestrzeń wokół siebie. Zwiększyła tempo. Wydawało się jej, że przestrzeń przed nią jest jaśniejsza niż za nią. Jeżeli jest tam jakieś światło, to je odnajdzie, a światło wszystko zmieni. Gdzieś w niej odżyła radość pływania z lat dziecięcych, coś czego nie robiła od lat... od lat chyba piętnastu? Była mistrzynią szkoły w nurkowaniu, mogła wstrzymać oddech o wiele dłużej niż inni. Te wspomnienia przywróciły jej młodość — była znowu młoda, energiczna, ładniejsza i lepiej ubrana od innych. Na jej twarzy pojawił się anielski uśmiech, lekceważący ostrzeżenia wysyłane przez resztki zdrowego rozsądku. Miała wrażenie, że płynie tak całymi dniami, tygodniami, wciąż ku tej światłości przed sobą. Trzeba było dalszych takich dni, by spostrzegła, że przestrzeń wcale się nie rozjaśnia, ale zignorowała to ostatnie ostrzeżenie swej świadomości. Płynęła szybciej i po raz pierwszy poczuła zmęczenie. Swietlana Waniejewa także i na to nie zwracała uwagi. Musiała wykorzystać swą wolność. Musiała odkryć, gdzie się znajduje, a jeszcze lepiej — znaleźć wyjście z tego okropnego miejsca.

Jej świadomość znowu się poruszyła, oddaliła od ciała, a gdy osiągnęła dostateczną wysokość, spojrzała w dół, na odległą, pływającą postać. Nawet z tak dużej wysokości nie dostrzegła brzegów tego szerokiego, bezkształtnego światła, ale widziała w dole małą figurę, samotnie pływającą w pustce, poruszającą widmowymi kończynami w daremnym rytmie...

dążącą do nikąd.

Krzyk, jaki rozległ się z głośnika na ścianie, o mało nie poderwał Watutina na równe nogi. Być może Niemcy słyszeli podobne krzyki swych ofiar w obozach śmierci, kiedy po zamknięciu drzwi komór sypano z góry kryształki cyklonu. Lecz to było gorsze. Watutin widział

egzekucje, widział też tortury. Słyszał krzyki bólu, wściekłości i rozpacz, ale nigdy nie słyszał

krzyku duszy skazanej na coś gorszego niż piekło.

— Teraz... teraz powinien się zacząć etap trzeci.

— Co takiego?

— Człowiek — zaczął wyjaśniać lekarz — jest zwierzęciem społecznym. Nasze jestestwo i nasze zmysły są nastawione na zbieranie informacji, które pozwalają nam reagować zarówno na otaczającą nas przyrodę, jak i na ludzi. Jeżeli usuniemy towarzystwo ludzi, jeżeli odetniemy wszystkie bodźce zmysłowe, umysł pozostanie całkowicie samotny, sam na sam ze sobą. Istnieją obszerne dane ilustrujące taki stan. Na przykład, ci idioci na Zachodzie, samotnie żeglujący dookoła świata. Bardzo wielu z nich wariuje, wielu znika — prawdopodobnie popełniają samobójstwo. Nawet tym, którzy to wytrzymują, którzy codziennie korzystają z radia, potrzebni są często lekarze, by ich pilnować, by ostrzegać przed psychicznymi niebezpieczeństwami takiej samotności. A przecież widzą oni wodę, widzą swoją łódź, czują ruchy fal. Gdyby ich tego wszystkiego pozbawić... — Lekarz pokręcił głową. — Przetrwaliby może trzy dni. Tymczasem my tutaj pozbawiamy wszystkiego.

— Ile najdłużej wytrzymało w zbiorniku?

— Osiemnaście godzin. To był ochotnik, młody oficer operacyjny z Zarządu Pierwszego.

Jedynе zastrzeżenie: badany nie może wiedzieć, co się z nim dzieje. Taka wiedza wpływa na wyniki. Oczywiście koniec końców też się załamują, ale nie tak całkowicie.

Watutin odetchnął. Była to pierwsza dobra wiadomość, którą tu usłyszał. — A z nią ile to jeszcze potrwa?

Lekarz rzucił okiem na zegarek i uśmiechnął się. Watutin miałby ochotę go znieawidzieć, ale zdawał sobie sprawę, że ten medyk robił po prostu to, co on sam robił od lat, tylko szybciej i bez widocznych śladów, które byłyby kłopotliwe dla organów państwowych w przypadku jawnego procesu, na który musi się teraz godzić KGB. Był to dodatkowy zysk, którego nawet doktor nie przewidywał rozpoczynając swoje badania...

— Więc na czym polega ten trzeci etap?

Jaźn Swietłany zobaczyła, że ktoś pływa wokół jej ciała. Próbowwała go zaalarmować, ale oznaczałoby to konieczność powrotu do jego wnętrza, a tego nie chciała. Były to jakieś kształty, niczym drapieźniki przemieszczające się tam i z powrotem w przestrzeni dookoła jej ciała. Jeden z nich zbliżył się, ale zaraz zawrócił. Później znowu się zbliżył. Gdy tylko nakazała kończynom płynąć szybciej, to coś podpłynęło z tyłu. Otwarte szczęki otoczyły jej ciało i powoli się zamknęły. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyła, było światło, ku któremu przedtem płynęła. Światło, którego — teraz już wiedziała — nigdy tam nie było. Zdawała sobie sprawę, że protest jest daremny, lecz mimo to buchnął z jej gardła.

— Nieee!

Swego głosu oczywiście nie słyszała. Skazana wróciła w swoje bezużyteczne ciało, wróciła do tej szarości na wprost jej oczu, i do kończyn, które mogły się tylko poruszać bez celu.

W jakiś sposób rozumiała, że jej wyobraźnia, która dotąd starała się ją uchronić, wyzwolić, poniosła całkowitą klęskę. Nie potrafiła jednak wyobraźni wyłączyć, a ta obecnie działała niszczycielsko. Swietłana płakała bezdźwięcznie. Strach, który odczuwała, był gorszy od zwykłej paniki. Panika to przynajmniej ucieczka, odrzucenie tego, co ją spotkało, wycofanie się w głąb własnego „Ja” — ale tego „Ja” już nie było, nie mogła go znaleźć. Widziała, jak umierało, była przy tym. Nie miała teraźniejszości i z pewnością nie miała przyszłości. Miała jedynie przeszłość, wyobraźnia zaś wybierała z niej najgorsze wspomnienia...

— No to jesteśmy w stadium końcowym — powiedział lekarz. Podniósł słuchawkę telefonu i zamówił dzbanek herbaty. — Poszło łatwiej niż przypuszczałem. Nie sądziłem, że aż tak dobrze pasuje do charakterystyki.

— Ale jeszcze nic nam nie powiedziała — zaoponował Watutin.

— Powie, powie.

Patrzyła na wszystkie grzechy swojego życia. Dzięki temu rozumiała, co się dzieje. To było piekło,

którego istnieniu zaprzeczały władze, piekło, którym ją teraz karano. Nie mogło być inaczej. Nie mogło to być nic innego. A ona pomagała. Musiała. Musiała zobaczyć to wszystko jeszcze raz i zrozumieć, co zrobiła. Musiała brać udział w procesie toczącym się wewnątrz jej umysłu. Nie przestawała szlochać. Łzy leciały całymi dniami, gdy obserwowała siebie robiącą coś, czego nigdy robić nie powinna. Każde wykroczenie w życiu odgrywało się przed jej oczami z najdrobniejszymi szczegółami. Szczególnie te z ostatnich dwóch lat... W jakiś sposób wiedziała, że to one właśnie doprowadziły ją tutaj. Swietłana oglądała ponownie wszystko, co wiązało się ze zdradą Ojczyzny. Pierwsze nieśmiałe flirty w Londynie, potajemne spotkania z poważnymi mężczyznami, ostrzeżenia, by nie była lekkomyślna, a potem przejścia przez kontrole celne, gdzie wykorzystywała swą pozycję, by jej nie sprawdzano. Brała udział w tej grze i dobrze się bawiła, a jednocześnie popełniała najohydniejsze przestępstwa. Jęki Swietłany przybrały teraz formę bardziej zrozumiałą. Bezwiednie powtarzała w kółko:

— Przepraszam...

— Teraz etap najdelikatniejszy. — Lekarz założył słuchawki na głowę, ustawił kilka przełączników na pulpicie i powiedział cicho do mikrofonu:

— Swietłana...

Z początku nie usłyszała. Dopiero po pewnym czasie zmysły zdołały ją poinformować, że coś stara się zwrócić na siebie jej uwagę.

— Swietłana... — wołał do niej jakiś głos. A może to złudzenie...? Obracała głowę, chcąc to coś zobaczyć.

— Swietłana... — znowu nadbiegł szept. Wstrzymała oddech jak mogła najdłużej, nakazała ciału spokój, lecz ono znowu ją zdradziło. Serce zaczęło galopować, a krew hucząca w uszach zagłuszyła dźwięk — jeżeli w ogóle był jakiś. Wydała z siebie rozpaczliwy jęk. Nie wiedziała, czy sobie wyobraziła ten głos, nie wiedziała, czy będzie po prostu coraz gorzej... czy też może jest jakaś nadzieja?

— Swietłana... — Trochę głośniejszy niż szept, wystarczająco, by usłyszała zabarwienie emocjonalne. Ten głos był tak smutny, tak rozczarowany. — Swietłana, co zrobiłaś?

— Nie, ja nic... — bełkotała. Nadal nie słyszała własnego głosu, jakby wołała z głębi grobu. Odpowiedziała jej cisza, która zdawała się jej trwać godzinę. Krzyknęła:

— Wróć! Proszę, wróć do mnie!

— Swietłana — powtórzył głos — co zrobiłaś?

— Przepraszam... — powiedziała dławiąc się łzami.

— Co zrobiłaś? Powiedz o filmie...

— Tak! — I po chwili powiedziała wszystko.

— Czas: jedenaście godzin czterdzieści jeden minut. Badanie zakończone.

Lekarz wyłączył magnetofon. Potem kilkakrotnie zapalił i zgasił światła w pomieszczeniu ze zbiornikiem. Jeden z pletwonurków pomachał mu ręką i wbił igłę strzykawki w ramię Waniejewej. Gdy jej ciało stało się bezwładne, wyciągnięto ją z wody. Lekarz zszedł ze stanowiska kontrolnego na dół, by ją zobaczyć.

Zanim tam doszedł, zdjęto już z niej skafander i położono ją na wózku. Usiadł obok nieprzytomnej i ujął ją za rękę, gdy laborant wstrzykiwał jej łagodny środek pobudzający. Ładna kobieta — pomyślał doktor, patrząc, jak oddycha coraz głębiej. Gestem nakazał laborantowi wyjść i zostali w pokoju we dwoje.

— Jak się masz, Swietłano — powiedział jak mógł najłagodniej. Niebieskie oczy otworzyły się, zobaczyły światła pod sufitem, a potem ściany. Obróciła głowę ku niemu.

Zdawał sobie sprawę, że ta sytuacja go upaja, ale pracował nad tym przypadkiem całą noc. Prawdopodobnie było to, jak do tej pory, najpełniejsze zastosowanie jego metody. Naga kobieta zeskoczyła z wózka szpitalnego, rzuciła mu się na szyję i niemal zadusiła w uścisku. Nie dlatego że wydał się jej wyjątkowo przystojny — nie, lekarz wiedział, że to dlatego że był istotą ludzką, której chciała dotknąć. Jej ciało nadal było śliskie od oliwki. Płakała, a łzy padały na jego biały fartuch. Po takich przejściach już nigdy nie popełni przestępstwa przeciwko państwu.

Wielka szkoda, że będzie musiała trafić do obozu pracy — pomyślał badając ją. Może będzie mógł coś w tej sprawie zrobić. W dziesięć minut później dostała środek uspokajający i kiedy wychodził, już spała.

— Dałem jej specyfik o nazwie Versed. To nowy zachodni preparat powodujący utratę pamięci.

— Dlaczego właśnie taki? — zapytał Watutin.

— Pozostawiam wam, towarzyszu pułkowniku, jeszcze jedno wyjście. Kiedy obudzi się rano, prawie nic nie będzie pamiętać. Versed działa podobnie do skopolaminy, ale skuteczniej.

Nie będzie pamiętała żadnych szczegółów i bardzo niewiele z tego, co się jej przydarzyło.

Wszystko to wyda się jej strasznym snem. Versed zwiększa także podatność na sugestię. Na przykład, mogę teraz do niej zejść i zasugerować, że nie będzie pamiętała niczego oraz że nigdy już nie wolno jej zdradzić ojczyzny. Prawdopodobieństwo, że nigdy nie wyłamie się spod tych dwu sugestii wynosi z grubsza osiemdziesiąt procent.

— Chyba żartujecie!

— Towarzyszu pułkowniku, jednym z efektów zastosowanej metody jest to, że potępiła siebie bardziej niż kiedykolwiek zdołałyby to zrobić władze. Teraz czuje więcej wyrzutów sumienia za swą działalność niż gdyby stała przed plutonem egzekucyjnym. Z pewnością czytaliście „1984”? W

czasach Orwella mogło to być marzeniem, dziś jednak umiemy tego dokonać za pomocą nowoczesnej techniki. Sztuczka polega na łamaniu człowieka nie od zewnątrz, lecz od wewnątrz.

— Czy to znaczy, że możemy jej użyć...?

Przedsięwzięcia

— Nie wyjdzie z tego. — Ortiz sprowadził lekarza ambasady amerykańskiej, chirurga wojskowego, którego prawdziwym zajęciem było pomaganie w leczeniu rannych Afgańczyków.

Rany Czurkina były zbyt poważne, by jego organizm mógł zwalczyć zapalenie płuc, które rozwinęło się w drodze do Pakistanu. — Prawdopodobnie nie przeżyje następnego dnia. Niestety, to już za daleko poszło. Gdyby tu był o dzień wcześniej, może byśmy go uratowali, ale teraz...

— Lekarz pokręcił głową. — Sprowadziłbym mu duchownego, choć to chyba strata czasu.

— Czy może mówić?

— Niewiele. Może pan spróbować. Już nic mu bardziej nie zaszkodzi. Będzie przytomny jeszcze przez kilka godzin, a później powoli zgaśnie.

— Dziękuję, że starał się pan pomóc, doktorze — powiedział Ortiz. Odetchnął głęboko, niemal z ulgą, ale zaraz się tego zawstydził. Cóż by zrobili z żywym Rosjaninem? Oddać go?

Zatrzymać? Wymienić na którego z naszych? — zadawał sobie coraz to nowe pytania. Ciekaw był, dlaczego w ogóle Łuczniczka ściągnął go tutaj. No, ale stało się — powiedział do siebie i wszedł do pokoju.

Wyszedł stamtąd dwie godziny później i pojechał wprost do ambasady. Zamówił w kantine piwo, napisał raport do Langley, a potem przez następne pięć godzin, siedząc samotnie przy stoliku w rogu, który opuszczał jedynie po to, by ponownie napełnić szklanę, ponuro i doszczętnie się upił.

Ed Foley nie mógł pozwolić sobie na taki luksus. Trzy dni temu zniknął jeden z łączników. Inna łączniczka wyszła z budynku Gosplanu i wróciła po dwóch dniach. Dziś rano zaś jego człowiek z pralni nie przyszedł do pracy z powodu choroby. Foley przekazał już ostrzeżenie chłopakowi w łaźni, ale nie wiedział, czy do niego dotarło. To nie było już zwykłe zakłócenie w siatce Kardynała, to była katastrofa. Pomysł użycia Swietłany Waniejewej opierał się na założeniu, że KGB nie waży się zastosować wobec niej silniejszych środków nacisku, a wynikająca z tego kilkudniowa zwłoka pozwoli Foleyowi na wycofanie pozostałych. Otrzymał

już polecenie ostrzeżenia Kardynała, ale jeszcze go nie powiadomił. Nie było sensu go straszyć, dopóki wszystko nie będzie gotowe. Potem pułkownik Filitow po prostu zgłosił chęć odwiedzenia

sztabu Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, jak to ma w zwyczaju czynić co jakieś pół roku, i zostanie wywieziony z kraju.

Jeżeli uda się to zrobić — zastrzegł się w myśli Foley. Dotąd, o ile wiedział, próbowano czegoś takiego dwa razy i to z powodzeniem... ale czy można być pewnym? Niewątpliwie.

Najwyższy czas zbierać się stąd. Oboje z żoną potrzebują wypoczynku, oderwania się od tego wszystkiego. Ich następnym miejscem pracy miała być „Farma” nad rzeką York, gdzie szkoliliby nowych. Ta perspektywa nie pomagała mu jednak w rozwiązaniu bieżących problemów.

Zastanawiał się, czy nie powinien mimo wszystko ostrzec Kardynała, zalecić, by był

ostrożniejszy — ale wtedy tamten może zniszczyć dane, których domagało się Langley. Dane miały największe znaczenie. Taka była zasada, którą Filitow znał i rozumiał, pewnie równie dobrze jak Foley. Z drugiej strony szpiegzy to chyba coś więcej niż dostawcy informacji?

Od pracowników operacyjnych, takich jak Foley i jego żona, oczekiwano, że będą traktować agentów jako źródła wartościowe, lecz przeznaczone na stratę, dystansować się od nich, obchodzić się z nimi uprzejmie, kiedy to możliwe, w razie potrzeby jednak bezwzględnie.

Czyli traktować ich jak dzieci, z mieszaniną pobłażliwości i dyscypliny. Tylko, że to nie są dzieci. Kardynał jest starszy od ojca Foleya i był już agentem, kiedy on sam chodził do drugiej klasy podstawówki! Czy teraz może okazać nielojalność wobec Filitowa? Oczywiście, że nie.

Musi go chronić.

Ale jak?

Działania kontrwywiadu często nie wykraczają poza zwykłą robotę milicji, dlatego też pułkownik Watutin znał się na zasadach prowadzenia śledztwa równie dobrze, jak najlepsi specjaliści milicji moskiewskiej. Swietlana wydała im kierownika pralni chemicznej, którego po dwóch dniach wrywkowej obserwacji nakazał przywieźć na przesłuchanie. Tym razem obyło się bez zbiornika. Pułkownik nadal nie dowierzał tej technice, a poza tym nie było potrzeby łagodnego traktowania. Denerwowało Watutina to, że Waniejewej pozwolono pozostać na wolności — wolna, mimo że pracowała dla wrogów państwa! Ktoś chciał ją wykorzystać jako element przetargowy do takich czy innych rozgrywek z Komitetem Centralnym, ale to już pułkownika nie obchodziło. Od faceta z pralni wyciągnął już opis kolejnego członka w tym łańcuchu bez końca.

Najbardziej drażniła Watutina myśl, że chyba zna tego chłopaka! Ten z pralni wkrótce po aresztowaniu powiedział, że według niego chłopak pracuje w łaźni, a opis pasował do łaźniowego, z którym sam kiedyś rozmawiał! Do wściekłości, która niezupełnie przystoi zawodowcowi, doprowadzało pułkownika to, że w zeszłym tygodniu natknął się na zdrajcę i nie rozpoznał, że...

Jak się nazywał ten pułkownik? — zadał sobie nagle pytanie. Ten, który się potknął?

Filitow... Misza Filitow? Osobisty doradca ministra obrony Jazowa?

Ależ musiałem mieć kaca, że go wtedy nie skojarzyłem! Filitow-stalingradczyk, czołgista, który rozwał Niemców siedząc w płonącym czołgu. Michaił Filitow, trzykrotny Bohater Związku Radzieckiego. To na pewno ten sam. Czyżby był...

Niemożliwe — odpowiedział sobie Watutin.

Nie ma jednak rzeczy niemożliwych. Tego był pewien. Skupił się i zaczął chłodno rozważać wszystkie możliwości. Dobrą stroną jego firmy było to, że każdy, kto cokolwiek znaczył w Związku Radzieckim, miał swoją teczkę w gmachu na placu Dzierżyńskiego 2.

Ściągnięcie akt Filitowa nie sprawiło żadnej trudności.

Jak przekonał się kwadrans później, teczka była gruba. Watutin zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy niewiele wie o tym człowieku. W wypadku bohaterów wojennych, czyny dokonane w przeciągu kilku minut walki, często rzutują potem na całe życie. Ale żadne życie nie jest aż takie proste. Pułkownik zaczął uważnie czytać papiery w teczce.

Tylko nieliczne z nich dotyczyły dokonań Filitowa w czasie wojny, chociaż zawierały pełny ich wykaz, jak również uzasadnienia do nadanych odznaczeń. Jako osobisty doradca trzech kolejnych ministrów obrony, Misza był przez służbę bezpieczeństwa skrupulatnie

„prześwietlany”. O niektórych takich poczynaniach wiedział, o innych zaś nie. Ich wyniki też oczywiście nie budziły żadnych wątpliwości. Watutin zabrał się do kolejnej zszywki akt.

Ze zdziwieniem przeczytał, że Filitow zamieszany był w osławioną sprawę Pieńkowskiego. Oleg Pieńkowski, starszy oficer GRU, radzieckiego wywiadu wojskowego, zwerbowany został przez Anglików. Potem kierowały nim wspólnie CIA i Secret Intelligence Service, którym zdradzał wszystko, o czym się tylko dowiedział. Jego przedostatnią zdradą było przekazanie Zachodowi danych o stanie gotowości — a właściwie jego braku — w Strategicznych Wojskach Rakietowych w czasie kryzysu kubańskiego. Informacja ta pozwoliła Prezydentowi Kennedy’emu zmusić Chruszczowa do wycofania rakiet, tak bezczelnie zainstalowanych na tej nieszczęsnej wyspie. Spaczona lojalność Pieńkowskiego wobec obcokrajowców skłoniła go jednak do podjęcia zbyt dużego ryzyka w celu dostarczenia owej informacji, i na więcej nie mógł sobie pozwolić. Już go podejrzewano. Zazwyczaj można określić, kiedy strona przeciwna staje się troszkę za sprytna, ale... to Filitow pierwszy dostarczył

dowody oskarżenia...

Filitow zadenuncjował Pieńkowskiego? Watutin zdumiał się. Śledztwo było już wtedy bardzo zaawansowane. Stała obserwacja Pieńkowskiego wykazała, że zachowuje się dość niezwykle; między innymi podejrzewano, że co najmniej raz złożył materiały w skrytce kontaktowej, ale — tu Watutin pokręcił głową. Te wszystkie zbiegi okoliczności, jakie spotyka się w naszym fachu. Stary Misza przyszedł do wyższego oficera bezpieczeństwa i doniósł mu o dziwnej rozmowie ze swoim znajomym z GRU. Może była to rozmowa, jak powiedział, całkiem niewinna, lecz dziwnie obudziła

w nim czujność, czuł się więc w obowiązku o niej zameldować.

Na polecenie KGB utrzymywał kontakty, i następna rozmowa nie była już tak niewinna. W tym czasie zarzuty przeciwko Pieńkowskiemu poparto wystarczającymi dowodami i ten dodatkowy nie był właściwie potrzebny, chociaż sprawił, że związani ze sprawą ludzie poczuli się nieco lepiej...

Dziwny zbieg okoliczności — pomyślał Watutin — trudno jednak na takiej podstawie podejrzewać tego człowieka. Akta osobowe dotyczące życia prywatnego wykazywały, że Filitow jest wdowcem. Pułkownik długo Wpatrywał się w zdjęcie jego żony. Było tam także zdjęcie ślubne i Watutin z uśmiechem spostrzegł, że ten stary wiarus był kiedyś młody, a przy tym cholernie przystojny! Na kolejnej stronie informacja o dwóch synach — obaj nie żyli. Zwróciło to jego uwagę. Jeden z nich urodził się tuż przed wojną, drugi wkrótce po jej rozpoczęciu. Ale to nie wojna przyniosła im śmierć... A więc co? Zaczął przerzucać kartki.

Dowiedział się, że starszy zginął na Węgrzech. Jako politycznie pewny został wysłany, wraz z grupą kolegów-kadetów akademii wojskowej, na Węgry, by pomóc w tłumieniu kontrrewolucji 1956 roku. Poszedłszy w ślady ojca był czołgista i zginął, gdy jego czołg zniszczono. Taki już żołnierski los. Jego ojciec też swoje przeszedł. Drugi syn, także czołgista, zginął w wyniku rozerwania się zamka działa w jego T-55. Fatalna kontrola jakości produkcji, zmora radzieckiego przemysłu spowodowała śmierć całej załogi... a kiedy zmarła jego żona? W

lipcu następnego roku. Matczyne serce nie wytrzymało, niezależnie od tego, jaka była oficjalna diagnoza lekarska. Akta ukazywały obu synów jako wzorowych, młodych obywateli radzieckich.

Wszelkie nadzieje i marzenia umarły wraz z nimi — pomyślał Watutin — a potem jeszcze żona...

Żał mi cię, Misza. Twoja rodzina nie miała szczęścia, bo ty je całe zużyłeś w walce z Niemcami i nie starczyło go dla pozostałej trójki... To smutne, że człowiekowi, który tak wiele dokonał, można było przypisać tyle powodów, by...

By zostać zdrajcą Rodiny? Watutin podniósł głowę i spojrzał przez okno. Widział plac, samochody objeżdżające pomnik Feliksa Dzierżyńskiego. „Żelazny Feliks”, twórca Czeka, człowiek z małą, dziwną bródką i o zimnym bezlitosnym umyśle odparł pierwsze próby Zachodu mające na celu przeniknięcie do Związku Radzieckiego i dywersję wewnętrzną. Pomnik stał

tyłem do budynku; dowcipnisie mówili, że Feliksa skazano na wieczne odosobnienie. Podobne temu, jakiego doświadczyła Swietłana Waniejewa...

Co byś mi teraz doradził, Feliksie? Watutin znał odpowiedź. Feliks kazałby aresztować Misze Filitowa i poddać bezlitosnym przesłuchaniom. Wówczas wystarczył najlżejszy cień podejrzenia, i kto wie, ile niewinnych kobiet i mężczyzn masakrowano i zabijano bez żadnego powodu? Obecnie trochę się jednak zmieniło. Nawet KGB musi teraz przestrzegać pewnych zasad. Nie można już tak po

prostu porwać ludzi z ulicy i torturami wymuszać z nich potrzebne zeznania. Zdaniem Watutina tak było lepiej. KGB to organizacja zawodowców. Ich praca stała się cięższa i wymagała dobrze wyszkolonych oficerów oraz większej sprawności... Zadzwoił

telefon.

— Pułkownik Watutin.

— Przyjdź tu. Za dziesięć minut idziemy z raportem do przewodniczącego. — Trzask słuchawki po drugiej stronie.

Centrala KGB mieściła się w starym budynku z początku wieku, byłej siedzibie Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Rossija”. Ściany zewnętrzne wyłożone były rdzawym granitem, wnętrza zaś odzwierciedlały styl epoki, w której ów gmach wzniesiono: wysokie sufity, olbrzymie drzwi. Jednakże długie, wyłożone dywanami korytarze budynku nie były zbyt jasno oświetlone, żeby nie można było przyjrzeć się twarzom przechodzących nimi ludzi. Widziało się sporo umundurowanych postaci. Byli to oficerowie z Zarządu Trzeciego, nadzorującego siły zbrojne. Szczególną cechą tego budynku była panująca w nim cisza. Przechodzący korytarzami mieli poważne twarze i zamknięte usta, by przypadkiem nie zdradzić jednej z miliona tajemnic zawartych w tym gmachu.

Okna gabinetu przewodniczącego także wychodziły na plac, chociaż widok z nich rozciągał się o wiele dalej, niż z pokoju Watutina. Sekretarz wstał od biurka i przeprowadził obu gości obok dwóch wartowników, którzy zawsze stali w rogach poczekalni. Wchodząc przez otwarte drzwi, Watutin głęboko zaczerpnął powietrza.

Mikołaj Gierasimow już czwarty rok zajmował stanowisko przewodniczącego Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego. Był nie tyle zawodowym szpiegiem, ile funkcjonariuszem partyjnym, który po piętnastu latach spędzonych w aparacie KPZR został wyznaczony na stanowisko średniego szczebla w Zarządzie Piątym, zajmującym się tłumieniem fermentu w kraju. Dyskretne wywiązywanie się z tego zadania zapewniło mu stałe awanse, aż w końcu dziesięć lat temu, mianowano go pierwszym zastępcą przewodniczącego. Od tej pory zapoznawał

się ze sprawami wywiadu od strony zarządzania nim, i radził sobie tak dobrze, że zyskał

poważanie wśród oficerów operacyjnych, którzy cenili jego instynkt. Przede wszystkim jednak był człowiekiem Partii, i tym też tłumaczył się jego awans na przewodniczącego. Miał wówczas pięćdziesiąt trzy lata — wiek dość młody jak na to stanowisko — a wyglądał jeszcze młodziej.

Na jego czole nigdy nie pojawiła się zmarszczka zwiastująca porażkę, spoglądał ufnie w przyszłość, oczekując kolejnego awansu. Dla człowieka, który zajmował już miejsce w Biurze Politycznym i w Radzie Obrony, kolejny awans oznaczał ubieganie się o najwyższe ze wszystkich stanowisk: Sekretarza Generalnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

Jako człowiek, który władał „mieczem i tarczą partii” (tym właśnie oficjalnie głosiło się KGB),

wiedział wszystko, co trzeba o swoich konkurentach. O jego ambicjach, jakkolwiek nigdy otwarcie nie wyrażonych, szeptano w tym gmachu, a niezliczona liczba młodych, zdolnych oficerów KGB starała się codziennie związać swój przyszły los z tą wschodzącą gwiazdą.

Watutin uważał go za czarusia.

Teraz też wstał zza masywnego dębowego biurka i wskazał gościom stojące naprzeciw krzesła. Watutin potrafił panować nad swoimi myślami i emocjami; był także zbyt uczciwy, by ulegać wdziękom czarusiów.

Gierasimow podniósł teczkę. — Pułkowniku Watutin, przeczytałem wasz raport na temat toczącego się śledztwa. Świetna robota. Możecie mnie poinformować, jak sprawa ma się obecnie?

— Tak jest, towarzyszu przewodniczący. Szukamy niejakiego Edwarda Wasiljewicza Altunina. Pracuje w Łażni Sandunowskiej. Jest on, jak się okazało w czasie przesłuchania kierownika pralni, kolejnym ogniwnem kanału łączności. Niestety, zniknął trzydzieści sześć godzin temu, ale powinniśmy go mieć do końca tygodnia.

— Sam chodziłem do tej łaźni — powiedział z ironią Gierasimow. Watutin nie pozostał w tyle.

— Ja bywam tam nadal, towarzyszu przewodniczący. Widziałem też tego młodzieniaszka. Rozpoznałem go na zdjęciu w czasie zbierania materiałów. Był kapralem w kompanii saperów w Afganistanie. Jego akta wojskowe wskazują, że sprzeciwiał się używaniu pewnych rodzajów materiałów wojskowych, które tam stosowano, by zniechęcić miejscową ludność do pomagania bandytom. — Watutin miał na myśli miny-pułapki, którym nadawano dla niepoznaki kształty zabawek, żeby sięgały po nie dzieci. — Oficer polityczny jednostki sporządził notatkę, ale po pierwszej naganie ustnej Altunin więcej już się nie wypowiadał i do końca pobytu nie było już żadnych incydentów. W wyniku sporządzonej notatki nie dostał pracy w fabryce i najmował się do różnych prac posługowych. Pracujący z nim określali go jako nie rzucającego się w oczy i dość spokojnego. Taki właśnie powinien być szpieg. Ani razu nie wspomniał o swoich kłopotach w Afganistanie, nawet przy kieliszku. Obserwujemy jego mieszkanie oraz wszystkich członków rodziny i przyjaciół. Jeżeli nie zwiniemy go szybko, będzie to oznaczało, że jest szpiegiem. Ale dostaniemy go, a wtedy sam z nim pogadam.

Gierasimow skinął głową w zamyśleniu. — Widzę, że do przesłuchania tej Waniejewej zastosowaliście nową metodę. Co o niej myślicie?

— To ciekawy sposób. W tym przypadku niewątpliwie dał wyniki. Muszę jednak powiedzieć, że mam obawy po wypuszczeniu tej kobiety na wolność.

— To była moja decyzja, jeżeli chcecie wiedzieć — rzucił niedbale Gierasimow. —

Biorąc pod uwagę delikatność tej sprawy oraz zalecenia lekarskie, uważałem, że można podjąć takie ryzyko. Czy zgadzacie się ze mną, że sprawa nie powinna przykuwać niczyjej uwagi?

Zarzuty przeciw niej nadal pozostają w mocy.

Jasne i będziesz mógł je wykorzystać przeciwko jej ojcu — pomyślał Watutin. — Jej hańba spada również na niego, a jakież ojciec chciałby widzieć swoje jedyne dziecko w gułagu?

Nie ma to jak mały szantażyk, prawda, towarzyszu przewodniczący? — Po czym ostrożnie powiedział:

— To rzeczywiście bardzo delikatna sprawa i może się stać jeszcze delikatniejsza.

— Słucham was.

— Wtedy, gdy widziałem tego Altunina, stał z pułkownikiem Michaiłem Siemionowiczem Filitowem.

— Miszą Filitowem, doradcą Jazowa?

— Z nim we własnej osobie, towarzyszu przewodniczący. Dziś rano przejrzałem jego akta.

— No i? — zapytał przewodniczący.

— Nic, na co można by wskazać palcem. Nie wiedziałem, że był zamieszany w sprawę Pieńkowskiego... — Watutin przerwał ze zmienionym wyrazem twarzy.

— Coś was gryzie, pułkowniku — zauważył Gierasimow. — O co chodzi?

— Filitow włącza się w sprawę Pieńkowskiego wkrótce po śmierci drugiego syna i żony.

— Umilkł, po czym wzruszył ramionami. — Dziwny zbieg okoliczności.

— Czy to nie Filitow świadczył przeciw niemu? — zapytał szef Zarządu Drugiego.

Pracował wówczas nad pobocznymi wątkami tej sprawy.

Watutin skinął głową. — To prawda, ale dopiero wtedy, gdy wzięliśmy już szpiega pod obserwację. — Znowu przerwał na chwilę. — Jak powiedziałem, to dziwny zbieg okoliczności.

Poszukujemy teraz człowieka podejrzanego o pośredniczenie w przekazywaniu danych wojskowych. Widziałem go w towarzystwie starszego oficera Ministerstwa Obrony, który sam zamieszany był w podobną sprawę blisko trzydzieści lat temu. Z drugiej jednak strony Filitow był tym, który pierwszy zameldował o Pieńkowskim. Jest także zasłużonym bohaterem wojennym... który w pechowych okolicznościach utracił swych bliskich... — Watutin po raz pierwszy zestawiał razem wszystkie te wątki.

— Czy padł kiedykolwiek jakiś cień podejrzenia na Filitowa? — zapytał przewodniczący.

— Nie. Przebieg jego służby nie ma sobie równych. Filitow był jedynym doradcą, który przez cały czas towarzyszył nieżyjącemu już ministrowi Ustinowowi, i od tamtej pory nieprzerwanie zajmuje to stanowisko. Działa jako osobisty inspektor generalny ministra obrony.

— Wiem — odpowiedział Gierasimow. — Mam tu podpisaną przez Jazowa prośbę o udostępnienie naszych materiałów na temat amerykańskiej Inicjatywy Obrony Strategicznej.

Kiedy zadzwoniłem do niego w tej sprawie, minister odpowiedział, że pułkownicy Filitow i Bondarienko zbierają dane do pełnego sprawozdania dla Biura Politycznego. Kryptonim na owej klatce fotograficznej, którą udało się wam odzyskać, brzmiał JASNA GWIAZDA, prawda?

— Tak jest, towarzyszu przewodniczący.

— Watutin, mamy teraz trzy zbiegi okoliczności — zauważył Gierasimow. — Co proponujecie?

Odpowiedź była prosta:

— Obserwować Filitowa i tego Bondarienkę.

— Bardzo ostrożnie, ale z najwyższą dokładnością. — Gierasimow zamknął teczkę. —

To dobry raport, pułkowniku. Widzę, że wasz instynkt śledczy jest wyczulony jak zawsze. Proszę informować mnie o rozwoju wypadków. Od dziś do zakończenia sprawy chcę was widzieć u mnie trzy razy na tydzień. Generale — zwrócił się do szefa „Dwójki” — proszę udzielić temu oficerowi wszelkiego wsparcia, jakiego będzie potrzebował. Możecie ściągać środki z dowolnego zarządu czy departamentu. Jeżeli napotkacie opory, zameldujcie mi o tym. To pewnością jest jakiś przeciek na najwyższych szczeblach Ministerstwa Obrony. I jeszcze jedno: dostęp do tej sprawy mam tylko ja i wy. Nikomu, powtarzam, nikomu nie wolno się o niej dowiedzieć. Kto może przewidzieć, gdzie Amerykanom udało się wsadzić swoich agentów? Watutin, upolujcie go, a gwarantuję wam na wiosnę awans na generała. Ale — tu podniósł palec — myślę, że powinniście przestać pić do czasu, gdy się z tym uporacie. Potrzebna nam wasza trzeźwa głowa.

— Tak jest, towarzyszu przewodniczący.

Gdy wychodzili z gabinetu przewodniczącego, korytarz był prawie pusty i Watutin zapytał sotto voce:

— Co z Waniejewą?

— Chodzi, oczywiście, o jej ojca. Generalny Sekretarz Narmonow ogłosi w przyszłym tygodniu jego wybór do Biura Politycznego — cichym głosem odparł obojętnie generał.

A nie zaszkodzi mieć jeszcze jednego przyjaciela KGB u dworu — pomyślał Watutin.

Czyżby Gierasimow przymierzał się do jakiegoś ruchu?

— Pamiętaj, co ci powiedział o picciu — przypomniał szef. — Słyszałem, że ostatnio pijesz na umór. Na wypadek, gdybyś tego nie wiedział, w tej kwestii nasz przewodniczący i sekretarz generalny zgadzają się ze sobą całkowicie.

— Tak jest, towarzyszu generale — odpowiedział Watutin. Prawdopodobnie jest to jedyna kwestia, w której się zgadzają. Jak każdy dobry Rosjanin Watutin uważał, że wódka jest równie niezbędna do życia jak powietrze. Przyszło mu na myśl, że jak na ironię, to właśnie kac skłonił go wówczas do pójścia do łaźni, dzięki czemu dostrzegł ów szczególny zbieg okoliczności — ale powstrzymał się od takich komentarzy. W kilka minut później, siedząc przy biurku, wyciągnął notatnik i zaczął planować obserwację dwóch pułkowników Armii Radzieckiej.

Gregory wracał do domu samolotami rejsowymi, z dwugodzinnym oczekiwaniem na kolejny lot w Kansas City. Większość podróży przespał i po przylocie, nie musząc czekać na żaden bagaż, udał się prosto do hali. Jego narzeczona już czekała.

— Jak tam w Waszyngtonie? — zapytała, ucałowawszy go na przywitanie.

— Bez zmian. Musiałem się kręcić, jak w ukropie. Chyba im się wydaje, że naukowcy nigdy nie śpią.

— Wziął ją za rękę i poszli do samochodu.

— O co chodziło? — zapytała, gdy wyszli już przed budynek.

— Rosjanie przeprowadzili poważną próbę. — Zatrzymał się i obejrzał. Naruszył zasady bezpieczeństwa, ale Candi należy przecież do zespołu. — Zżużlili satelitę przy pomocy laserów zainstalowanych koło Duszanbe. To, co zostało, wygląda jak plastikowy model po wyjęciu z piekarnika.

— Niedobrze — powiedziała dr Long.

— Pewnie, że niedobrze — zgodził się dr Gregory. — Ale mają kłopoty z optyką.

Rozmycie wiązki i drgania. Niewątpliwie brak im kogoś takiego jak ty do zbudowania zwierciadeł. Za to w zespole laserowym mają dobrych ludzi.

— Naprawdę?

— Tak dobrych, że robią coś, do czego myśmy jeszcze nie doszli — mruknął niechętnie Al, gdy dotarli do jego Chevroleta. — Ty poprowadź. Czuję się wciąż jak śnięty.

— Ale dojdziemy? — zapytała Candi, otwierając drzwiczki.

— Prędzej czy później, tak. — Nic więcej nie mógł już powiedzieć nawet narzeczonej.

Gdy tylko otworzyła drzwi po prawej stronie, Al wsiadł, zapiął pas i natychmiast sięgnął

po balonik, których zapas trzymał w skrytce na rękawiczki. Nie były świeże, ale to mu nie przeszkadzało. Czasami Candi zastanawiała się, czy jego miłość do niej nie bierze się stąd, że jej

imię przypomina mu o kandyzowanych owocach.

— Jak się posuwają prace nad nowym zwierciadłem? — zapytał, przełknąwszy połówkę balonika.

— Marv ma nowy pomysł, który próbujemy rozpracować. Uważa, że powinniśmy tę powłokę ścięć, a nie pogrubić. Wypróbujemy to w przyszłym tygodniu.

— Marv jest całkiem do rzeczy jak na swój wiek — powiedział Al. Doktor Marv Greene miał czterdzieści dwa lata.

Candi roześmiała się. — Jego sekretarka też uważa, że jest do rzeczy.

— Powinien mieć więcej oleju w głowie, i nie zadawać się z kimś w pracy — z całą powagą stwierdził Gregory, ale w chwilę później mrugnął do niej.

— Tak, kochanie. — Spojrzała na niego i oboje się roześmiali. — Bardzo jesteś zmęczony?

— Spałem w czasie lotu.

— To dobrze.

Zanim ją objął, zmiażdżył opakowanie batonu i rzucił na podłogę, gdzie leżało już ich ze trzydzieści. Przeleciał spory kawałek, ale Candi знаła świetny sposób na wyrównanie różnic czasowych.

— Co powiesz, Jack? — zapytał admirał Greer.

— Jestem zaniepokojony — przyznał Ryan. — To czysty łut szczęścia, że zauważyliśmy tę próbę. Pora była dobrze wybrana. Wszystkie nasze satelity rozpoznawcze były poniżej horyzontu. Nie spodziewali się, że coś zobaczymy. Nic dziwnego, bo jest to naruszenie układu o broni antybalistycznej. W każdym razie może być tak traktowane. — Jack wzruszył ramionami.

— To zależy od tego, jak się ten układ rozumie. Można się wdać w spór na temat „swobodnej” albo „ściślej” interpretacji. Gdybyśmy to my spróbowali czegoś takiego, Senat dostałby szału.

— Próba, którą widziałeś, też by się im nie spodobała. — Tylko bardzo nieliczni wiedzieli, jak daleko posunęły się prace w KLIPRZE HERBACIANYM. Program należał do tzw.

czarnych. Takie prace były bardziej niż „Ścisłe tajne” — po prostu nie istniały.

— Być może, ale my sprawdzamy system celowania, a nie system broni.

— Rosjanie natomiast sprawdzali system, żeby się przekonać, czy jest... — Greer zaśmiał się i pokręcił głową. — Czy nie brzmi to jak dyskusja metafizyczna? Ile laserów zmieści się na główce od szpilki?

— Jestem pewien, że Ernie Allen umiałby coś o tym powiedzieć — uśmiechnął się Jack.

Nie zgadzał się z Allenem, ale nie mógł go nie lubić. — Mam nadzieję, że nasz przyjaciel w Moskwie nam pomoże.

Sukces i porażka

Jednym z kłopotów w prowadzeniu inwigilacji jest to, że trzeba między innymi ustalić, jak osoba obserwowana zazwyczaj spędza czas w ciągu dnia. Im bardziej samotny tryb życia prowadzi obiekt, tym trudniej go skrycie śledzić. Dlatego też oficerowie KGB śledzący pułkownika Bondarienkę już go do głębi znienawidzili. Uważali, że jego codzienny poranny jogging idealnie sprzyja działalności szpiegowskiej. Biegał zupełnie sam przeważnie pustymi ulicami, tak pustymi, że niewątpliwie każdego kogo o tej porze spotykał znał z widzenia, tak pustymi, że mógł natychmiast dostrzec wszystko, co odbiega od normy. Kiedy mijał bloki mieszkalne w tej części Moskwy, trzech agentów przydzielonych do obserwacji straciło z nim kontakt wzrokowy co najmniej pięć razy. Rzadko rozrzucone drzewa, za którymi mogliby się ukryć, pozbawione były liści, a bloki sterczały jak olbrzymie nagrobki na płaskiej, otwartej przestrzeni. Za którymś razem Bondarienko mógł się zatrzymać, by podjąć coś ze skrytki lub do niej złożyć. Było to nad wyraz denerwujące, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę, że przebieg służby tego pułkownika Armii Radzieckiej był równie nieskazitelny, jak warstwa świeżo spadłego śniegu. Czyli właśnie taki o jaki postarałby się każdy szpieg.

Ujrzeli go ponownie, gdy skręcił w kierunku domu: nogi pracowały miarowo i energicznie, a małe obłoczki pary znaczyły w powietrzu jego oddech. Oficer prowadzący tę część operacji zdecydował, że do śledzenia Bondarienki w czasie porannych biegów potrzebnych będzie z pięciu oficerów „Dwójki”. Będą musieli być na miejscu o godzinę wcześniej, mimo suchego, ostrego chłodu moskiewskich poranków. Pracownicy Zarządu Drugiego KGB byli zdania, że trudy ich ciężkiej służby nigdy nie są właściwie docenione.

Inny natomiast trzyosobowy zespół umiejscowiony o kilka kilometrów dalej był całkiem zadowolony z obiektu swoich obserwacji. Uzyskano dostęp do mieszkania na ósmym piętrze w budynku naprzeciwko bloku Filitowa. Lokator tego mieszkania, dyplomata, przebywał za granicą. Dwa teleobiektywy wycelowane były w okna Miszy, który nawet nie zadawał sobie trudu spuszczenia żaluzji, czy nawet właściwego ich umocowania. Obserwowano zwykłe poranne czynności człowieka, który poprzedniego wieczoru ostro popijał. Sytuacja ta nie była całkiem obca funkcjonariuszom z „Dwójki”, siedzącym w ciepłym mieszkaniu po drugiej stronie ulicy.

Misza zajmował tak wysokie stanowisko w Ministerstwie Obrony, że przysługiwał mu służbowy samochód z kierowcą. Przeniesienie kierowcy do innej służby i przydzielenie na jego miejsce młodego chłopaka prosto ze szkoły kontrwywiadu KGB nie nastęrczało żadnych trudności. Podśluch

założony w jego telefonie zarejestrował żądanie wczesnego podstawienia samochodu.

Ed Foley wyszedł z mieszkania wcześniej niż zwykle. Dziś prowadziła żona, a dzieciaki siedziały na tylnym siedzeniu. Zapisy obserwacji KGB odnotowywały z niejakim rozbawieniem, że to pani Foley używała samochodu przez większość tygodnia, wożąc dzieci w różne miejsca i utrzymując kontakty z żonami innych zachodnich dyplomatów. Rosjanin nie dałby żonie korzystać ze swego samochodu. To miło z jej strony, że dziś nie musiał jechać metrem. Milicjant u wejścia do budynku zamieszkałego przez dyplomatów (wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę był

z KGB) odnotował czas ich wyjazdu oraz liczbę osób w samochodzie. Dzisiejszy zestaw był

trochę nietypowy; strażnik rozejrzał się, by sprawdzić, czy przydzielony do Foleyów obserwator jest na stanowisku i stwierdził, że go nie było. Tylko „ważniejszych” Amerykanów miano regularnie na oku.

Ed Foley nosił rosyjską futrzaną czapę, a jego płaszcz był na tyle stary i znoszony, że na pierwszy rzut oka nie wyglądał na kupiony za granicą. Nie pasował tu trochę wełniany szalik, okręcony wokół szyi i zakrywający prążkowany krawat. Oficerowie bezpieczeństwa, którzy znali go z widzenia, zauważyli, że tutejsza pogoda zrównuje przybyszów z miejscowymi: kiedy ktoś zazna rosyjskiej zimy, wkrótce zaczyna ubierać się i zachowywać jak Rosjanin, nawet chodzi z głową lekko pochyloną ku ziemi.

Najpierw podwieźli dzieci do szkoły. Mary Pat Foley prowadziła bez pośpiechu, spoglądając co parę sekund we wsteczne lusterko. W porównaniu z miastami amerykańskimi jeździło się tu dobrze. Rosyjscy kierowcy wyprawiali wprawdzie najdziwniejsze rzeczy, ulice nie były jednak zatłoczone, a zdobywszy praktykę w Nowym Jorku, mogła już sobie poradzić wszędzie. Jak wszyscy dojeżdżający do pracy na całym świecie, opracowała trasę złożoną z kilku objazdów wymijających zwykle wąskie gardła ruchu ulicznego. Zyskiwała na tym kilka minut kosztem jednego czy dwóch litrów benzyny.

Gdy tylko skręciła za róg, z wprawą podjechała do krawężnika i Foley szybko wysiadł.

Samochód ruszył, gdy zatrząskiwiał drzwi. Niespiesznie poszedł w kierunku bocznego wejścia do bloku mieszkalnego. — Serce biło mu teraz szybciej. Już raz coś takiego robił i nie bardzo mu się to spodobało. Znalazłszy się wewnątrz, ominął windy i przeskakując po kilka stopni zaczął

wspinać się po schodach przeciwpożarowych, spoglądając jednocześnie na zegarek.

Nie wiedział, jak żonie się to udaje. Czuł się zraniony w swej miłości własnej, że jeździła z większą precyzją niż on i była w stanie znaleźć się w dowolnym miejscu z dokładnością do pięciu sekund. Miał dwie minuty na dojście na ósme piętro i dotarł na miejsce kilka sekund przed czasem. Uchylił drzwi i wyrzwał na korytarz. Takie korytarze to wspaniała rzecz. Szczególnie te proste, puste, w wieżowcach. W środku windy, po obu stronach schody przeciwpożarowe i ani kącika, gdzie mógłby się ukryć człowiek z kamerą czy aparatem fotograficznym. Foley szybko przeszedł obok wind w kierunku drugiego zejścia. Mógł teraz mierzyć czas uderzeniami serca.

Dwadzieścia metrów przed nim otworzyły się drzwi, z których wyszedł mężczyzna w mundurze.

Obrócił się, by przekręcić klucz w zamku, potem podniósł teczkę i ruszył w stronę Foley'a.

Gdyby na korytarzu był ktoś jeszcze, zdziwiłby się, że żaden z mężczyzn nie zboczył ani na krok, by uniknąć zderzenia.

Odbyło się to błyskawicznie. Dłoń Foley'a otarła się o rękę Kardynała przejmując kasetę i oddając zwinięty paseczek papieru. Wydawało mu się, że w oczach agenta zauważył jakby cień irytacji, ale nie padło ani słowo, nawet „Przepraszam was, towarzyszu”. Oficer poszedł w kierunku wind, a Foley do drzwi na schody. Zaczął powoli schodzić w dół.

Pułkownik Filitow pojawił się w drzwiach wejściowych o umówionej godzinie. Sierżant, który otworzył przed nim drzwiczki samochodu, zauważył, że pułkownik coś przeżuwał, chyba jakiś kawałek chleba, który utknął mu między zębami.

— Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku.

— A gdzie Żdanow? — zapytał Filitow, usadowiwszy się w środku.

— Zachorował. Zdaje się, że to ślepa kiszka.

Dało się słyszeć chrząknięcie pułkownika, a później polecenie:

— No to ruszamy. Chcę jeszcze skorzystać z łaźni.

W minutę później, tylnym wyjściem, opuścił budynek Foley. Minał jeszcze dwa bloki, zanim doszedł do przecznicy. Właśnie zbliżał się do krawężnika, gdy podjechała żona. Wskoczył

prawie w biegu. Oboje głęboko odetchnęli i samochód ruszył w stronę ambasady.

— Co dziś robisz? — zapytała, nie odrywając oczu od lusterka.

— To, co zawsze — odparł ze znużeniem.

Misza siedział już w parówce. Zauważył nieobecność łaźiebny oraz kilka nowych, nieznanych twarzy. To dlatego ten szczególny odbiór materiału dziś rano. Z nieporuszoną twarzą zamienił kilka towarzyskich uwag ze stałymi bywalcami łaźni. Szkoda, że skończył mu się film w aparacie. Potem to ostrzeżenie od Foley'a. Jeżeli znowu go sprawdzali — no cóż, co parę lat jakimś tam bezpieczeniakowi wlaźła mrówka do gaci i zaczynał ponownie sprawdzać wszystkich w ministerstwie. CIA dowiedziała się o tym i zerwała sieć łączników. Z

rozbawieniem przypomniał sobie wygląd twarzy tego młodego człowieka na korytarzu. Niewiele już zostało takich, którzy wiedzą, co to walka. Teraz ludzi tak łatwo przestraszyć. Walka uczyła człowieka, czego się bać, a czym się nie przejmować — myślał Filitow.

W sąsiednim pomieszczeniu człowiek z „Dwójki” grzebał w ubraniu Filitowa, podczas gdy w

samochodzie przeszukiwano jego teczkę. W obu przypadkach robotę wykonano szybko i dokładnie.

Watutin osobiście nadzorował rewizję w mieszkaniu Filitowa. Zajmowali się tym specjaliści w chirurgicznych rękawiczkach, skrupulatnie poszukujący najpierw ewentualnych pułapek. Mógł to być jakiś kawałek papieru, okruch, a nawet ludzki włos, którego zniknięcie z określonego miejsca zdradziłoby lokatorowi, że w mieszkaniu ktoś był. Wykonano wiele zdjęć i natychmiast przekazano do wywołania, po czym ekipa przeszukująca przystąpiła do pracy.

Prawie zaraz natknięto się na pamiętnik. Watutin pochylił się nad szufladą biurka, w której spoczywał zwykły notatnik, by sprawdzić, czy jego położenie nie zostało skrycie zaznaczone. Po chwili wziął zeszyt do ręki i zaczął czytać.

Pułkownik był rozdrażniony. Zeszłej nocy nie spał zbyt dobrze, przewracając się z boku na bok. Jak wszyscy ostro pijący, potrzebował kilku głębszych, by zasnąć i podniecenie wywołane sprawą, przy braku odpowiedniego środka uspokajającego, spowodowało, że noc miał

niespokojną. Wyraz jego twarzy był ostrzeżeniem dla pozostałych, by zachowywali się cicho.

— Zdjęcia — rzucił krótko. — Podszedł jeden z ludzi i zaczął fotografować po kolei przewracane przez Watutina strony dziennika.

— Ktoś majstrował przy zamku w drzwiach — zameldował major. — Zadrapania wokół

dziurki od klucza. Gdybyśmy wymontowali zamek, myślę, że znaleźlibyśmy także zadrapania na zastawkach. Prawdopodobnie ktoś się tu włamał.

— Mam to, czego szukano — powiedział Watutin ze złością. Głowy obecnych obróciły się ku niemu. Funkcjonariusz sprawdzający lodówkę, zdjął przednią płytę, zajrzał pod spód, po czym założył ją z powrotem. — Ten przeklęty dureń prowadzi dziennik! Czy przepisy o tajemnicy służbowej już nie obowiązują?

Zaczynał teraz rozumieć. Pułkownik Filitow wykorzystywał dziennik osobisty do sporządzania zarysów oficjalnych raportów. Ktoś, gdzieś się o tym dowiedział i dostał się tutaj, żeby to skopiować...

Ale czy to prawdopodobne? — zastanowił się Watutin. — Równie prawdopodobne jak to, że taki człowiek robi zapiski na temat oficjalnych dokumentów, kiedy mógłby je spokojnie przepisać przy własnym biurku w Ministerstwie Obrony.

Przeszukanie trwało dwie godziny. Każdy przedmiot odłożono dokładnie na swoje miejsce, po czym grupa po jednym, po dwóch opuściła mieszkanie.

Wróciwszy do biura Watutin przeczytał cały sfotografowany dziennik; w mieszkaniu zdążył go tylko przekartkować. Kawałek przechwyconego filmu dokładnie odpowiadał jednej z początkowych stron. Prawie godzinę spędził na przeglądaniu fotografii. Dane zawarte na stronach dziennika Filitowa

robiły wrażenie. Stary pułkownik szczegółowo opisał prace JASNEJ

GWIAZDY. W gruncie rzeczy jego objaśnienia były lepsze niż te, których udzielono śledczemu.

Od czasu do czasu pojawiały się konkretne spostrzeżenia pułkownika Bondarienki na temat zabezpieczenia obiektu oraz utyskiwania co do sposobu ustalania priorytetów w ministerstwie.

Było jasne, że obaj pułkownicy żywią najwyższy entuzjazm wobec JASNEJ GWIAZDY, z czym zgodził się teraz Watutin. Ale minister Jazow — jak wynikało z dziennika — nie był jeszcze przekonany. Narzekał na ciągłe wykładanie pieniędzy. — Zawsze ta sama dobrze znana śpiewka.

Oczywiście, pułkownik Filitow naruszył przepisy o tajemnicy przetrzymując w domu zapiski na temat ściśle tajnych dokumentów. Samo w sobie było to wystarczająco poważnym przewinieniem, by jakiś urzędnik niższego czy średniego szczebla wyleciał za nie z roboty.

Filitow jednak był na szczeblu ministra, a Watutin wiedział, że ludzie tej rangi uważają przepisy o zachowaniu tajemnicy za niedogodność, którą można lekceważyć w Interesie Państwa, przy czym o tym interesie tylko oni władni są orzekać. Ciekaw był, czy tak samo postępowano gdzie indziej. Niemniej jednego był pewien: zanim on czy ktokolwiek z KGB oskarży o coś Filitowa, będzie musiał dysponować poważniejszymi dowodami. Nawet gdyby Misza był obcym agentem.

Ale dlaczego staram się temu zaprzeczyć? — Watutin z niejakim zdziwieniem spytał sam siebie.

Wrócił myślami do tamtego mieszkania i fotografii na ścianach. Była ich tam chyba setka: Misza z wieży czołgu patrzy przez lornetkę, Misza z żołnierzami w śniegach pod Stalingradem, Misza i jego załoga pokazują na przestreliny w burcie niemieckiego czołgu... i Misza w łóżku szpitalnym, dekorowany przez samego Stalina trzecią Gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego.

Obok stoi jego piękna żona i dwaj synowie. Pamiątki patrioty i bohatera.

Kiedyś nie miałyby to żadnego znaczenia — przypomniał sobie Watutin. — Kiedyś podejrzewaliśmy wszystkich.

Każdy mógł zadrapać zamek. Nabrał przekonania, że to poszukiwany łaziebny.

Majstrował przy broni, więc chyba wiedział, jak to zrobić. A jeśli to zwykły zbieg okoliczności?

Ale jeżeli Misza był szpiegiem, dlaczego sam nie fotografował oficjalnych dokumentów?

Będąc na stanowisku doradcy ministra obrony, mógł otrzymać każdy dokument, który chciał.

Przemycenie mikroaparatu do ministerstwa to drobnostka.

Gdybyśmy mieli taśmę z klatką, na której jest taki dokument, Misza byłby już w Lefortowie...

A jeżeli jest sprytny? Jeżeli chce nas przekonać, że to ktoś inny wykrada materiały z jego dziennika? Mógłbym już teraz pokazać w ministerstwie to, co mamy, ale można go oskarżyć tylko o złamanie wewnętrznych zasad zachowania tajemnicy. Wtedy on powie, że pracował w domu, i przyzna się do naruszenia przepisów, a minister osłoni swego doradcę — czy minister broniłby Filitowa?

Z pewnością. Watutin nie miał wątpliwości. Przede wszystkim Misza był zaufanym doradcą i wybitnym wojskowym. Poza tym, armia zawsze staje murem w obronie jednego ze swoich przed KGB. Te skurwysyny nienawidzą nas bardziej niż Zachodu. Armia Radziecka nigdy nie zapomniała o późnych latach trzydziestych, kiedy to Stalin nakazał służbie bezpieczeństwa zabić niemal wszystkich starszych oficerów, przez co o mały włos nie oddał

Moskwy Niemcom. Nie, jeżeli nie przedstawimy im niczego innego, odrzucą te nasze dowody i przy pomocy GRU rozpoczną własne śledztwo.

Ile jeszcze takich odstępstw wypłynie w tej sprawie? — zastanawiał się pułkownik Watutin.

Niemal to samo myślał Foley, siedząc w swojej klitce o parę kilometrów dalej. Wywołał

już film i teraz przeglądał klatki. Ze złością spostrzegł, że Kardynałowi skończyła się taśma i nie sfotografował całego dokumentu. Z tego, co miał przed sobą, wynikało jednak, że w amerykańskim przedsięwzięciu o nazwie KLIPER HERBACIANY jest wtyczka KGB. Filitow najwyraźniej uważał, że to interesuje Amerykanów bardziej niż prace prowadzone przez Rosjan.

Czytając materiał Foley skłonny był się z nim zgodzić. No cóż. Trzeba będzie podrzucić Kardynałowi parę kaset z filmem, niech sfotografuje dokument do końca, a potem się go powiadomi, że czas już odpocząć. Ewakuacja będzie gotowa dopiero za jakieś dziesięć dni.

Sporo czasu — powiedział sobie, mimo że ciarki na plecach mówiły mu coś innego.

Teraz kolejna sztuczka: jak przekazać Kardynałowi nowy film? Poprzednia siatka łączników nie istniała. Zmontowanie nowej zajmie kilka tygodni, sam zaś nie chciał ryzykować ponownego kontaktu osobistego.

Wiedział, że kiedyś musiało do tego dojść. Przez cały czas odkąd prowadził tego agenta, wszystko szło gładko, ale prędzej czy później coś się stanie. Gra przypadku, powtarzał sobie.

Przy którymś rzucie kośćmi szczęście wreszcie się odwróci. Kiedy przydzielono go tutaj i zapoznał się z operacyjną historią Kardynała był zdumiony, że człowiek ten przetrwał tak długo, że odrzucił co najmniej trzy oferty ewakuacji. Jak długo można igrać z losem? Stary skurczybyk chyba uważa, że jest niezwyciężony. Kogo bogowie chcą zgubić, temu wpierw dają pychę —

pomyślał Foley.

Przerwał rozmyślenia i zabrał się do pracy. Przed wieczorem kurier z nowym meldunkiem Kardynała leciał na zachód.

— Jest już w drodze — powiedział Ritter do dyrektora CIA.

— Dzięki Bogu — sędzia Moore uśmiechnął się. — Zabierzmy się teraz do wyciągnięcia go stamtąd jak najszybciej.

— Clark właśnie dostaje instrukcje. Jutro leci do Anglii, a pojutrze będzie na okręcie podwodnym.

— Jeszcze jeden, który za długo kusi los — powiedział sędzia.

— Ale najlepszy, jakiego mamy — odrzekł Ritter.

— To za mało, żeby zaczynać — powiedział przewodniczącemu Watutin, zameldowawszy o wynikach inwigilacji i rewizji. — Przydzielę do tej operacji więcej ludzi.

Założyliśmy także urządzenia podsłuchowe w mieszkaniu Filitowa.

— A ten drugi pułkownik?

— Bondarienko? Nie możemy się do niego dostać. Jego żona nie pracuje i całymi dniami przesiaduje w domu. Wiemy, że każdego rana facet przebiega kilka kilometrów. Jemu też przydzieliłem kilku dodatkowych ludzi. Na razie jedyne dane na jego temat to nieskazitelny, doprawdy wzorowy przebieg służby, no i spora porcja ambicji. Jest teraz oficjalnym przedstawicielem ministerstwa w JASNEJ GWIEZDZIE i entuzjastycznym, jak widać z dziennika, zwolennikiem tego przedsięwzięcia.

— A co wy o nim myślicie? — Przewodniczący KGB zadawał pytania głosem szorstkim, ale bez złości. Miał mnóstwo pracy i bardzo cenił swój czas.

— Jak dotąd nie mamy żadnych podstaw, by go podejrzewać. Został odznaczony za służbę w Afganistanie. Dowodził tam grupą Specnazu, która wpadła w zasadzkę, ale odparła zaciekły atak bandytów. Na terenie JASNEJ GWIAZDY zganił tamtejszy oddział wartowniczy KGB za rozluźnioną dyscyplinę. W swym oficjalnym raporcie dla ministra podaje przyczyny i trudno się z nim nie zgodzić.

— Czy podjęto w związku z tym jakieś działania? — zapytał Gierasimow.

— Oficer, którego delegowano do omówienia sprawy, zginął w wypadku lotniczym w Afganistanie. Wkrótce poleci tam ktoś inny.

— Co z łaziebny?

— Nadal go szukamy. Jak na razie bez rezultatów. Obstawiliśmy wszystko: lotniska, dworce, wszystko. Jeżeli będziemy mieć jakieś informacje, natychmiast was zawiadomię.

— W porządku. Możecie odejść, pułkowniku. — I Gierasimow zajął się papierami na biurku.

Po wyjściu Watutina przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego pozwolił

sobie na uśmiech. Zdumiewał go pomyślny bieg wypadków. Sprawa Waniejewej to mistrzowskie pociągnięcie. Nieczęsto udaje się wykryć siatkę szpiegowską w Moskwie, a i wtedy gratulacje przemieszane są z pytaniami typu: dlaczego zajęło wam to tyle czasu? Tym razem takich pytań nie będzie, na pewno nie, zważywszy, że ojciec Waniejewej miał wejść w skład Biura Politycznego. Sekretarz Narmonow myślał, że tamten będzie lojalny wobec człowieka, który załatwił mu awans. Ten Narmonow ze swoimi mrzonkami o redukcji uzbrojenia, o osłabieniu wpływu partii na życie narodu, o „liberalizacji” tego, co partia uważa za dziedzictwo historyczne... Gierasimow zmieni to wszystko.

Oczywiście, nie będzie to proste. Miał tylko trzech pewnych popleczników w Biurze Politycznym, ale jednym z nich był Aleksandrow, ideolog, którego Narmonowowi nie udało się wysłać na emeryturę po przejściu do obozu przeciwników. Teraz zaś zyskał kolejnego sojusznika, o którym towarzysz Generalny Sekretarz nie miał pojęcia. Z drugiej jednak strony Narmonowa popierało wojsko.

Walnie przyczynił się do tego Mathias Rust, niemiecki nastolatek, który wynajętą Cessną wylądował na Placu Czerwonym. Narmonow to przebiegły facet. Rust przyleciał do Związku Radzieckiego w Dzień Wojsk Pogranicza (tego zbiegu okoliczności nie potrafił wyjaśnić), ale Narmonow nie zezwolił KGB na odpowiednie przesłuchanie tego chuligana! Gierasimow do tej pory zrywał się na samo wspomnienie. Chłopak zaplanował lot na jedyny dzień w roku, kiedy można było mieć pewność, że znaczna część wojsk granicznych KGB będzie dokumentnie pijana. To pozwoliło mu przemknąć się niepostrzeżenie nad Zatoką Fińską i wylądować, bez wykrycia przez wojska obrony powietrznej, tuż przed cerkwią Wasyla Błogosławionego.

Reakcja Generalnego Sekretarza Narmonowa była szybka: po burzliwym posiedzeniu Biura Politycznego usunął dowódcę wojsk obrony powietrznej i ministra obrony Sokołowa.

Gierasimow nie mógł się temu przeciwstawić bez narażania własnej pozycji. Nowy minister obrony, Dymitr Jazow, był człowiekiem Narmonowa, zerem wyciągniętym z dołu listy starszych oficerów, który swoje stanowisko zawdzięczał nie własnym zdolnościom, ale właśnie sekretarzowi. W ten sposób Narmonow ubezpieczył się od najbardziej zagrożonej strony.

Dodatkową komplikacją było to, że Jazow wciąż jeszcze uczył się swojej roboty i z pewnością polegał w tym względzie na takich starych specjalistach jak Filitow.

A Watutin myśli, że to taka zwyczajna sprawa szpiegowska — mruknął do siebie Gierasimow.

Środki bezpieczeństwa obowiązujące przy posługiwaniu się informacjami Kardynała uniemożliwiały Foleyowi wysyłanie jakichkolwiek informacji normalną drogą. Nie wolno mu było nawet korzystać z jednorazowych tablic szyfrowych, teoretycznie nie do złamania. Toteż jego na pozór niewinne pismo

dołączone do najnowszego meldunku miało ostrzec odbiorców z kręgu DELTY, że dane, które otrzymują, to nie całkiem to, czego oczekiwali.

Uświadomiwszy to sobie, Bob Ritter omal nie wyskoczył z fotela. Sporządził fotokopie meldunku i spalił oryginał, po czym udał się do gabinetu sędziego Moore'a. Greer i Ryan już tam byli.

— Skończył mu się film — oznajmił Ritter, gdy tylko drzwi się za nim zamknęły.

— Co takiego? — spytał Moore.

— Wyłynęło coś nowego. Wygląda na to, że nasi koledzy z KGB mają w KLIPRZE

HERBACIANYM agenta, który właśnie przekazał im większość planów tego nowego, śmiesznego lustreczka. Według Kardynała to było ważniejsze: nie starczyło mu taśmy na wszystko, więc zdecydował, że należy dać pierwszeństwo knowaniom KGB. Na temat ich systemu laserowego mamy tylko połowę informacji.

— Może ta połowa wystarczy — zauważył Ryan, czym ściągnął na siebie gniewne spojrzenie. Rittera wcale nie cieszyło, że Ryan został dopuszczony do materiałów klasy DELTA.

— Omawia skutki zmian projektu, ale nie ma nic o samych zmianach.

— Czy jesteśmy w stanie ustalić, gdzie jest źródło przecieku po naszej stronie? — zapytał admirał Greer.

— Być może. To ktoś, kto zna się na zwierciadłach. Parks musi to zaraz zobaczyć. Panie doktorze — zwrócił się do Ryana. — Pan tam przecież był. Co pan o tym myśli?

— Próba, którą oglądałem, potwierdziła prawidłowe działanie zwierciadła i programu komputerowego, który nim steruje. Jeżeli Rosjanom uda się to skopiować... cóż, wiemy, że sprawę laserów mają już zapiętą na ostatni guzik. — Zawiesił na chwilę głos. — Panowie, to przerażająca perspektywa. Jeżeli Rosjanie dojdą do tego wcześniej, wszystkie założenia negocjacji rozbrojeniowych można wyrzucić na śmietnik, no i znajdziemy się w gorszej sytuacji strategicznej. Minie wprowadzie jeszcze parę lat, zanim ten problem się ujawni ale...

— Dobrze, jeżeli naszemu człowiekowi uda się załatwić tę cholerną kasetę — powiedział zastępca dyrektora CIA do spraw operacyjnych — będziemy mogli się tym odpowiednio zająć.

Dobrze chociaż, że ten Bondarienko, którego Misza wybrał do prowadzenia spraw techniki laserowej w ministerstwie, będzie regularnie meldował naszemu człowiekowi, co się dzieje. Żle natomiast, że...

— Tym nie musimy się zajmować w tej chwili — przerwał mu sędzia Moore. Nie ma potrzeby

wtajemniczać w to Ryana — powiedziały jego oczy Ritterowi, a ten natychmiast skinął

głową. — Jack, mówiłeś, że masz coś jeszcze?

— W poniedziałek zostanie mianowany nowy członek Biura Politycznego, Ilja Arkadjewicz Waniejew. Wiek sześćdziesiąt trzy lata, wdowiec. Jedna córka, Swietłana, pracowniczka Gosplanu. Rozwiedziona, ma jedno dziecko. Waniejew to dość prostolinijny facet, uczciwy jak na ich stosunki, trzymający się z dala od brudów, o których przecież dobrze wie.

Awansuje ze stanowiska w Komitecie Centralnym, które przejął po Narmonowie. Zajmował się rolnictwem i dość dobrze sobie radził. Uważa się, że będzie człowiekiem Narmonowa, a to daje tamtemu poparcie czterech członków Biura Politycznego, czyli o jednego więcej niż frakcja Aleksandrowa. Tak więc... — przerwał, zobaczywszy zasmucone twarze trzech pozostałych. —

O co chodzi?

— O jego córkę. Pracuje dla sir Basila — wyjaśnił sędzia Moore.

— To niech przestanie — powiedział Ryan, — Miło byłoby mieć takie źródło informacji, ale gdyby to się wydało, podobny skandal zagroziłby Narmonowowi. Nie mieszać jej do niczego.

Może za kilka lat będzie można jej znowu użyć, ale teraz wyłączcie ją, do cholery.

— To nie będzie takie łatwe — rzucił Ritter, ale nie rozwijał swej myśli. — Czy ocena jest już gotowa?

— Skończyłem wczoraj.

— Dostanie ją prezydent i jeszcze parę osób, ale na tym koniec.

— Rozumiem. Jeszcze dziś zrobię czystopis. Jeżeli to wszystko...? — Ryan wyszedł z gabinetu. Moore poczekał, aż zamkną się za nim drzwi i dopiero wtedy powiedział:

— Jeszcze nikomu o tym nie wspominałem, ale prezydent jest znowu zaniepokojony polityczną pozycją Narmonowa. Ernie Allen obawia się, że najnowsza zmiana stanowiska radzieckiego wskazuje na słabnące poparcie dla Narmonowa. Przekonał szefa, że nie jest to najodpowiedniejsza pora na wywieranie nacisku w paru kwestiach. Co oznacza, że jeżeli wyciągniemy stamtąd Kardynała, może to pociągnąć za sobą niepożądane skutki polityczne.

— Jeżeli Miszę złapią, skutek będzie taki sam — zauważył Ritter. — Nie mówiąc już o nieco szkodliwszych skutkach dla niego osobiście. Arturze, już depczą mu po piętach. Mogli się też dobrać do córki Waniejewa...

— Wróciła do pracy w Gosplanie — powiedział dyrektor CIA.

— Tak, ale zniknął ten facet z pralni. Dobrali się do niej i złamali — stwierdził jego zastępca do spraw operacyjnych. — Musimy go wyciągnąć. Nie możemy go tak zostawić na łasce losu. Jesteśmy mu to winni.

— Nie mogę wydać zezwolenia na ewakuację bez zgody prezydenta. Ritter był bliski wybuchu. — No to ją załatw! Do diabła z polityką — w tym przypadku polityka głównie mnie obchodzi! Przemawiają za tym także względy praktyczne, Arturze. Jeżeli pozwolimy pogrzyść takiego człowieka, jeżeli nie ruszymy palcem, żeby go ochronić, to sprawa się rozniesie...

jeszcze Rosjanie zrobią z tego cykl telewizyjny! Na dłuższą metę będzie nas to kosztowało więcej niż chwilowe ustępstwo polityczne.

— Chwileczkę — wtrącił się Greer. — Jeżeli dobrali się do córki tego partyjniaka, to dlaczego wróciła do pracy?

— Polityka? — zastanawiał się Moore. — Myślicie, że KGB nie może się zabrać za rodzinę tego faceta?

— Oczywiście! — parsknął zastępca do spraw operacyjnych. — Gierasimow jest we frakcji opozycyjnej i miałby pominąć okazję do zamknięcia drogi do Biura Politycznego człowiekowi Narmonowa? Tu czuć politykę, ale nie tego rodzaju. Bardziej prawdopodobne, że nasz przyjaciel Aleksandrow ma w ręku nową figurę, o czym Narmonow nie wie.

— A więc uważasz, że ją złamali, ale wypuścili i wykorzystają to jako środek nacisku na jej starego? — zapytał Moore. — To się trzyma kupy. Nie mamy jednak dowodów.

— Aleksandrów jest za stary, by ubiegać się o stanowisko dla siebie, a poza tym ideolog zazwyczaj nie trafia na najwyższy stołek. Funkcja ojca królów jest ciekawsza. Gierasimow to jego pupilek, o którym wiemy, że ma dość ambicji, by koronować się na Mikołaja Trzeciego.

— Bob, właśnie podałeś kolejny powód, by nie rozrabiać w tej chwili. — Greer zrobił

przerwę na łyk kawy. — Mnie też nie podoba się pomysł pozostawienia tam Filitowa. Czy jest możliwe, żeby zaprzestał działania? Przecież wszystko jest tak zorganizowane, że mógłby się wybronić przed każdym zarzutem, który mu przedstawia.

— Nie, James — Ritter zdecydowanie potrząsnął głową. — Nie możemy pozwolić, by przestał działać, ponieważ potrzebna jest nam reszta jego meldunku, prawda? Jeżeli zaryzykuje jego przekazanie mimo że mają na niego oko, nie będziemy mogli go zostawić własnemu losowi.

To nie w porządku. Pamiętajcie, co dla nas zrobił przez te wszystkie lata. — Ritter dalej jeszcze dowodził swych racji, wykazując tę żarliwą lojalność wobec podległych mu ludzi, której nauczone go jako młodego oficera operacyjnego. Chociaż agentów często trzeba było traktować jak dzieci, zachęcając, wspierając, a niekiedy nawet karząc, byli jednak dla niego jak własne dzieci i grożące im niebezpieczeństwa należało zwalczać.

Sędzia Moore przeciął tę dyskusję. — Bob, wysuwasz dobre argumenty, ale mimo wszystko decyzja należy do prezydenta. To już nie jest zwykła operacja.

Ritter podtrzymywał swój pogląd. — Trzymajmy wszystko w pogotowiu.

— W porządku, ale nie zaczniemy, dopóki nie dostaniemy zgody.

Pogoda w Faslane była marna, lecz o tej porze roku to normalne. Wiatr o prędkości piętnastu metrów na sekundę siekł deszczem i śniegiem wybrzeże Szkocji, gdy „Dallas”

wynurzył się na powierzchnię. Mancuso zajął stanowisko w kiosku i obserwował skaliste wzgórza na horyzoncie. Kończył się jego przyspieszony rejs przez Atlantyk z przeciętną prędkością trzydziestu jeden węzłów, maksymalną na jaką mógł sobie pozwolić przez taki długi okres. W zanurzeniu płynął bliżej brzegów, niż by sobie życzył, ale w końcu płacono mu za wykonywanie rozkazów, a nie za ustosunkowywanie się do nich.

Fale niespokojnego morza sięgały pięciu metrów. Zanurzając się w nich i kołysząc na boki, okręt parł naprzód z prędkością dwunastu węzłów. Woda przelewała się nad zaokrąglonym dziobem i rozbryzgiwała wysoko, uderzając o tępą krawędź kiosku. Nawet sztormiak niewiele pomógł: po kilku minutach kapitan był już przemoczony i zziębnięty. Holownik marynarki brytyjskiej, który podszedł z lewej strony dziobu, prowadził „Dallas” w głąb jednej ze szkockich zatok. Mancuso starał się tymczasem przezwyciężyć napad morskiej choroby, która czasem go dopadała, co było jego najlepiej strzeżoną tajemnicą zawodową. Łatwiej było to znieść w kiosku, ale inni, znajdujący się w owalnym kadłubie okrętu podwodnego, żalowali teraz, że parę godzin wcześniej zjedli obfity lunch.

Po kilkudziesięciu minutach znaleźli się na osłoniętych wodach, zawijając do bazy wykorzystywanej przez brytyjskie i amerykańskie atomowe okręty podwodne. Tu wiatr im sprzyjał, spychając ciemnoszary kształt okrętu w kierunku nabrzeża. Paru ludzi czekało już w samochodach. Wachta pokładowa zamocowała rzucone cumy. Po spuszczeniu trapu Mancuso wrócił do kabiny.

Jego pierwszym gościem był jakiś komandor. Spodziewał się podwodniaka, ale ten nie miał żadnych oznak, wskazujących na rodzaj wojsk. Prawdopodobnie więc był z wywiadu.

— Jak minęła podróż, kapitanie — zapytał przybysz.

— Spokojnie — odpowiedział i pomyślał: No, dalej, mów, o co chodzi.

— Wypływa pan za trzy godziny. Tu są pańskie rozkazy. — Podał brązową zalakowaną kopertę, na której napisano, kiedy Mancuso ma ją otworzyć. Widział to często na filmach, ale jako dowódca okrętu spotkał się z tym po raz pierwszy. Zwykle miało się możliwość omówić zadanie z ludźmi, którzy ci je zlecają. Tym razem było inaczej. Mancuso pokwitował odbiór, zamknął całość w sejfie pod baczynym okiem tajniaka i pożegnał go.

— Cholera jasna — powiedział do siebie.

Teraz na pokład weszli kolejni goście. Było ich dwóch, obaj ubrani po cywilnemu.

Pierwszy zszedł lukiem do załadunku torped zachowując się jak prawdziwy marynarz. Po chwili Mancuso nie miał już wątpliwości.

— Uszanowanie, panie kapitanie!

— Jones! Co, u diabła, tu robisz?!

— Admirał Williamson dał mi do wyboru: albo powołanie do służby okresowej, albo zatrudnienie na statku w charakterze cywilnego technika. Wolałem to drugie. Bardziej się opłaca.

— Jones zniżył głos. — Ten tam to pan Clark. Niezbyt rozmowny.

To okazało się prawdą. Mancuso przydzielił mu wolną koję w kajucie głównego mechanika. Gdy tylko zniesiono jego rzeczy, pan Clark wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi, i tyle go widziano.

— Gdzie mam wepchnąć swoje manele? — zapytał Jones.

— Tu niedaleko jest wolna koja — odpowiedział Mancuso.

— Świetnie. Przy szefostwie trochę się pożywię.

— Co na uczelni?

— Został mi semestr do magisterium, a już mnie podkupują firmy. No i zaręczyłem się.

— Jones wyciągnął portfel i pokazał kapitanowi zdjęcie. — Nazywa się Kim i pracuje w bibliotece.

— Gratuluję.

— Dzięki, kapitanie. Admirał mówił, że jestem panu potrzebny. Kim to rozumie, bo jej stary jest w wojsku. O co idzie? Jakaś op-spec, przy której nie obejdzie się pan beze mnie, tak?

— „Operacja specjalna” była eufemizmem na określenie wszelkiego rodzaju działań — w większości niebezpiecznych.

— Nie wiem. Jeszcze mi nie powiedziano.

— Cóż, jedna więcej przejażdżka „północnym” nie zaszkodzi — powiedział Jones. —

Prawdę mówiąc, trochę mi tego brakowało.

Mancuso nie sądził, by mieli popłynąć w tamtą stronę, ale nic nie powiedział. Jones ruszył, żeby się urządzić, a Mancuso poszedł do kajuty mechanika.

— Panie Clark?

— Tak, słucham. — Przybysz ściągnął już marynarkę, pod którą miał koszulę z krótkimi rękawami. Mancuso ocenił go na nieco ponad czterdziestkę. Na pierwszy rzut oka nie było w nim nic szczególnego — wzrost około metra osiemdziesiąt, szczupły. Po chwili jednak kapitan zauważył brak zwykłej w tym wieku warstwy tłuszczu w pasie oraz szerokie bary. Dopiero rzut oka na rękę pozwolił złożyć to wszystko do kupy. Na przedramieniu na w pół ukryty pod owłosieniem widać było tatuaż: czerwona foka, o szerokim, beczelnym uśmiechu.

— Znałem faceta z takim tatuażem. Oficer. Teraz jest w grupie specjalnej, w marynarce.

— To było dawno temu, kapitanie. Nie będziemy o tym mówić.

— O co tu chodzi?

— Sir, pańskie rozkazy...

— Proszę mi odpowiedzieć — Mancuso zbył rozkazy uśmiechem. — Już wciągnęli trap.

— Trzeba kogoś wydostać.

O Boże — pomyślał Mancuso, ale kiwnął głową z kamiennym wyrazem twarzy. — Czy będę musiał dodatkowo w czymś pomóc?

— Nie, panie kapitanie. Robota dla jednego. Ja i mój sprzęt.

— W porządku. Szczegóły omówimy po wypłynięciu. Będzie pan jadał w mesie oficerskiej. Tą schodnią w dół, cofnąć się w kierunku rufy, po prawej burcie. Jeszcze jedno: czy odgrywa tu rolę czas?

— Nie, chyba że nie będzie pan chciał poczekać. Nie wszystko jeszcze ostatecznie dopracowano — tyle tylko mogę panu powiedzieć, kapitanie. Niestety, mnie też obowiązują jakieś rozkazy.

— Całkowicie rozumiem. Pańska koja jest na górze. Proszę się wyspać, jeżeli tego panu trzeba.

— Dziękuję, panie kapitanie. — Clark patrzył za wychodzącym, ale uśmiechnął się dopiero, gdy tamten zamknął drzwi. Nie był dotąd na okrętach podwodnych klasy Los Angeles.

Większość akcji wywiad prowadził z mniejszych, łatwiejszych do manewrowania okrętów klasy Sturgeon. Zawsze przychodziło mu spać w tym samym miejscu: na każdym okręcie jedynym wolnym łóżkiem była górna koja w kajucie mechanika. Jak zwykle miał tu kłopot z upchnięciem bagaży, ale Clark robił to już wystarczająco często, by sobie poradzić. Kiedy skończył, wdrapał

się na koję.

Był zmęczony lotem i potrzebował kilku godzin wypoczynku. Koją była jak zawsze twarda, tuż przy krzywiźnie kadłuba okrętu. Wydawało mu się, że leży w trumnie z na wpół przymkniętym wiekiem.

— Należy podziwiać Amerykanów za ich pomysłowość — powiedział Morozow.

Ostatnie tygodnie w ośrodku były bardzo pracowite. Tuż po próbie, a ściślej mówiąc, po wyjeździe gościa z Moskwy, w dwóch z sześciu laserów zdjęto instalację chłodzącą i zdemontowano do przeglądu. Okazało się, że ich układy optyczne były nadpalone. Nadal więc powłoka nastęrczała kłopoty. Szef Morozowa stwierdził, że jest to prawdopodobnie kwestia kontroli jakości wykonania, a tym samym zepchnął jej rozwiązanie na inny zespół techniczny.

To, czym zajmowali się teraz, było o wiele ciekawsze: mieli plany zwierciadła amerykańskiego, o którym tyle słyszeli przez ostatnie lata.

— Autorem tego pomysłu jest jakiś astronom. Chciał znaleźć taki sposób na wykonanie fotografii nieba, żeby nie miało na nie wpływu „mruganie” gwiazd. Nikt mu nie powiedział, że to niemożliwe, więc zabrał się do pracy i dopiął swego. Znałem ogólną zasadę, ale nie szczegóły.

Mieliście rację, młody człowieku. To bardzo sprytne rozwiązanie, za sprytne dla nas — burknął, przerzucając arkusze z wyliczeniami komputerowymi. — Nie mamy nic, co mogłoby dać podobny wynik. Weźmy na przykład siłowniki. Nie wiem, czy potrafilibyśmy je wykonać.

— Amerykanie budują teleskop...

— Tak, wiem, na Hawajach. Ale z punktu widzenia rozwiązań technicznych ten na Hawajach pozostaje daleko w tyle za tym tutaj. Amerykanie dokonali przełomu, o którym naukowcy na świecie jeszcze nie wiedzą. Proszę spojrzeć na daty na rysunkach. Może nawet to urządzenie już działa. — Pokręcił głową. — Wyprzedzili nas.

— Nie możesz tu dłużej zostać.

— Rozumiem. Dziękuję za schronienie przez tyle czasu. — Wdzięczność Edwarda Wasiljewicza Altunina była szczerą. Miał miejsce do spania, kilka ciepłych posiłków i mógł poczynić dalsze plany.

A w każdym razie próbował coś zaplanować. Nie był nawet w stanie ocenić przeciwności, z którymi przyszło mu się borykać w pracy tutaj. Na Zachodzie mógłby z łatwością dostać nowe ubranie, perukę, a nawet zestaw do charakteryzacji wraz z instrukcją, jak go używać do zmiany rysów twarzy. Na Zachodzie ukrytoby go na tylnym siedzeniu samochodu i w ciągu czterech godzin wywieziono trzysta kilometrów dalej. Żadnej z tych możliwości nie miał w Moskwie.

KGB niewątpliwie przeszukało już jego mieszkanie i ustaliło, jak był ubrany. Znali jego twarz i kolor

włosów. Z pewnością jednak nie wiedzieli, że miał grupkę przyjaciół z czasów służby w Afganistanie. Nigdy nikomu o nich nie opowiadał.

Zaproponowali mu inny płaszcz, ale nie pasował na niego, a poza tym nie chciał bardziej narażać tych ludzi. Opracował już sobie właściwą historyjkę: schronienia udzieliła mu banda przestępców, o kilka przecznic dalej. Jednym z mało znanych na Zachodzie aspektów życia Moskwy była rosnąca z dnia na dzień przestępczość. Nie dorównano wprawdzie jeszcze pod tym względem miastom amerykańskim podobnej wielkości, ale w pewnych dzielnicach nieroztropnie było wychodzić nocą na ulicę. Ponieważ jednak obcokrajowcy nieczęsto tam trafiali, a przestępcy rzadko na nich napadali (takie incydenty wywoływały natychmiastową reakcję milicji moskiewskiej), wiadomości o tym rozchodziły się powoli.

Wyszedł na Trofimowa, brudną ulicę w pobliżu rzeki. Altunina zdumiała własna głupota. Zawsze sobie powtarzał, że gdyby miał uciekać z miasta, to tylko na barce towarowej.

Jego ojciec przepracował na nich całe życie i Edward znał takie schowki, że nikt by go nie znalazł. Ale rzeka była zamrznięta i ruch barek ustał, a on o tym nie pomyślał! Był na siebie wściekły.

Nie ma sensu dręczyć się tym teraz — powiedział sobie. Musi być jakiś inny sposób.

Wiedział, że o kilometr dalej jest fabryka samochodów Moskwič, pociągi zaś jeżdżą przez okrągły rok. Musiał dostać się do któregoś z jadących na południe, ukryć w wagonie towarowym wypełnionym częściami samochodowymi. Przy odrobinie szczęścia dojedzie do Gruzji, gdzie nikt nie będzie dokładnie sprawdzał jego nowych dokumentów. W Związku Radzieckim ludzie też znikają. W końcu to kraj o dwustu osiemdziesięciu milionach mieszkańców. Zgubienie lub zniszczenie dokumentów zdarza się nagminnie. Zastanawiał się, w jakim stopniu myśli te odpowiadają rzeczywistości, a w jakim są tylko próbą podniesienia się na duchu.

Ale nie mógł już zatrzymać się w pół drogi. To wszystko miało swój początek w Afganistanie i chyba nigdy się nie skończy.

Kiedyś był w stanie o tym nie myśleć. Jako kapral w kompanii saperskiej zajmował się

„urządzeniami antyterrorystycznymi”, jak to określano w Armii Radzieckiej. Rozrzucano je z powietrza, lecz częściej robili to radzieccy żołnierze po zakończeniu przeszukiwania wsi. Były to albo typowe, barwne rosyjskie lalki matrioski, albo samochodziki, albo wieczne pióra. Dorośli poznali się na tym szybko, dzieci jednak gubiła ciekawość i niezdolność uczenia się na błędach innych. Wkrótce przekonano się, że dzieci podniosą każdą rzecz. Zmniejszono więc ilość bomb w kształcie lalek. Ale jedno pozostało niezmiennione: sto gram materiału wybuchowego, eksplodującego przy podniesieniu. Jego zadanie polegało na montowaniu tych min i szkoleniu żołnierzy w odpowiednim posługiwaniu się nimi.

Z początku Altunin nie zaprzętał sobie tym myśli. Taką miał służbę, dostawał rozkazy z góry; Rosjanie zarówno z natury jak i z wyrobionych w nich nawyków, nie są skłonni kwestionować poleceń góry. Poza tym była to bezpieczna i łatwa robota. Nie musiał nosić karabinu i łązić po wsiach pełnych bandytów. Czyhały na niego jedynie niebezpieczeństwa na bazarach Kabulu, toteż zawsze chodził tam w grupie co najmniej pięcioosobowej. Ale w czasie jednej z takich wycieczek zobaczył małe dziecko — nie wiedział czy to chłopiec, czy dziewczynka — którego prawa ręka wyglądała teraz jak szpon. Nigdy nie zapomni wzroku, jaki matka dziecka wbiła w niego i jego towarzyszy. Znał opowieści o tym, jak to afgańscy bandyci ze szczególną uciechą obdzierają żywcem ze skóry schwytych radzieckich pilotów, i że często zajmują się tym ich kobiety. Uważał to za oczywisty dowód barbarzyństwa tych prymitywnych ludzi. Ale dziecko nie jest prymitywne. Tak głosi marksizm. Weź jakiegokolwiek dziecko, wyszkol je i pokieruj nim odpowiednio, a stanie się komunistą i pozostanie nim do śmierci. Lecz nie to dziecko. Pamiętał tamten chłodny listopadowy wieczór dwa lata temu. Rana już się zagoiła, a dziecko nawet się uśmiechało. Było zbyt małe, by zdać sobie sprawę z tego, że zniekształcenie pozostanie na zawsze. Matka natomiast wiedziała — wiedziała jak i dlaczego jej dziecko zostało ukarane za to, że... się urodziło. Po tym spotkaniu jego zajęcie nie było już takie bezpieczne, takie łatwe. Za każdym razem, gdy mocował materiał wybuchowy w urządzeniu, widział ową pulchną, dziecięcą rączkę. Zaczął widywać ją w snach. Picie czy nawet próby z haszyszem, nie odeгнаły tych obrazów. Rozmowy z kolegami w kompanii nie pomogły, za to ściągnęły na niego wrogość oficera politycznego. To ciężka robota — wyjaśnił mu zampolit — ale konieczna, rozumiecie, dla uniknięcia większych strat. Narzekanie nic tu nie zmieni, chyba że chcecie, kapralu, dostać przeniesienie do kompanii piechoty, a tam na własne oczy zobaczycie, dlaczego potrzebne są tak ostre środki.

Teraz wiedział, że należało wówczas przyjąć tę propozycję i nienawidził siebie za tchórzostwo, które go powstrzymywało. Służba w kompanii liniowej mogłaby odbudować jego szacunek dla samego siebie, mogła... mogła uczynić wiele, lecz Altunin nie zdecydował się i wszystko zostało po staremu. Dorobił się tylko notatki politruka, która miała go przesładować do końca życia.

Potem próbował zmasać tamtą winę. Mówił sobie, że już chyba tego dokonał i teraz jeżeli tylko dopisze mu szczęście, zdoła zniknąć, a nawet zapomnieć o swych strasznych zabawkach.

Była to jedyna napawająca otuchą myśl krążąca mu po głowie tego zimnego, pochmurnego wieczora.

Szedł na północ, trzymając się z dala od brudnych chodników, kryjąc się w mroku, poza światłami latarni. Na ulicach było sporo robotników wracających po zmianie w fabryce samochodów, lecz kiedy dotarł do torów przy zakładach, ruch już ustał. Zaczął padać gęsty śnieg, ograniczając widzialność do stu metrów. Wokół lamp nad nieruchomymi wagonami towarowymi wirowały śnieżne płatki. Formowano skład pociągu, chyba jadącego na południe, jak sobie tłumaczył. Lokomotywy manewrowe jeździły tam i z powrotem, przesuważąc wagony z jednej bocznicy na drugą. Przez kilka minut stał w cieniu wagonu, by dokładnie zobaczyć, co się dzieje.

Tymczasem wiatr się wzmógł i Altunin zaczął rozglądać się za lepszym punktem obserwacyjnym. O jakieś pięćdziesiąt metrów od niego stało kilka wagonów, z których miałby lepszy widok. Drzwi jednego z nich były otwarte. Jeżeli chciał włamać się do jakiegoś wagonu, musiał teraz obejrzeć

zamknięcia. Ruszył z opuszczoną głową, by zasłonić twarz przed wiatrem.

Oprócz skrzypienia śniegu pod nogami słyszał tylko gwizdy lokomotyw manewrowych. To przyjazny dźwięk — powiedział sobie — dźwięk, który zmieni moje życie, a może doprowadzi mnie do czegoś przypominającego wolność.

Ze zdziwieniem spostrzegł, że w wagonie byli ludzie. Trzech mężczyzn. Dwóch trzymało skrzynie z częściami. Trzeci nie miał w ręku nic do chwili, gdy sięgnął do kieszeni i wyciągnął

nóż.

Altunin chciał coś powiedzieć. Nie obchodziło go, że kradli części, by sprzedać je na czarnym rynku. Wcale go to nie interesowało, zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, ten trzeci skoczył na niego. Uderzenie głową w szynę go ogłuszyło. Zachował przytomność, ale przez chwilę nie mógł się ruszyć. Był tak zaskoczony, że nie miał czasu na lęk. Ten trzeci obrócił

się i coś powiedział. Altunin nie zrozumiał odpowiedzi poza tym, że była szybka i ostra. Nadal próbował pojąć, co się dzieje, gdy napastnik zwrócił się ku niemu i szybkim ruchem przeciął mu gardło. Nawet nie poczuł bólu. Chciał wyjaśnić, że on... że jego... nie obchodzi... że chciał

tylko... jeden z tamtych stał nad nim z dwoma pudłami pod pachami, i najwyraźniej to on się bał, co Altuninowi wydawało się dziwne, bo przecież nie tamten umierał, tylko on...

W dwie godziny później, maszynista zauważył na torach dziwny, pokryty śniegiem kształt, ale nie był już w stanie zatrzymać lokomotywy. Kiedy zobaczył, co przejechał, wezwał

naczelnika stacji przetokowej.

Narady

— Piękna robota — orzekł Watutin. — To skurwiele. — I dokończył pod nosem: Złamali zasadę. Była to wprawdzie niepisana zasada niemniej przestrzegana: CIA nie zabija obywateli Związku Radzieckiego w ich własnym kraju, a KGB nie zabija Amerykanów, czy też zbiegów radzieckich, na terenie Stanów Zjednoczonych. O ile wiedział, zasady tej nie pogwałciła żadna ze stron, w każdym razie nie tak jaskrawie. To całkiem zrozumiałe: celem działalności agencji wywiadowczych jest zbieranie informacji. Gdyby funkcjonariusze KGB i CIA marnowali czas na zabijanie ludzi (co wiąże się z nieuniknionym odwetem i kontrodwetem), nie wykonywano by zadań podstawowych. Działalność wywiadowcza była więc działalnością cywilizowaną i dającą się przewidywać. W krajach Trzeciego Świata obowiązywały oczywiście inne zasady, ale w Ameryce i w Związku Radzieckim skrupulatnie przestrzegano tej właśnie reguły.

To znaczy, przestrzegano do dzisiaj, chyba że mam uwierzyć, że tego skurwiela zabili złodzieje części samochodowych! Watutin zastanawiał się, czy CIA mogła wynająć do tej roboty bandę kryminalistów, podejrzewał bowiem, że Amerykanie używają radzieckich przestępców do prac zbyt brudnych, by kalaly ich własne białe rączki. Wówczas nie byłoby to już naruszenie zasady, prawda? Ciekaw był, czy ludzie z Zarządu Pierwszego też stosowali takie sztuczki...

Wszystko co wiedział na razie to to, że stracił kolejne ogniwo w siatce łącznikowej, a wraz z nim jedyną nadzieję na powiązanie mikrofilmu ze szpiegiem w Ministerstwie Obrony.

Watutin poprawił się: wiedział także, że za jakieś sześć godzin będzie musiał o tym zameldować przewodniczącemu. Potrzebował kielicha. Pokręcił głową i spojrział w dół na to, co zostało z podejrzanego. Padał tak gęsty śnieg, że już nie widać było krwi.

— Gdyby trochę sprytniej ułożyli ciało na torach, moglibyśmy uznać to za wypadek —

powiedział jeden z oficerów KGB. Mimo budzącego zgrozę widoku tego, czego dokonały z ciałem koła lokomotywy, było oczywiste, że Altuninowi poderżnięto fachowo gardło nożem o wąskim ostrzu. Śmierć, jak mówił lekarz, nastąpiła w ciągu minuty. Nie było żadnych śladów walki. Ręce ofiary, a właściwie zdrajcy, nie były ani podrapane, ani pocięte. Nie próbował

walczyć z tym, kto go zabił. Wniosek: prawdopodobnie znał swego zabójcę. Czy mógł nim być jakiś Amerykanin?

— Po pierwsze — powiedział Watutin — chcę wiedzieć, czy ktoś z Amerykanów przebywał poza domem między osiemnastą a dwudziestą trzecią. — Obrócił się. — Doktorze!

— Słucham, towarzyszu pułkowniku?

— Czas zgonu — możecie powtórzyć?

— Sądząc po temperaturze większych kawałków, między dwudziestą pierwszą a północą.

Myślę, że bliżej dwudziestej pierwszej, ale zimno i pokrywa śniegowa utrudniają ocenę. — Po czym dodał w duchu: Nie mówiąc już o stanie szczątków.

Watutin zwrócił się do swego głównego pomocnika:

— Jeżeli któregoś nie było w domu, chcę wiedzieć kogo, kiedy, gdzie i dlaczego.

— Może zaostrić inwigilację wszystkich obcokrajowców? — zastanawiał się na głos tamten.

— W tej sprawie muszę się zwrócić do przewodniczącego, ale też o tym myślę.

Porozmawiajcie z naczelnikiem wydziału śledczego milicji. Ta sprawa ma być ściśle tajna. Nie chcę, żeby chmara milicjantów wywracała mi ją do góry nogami.

— Rozumiem, towarzyszu pułkowniku. Zresztą ich będzie interesowało wyłącznie odzyskanie części samochodowych — przytaknął z kwaśną miną pomocnik. Cała ta pieriestrojka zmienia nas w kapitalistów! — pomyślał.

Watutin podszedł do maszynisty. — Zimno dziś, co? Aluzja była jasna. — Zimno, towarzyszu. A może byście czego spróbowali na rozgrzewkę?

— Z przyjemnością, towarzyszu maszynisto.

— Już się robi, towarzyszu pułkowniku. — Maszynista wyciągnął niewielką butelkę. Gdy tylko się zorientował, że ten człowiek to pułkownik KGB, pomyślał, że jego los jest przesądzony.

Ale facet wydawał się dość przyzwoity. Jego koledzy też byli rzeczowi, tak jak ich pytania.

Maszynista poczuł się swobodniej, dopóki nie uświadomił sobie, że może być ukarany za posiadanie alkoholu w miejscu pracy. Pułkownik pociągnął długi łyk z butelki, a potem mu ją oddał.

— Spasiba — powiedział i odszedł w zamieć.

Watutin czekał już w sekretariacie, gdy nadszedł Gierasimow. Słyszał, że przewodniczący traktuje swą pracę poważnie, że zawsze jest za biurkiem o siódmej trzydzieści. Wieści te okazały się prawdziwe. Gierasimow pokazał się w drzwiach o siódmej dwadzieścia pięć i ruchem ręki zaprosił pułkownika do gabinetu.

— Co tam?

— Altunin został zabity wczoraj późnym wieczorem na stacji manewrowej koło fabryki samochodów. Poderżnięto mu gardło i pozostawiono na torach, gdzie przejechał go parowóz.

— Jesteście pewni, że to on? — zapytał Gierasimow, marszcząc brwi.

— Tak, został zidentyfikowany. Ja też rozpoznałem jego twarz. Znalaziono go obok wagonu, w którym są ślady włamania. Brakuje trochę części samochodowych.

— Ach, więc natknął się na grupę spekulantów, a ci go gładko zabili?

— Tak to ma wyglądać, towarzyszu przewodniczący — skinął głową Watutin. — Moim zdaniem ten zbieg okoliczności jest mało przekonujący, ale brak dowodów, że było inaczej.

Nadal prowadzimy śledztwo. Sprawdzamy teraz, czy w tej okolicy mieszka któryś z kolegów Altunina z wojska, ale nie mam wielkich nadziei, że do czegoś dojdziemy.

Gierasimow zadzwonił po herbatę. W chwilę później pojawił się sekretarz i Watutin zrozumiał, że należy to do codziennego toku zajęć porannych. Przewodniczący nie przejmował

się sprawą tak bardzo, jak obawiał się pułkownik. Partyjniak czy nie, ale zachowywał się jak profesjonalista.

— Mamy więc jak dotąd trzech łączników, którzy się przyznali, i czwartego, zidentyfikowanego, ale niestety martwego. Denata widziano w bezpośredniej bliskości starszego doradcy ministra obrony narodowej, a jeden z łączników określił swojego partnera jako obcokrajowca, lecz nie jest w stanie rozpoznać jego twarzy. Krótko mówiąc, wychwyciliśmy środek tego kanału, brak nam natomiast końców.

— Zgadza się, towarzyszu przewodniczący. Trwa inwigilacja obu pułkowników z ministerstwa. Proponuję wzmoczenie obserwacji personelu ambasady amerykańskiej.

Gierasimow skinął głową. — Zgoda. Teraz już pora na odprawę. Starajcie się osiągnąć coś konkretniejszego w tej sprawie. Wyglądacie lepiej Watutin, odkąd przestaliście pić.

— Lepiej się czuję, towarzyszu przewodniczący — przyznał Watutin.

— To dobrze. — Gierasimow stał, i pułkownik uczynił to samo. — Czy rzeczywiście uważacie, że nasi koledzy z CIA zabili swojego człowieka?

— Śmierć Altunina była im bardzo na rękę. Zdaję sobie sprawę, że byłoby to naruszenie naszej... naszej umowy w tych sprawach, ale...

— Ale mamy prawdopodobnie do czynienia z wysoko postawionym agentem i tamtym bez wątpienia bardzo zależy na chronieniu go. Tak, rozumiem. Starajcie się, Watutin —

powtórzył Gierasimow.

Foley także był już w swym gabinecie. Na biurku leżały trzy kasety z filmem dla Kardynała. Kolejny

problem to dostarczenie tych cholernych filmów. Rzemiosło szpiegowskie to gęstwina ząbających się sprzeczności. Pewne sprawy są diabelnie trudne. Niektóre niosą ze sobą takie niebezpieczeństwo, że wolałyby raczej wciąż pracować w redakcji „New York Timesa”. Są jednak i tak łatwe, że mógłby ich wykonanie zlecić swoim dzieciom. Ta właśnie myśl nachodziła go już parokrotnie i chociaż nigdy nie brał jej poważnie, chwilami, gdy umysł

miał zmacony paroma drinkami, wyobrażał sobie, że Eddie mógłby wziąć kawałek kredy i zrobić odpowiedni znak w odpowiednim miejscu. Od czasu do czasu pracownicy ambasady spacerowali po Moskwie zachowując się w sposób nieco odbiegający od normy. W lecie kwiatki w butonierkach, a potem wyjmowali je bez widocznej przyczyny, i oficerowie KGB obserwujący Amerykanów gorączkowo lustrowali chodniki poszukując osoby, dla której był przeznaczony ów

„sygnał”. Niektórzy przez cały rok łazili po ulicach, robiąc zdjęcia. W gruncie rzeczy, rzadko robili to na wyraźne polecenie. Część z nich odczuwała po prostu nieprzewartą potrzebę zachowywania się jak przystało na ekscentrycznych Amerykanów i doprowadzania Rosjan do szaleństwa. Dla oficera kontrwywiadu wszystko mogło być tajnym znakiem: opuszczona osłona przeciwsłoneczna w zaparkowanym samochodzie, paczka pozostawiona na przednim siedzeniu, kierunek skręcenia kół. W sumie owe „znaki”, z których część była celowa, część zaś czysto przypadkowa, sprawiały, że ludzie z „Dwójki” gorączkowo biegali po całym mieście w poszukiwaniu czegoś, co w ogóle nie istniało. Amerykanie byli w tym lepsi od Rosjan, poddanych surowej dyscyplinie, by działać naprawdę przypadkowo, toteż ich zachowania dotkliwie uprzykrzały życie pracownikom kontrwywiadu z Zarządu Drugiego.

Tyle, że ich były tysiące, a Amerykanów przydzielonych ambasadzie zaledwie siedmiuset razem z obsługą.

Foley zaś musiał dostarczyć film. Ciekaw był, dlaczego Kardynał zawsze odmawiał

korzystania ze skrytek. Teraz byłby to doskonały sposób. Skrytką może też być przedmiot, wyglądający jak zwykły kamień, czy coś innego powszedniego i nieszkodliwego, z wydrążonym środkiem, gdzie mieści się to, co ma być przekazane. W Moskwie stosowano szczególnie cegły, gdyż przede wszystkim z nich zbudowane było miasto, a na skutek powszechnie słabego wykonawstwa wiele trzymało się luźno. Gama takich przedmiotów-skrytek była nieskończona.

Możliwości dokonania wymiany błyskawicznej są natomiast ograniczone i zasadzają się na zgraniu w czasie, równie dokładnym jak w zagrywkach futbolowych. Cóż, Agencja dała mu tę robotę nie dlatego, że jest prosta. Sam nie mógł już ryzykować. Może jego żona zdoła przekazać film...

— Gdzie jest przeciek? — zapytał Parks swojego szefa służby bezpieczeństwa.

— Mogła to zrobić każda ze stu osób — odpowiedział tamten.

— Świetna wiadomość — zauważył oschle Pete Wexton, jeden z inspektorów biura kontrwywiadu w FBI. — Tylko setka.

— Może to być ktoś z grona naukowców, lub któraś z sekretarek, czy ktoś z działu finansów, a mówimy tylko o bezpośrednio związanych z badaniami. W kołach waszyngtońskich jest około dwudziestu osób, które są tak daleko wciągnięte w sprawę, że mogły widzieć te dane.

Ale wszystkie są na bardzo wysokich stanowiskach. — Szef służby bezpieczeństwa Urzędu do spraw Inicjatywy Obrony Strategicznej był komandorem Marynarki, na co dzień ubierającym się po cywilnemu. — Prawdopodobnie osoba, której poszukujemy, jest na zachodzie Stanów.

— Są tam głównie naukowcy, w większości poniżej czterdziestki. — Wexton zmrużył

oczy i dodał w myślach: Którzy „siedzą” w komputerach i uważają, że świat to taka wielka gra wideo. Problem polegał na tym, że naukowcy, szczególnie młodzi, obracali się w świecie innym, niż świat widziany oczami służby bezpieczeństwa. Według nich postęp zależał od swobodnego przepływu informacji i myśli. Cieszyły ich nowości i rozmawiali o nich w swoim gronie, szukając podświadomie synergii, pozwalającej pomysłom rozrastać się na kształt zielska w zapuszczonym ogrodzie ich laboratoriów. Dla oficera bezpieczeństwa natomiast świat idealny to taki, w którym nikt z nikim nie rozmawia. Powstaje oczywiście kwestia, czy w takim świecie w ogóle jest coś, czego warto pilnować. Zachowanie właściwej proporcji między owymi światami jest praktycznie niemożliwe, toteż funkcjonariusze bezpieczeństwa skazani są na poruszanie się zawsze gdzieś pośrodku, z nienawidzeni przez wszystkich.

— A wewnętrzne zabezpieczenie dokumentów programu? — zapytał Wexton.

— Chodzi panu o „farbowanie”?

— A cóż to znowu takiego? — zapytał generał Parks.

— Wszystkie materiały wypisuje się na komputerze. W każdy egzemplarz ważnych dokumentów wprowadza się więc maleńką zmianę. W ten sposób można śledzić ich obieg i dokładnie ustalić, który z nich przekazano przeciwnikowi — wyjaśnił komandor. — Nie robimy tego na szerszą skalę, ponieważ zabiera to zbyt dużo czasu.

— CIA używa podprogramu komputerowego, który robi to automatycznie. Nazywają to „szpiegopis”, czy jakoś tak. Pilnują go, ale wam powinni udostępnić, jeśli ich poprosicie.

— To uprzejmię z ich strony, że nas poinformowali — zrzędził Parks. — Czy pomógłby w tej sprawie?

— Może nie w tej chwili, ale trzeba wykorzystywać wszystkie atuty — odpowiedział

swemu szefowi komandor. — Słyszałem o tym programie. Nie można go używać przy dokumentach naukowych. Ich język jest zbyt precyzyjny. Jeżeli się doda coś więcej niż przecinek, można spieprzyć sens tego, o co w nich chodzi.

— Zakładając, że ktoś to w ogóle potrafi zrozumieć — powiedział Wexton, żałośnie kręcąc głową.
— A Rosjanie z pewnością potrafią. — Myślał już o środkach, jakie trzeba przedsięwziąć w tej sprawie — wymaga to setek agentów. Będą rzucać się w oczy. Społeczność naukowa może być za mała, by wchłonąć większą liczbę ludzi bez zwracania na nich uwagi.

Posunięciem oczywistym byłoby ograniczenie dostępu do informacji o próbach ze zwierciadłami, wtedy jednak ryzykuje się zaalarmowanie szpiega. Wexton zastanawiał się, dlaczego nie pozostał przy tak prostych rzeczach jak porwania czy wymuszenia mafijne. Ale sprawę KLIPRA HERBACIANEGO przedstawił mu sam Parks. To ważne zadanie, a on nadawał

się do niego najlepiej. Był tego pewien, tak bowiem powiedział dyrektor Jacobs.

Pierwszy zorientował się Bondarienko. Już od kilku dni w czasie porannych biegów towarzyszyło mu dziwne uczucie. Ten szósty zmysł, który miał zawsze, ale który dopiero pobyt w Afganistanie wydobyl z uśpienia i w pełni rozwinął, mówił mu, że ktoś go śledzi. Ale kto?

Byli dobrzy — to nie ulegało wątpliwości. Podejrzewał, że jest ich co najmniej pięciu. Z

tego wynikało, że to Rosjanie... prawdopodobnie, lecz nie na pewno. Pułkownik Bondarienko miał już za sobą kilometr biegu, gdy zdecydował się na mały eksperyment. Zmienił trasę, skręcając na prawo tam, gdzie zazwyczaj skręcał w lewo. W ten sposób znalazł się obok nowego bloku mieszkalnego. Szyby w oknach na parterze były jeszcze czyste. Uśmiechnął się do siebie, jednakże prawa dłoń bezwiednie powędrowała na biodro w poszukiwaniu pistoletu. Uśmiech znikł z twarzy, gdy zdał sobie z tego sprawę i ogarnęło go niezadowolenie, że nie ma przy sobie nic, czym mógłby się bronić, oprócz gołych rąk. Wiedział oczywiście, jak to się robi, lecz pistolet ma większy zasięg niż noga czy ręka. Nie bał się, nie o to chodziło — po prostu był żołnierzem, przywykłym do pewnych granic i zasad swego świata.

Obrócił głowę, spoglądając na odbicie w szybie. Jakies sto metrów za nim ktoś trzymał

rękę przy twarzy, jakby mówiąc do małego radiotelefonu. Ciekawe. Bondarienko zawrócił i pobiegł z powrotem, ale zanim zdążył obrócić głowę, tamten opuścił już rękę i szedł normalnie, pozornie nie zwracając uwagi na biegnącego oficera. Pułkownik Bondarienko skręcił i ruszył

dalej w swym zwykłym rytmie. Uśmiechnął się przy tym nieznacznie. Zdobył potwierdzenie. Ale czego? Obiecał sobie, że dowie się w godzinę po przyjeździe do biura.

W trzydzieści minut później był już w domu. Wykapany i ubrany, z poranną gazetą —

„Krasnaja Zwiezda”, dziennikiem wojskowych w rękę popijał herbatę. Radio grało, a żona przygotowywała dzieci do szkoły. Bondarienko niczego jednak nie słyszał, błędził niewidzącym wzrokiem po stronach, a w głowie kipiały myśli: kim są? Dlaczego mnie obserwują? Czy jestem o coś podejrzany? Jeżeli tak, to o co?

— Dzień dobry, Giennadiju Josifowiczu — powiedział Misza, wchodząc do pokoju.

— Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku — odpowiedział Bondarienko. Filitow uśmiechnął się. — Mów mi Misza. Sądząc po twoich postępach, wkrótce zakasujesz takiego staruszka jak ja. O co chodzi?

— Jestem pod obserwacją. Jacyś ludzie śledzili mnie podczas porannego biegu.

— Ach, tak? Jesteś pewny?

— Wiesz, jak to jest, kiedy masz świadomość, że cię obserwują. Na pewno wiesz, Misza

— odpowiedział z naciskiem młody pułkownik.

Ale był w błędzie. Filitow nie spostrzegł niczego niezwykłego, niczego, co pobudziłoby jego instynkt — aż do tej chwili. Teraz uderzyło go, że łaziebny jeszcze się nie pokazał. Może sygnał znaczył coś więcej niż tylko ostrzeżenie przed kolejnym normalnym sprawdzaniem przez służbę bezpieczeństwa? Po twarzy Filitowa przebiegł cień, ale szybko nad tym zapanował.

— Ty też coś zauważyłeś, prawda? — zapytał Bondarienko.

— Eee tam. — Machnięcie ręką, ironiczne spojrzenie. — Niech sobie patrzą. Okaze się, że ten staruch jest nudniejszy niż życie seksualne Aleksandrowa. — Takie uwagi na temat głównego ideologa Biura Politycznego stawały się popularne w Ministerstwie Obrony. Czy to znak — zastanawiał się Misza — że sekretarz generalny Narmonow zamierza go usunąć?

Jedli na sposób afgański, czerpiąc dłońmi ze wspólnego talerza. To, co Ortiz kazał

przygotować, było prawdziwie wystawnym obiadem. Łucznik zajmował miejsce honorowe, mając po prawej ręce Ortiza, który służył za tłumacza. Było tu też czterech wysokich funkcjonariuszy CIA. Uważał, że tamci trochę przesadzają, ale być może to miejsce, z którego światło pobiegło w niebo, jest ważne. Ortiz zaczął rozmowę od zwyczajowych zwrotów grzecznościowych, na które Łucznik odpowiedział:

— Czynicie mi zbyt wielki zaszczyt.

— Ależ skąd — replikował starszy oficer CIA za pośrednictwem Ortiza. — Zręczność twoja i odwaga są dobrze znane nam, a nawet naszym żołnierzom. Wstyd nam, że nie możemy dać ci nic więcej ponad ową skromną pomoc, na którą zezwala nasz rząd.

— Chcemy odzyskać nasz kraj — odpowiedział z godnością. — Z pomocą Allaha znów należeć będzie do nas. To dobrze, że wierni starają się wspólnie walczyć z bezbożnikami, ale to zadanie mego ludu, a nie wasze.

Nie wie — pomyślał Ortiz — nie wie, że jest wykorzystywany.

— A więc — ciągnął Łucznik — po co przejechaliście pół świata, by mówić ze skromnym wojownikiem?

— Chcemy z tobą porozmawiać o tym świetle, które widziałeś na niebie. Twarz Łuczniaka zmieniła się: był zdziwiony. Spodziewał się, że zapytają go, jak sprawiają się jego rakiety.

— Tak, to było... to było bardzo dziwne światło. Niby meteor, ale biegło w górę, a nie w dół. — Opisał dokładnie, to co widział, podając czas, swoje położenie, kierunek biegu promienia, i sposób, w jaki przesuwał się po niebie.

— Czy widziałeś, w co trafił? Czy widziałeś na niebie coś jeszcze?

— Trafił? Nie rozumiem. To było światło.

Odezwał się następny z gości. — Słyszałem, że byłeś nauczycielem matematyki. Czy wiesz, co to jest laser?

Twarz Łuczniaka pod wpływem nowej myśli znowu się zmieniła. — Tak, czytałem o tym, kiedy byłem na uczelni. Niestety... — tu pociągnął łyk soku — Niestety mało wiem o laserach.

Rzucają promień światła i stosowane są głównie do pomiarów. Nigdy żadnego nie widziałem, tylko o nich czytałem.

— To co widziałeś, było próbą broni laserowej.

— Do czego służy?

— Nie wiemy. W próbie, którą widziałeś, wykorzystano system laserowy do zniszczenia satelity na orbicie. Oznacza to...

— Wiem, co to są satelity. Do tego można używać lasera?

— Nasz kraj pracuje nad podobnymi urządzeniami, ale wygląda na to, że Rosjanie nas wyprzedzili.

Łucznik zdziwił się. Czyż Ameryka nie przoduje w świecie pod względem techniki? Czy Stinger nie jest tego dowodem? Dlaczego ci ludzie przelecieli dwadzieścia tysięcy kilometrów tylko dlatego że widział jakieś światło na niebie?

— Obawiacie się tego lasera?

— Jesteśmy nim zainteresowani — odpowiedział tamten. — W kilku dokumentach, które znalazłeś, są informacje, których dotąd nie mieliśmy, i za to jesteśmy ci w dwójnasób zobowiązani.

— Teraz i ja jestem ciekaw. Czy macie te dokumenty?

— Emilio? — Gość skinął na Ortiza, który wyciągnął mapę i szkic.

— Ten obiekt budowano od roku 1983. Dziwiło nas, że Rosjanie wnoszą tak ważny obiekt w pobliżu granicy z Afganistanem.

— W 1983 jeszcze myśleli, że wygrają — ponuro zauważył Łucznik. Tę ich nadzieję uważał za obrazę. Przyjrzał się mapie: szczyt górski niemal zamknięty w pętli rzeki Wachs.

Natychmiast zrozumiał, dlaczego wybrano właśnie to miejsce. Parę kilometrów dalej była hydroelektrownia Nurik. Łucznik wiedział więcej niż okazywał. Wiedział, co to są lasery i co nieco o zasadzie ich działania. Wiedział, że ich światło jest niebezpieczne, że może oślepić...

I to zniszczyło satelitę? O setki kilometrów wyżej, w kosmosie, wyżej niż latają samoloty... to co może zrobić z ludźmi na ziemi... a jeśli zbudowano ten ośrodek w pobliżu jego ojczyzny z innego powodu...

— A więc widziałeś tylko tamto światło? Nie słyszałeś żadnych opowieści o takim miejscu, o dziwnych światłach na niebie?

Łucznik potrząsnął głową. — Nie, tylko ten jeden raz. — Zauważył, że goście wymienili zawiedzione spojrzenia.

— Cóż, to nieważne. Polecono mi przekazać podziękowania mojego rządu. Twój oddział otrzyma trzy ciężarówki uzbrojenia. Jeżeli chciałbyś jeszcze czegoś, spróbujemy to dostarczyć.

Łucznik skinął głową poważnie. Spodziewał się dużej nagrody za sprowadzenie radzieckiego oficera i jego śmierć sprawiła mu duży zawód. Ale ci ludzie nie po to tu przyjechali.

Chodziło o dokumenty i o światło. Czy ten obiekt był aż tak ważny, że śmierć Rosjanina stała się błahostką? Czy Amerykanie bali się czegoś?

A jeżeli oni się bali, to co on ma powiedzieć?

— Nie, Arturze, to mi się nie podoba — w głosie prezydenta słychać było niezdecydowanie. Sędzia Moore ponowił próbę:

— Panie prezydencie, mamy świadomość trudności politycznych Narmonowa. Zniknięcie naszego agenta nie będzie miało większych reperkusji, niż jego aresztowanie przez KGB, a może nawet mniejsze. Ostatecznie KGB nie może podnieść krzyku, jeżeli dopuści, by wymknął się im z rąk.

— Mimo wszystko, to za duże ryzyko — powiedział Jeffrey Pelt. — Narmonow to nasza historyczna szansa. On naprawdę chce dokonać zasadniczych zmian w ich systemie... Po co to mówię, przecież

to wasi ludzie pisali tę ocenę.

Taką szansę mieliśmy już przedtem, w czasie prezydentury Kennedy'ego i zmarnowaliśmy ją — pomyślał Moore. — Po upadku Chruszczowa przez dwadzieścia lat rządzili partyjni przeciętniacy. Teraz jest kolejna szansa. Boisz się, że już nigdy nie nadarzy się tak wspaniała okazja. Cóż, można to i tak widzieć.

— Jeff, wyciągnięcie stamtąd naszego człowieka nie zniszczy tej szansy bardziej niż jego złapanie...

— Jeżeli go namierzili, to dlaczego nie zdjęli go do tej pory? — zapytał Pelt. -. Czy ty czasem nie przesadzasz?

— Ten człowiek pracuje dla nas od trzydziestu lat, trzydziestu lat! Czy wiesz, czym dla nas ryzykował, jakie informacje nam dostarczył? Czy możesz zrozumieć, jaki zawód odczuwał w chwilach, gdy lekceważyliśmy jego rady? Czy możesz sobie wyobrazić, co to znaczy żyć przez trzydzieści lat z wyrokiem śmierci? Jeśli porzucimy go teraz na pastwę losu, to o co w ogóle chodzi w tym kraju? — dyrektor CIA powiedział to wszystko cicho, lecz stanowczo. Prezydent należał do tych, których stanowisko można było zachwiać odwołując się do zasad.

— A jeżeli tym samym obalimy Narmonowa? — zapytał Pelt. — Jeżeli do władzy dojdzie klika Aleksandrowa i znowu wszystko wróci do starych, złych układów: wzrost napięcia, przyspieszenie wyścigu zbrojeń? Jak wytłumaczymy narodowi amerykańskiemu, że poświęciliśmy taką szansę za życie jednego człowieka?

— Po pierwsze, nikt się nie dowie, jeżeli ktoś tego nie rozpuści — chłodno odparł

dyrektor CIA. - Jak wiesz, Rosjanie tego nie rozgłoszą. Po drugie, jak byśmy się wytłumaczyli z porzucenia tego człowieka jak zużytej papierowej chusteczki?

— Też nikt się o tym nie dowie, jeżeli ktoś tego nie rozpuści — odpowiedział mu Pelt równie chłodno.

Prezydent poruszył się niespokojnie. W pierwszym odruchu chciał wstrzymać przygotowania do ewakuacji. Jak mógłby się z tego wytłumaczyć? Rozważali teraz najlepszy sposób — działanie lub jego zaniechanie — zapobieżenia niekorzystnemu obrotowi spraw dla głównego wroga Ameryki. Nawet nie można tego publicznie powiedzieć — myślał prezydent. —

Gdybyśmy głośno oświadczyli, że Rosjanie to nasi wrogowie, prasa by oszalała. Rosjanie mają tysiące głowic nuklearnych wycelowanych w nas, a mimo to nie możemy wystawiać na próbę ich wrażliwości...

Przypomniał sobie dwa spotkania w cztery oczy z tym człowiekiem, Andriejem Iljiczem Narmonowem, sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Jest młodszy ode mnie — uświadomił sobie. Ich pierwsze rozmowy były ostrożne, starali się wzajemnie wyczuć, znaleźć swoje słabe punkty, ustalić wspólne poglądy, określić gdzie można liczyć na przewagę, a

gdzie trzeba będzie ustąpić. Ten człowiek miał poczucie swojej misji, prawdopodobnie naprawdę chciał zmian...

Ale czy to dobrze? Co będzie, jeżeli tamten zdecentralizuje gospodarkę, uwolni siły rynku, da im trochę swobody, niedużo, ale dość, by się coś ruszyło? Wiele osób przestrzegało go przed podobną wizją: państwo z takimi dążeniami politycznymi, wspierane przez gospodarkę, która może wytwarzać towary odpowiedniej jakości zarówno dla sektora cywilnego, jak i wojskowego. Czy Rosjanie nie zaczną wtedy ponownie wierzyć w swój system, czy nie odżyje w nich poczucie misji historycznej, jakie powodowało nimi w latach trzydziestych? Możemy stanąć w obliczu wroga bardziej niebezpiecznego niż kiedykolwiek przedtem.

Z drugiej zaś strony mówiono mu, że nie ma czegoś takiego jak „trochę swobody”.

Spytajcie Duvaliera z Haiti, Marcosa z Filipin czy zmarłego szacha Mohammada Rezę Pahlawiego. Bieg wydarzeń mógłby wydzwignąć Związek Radziecki z mrocznych wieków w dwudziestowieczną erę myśli politycznej. Może to trwać przez jedno, może dwa pokolenia, lecz czy to ma znaczenie, jeżeli kraj ten naprawdę zaczął już zmierzać ku jakiejś formie państwa liberalnego? Historia uczy przecież, że demokracje liberalne nie prowadzą ze sobą wojen.

Ładny mi wybór — pomyślał prezydent. — Mogę przejść do historii jako wstecznik, idiota, który wskrzesił zimną wojnę w jej ponurym majestacie, albo też jak owa Poljanna z bajki, która oczekiwała, że leopard zmieni swą skórę, a zamiast tego wyrosły mu większe i ostrzejsze kły. O Boże — powiedział sobie, patrząc na swych dwóch rozmówców — w ogóle nie myślę o powodzeniu, ale o skutkach porażki.

Pod jednym względem historie Ameryki i Rosji wykazują pewne podobieństwo: nasze powojenne rządy nigdy nie spełniły oczekiwań swoich narodów, jestem prezydentem i powinienem wiedzieć, co jest właściwe. Po to ludzie mnie wybrali i za to mi płacą. Mój Boże, gdyby tylko wiedzieli, jakimi jesteśmy oszustami. Nie rozmawiamy teraz wcale o tym, co robić, by się powiodło. Rozmawiamy o tym, kto ujawni przyczynę klęski politycznej. Właśnie tu, w Gabinetecie Owalnym, dyskutujemy o tym, kto będzie odpowiedzialny, jeżeli coś, czego jeszcze nie postanowiliśmy, nie wypali.

— Kto o tym wie?

Sędzia Moore rozczapierzył dłoń. — Admirał Greer, Bob Ritter i ja w CIA. Kilku pracowników operacyjnych wie o planowanej akcji, musieliśmy bowiem wysłać sygnał do przygotowań, ale nie znamy kwestii politycznych i nigdy nie poznają. Nie muszą o nich wiedzieć.

A więc tylko nas trzech w Agencji zna całość sprawy. Jeżeli dodamy pana i doktora Pelta, to mamy pięciu.

— A już mówimy o przeciekach! Cholera jasna! — prezydent zaklął ze zdumiewającą gwałtownością. — Jak też mogło się nam to wszystko tak popieprzyć!

To otrzeźwiło pozostałych. Nic tak nie przywoływało do porządku jak prezydenckie przekleństwa. Spojrzał na Moore'a i na Pelta — głównego doradcę do spraw wywiadu i doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego. Pierwszy wstawiał się za człowiekiem, który wiernie i dobrze służył Ameryce, ryzykując swym życiem. Drugi dalekowzrocznie oceniał chłodno, realpolitik i dostrzegał historyczną okazję, ważniejszą niż jedno ludzkie życie.

— Arturze, mówisz, że ten agent — nie chcę nawet znać jego nazwiska — od trzydziestu lat przekazywał nam niezwykle ważne informacje, w tym o tej instalacji laserowej, którą uruchomili Rosjanie. Twierdzisz, że jest prawdopodobnie zagrożony i że nadszedł czas, by zaryzykować wyciągnięcie go stamtąd. Jesteśmy do tego moralnie zobowiązani.

— Tak, panie prezydencie.

— A ty, Jeff, uważasz, że to nieodpowiednia pora, że ujawnienie agenta na tak wysokim stanowisku rządowym mogłoby politycznie zagrozić Narmonowowi, spowodować usunięcie go ze stanowiska przywódcy i wprowadzenie rządów już nie tak dla nas korzystnych.

— Tak, panie prezydencie.

— A jeżeli ten człowiek umrze, ponieważ mu nie pomogliśmy?

— Utracilibyśmy ważne informacje — odpowiedział Moore. — I zapewne nie wpłynęłoby to w jakiś istotny sposób na pozycję Narmonowa. Zawiedlibyśmy natomiast zaufanie człowieka, który służył nam wiernie przez trzydzieści lat.

— Jeff, czy mógłbyś żyć z taką świadomością? — zapytał prezydent swego doradcę do spraw bezpieczeństwa.

— Tak, sir. Mógłbym. Nie cieszy mnie to, ale mogę z tym żyć. Ustaliliśmy już z Narmonowem sprawę broni nuklearnych średniego zasięgu, a jest szansa na umowę w sprawie sił strategicznych.

Czuję się jak sędzia — myślał prezydent. Jest tu dwóch adwokatów, którzy całkowicie wierzą w swoje racje. Ciekaw jestem, czy ich zasady byłyby równie niewzruszone, gdyby siedzieli na moim miejscu, gdyby musieli podjąć decyzję?

Ale tamci nie ubiegali się o fotel prezydencki.

Ten agent — myślał dalej — służy Stanom Zjednoczonym od czasów, gdy byłem zastępcą prokuratora i zajmowałem się kurwami, A Narmonow jest może naszą najlepszą od niepamiętnych czasów szansą na światowy pokój.

Prezydent wstał i podszedł do okna za biurkiem. Grube szyby miały go chronić przed uzbrojonymi ludźmi. Nie chroniły go jednak przed obowiązkami związanymi z jego urzędem.

Popatrzył na trawnik południowy, lecz nie znalazł tam odpowiedzi. Odwrócił się.

— Nie wiem. Arturze, możesz wszystko przygotować, ale daj mi słowo, że nic się nie wydarzy bez mojej zgody. Żadnych błędów, żadnych przedsięwzięć, w ogóle żadnych działań bez mojego „tak”. Potrzebuję trochę czasu na zastanowienie. Mamy jeszcze czas, prawda?

— Tak, panie prezydencie. Minie jeszcze kilka dni, zanim wszystko zostanie przygotowanie.

— Dam wam znać, kiedy podejmę decyzję. — Podał im rękę i odprowadził wzrokiem do drzwi. Miał jeszcze pięć minut do przybycia następnego gościa i wykorzystał ten czas na pójście do łazienki przylegającej do gabinetu. Zastanawiał się, czy umycie rąk było aktem symbolicznym, czy też jedynie pretekstem, by spojrzeć na siebie w lustrze? I to ty jesteś niby tym człowiekiem, który ma znać odpowiedzi na wszystkie pieprzone pytania — mówiło mu jego odbicie — a nie wiesz nawet, dlaczego poszedłeś do łazienki?! Prezydent uśmiechnął się do lustra. To było zabawne, zabawne na swój sposób, który tylko nieliczni potrafili pojąć.

— To co, u diabła, mam powiedzieć Foleyowi? — warczał Ritter dwadzieścia minut później.

— Wstrzymaj się, Bob — poradził Moore. — On właśnie nad tym myśli. Nie potrzebujemy decyzji natychmiastowej, a „być może” jest o niebo lepsze od „nie”.

— Przepraszam, Arturze. To dlatego że... cholera, próbowaliśmy już przedtem go wyciągnąć. Nie możemy go teraz zawieść.

— Jestem pewien, że nie podejmie ostatecznej decyzji, dopóki nie będę mógł z nim ponownie porozmawiać. Na razie powiedz Foleyowi, żeby kontynuował zadanie. Chciałbym na nowo przyjrzeć się politycznej pozycji Narmonowa. Mam wrażenie, że Aleksandrow się kończy.

Jest za stary, by przejąć to stanowisko: Biuro Polityczne nie pójdzie na zastąpienie względnie młodego człowieka starcem. Nie po tej defiladzie pogrzebów, jaka odbyła się tam kilka lat temu.

Kto nam zostaje?

— Gierasimow — natychmiast odpowiedział Ritter. — Może kandydować jeszcze dwóch innych, ale to on jest tym ambitnym. Bezwzględny i bardzo, bardzo sprawny. Partyjna biurokracja lubi go, ponieważ ładnie rozprawił się z dysydentami. Jeżeli chce wykonać jakiś ruch, musi to zrobić już niedługo. Jeżeli przejdzie umowa rozbrojeniowa, Narmonow zyska duży prestiż, a co za tym idzie, umocni się politycznie. Aleksandrow musi być ostrożny, bo inaczej wypadnie z gry, sam się wyeliminuje i Narmonow bez kłopotu zachowa swój stołek przez lata.

— Potrzeba co najmniej pięciu lat, żeby do tego doszło — odezwał się admirał Greer po raz pierwszy od dłuższego czasu. — Może tych pięciu lat nie mieć. Wiele przecież wskazuje na to, że Aleksandrow jest już na równi pochyłej. Jeżeli to coś więcej niż plotka, będzie zmuszony odsłonić swoje zamiary.

Sędzia Moore spojrział w sufit. — Łatwiej byłoby rozgryźć tych skurwysynów, gdyby działali w sposób dający się przewidzieć — i pomyślał: my oczywiście działamy w taki właśnie sposób, ale

oni i tak nie potrafią nas przejrzeć.

— Głowa do góry, Arturze — powiedział Greer. — Gdyby ten świat kierował się rozumem, musielibyśmy poszukać sobie uczciwej pracy.

Zmiany

Przejście przez cieśninę Kattegat, która oddziela Szwecję od Danii, to dla okrętu podwodnego dość trudne zadanie, zwłaszcza gdy ma się to odbyć niepostrzeżenie. Wody są tutaj płytkie, zbyt płytkie, by płynąć w zanurzeniu. Przejścia są niebezpieczne za dnia, tym bardziej w nocy, szczególnie bez pilota, a że „Dallas” miał się przemknąć chyłkiem, o pilocie nie było mowy.

Na mostku dowodził Mancuso. Niżej pocił się nad mapami jego nawigator, starszy sternik zaś zajmował się peryskopem i podawał namiary na punkty brzegowe. Nie mogli nawet użyć radaru do nawigacji, peryskop miał jednak wzmacniacz obrazu, który co prawda nie zamieniał

bezwieżdnej nocy w dzień, ale przynajmniej sprawiał, że przypominała zmierzch. Sprzyjała im pogoda, niskie chmury i deszcz ze śniegiem ograniczały bowiem widzialność na tyle, że z brzegu byłoby trudno dostrzec niski, ciemny kształt okrętu podwodnego klasy 688. Marynarka duńska wiedziała o ich rejsie i wysłała kilka małych jednostek, by odganiać ewentualnych ciekawskich, chociaż na razie, nie okazało się to konieczne. Poza tym „Dallas” był zdany tylko na siebie.

— Statek z lewej burty od dziobu — zawołał obserwator.

— Widzę — odpowiedział natychmiast Mancuso. Przez trzymaną w ręku lunetę w kształcie pistoletu za wzmacniaczem obrazu zobaczył średniej wielkości kontenerowiec.

Najprawdopodobniej jakiś okręt z bloku wschodniego, pomyślał. W ciągu minuty określono kurs i prędkość nadpływającego statku, a najmniejszą odległość zbliżenia ustalono na siedemset metrów. Kapitan zaklął i wydał rozkazy.

„Dallas” płynął na światłach pozycyjnych, tak jak zażądali Duńczycy. Migające, pomarańczowe światło na maszcie wskazywało, że jest to okręt podwodny. Teraz marynarz na rufie ściągnął banderę amerykańską i zastąpił ją duńską.

— Wszyscy mają wyglądać na Skandynawów — rzucił Mancuso z kwaśnym uśmiechem.

— Jaja, kapiten — zaśmiał się w ciemności jeden z młodszych oficerów. Miałby trudności ze spełnieniem tego polecenia: był Murzynem. — Namiar naszego przyjaciela lekko zmieniony, ale nie zauważam zmiany jego kursu. Patrzcie...

— Tak, widzę ich. — Dwie duńskie jednostki przemknęły obok, by znaleźć się między kontenerowcem a „Dallas”. Mancuso miał nadzieję, że to pomoże. W nocy wszystkie koty są czarne, a wynurzony okręt wygląda jak... wynurzony okręt — czarny kształt z plamą kiosku.

— To chyba Duńczyk — powiedział porucznik. — Tak, widzę teraz komin. „Mearsk Line”.

Obie jednostki zbliżały się do siebie z prędkością pół mili na minutę. Mancuso podjął

obserwację, kierując lunetę na mostek kontenerowca. Nic szczególnego nie zauważył. Cóż, była trzecia nad ranem. Wachta na mostku miała sporo roboty nawigacyjnej i ich zainteresowanie

„Dallas” sprowadzało się zapewne do tego, jakie on sam odczuwał wobec nich: „Tylko mnie, idioto, nie stuknij”. Statek minął ich zdumiewająco szybko i po chwili Mancuso widział światło rufowe. Pomyślał, że rejs z zapalonymi światłami to chyba dobry pomysł. Gdyby płynęli w zaciemnieniu mogliby ściągnąć na siebie większą uwagę w razie wykrycia.

W godzinę później wyszli już na otwarty Bałtyk kursem zero-sześć-pięć. Wykorzystując najgłębsze wody, „Dallas” posuwał się na wschód. Mancuso ściągnął nawigatora do swojej kajuty, by wspólnie rozważyć, w którym miejscu najbezpieczniej podejść do radzieckiego brzegu. Gdy już wybrali odpowiednie miejsce, dołączył do nich Clark i we trójkę omówili najtrudniejszą część zadania.

W świecie idealnym — pomyślał zgryźliwie Watutin — przedstawiliby swoje kłopoty ministrowi obrony, a ten ściśle współpracowałby z KGB w prowadzeniu śledztwa. Ale ten świat nie jest światem idealnym. Oprócz łatwej do przewidzenia rywalizacji między obiema instytucjami, należało także uwzględnić, że Jazow siedział w kieszeni sekretarza generalnego i wiedział o różnicy zdań między Gierasimowem i Narmonowem. Nie, minister obrony albo przejąłby całe śledztwo, zlecając je własnej służbie bezpieczeństwa, albo użył swych wpływów politycznych, aby sprawę całkowicie zatuszować. W przeciwnym razie KGB mogłoby ściągnąć niesławę na samego Jazowa za to, że miał zdrajcę za doradcę, a przez to zagrozić Narmonowowi.

Gdyby Narmonow przepadł, minister obrony wróciłby, w najlepszym wypadku, na stanowisko szefa kadr Armii Radzieckiej. Bardziej jednak prawdopodobne, że po upadku swego protektora zostałby wysłany na emeryturę w atmosferze cichego upokorzenia. Nawet gdyby gensekowi udało się przetrwać kryzys, Jazow stałby się kozłem ofiarnym — podobnie jak ostatnio Sokołow. Czyż więc Jazow miał jakiś wybór?

Minister obrony był ponadto człowiekiem, którym powodowało poczucie pewnej misji do spełnienia. Pod przykrywką inicjatywy „restrukturyzacyjnej” sekretarza generalnego Jazow zamierzał wykorzystać swoją wiedzę o korpusie oficerskim Armii Radzieckiej do jej przebudowy, mając prawdopodobnie nadzieję na jej całkowite przestawienie na zawodowstwo.

Narmonow głosił, że pragnie uratować gospodarkę radziecką, ale taki autorytet jak Aleksandrow, najwyższy kapłan marksizmu-leninizmu, twierdził, że jest to niszczenie czystości samej partii.

Jazow chciał od podstaw przebudować wojsko. W rezultacie stałoby się ono, jak uważał Watutin, lojalne bezpośrednio wobec Narmonowa.

To zaś budziło niepokój pułkownika. Partia od początku używała KGB do zachowania kontroli nad

wojskiem. W końcu to w rękach wojskowych znajdowała się cała broń i gdyby kiedyś poczuli swą siłę oraz osłabienie nadzoru partii nad sobą... Była to perspektywa zbyt przykra, by ją rozważać. Myśl o wojsku lojalnym wyłącznie wobec sekretarza generalnego, nie zaś wobec partii, była Watutinowi szczególnie niemiła, ponieważ uległby wtedy zmianie stosunek w którym KGB pozostawało do społeczeństwa radzieckiego w ogóle. Nie można by już trzymać w szachu sekretarza generalnego. Mając za sobą armię, mógłby on nagiąć KGB do swojej woli i posłużyć się nim do „przebudowy” całej partii. Zyskałby władzę równą władzy Stalina.

Skąd to mi przyszło do głowy? — zastanawiał się Watutin. — Jestem oficerem kontrwywiadu, a nie teoretykiem partyjnym. Przez całe życie pułkownik nigdy nie zastanawiał

się nad Wielkimi Problemami kraju. Zawierzył swym zwierzchnikom — to oni podejmowali poważne decyzje, jemu pozostawiając zajmowanie się sprawami mniejszymi. Ale to już przeszłość. Zyskawszy zaufanie przewodniczącego Gierasimowa, nierozzerwalnie związał się z tym człowiekiem. To stało się tak łatwo, z dnia na dzień! Żeby dostać generalskie gwiazdki, trzeba zostać zauważonym — pomyślał z sardonicznym uśmiechem. — Zawsze chciałeś, by cię zauważono. No to, Klementi Władimirowiczu, teraz już was zauważono. Popatrzcie, w coście wpadli!

W sam środek walki o władzę, toczonej przez przewodniczącego KGB z sekretarzem generalnym partii.

Watutin uznał, że w gruncie rzeczy to dość zabawne. Wiedział, że nie będzie to takie zabawne, jeżeli Gierasimow się przeliczy. Szczytem ironii jednak było to, że jeśli przewodniczący KGB upadnie, to nastawienia liberalne, propagowane przez Narmonowa, ochronią Watutina, który w końcu wykonywał tylko polecenia swych zwierzchników. Nie sądził, by miano go uwięzić, a już na pewno go nie rozstrzelają, jak to kiedyś bywało. Jego kariera zakończyłaby się. Znalazłby się na niższym stanowisku, na przykład szefa terenowego biura KGB w Omsku, albo jeszcze gorzej: mógłby już nigdy nie wrócić do Moskwy.

To nie byłoby znów takie złe — pomyślał. Z drugiej strony, jeżeli Gierasimowi się uda, zostanie... szefem „Dwójki”? To też nie byłoby takie złe.

Naprawdę wierzyłeś, że można osiągać kolejne szczeble nie włączając się w politykę?

Nie miał już jednak wyboru. Gdyby starał się wykręcić, popadłby w niełaskę. Watutin znalazł się w pułapce, i wiedział o tym. Jedyne wyjściem było wykonać swoją robotę najlepiej jak potrafi.

Skończył z rozmyślaniami i wrócił do papierów. Uznał, że pułkownik Bondarienko jest zupełnie czysty: był tylekroć sprawdzany i nie znaleziono niczego, co wskazywałoby, że nie jest patriotą i bardzo zdolnym oficerem. To ten Filitow — pomyślał Watutin. Na pozór wydawało się to szaleńczym pomysłem, a jednak ten odznaczony bohater był zdrajcą.

Ale jak, u diabła, mamy tego dowieść? Jak zdołamy dokładnie to zbadać bez współpracy ze strony ministra obrony? Kolejny hak. Jeżeli zawali śledztwo, Gierasimow nie spojrzał już przychylnie na

jego awans, lecz przecież śledztwo hamują ograniczenia nałożone przez samego przewodniczącego. Pamiętał, że kiedyś miał już prawie załatwiony awans na majora, pech jednak chciał, iż komisja zmieniła zdanie.

Dziwne, ale nie przyszło mu do głowy, że wszystkie jego kłopoty spowodowane są ambicjami politycznymi przewodniczącego KGB. Watutin wezwał swych starszych oficerów.

Zjawili się po kilku minutach.

— Co w sprawie Filitowa? — zapytał.

— Śledzą go nasi najlepsi ludzie — odpowiedział jeden z oficerów. — Sześciu, przez całą dobę. Zmieniamy ich tak, by nie widział zbyt często tych samych twarzy. Mamy stałą obserwację telewizyjną bloku, w którym mieszka. Co wieczór parunastu naszych przegląda taśmy. Rozszerzyliśmy inwigilację podejrzanych Amerykanów i Brytyjczyków oraz w ogóle ich środowisk dyplomatycznych. Włączyliśmy w tę sprawę masę ludzi, narażając się na wykrycie, ale tego nie sposób uniknąć. Właściwie jest tylko jedno, o czym chciałem zameldować — od czasu do czasu Filitow mówi przez sen, rozmawia z kimś o nazwisku Romanow, lub jakoś podobnie. Słowa są tak zniekształcone, że nie można ich zrozumieć, wziąłem jednak do tego patologa mowy i może coś będziemy mieli. W każdym razie Filitow nie może nawet pierdnąć żebyśmy o tym nie wiedzieli. Nie jesteśmy natomiast w stanie utrzymywać kontaktu wzrokowego bez ryzyka, że nasi ludzie znajdą się za blisko. Codziennie, gdy skręca za róg lub wchodzi do sklepu, tracimy go z oczu na pięć do piętnastu sekund. To wystarczająco długo, by dokonać błyskawicznej wymiany lub złożyć materiał do schowka. Nic na to nie poradzę, chyba że zechcecie ryzykować zaalarmowanie go.

Watutin skinął głową. Nawet najlepsza obserwacja ma swoje granice.

— Aha, jeszcze jedna dziwna rzecz — powiedział major. — Dowiedziałem się o tym wczoraj. Mniej więcej raz na tydzień Filitow sam zanosí worek z makulaturą do pieca. Robi to od tak dawna, że człowiek z sekcji niszczenia dokumentów zapomniał nam o tym wcześniej powiedzieć. Przyszedł dopiero wczoraj po południu, po godzinach, w ubraniu cywilnym. Bystry chłopak. Okazuje się, że Filitow nadzorował montowanie tego urządzenia wiele lat temu.

Przejrzałem plany, ale nic szczególnego nie znalazłem. Całkiem normalne urządzenie, takie jak u nas. I to wszystko. Prawdę mówiąc, jedyną niezwykłą rzeczą w sprawie podejrzanego jest to, że powinien już być na emeryturze.

— A śledztwo w sprawie Altunina?

Kolejny oficer otworzył notatnik. — Nie mamy pojęcia, gdzie był przed śmiercią. Może ukrywał się gdzieś samotnie, lub też chronili go znajomi, do których nie udało się nam dotrzeć.

Nie ustaliliśmy żadnej zależności między jego śmiercią a przemieszczaniem się obcokrajowców.

Nie miał przy sobie nic obciążającego, oprócz fałszywych dokumentów. Wykonane były po

amatorsku, ale w odleglejszych republikach uchodziłyby za dobre. Jeżeli to CIA go zamordowała, zrobili to wybornie. Żadnych punktów zaczepienia. Nic.

— Wasza opinia?

— Sprawa Altunina to ślepa uliczka — odpowiedział major. — Zostało nam jeszcze parę rzeczy do sprawdzenia, ale żadna nie rokuje nadziei na wniesienie czegoś nowego. — Zamilkł na chwilę. — Towarzyszu...

— Mówcie dalej.

— Myślę, że był to zbieg okoliczności. Według mnie Altunin padł ofiarą zwykłego morderstwa, bo chciał się dostać do niewłaściwego wagonu w nieodpowiednim czasie. Nie mam na to żadnych dowodów, ale tak to dla mnie wygląda.

Watutin zastanowił się. Stwierdzenie, że coś nie jest sprawą kontrwywiadu, wymagało od oficera Zarządu Drugiego niemałej odwagi.

— Jesteście tego pewni?

— Pewni nie będziemy nigdy, towarzyszu pułkowniku, ale gdyby morderstwo było sprawą CIA, czy nie pozbyliby się ciała? A gdyby chcieli wykorzystać jego śmierć, by ochronić wysoko umieszczonego szpiega, zostawiliby chyba dowody świadczące o tym, że nie jest z tą sprawą powiązany. Nie było żadnych fałszywych poszlak, mimo że okoliczności temu sprzyjały.

— Rzeczywiście, my byśmy tak zrobili. Trafna uwaga. Zbadajcie jednak wszystkie możliwe tropy.

— Oczywiście, towarzyszu pułkowniku. Zajmie to jakieś cztery do sześciu dni.

— Coś jeszcze? — zapytał Watutin. Odpowiedziały mu przeczące ruchy głów. — W

porządku. Wracajcie, towarzysze, do siebie.

Mary Pat Foley pomyślała, że dokona tego na meczu hokejowym. Kardynał przyjdzie tam, ściągnięty „pomyłkowym” telefonem z ulicznej budki. Miała w torebce trzy kasety i mogła je przekazać jednym podaniem ręki. Jej syn grał w drużynie młodzików, tak jak jego wnuk i Mary była na każdym meczu. Gdyby nie poszła byłoby to niezwykle, a Rosjanie uważają, że ludzie winni trzymać się ustalonego rozkładu zajęć. Śledzono ją. Wiedziała o tym. Najwyraźniej Rosjanie poszerzyli inwigilację, ale ten przydzielony do obserwowania jej nie był za dobry; w każdym razie ciągle ten sam. Mary Pat zaś umiała rozpoznać twarz, jeśli widywała ją częściej niż raz dziennie.

Pochodzenie Mary Patricii Kaminsky Foley było pogmatwane w typowo amerykański sposób, chociaż nie wszystkie jego elementy trafiły do dokumentacji paszportowej. Jej dziadek był koniuszym

na dworze Romanowych. Nauczył jeździć konno carewicza Aleksego, co stanowiło nie byle sztukę, jako że z młodzieńcem dotkniętym hemofilią należało postępować szczególnie ostrożnie. Poza tym osiągnięciem dziadek niczym się w życiu nie wyróżnił. Okazał

się kiepskim oficerem, mimo że przyjaciele u dworu załatwili mu awans na pułkownika.

Wszystko, do czego doszedł, to całkowita zagłada jego pułku w bitwie pod Tannenbergiem i niewola niemiecka — a wreszcie dożycie sędziwego wieku. Dowiedziawszy się, że jego żona zmarła w rewolucyjnym zamęcie, który nastąpił po pierwszej wojnie światowej, nigdy nie powrócił już do Rosji (dla niego na zawsze pozostała Rosją) i w końcu dotarł do Stanów Zjednoczonych. Osiedlił się na przedmieściach Nowego Jorku, założył małą firmę i ponownie się ożenił. Osiągnął późny wiek dziewięćdziesięciu siedmiu lat, przeżywszy nawet swą o dwadzieścia lat młodszą żonę. Mary Pat nigdy nie zapomniała opowiadań o jego włóczędze.

Kiedy skończyła historię na uniwersytecie, wiedziała już więcej. Dowiedziała się, że Romanowowie byli beznadziejnie nieprzystosowani, a ich dwór był na wskroś skorumpowany.

Nie potrafiła jednak zapomnieć jak jej dziadek płakał, kiedy w swych opowieściach dochodził do chwili, gdy Aleksy, odważny i stanowczy młodzieniec, wraz z całą rodziną został przez bolszewików zastrzelony jak pies. Ta jedna opowieść, którą słyszała setki razy, dała jej taki obraz Związku Radzieckiego, którego ani czas, ani wykłady uniwersyteckie, ani polityczny realizm zatrzeć nie zdołały. O jej nastawieniu do władzy panującej w kraju dziadka zdecydowało wyłącznie morderstwo dokonane na Mikołaju II, jego żonie i pięciorgu dzieciach. Intelkt, jak sobie mówiła w chwilach zadumy, niewiele ma wspólnego z ludzkimi odczuciami.

Praca w Moskwie, przeciw tej właśnie władzy, była czymś najbardziej emocjonującym w jej życiu. Sprawiała jej większą nawet radość niż mężowi, którego poznała w czasie studiów w Uniwersytecie Columbia. Ed zaczął pracować dla CIA, ponieważ to ona już dużo wcześniej zdecydowała się na współpracę z Agencją. Mary Pat wiedziała, że był w tym dobry, miał świetny instynkt i zdolności organizacyjne. Ale brak mu było owej pasji, którą ona wkładała w swą pracę.

Brakowało mu także genów. Rosyjskiego nauczyła się na kolanach dziadka, tego bogatszego, elegantszego rosyjskiego, który władza rad sprowadziła do dzisiejszej gwary. Co ważniejsze jednak, rozumiała tych ludzi w taki sposób, jakiego nie dałyby jej żadne książki. Rozumiała ów narodowy smutek, przenikający rosyjski charakter, tę paradoksalną otwartość w stosunkach osobistych, całkowite odkrywanie swego jestestwa i duszy najbliższym przyjaciołom, czego zaprzeczeniem były zachowania publiczne moskwian. Dzięki temu darowi Mary Pat zwerbowała pięciu dobrze uplasowanych agentów, co stanowiło niemal rekord. W Wydziale Operacyjnym CIA nazywano ją także „Super-girl”, ale nie przywiązywała do tego wielkiej wagi. Była w końcu matką dwojga dzieci. Uśmiechnęła się do siebie w lustrze: Udało ci się, mała. Dziadek byłby z niej dumny.

A najlepsze w tym wszystkim było to, że nikt nie miał wobec niej nawet cienia podejrzeń.

Dokończyła toalety. Kobiety z Zachodu przebywające w Moskwie winny bardziej pilnować swego

ubioru niż mężczyźni. Jej był zawsze troszkę zbyt rzucający się w oczy. Wizerunek, który prezentowała na zewnątrz, był dokładnie obmyślony i wyśmienicie realizowany. Wykształcona ale płytko, ładna ale powierzchowna, dobra matka ale nic ponad to, bez skrępowania okazująca uczucia na sposób zachodni ale nie należy jej brać poważnie. Poruszając się drobnymi krokami, czasami biorąc zastępstwa w szkółce ambasady, uczestnicząc w różnych przyjęciach, kręcąc się bez końca po mieście jak wieczny turysta, pasowała dokładnie do radzieckiego stereotypu amerykańskiej trzpiotki. Jeszcze jeden uśmiech do lustra: Gdyby tylko te sukinsyny wiedziały.

Eddie czekał już niecierpliwie, stukając kijem hokejowym w szary dywan salonu. Ed siedział przed telewizorem. Ucałował żonę na do widzenia, a Eddiemu życzył połamania rąk i nóg — starszy Foley był kibicem Rangersów, kiedy jeszcze nie umiał czytać.

Trochę to smutne — rozmyślała Mary Pat w windzie. Eddie zdobył tu kilku przyjaciół, chociaż takie zaprzyjaźnianie się z moskwianami to błąd. Można wtedy zapomnieć, że są wrogami. Obawiała się, że Eddie poddawany jest podobnej indoktrynacji co ona sama kiedyś, tyle że z drugiej strony. Ale temu da się bez trudu zaradzić — powiedziała sobie. W domu przechowywała fotografię carewicza Aleksego z dedykacją dla ukochanego nauczyciela. Musiała jedynie wyjaśnić, jak zmarł.

Na miejsce dojechali bez przygód, chociaż Eddie w miarę zbliżania się godziny rozpoczęcia meczu stawał się coraz bardziej podniecony. Był sklasyfikowany na trzecim miejscu strzelców rozgrywek, zaledwie o sześć punktów za napastnikiem zespołu, z którym dziś grali, a chciał pokazać Iwanowi Jakiemuśtam, że Amerykanie umieją zwyciężyć Rosjan w ich własnej grze.

Na parkingu panował zaskakujący tłok, ale w końcu nie był to bardzo duży parking, a hokej na lodzie to w Związku Radzieckim coś w rodzaju dozwolonego kultu bliskiego religii.

Dzisiejszy mecz miał zadecydować o miejscach w grze finałowej o mistrzostwo ligi, przybyło więc sporo ludzi. Mary Pat bardzo to odpowiadało. Ledwie zaciągnęła hamulec ręczny, a już Eddie otworzył drzwi, wyciągnął worek ze sprzętem i czekał niecierpliwie, aż matka zamknie samochód. Starał się iść wolno, by mogła za nim nadążyć, a gdy poszła na trybuny, pomknął do szatni.

Oczywiście jej miejsce zostało wcześniej ustalone. Jakkolwiek Rosjanie niechętnie zbliżali się do obcokrajowców w miejscach publicznych, na meczu hokejowym obowiązywały inne zasady. Kilkoro rodziców pomachało jej, a ona odpowiedziała im z trochę przesadnym uśmiechem. Spojrzała na zegarek.

— Nie widziałem meczu ligi młodzieżowej od dwóch lat — powiedział Jazow, gdy wysiedli ze służbowego samochodu.

— Nie bywam na nich często, ale szwagierka powiedziała, że ten jest ważny, a mały Misza zażądał mojej obecności — uśmiechnął się Filitow. — Uważają, że przynoszę szczęście —

może wy też je przyniesiecie towarzyszu marszałku.

— Czasami potrzebna jest pewna odmiana — przyznał Jazow z udawaną powagą, — To cholerne ministerstwo jutro też będzie na swoim miejscu. Czy wiesz, że będąc chłopcem grałem w hokeja?

— Nie, nie wiedziałem. Dobrze graliście?

— Byłem obrońcą. Inne dzieciaki skarżyły się, że zbyt mocno grałem ciałem — roześmiał się minister i skinął na swą obstawę by szli przodem.

— Kiedy ja byłem w tym wieku, nie mieliśmy lodowisk. A tak naprawdę to byłem, jako dzieciak, bardzo niezdamy. Czołgi to coś dla mnie, bo one mają przecież niszczyć — zażartował

Misza.

— Czy to dobry zespół?

— Bardziej lubię drużyny młodzieżowe niż prawdziwe — odpowiedział pułkownik Filitow. — Są bardziej... bardziej sportowe. Chyba lubię oglądać dobrze bawiące się dzieci.

— To prawda.

Wokół lodowiska nie było zbyt wielu ławek — a poza tym, który z kibiców hokeja chce siedzieć? Pułkownik Filitow i marszałek Jazow znaleźli wygodne miejsce w pobliżu grupki rodziców. Ich szarawe wojskowe płaszcze i błyszczące naramienniki zapewniały im zarówno dobry widok, jak i trochę przestrzeni wokół. W pobliżu kręcili się czterej ludzie z ochrony, unikając przy tym zbyt jawnego przyglądania się grze. Nie byli zbyt spięci, ponieważ decyzję o wyjeździe na mecz podjął minister pod wpływem impulsu, w ostatniej chwili.

Gra była emocjonująca od pierwszej chwili. Środkowy napastnik drużyny gości poruszał

się jak wąż, zręcznie prowadząc krążek i zwinnie jeżdżąc. Przez większość pierwszej tercji zespół gospodarzy, w którym grali mały Amerykanin i cioteczny wnuk Filitowa, był spychany na własną połowę, mimo agresywnej obrony małego Miszy. Kiedy Amerykanin przechwycił

podanie, poprowadził wprawdzie krążek przez długość lodowiska, stracił go jednak wskutek świetnego wejścia obrońcy, które wywołało okrzyki podziwu kibiców obu drużyn. Chociaż Rosjanie lubią rywalizację jak wszyscy na świecie, wpajano im zawsze ducha szlachetnego współzawodnictwa. Pierwsza tercja zakończyła się wynikiem zero-zero.

— Szkoda — zauważył Misza. Widzowie pchali się do toalet.

— To była piękna akcja, ale bodiczek też był wspaniały — powiedział Jazow. — Chyba podrzucę nazwisko tego dzieciaka reprezentacji Armii Radzieckiej. Misza, dziękuję za zaproszenie. Już prawie zapomniałem, jak ekscytująca może być gra młodzików.

— Jak ci się wydaje, o czym rozmawiają? — ciekaw był starszy oficer KGB. Wraz z dwoma innymi siedział wysoko pod dachem, zasłonięty reflektorami oświetlającymi lodowisko.

— Może po prostu lubią hokej — odpowiedział funkcjonariusz z aparatem fotograficznym. — Cholera, ale mecz nam się wymknął. Popatrzcie na ochroniarzy. Ci pieprzeni idioci gapią się na lód. Gdybym chciał zabić Jazowa...

— Całkiem dobry pomysł — rzucił trzeci. — Przewodniczący...

— To nie nasza sprawa — warknął starszy, kończąc rozmowę.

— Dalej, Eddieeee! — krzyknęła Mary Pat, kiedy rozpoczęła się druga tercja. Jej syn spojrzał na trybuny z zakłopotaniem. Mamę w takich sytuacjach zawsze ponoszą nerwy —

pomyślał.

— A to kto? — zapytał Misza stojący o pięć metrów dalej.

— Tam, ta chuda. Spotkaliśmy ją kiedyś, pamiętasz? — przypomniał Jazow.

— Ależ z niej kibic — powiedział Filitow, obserwując akcję przenoszącą się na drugi koniec tafli, i pomyślał: Proszę, towarzyszu ministrze, zaproponujcie to... Jego życzenie spełniło się.

— Podejdźmy do niej i przywitajmy się. — Kibice rozstąpili się przed nimi i Jazow stanął po jej lewej stronie.

— Czy pani Foley?

Obróciła się szybko, jeszcze szybciej uśmiechnęła i znowu skierowała wzrok na lodowisko. — Witam, panie generale.

— Tak naprawdę mam stopień marszałka. Pani syn to „dwunastka”?

— Tak. Widział pan, jak go bramkarz wykosił?

— To było piękne wejście ciałem — powiedział Jazow.

— Niech to zrobi komu innemu! — odparowała. Drużyna gości atakowała bramkę na połowie Eddiego.

— Czy wszyscy Amerykanie są takimi kibicami? — zapytał Misza. Obróciła się, a w głosie wyczuć można było lekkie zawstydzenie. - To straszne, prawda? Rodzice powinni zachowywać się...

— ...jak rodzice? — roześmiał się Jazow.

— Zmieniam się w mamuszkę drużyny młodzieżówki — przyznała Mary Pat.

— Dość, że wyszkoliliśmy pani syna na dobrego skrzydłowego.

— Tak. Może nawet zagra w drużynie olimpijskiej za kilka lat — odpowiedziała ze złośliwym, choć figlarnym uśmiechem. Jazow znów się roześmiał i to ją zaskoczyło. Uchodził za twardego, ponurego skurwiela.

— Co to za kobieta?

— Amerykanka. Jej mąż jest attache prasowym. Syn gra w tym zespole. Mamy akta ich obydwojga. Nic specjalnego.

— Dość ładna. Nie wiedziałem, że Jazow lubi kobiety.

— Myślisz, że chce ją zwerbować? — rzucił fotograf, robiąc kolejne zdjęcia.

— Nie miałbym nic przeciwko temu.

Gra niespodziewanie przeniosła się na środek, gdzie drużyny starały się bronić swoich pozycji. Dzieciom brakowało owej precyzji podań, która charakteryzuje hokej radziecki. Obu zespołom przykazano, by nie wchodzić w jawne siłowe pojedynki. Mimo wszystkich zabezpieczeń, były to jednak dzieci i nie trzeba narażać ich kości na urazy. Tego Amerykanie mogliby nauczyć się od Rosjan — pomyślała Mary Pat. Rosjanie zawsze byli bardzo opiekuńczy wobec swej młodzieży. Życie było wystarczająco trudne dla dorosłych, by nie pragnęli przed nim chronić dzieci.

W trzeciej tercji gra ruszyła na całego. Strzał na bramkę został zatrzymany, bramkarz odbił krążek do środkowego napastnika, który ruszył na przeciwną bramkę, mając o pięć metrów na prawo od siebie Eddiego. Podał mu, ale Eddie nie mógł ani strzelić, ani podjechać pod bramkę, blokowany przez nacierającego obrońcę. Wjechał w narożnik.

— Centruj! — krzyknęła matka. Nie słyszał jej, ale nie musiał. Środkowy napastnik był już na pozycji i Eddie podał do niego. Młody hokeista zatrzymał krążek łyżwą, cofnął się i posłał go między nogami bramkarza. Za bramką błysnęła lampa i kije radośnie uleciały w górę.

— Ładne dośrodkowanie — zauważył Jazow z prawdziwym podziwem, po czym ciągnął ostrzejszym tonem. — Zdaje sobie pani sprawę, że pani syn jest w posiadaniu tajemnic państwowych, nie możemy mu więc zezwolić na opuszczenie kraju.

Oczy Mary Pat rozszerzyły się przez chwilę w nagłym przestraszu, co utwierdziło Jazowa w

przekonaniu, że to typowa amerykańska trzpiotka, choć w łóżku byłaby zapewne niczego sobie. Szkoda, że tego nie sprawdzę — pomyślał.

— Pan żartuje? — zapytała spokojnie. Obaj wojskowi wybuchnęli śmiechem.

— Oczywiście, że towarzysz minister żartuje — powiedział po chwili Misza.

— Tak też myślałam — stwierdziła raczej nieprzekonywująco. Zwróciła się ku lodowisku

— No, strzelajcie jeszcze jednego!

Kilka osób obróciło się ku niej z rozbawieniem. Ta Amerykanka na meczu zawsze dostarczała powodu do żartów: Rosjanie uważają amerykańską wylewność za szalenie pocieszającą.

— Jeżeli ona jest szpiegiem, to ja zjem ten aparat.

— Zastanówcie się, co mówicie, towarzyszu — mruknął oficer dowodzący i rozbawienie w głosie fotografa zniknęło w ułamku sekundy. Sam zastanów się nad tym, coś powiedział —

pomyślał oficer. — Jej mąż, Edward Foley, uważany jest przez amerykańskich dziennikarzy za głupka, nie dość sprytnego, by zostać prawdziwym reporterem, a zwłaszcza reporterem w „New York Timesie”. Kłopot w tym, że chociaż o takiej przykrywce marzy każdy prawdziwy oficer wywiadu, jest ona także udziałem wszelkich głupków z administracji państwowej, których znaleźć można w każdym kraju świata. On sam wiedział, że jego kuzyn jest kretynem, a przecież pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

— Czy na pewno starczy ci taśmy?

Na czterdzieści sekund przed końcem Eddiemu trafiła się okazja. Obrońca z rozmachem odbił lecący do bramki krążek, który teraz pomknął ku centrum tafla. Środkowy napastnik trzepnął nim na prawo. Temperatura gry rosła i drużyna przeciwna chciała wycofać bramkarza.

Chłopak opuszczał już swoją pozycję, gdy Eddie przejął podanie i przemknął z jego lewej strony, ostro zakręcił i strzelił mu za plecami. Krążek uderzył w poprzeczkę, ale spadł na linię bramkową i wśliznął się do bramki.

— Gooool! — wrzasnęła Mary Pat, podskakując radośnie. Uścisnęła Jazowa, ku konsternacji jego obstawy. Rozbawienie ministra obrony minęło natychmiast, gdy tylko uświadomił sobie, że jutro będzie musiał napisać meldunek o spotkaniu. Oczywiście, Misza był

świadkiem, że nie rozmawiali o niczym niestosownym. Teraz Mary objęła Filitowa.

— Mówiłam panu, że przynosi pan szczęście!

— Mój Boże, czy wszyscy kibice hokeja w Ameryce tak się zachowują? — uwalniając się zapytał

Misza. Jej dłoń dotknęła jego ręki na niewyobrażalnie krótki moment. Poczul w rękawicy trzy kasety i dziwił się, że to tak zręcznie wypadło. Czyżby była zawodowym sztukiemistrzem?

— Dlaczego wy Rosjanie cały czas jesteście tacy ponurzy? Nie umiecie się bawić?

— Może powinno tu bywać więcej Amerykanów — przyznał Jazow. Do diabła, żeby moja żona była taka energiczna jak ta! — pomyślał i głośno dodał: — Ma pani wspaniałego syna.

Jeżeli będzie grał przeciwko nam na olimpiadzie, wybaczę mu. — Posłała mu w odpowiedzi promienny uśmiech.

— Miło to słyszeć od pana — odpowiedziała. Mam nadzieję, że tak nakopie w te wasze komunistyczne dupska, że doleczą aż do Moskwy. Jeśli czegoś naprawdę nie znosiła, to właśnie protekcjonalnego traktowania. — Eddie zdobył dziś jeszcze dwa punkty, a ten Iwan Ktośtam ani jednego!

— Czy naprawdę jest pani taka zacięta, nawet na meczach młodzieżowych? — zapytał

Jazow.

Mary Pat odpaliła tak szybko, że jej umysł nie nadążył za niemal odruchową odpowiedzią:

— Pokażcie mi takiego, co umie przegrywać, a pokażę wam przegranego. Zamilkła, ale zaraz naprawiła błąd. — Powiedział to Vince Lombardi, znany trener amerykański. Proszę mi wybaczyć, na pewno uważacie mnie za niekulturalną. I macie rację, to tylko gra dzieci. —

Uśmiechnęła się szeroko. Prosto w nos! — pomyślała.

— Widzieliście coś?

— Głupia kobieta, która zbyt okazuje swój entuzjazm — odpowiedział fotograf.

— Kiedy będą wywołane taśmy?

— Za dwie godziny.

— Ruszajcie — polecił starszy oficer.

— A wy coś widzieliście? — zapytał swego szefa trzeci z obecnych.

— Chyba nie. Obserwowałem ją przez blisko dwie godziny. Zachowywała się jak typowa amerykańska matka, która szaleje w czasie meczu, ale przy tym zwróciła na siebie uwagę ministra obrony i głównego podejrzanego w sprawie o zdradę. Myślę, towarzyszu, że to wystarczy. Co za wspaniała gra...

W dwie godziny później na biurku oficera leżało ponad tysiąc czarno-białych fotografii.

Aparat, produkcji japońskiej z automatycznym naciągiem wyświetlał u spodu klamek oznaczenie czasu wykonania zdjęć, a i fotograf KGB był równie dobry jak zawodowy fotoreporter. Robił

zdjęcia prawie bez przerwy nie licząc krótkich chwil, gdy wymieniał kasety dużej pojemności.

Oficer prowadzący zamierzał początkowo użyć kamery wideo, ale fotograf przekonał go, by tego nie robić. Ani rozdzielczość, ani czułość nie byłyby zadowalające. Zwykły aparat jest nadal najlepszy do uchwycenia zdarzeń szybkich i nieznacznych, chociaż ze zdjęcia nie można jak z taśmy wideo odczytać ruchu warg.

Poświęcił kilka sekund każdej klatce, oglądając za pomocą szkła powiększającego obiekty swego zainteresowania. Kiedy na ujęciach pojawiła się pani Foley, zaczął je badać dokładniej. Baczenie przyglądał się jej ubraniu, biżuterii, jej twarzy. Uśmiech miała wyjątkowo bezmyślny, jakby wzięty z zachodniej reklamy telewizyjnej. Pamiętał jej okrzyki w tłumie.

Dlaczego Amerykanie są tak cholernie hałaśliwi?

Umie się ubrać. Jak większość amerykańskich kobiet w Moskwie, wygląda jak paw wśród kur — parsknął z rozdrażnieniem. I co z tego, że Amerykanie więcej wydają na stroje?

Czy ubranie ma dla kogokolwiek jakieś znaczenie? Kiedy patrzyłem na nią przez lornetkę — pomyślał — wyglądała, jakby miała ptasi mózdzek. Ale na tych zdjęciach tak nie wygląda.

Dlaczego?

To oczy. Na zdjęciach jej oczy błyszczały jakoś inaczej niż gdy ją wtedy oglądał. O co chodziło?

Na fotografiach jej oczy (pamiętał, że są niebieskie) zawsze były na coś skierowane.

Twarz miała, jak zauważył, lekko słowiańskie kości policzkowe. Wiedział, że Foley to nazwisko irlandzkie i zakładał, że jej rodowód jest też irlandzki. To, że Ameryka jest krajem imigrantów, a ci poprzez małżeństwa przekraczają granice etniczne, było pojęciem obcym dla Rosjan. Gdyby tak dodać jej parę kilo, zmienić uczesanie i ubranie, niczym nie wyróżniałaby się na ulicy w Moskwie... czy w Leningradzie. To drugie byłoby bardziej prawdopodobne — wyglądała jak mieszkanka Leningradu. Na jej twarzy rysowała się lekka arogancja właściwa ludziom z tego miasta. Ciekaw jestem, jakiego jest pochodzenia.

Kiedy przerzucał następne fotografie, przypomniał sobie, że Foleyów pod tym względem nie sprawdzano. Akta obojga były dość cienkie. W „Dwójce” uważano ich za zera. Coś mu szeptało, że to błąd, ale ten głos wewnętrzny był jeszcze za słaby. Sięgając po ostatnie fotografie, spojrzął na zegarek. Cholera, już trzecia rano! — warknął do siebie i nalał sobie kolejną szklanekę herbaty.

To musiało być po drugiej bramce. Skakała jak gazela. Po raz pierwszy zauważył jej ładne nogi. Jak to mówili wtedy, na meczu, jego koledzy, byłaby z nią dobra zabawa w łóżku.

Jeszcze tylko kilka klatek do zakończenia meczu i... no tak, tu obejmuje tego starego capa Jazowa, a potem ściska pułkownika Filitowa...

Zamarł. Zdjęcie uchwyciło coś, czego nie widział przez lornetkę. Kiedy ściskała Filitowa, jej oczy utkwione były w jednym z czterech ochroniarzy, tym, który nie patrzył na mecz. Jej ręka, lewa ręka, wcale nie obejmowała Filitowa, lecz była opuszczona wzdłuż jego ręki i niewidoczna. Wrócił do poprzednich fotografii. Zanim zaczęły się uściski, trzymała tę rękę w kieszeni płaszcza. Kiedy zarzuciła ramiona na szyję ministrowi obrony, dłoń była zaciśnięta, ale po Filitowie była już otwarta. Oczy nadal utkwione w ochroniarzu, na ustach przylepiony —

jakże w tym rosyjski — uśmiech, lecz na następnej klatce była znów sobą, jak zwykle roztrzepana. W tym momencie miał już pewność.

— Skurwysyn — wyszeptał.

Od jak dawna są tu Foleyowie? Przeszukiwał zmęczoną pamięć, niczego jednak nie mógł

wyłowić. Co najmniej dwa lata, my zaś nie wiedzieliśmy, nawet nie podejrzewaliśmy... a jeżeli to tylko ona? Pomyślmy: jeżeli to tylko ona jest szpiegiem, a mąż nie? Odrzucił ten pomysł

natychmiast, i miał rację, ale wychodził ze złego założenia. Sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do Watutina do domu.

— Tak — usłyszał głos po pierwszym sygnale.

— Mam coś ciekawego — powiedział po prostu.

— Przyślijcie samochód.

Watutin był już po dwudziestu pięciu minutach, nie ogolony i rozdrażniony. Major wyłożył kilka najważniejszych fotografii.

— Nigdy jej nie podejrzewaliśmy — powiedział, podczas gdy pułkownik oglądał zdjęcia przez lupę.

— Dobra maska — stwierdził kwaśno Watutin. Spał zaledwie godzinę, zanim zadzwonił

telefon. Nadal jeszcze uczył się zasypiania bez kilku głębszych — próbował się nauczyć.

Podniósł głowę.

— Nie do wiary! Tuż pod nosem ministra obrony i czterech facetów z ochrony! Co za tupet! Kto ją zwykle obserwuje?

Major bez słowa podał akta. Watutin przerzucił je i znalazł odpowiednią kartkę.

— Ten stary pierdoła! Gdyby próbował śledzić dziecko idące do szkoły, aresztowano by go jako zboczeńca. No proszę, porucznik od dwudziestu trzech lat!

— Ambasada amerykańska to siedemset osób, towarzyszu pułkowniku — zauważył major. — Mamy tak niewielu dobrych oficerów...

— I wszyscy obserwują niewłaściwych ludzi — Watutin podszedł do okna. — Koniec!

Jej męża też — dodał.

— Takie będą też wnioski mojego raportu, towarzyszu pułkowniku. Wygląda na to, że obydwójce pracują dla CIA.

— Ona coś mu podała.

— Prawdopodobnie wiadomość, a może coś innego.

Watutin usiadł i potarł oczy. — Dobra robota, towarzyszu majorze.

Na granicy pakistańsko-afgańskiej już świtało. Łucznik sposobił się do powrotu na swoją wojnę. Jego ludzie pakowali nową broń, podczas gdy ich dowódca (niezupełnie oswoił się jeszcze z tą myślą) przygotowywał plany na nadchodzące tygodnie. Wśród rzeczy, które otrzymał od Ortiza, był pełny zestaw map taktycznych. Wykonano je według zdjęć satelitarnych i naniesiono najświeższe dane o umocnieniach radzieckich i obszarach gęsto patrolowanych. Miał

też obecnie radiostację dalekiego zasięgu dzięki czemu mógł słuchać prognoz pogody, w tym także rosyjskich. Zamierzali ruszyć w drogę dopiero po zapadnięciu mroku.

Rozejrzał się dookoła. Niektórzy z jego ludzi wysłali do tego bezpiecznego miejsca swoje rodziny. W obozie panował tłok i hałas, ale lepsze to, niż opustoszałe wsie i miasta zrównane z ziemią przez rosyjskie bomby. Łucznik widział tu dzieci, a te są szczęśliwe wszędzie, byle byli tam ich rodzice, koledzy i jedzenie. Mniejsi chłopcy bawili się pistolecikami-zabawkami, u starszych nie były to już zabawki. Godził się z tym z pewnym żalem, który jednak malał po każdej wyprawie. Straty wśród mudzahedinów wymagały uzupełnienia, a najmłodszy byli najodważniejsi. Jeżeli wolność trzeba okupić ich życiem... cóż, ginęli w świętej sprawie, Allah zaś był łaskawy dla tych, którzy ginęli dla Niego. Świat jest zaiste smutnym miejscem, ale przynajmniej tutaj może człowiek znaleźć czas na rozrywkę i odpoczynek. Patrzył, jak jeden z jego strzelców pomaga swemu pierworodnemu chodzić. Dziecko jeszcze tego nie potrafiło, ale po każdym niepewnym kroczku spoglądało w uśmiechniętą, brodatą twarz ojca, którego od urodzenia widziało zaledwie dwa razy. Nowy przywódca grupy przypomniał sobie, jak robił to samo ze swoim synem... którego uczono teraz kroczyć całkiem inną drogą...

Łucznik wrócił do swoich zajęć. Teraz nie mógł już zajmować się wyrzutnią rakiet, ale dobrze wyszkolił w tym Abdula. On sam miał obecnie dowodzić ludźmi. Zasłużył na ten przywilej, a

ponadto uważali go za szczęśliwca. To dobrze wpływa na morale. Mimo że nigdy w życiu nie czytał książek o teorii wojskowej, miał poczucie, że poznał ją dostatecznie w praktyce.

To przyszło bez najmniejszego ostrzeżenia. Obrócił gwałtownie głowę, słysząc trzask eksplodujących pocisków działka, a potem zobaczył przemykające na wysokości zaledwie stu metrów ostre zarysy rosyjskich szturmowców Su-24. Nie zdążył sięgnąć po karabin, gdy zobaczył, jak bomby wypadły z zaczepów pod skrzydłami. Czarne kształty kołysały się przez chwilę, dopóki stateczniki nie ustabilizowały lotu, kierując je powoli nosami ku ziemi. Dopiero teraz doszedł ich ryk silników. Obracając się za nimi, Łucznik podniósł karabin do ramienia, ale szturmowce były szybsze. Pozostało tylko przypaść do ziemi. Wydawało mu się, że wszystko dzieje się bardzo, bardzo wolno, jakby zawisł w powietrzu, a ziemia nie miała ochoty zbliżyć się do niego. Zwrócony był plecami do bomb, wiedział jednak, że tam są, że lecą ku ziemi. Kątem oka dojrzał biegnących ludzi, owego strzelca, który teraz starał się własnym ciałem przykryć syna. Obrócił się i ze zgrozą zobaczył, że jedna z bomb, czarny krążek na tle jasnego, porannego nieba spada prosto na niego. Nie miał nawet czasu, by wypowiedzieć imię Allaha, gdy ziemia zadrżała.

Wybuch ogłuszył go i oszołomił, a gdy wstał, nogi trzęsły się pod nim. To dziwne widzieć i czuć hałas, nie słysząc go. Odruchowo odbezpieczył karabin i wypatrywał następnego samolotu. Jest tam! Karabin jakby sam podskoczył do ramienia i wypalił, lecz bez skutku.

Kolejny szturmowiec zrzucił swój ładunek o sto metrów dalej i odleciał, ciągnąc za sobą smugę spalin. Po chwili niebo było czyste.

Dźwięki powracały wolno, były jakby odległe, podobne głosom ze snu. Ale to nie był

sen. W miejscu, gdzie znajdował się jego strzelec z synkiem, była teraz dziura w ziemi. Po tamtych nie zostało śladu i nawet pewność, że obaj stoją teraz jako sprawiedliwi przed Bogiem, nie mogła przysłonić mrozącej krew w żyłach wściekłości, jaka go ogarnęła. Przypomniał sobie litość okazaną Rosjaninowi, poczucie niejakiego żalu z powodu jego śmierci. Koniec z miłosierdziem. Już nigdy nie okaże litości niewiernemu. A z pewnością nie Rosjaninowi.

Zacisnął dłonie na karabinie, aż zbieleły mu palce.

Po niebie przemknął pakistański myśliwiec F-16, ale za późno — Rosjanie byli już po drugiej stronie granicy. W minutę później F-16 zatoczył dwa koła nad obozem, a potem odleciał

w kierunku bazy.

— Nic ci nie jest? — To był Ortiz. Miał przeciętą czymś twarz, a jego głos dochodził

jakby z oddali.

Łucznik nie odpowiedział. Uzbrojoną ręką wykonał tylko ruch w kierunku wdowy lamentującej nad

swą rodziną. Obaj zaczęli poszukiwać rannych, których można było uratować.

Na szczęście oddział medyczny obozu pozostał nienaruszony. Łucznik i oficer CIA przenieśli tam kilka osób, gdzie jeden z francuskich lekarzy z rękami umazanymi krwią przyjął ich potokiem przekleństw znamionujących człowieka nawykłego do takich widoków.

W czasie dalszych poszukiwań natknęli się na Abdula z wyrzutnią na ramieniu, gotową do odpalenia rakiety. Chłopak z płaczem przyznał, że spał. Łucznik poklepał go po ramieniu mówiąc, że to nie jego wina. Rosjanie zawarli podobno z Pakistańczykami porozumienie, które zakazywało ataków poprzez granicę. Zjawiała się ekipa telewizyjna — francuska — i Ortiz z Łucznikiem oddalili się, by ich nie zauważono.

— Sześciu — powiedział Łucznik. Nie wspomniał o ofiarach wśród cywilów.

— Jeżeli robią coś takiego, mój przyjacielu, to oznaka słabości — odpowiedział Ortiz.

— Atakować miejsce, gdzie przebywają kobiety i dzieci to ohyda w obliczu Boga!

— Są jakieś straty w sprzęcie? — Dla Rosjan był to oczywiście obóz partyzantów, ale Ortiz nie zamierzał przedstawiać ich punktu widzenia. Przebywał tu już zbyt długo, by zachować obiektywność w tych sprawach.

— Tylko parę karabinów. Reszta jest już poza obozem.

Ortiz nie miał nic więcej do powiedzenia. Jego zasób pocieszających uwag wyczerpał się.

Działania wspierające Afgańczyków stawały się takim samym koszmarem, jak wcześniejsze próby udzielenia pomocy plemieniu Hmong w Laosie. Tamci walczyli dzielnie z wietnamskim wrogiem, a przecież mimo całego tego wsparcia z Zachodu zostali dosłownie starci z powierzchni ziemi. Oficer CIA powtarzał sobie, że tutaj sytuacja jest inna i uważał, że obiektywnie rzecz biorąc, rzeczywiście jest inna. Niemniej rozdzierało mu się serce, gdy patrzył, jak uzbrojeni po zęby partyzanci opuszczają obóz, a później liczył, ilu z nich wróciło. Czy Ameryka naprawdę pomaga Afgańczykom odzyskać ich ziemie? A może po prostu zachęcamy ich do zabicia jak największej liczby Rosjan, zanim sami zostaną również zmieceni z powierzchni ziemi?

— Czy to słuszna polityka? — zadawał sobie pytanie. Musiał przyznać, że nie wie.

Nie wiedział też o zasadniczej decyzji podjętej przez Łuczniaka. Staro-młoda twarz zwróciła się na zachód, a później na północ; partyzant doszedł do wniosku, że granice nie mogą ograniczać woli Allaha bardziej niż woli Jego wrogów.

Kulminacja

— Teraz trzeba tylko zastawić pułapkę — Watutin mówił rzeczowym głosem, z kamienną twarzą, wskazując na dowody wyłożone na biurku Gierasimowa.

— Świetna robota, pułkowniku! — przewodniczący KGB pozwolił sobie na uśmiech.

Watutin dopatrzył się w nim czegoś więcej niż zadowolenia z zakończenia trudnej i delikatnej sprawy. — Jaki będzie wasz następny ruch?

— Biorąc pod uwagę szczególną pozycję podejrzanego, uważam, że powinniśmy go nakryć podczas przekazywania materiałów. Wygląda na to, że CIA wie o przerwaniu przez nas siatki łącznikowej między Filitowem a nimi. Zdecydowali się na niezwykle krok: użyli do przekazania materiału jednego ze swoich pracowników. Mimo zręczności wykonania, był to niewątpliwie akt desperacji. Chciałbym jednocześnie zdemaskować Foleyów. Są z pewnością dumni z tego, że oszukiwali nas przez tyle lat. Złapanie ich na gorącym uczynku zniszczy tę dumę i będzie także poważnym ciosem psychologicznym dla CIA w ogóle.

— Zgoda — kiwnął głową Gierasimow. — Wy prowadzicie tę sprawę, pułkowniku.

Macie na to tyle czasu, ile wam trzeba. — Obaj wiedzieli, że oznacza to mniej niż tydzień.

— Dziękuję, towarzyszu przewodniczący. — Watutin wrócił do siebie i odpowiednio poinstruował swoich kierowników sekcji.

Mikrofony były bardzo czułe. W czasie snu, jak większość ludzi, Filitow kręcił się w łóżku, z wyjątkiem okresów, kiedy śnił. Magnetofony rejestrowały szelest pościeli i ledwo zrozumiałe pomruki. Nagle pojawił się nowy odgłos i człowiek ze słuchawkami kiwnął do swoich towarzyszy. Brzmiało to jakby wiatr napęlniał żagiel: podejrzanym zrzucił nakrycie z łóżka.

Później dał się słyszeć kaszel. Jak wynikało z kartotek lekarskich stary miał kłopoty z płucami. Był szczególnie podatny na zaziębienia i infekcje dróg oddechowych. Najwyraźniej teraz znowu na coś zachorował. Kiedy wydmuchał nos, funkcjonariusze KGB uśmiechnęli się do siebie, brzmiało to bowiem jak gwizd lokomotywy.

— Mam go — powiedział operator kamery telewizyjnej. — Idzie do łazienki. —

Następny ciąg dźwięków dało się przewidzieć. W oba okna mieszkania wycelowane były potężne obiektywy dwóch kamer, a specjalne oprzyrządowanie pozwalało im zaglądać do wnętrza mimo blasku poranka.

— Wiecie co... już samo takie podglądanie — powiedział technik. — Gdyby tak pokazać taśmę, jak my wyglądamy tuż po wstaniu, umarlibyśmy ze wstydu.

— Jego śmierć będzie miała inną przyczynę — zauważył chłodno starszy oficer. Tak to w śledztwach bywa: zaczynasz się za bardzo utożsamiać z podejrzanym i od czasu do czasu musisz sobie przypomnieć, jak odrażający są zdrajcy. Gdzie zszedłeś z drogi? — zastanawiał się major.

Człowiek z takimi zasługami! Ciekaw był, jak potraktują tę sprawę. Proces publiczny? Czy odważyliby się na publiczne zdemaskowanie tak słynnego bohatera wojennego? To kwestia polityczna — odpowiedział sobie.

Drzwi otwarły się i zamknęły, co oznaczało, że Filitow zabrał egzemplarz „Krasnoj Zwiezdy”, dostarczany codziennie przez posłańca z Ministerstwa Obrony. Słyszeli grzechot młynka do kawy i spojrzeli po sobie: ten cholerny zdrajca każdego ranka pije dobrą kawę.

Było go teraz widać. Siedział przy małym stole w kuchni i czytał gazetę. Robił przy tym notatki lub podkreślał coś w tekście. Kiedy kawa była gotowa, podniósł się i wyjął mleko z małej lodówki. Przed wlaniem do kawy powąchał je czy nie skwaśniało. Posmarował grubo masłem czarny chleb — wiedzieli, że takie są właśnie jego śniadania.

— Nadal jada jak żołnierz — powiedział kamerzysta.

— Kiedyś był dobrym żołnierzem — dodał inny oficer. — Ty głupi staruchu, jak mogłeś zrobić coś takiego?

Wkrótce było już po śniadaniu. Widzieli, jak Filitow idzie do łazienki, żeby się umyć i ogolić. Znowu pojawił się w polu ich widzenia, gdy się ubierał. Na ekranie monitora widać było, jak wyciąga szczołkę, by wyczyścić buty z cholewami. Wiedzieli, że zawsze je nosi, co u urzędników ministerstwa jest dość niezwykle. Równie niezwykle były jednak trzy złote gwiazdy na mundurze. Stał przed lustrem, sprawdzając swój wygląd. Gazeta powędrowała do teczki i Filitow wyszedł. Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszeli, był zgrzyt klucza w drzwiach. Major sięgnął po telefon.

— Obiekt wychodzi. Dziś rano wszystko jak zwykle. Obserwacja na stanowiskach.

— Bardzo dobrze — odpowiedział Watutin i odłożył słuchawkę.

Jeden z kamerzystów nastawił kamerę na drzwi, by zarejestrować wyjście Filitowa z budynku. Kierowca zasalutował i otworzył drzwi samochodu, który po chwili znikł w głębi ulicy.

Zgodzili się, że dzisiejszy ranek był całkiem nieciekawym. Teraz mogli już sobie pozwolić na cierpliwość.

Góry na zachodzie spowite były w chmury, padała drobna mżawka. Łucznik jeszcze nie wyruszył. Należało odmówić modlitwy, pocieszyć ludzi. Ortiz poszedł do jednego z francuskich lekarzy, by mu opatrzył twarz, a w tym czasie jego przyjaciel grzebał mu w papierach.

Miał przy tym poczucie winy, ale powiedział sobie, że po prostu szuka notatek, które sam przekazał oficerowi CIA. Łucznik wiedział, że Ortiz sporządza mnóstwo notatek i bardzo zajmują go mapy. Mapę, którą chciał zobaczyć, znalazł tam, gdzie się jej spodziewał.

Przypiętych było do niej kilka szkiców. Odrysował je szybko i dokładnie, a następnie odłożył wszystko na miejsce.

— Ale z was prostaczki — roześmiała się Bea Taussig.

— Szkoda byłoby popsuć takie wrażenie — odparł Al, uśmiechem pokrywając niechęć do gościa. Nigdy nie rozumiał dlaczego Candi lubi tę... kimkolwiek, u diabła, jest. Gregory nie wiedział, dlaczego jej widok budził w nim jakieś niejasne obawy. Nie chodziło o to, że ona go nie lubi — to było mu zupełnie obojętne. Jego rodzina i narzeczona kochali go, a współpracownicy szanowali. To wystarczało. A że nie odpowiada czyjemuś wyobrażeniu o tym jak ma wyglądać oficer armii? Niech się odpieprzą! Ale z Beą to coś...

— Dobra, porozmawiajmy poważnie — powiedziała właśnie wesoło. — Pytają mnie ludzie z Waszyngtonu, kiedy...

— Ktoś powinien tym biurokratom powiedzieć, że czegoś takiego nie włącza się i nie wyłącza, ot, tak sobie — burknęła Candi.

— Góra sześć tygodni — rzucił z uśmiechem Al. — Może mniej.

— Kiedy? — zapytała Candi.

— Wkrótce. Nie mieliśmy jeszcze okazji zrobić próby w symulatorze, ale wygląda dobrze. To pomysł Boba. Dzięki niemu pakiet programowy uruchamia się lepiej niż wtedy, kiedy ja tego próbowałem. Nie musimy teraz używać tyle SI, ile planowałem.

— Ach, tak? — Użycie SI, sztucznej inteligencji, uważano za istotny czynnik w działaniu zwierciadeł i określaniu celu.

— Właśnie tak. Nasze poprzednie podejście grzeszyło nadmierną technicyzacją zagadnienia, słuchaliśmy rozumu zamiast instynktu. Nie możemy komputerowi mówić, jak ma wszystko wymyślać. Możemy zmniejszyć obciążenie komendami o dwadzieścia procent przez wstawienie do programu określonych opcji. Okazuje się, że to szybsze i łatwiejsze niż wtedy, gdy komputer musi podejmować większość decyzji spoza menu.

— A co z anomaliami? — zapytała Taussig.

— O to właśnie chodzi. Dotychczasowe posługiwanie się SI powodowało, że przebieg procesu był wolniejszy niż zakładaliśmy. Chcieliśmy SI tak uelastyczyć, że w końcu miała kłopoty z wykonaniem czegokolwiek. Przewidywane działania lasera jest na tyle dobre, że decyzja o strzale zostałaby podjęta szybciej niż program SI zdecyduje o wycelowaniu — więc dlaczego nie strzelać? Jeżeli nawet coś nie będzie zgodne z założonym celem, i tak w to pukniemy.

— Wasze zwierciadła laserowe się zmieniły — zauważyła Bea.

— No, o tym nie mogę mówić.

Jeszcze jeden uśmieszek tej pokraki. Taussing z trudnością odwzajemniła uśmiech:

„Wiem coś, czego ty nie wiesz!” — to mi chciałeś powiedzieć? Skóra jej cierpła na sam jego widok. Ale co gorsze, Candi patrzyła na niego tak, jakby był Paulem Newmanem, czy kim tam jeszcze. Ziemista cera, pryszcze, a jej to wszystko się podoba! Bea nie wiedziała, śmiać się czy płakać...

— Nawet my, ohydni biuraliści, musimy jakoś planować — powiedziała.

— Przykro mi, Bea. Znasz zasady ochrony tajemnicy.

— Ciekawe, jak w ogóle nam się udaje cokolwiek zrobić — potrząsnęła głową Candi. —

Jeżeli tak dalej pójdzie, to ja i Al nie będziemy mogli ze sobą porozmawiać między... — tu uśmiechnęła się rozpustnie do swojego kochanka.

Al roześmiał się. — Głowa mnie boli.

— Bea, czy ty wierzysz temu facetowi? — zapytała Candi. Taussig odchyliła się w fotelu.

— Nigdy mu nie wierzyłam.

— A kiedy dasz się zaprosić doktorowi Rabb? Wiesz, że już od pół roku wzdycha do ciebie.

— To niech sobie wzdycha, byle z daleka... Boże, na samą myśl robi mi się... —

Spojrzenie na Candi wybornie maskowało jej uczucia. Zrozumiała, że informacje o programowaniu, które przedtem uzyskała, są już nieważne. Że też ten cholerny gnojek musiał je zmienić!

— Tu coś jest. Ale co? — Jones wcisnął klawisz mikrofonu. — Centrala, tu sonar. Mamy kontakt, namiar zero-dziewięć-osiem. Rejestrujemy go jako Sierra Cztery.

— Czy to na pewno kontakt? — zapytał młody podoficer.

— Widzisz to? — Palec Jonesa przebiegł po ekranie. „Obrazek wodospadu” zakłócały szумы otoczenia. — Pamiętaj, że nie interesują cię wartości przypadkowe. Ta linia nie jest przypadkowa.

— Wystukał na klawiaturze komendę zmieniającą obraz na ekranie. Komputer zaczął przetwarzać ciągi częstotliwości i po minucie wszystko było jasne. W każdym razie dla Jonesa — pomyślał młody sonarzysta. Świetlny pasek na ekranie, nieregularnie zwężający się i rozszerzający, pokrywał około pięciu stopni namiaru. Jones przyglądał się ekranowi przez kilka sekund, potem znowu włączył mikrofon.

— Centrala, tu sonar. Cel Sierra Cztery określony jako fregata klasy Kriwak, namiar zero-dziewięć-sześć. Wygląda na to, że robi jakieś piętnaście węzłów. — Jones zwrócił się do młodzika. Pamiętał swój pierwszy rejs, a ten dziewiętnastolatek też nie dorobił się jeszcze swoich podwodniackich znaczków. — Widzisz? To charakterystyczne odbicie z silników turbinowych, jak podpis. Zazwyczaj można je złapać już z daleka, ponieważ Kriwaki nie mają dobrego wytłumiania.

Do przedziału wszedł Mancuso. „Dallas” pochodził z „pierwszego rzutu” okrętów klasy 688 i nie miał bezpośredniego przejścia z centrali do sonaru, jak w późniejszych jednostkach.

Prawdopodobnie zrobią je w czasie remontu. Kapitan machnął ręką, z trzymanym w niej kubkiem, w kierunku ekranu.

— Gdzie jest ten Kriwak?

— O, tutaj. Stały namiar. Mamy tu dobrą wodę. Jest chyba dość daleko. Kapitan uśmiechnął się. Jones zawsze próbował określić odległość i co zabawne, w ciągu tych dwóch lat, kiedy służył w jego załodze, częściej miał rację niż się mylił. W centrali grupa kierowania ogniem wykreślała pozycję celu w stosunku do znanego kursu „Dalias”, by określić odległość i kurs radzieckiej fregaty.

Na powierzchni nie było dużego ruchu. Pozostałe trzy kontakty podane przez sonarzystów to jednośrubowe statki handlowe. Chociaż pogoda była dziś przyzwoita, Bałtyk (w kategoriach myślenia Mancuso takie nieco większe jezioro) był rzadko przyjemny w zimie.

Doniesienia wywiadu mówiły, że większość okrętów przeciwnika znajdowała się w portach, przy nabrzeżach remontowych. To dobra wiadomość. A jeszcze lepsza to brak lodu. Gdyby było naprawdę zimno, gruby lód mógłby skomplikować zadanie — pomyślał kapitan.

Jak do tej pory tylko drugi z gości, Clark, wiedział co to za zadanie.

— Panie kapitanie, mamy namiar na Sierra Cztery — zakomunikował porucznik z centrali.

Jones złożył kawałek papieru i podał go Mancuso.

— Tak, słucham.

— Odległość trzydzieści sześć tysięcy, kurs mniej więcej dwa-dziewięć-zero.

Mancuso spojrział na kartkę i roześmiał się. — Jones, ty cholerny czarowniku! — Oddał

mu ją i poszedł zmienić kurs okrętu, by wyminął Kriwaka.

Sonarzysta u boku Jonesa złapał kartkę i przeczytał ją na głos. — Skąd pan wiedział?

Wydawałoby się, że nie jest pan w stanie tego określić.

— Praktyka, mój chłopcze, praktyka — odpowiedział z pewnością siebie Jones.

Zauważył, że okręt zmienia kurs. To niepodobne do tego Mancuso, którego znał. Kiedyś kapitan podchodził bliżej, robił zdjęcia przez peryskop, wykonywał kilka treningowych podejść do odpalenia torped, i w ogóle traktował radziecki okręt jak prawdziwy cel w prawdziwej wojnie.

Teraz natomiast zwiększali odległość od rosyjskiej fregaty, chyłkiem uciekali od niej. Jones nie sądził, by Mancuso zmienił się aż tak bardzo. Zaczął się więc zastanawiać, o co, u diabła, chodzi tym razem.

Nie widywał zbyt często pana Clarka, który dużo czasu spędzał w przedziale maszynowym na rufie. Ulokowano tam okrętowy kącik treningowy, czyli wepchnięto ruchomą bieżnię między dwie obrabiarki. Załoga już szemrała, że nie jest on zbyt rozmowny. Zazwyczaj uśmiechał się, kiwał głową i szedł dalej. Jeden z szefów sekcji zauważył tatuaż na przedramieniu Clarka i zaczął coś szeptać o znaczeniu czerwonej foki, że niby jest to znak komandosów marynarki wojennej. Na „Dallas” nigdy nie pojawił się ktoś taki, chociaż zdarzało się to na innych okrętach, a opowieści przekazywane ściszym tonem, przerywane jedynie od czasu do czasu okrzykami „Nie zalewaj!” krążyły wśród podwodniaków, nigdy jednak nie wychodziły na zewnątrz. To jedno bowiem potrafili na pewno: dotrzymywać tajemnicy.

Jones wstał i poszedł na rufę. Uznał, że jak na jeden dzień wygłosił już dość wykładów, a jego status cywilnego technika pozwalał mu na swobodne wałęsanie się po statku. Zauważył, że

„Dallas” zbytnio się nie spieszy, idąc na wschód z prędkością dziewięciu węzłów. Rzut oka na mapę powiedział mu, gdzie się znajdują, ołówek zaś, którym nawigator postukiwał po mapie —

jak daleko jeszcze popłyną. Schodząc na dół po puszkę coli, Jones zaczął się poważnie zastanawiać. Trafił na rejs, który nie zapowiadał się lekko.

— Słucham, panie prezydencie? — z napięciem rzucił w słuchawkę sędzia Moore.

Czyżby zdecydował?

— Ta sprawa, o której rozmawialiśmy u mnie kilka dni temu...

— Tak, słucham. — Przewód słuchawki, którą Moore trzymał w ręku, prowadził do dużej skrzynki, sprytnie wmontowanej w jego biurko. Znajdował się w niej system szyfrujący, który rozbijał słowa na ciągi cyfr, zmieniając je nie do poznania i przysyłał do podobnego urządzenia na drugim końcu linii, które przywracało im pierwotny kształt. Dodatkową zaletą było to, że eliminowało to

jednocześnie wszelkie przypadkowe szумы na linii.

— Zaczynajcie. Nie możemy... wczoraj wieczorem postanowiłem, że nie możemy go tak po prostu zostawić. — Była to chyba pierwsza rozmowa prezydenta tego ranka, jeszcze wyczuwało się emocję. Moore ciekaw był czy prezydent spędził bezsenłą noc z powodu nie znanego mu agenta. Chyba tak. Był tego rodzaju człowiekiem. Moore wiedział, że jest to także typ człowieka, który trzyma się raz podjętej decyzji. Pelt będzie cały dzień próbował na niego wpłynąć, ale prezydent wypowiedział się w tej sprawie o ósmej rano i będzie się musiał tego trzymać.

— Dziękuję, panie prezydencie. Puszczam wszystko w ruch.

Bob Ritter, który w dwie minuty później był już w gabinecie Moore'a, usłyszał:

— Jest zgoda na ewakuację Kardynała!

— Cieszę się, że głosowałem na niego w wyborach — powiedział Ritter zacierając ręce.

— Za dziesięć dni będziemy go już mieli w bezpiecznym miejscu. Boże, wysłuchanie jego raportu zajmie chyba całe lata! — Zamilkł na chwilę, po czym dodał trzeźwo. — Szkoda, że nie będzie już dla nas pracował, ale jesteśmy mu to winni. Poza tym Mary Pat zwerbowała już kilku dobrych. Wczoraj wieczór przekazała kasety. Nie ma szczegółów, ale była to chyba niebezpieczna robota.

— Zawsze była trochę za...

— Bardziej niż trochę, Arturze, ale wszyscy operacyjni mają w sobie coś z kowboja. —

Dwaj teksańczycy wymienili spojrzenia. — Nawet ci z Nowego Jorku.

— Co za para! Ciekawe, jakie będą ich dzieciaki, mając takie geny — zaśmiał się Moore.

— Bob, masz, czego chciałeś. Do roboty.

— Tak jest. — Ritter wyszedł, by nadać wiadomość i poinformować admirała Greera.

Teleks dotarł do Moskwy, za pośrednictwem satelity, w kwadrans później: WYJAZD ZATWIERDZONY. ZACHOWAĆ RACHUNKI DO ROZLICZENIA.

Ed Foley rzucił rozszyfrowaną informację na biurko: Któryś z urzędasów długo trząsał portkami ze strachu, ale w końcu zebrał się na odwagę — pomyślał. — Dzięki Bogu.

Jeszcze tylko jeden odbiór! Przekażemy jednocześnie wiadomość, Misza poleci do Leningradu, a

reszta zgodnie z planem. Dobrze, że Kardynał co najmniej raz na rok ćwiczył

procedurę ewakuacji. Jego była jednostka pancerna znajdowała się teraz w Leningradzkim Okręgu Wojskowym, Rosjanie zaś rozumieli taki sentyment. Przez wszystkie te lata Misza starał

się, by jego pułk pierwszy otrzymywał nowy sprzęt i przeszkolenie w nowych rozwiązaniach taktycznych. Po jego śmierci miała to być jednostka gwardyjska imienia Filitowa — takie były przynajmniej plany Armii Radzieckiej. Szkoda — myślał Foley — że będą musieli je zmienić. Z

drugiej strony, może to CIA uwieczni jakoś nazwisko tego człowieka...

Ale został jeszcze ten jeden odbiór materiału, co nie będzie łatwe. Nie wszystko naraz —

upomniął sam siebie. Najpierw trzeba przekazać sygnał alarmowy.

W pół godziny później szary pracownik ambasady wyszedł z budynku. o określonej godzinie miał stać w określonym miejscu. Ten „sygnał” został odebrany przez kogoś, kto raczej nie był śledzony przez „Dwójkę”. Osoba ta wykonała kolejną czynność. Nie znała powodu, wiedziała tylko, gdzie i jak należy postawić znak. Napełniło ją to uczuciem zawodu. Robota szpiegowska miała przecież być taka ekscytująca!

— Jest nasz przyjaciel — Watutin siedział w samochodzie. Chciał osobiście sprawdzić, czy wszystko przebiega właściwie. Filitow wszedł do auta i kierowca ruszył. Samochód Watutina jechał za nimi przez kilkaset metrów, potem zawrócił, a śledzenie przejął inny pojazd, kierując się błyskawicznie w równoległą ulicę, by wyrównać dystans.

Watutin orientował się w działaniach z nasłuchu. Meldunki radiowe były szybkie i rzeczowe. W obserwacji brało udział sześć samochodów, po kolei wymieniając się tak, by jeden znajdował się przed, a drugi za śledzonym pojazdem. Samochód Filitowa zatrzymał się przed sklepem dla starszych oficerów Ministerstwa Obrony. Watutin miał tam człowieka — wiadomo było, że Filitow przyjeżdża po zakupy dwa do trzech razy w tygodniu — który sprawdzi, co kupił

i z kim rozmawiał.

Wszystko przebiegało bez najmniejszych zakłóceń. I nic dziwnego, skoro przekazał

wszystkim włączonym w sprawę, że interesuje się nią sam przewodniczący. Kierowca Watutina wyprzedził śledzonego i wysadził pułkownika w pobliżu domu Filitowa, po drugiej stronie ulicy.

Watutin wjechał na piętro, gdzie znajdowało się zajęte przez nich mieszkanie.

— W samą porę — powiedział starszy oficer, widząc go w drzwiach. Ostrożnie wyjrzał

przez okno i zobaczył zatrzymujący się samochód Filitowa. Kiedy pułkownik wchodził do bloku, ulicą przejechał, nie zatrzymując się, samochód z pracownikami „Dwójki”.

— Obiekt wszedł do budynku — odezwał się technik łączności. Do windy z Filitowem wsiadła kobieta z siatką pełną jabłek. Gdy wysiadał na swoim piętrze, dwoje młodych, właściwie nastolatków, minęło windę i poszło korytarzem, szepcząc sobie słowa dozgonnej miłości. W końcu podsłuch zarejestrował odgłos otwierania drzwi.

— Mam go — zameldował kamerzysta.

— Trzymajmy się z dala od okien — powiedział Watutin, choć nie było to konieczne.

Funkcjonariusze z lornetkami stali w dużej odległości od nich. Dopóki w mieszkaniu nie paliło się światło (z oprawek wykręcono żarówki), nie można było stwierdzić, czy ktoś tu mieszka.

Bardzo im się podobała niechęć tego człowieka do spuszczenia żaluzji. Widzieli, jak idzie do sypialni, przebiera się w domowe ubranie i wkłada kapcie. Wrócił do kuchni i przygotował sobie prosty posiłek. Potem zerwał kapsel z półlitrowki. Siedział i gapił się w okno.

— Stary, samotny człowiek — powiedział jeden z funkcjonariuszy. — Czy uważacie, że to dlatego?

— Dowiemy się tak czy inaczej.

Dlaczego tak się dzieje, że państwo nas zdradza? — zapytał Misza w dwie godziny później kaprała Romanowa.

Chyba dlatego że jesteśmy żołnierzami. Misza zauważył, że kapral unika zarówno odpowiedzi na pytanie, jak i samego problemu. Czy wiedział, o co chce zapytać jego kapitan?

A jeżeli my zdradzamy państwo...?

To umieramy, towarzyszu kapitanie. Jasna sprawa. Spada na nas nienawiść i potępienie chłopów i robotników — i umieramy. Poprzez czas Romanow patrzył w oczy swemu dowódcy.

Teraz to on chciał go o coś zapytać. Nie starczało mu odwagi, ale oczy zdawały się mówić: coście zrobili, towarzyszu kapitanie?

Po drugiej stronie ulicy człowiek przy magnetofonie usłyszał szloch. Ciekaw był, jaka jest jego przyczyna.

— Co robisz, kochanie? — uchwyciły mikrofony pytanie Eda Foleya.

— Zaczynam spisywać sprawy do załatwienia przed wyjazdem. Tyle jest rzeczy do zrobienia, że trudno spamiętać.

Foley pochylił się i zajrzał jej przez ramię. Miała pod ręką notatnik i ołówek, ale pisała flamastrem na plastikowej tabliczce. W kuchniach często spotyka się takie „notesy”, dające się bez trudu ścierać wilgotną szmatką.

JA TO ZROBIĘ — napisała tam — MAM ŚWIETNY PRETEKST. Uśmiechnęła się i podniosła fotografię drużyny hokejowej Eddiego. Widniały na niej podpisy wszystkich graczy, a na górze, pod dyktando mamy, Eddie nabazgrał po rosyjsku: „Człowiekowi, który przynosi nam szczęście. Podziękowania. Eddie Foley”.

Jej mąż zmarszczył brwi. Takie śmiałe sposoby były typowe dla Mary. Wiedział, że niebywale zręcznie wykorzystywała swoją przykrywkę, ale... Pokręcił głową. Ale co? Jedyne człowiek w kanale łączności z Kardynałem, który mógłby go rozpoznać, nigdy nie widział jego twarzy. Edowi brakowało może jej brawury, był za to ostrożniejszy. Uważał, że w wymykaniu się spod obserwacji jest lepszy od swojej żony. Doceniał jej zapał do pracy, jej umiejętność działania, czasami jednak była zbyt zuchwała. No, dobrze — zadał sobie pytanie — dlaczego jej o tym nie powiesz?

Wiedział, jak by się to skończyło: podeszłaby go od strony praktycznej. Nie było już czasu na zmontowanie następnej siatki łącznikowej. Obydwoje wiedzieli, że jej przykrywka jest przekonująca, że nigdy nie padł na nią nawet cień podejrzenia.

Ale... Cholera jasna, ta robota to nieskończony ciąg takich pieprzonych „ale”!

OK — ALE PILNUJ SWEGO PIĘKNEGO TYŁECZKA!!! — napisał na tabliczce. Jej oczy zaświeciły, starła jego słowa, a sama napisała:

CHODŹ! NIECH IM MIKROFONY STANĄ!

Ed mało się nie udusił, starając się powstrzymać śmiech. Jak zawsze przed robotą — pomyślał. Nie miał oczywiście nic przeciwko temu, niemniej uważał to za lekkie dziwactwo.

W dziesięć minut później dwóch techników podsłuchu znajdujących się w piwnicy budynku, zaczęło z rosnącym napięciem przysłuchiwać się odgłosom z sypialni Foleyów.

Mary Pat Foley obudziła się jak zawsze o szóstej piętnaście. Na dworze było jeszcze ciemno. Zastanawiała się w jakim stopniu charakter jej dziadka ukształtowany został przez chłód i mrok rosyjskich zim... A jej charakter? Jak większość Amerykanów przebywających w Moskwie, nie znosiła myśli o urządzeniach podsłuchowych zainstalowanych w ścianach. Od czasu do czasu znajdowała w nich przewrotną przyjemność, tak jak wczorajszego wieczora, ale miała też świadomość, że Rosjanie założyli je również w łazience. To zdaje się w ich stylu —

pomyślała, przeglądając się w lustrze. Przede wszystkim trzeba było sobie zmierzyć temperaturę.

Obydwoje chcieli następnego dziecka i od kilku miesięcy pracowali nad tym — to o niebo ciekawsze od oglądania rosyjskiej telewizji. Z zawodowego punktu widzenia ciąża stanowiłaby fantastyczną przykrywkę. Po trzech minutach zapisała wynik na kartce, którą trzymała w szafce z lekarstwami. Chyba jeszcze nie — pomyślała — może za kilka dni. Wyrzuciła do kosza resztki testu ciążowego.

Teraz trzeba było obudzić dzieci. Zaczęła przygotowywać śniadanie, jednocześnie potrząsając kolejno wszystkimi domownikami. Mieszkanie z jedną tylko łazienką wymagało dokładnego przestrzegania kolejności. Nastąpiły zwykłe utyskiwania Eda oraz codzienne pojękiwania i

postękiwania dzieci.

Boże, jak dobrze będzie wrócić do domu — powiedziała sobie. Ona wprawdzie lubiła to wyzwanie, jakim była praca w jaskini lwa, ale dla dzieci życie tutaj nie było takie przyjemne.

Eddie uwielbiał hokej, brakowało mu jednak normalnego dzieciństwa w tym zimnym, ponurym mieście. Lecz to się wkrótce zmieni. Załadują się wszyscy na samolot Pan-Amu i polecą do domu, porzucając Moskwę jeżeli nie na zawsze, to co najmniej na pięć lat. Zamieszkają we wschodniej Wirginii, będą żeglować po Chesapeake Bay. Łagodne zimy! — przypomniała sobie.

Tutaj dzieci okutane są jak Eskimosi. Ciągłe muszą walczyć z przeziębieniem.

Podawała śniadanie na stół, gdy Ed wychodził z łazienki. Teraz ona mogła się umyć i ubrać.

Rozkład dnia przewidywał, że on pilnował śniadania dzieci, a ubierał się, gdy jego żona popędzała je do szkoły.

Usłyszała z łazienki włączony telewizor i roześmiała się do lustra. Eddie bardzo lubił

poranny program gimnastyczny. Kobieta, która go prowadziła, wyglądała jak robotnik portowy, a on wołał na nią „Robotnica”! Tęsknił do porannego serialu „Transformers” i ciągle jeszcze pamiętał tytułową piosenkę. Będzie mu trochę brakowało rosyjskich kolegów, ale jest w końcu Amerykaninem, i nic tego nie zmieni. O siódmej piętnaście wszyscy byli już ubrani i gotowi do wyjścia. Mary Pat wzięła pod pachę owinięte w papier zdjęcie.

— Dziś przychodzi sprzątaczką? — zapytał Ed.

— Wrócę przed jej przyjściem — zapewniła go Mary Pat.

— Dobrze.

Ed otworzył drzwi i ruszył przodem, kierując się do windy. Jak zawsze jego rodzina rano wyjeżdżała pierwsza. Eddie wybiegł naprzód i nacisnął guzik. Winda nadszła, gdy reszta rodziny doszła do drzwi. Eddie wpadł do środka i zaczął podskakiwać, korzystając z normalnej w tych radzieckich urządzeniach rozciągliwości lin. Jego matce wydawało się zawsze, że to cholerstwo za chwilę spadnie na sam dół, on natomiast cieszył się, gdy kabina opadała o kilka centymetrów. W trzy minuty później siedzieli już w samochodzie. Dziś prowadził Ed. Kiedy wyjeżdżali, dzieci pomachały milicjantowi, który z uśmiechem odwzajemnił pozdrowienie. Gdy tylko samochód skręcił w ulicę, funkcjonariusz milicji, a w rzeczywistości KGB, sięgnął po słuchawkę telefonu.

Ed patrzył w lusterko wsteczne, jego żona zaś tak ustawiła lusterko boczne, by móc obserwować ulicę za nimi. Z tyłu dzieci rozpoczęły kłótnię, ale rodzice nie zwracali na to uwagi.

— Zapowiada się ładny dzień — powiedział cicho. Co znaczyło: nikt za nimi nie jedzie.

— Mhm — mruknęła potwierdzająco. W obecności dzieci musieli uważać na to, co mówią. Eddie potrafił powtórzyć każde wypowiedziane przez nich zdanie z taką samą łatwością, jak tytułową piosenkę z „Transformers”. Poza tym, w samochodzie mógł być też podsłuch radiowy.

Ed podjechał najpierw pod szkołę i poczekał, aż żona zaprowadzi dzieci. Eddie i Katie, okutani w swe ciepłe ubrania, wyglądali jak pluszowe misie. Kiedy żona wyszła, nie wyglądała na zadowoloną.

— Nikki Wagner jest chora. Poprosili mnie, żebym poprowadziła za nią popołudniową lekcję — powiedziała, wsiadając do samochodu. Jej mąż mruknął z niezadowolaniem, ale tak naprawdę, to się wspaniale składało. Wrzucił biegi i Volkswagen wyjechał na Prospekt Lenina.

Gra się rozpoczęła.

Od tej chwili zaczęli częściej spoglądać w lusterka.

Watutin miał nadzieję, że tamci nigdy na to nie wpadli. Na ulicach Moskwy zawsze pełno było wywrotek, pędzących z jednej budowy na drugą. Kierowcy w wysoko umieszczonych kabinach mieli wspaniałe pole widzenia, a kręcenie się tych pojazdów po mieście wzbudzało mniej podejrzeń niż w wypadku normalnych samochodów osobowych. Dziś Watutin miał do dyspozycji dziewięć wywrotek; siedzący w nich oficerowie porozumiewali się za pomocą kodujących radiostacji wojskowych.

On sam znajdował się w mieszkaniu sąsiadującym z mieszkaniem Filitowa. Rodzinę, która tu mieszkała, przeniesiono dwa dni temu do hotelu „Moskwa”. Watutin oglądał już taśmy wideo ukazujące obserwowanego, spijającego się do nieprzytomności. Wykorzystał sytuację, by wprowadzić do środka trzech innych oficerów z „Dwójki”, którzy wkręcili w ścianę działową między mieszkaniami sondy mikrofonowe. Słyszał teraz ociężałe poranne kroki Filitowa. Coś mu mówiło, że to dzisiaj...

Popijając herbatę myślał, że to wszystko przez pijaństwo. Ta myśl wywołała grymas rozbawienia. Chyba tylko pijak może zrozumieć pijaka. Był pewien, że Filitow przygotowywał

się do czegoś. Pamiętał, że gdy owego dnia widział go z tym zdrajcą-łaziebnym, pułkownik przyszedł do łaźni na kacu. Tak jak ja. Wszystko się zgadzało. Filitow był bohaterem, który zszedł na złą drogę — ale bohaterem. Niełatwo było mu popełnić zdradę i prawdopodobnie musiał się napić, by móc zasnąć mimo dręczących go wyrzutów sumienia. Watutina cieszyło, że ludzie tak to odczuwają, że wciąż trudno popełnić zdradę.

— Jadą w tym kierunku — usłyszał z radiostacji.

— Tutaj — powiedział Watutin do swych podwładnych. — Wydarzy się to w promieniu stu metrów od miejsca, w którym jesteście.

Mary Pat powtórzyła w myślach, co ma zrobić. Podanie owiniętego w papier zdjęcia pozwoli jej

równocześnie odebrać film, który wsunie do rękawiczki. Potem sygnał: wierzchem dłoni przesunąć po czole, jakby ocierając pot, i podrapać się w brew. Oznaczało to

„niebezpieczeństwo — uciekać”. Miała nadzieję, że weźmie to poważnie. Sama nigdy nie przekazywała tego sygnału. Ed zaproponował kiedyś ewakuację, propozycja została jednak odrzucona. Rozumiała to lepiej niż jej mąż — sama pracowała przecież w CIA z zamiłowaniem, a nie z pobudek rozumowych — ale co za dużo to niezdrowo! Ten człowiek przesyłał informacje na Zachód w czasach, gdy ona dopiero uczyła się bawić lalkami.

To ten budynek. Samochód podjechał do krawężnika, podskakując na wybojach.

Trzymając w jednej ręce pakiet, drugą chwyciła za klamkę drzwiczek. Mąż poklepał ją jeszcze po kolanie: Powodzenia, mała!

— Folejewa wysiadła właśnie z samochodu i zmierza do wejścia bocznego —

zaskrzeczało w radiu. Watutin uśmiechnął się, usłyszawszy takie zruszczenie obcego nazwiska.

Zawahał się, czy wyciągnąć pistolet, ale doszedł do wniosku, że nie — lepiej mieć obie ręce wolne. Pistolet mógłby przypadkowo wypalić, a to nie pora na przypadki.

— Macie jakiś pomysł? — zapytał.

— Gdybym ja to robił, spróbowałbym wymiany błyskawicznej — powiedział jeden z funkcjonariuszy.

Watutin przytaknął. Trapiło go, że nie mogli zainstalować kamer na korytarzu, nie pozwalały na to bowiem warunki techniczne. Tak zawsze bywa z naprawdę ważnymi sprawami.

Spryciarze są ostrożni. Nie można ryzykować ich spłoszenia, a pewny był, że i tak wzbudzili już czujność Amerykanów, i to na tyle — pomyślał — że zabili jednego ze swoich agentów, tam na stacji.

Na szczęście większość moskiewskich mieszkań wskutek rosnącej liczby włamań, ma w drzwiach wizjery. Dzięki temu Watutin mógł zlecić technikom wymianę normalnego wizjera w drzwiach na taki, przez który widziało się większość korytarza. Przy nim właśnie sam zajął

stanowisko.

Trzeba było zainstalować mikrofony na klatkach schodowych — pomyślał. — Pamiętaj o tym następnym razem. Nie wszyscy szpiedzy używają windy.

Mary Pat nie miała takiej kondycji fizycznej jak jej mąż. Zatrzymała się na podeście, spojrzała w górę i w dół klatki i wstrzymując oddech nasłuchiwała jakichkolwiek odgłosów.

Spojrzała na zegarek. Już czas. Otworzyła drzwi z klatki na piętro i poszła środkiem korytarza.

— Dobra, Misza. Mam nadzieję, że nie zapomniacieś wieczorem nastawić zegarka.

Pułkownik, to ostatni raz. Na rany boskie, niech pan potwierdzi sygnał ewakuacji...

może pańskie sprawozdanie z działalności będą przyjmować na naszej „Farmie” i mój syn będzie miał okazję poznać prawdziwego rosyjskiego bohatera?...

Boże, gdyby tak mój dziadek mógł mnie teraz zobaczyć...

Nigdy tu przedtem nie była, nigdy nie przekazywała niczego w tym budynku. Ale spędziwszy dwadzieścia minut nad szkicem, znała go na pamięć. Drzwi Kardynała są... tutaj!

Już czas! Serce zabiło w niej mocniej, gdy zobaczyła, że o kilka metrów dalej otwierają się drzwi.

Ale fachman! To jednak, co stało się potem, było jak lodowaty sztylet.

Oczy Watutina rozszerzyły się ze zgrozy, gdy usłyszał zgrzyt, jaki wydała zasuwka.

Zainstalowano ją z typowo rosyjską niestarannością, o jakieś pół milimetra poniżej wycięcia we framudze i kiedy odsunął ją przygotowując się do wyskoczenia na korytarz, rozległ się wyraźny trzask.

Mary Pat Foley szła dalej prawie tym samym krokiem. Jej wykszolenie, jak program komputerowy, przejęło kontrolę nad ciałem. W drzwiach był wizjer, którego otwór z ciemnego przeszedł w jasny:

— Ktoś tam był,

— Ten ktoś poruszył się,

— Ten ktoś właśnie odsunął zasuwkę w drzwiach.

Zrobiła pół kroku w prawo i wierzchem dłoni w rękawiczce przetarła czoło. Nie musiała udawać, że ociera pot.

Misza zobaczył sygnał i zastygł w miejscu. Wyraz zdziwienia na jego twarzy zmieniał się w rozbawienie, gdy nagle usłyszał otwierające się gwałtownie drzwi. W ułamku sekundy wiedział, że wychodzący z nich mężczyzna nie jest jego sąsiadem.

— Jesteście aresztowani! — krzyknął Watutin i dopiero teraz zauważył, że Amerykanka stoi o metr od Rosjanina i obydwójce trzymają ręce przy sobie. Dobrze chociaż, że oficerowie stojący za nim nie widzieli wyrazu jego twarzy.

— Słucham? — powiedziała kobieta nienagannym rosyjskim.

— Co takiego?! — zagrzemiał Filitow z gniewem właściwym tylko zawodowemu żołnierzowi na

kacu.

— Pani — Watutin wskazał na panią Foley — pod ścianę.

— Jestem obywatelką amerykańską i nie może pan...

— Jest pani amerykańskim szpiegiem — powiedział kapitan, popychając ją pod ścianę.

— Co? — W głosie jej słychać było przerażenie. Ani odrobiny profesjonalizmu —

pomyślał kapitan, i odczuł to tak, jakby dostał obuchem w głowę. — O czym pan mówi? O co tu chodzi? Kim jesteście? — Potem zaczęła krzyczeć:

— Milicja! Zadzwońcie po milicję! Napadli mnie! Pomocy!

Watutin nie zwracał na to uwagi. Złapał Filitowa za rękę, gdy jeden z oficerów przyparł

go do ściany, i wyjął z niej kasetę. Na ułamek sekundy, który wydał mu się nieskończenie długi, poraziła go straszliwa myśl, że nie trafił, że ona nie jest z CIA. Teraz, gdy miał kasetę w ręku, przełknął ślinę i spojrzał Filitowowi w oczy.

— Jesteście aresztowani za zdradę, towarzyszu pułkowniku. — Dwa ostatnie wyrazy wycedził jadowicie. — Zabrać go.

Obrócił się ku kobiecie. W jej oczach zobaczył strach i złość. Spostrzegł wychylające się ciekawie głowy w drzwiach na korytarzu.

— Jestem pułkownik Watutin z Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego. Dokonaliśmy właśnie aresztowania. Zamknijcie drzwi i zajmijcie się własnymi sprawami. — Polecenia posłuchano bezzwłocznie. W końcu, to Rosja.

— Dzień dobry, pani Foley. — Widział, jak stara się opanować.

— Kim pan jest, i o co tu chodzi?

— Związek Radziecki nie patrzy przychylnie na swoich gości, którzy wykradają tajemnice państwowe. Z pewnością mówiono pani o tym w Waszyngtonie... przepraszam, w Langley.

Odpowiedziała drżącym głosem:

— Mój mąż jest akredytowanym członkiem amerykańskiego poselstwa dyplomatycznego.

Proszę natychmiast skontaktować mnie z moją ambasadą. Nie wiem, o czym pan tu bełkoce, wiem tylko, że jeżeli przez pana ciężarna żona dyplomaty straci dziecko, będzie z tego taki incydent dyplomatyczny, że trafi na pierwsze strony gazet! Nie rozmawiałam z tym człowiekiem.

Nie dotykałam go, i on mnie też nie dotknął — dobrze pan o tym wie. Owszem, ostrzegano mnie w Waszyngtonie, ale przed waszymi błazeńskimi próbami uwikłania Amerykanów w głupawe intrygi szpiegowskie!

Watutin wysłuchał tej przemowy obojętnie, chociaż słowo „ciężarna” nie uszło jego uwagi. Ze sprawozdań kobiety sprzątajacej dwa razy na tydzień ich mieszkanie wiedział, że Folejewa robiła sobie próby. Więc jeśli — wywołałoby to większy szum niż by sobie życzył.

Wszędzie czyhała polityka. Decyzję musiał podjąć przewodniczący Gierasimow.

— Mój mąż czeka na mnie.

— Powiemy mu, że została pani zatrzymana. Poprosimy panią o odpowiedź na kilka pytań. Będzie pani traktowana właściwie.

Mary Pat była już o tym przekonana — strach wywołany tym, co się tu stało, stłumiła teraz duma. Wiedziała, że zachowała się wspaniale. Należała do korpusu dyplomatycznego, była więc bezpieczna. Mogą ją przetrzymać dzień czy dwa, ale jakiegokolwiek złe traktowanie spowodowałoby odesłanie kilku Rosjan z Waszyngtonu z powrotem do kraju. A poza tym nie była przecież w ciąży.

To jednak sprawy uboczne. Nie płakała, nie okazywała emocji innych niż te, których się po niej spodziewano, które nauczono ją okazywać. Naprawdę istotne było to, że jej najważniejszy agent został ujęty, a razem z nim przepadły informacje najwyższej wagi. Chciało jej się płakać, to by jej pomogło, ale nie sprawi tym skurwielom takiej przyjemności. Na płacz przyjdzie czas w samolocie, w drodze do domu.

Ocena szkód

— To dobrze o nim świadczy, że przede wszystkim wrócił do ambasady i nadał teleks —

powiedział na koniec Ritter. — Ambasador zdążył złożyć notę protestacyjną w ich Ministerstwie Spraw Zagranicznych, zanim ogłosili publicznie o aresztowaniu za „Postępowanie niezgodne ze statusem dyplomatycznym”.

— Też mi pociecha — ponuro burknął Greer.

— Powinna być tutaj za parę dni — ciągnął Ritter. — Uznano ich za persona non grata.

Wylatują najbliższym lotem Pan-Amu.

Ryan kręcił się w fotelu. Co z Kardynałem? Boże kochany, opowiadają mi o tym superagencie, a w tydzień później... Z pewnością nie ma tam Sądu Najwyższego, który utrudniałby wykonywanie wyroków śmierci.

— Czy jest jakaś możliwość wymiany? — zapytał.

— Chyba żartujesz, chłopcze. — Ritter wstał i podszedł do okna. O trzeciej nad ranem parking CIA był prawie pusty: tylko kilka samochodów między stertami zgniętego śniegu. —

Nie mamy nikogo wystarczająco ważnego, by próbować wymiany choćby w zamian za złagodzenie wyroku. Za nic w świecie go nie wydadzą, nawet za szefa rezydentury, którego też nie mamy.

— Jest więc już martwy, a materiał przepadł.

— To właśnie przed chwilą usłyszałeś — potwierdził sędzia Moore.

— Może pomogliby nasi przyjaciele? — drążył dalej Ryan. — Może sir Basil ma coś, co mogłoby nam pomóc.

— Ryan, nic nie możemy zrobić, nie uratujemy go — Ritter zwrócił się ku niemu. Miał

teraz na kim wyładować złość. — Jest już martwy. Oczywiście jeszcze oddycha, ale mimo to jest już martwy. Za miesiąc, dwa, może trzy opublikują komunikat, dostaniemy potwierdzenie z innych źródeł, a wtedy otworzymy butelkę i wypijemy za jego pamięć. Tak to już jest.

— Co z „Dallas”?” — zapytał Greer.

— Że co? — obrócił się Ryan.

— Nie musisz o tym wiedzieć — odpowiedział Ritter, zadowolony z takiego obrotu rozmowy. — Zwróć go Marynarce.

— W porządku — kiwnął głową Greer — prawdopodobnie pociągnie to za sobą poważne skutki. — Sędzia Moore spojrzał na niego ponuro: teraz on musi pójść do prezydenta.

— Co pan o tym sądzi, Ryan?

— Jak to się odbije na rozmowach rozbrojeniowych? — Jack wzruszył ramionami. — To zależy, jak do tego podejda. Mają tak dużo możliwości, że możecie uznać za kłamcę każdego, kto wam powie, że potrafi przewidzieć ich wybór.

— Nie ma to jak ekspert — zamruczał Ritter.

— Sir Basil uważa, że Gierasimow chce sięgnąć po najwyższy stołek. Mógłby wykorzystać do tego tę sprawę, uważam jednak — ciągnął spokojnie Ryan — że Narmonow mając za sobą już czwartego człowieka w Biurze Politycznym zyskał wystarczającą przewagę polityczną. Może więc pchnąć sprawę traktatu i pokazać partii, jak jest silny, skoro dąży do pokoju, albo też, jeżeli jest słabszy niż myślę, może wzmocnić swą władzę nad nimi piętrząc przeszkody przed nimi jako niepoprawnymi wrogami socjalizmu. Niestety, nie potrafię określić, który z tych wariantów jest bardziej

prawdopodobny — możemy jedynie snuć domysły.

— No to zabierz się za to — polecił sędzia Moore. — Prezydent będzie chciał czegoś konkretniejszego, zanim Ernie Allen zacznie znowu proponować wstawienie do rozmów sprawy Inicjatywy Obrony Strategicznej.

— Tak jest. — Jack wstał. — Panie sędzio, czy Rosjanie ogłoszą aresztowanie Kardynała?

— I to jest pytanie — odezwał się Ritter.

Ryan szedł już w stronę drzwi, ale zatrzymał się. — Jedną chwileczkę...

— O co chodzi? — zapytał Ritter.

— Powiedział pan, że ambasador zaprotestował, zanim zdążyło się odezwać ich Ministerstwo Spraw Zagranicznych, czy tak?

— Tak. Foley był tak szybki, że ich uprzedził.

— Nie ujmując nic panu Foleyowi, na to nikt nie jest dość szybki — zauważył Ryan. —

Musieli już mieć przygotowany komunikat oficjalny przed dokonaniem aresztowania.

— Więc...? — podjął admirał Greer.

Jack podszedł znowu do siedzącej trójki, — Minister spraw zagranicznych to człowiek Narmonowa, prawda? Podobnie jak Jazow w Ministerstwie Obrony. Obaj nie wiedzieli. Byli tak samo zaskoczeni jak my.

— Niemożliwe — parsknął Ritter. — Coś takiego nie mogłoby tam przejść.

— To tylko pańskie przypuszczenie — nie ustępował Jack. — Czy jest jakiś dowód na poparcie takiego stwierdzenia?

Greer uśmiechnął się. — Na razie nic takiego nie mamy.

— James, do cholery, wiem, że...

— Proszę mówić dalej, panie doktorze — odezwał się sędzia Moore.

— Jeżeli tych dwóch ministrów nie wiedziało, co się dzieje, trochę zmienia to obraz całej sprawy, prawda? — Jack przysiadł na oparciu fotela. — Dobra, odcina się Jazowa, bo Kardynał

jest jego starszym doradcą, ale dlaczego nie powiadomiono ministra spraw zagranicznych? W

takich sprawach działa się szybko, wypycha się fantastyczną historię na pierwsze strony gazet, byle

tylko nie dać stronie przeciwnej szans na wystąpienie z własną wersją.

— Co ty na to, Bob? — zapytał dyrektor Agencji.

Jego zastępca do spraw operacyjnych nigdy nie przepadał za Ryanem. Uważał, że zbyt szybko zaszedł zbyt wysoko. Mimo to Bob Ritter był człowiekiem uczciwym. Usadowił się w fotelu i przez chwilę popijał kawę. — Chłopak może mieć rację. Musimy sprawdzić parę rzeczy, ale jeżeli tak... wtedy to już nie tylko zwykła sprawa „Dwójki”, ale i operacja polityczna.

— James?

Zastępca do spraw informacyjnych kiwnął głową. — To niepokojące.

— Może nie mówimy po prostu o stracie dobrego źródła — rozmyślał na głos Ryan —

lecz o politycznych celach KGB. Nie dostrzegam jednak ich zaplecza. Frakcja Aleksandrowa ma trzech członków Biura, a Narmonow ma teraz czterech, wliczając tego nowego, Waniejewa...

— Cholera jasna! — podskoczył Ritter. — Zakładaliśmy, że jego córkę zwolniono po aresztowaniu, dlatego że albo jej nie złamali — do licha, podobno wygląda dobrze — albo jej ojciec jest tak ważny...

— Szantaż — włączył się sędzia Moore. — Miałeś rację, Bob. Narmonow nic nie wie.

Musisz przyznać Gierasimowowi, że zrobił kilka wspaniałych posunięć... Jeżeli to wszystko prawda, to Narmonow stracił przewagę, i nie wie o tym. — Zmarszczył się na moment. —

Spekulujemy tu jak banda amatorów.

— No tak, to wyszedł z tego piękny scenariusz. — Ryan uśmiechnął się lekko i dokończył swój wywód. — Niewykluczone, że obaliliśmy pierwszy od trzydziestu lat rząd radziecki, który chciał wprowadzić u siebie liberalizm. Cóż na to gazety? — pomyślał. — A wiadomo, że to się rozniesie. To zbyt smakowity kąsek, by zachować go w tajemnicy...

— Wiemy, co pani robiła, i wiemy, od jak dawna. Oto dowody. — Rzucił fotografie na stół.

— Ładne zdjęcia — odrzekła Mary Pat. — Gdzie jest człowiek z mojej ambasady?

— Nie musimy komukolwiek pozwalać na rozmowy z panią. Możemy panią trzymać tu tak długo, jak zechcemy. Nawet latami, jeżeli okaże się to konieczne — dodał złowieszczo.

— Słuchaj no pan. Jestem Amerykanką, jasne? Mój mąż jest dyplomatą. Ma immunitet dyplomatyczny, i ja też. Myślicie, że tylko dlatego że waszym zdaniem jestem głupią amerykańską kuchcią, będziecie mogli mnie tak ciągać i straszyć, aż podpiszę to kretyńskie przyznanie się, że niby jestem szpiegiem. Nie, nie jestem, i nie podpiszę, a mój rząd mnie obroni.

Jeśli o mnie chodzi, może pan sobie rozsmarować musztardę na tym papierku i zjeść go. Jedzenie tutaj jest tak fatalne, że przyda się panu coś na trawienie. I co, mówi pan, że ten miły starszy pan, któremu niosłam fotografię, też został aresztowany? Pan chyba zwariował.

— Wiemy, że spotykała się z nim pani wielokrotnie.

— Dwa razy. Także zeszłego roku na meczu... nie, przepraszam, spotkałam go kilka tygodni temu na przyjęciu dyplomatycznym. Czyli trzy razy, i zawsze chodziło o hokej. Dlatego przyniosłam mu to zdjęcie. Chłopcy z drużyny uważają, że on przynosi im szczęście. Proszę ich zapytać. Wszyscy podpisali się na zdjęciu. Był na dwóch meczach i za każdym razem wygrywaliśmy, a mój syn zdobył bramki. Według was jest szpiegiem, dlatego że chodził na mecze hokejowe młodzieżówki? Mój Boże, wam się chyba zdaje, że pod każdym łóżkiem jest amerykański szpieg.

W gruncie rzeczy dobrze się bawiła. Obchodzono się z nią delikatnie. Nie ma to jak zagrożenie ciąży. Mary Pat złamała jedną z odwiecznych zasad szpiegowskiego rzemiosła: „Nic nie mów”. Trajkotała jak najęta, jak każdy (oczywiście chroniony immunitetem) obywatel wściekły na skończoną głupotę Rosjan. Jednocześnie bacznie obserwowała reakcje przesłuchującego. Rosjanie najbardziej nie znosili traktowania ich z góry, zwłaszcza przez Amerykanów, wobec których odczuwali głęboki kompleks niższości.

— Dotąd uważałam, że ci z bezpieczeństwa w ambasadzie byli dokuczliwi — ciągnęła po chwili z rozdrażnieniem. — Nie robić tego, nie robić owego, ostrożnie z robieniem zdjęć. Ja nie robiłam zdjęcia, ja mu je przyniosłam! Są na nim rosyjskie dzieciaki, oczywiście oprócz Eddiego.

— Obróciła się i spojrzała w lustro. Ciekawa była, czy Rosjanie sami wymyślili ten numer, czy wzięli pomysł z amerykańskich filmów kryminalnych.

— Dobrze wyszkolona — stwierdził Watutin, patrząc przez lustro z sąsiedniego pokoju.

— Wie, że tu jesteśmy, ale nie daje po sobie poznać. Kiedy ją zwalniamy?

— Dziś po południu — odpowiedział szef Zarządu Drugiego. — Dalsze jej zatrzymywanie jest bezcelowe. Mąż pakuje już rzeczy w mieszkaniu. Trzeba było poczekać jeszcze kilka sekund. — dodał.

— Wiem. — Nie było sensu wyjaśniać sprawy wadliwego zamka w drzwiach. KGB nie przyjmowało przeprosin, nawet od pułkowników. Zresztą nie miało to wielkiego znaczenia, o czym wiedział i Watutin, i jego szef-general. Złapali Filitowa — może nie na gorącym uczynku, ale złapali. Taki był przecież cel, w każdym razie jeżeli o nich chodziło. Obaj zdawali sobie sprawę z innych aspektów, udawali jednak, że nic o nich nie wiedzą. Dla obu było to najlepsze wyjście.

— Gdzie jest mój człowiek? — żądał wyjaśnień Jazow.

— Oczywiście w więzieniu Lefortowo — odpowiedział Gierasimow.

— Chcę go zobaczyć. Natychmiast. — Minister obrony nawet nie zdjął czapki. Stał tak w długim płaszczu, z policzkami zaróżowionymi od zimnego lutowego powietrza. A może od gniewu — pomyślał Gierasimow — albo i od strachu...

— To nie miejsce na stawianie żądań, Dymitrze Timofiejewiczu. Ja też jestem członkiem Biura Politycznego, i też zasiadam w Radzie Obrony. A może wy również jesteście wpłątani w tę sprawę.

Gierasimow postukał palcami po leżącej na biurku teczce z materiałami zebranymi przez ludzi Watutina.

Teraz Jazow pobladł i to na pewno nie ze strachu. Gierasimow był zaskoczony, że marszałek nie stracił panowania nad sobą, ale Jazow z największym wysiłkiem powściągnął

gniew i powiedział takim tonem, jakby mówił do świeżego rekruta:

— Pokażcie no mi te wasze dowody tu i teraz, jeśli macie czelność!

— Bardzo proszę. — Przewodniczący KGB otworzył teczkę, wyjął serię zdjęć i podał mu.

— Wyście mnie śledzili?!

— Nie, obserwowaliśmy Filitowa, a wy po prostu przypadkiem tam byliście.

Jazow cisnął odbitki z pogardą.

— I co z tego? Misza został zaproszony na mecz hokejowy. Ja mu towarzyszyłem. To był

dobry mecz. W zespole jest amerykański chłopiec, poznałem jego matkę na jakimś przyjęciu... a, tak, to było przyjęcie w Sali św. Jerzego, kiedy byli tu ostatnio negocjatorzy amerykańscy. Teraz spotkaliśmy się na meczu, przywitaliśmy się. To zabawna kobieta, takie sobie pustogłowie.

Następnego dnia sporządziłem meldunek o tym spotkaniu. Misza też.

— Jeżeli to takie pustogłowie, po co pisaliście meldunek? — zapytał Gierasimow.

— Ponieważ jest Amerykanką, jej mąż jest jakimś tam dyplomata, a ja byłem na tyle głupi, że pozwoliłem jej się dotknąć, jak tu widzicie. Prześlę wam kopie meldunków sporządzonych przeze mnie i przez pułkownika Filitowa. — Jazow mówił teraz już z większą pewnością siebie. Gierasimow trochę się przeliczył.

— To agentka amerykańskiej CIA.

— W takim razie, Nikołaju Borysowiczu, jestem pewien, że socjalizm zwycięży. Nie myślałem, w

każdym razie do dzisiaj, że zatrudniają takich głupców.

Minister obrony Jazow powoli się uspokajał. Na moskiewskiej scenie był wprawdzie niezbyt długo (do niedawna dowodził Dalekowschodnim Okręgiem Wojskowym, gdzie wypatrzył go Narmonow), wiedział jednak, o co naprawdę toczy się walka. Nie wierzył, nie mógł

uwierzyć, że Filitow jest zdrajcą: nie wierzył ze względu na listę zasług Miszy, nie mógł

uwierzyć, ponieważ skandal taki zniszczyłby jedną z najdokładniej zaplanowanych karier w Armii Radzieckiej. Jego karierę.

— Jeżeli macie jakieś poważne dowody przeciwko mojemu człowiekowi, to niech je przejrzą ludzie z mojego pionu bezpieczeństwa. Rozgrywacie, Nikołaju Borysowiczu, grę polityczną z moim ministerstwem. Nie pozwolę, by KGB wtrącało się w to, jak dowodzę armią.

Prześle tu dziś po południu kogoś z GRU. Albo będziecie z nim współdziałać, albo osobiście przedstawię sprawę w Biurze Politycznym.

Po wyjściu ministra obrony, Gierasimow nie poruszył się. Zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Przecenił atuty, które miał w ręku — nie, raczej wyłożył je o dzień za wcześnie.

Spodziewałeś się — mówił sobie — że Jazow padnie, że ugnie się pod presją, że przyjmie propozycję, której jeszcze nie przedstawiłeś.

A wszystko przez to, że ten dureń Watutin nie zdobył niepodważalnych dowodów.

Dlaczego nie poczekał sekundę dłużej!

No cóż, pozostało tylko jedno: wydobyć od Filitowa całkowite przyznanie się.

Formalnie Colin McClintock był pracownikiem Biura Rady Handlowego przy Ambasadzie Jej Wysokości Królowej Brytyjskiej. Lokalizacja Biura — naprzeciw Kremla, na drugim brzegu rzeki Moskwy — datowała się jeszcze z czasów przedrewolucyjnych i od czasów Stalina była solą w oku władz radzieckich. Jednakże McClintock brał też udział w Wielkiej Grze.

To właśnie on „prowadził” Swietłanę Waniejewą. Z powodów, których nigdy mu nie wyjaśniono, przekazał ją CIA. Rozkaz w tej sprawie przyszedł bezpośrednio z Century House w Londynie, gdzie mieściła się centrala Secret Intelligence Service. Teraz oprowadzał właśnie grupę brytyjskich biznesmenów po siedzibie Gospłanu, przedstawiając ich niektórym urzędnikom, z którymi będą musieli negocjować kontrakty na to, co tam zechcą sprzedać tutejszym barbarzyńcom, jak ich w myśli określał. Pochodził z wyspy Whalsay u wybrzeży Szkocji i uważał za barbarzyńcę każdego, kto mieszkał na południe od Aberdeen — a mimo to pracował w SIS. Mówił po angielsku ze śpiewnym akcentem, wplatając słowa używane tylko w północnej Szkocji, po rosyjsku zaś — prawie niezrozumiale. Akcenty w jego mowie pojawiały się i nikły, jakby za pomocą specjalnego

wyłącznika, ale jego uszy nie miały żadnego akcentu.

Ludzie są przekonani, że ktoś, kto ma kłopoty z mówieniem w danym języku, ma również kłopoty z właściwym jego odbiorem. McClintock opinię tę wytrwale podtrzymywał.

Tak też poznał Swietłanę; powiadomił Londyn, że nadaje się do zwerbowania. Dokonał

tego wyższy oficer SIS w sali restauracyjnej „Langan’s Brasserie” na Stratton Street. Od tamtej pory McClintock spotykał się z nią tylko w sprawach handlowych i tylko w otoczeniu innych Brytyjczyków i Rosjan. Jej schowki w Moskwie obsługiwali inni pracownicy SIS, niemniej to on był odpowiedzialny za jej działalność. Informacje, które przekazywała, były kiepskie, chociaż pożyteczne z handlowego punktu widzenia. W wywiadzie często trzeba zadowalać się takimi agentami, jakich uda się zdobyć, ona zaś przekazywała wszakże poufne plotki, zasłyszane od ojca.

Ale coś poszło nie tak ze Swietłaną Waniejewą. Znikła z biura, potem pojawiła się z powrotem, jak twierdziła CIA, najprawdopodobniej po przesłuchaniu w Lefortowie. Zdaniem McClintocka była to niedorzeczność. Ci, którzy trafiali do Lefortowa, siedzieli tam dłużej niż dzień czy dwa. Stało się coś dziwnego. Odczekał tydzień, chcąc znaleźć sposób, by się przekonać, co to mogło być. Jej schowki były oczywiście nietknięte, nikt z SIS nie zbliżał się do nich. Sprawdzano tylko z bezpiecznej odległości, czy ktoś próbował się do nich dostać.

Teraz miał sposobność: wraz z delegacją handlowców szedł przez pokój, w którym znajdowała się także sekcja tekstyliów Gosplanu. Swietlana uniosła głowę i zobaczyła przechodzących obcokrajowców. McClintock wykonał zwykły znak zapytania. Nie wiedział, jaką otrzyma odpowiedź, ani też jakie będzie jej właściwe znaczenie. Zmuszony był zakładać, że Waniejewą złamano, zdemaskowano, ale mimo to musiała jakoś odpowiedzieć. Jego znakiem było przyglądanie ręką włosów, odruch równie naturalny jak oddychanie, jak wszystkie takie znaki. W odpowiedzi miała otworzyć szufladę i wyciągnąć ołówek albo pióro. To pierwsze oznaczało „wszystko w porządku”, to drugie było ostrzeżeniem. Nie zareagowała jednak w ogóle

— po prostu zajęła się dokumentem, który miała w ręku. Młodego oficera wywiadu tak to zaskoczyło, że zaczął się jej przypatrywać, ale w porę przypomniał sobie, kim jest i gdzie jest.

Odwrócił się. Powiódł wzrokiem po twarzach innych osób w pomieszczeniu, jego ręce zaś poruszały się nerwowo, wykonując najróżniejsze czynności, które mogły znaczyć cokolwiek, jeśli ktoś mu się przyglądał.

Uderzył go wyraz jej twarzy, niegdyś żywej, a teraz nieruchomej, pozbawionej uczuć, jak przeciętna twarz na moskiewskiej ulicy. Osoba będąca niegdyś uprzywilejowaną córką wysokiego urzędnika partyjnego, była jakby odmieniona. Nie udawała, tego był pewien, nie miała takich zdolności.

Dobrali się do niej — pomyślał McClintock — dobrali, a potem wypuścili. Nie miał

pojęcia, dlaczego ją wypuszczono, ale to już nie jego sprawa. W godzinę później odwiózł

biznesmenów do hotelu i wrócił do biura. Raport, który nadał do Londynu, miał tylko trzy strony.

Nie wiedział, jaką wywoła burzę. Nie wiedział też, że w tej samej poczcie dyplomatycznej tego samego dnia inny pracownik SIS wysłał swój raport.

— Witaj, Arturze — rozległ się głos w słuchawce.

— Dzień dobry, Basil. Jaka pogoda w Londynie?

— Zimno, wilgotno, wstrętne. Pomyślałem, że mógłbym przejechać się na waszą stronę sadzawki i złapać trochę słońca.

— Nie zapomnij wpaść do mojej firmy.

— Zamierzałem to zrobić, może z samego rana?

— Dla ciebie zawsze mam czas.

— A więc, do jutra.

— Świetnie, do zobaczenia. — Sędzia Moore odłożył słuchawkę.

Co za dzień — pomyślał. — Najpierw tracimy Kardynała, potem sir Basil Charleston chce tu przyjechać z czymś, o czym nie może mówić przez najbezpieczniejszy telefon, jaki kiedykolwiek zainstalowały agencje wywiadu elektronicznego naszych krajów! Nie minęło jeszcze południe, a już siedział w biurze od dziewięciu godzin. Co się, u diabła, dzieje?

— I wy nazywacie to dowodami? — Generał Jewgienij Ignatiew odpowiadał w GRU, radzieckim wywiadzie wojskowym, za pion kontrwywiadowczy. — Mnie, staremu, wydaje się, że wasi ludzie w pościgu za zwierzyną znaleźli się na kruchym lodzie.

Watutin był zdumiony i wściekły, że przewodniczący KGB przysłał tego człowieka do jego biura dla przejrzenia prowadzonej przez niego sprawy.

— Jeżeli macie, towarzyszu, jakieś wiarygodne wytłumaczenie filmu, aparatu i dziennika, może zechcielibyście podzielić się tym ze mną.

— Mówicie, że wyjęliście film z jego ręki, a nie z ręki tej kobiety. — To było stwierdzenie, nie pytanie.

— Z tego błędu nie próbuję się tłumaczyć — odparł z godnością Watutin, ale dla obu zabrzmiało to trochę dziwnie.

— Aparat?

— Znalezione go na zaczepach magnetycznych przymocowanych do tylnej ścianki lodówki.

— A więc nie znalezione go za pierwszym razem, kiedy przeszukiwaliście mieszkanie.

Nie ma też żadnych odcisków palców. Wasz zapis wideo nie wskazuje, by Filitow go używał.

Jeżeli teraz powie mi, że podrzuciliście mu i film, i aparat, jak mam przekonać ministra, że to właśnie on kłamie?

Watutina zdumiał ton pytania. — Mimo wszystko uważacie, że jest szpiegiem?

— To, co uważam, nie ma żadnego znaczenia. Oczywiście, ten dziennik to kłopotliwa sprawa, ale nie uwierzycie, z jakimi naruszeniami zasad tajemnicy mam do czynienia, szczególnie na wysokich szczeblach. Im ludzie stają się ważniejsi, tym bardziej lekceważą zasady. Wiecie, kim jest Filitow. To więcej niż bohater, towarzysz. Jest sławny w całym Związku Radzieckim: Stary Misza, Bohater spod Stalingradu. Walczył pod Mińskiem, Wiaźmą, zatrzymywał faszystów pod Moskwą, później klęska pod Charkowem, odwrót do Stalingradu, a potem kontratak...

— Czytałem jego akta — powiedział obojętnie Watutin.

— Jest symbolem całej armii. Nie możecie skazać symbolu na podstawie dowodów tak wątpliwych, jak te. Macie tu jedynie film, brak wam obiektywnego dowodu, że to on go wykonał.

— Jeszcze go nie przesłuchiwaliśmy.

— Myślicie, że to będzie łatwe? — Śmiech Ignatiewa brzmiał jak chrapliwe szczekanie.

— Wiecie, jaki to twardy człowiek? Strzelał do Niemców, mimo że sam się palił! Tysiące razy patrzył śmierci w oczy — i olewał to!

— Mogę z niego wyciągnąć to, na czym mi zależy — oświadczył z naciskiem Watutin.

— Torturami? Zwariowaliście chyba! Pamiętajcie, że Tamańska Gwardyjska Dywizja Zmechanizowana stacjonuje o kilka kilometrów stąd. Myślicie, że Armia Radziecka będzie siedzieć cicho, kiedy wy będziecie torturować jednego z jej bohaterów? Pułkownikowi Watutin, Stalin już nie żyje, Beria też.

— Możemy wyciągnąć z niego informacje bez stosowania przemocy fizycznej —

powiedział Watutin; była to jedna z najpilniej strzeżonych tajemnic KGB.

— Bzdura!

— W takim razie, towarzyszu generale, co proponujecie? — zapytał Watutin, znając już odpowiedź.

— Pozwólcie, że przejrzymy sprawę. Dopilnujemy, by już nigdy nie zdradził Rodiny.

Tego możecie być pewni — obiecał Ignatiew.

— I oczywiście zaoszczędzicie wstydu armii.

— Oszczędzimy wstydu wszystkim. Również wam, towarzyszu pułkowniku, za spieprzenie tego tak zwanego śledztwa.

Tak, tego mniej więcej się spodziewałem — pomyślał Watutin. — Trochę samochwalstwa, parę gróźb, wszystko podlane sosem sympatii i koleżeństwa. Wiedział, że ma jeszcze wyjście, ale to wyjście, choć bezpieczne, oznaczało jednocześnie kres jego kariery.

Notatka napisana odręcznie przez przewodniczącego nie zostawiała tu żadnych złudzeń. Znalazł się w potrzasku, między dwoma wrogami. Mógł wprawdzie zyskać uznanie jednej ze stron, wiedział jednak, że z bardziej dalekowzrocznym celem wiązało się także większe ryzyko. Mógł

się wycofać z osiągnięcia prawdziwego celu tego śledztwa — i pozostać pułkownikiem do końca życia, albo też prowadzić dalej to, co zamierzał na początku, pomijając motywy polityczne i okryć się hańbą. Paradoksalnie, decyzja była łatwa: był oficerem „Dwójki”...

— Ja prowadzę tę sprawę. Zlecił mi to przewodniczący i poprowadzę ją na swój sposób.

Dziękuję za rady, towarzyszu generale.

Ignatiew nie mógł nie docenić tego człowieka i jego postawy. Nieczęsto spotykał się z taką uczciwością i odczuł nieokreślony smutek, że nie może pogratulować mu tej, jakże rzadkiej cechy, ale lojalność wobec Armii Radzieckiej przede wszystkim!

— Jak chcecie. Oczekuję, że będziecie mnie informować o wszystkich swoich działaniach. — Ignatiew wyszedł, nie pożegnawszy się nawet.

Watutin siedział przy biurku jeszcze kilka minut, oceniając swą pozycję. Potem zadzwonił po samochód. W dwadzieścia minut później był już w Lefortowie.

— To niemożliwe — powiedział mu lekarz, zanim zdążył zadać pytanie.

— Co takiego?

— Chcecie umieścić tego człowieka w zbiorniku deprivacji sensorycznej, czyż nie tak?

— Właśnie tak.

— To go prawdopodobnie zabije. Nie sądzę, byście tego chcieli, a sam też nie położę na szali

wieloletniej pracy i tego, co osiągnąłem.

— To moja sprawa, i ja ją prowadzę...

— Towarzyszu pułkowniku, człowiek, o którym mówimy, ma ponad siedemdziesiąt lat.

Jest tu jego karta zdrowia. Wykazuje wszelkie objawy średniozaawansowanej choroby wieńcowej, w jego wieku normalnej, ma również za sobą kilka chorób układu oddechowego.

Początek pierwszej fali lękowej rozerwie mu serce jak balon. Jestem tego niemal zupełnie pewien.

— Co to znaczy „rozerwie mu serce”...

— Wybaczcie, ale trudno jest wyjaśniać laikowi zagadnienia medyczne. Jego tętnice wieńcowe pokryte są warstwą blaszek miażdżycowych. Mamy je wszyscy — wskutek tego, co jemy. Jego tętnice są jednak bardziej zwężone niż wasze czy moje, a to z powodu wieku. Z tego samego powodu jego tętnice są mniej elastyczne niż tętnice ludzi młodszych. Jeżeli rytm serca będzie za szybki, to owe blaszki oderwą się i spowodują zator. To właśnie jest, towarzyszu pułkowniku, zawał serca. Zator tętnicy wieńcowej. Obumiera część mięśnia sercowego, serce zatrzymuje się albo następuje arytmia. W obu wypadkach przestaje pompować krew i pacjent umiera. Czy to jasne? Zastosowanie zbiornika niemal na pewno wywoła u badanego zawał serca i to ze skutkiem śmiertelnym. Oprócz zawału jest też, co prawda z mniejszym prawdopodobieństwem, możliwy rozległy wylew, albo nawet jedno i drugie naraz. Nie, towarzyszu pułkowniku, w tym przypadku nie możemy zastosować zbiornika. Chyba nie chcielibyście go zabić przed uzyskaniem informacji.

— Czy możliwe są inne środki fizyczne? — cicho zapytał Watutin. Mój Boże, a jeżeli nie zdołam...

— Jeżeli macie pewność, że jest winien, zastrzelcie go od razu i będzie spokój. Ale jakiegokolwiek poważne użycie siły fizycznej zapewne zabije pacjenta — podsumował lekarz.

A wszystko przez ten cholerny zamek w drzwiach — przypomniał sobie pułkownik Watutin.

Rakieta była tak szpetna, jakby narysowana przez dziecko, lub wyprodukowana przez firmę od sztucznych ogni, choć i w jednym i w drugim wypadku znalazłaby się raczej pod samolotem niż na nim. A jednak umieszczono ją na samolocie, któremu światła pasa startowego wskazywały drogę w ciemność.

Tym samolotem był sławny SR-71 Blackbird, produkowany przez Lockheeda samolot rozpoznawczy osiągający prędkość 3 macha. Dwa dni temu przyleciał tu z bazy lotnictwa Kadena, na zachodnim wybrzeżu Pacyfiku. Teraz toczył się po pasie bazy Nellis w Newadzie, ciągnąc za sobą podwójny płomień z dysz potężnych silników wyposażonych w dopalacze. Ku niemałej uciechu kontrolerów lotów, paliwo wyciekające ze zbiorników SR-71 (a przeciekał on bardzo), zapaliło się od płomieni wylotowych. W odpowiednim momencie pilot ściągnął drążek ku sobie i nos SR-71 poderwał się.

Przytrzymał drążek w tej pozycji dłużej niż zazwyczaj i maszyna na pełnym dopalaczu, przy kącie wznoszenia czterdziestu pięciu stopni, pomknęła w górę, zostawiając po sobie tylko grzmot silników. Ich dwie czerwone kropki widać jeszcze było z ziemi, dopóki nie zniknęły w chmurach płynących na wysokości trzech tysięcy metrów.

SR-71 nadal się wznosił. Kontrolerzy ruchu powietrznego w Las Vegas zauważyli na ekranach świetlny punkt: nie przesuwiał się horyzontalnie, a cyfry wskaźnika wysokości migały jak obrazki w automatach do gry, ustawionych w hali portu lotniczego. Popatrzyli po sobie —

jeszcze jeden szalenciec z lotnictwa wojskowego! — i wrócili do swoich zajęć.

Osiągnąwszy pułap dziewięciu tysięcy metrów SR-71 przeszedł do lotu poziomego i skierował się w kierunku poligonu rakietowego White Sands. Pilot sprawdził paliwo — było go sporo — i odprężył się po tak zawiązanym wznoszeniu. Technicy mieli rację: pocisk umieszczony na kadłubie niczego nie zmieniał. Zanim jeszcze zaczął latać na SR-71, bieg wypadków przekreślił potrzebę zaczepów nakadłubowych, które miały trzymać jednosilnikowy, bezzałogowy samolot rozpoznania fotograficznego. Z przyczyn, których trudno było dojść w instrukcji obsługi, zaczepy usunięto z wszystkich samolotów SR-71, oprócz tego jednego.

Samoloty bezzałogowe wymyślono po to, by docierały tam, gdzie nie mogły dolecieć SR-71.

Stały się jednak zbędne, gdy okazało się, że nie ma takiego miejsca, gdzie SR-71 nie mógłby bezpiecznie dotrzeć. Regularne loty z bazy Kadena były tego dowodem. Jedynym ograniczeniem była ilość paliwa, ale dziś nie miało to znaczenia.

— Juliet Whiskey, tu kontrola. Czy mnie słyszysz? Odbiór! — powiedział sierżant do mikrofonu.

— Kontrola, tu Juliet Whiskey. Wszystkie systemy działają. Pełna gotowość do zadania.

— Zrozumiałem. Na moją komendę rozpocząć procedurę odpalania. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, teraz!

Dwieście kilometrów dalej pilot ponownie włączył dopalacze i ściągnął na siebie drążek.

SR-71 zareagował jak zawsze wspaniale: prawie stanął na ogonie i wystrzelił w górę, pchany silnikami o łącznej sile ponad czterdziestu tysięcy KG. Pilot bacznie obserwował wskazania przyrządów. Strzałka wysokościomierza wirowała jak szalona, a prędkościomierz wskazywał

blisko dwa i pół tysiąca kilometrów na godzinę. Samolot zdawał się być obojętny na prawo przyciągania ziemskiego.

— Odłączenie za dwadzieścia sekund — odezwał się z tylnego fotela drugi pilot-operator systemów. Samolot osiągał właśnie trzydzieści tysięcy metrów, a cel miał być zwolniony na trzydziestu pięciu tysiącach. Stery reagowały z opóźnieniem na ruchy drążka. Na tej wysokości powietrze było rzadsze i pilot musiał zwrócić większą uwagę na właściwe panowanie nad maszyną. Na kilka sekund przed

czasem osiągnął zakładaną prędkość trzech tysięcy pięciuset kilometrów na godzinę.

— Przygotować się do odłączenia — zawołał drugi pilot. — Uwaga, odłączenie! —

Pierwszy pilot pchnął drążek do przodu i lekkim łukiem w lewo zaczął schodzić nad Nowym Meksykiem ku bazie Nellis. To znacznie łatwiejsze niż latanie wzdłuż radzieckiej granicy — a czasami nawet przez nią... Zastanawiał się, czy po wylądowaniu zdąży dojechać do Las Vegas na jakieś przedstawienie.

Cel posuwał się jeszcze w górę przez kilka sekund, jednakże bez włączonego silnika. Był teraz jak przedmiot balistyczny, lecący zgodnie z prawami fizyki. Duże stabilizatory zapewniały wystarczający opór aerodynamiczny, kierując pocisk we właściwą stronę. Ale siła ciężenia dopomniła się o swoje prawo, i na wysokości trzydziestu dziewięciu tysięcy metrów rakietę przechyliła się, ociężale opuszczając dziób w kierunku ziemi.

Wtedy włączył się silnik na paliwo stałe. Chociaż działał tylko przez cztery sekundy, to wystarczyło, by rozpędzić cel do prędkości, która przeraziłaby pilota Blackbirda.

— W porządku — potwierdził oficer Armii. Urządzenie radarowe, wykrywszy nadlatujący obiekt, przełączyło się z pozycji wyczekiwania na aktywną. Rakietę-cel przebijała się przez atmosferę z mniej więcej taką samą prędkością jak głowica międzykontynentalnego pocisku balistycznego. Oficer nie musiał wydawać poleceń, ponieważ system był w pełni zautomatyzowany. O dwieście metrów dalej pokrywa z włókna szklanego odskoczyła znad betonowej studzienki wpuszczonej w gipsowe skały i FLAGE wystrzeliła w niebo. Przypominała bardziej lancę niż raketę, jej działanie zaś było niemal równie proste. Radar na fale milimetrowe śledził zbliżający się obiekt, a pokładowy komputer przetwarzał otrzymane dane. Najciekawsze było to, że wszystkie wykorzystane tu podzespoły wzięto z istniejących już systemów nowoczesnego uzbrojenia.

Ludzie obserwujący próbę zza ochronnego nasypu ziemnego, zobaczyli biegnącą w górę smugę żółtego światła i usłyszeli ryk silnika na paliwo stałe. Potem nastąpiła cisza.

FLAGE kierowała się ku swemu celowi, korygując lot o ułamki stopnia za pomocą silniczków manewrowych. Oddzielił się stożek ochronny, a to, co rozłożyło się w tym miejscu, wyglądałoby dla osoby postronnej jak szkielet parasola o średnicy około dziesięciu metrów...

Potem było tak, jakby wybuchła raca z okazji święta Czwartego Lipca, tyle że nie rozległ

się żaden dźwięk. Chociaż zarówno cel jak i „głowica” FLAGE leciały siłą bezwładną, energia zderzenia przemieniła ich metalowe i ceramiczne części w chmurę rozżarzonego gazu.

— Cztery na cztery — powiedział Gregory. Starał się nie ziewać — widywał już sztuczne ognie.

— Nie spoczywajcie na laurach, majorze — strofował młodego człowieka generał Parks.

— Potrzebujemy teraz systemów przechwytywania w środkowym odcinku toru lotu oraz systemów obrony obiektowej.

— Tak jest, panie generale, ale ja tu nie jestem już potrzebny. Zasada się sprawdziła.

Podczas trzech pierwszych prób rakieto-cel wystrzeliwana była z myśliwca Phantom. W

Waszyngtonie twierdzono, że próby te nie uwzględniły w pełni trudności związanych z przechwytywaniem nadlatujących głowic. Dlatego właśnie Parks postanowił użyć samolotu SR-71 jako nosiciela celu. Wystrzelenie rakieto-celu z większej wysokości i z większą prędkością spowodowało odpowiednie przyspieszenie wchodzenia w atmosferę. Warunki przeprowadzanej próby były trudniejsze niż się spodziewano, mimo to jednak FLAGE poradziła sobie bez trudu.

Parksa niepokoiła trochę sprawa oprogramowania pocisku, lecz jak zauważył Gregory, zasada się sprawdziła.

— Al — powiedział generał. — Jestem coraz bardziej przekonany, że uda się nam cały projekt.

— Jasne, dlaczego miałyby się nie udać? — odparł Gregory i pomyślał: Jeżeli tylko te barany z CIA dostarczą nam plany rosyjskiego lasera...

Kardynał siedział samotnie w pustej celi. Miała półtora metra szerokości i dwa i pół metra długości. Pod sufitem wkręcona była żarówka bez klosza, wzdłuż ściany stała drewniana prycza, a pod nią wiadro. Nie było żadnego okienka, oprócz judasza w żelaznych, zardzewiałych drzwiach. Przez grube betonowe ściany nie przedostawał się żaden dźwięk. Filitow nie słyszał

ani kroków strażnika na korytarzu, ani odgłosów ruchu na ulicy biegnącej obok więzienia.

Zabrano mu jego mundur i pas, a zamiast błyszczących butów z cholewami dostał jakieś kapcie.

Wiedział tylko, że cela znajduje się w piwnicy — potwierdzało to także wilgotne powietrze.

Panował tu chłód.

Nie taki jednak jak ten wypełniający jego serce. Bardziej niż kiedykolwiek uświadamiał

sobie ogrom swej zbrodni. Pułkownik Michaił Siemionowicz Filitow, trzykrotny Bohater Związku Radzieckiego, był sam na sam ze swą zdradą. Myślał o tym wspaniałym, rozległym kraju, w którym żył, którego nieskończone połacie, aż po kres horyzontu zamieszkiwali jego rodacy. Przez całe życie służył im z dumą i honorem, a liczne blizny świadczyły, że nie szczędził

też krwi. Pamiętał żołnierzy, z którymi służył i z których tak wielu zginęło pod jego rozkazami. I to jak ginęli — urągając niemieckim czołgom i działom płonęli żywcem w swoich T-34, cofali się tylko wtedy, gdy byli do tego zmuszeni, atakowali nawet wtedy, gdy wiedzieli, że skazani są na klęskę. Pamiętał niezliczone potyczki, ową dziką wesołość towarzyszącą rykowi dieslowskich silników, kłęby czarnego dymu, determinację aż do śmierci, którą tak często udało mu się oszukać.

I temu wszystkiemu się sprzeniewierzył.

Co by teraz powiedzieli o mnie moi żołnierze? — wpatrywał się w gołą betonową ścianę na wprost pryczy.

Co powiedziałby Romanow?

Chyba obaj potrzebujemy kielicha, kapitanie — usłyszał jego głos. Tylko Romanow mógł być taki poważny i rozbawiony jednocześnie. Takie sprawy lepiej roztrząsać przy wódce lub samogonie — głód odezwał się znowu.

Czy wiesz, dlaczego? — pyta Misza.

Nigdy nam, kapitanie, nie powiedzieliście, dlaczego. — Więc Misza wyjaśnił i zajęło mu to zaledwie krótką chwilę.

Obaj synowie, i wasza żona. Powiedzcie, towarzyszu kapitanie, za co zginęliśmy?

Misza nie wiedział. Nawet wtedy w czasie walki nie wiedział. Był żołnierzem, a kiedy żołnierz widzi w swym kraju najeźdźców, musi walczyć z nieprzyjacielem. I to tym łatwiej, jeśli wróg jest tak brutalny, jak brutalni byli Niemcy...

Walczyliśmy za Związek Radziecki, kapralu.

Naprawdę? Pamiętam, że zdaje się walczyłem za ojczyznę, przede wszystkim jednak pamiętam, że walczyłem za was, towarzyszu kapitanie.

Ale...

Żołnierz walczy za swych towarzyszy, kapitanie. Ja walczyłem za moją rodzinę. Moją jedyną rodziną byliście wy i nasz oddział. Myślę, że wy też walczyliście za swoją rodzinę, za tę dużą i za tę swoją małą. Zawsze wam tego zazdrościłem, kapitanie, i byłem dumny, że dzięki wam należę do obu.

Ale zabiłem was, nie powinienem był...

Towarzyszu kapitanie, każdy ma swoje przeznaczenie. Moim było umrzeć młodo pod Wiaźmą, bez żony, bez dzieci, lecz mimo to nie umarłem bez rodziny.

Pomściłem cię, Romanow. Rozwaliłem Tygrysa, który cię zabił.

Wiem. Pomściliście wszystkich zmarłych waszej rodziny. Jak myślicie, dlaczego was kochaliśmy, dlaczego ginęliśmy za was?

Rozumiesz więc? — pyta zdziwiony Misza.

Robotnicy i chłopcy może nie rozumieją, lecz wasi żołnierze — tak. My już rozumiemy przeznaczenie, wy go jeszcze nie pojmujecie.

Ale co mam zrobić?

Kapitanowie nie zadają takich pytań kapralom — śmieje się Romanow. — To wy mieliście odpowiadać na wszystkie nasze pytania.

Filitow gwałtownie podniósł głowę, słysząc dźwięk zasuw w drzwiach.

Watutin spodziewał się zastać złamanego człowieka. Odosobnienie w celi, pozbawienie więźnia tożsamości, pozostawienie go sam na sam z jego strachami i zbrodniami zawsze przynosiło odpowiedni skutek. Tymczasem patrzył wprawdzie na starego, niedołężnego człowieka, ale oczy i usta więźnia mówiły co innego.

Dziękuję ci, Romanow.

— Dzień dobry, sir Basil — powiedział Ryan, schylając się po bagaże przybysza.

— Witaj, Jack! Nie wiedziałem, że jesteś chłopcem na posyłki.

— To zależy, po kogo się posyła. Tam. — Wskazał na samochód zaparkowany o pięćdziesiąt metrów dalej.

— Constance przesyła ci pozdrowienia. Jak rodzina? — zapytał sir Basil Charleston.

— Dziękuję, wszystko w porządku. Co w Londynie?

— Chyba nie zapomniałeś, jak jest u nas w zimie.

— Jeszcze nie — odpowiedział z uśmiechem Jack i otworzył drzwi. — Pamiętam też wasze piwo. — W chwilę później drzwi były już zatrzaśnięte i zamknięte od środka.

— Z dnia na dzień sytuacja się pogarsza — powiedział Jack. — Jak to teraz wygląda?

— Jak? Właśnie po to przyjechałem, żeby się dowiedzieć. Dzieje się coś dziwnego. Zdaje się, że wasi ludzie coś zawali?

— Na to mogę odpowiedzieć twierdząco, ale reszty dowie się pan od sędziego. Mam dostęp tylko do części sprawy.

— I to od niedawna, jak się domyślam.

— Mhm. — Wyjechali na autostradę i Jack wrzucił wyższy bieg.

— No to zobaczymy, sir John, czy jeszcze potraficie dodać dwa do dwóch.

Jack uśmiechnął się i zmienił pas, by wyprzedzić ciężarówkę. — Zajmowałem się sporządzaniem oceny wywiadowczej do rozmów rozbrojeniowych, kiedy wdepnąłem w tę sprawę. Teraz mam oszacować polityczną pozycję Narmonowa. Jeżeli się nie mylę, w tej właśnie sprawie pan przyleciał.

— A jeżeli ja się nie mylę, to wasza operacja pociągnęła za sobą bardzo poważne skutki.

— Waniejew?

— Zgadza się.

— O rany. Mam nadzieję, że ma pan jakieś pomysły, bo my żadnych. — Ryan przyspieszył do stu trzydziestu i w kwadrans później skręcał już w stronę Langley. Zaparkował w podziemnym garażu i wydzieloną windą wjechali na siódme piętro.

— Witam, Arturze. Rzadko mi się zdarza, nawet w Londynie, by moim szoferem był ktoś z tytułem szlacheckim. — Szef wywiadu brytyjskiego rozsiadł się w fotelu, Ryan tymczasem poszedł zawiadomić dyrektorów obu działów.

— Cześć, Bas — rzucił Greer wchodząc, a Ritter pomachał ręką. To jego operacja wywołała ten kryzys. Ryanowi dostał się najmniej wygodny fotel.

— Chciałbym wiedzieć dokładnie, co się zdarzyło — zaczął bez wstępów Charleston, nawet nie czekając na podanie kawy.

— Aresztowano agenta. Bardzo dobrze uplasowanego agenta.

— To z tego powodu wylatują dziś Foleyowie? — uśmiechnął się Charleston. — Nie wiedziałem, kim są, ale jeżeli dwoje ludzi zostaje wyrzuconych z tamtego uroczego kraju, zazwyczaj przypuszczamy...

— Jeszcze nie wiemy, co się posypało — powiedział Ritter. — powinni właśnie lądować we Frankfurcie. Potem jeszcze dziesięć godzin, zanim będziemy mogli posłuchać ich historii.

Prowadzili agenta, który...

— ...który był doradcą Jazowa. Pułkownik Filitow. Tyle zdołaliśmy wydedukować. Jak długo dla was pracował?

— Zwerbował go jeden z waszych — odpowiedział Moore. — Też był pułkownikiem.

— Chyba nie... Oleg Pieńkowski...? Jasna cholera! — Ryan po raz pierwszy widział

naprawdę Charlestona zaskoczonego. — Aż od tamtej pory...?

— Od tamtej pory — potwierdził Ritter. — Ale teraz karta się odwróciła.

— A ta Waniejewa, którą przekazaliśmy wam na łączniczkę, należała do...

— Zgadza się. Chociaż nie знаła obu końców tego kanału. Wiemy, że ją zwinęli, lecz wróciła do pracy. Jeszcze tego nie sprawdziliśmy, ale...

— My to zrobiliśmy, Bob. Nasz człowiek zameldował, że jakby się zmieniła. Twierdzi, że nie sposób tego nie zauważyć, ale trudno to określić. Jakbym słyszał legendarne opowieści o praniu mózgu... Orwell i takie tam... To, że odzyskała wolność czy to, co tam za wolność uchodzi, przypisał stanowisku ojca. Potem dowiedzieliśmy się o dużej sprawie w Ministerstwie Obrony: aresztowano starszego doradcę Jazowa. — Charleston zamieszał kawę. — Mamy na Kremlu ściśle chronione źródło informacji. Dowiedzieliśmy się, że w ubiegłym tygodniu przewodniczący Gierasimow spotkał się z Aleksandrowem na kilka godzin, i to w dość niezwykłych okolicznościach. To samo źródło ostrzegło nas, że Aleksandrow ma wielką ochotę skierować pieriestrojkę na boczny tor.

— To chyba jasne, prawda? — pytanie Charlestona było pytaniem retorycznym. Jasne było dla wszystkich. — Gierasimow przeciągnął na swoją stronę członka Biura Politycznego, uważanego za lojalnego wobec Narmonowa, co najmniej utrudnił wsparcie ze strony ministra obrony, kompromitując go oraz spędził dużo czasu z człowiekiem, który chce usunąć Narmonowa. Obawiam się, że wasza operacja zapoczątkowała coś, co mieć będzie nader niemiłe konsekwencje.

— To jeszcze nie wszystko — dodał dyrektor CIA. — Nasz agent dostarczył nam informacji o badaniach nad radziecką obroną strategiczną. Zdaje się, że Roskim udało się dokonać pewnego przełomu w tej dziedzinie.

— No to pięknie — odezwał się Charleston. — Wracamy do starych złych czasów, chociaż tym razem, jak rozumiem, nowa wersja „różnicy arsenałów” jest całkiem realna? Jestem już za stary, by zmieniać poglądy. Szkoda. Wiecie oczywiście, że w waszym programie jest przeciek?

— Taak? — Moore zachował kamienny wyraz twarzy.

— Gierasimow powiedział to Aleksandrowowi. Brak, niestety, szczegółów. Wiadomo tylko, że KGB uważa źródło za bardzo ważne.

— Otrzymaliśmy pewne informacje i teraz je sprawdzamy — odpowiedział Moore.

— Cóż, sprawy techniczne jakoś się ułożą, tak to zazwyczaj bywa. Aspekt polityczny natomiast wywołał u naszego premiera pewne zaniepokojenie. Jest dość szumu, kiedy obalamy rząd, który pragniemy obalić, ale żeby tak przez przypadek...

— Nam też się to nie podoba — zauważył Greer — ale z naszej strony niewiele możemy zdziałać.

— Możecie przyjąć ich warunki traktatowe — zaproponował Charleston. — Wówczas nasz przyjaciel Narmonow wzmocni swą pozycję na tyle, by móc powiedzieć Aleksandrowowi, żeby się odpieprzył. Takie, w każdym razie, jest nieoficjalne stanowisko rządu Jej Królewskiej Mości.

Oraz prawdziwy cel twojej wizyty, sir Basilu — pomyślał Ryan. Nadeszła jego kolej:

— Oznaczałoby to nałożenie nierozsądnych ograniczeń na nasze badania w dziedzinie Inicjatywy Obrony Strategicznej, a także zmniejszenie zapasu głowic, przy pełnej świadomości, że Rosjanie pędzą naprzód z własnymi badaniami. Nie wydaje mi się, żeby to był dobry interes.

— A Gierasimow na czele władz radzieckich to dobry interes?

— A jeżeli i tak do tego dojdzie? — zapytał Ryan. — Jestem przeciwny dodatkowym ustępstwom, co przedstawiłem na piśmie w swojej ocenie.

— Dokumenty zawsze można zmienić — zauważył Charleston.

— Mam taką zasadę, sir, że to, co podpisuję własnym nazwiskiem, zawiera moje poglądy, a nie to, co każe mi się uważać — odpowiedział Ryan.

— Proszę pamiętać, panowie, że jestem waszym przyjacielem. To, co może przydarzyć się radzieckiemu rządowi, będzie dla Zachodu bardziej niepomyślne, niż czasowe ograniczenie jednego z waszych przedsięwzięć obronnych.

— Prezydent nie będzie zachwycony — odrzekł Greer.

— Może nie mieć wyboru — powiedział Moore.

— Musi być jakieś inne wyjście — zastanawiał się Jack.

— Chyba że potrafisz wysadzić Gierasimowa — wtrącił Ritter. — Nie możemy bezpośrednio pomagać Narmonowowi. Zakładając nawet, że posłucha naszego ostrzeżenia, na co nie należy liczyć, podejmujemy jeszcze większe ryzyko mieszając się w ich politykę wewnętrzną, jeżeli tylko reszta Biura Politycznego coś zwietrzy... będzie z tego mała wojna.

— A gdybyśmy mogli...? — zapytał Ryan.

— Gdybyśmy mogli co? — zwrócił się ku niemu Ritter.

Zmowa

Ann odwiedziła ponownie sklep wcześniej niż oczekiwała właścicielka „Listków Ewy”.

Uśmiechając się jak zwykle, wzięła z wieszaka jedną z sukienek i poszła do przymierzalni. W minutę później stała już przed dużym lustrem, ale bardziej zdawkowo niż zazwyczaj przyjęła komplementy pod swoim adresem. Zapłaciła gotówką i wyszła z tym samym, co zawsze ujmującym uśmiechem na ustach.

Nieco inaczej niż zwykle zachowała się natomiast, dotarłszy na parking: kapitan Bisiarina złamała zasady otwierając pojemnik i czytając na miejscu wiadomość, jaką zawierał. Wyrwało jej się krótkie acz dosadne przekleństwo. Zapaliła papierosa, a potem zbliżyła płomień do kawałka papieru złożonego w popielnicze.

Cała robota na nic! A wszystko było już w Moskwie, już tam nad tym pracowali. Czowała się wystrychnięta na dudka. Rozdrażnienie potęgowało jeszcze to, że jej agentka była uczciwa, przekazała materiał uważany za ściśle tajny, dowiedziawszy się zaś, że utracił on swą wartość, natychmiast o tym zawiadomiła. Bisiarina nie będzie więc nawet mogła sobie powetować na niej, choćby w części reprimendy, jaką z pewnością dostanie z Moskwy za marnowanie ich czasu.

Cóż, uprzedzano mnie, że tak bywa. Może to i pierwszy raz, ale nie ostatni. — Pojechała do domu, by natychmiast wysłać wiadomość.

Ryanów nie widywano zbyt często na waszyngtońskich koktajlach, było jednak kilka, których nie mogli uniknąć. Dzisiejszy miał na celu zbiórkę pieniędzy na Szpital Dziecięcy Dystryktu Columbia, a żona Jacka знаła tamtejszego ordynatora chirurgii. Wabikiem spotkania był znany muzyk jazzowy, który życie swej wnuczki zawdzięczał temu właśnie szpitalowi przeznaczając nań dochód z wielkiego występu w Centrum Kennedy’ego. Przyjęcie miało dać waszyngtońskiej elicie możliwość spotkania się z nim „z bliska i osobiście” oraz posłuchania jego saksofonu w zamkniętym gronie. W istocie, jak zwykle w wypadku takich przyjęć chodziło o to, by śmietanka towarzyska mogła się wzajemnie pooglądać i potwierdzić swoją pozycję.

Podobnie jak na całym prawie świecie, tak i tu elita czuła potrzebę zapłacenia za ten przywilej.

Jack rozumiał wprawdzie to zjawisko, ale sam uważał je za niedorzeczne. Jeszcze nie minęła jedenasta, a już establishment waszyngtoński udowodnił, że potrafi mówić równie głupio i o niczym, a także upijać się jak reszta świata. Cathy zadowolili się jednak tylko jednym kieliszkiem białego wina, rzut monetą wypadł bowiem na korzyść Jacka: on mógł pić, a ona miała prowadzić. Już sobie trochę pozwolił, mimo kilku ostrzegawczych spojrzeń żony. Miała nadzieję, że modlił się w duchu, by wszystko poszło zgodnie z planem. Pławił się więc teraz w lekkim, filozoficznym podchmieleniu. Pomyślał, że może trochę przesadza, ale z drugiej strony nie mogło to przecież wyglądać na

udawanie. Bawił go sposób, w jaki go traktowano.

Stanowisko Ryana w CIA nie było dokładnie znane. Toteż przywitania zaczynały się zazwyczaj pytaniem w rodzaju „Co tam w Langley?”, wypowiedzianych sztucznie konspiracyjnym tonem.

Odpowiedź Jacka, że CIA to jeszcze jedna biurokracyjna machina rządowa, olbrzymi budynek z masą fruujących papierów, wywoływała zdziwienie większości pytających. W powszechnym mniemaniu CIA zatrudniała tysiące agentów. Prawdziwa liczba była utajniona, niemniej znacznie niższa.

— Pracujemy tak, jak inne biura — wyjaśniał Jack jakiejś dobrze ubranej pani o lekko rozszerzonych oczach. — Na przykład, jutro mam wolny dzień.

— Naprawdę?

— Oczywiście. We wtorek zabiłem chińskiego agenta, a za to zawsze dostaje się płatny dzień wolny — powiedział z powagą, a potem uśmiechnął się.

— Pan żartuje!

— Naturalnie, że żartuję. Proszę zapomnieć o tym, co mówiłem. — I pomyślał: Kim jest ta napalona dupcia?

— Mówi się, że prowadzone jest jakieś dochodzenie w pańskiej sprawie — zagadnął ktoś inny.

Zaskoczony Jack obrócił się — A pan to niby kto?

— Scott Browning z „Chicago Tribune”. — Nie podał ręki na przywitanie. Gra się rozpoczęła. Reporter nie wiedział, że w niej uczestniczy, ale Ryan wiedział.

— Mógłby mi to pan powtórzyć? — uprzejmie powiedział Jack.

— Otrzymałem informację, że jest pan podejrzany o niezgodne z przepisami transakcje giełdowe.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparował Jack.

— Wiem, że rozmawiał pan z ludźmi z Komisji Nadzoru Giełdowego — oświadczył reporter.

— Jeżeli wie pan o tym, to wie pan również, że otrzymali ode mnie potrzebne dane, które ich w pełni zadowolili.

— Jest pan tego pewien?

— Jasne! Nie zrobiłem nic złego. I mam na to dokumenty — upierał się Jack. Może zbyt stanowczo

— pomyślał reporter. Bardzo lubił, gdy ludzie za dużo pili. In vino veritas.

— Moi informatorzy twierdzą coś innego — nalegał Browning.

— Nic na to nie poradzę — powiedział Ryan, ale tak gwałtownie, że obróciło się ku nim parę głów.

— Może gdyby nie tacy jak pan, mielibyśmy agencję wywiadowczą z prawdziwego zdarzenia — włączył się nowy uczestnik.

— A pan, co cholery, kim znowu jest! — rzucił Ryan, zanim się odwrócił. Akt I, scena 2.

— Kongresman Trent — przedstawił reporter. Trent był członkiem komisji specjalnej Izby Reprezentantów.

— Chyba należą mi się przeprosiny — powiedział Trent. Wyglądał na pijanego.

— Za co? — chciał wiedzieć Ryan.

— Może za wszystkie spieprzone przez was sprawy?

— A wy to nic nie spieprzyliście? — zapytał Jack. Goście zaczęli się gromadzić wokół nich. Trzeba szukać rozrywki, gdzie tylko się nadarzy.

— Dobrze wiem, co chcieliście wykombinować, ale daliście mordą w trociny. Nie powiadomiliście nas, jak każe prawo, poszliście na całość, no i teraz za to zapłacicie, zapewniam, że drogo zapłacicie.

— Drogo to byśmy zapłacili, gdyby przyszło nam płacić pański rachunek w barze —

Ryan odwrócił się, lekceważąc rozmówcę.

— Ważniaku — powiedział Trent za jego plecami — tobie też powinnie się noga.

Wokół nich stało teraz ze dwadzieścia osób. Jack wziął kieliszek wina od przechodzącego z tacą kelnera. Zauważono wyraz jego oczu. Tym spojrzeniem mógłby zabić — a parę osób pamiętało, że Jackowi Ryanowi zdarzyło się zabić. To właśnie i pewien towarzyszący sprawie rozgłos dodawały mu tajemniczości. Wypił łyk chablis i zwrócił się ku kongresmanowi.

— Niby dlaczego, panie Trent?

— Mógłby się pan zdziwić.

— Niczym mnie nie zadziwisz, koleś.

— Być może, ale nas pan zadziwił, doktorze Ryan. Nie przypuszczaliśmy, że jest pan oszustem, ani,

że jest pan na tyle głupi, by władować się w taki numer. Niestety, popełniłmy błąd.

— Popełniliście jeszcze masę innych błędów — zasyczał Jack.

— Wiesz co, Ryan? Za Boga nie mogę wykombinować, co z ciebie za facet.

— Nic dziwnego.

— No to powiedz mi, Ryan — zażądał Trent.

— Wie pan, panie kongresmenie, nigdy jeszcze nie byłem w takiej sytuacji — pogodnie stwierdził Jack.

— To znaczy?

Zachowanie Ryana zmieniło się gwałtownie, a jego głos można było usłyszeć w najdalszym kącie:

— Nigdy jeszcze żaden pedał nie sprawdzał, czy jestem facetem! — Przepraszam, kolego...

Zapadła cisza. Trent nie krył się ze swymi skłonnościami, znane były publicznie od sześciu lat, lecz mimo to zbladł. Szklanka w jego ręku zatrzęsała się tak mocno, że część zawartości wylała się na marmurową podłogę. Odzyskał jednak panowanie nad sobą i powiedział

niemal łagodnie:

— Zniszczę cię za to.

— Ulżyj sobie, kochasiu. — Ryan odwrócił się i wyszedł z sali, czując na sobie wzrok obecnych. Szedł tak, aż zatrzymał go widok samochodów na Massachusetts Avenue. Wiedział, że wypił za dużo, ale teraz zimne powietrze zaczęło go trzeźwić.

— Jack? — usłyszał głos żony.

— Tak, malutka?

— O co chodziło?

— O nic.

— Może pójdziesz już do domu?

— Masz chyba rację. Wezmę okrycia. — Ryan wrócił do budynku i podał numerek.

Wprost słyszał ciszę, jaka nastąpiła na jego widok, czuł na sobie spojrzenia. Włożył płaszcz, przerzucił futro żony przez ramię, a potem się odwrócił. Z wielu obserwujących go par oczu interesowała go tylko jedna. I była tam.

Misze niełatwo było zaskoczyć, a przecież KGB się to udało. Przywołał całe swoje męstwo, gotując się na tortury, na najgorsze obelgi, ale... spotkał go zawód? Według niego nie było to najwłaściwsze słowo.

Trzymano go w tej samej celi. O ile zdołał się zorientować, na tym oddziale był tylko on.

Zapewne się mylił, ale nic nie świadczyło, by ktoś jeszcze znajdował się w pobliżu. Żadnych dźwięków, żadnego stukania w betonową ścianę — może były zbyt grube. Jedyne „towarzystwo”

objawiało się od czasu do czasu zgrzytnięciem judasza w drzwiach celi. Doszedł do przekonania, że ta samotność miała go złamać. Uśmiechnął się: Myślą, że jestem samotny. Nie wiedzą o moich towarzyszach.

Nasuwała się tylko jedna odpowiedź: ten Watutin obawia się, że może naprawdę jestem niewinny — ale przecież to niemożliwe. Ten cholerny czekista wyjął mi z ręki kasetę.

Rozważał to, wpatrując się w pustą betonową ścianę. Wszystko razem nie trzymało się kupy.

Jeżeli jednak spodziewali się, że będzie się bał, to przeżyją rozczarowanie. Tyle już razy Filitow oszukiwał śmierć. Choć trochę nawet jej pragnął. Może znowu spotkałby swych towarzyszy? Przecież z nimi rozmawiał. Może są wciąż... no, nie między żywymi, ale może jeszcze nie całkiem odeszli? Czym jest śmierć? Prędzej czy później dowie się. Odpowiedź na to pytanie wielokrotnie się o niego ocierała, ale nigdy nie dość blisko, by dała się uchwycić.

W drzwiach zazgrzytał klucz, skrzypnęły zawiasy.

— Powinniście je naoliwić. Urządzenia dłużej działają, jeżeli są odpowiednio konserwowane — powiedział wstając.

Strażnik nie odpowiedział, tylko kiwnął na niego, by wychodził. Na zewnątrz stało dwóch wartowników, gołowąsów, mniej więcej dwudziestolatków, jak oceniał Misza, zadzierających nosy z właściwą KGB arogancją. Czterdzieści lat temu — pomyślał Filitow — dałbym sobie z nimi radę. Byli nie uzbrojeni, a on był żołnierzem, któremu odebrać komuś życie przychodziło równie łatwo jak oddychać. Ci tu nie byli dobrymi żołnierzami. Wystarczyło jedno spojrzenie, by się o tym przekonać. Oczywiście, należy być dumnym, lecz żołnierz powinien być też ostrożny...

Czy o to właśnie chodzi? — zastanowił się nagle. — Watutin traktuje mnie ostrożnie mimo że wie...

Ale dlaczego?

— Co to wszystko znaczy? — zdziwił się Mancuso.

— Bo ja wiem... Pewnie jakiś fiut z Waszyngtonu nie może się zdecydować —

odpowiedział Clark. — Z nimi tak zawsze.

W odstępie dwunastu godzin otrzymali dwa rozkazy. Zgodnie z pierwszym mieli przerwać akcję, a „Dallas” miał zawrócić z Bałtyku. Drugi nakazywał mu pozostać na miejscu i oczekiwać na dalsze polecenia.

— Nie lubię tkwić w takim zawieszeniu.

— A kto lubi, panie kapitanie.

— Jak to wpływa na pana? — zapytał Mancuso.

Clark wymownie wzruszył ramionami. — W dużym stopniu to kwestia psychiki, coś jakby przygotowanie przed meczem. Nie ma strachu, kapitanie. Ja tego nauczam — a w przerwach robię sam.

— Ile to już razy?

— Nie mogę powiedzieć, ale większość poszła dość dobrze.

— Większość? Nie wszystkie? A co wtedy?

— Wtedy dopiero zaczyna to być pasjonujące, dla wszystkich — odpowiedział z uśmiechem Clark.

— Szczególnie dla mnie. Mógłbym opowiedzieć kilka pięknych historii, ale nie wolno mi. Panu też się chyba zdarzało?

— Parę razy. Trochę się wtedy żyć odechciewa, nie? — Wymienili znaczące spojrzenia.

Ryan chodził po sklepach sam. Zbliżały się urodziny żony, a on będzie w tym czasie w Moskwie, chciał więc teraz wszystko pozłatwiać. Należy zacząć od sklepów jubilerskich. Cathy wciąż nosiła ciężki złoty naszyjnik, który podarował jej parę lat temu. Chciał znaleźć do tego odpowiednie kolczyki, ale nie mógł sobie dokładnie przypomnieć wzoru... Kac i zdenerwowanie nie były tu zbyt pomocne. A jeżeli przynęta nie chwyci?

— Witam, panie doktorze — rozległ się znajomy głos. Jack obrócił się zaskoczony.

— Nie wiedziałem, że wolno wam poruszać się na taką odległość. — Akt II, scena 1. Jack nie dał po sobie poznać ulgi, jakiej doznał. Pod tym względem kac okazał się pomocny.

— Garfinckels znajduje się jeszcze w strefie swobodnego poruszania się, co można sprawdzić na planie — odrzekł Siergiej Platonów. — Szuka pan czegoś dla żony?

— Z pewnością macie w moich aktach wszelkie niezbędne wskazówki.

— Oczywiście. Urodziny. — Spojrzał w witrynę. — Szkoda, że nie mogę pozwolić sobie na coś takiego dla mojej...

— Gdyby pan podjął, Siergieju Nikołajewiczu, pewne wstępne kroki, zapewne moja Agencja coś by panu załatwiła.

— Ale moja ojczyzna mogłaby tego nie zrozumieć — odpowiedział Płatonow. — Zdaje się, że i panu takie problemy przestaną być obce, prawda?

— Jest pan świetnie poinformowany — mruknął Jack.

— Tym się przecież zajmuję. Jestem też głodny. Czy mógłby pan poświęcić część swojej fortuny na kanapkę dla mnie?

Ryan rozejrzał się po pasażu z zawodową ciekawością.

— Nie dzisiaj — zaśmiał się Płatonow. — Paru moich... kolegów ma dziś sporo pracy, więcej niż zazwyczaj. A wasza FBI ma, jak mi się wydaje, za mało ludzi, by nas śledzić.

— KGB nie ma takich zmartwień — zauważył Jack. Ruszyli spod sklepu jubilerskiego.

— Mógłby się pan zdziwić znając prawdę. Dlaczego Amerykanie uważają, że nasze organy wywiadowcze różnią się od waszych?

— Jeżeli chce pan przez to powiedzieć, że też potrafiamy wszystko spieprzyć, to jest to pewna pocięcha. Może być hot dog?

— Byle koszerne — powiedział Płatonow, a potem wyjaśnił. — Nie jestem Żydem, jak pan wie, ale to jedzenie bardziej mi odpowiada.

— Za długo pan tu siedzi — uśmiechnął się Jack.

— Waszyngton to takie miłe miejsce.

Jack wszedł do baru szybkiej obsługi, który specjalizował się w bajgiełkach i przetworach z wołowiny, ale sprzedawał też inne produkty. Już po chwili obaj mężczyźni zajęli miejsca przy białym plastikowym stoliku stojącym samotnie w centrum pasażu handlowego. Sprytne —

pomyślał Jack — przechodzący obok ludzie mogli usłyszeć tylko kilka nie związanych ze sobą słów. Płatonow to zawodowiec.

— Słyszałem, że ma pan jakieś nieprzyjemne kłopoty prawne. — Przy każdym słowie Płatonow uśmiechał się. Miało to wyglądać tak, jakby mówili o codziennych sprawach. Jack zauważył także, że jego rosyjski kolega dobrze się bawi.

— Wierzy pan w to, co mówił wczoraj ten kutas? Wie pan — podoba mi się w Rosji sposób, w jaki rozprawiacie się z...

— ...działalnością antyspołeczną? Tak — pięć lat obozu o zaostrożnym reżimie.

Głasność nie rozciąga się aż na zboczenia seksualne. Podczas swej ostatniej podróży do Związku Radzieckiego pański przyjaciel Trent zawarł pewną znajomość. Ten młody człowiek jest już w takim właśnie obozie. — Platonow nie odpowiedział, że wyrok ten zarobił za odmowę współpracy z KGB. Po co mącić obraz — pomyślał.

— Możecie go sobie zabrać z moim błogosławieństwem. Mamy ich tu aż nadto —

warknął Jack. Czuł się fatalnie: miał wrażenie, że oczy mu wyskoczą z huczącej czaszki, a wszystko przez wino i brak snu.

— To już zauważyłem. Czy mamy też zabrać Komisję Nadzoru Giełdowego? — zapytał

Platonow.

— Wie pan, że nic złego nie zrobiłem, dosłownie nic! Dostałem cynk od znajomego i wykorzystałem to. Nic nie kombinowałem, po prostu samo się zdarzyło. Zarobiłem kilka doków

— no to co? Piszę opracowania wywiadowcze dla prezydenta, jestem w tym dobry — a oni chcą mnie teraz capnąć?! Po tym, co... — Ryan przerwał i żałośnie spojrział na Platonowa. — A co to pana obchodzi?

— Od czasu, gdy spotkaliśmy się w Georgetown kilka lat temu, zawsze pana szczerze podziwiałem. Ta sprawa z terrorystami. Nie zgadzam się z pańskimi poglądami politycznymi, a pan, to jasne, nie zgadza się z moimi. Tak między nami jednak, wymiół pan trochę plugastwa.

Może mi pan wierzyć lub nie, lecz jestem przeciwny udzielaniu pomocy państwowej takim zwierzętom. Prawdziwi marksiści, którzy chcą wolności dla swego narodu — zgoda, tych powinniśmy wspierać na wszystkie sposoby. Ale bandyci, mordercy, te szumowiny, które widzą w nas tylko źródło dostaw broni?! Mój kraj nic na tym nie zyskuje. Odkładając zresztą na bok politykę — jest pan człowiekiem odważnym, człowiekiem honoru. Mam dla pana szacunek.

Szkoda, że pański kraj go nie ma. Ameryka tylko po to stawia swych najlepszych na piedestałach, by służyli za cele małuczkim.

Na jedną krótką chwilę Ryan obrzucił go taksującym spojrzeniem. — Tu ma pan zupełną rację.

— Co więc, przyjacielu, zrobią teraz z panem?

Jack głośno westchnął i popatrzył przed siebie. — W tym tygodniu muszę wziąć adwokata. Chyba on będzie umiał. Myślałem, że uda mi się wykręcić, że się z tego wyłgam, ale... ten nowy skurwiel z komisji giełdowej, ta ciota, którego Trent... — Znowu westchnął. —

To dzięki wpływom Trenta dostał tę robotę. Mogę się założyć, że tych dwóch... Zgadza się z

panem. Jeżeli już ma się wrogów, niechże to będą wrogowie, których można poważać.

— CIA nie może panu pomóc?

— Nie mam tam zbyt wielu przyjaciół, sam pan wie. Za szybko awansowałem, za dużo mam forsę, kontakty z Brytyjczykami, pupilek Greera. W ten sposób też można sobie narobić wrogów. Czasami zastanawiam się, czy to przypadkiem nie jeden z nich... Nie mogę tego udowodnić, lecz przy tym systemie komputerowym, jaki mamy w Langley, a wszystkie moje transakcje giełdowe są rejestrowane komputerowo... Wie pan? Zapisy komputerowe mogą zostać zmienione przez kogoś, kto wie, jak to zrobić... no, dobra ale spróbuj to, chłopie, udowodnić. — Jack wyjął z pudełeczka dwie aspiryny i połknął je.

— Ritter w ogóle mnie nie lubi — ciągnął po chwili — nigdy mnie nie lubił. Kilka lat temu wytknąłem mu coś, a jest to facet, który nie zapomina takich rzeczy. Może któryś z jego ludzi... ma paru dobrych. Admirał ma najlepsze chęci, ale to stary człowiek. Sędzia jest na wylocie, miał już odejść rok temu, choć wciąż jeszcze się utrzymuje na stołku — nie mógłby mi pomóc, nawet gdyby chciał.

— Wiadomo nam, że prezydent docenia pańską pracę.

— Prezydent to prawnik, prokurator. Jeżeli tylko wyczuje najmniejsze naruszenie prawa... zadziwiające, jak szybko człowiek zostaje sam. W Departamencie Stanu też jest paru, którzy tylko czekają, żeby mi się dobrać do tyłka. Różnimy się w poglądach. W tym mieście cholernie trudno być uczciwym.

A więc wszystko się zgadza — pomyślał Płatonow. Najpierw dostali meldunek od Petera Hendersona, kryptonim Kasjusz, który dostarczał KGB informacji od ponad dziesięciu lat, z początku jako specjalny asystent senatora Donaldsona z komisji do spraw wywiadu, a następnie jako analityk w Głównym Urzędzie Rachunkowości. KGB wiedziało, że Ryan to wschodząca gwiazda w Wydziale Informacyjnym CIA. Według pierwotnej oceny moskiewskiego Centrum miał on być jedynie zamożnym dyletantem, ale kilka lat temu zaczęto widzieć go inaczej.

Zwrócił czymś na siebie uwagę prezydenta i od tej pory blisko połowa specjalnych ocen wywiadowczych, trafiających do Białego Domu, była jego autorstwa. Z doniesień Hendersona wynikało, że to on sporządził olbrzymi raport o stanie zbrojeń strategicznych, który spowodował tyle zamieszania w Departamencie Stanu. Płatonow dawno już wyrobił sobie własne zdanie —

miał się za dobrego znawcę charakterów. Po pierwszym ich spotkaniu w Georgetown uznał

Ryana za inteligentnego, a przy tym odważnego przeciwnika, ale i człowieka zbyt nawykłego do swych przywilejów, zbyt łatwo wpadającego w złość, ilekroć atakowano jego osobę.

Wykształcony i bywały w świecie, lecz dziwnie naiwny. Obecna rozmowa to potwierdzała. W

gruncie rzeczy Ryan był aż nadto amerykański: dla niego wszystko było albo białe, albo czarne, albo złe, albo dobre. Teraz jednak ważne było to, że Ryan, który dotąd czuł się niezwyciężony, przekonywał się, że tak nie jest i był z tego powodu wściekły.

— Cała robota na nic — powiedział Jack po kilku sekundach. — Moje zalecenia pójdą do kosza.

— O co chodzi?

— O to, że ten pieprzony Ernest Allen przekonał prezydenta, żeby włączyć Inicjatywę Obrony Strategicznej do rozmów rozbrojeniowych. — Płatonow musiał przywołać całe swe doświadczenie zawodowe, by nie dać po sobie nic poznać, a Ryan ciągnął dalej: — Wszystko na nic. Zdyskredytowano moją analizę z powodu tej głupiej sprawy giełdowej. CIA nie udziela mi poparcia, chociaż powinna. Rzucili mnie na pożarcie, a ja nic nie mogę zrobić. — Jack przełknął ostatni kawałek hot doga.

— Coś jednak zawsze można przedsięwziąć — podsunął Płatonow.

— Odwet? Myślałem już o tym. Mógłbym ruszyć prasę, ale „Washington Post” zamierza puścić artykuł o tej sprawie z giełdą. Całą akcją kieruje ktoś z Kongresu. Chyba Trent. Założę się, że to on napuścił na mnie wczoraj tego reportera. To skurwiel! Jeżeli nawet spróbuję powiedzieć prawdę, kto mnie wysłucha? Mój Boże, już choćby teraz, siedząc tu z panem, nadstawiam tyłka.

— Dlaczego pan tak mówi?

— Niech pan zgadnie. — Ryan pozwolił sobie na uśmiech, który jednak zaraz zniknął. —

Nie mam zamiaru iść do więzienia. Prędzej umrę niż dopuszczę do takiego wstydu. Cholera jasna, ryzykowałem życiem... poważnie nadstawiałem karku. O pewnych sprawach pan wie, ale o jednej nie. Ryzykowałem życiem za ten kraj, a teraz chcą mnie wsadzić do więzienia!

— Moglibyśmy pomóc. — Oferta została wreszcie złożona.

— Ucieczka? Pan żartuje. Nie spodziewa się pan chyba, że zamieszkać w tym waszym kraju dla klasy robotniczej?

— Nie, ale przy odpowiedniej zachęcie może bylibyśmy w stanie zmienić pańską sytuację. W tej sprawie będą świadkowie przeciwko panu. Mogliby ulec wypadkom...

— Co mi pan tu pieprzy! — Jack pochylił się ku niemu. — Nie robicie takich rzeczy w naszym kraju, a my nie robimy u was.

— Wszystko ma swoją cenę. Z pewnością rozumie pan to lepiej niż ja — uśmiechnął się Płatonow.

— Na przykład ten „numer”, o którym wspomniał wczoraj Trent. Cóż to takiego?

— Skąd mogę wiedzieć, dla kogo pan naprawdę pracuje? — zapytał Jack.

— Co?! — Wyraz zaskoczenia na jego twarzy nie uszedł uwagi Ryana.

— Pan chce zachęty? Zaryzykuję życiem. Ryzykowałem już w przeszłości, ale niech pan nie uważa, że przychodzi mi to łatwo. Mamy kogoś w moskiewskim Centrum. Kogoś znacznego.

Teraz niech pan mi powie, co otrzymałbym za jego nazwisko.

— Wolność — powiedział bez wahania Płatonow. — Jeżeli rzeczywiście jest tak wysoko, jak pan mówi, bylibyśmy gotowi zrobić naprawdę bardzo dużo. — Ryan nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Patrzyli na siebie jak pokerzyści, jakby grali o wszystko, co mają — i jakby Ryan wiedział, że ma gorszą kartę. Płatonow wytrzymał spojrzenie Amerykanina i z satysfakcją zauważył, że w tym pojedynku zwyciężył.

— Pod koniec tygodnia lecę do Moskwy, chyba że cała ta afera wystrzeli wcześniej, a wtedy jestem skończony. To, co ci powiedziałem, kolego, nie może pójść normalnym kanałem służbowym. Wiem tylko, że osobą tą nie jest Gierasimow. A więc sprawa ma trafić osobiście do przewodniczącego, bezpośrednio do niego, żadnych pośrednich szczebli, bo inaczej nigdy nie zdobędziecie tego nazwiska.

— Dlaczego miałbym wierzyć, że pan je zna? — ostrożnie naciskał Rosjanin.

Teraz Jack się uśmiechnął. Zakryta dotąd karta okazała się dobra. — Nie znam nazwiska, ale znam dane. Mając cztery rzeczy, które dostaliśmy od Kalifa, bo taki ma kryptonim, wasi ludzie załatwią resztę. Jeżeli pańska wiadomość pójdzie kanałem służbowym, prawdopodobnie nigdzie już nie polecę — tak wysoko ten facet siedzi. Jeżeli oczywiście to facet, ale chyba tak.

Jaką mam pewność, że dotrzymacie słowa?

— W wywiadzie trzeba dotrzymywać obietnic — zapewnił go Płatonow.

— To niech pan powie przewodniczącemu, że chcę się z nim spotkać, jeżeli może to zorganizować. W cztery oczy. Żadnych numerów.

— Przewodniczącemu? Ależ przewodniczący nie...

— W takim razie wezmę prawnika i zaryzykuje. Nie zamierzam też siedzieć za zradę, jeżeli mogę tego uniknąć. Tak wygląda ten interes, towarzyszu Płatonow. Życzę przyjemnego powrotu do domu.

Jack wstał i odszedł. Płatonow pozostał na miejscu. Rozejrzał się wokół i zobaczył swego człowieka z obstawy, który zasygnalizował mu, że nie byli obserwowani.

Teraz musiał podjąć decyzję. Czy Ryan był szczery? Tak twierdził „Kasjusz”.

Prowadził „Kasjusza” od trzech lat. Informacje dostarczane przez Petera Hendersona zawsze się sprawdzały. Kiedyś użyli go do wykrycia pewnego pułkownika ze Strategicznych Wojsk Raketowych, który pracował dla CIA. Dostarczał też bezcennych informacji strategicznych i politycznych, a nawet przesłał amerykańską ściśle poufną analizę sprawy

„Czerwonego Października” w zeszłym roku, nie, to było dwa lata temu, tuż przed ustąpieniem senatora Donaldsona. Teraz pracował w Głównym Urzędzie Rachunkowości i miał wszystko, czego dusza zapragnie: bezpośredni dostęp do tajnych informacji wojskowych oraz wszelkie kontakty polityczne w Kongresie. Jakiś czas temu „Kasjusz” poinformował ich, że przeciwko Ryanowi wszczęto śledztwo. Wówczas potraktowano to jako niewiele wartą ciekawostkę, której nikt nie brał poważnie. Amerykanie zawsze prowadzą jakieś śledztwa przeciwko sobie — to taki sport narodowy. Potem usłyszał o tym ponownie, a wreszcie wczorajsze zajście z Trentem. Czy to naprawdę możliwe...?

Przeciek gdzieś wysoko w KGB — rozważał. Istniała, oczywiście, procedura przekazywania ważnych informacji bezpośrednio przewodniczącemu. KGB brała pod uwagę każdą możliwość. Jeżeli już wyszło się taką wiadomość, to trzeba będzie ją uzupełniać. Na początek jedynie napomknąć, że Centralna Agencja Wywiadowcza ma agenta na wysokich szczeblach KGB...

Ale to był tylko jeden aspekt sprawy.

Wystarczy, że raz połknie haczyk i doktor Ryan będzie nasz — myślał Płatonow. —

Może jest na tyle głupi, by sądzić, że skończy się na tej jednorazowej wymianie informacji za przysługę, że już nigdy więcej nie będzie... bardziej jednak prawdopodobne, że znalazłszy się w tak trudnej sytuacji, nie zastanawia się teraz nad tym. Jakiego rodzaju informacje moglibyśmy od niego dostawać?

Specjalny asystent zastępcy dyrektora do spraw informacyjnych! Chyba prawie wszystko przechodzi przez ręce Ryana! Zwerbować tak cennego agenta — nie udało się tego dokonać od czasów Philby’ego, czyli od pół wieku z górą!

Czy sprawa jest tak ważna, by łamać zasady? — zastanawiał się Płatonow, dopijając sok.

Od niepamiętnych czasów KGB nie popełniło aktu przemocy w Stanach Zjednoczonych — taka przecież obowiązywała dżentelmeńska umowa. Ale co tam zasady wobec takich korzyści! Jeden czy dwóch Amerykanów zginie w wypadku samochodowym albo umrze niespodziewanie na atak serca. Na to także musiałby wyrazić zgodę przewodniczący. Płatonow prześle takie zalecenie i z pewnością się do niego zastosują.

Dyplomata dbał o najdrobniejsze szczegóły. Wytarł usta papierową serwetką, wcisnął ją do tekturowego kubka, który wyrzucił do najbliższego kosza na śmiecie. Nie pozostawił po sobie nic, co

wskazywałoby, że kiedykolwiek tu był.

Łucznik miał pewność, że zwyciężą. Kiedy powiadomił podwładnych o zadaniu, nie mógł

spodziewać się lepszego odzewu. Uśmiechali się groźnie, lecz z zadowoleniem, spoglądali na siebie, potakiwali głowami. Najwięcej entuzjazmu okazywał nowy członek ich grupy, były major armii afgańskiej. W ciągu pięciu gorączkowych godzin spędzonych w namiocie, dwadzieścia kilometrów od granicy w głąb Afganistanu, starannie opracowano plany.

Teraz Łucznik analizował etap pierwszy. W ich ręce dostało się sześć ciężarówek i trzy transportery opancerzone BTR-60. Niektóre z nich były uszkodzone, ale tego należało się spodziewać. Z martwych żołnierzy marionetkowej armii ściągnięto mundury. Przesłuchiwano jedenastu pozostałych przy życiu. Oczywiście, nie będą mogli wziąć udziału w akcji, ale jeżeli okażą się godni zaufania, otrzymają pozwolenie przyłączenia się do sojusznicznych oddziałów partyzanckich. Co do innych...

Były major odnalazł mapy i kody radiowe. Znał wszystkie zasady działania, których Rosjanie tak wytrwale uczyli swych afgańskich „braci”.

Skontaktował się przez radio z batalionem stacjonującym o dziesięć kilometrów dalej na północ, przy drodze do Szekabadu. Powiadomił, że „Słonecznik” rozbił zasadzkę z umiarkowanymi stratami własnymi, a teraz podąża ku nim. Dowódca batalionu wyraził zgodę na wejście do obozu.

Załadowali na ciężarówki kilka trupów w zakrwawionych mundurach. Byli żołnierze armii afgańskiej obsadzili ciężkie karabiny maszynowe na BTR i kolumna ruszyła po zwirowej drodze, utrzymując regulaminowe odległości. Obóz znajdował się daleko po drugiej stronie rzeki.

Zobaczyli go w dwadzieścia minut później. Most od dawna był zniszczony, ale rosyjscy saperzy nasypali tu tyle kamieni, że powstał bród. Kolumna zatrzymała się przy posterunku na wschodnim brzegu.

Zaczął się najtrudniejszy etap. Major podał odpowiedni sygnał i wartownicy ich przepuścili. Pojazdy zaczęły pojedynczo przejeżdżać przez rzekę. Powierzchnia była zamarznięta i kierowcy musieli trzymać się drogi wyznaczonej przez paliki wbite w poprzek koryta, by nie wpaść w głębszą wodę pokrytą trzeszczącym lodem. Jeszcze pięćset metrów.

Obóz, znajdujący się na małym wzniesieniu, otoczony był schronami wykonanymi z kłód drzewa i worków z piaskiem. W żadnym nie było pełnej załogi. Wokół rozciągały się we wszystkich kierunkach szerokie pola ostrzału, ale stanowiska ogniowe obsadzano tylko w nocy.

Na miejscu była tylko jedna kompania, pozostałe patrolowały wzgórza wokół obozu. Kolumna nadjechała w porze posiłku. Widać też było batalionowy park pojazdów.

Łucznik znajdował się w szoferce pierwszej ciężarówki. Dziwił się sobie, że tak bardzo zawierzył zbiegłemu majorowi, ale nie czas było się tym teraz martwić.

Ze schronu wyszedł dowódca batalionu i przeżuwiąjąc resztki jedzenia obserwował

żołnierzy zeskakujących z ciężarówek. Czekał na dowódcę pododdziału i nie ukrywał lekkiego rozdrażnienia, gdy otworzyły się boczne drzwi transportera i ukazała się w nich postać w oficerskim mundurze.

— Kto wy, u diabła, jesteście?

— Allah akbar! — krzyknął major i serią z Kałasznikowa powalił pytającego. Ciężkie karabiny maszynowe na transporterach opancerzonych rozerwały tłum jedzących żołnierzy, a w tym czasie ludzie Łuczniaka skoczyli ku słabo obsadzonemu schronom. Po dziesięciu minutach złamano ostatni opór. Wobec blisko setki uzbrojonych ludzi wewnątrz obozu obrońcy nie mieli żadnych szans. Trzech Rosjan — dwóch poruczników i sierżanta łączności — rozstrzelano na miejscu, a dwudziestu jeńców wzięto pod straż. Teraz ludzie majora pobiegli ku pojazdom batalionu.

Zdobyli następne dwa BTR i cztery ciężarówki. To powinno już wystarczyć. Resztę pojazdów spalili. Palili wszystko, czego nie mogli zabrać. Załadowali cztery moździerze, kilka karabinów maszynowych i wszystkie znalezione mundury. Potem obóz całkowicie zniszczono, szczególnie radiostacje, które najpierw porozbijano kolbami karabinów, a później spalono. Na miejscu pozostał mały oddział wartowniczy, który miał zająć się jeńcami: albo przyłączyć się do mudżahedinów, albo zginąć za swoją służbę u niewiernych.

Do Kabulu było pięćdziesiąt kilometrów. Powiększona kolumna pojazdów podążała na północ. Dołączali do nich kolejni partyzanci Łuczniaka. Jego oddział liczył teraz dwustu ludzi, ubranych i wyposażonych jak żołnierze armii afgańskiej oraz posługujących się rosyjskimi pojazdami wojskowymi.

Ich najgroźniejszym wrogiem był czas. W półtorej godziny później dotarli już do przedmieść Kabulu. Tu natknęli się na pierwszy z kilku punktów kontrolnych.

Łucznikowi ścierpła skóra na widok tyłu rosyjskich żołnierzy. Wiedział, że o zmierzchu Rosjanie wracają do swoich obozowisk i bunkrów, zostawiając ulice Afgańczykom, ale nawet zachodzące słońce nie przywróciło mu poczucia bezpieczeństwa. Kontrola była bardziej pobieżna niż się spodziewał; major przeprowadzał ich przez wszystkie posterunki używając dokumentów i haseł z obozu, który ostatnio zniszczyli. Ich trasa przez miasto przebiegała poza najbardziej pilnowanymi dzielnicami. Po niespełna dwóch godzinach wyjechali z Kabulu i pogrążyli się w przyjaznym mroku.

Posuwali się tak długo, aż zaczęło się kończyć paliwo. Wówczas pojazdy zjechały z drogi. Europejczyka zdziwiłoby zapewne zadowolenie, z jakim mudżahedini porzucali samochody, chociaż oznaczało to, że będą musieli dźwigać broń na plecach. Partyzanci byli wypoczęci i bez zwłoki ruszyli w góry, kierując się na północ.

Od rana złe wiadomości — pomyślał Gierasimow, patrząc na pułkownika Watutina. —

Co to znaczy, że nie możecie go złamać?

— Towarzyszu przewodniczący, nasi medycy przestrzegają mnie, że użycie zarówno deprywacji sensorycznej, jak i środków przymusu fizycznego (KGB nie używał już słowa

„tortury”) mogłoby go zabić. Ponieważ nalegacie na uzyskanie zeznań, musimy zastosować...

klasyczne sposoby przesłuchania. Badany to twardy człowiek. Jego odporność psychiczna jest znacznie większa niż się spodziewaliśmy — powiedział Watutin tak obojętnie, jak tylko potrafił.

W tej chwili mógłby zabić za kieliszek czegoś mocnego.

— Wszystko dlatego, że spartaczyliście robotę! — chłodno stwierdził Gierasimow. —

Spodziewałem się po was czegoś lepszego, pułkowniku. Miałem was za człowieka z przyszłością. Myślałem, że zasługujecie na awans. Czyżbym się pomylił, towarzyszu pułkowniku?

— Moje zadanie w tej sprawie ogranicza się do zdemaskowania zdrajcy naszej ojczyzny

— odpowiedział Watutin, starając się ze wszystkich sił zachować spokój. — Uważam, że tego dokonałem. Wiemy, że popełnił zdradę. Mamy dowód, że...

— Jazow tego nie uzna.

— Kontrwywiad to sprawa KGB, a nie Ministerstwa Obrony.

— Może więc będziecie tak uprzejmi i wytłumaczycie to Sekretarzowi Generalnemu partii — odparował Gierasimow z widoczną złością. — Pułkowniku Watutin, muszę mieć to zeznanie.

Gierasimow liczył na to, że wykaże się kolejnym osiągnięciem wywiadowczym, ale meldunek specjalny z Ameryki zniweczył jego nadzieje. Co gorsza, Gierasimow dowiedział się, że informacja jest bezwartościowa, w dzień po jej przekazaniu. Agentka „Liwia” przepasza —

donosił meldunek — ale dane programu komputerowego, dostarczone ostatnio przez porucznik Bisiarinę, są już, niestety, nieaktualne. Coś, co mogłoby załagodzić konflikt między KGB i wypieszczonym projektem Ministerstwa Obrony, już nie istniało.

Musiał mieć to zeznanie i to zeznanie bez użycia tortur. Wiadomo, że za pomocą tortur przesłuchujący może uzyskać wszystko, co tylko zechce, że dla większości przesłuchiwanym ból jest wystarczającym bodźcem do powiedzenia tego, czego się od nich żąda. Potrzebował czegoś, co mógłby przedstawić w samym Biurze Politycznym, a członkowie Biura nie obawiali się już tak bardzo KGB, by przyjąć słowa Gierasimowa bez zastrzeżeń.

— Watutin, potrzebuję tego, i to szybko. Kiedy będziecie gotowi?

— Używając dostępnych w tej sytuacji metod, najdalej za dwa tygodnie. Możemy pozbawić go snu. Potrzeba na to czasu, szczególnie że ludzie starsi potrzebują mniej snu niż młodzi. To go stopniowo zdeorientuje i doprowadzi do załamania. Biorąc pod uwagę wszystko, co o nim wiemy, będzie z nami walczył z całą odwagą. To dzielny człowiek, ale tylko człowiek.

Dwa tygodnie — powiedział Watutin, wiedząc, że zapewne wystarczy mu dziesięć dni. Im wcześniej będzie gotowy, tym lepiej.

— Bardzo dobrze. — Gierasimow pomyślał, że nadszedł czas na zachętę. — Towarzyszu pułkowniku, obiektywnie biorąc, dobrze prowadziliście śledztwo, mimo kiepskiej końcówki.

Nierozsądne byłoby spodziewać się całkowitej perfekcji, a komplikacjom politycznym nie wy przeciw jestecie winni. Jeżeli dostarczycie tego, co potrzeba, zostaniecie właściwie wynagrodzeni. Zabierajcie się do pracy.

— Dziękuję, towarzyszu przewodniczący. — Gierasimow odprowadził go wzrokiem do drzwi, potem zadzwonił po samochód.

Przewodniczący KGB nie jeździł w pojedynkę. Jego osobistemu Ziłowi, limuzynie wyglądającej jak olbrzymi amerykański samochód sprzed trzydziestu lat, towarzyszyła jeszcze brzydsza Wołga, pełna ochroniarzy, najlepiej wyszkolonych i całkowicie oddanych przewodniczącemu. Gierasimow siedział na tylnym siedzeniu i patrzył na migające za szybą budynki Moskwy. Samochód jechał środkowym pasem szerokich ulic i wkrótce był już za miastem, kierując się ku lasom, gdzie w 1941 roku zatrzymano niemieckie natarcie.

Stały tam daczki, zbudowane przez jeńców, którzy przeżyli mimo tyfusu i niedożywienia.

Mimo całej nienawiści jaką Rosjanie wciąż jeszcze darzyli Niemców, nomenklatura, ta rządząca klasa bezklasowego społeczeństwa, przywiązana była do niemieckiej jakości wykonania.

Elektronika Siemens i sprzęt Blaupunkta stanowiły równie niezbywalny element ich życia, jak

„Prawda” i biuletyny specjalne TASS-a. Drewniane domy w sosnowych lasach na zachód od Moskwy nie ustępowały niczym temu, co zbudowano za caratu. Gierasimow często się zastanawiał, ot, tak sobie, co stało się z niemieckimi żołnierzami, którzy tu pracowali.

Dacza należna z urzędu akademikowi Michaiłowi Pietrowiczowi Aleksandrowowi nie różniła się od pozostałych: jednopiętrowa, z pomalowanymi na kremowo drewnianymi ścianami, i ze spadzistym dachem, który równie dobrze pasowałby do krajobrazu Schwarzwald. Wśród drzew widać się zwirowa droga prowadząca ku domowi, przed którym stał tylko jeden samochód.

Aleksandrow był wdowcem, i już nie w takim wieku, by tęsknić za młodym damskim towarzystwem. Wysiadając Gierasimow rozejrzył się i spostrzegł, że jego obstawa, jak zwykle, rozproszyła się

wśród ośnieżonych drzew, wyciągnąwszy uprzednio z bagażnika grube, białe kurtki i ciężkie buty.

— Mikołaj Borysowicz! — Aleksandrow osobiście otworzył mu drzwi. Na dacy było małżeństwo, które zajmowało się gotowaniem i sprzątaniami, ale wiedziało, kiedy nie należy się pokazywać. Tak więc nie pokazali się i teraz. Akademik wziął płaszcz Gierasimowa i powiesił go na wieszaku przy drzwiach.

— Dziękuję, Michaile Pietrowiczu.

— Herbaty? — Aleksandrow wskazał na stół w pokoju gościnnym.

— Zimno dziś — przytaknął Gierasimow.

Usiedli po dwóch stronach stołu, w starych, wyściełanych fotelach. Aleksandrow lubił

bawić się w gospodarza — przynajmniej wobec swych współpracowników. Nalał herbaty, a potem nałożył na talerzyk trochę konfitur czereśniowych. Pili herbatę w sposób tradycyjny, biorąc do ust nieco konfitur i popijając je herbatą. Utrudniało to nieco rozmowę, ale było bardzo rosyjskie. W gruncie rzeczy Aleksandrow lubił stare zwyczaje. Mimo całego oddania ideałom marksizmu, w drobnych sprawach hołdował przyzwyczajeniom z lat młodości.

— Co nowego?

— Ten szpieg Filitow — machnął z rozdrażnieniem ręką Gierasimow — to stary twardziel. Potrzeba jeszcze tygodnia lub dwóch, żeby wyciągnąć z niego przyznanie się do winy.

— Powinniście rozstrzelać tego waszego pułkownika, który...

Przewodniczący KGB potrząsnął głową. — Nie, nie. Trzeba być obiektywnym.

Pułkownik Watutin dobrze się sprawił. Powinien zostawić aresztowanie komuś młodszemu, ale powiedziałem mu, że to jego sprawa, co bez wątpienia wziął zbyt dosłownie. Poprowadzenie reszty było niemal bezbłędne.

— Stajesz się zbyt pobłażliwy, Kola — odrzekł Aleksandrow. — Czy to tak trudno zaskoczyć siedemdziesięcioletniego człowieka?

— Nie jego. To ta Amerykanka była dobra, czego zresztą można było się spodziewać.

Dobrzy wywiadowcy mają wyostrzony instynkt. Gdyby nie byli tacy zręczni, na świecie zapanowałby już socjalizm — rzucił od niechcienia. Aleksandrow żył w tym swoim akademickim światku i słabo rozumiał się na mechanizmach świata rzeczywistego. Trudno było takiego człowieka poważać, ale niezbyt trudno się go bać.

— Chyba możemy poczekać ten tydzień — mruknął gospodarz. — Nieco kłopotliwa sprawa w

czasie, gdy jest tu delegacja amerykańska...

— To będzie już po ich wyjeździe. Jeżeli osiągniemy porozumienie, nic na tym nie tracimy.

— Ograniczanie naszych broni to szaleństwo! — upierał się Aleksandrow. Nadal uważał, że z bronią atomową jest jak z czołgami i armatami: im więcej, tym lepiej. Podobnie jak większość teoretyków politycznych, nie zwracał sobie głowy faktami.

— Zachowamy nasze najnowsze i najlepsze rakiety — cierpliwie wyjaśniał Gierasimow.

— Co ważniejsze, nasze przedsięwzięcie JASNA GWIAZDA rozwija się prawidłowo. Mając to, do czego doszli nasi naukowcy i czego dowiedzieliśmy się o wynikach Amerykanów, najpóźniej za dziesięć lat będziemy w stanie obronić Rodinę przed wrogim atakiem.

— Czy u Amerykanów macie dobre źródła?

— Aż nazbyt dobre — odpowiedział Gierasimow, stawiając szklanę. — Wygląda na to, że pewne dane, które właśnie otrzymaliśmy, zostały wysłane zbyt pochopnie. Część amerykańskiego programu komputerowego przesłano nam przed sprawdzeniem i okazały się błędne. To żenujące, ale lepsze już zażenowanie z powodu nadmiernej efektywności niż jej braku.

Aleksandrow machnięciem ręki zbył temat. — Rozmawiałem wczoraj z Waniejewem.

— No i?

— Jest nasz. Nie może znieść myśli, że ta jego kurewska córuchna wylądowałaby w obozie pracy lub jeszcze gorzej. Wyjaśniłem mu, czego się od niego oczekuje. To było bardzo proste. Kiedy będziecie już mieli zeznania tego cholernego Filitowa, przeprowadzimy wszystko naraz. Lepiej zrobić to jednocześnie. — Jakby na potwierdzenie swych słów akademik pokiwał

głową. Był ekspertem w politycznych podchodach.

— Niepokoją mnie ewentualne reakcje Zachodu... — ostrożnie zauważył Gierasimow.

Stary lis uśmiechnął się znad szklanki. — Narmonow dostanie ataku serca. Jest w odpowiednim wieku. Oczywiście, nie śmiertelnego, ale wystarczającego, by ustąpił. Zapewnimy Zachód, że jego polityka będzie kontynuowana. A jeżeli będziecie nalegać, pogodzę się nawet z układem rozbrojeniowym — Aleksandrow umilkł na chwilę. — Rzeczywiście należy unikać niepotrzebnego alarmowania ich. Interesuje mnie tylko przewodnia rola partii.

— Oczywiście — Gierasimow wiedział co teraz nastąpi i rozsiadł się w fotelu, by wysłuchać tego raz jeszcze.

— Jeżeli nie powstrzymamy Narmonowa, partia jest zgubiona! Ten głupiec odrzuca wszystko, czegośmy się dopracowali. Gdyby nie przewodnictwo partii, w tym domu mieszkałby jakiś Niemiec!

Gdzie byśmy zaszli bez Stalina, który żelazem wsparł kręgosłup naszego narodu.

A Narmonow potępia naszego największego bohatera — po Leninie — szybko dodał

Aleksandrów. — Ten kraj potrzebuje mocnej ręki, jednej mocnej ręki, a nie tysięcy słabych.

Nasze społeczeństwo to rozumie, nasze społeczeństwo tego chce.

Gierasimow przytaknął, zastanawiając się, dlaczego ten trzęsący się staruch musi to wciąż powtarzać. Partia nie pragnęła wcale jednej mocnej ręki, chociaż Aleksandrow nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Partia składała się z tysięcy lepkich, zachłannych rączek: członków Komitetu Centralnego, a także lokalnych aparatczyków, którzy płacili składki, głosili hasła, chodzili na cotygodniowe zebrania, aż mieli w końcu serdecznie dosyć wszystkiego, co mówiła partia, ale którzy się jej trzymali, ponieważ była to droga do awansu, a tym samym do przywilejów. Awans oznaczał samochód, wczasy w Soczi... i sprzęt Blaupunkta.

Gierasimow wiedział, że każdy człowiek ma swoje zaślepienia. Zaślepienie Aleksandrowa polegało na tym, że nie widział, jak niewiele wierzy jeszcze w partię. Gierasimow nie wierzył, jednakże to partia kierowała krajem. To partia podsyciała ambicje. Władza miała swoje uzasadnienie, a dla niego drogą do władzy była partia. Całe życie strawił na chronieniu partii przed tymi, którzy chcieli zmienić równowagę sił. Teraz jako przewodniczący partyjnego

„miecza i tarczy”, zajmował najlepszą pozycję, by ująć wodze partii. Aleksandrow byłby zaskoczony, zgorzony nawet, gdyby się dowiedział, że jego uczeń upatrywał we władzy swój jedyny cel i nie planował niczego innego poza status quo ante. Związek Radziecki trwałby w swym mozole, za bezpiecznymi granicami, dążąc do rozpowszechnienia swej formy rządów w każdym kraju, w którym okazałoby się to możliwe. Jakiś postęp musiałyby nastąpić, częściowo w wyniku przemian wewnętrznych, a częściowo w rezultacie tego, co napłynęłoby z Zachodu, ale nie aż taki, by budzić nadzieje nazbyt wielkie, lub nazbyt szybko, co groziło ze strony Narmonowa. Najważniejsze zaś, że wodze trzymałby w rękę Gierasimow. Mając za sobą potęgę KGB, nie musiałyby się obawiać o swe bezpieczeństwo, szczególnie po osłabieniu Ministerstwa Obrony. Słuchał więc tyrad Aleksandrowa o teorii partii i potakiwał w odpowiednich momentach. Postronnemu widzowi mogłoby to przypominać jeden z tysiąca starych obrazków (przeważnie nieprawdziwych), na których Stalin z natężoną uwagą wsłuchuje się w słowa Lenina. Przewodniczący podobnie jak Stalin, miał zamiar posłużyć się tymi słowami do własnych celów. Gierasimow wierzył w Gierasimowa.

Przewaga

— Przecież dopiero co skończyłem jeść! — powiedział Misza.

— Bzdura — odrzekł strażnik i pokazał na zegarek. — Popatrz, która godzina, ty głupi staruchu, jedz szybko, niedługo będą cię przesłuchiwać.

— Zbliżył się nieco. — Dlaczego nie powiecie im, towarzyszu, tego, co chcą usłyszeć?

— Nie jestem zdrajcą! Nie jestem!

— Jak sobie chcecie. Jedzcie na zdrowie. — Drzwi celi huknęły o framugę.

— Nie jestem zdrajcą — powtórzył Filitow, gdy drzwi już się zamknęły.

— Nie jestem — podsłuchał mikrofon — nie jestem.

— Zbliżamy się do końca — powiedział Watutin.

To, co działo się z Filitowem, niewiele różniło się od wyników osiągniętych przez doktora dzięki zbiornikowi odcinającemu dopływ wrażeń zmysłowych. Więzień tracił kontakt z rzeczywistością, chociaż o wiele wolniej niż Waniejewa. Cela znajdowała się w środku budynku, nie sposób więc było odróżnić dnia od nocy. Jedyna, nie osłonięta żarówka paliła się stale. Po kilku dniach Filitow stracił poczucie czasu. Potem pojawiły się pewne nieprawidłowości w funkcjach ustrojowych. Wtedy zaczęto zmieniać odstępy między posiłkami. Jego organizm wiedział, że coś się tu nie zgadza, ale nic już się nie zgadzało, nie potrafił poradzić sobie z dezorientacją i więzień znajdował się w stanie podobnym do choroby umysłowej. Była to metoda klasyczna i rzadko kto mógł się jej oprzeć dłużej niż dwa tygodnie. Ci zaś, którym się to udało, wykorzystywali (jak się później okazało) zewnętrzne punkty odniesienia, uchodzące uwagi oficerów śledczych, takie jak odgłosy ruchu ulicznego czy bulgotu w rurach, czyli dźwięki o stałym wzorze występowania. Stopniowo „Dwójka” nauczyła się eliminować je całkowicie.

Nowy oddział ze specjalnymi celami otrzymał izolację dźwiękową, odcinającą go od reszty świata. Posiłki gotowano piętro wyżej, by wykluczyć rozchodzenie się zapachów. Ta część lefortowskiego więzienia była wynikiem lat doświadczeń w dziedzinie łamania ludzkiego ducha.

To lepsze niż tortury — pomyślał Watutin. Tortury nieuchronnie działały także na przesłuchujących. Stanowiło to główny problem. Gdy tylko przesłuchujący — przeważnie mężczyźni, choć w nielicznych przypadkach również kobiety — stawali się za dobrzy w tym, co robili, ich psychika ulegała zmianie. Torturujący powoli popadał w szaleństwo, a to prowadziło do wątpliwych

wyników badania. Bezużytecznego już oficera KGB należało wówczas zastąpić, niekiedy nawet umieścić w szpitalu. W latach trzydziestych oficerów takich często rozstrzelowano, gdy ich polityczni władcy uświadamiali sobie, co stworzyli. Na ich miejsce przychodzili nowi, aż w końcu wypracowano metody bardziej twórcze, mądrzejsze. Pułkownik Watutin wiedział, że tak było ze wszech miar lepiej. Nowe metody, nawet te ostre, nie powodowały trwałych okaleczeń fizycznych. Obecnie mogło się niemal wydawać, że leczą chorobę umysłową, którą sami wywołali. Lekarze prowadzący sprawę z ramienia KGB mogli z czystym sumieniem stwierdzić, że zdrada ojczyzny była objawem poważnych zaburzeń osobowości, a więc czegoś, co wymagało zdecydowanej kuracji. Poprawiało to samopoczucie osób zaangażowanych w śledztwo. O ile zadawanie bólu dzielnemu przeciwnikowi wywoływało poczucie winy, o tyle pomoc w leczeniu chorego umysłu mogła jedynie napawać zadowoleniem.

Ten tu jest bardziej chory niż inni — pomyślał ironicznie Watutin. Był odrobinę za cyniczny, by wierzyć w te wszystkie brednie, wbijane w głowy szkolonym obecnie nowym zastępom „Dwójki”. Przypominał sobie zabarwione nostalgią opowieści ludzi, którzy szkolili go trzydzieści lat temu — dobre, stare czasy Berii... Chociaż od opowieści tych szaleńców cierpła mu skóra, oni przynajmniej nie okłamywali samych siebie. Wdzięczny był losowi, że nie stał się taki jak oni, ale nie oszukiwał się historyjką o chorobie umysłowej Filitowa. W gruncie rzeczy tamten był odważnym człowiekiem, który z własnej woli zdecydował się na zdradę ojczyzny.

Niewątpliwie był złym człowiekiem, naruszył bowiem prawa własnego społeczeństwa, lecz mimo to godnym przeciwnikiem. Watutin spojrział w okular światłowodu, który biegł od sufitu celi Filitowa. Obserwując go, przysłuchiwał się także dźwiękom wyłapywanym przez mikrofon.

Od jak dawna pracujesz dla Amerykanów? Od śmierci swej rodziny? Aż tak długo?

Blisko trzydzieści lat... czy to możliwe? — zastanawiał się pułkownik. Godne podziwu. Kim Philby tak długo nie przetrwał. Kariera Richarda Sorge, chociaż wspaniała, była wszakże krótka.

Niemniej wszystko to składało się w logiczną całość. Należało także oddać hołd Olegowi Pieńkowskiemu, zdradzieckiemu pułkownikowi GRU, którego ujęcie było jednym z największych osiągnięć „Dwójki” — teraz jednak przyćmionym myślą, że Pieńkowski wykorzystał własną zagładę, by wspomóc karierę jeszcze większego szpiega... zapewne przez siebie zwerbowanego. To się nazywa odwaga — pomyślał Watutin. Dlaczego takie przymioty idą na służbę zdrady?! Dlaczego ci ludzie nie kochają ojczyzny tak jak ja? — pułkownik ze złością potrząsnął głową. Marksizm wymaga od swych zwolenników obiektywizmu, ale tego już za wiele. Zawsze czyhało niebezpieczeństwo utożsamiania się przesłuchującego z przesłuchiwanym. Jemu się to właściwie nie zdarzało, lecz i nie miał dotąd takiej sprawy.

Trzykrotny Bohater Związku Radzieckiego! Prawdziwa, narodowa świętość — twarz z okładek czasopism i książek. Czy kiedykolwiek będziemy mogli ujawnić jego czyny? Jak zareagowałoby ludzkie radzieckie na wieść o tym, że stary Misza, bohater spod Stalingradu, jeden z najodważniejszych żołnierzy Armii Czerwonej... okazał się zdrajcą Rodiny? Należało wziąć pod uwagę takie oddziaływanie na morale narodu.

To już nie moja sprawa — powiedział sobie. Przez nowoczesnego judasza obserwował

starego człowieka. Filitow starał się jeść posiłek, chociaż nie całkiem wierzył, że czas na to. Nie wiedział, że śniadanie — a z oczywistych względów wszystkie posiłki były takie same — zjadł zaledwie półtorej godziny temu.

Watutin wstał i wyprostował bolące plecy. Ubocznym skutkiem tej metody był

poszarpany rozkład dnia samych oficerów śledczych. Jego też: właśnie minęła północ, w ciągu ostatnich zaś trzydziestu sześciu godzin spał tylko siedem. Ale przynajmniej wiedział, która godzina, jaki dzień tygodnia, jaka pora roku. Filitow natomiast na pewno nie wie. Pochylił się nad wziernikiem i zobaczył, że więzień skończył jeść kaszę z miski.

— Dawać go tu — rozkazał pułkownik Klementi Władimirowicz Watutin. Poszedł do łazienki i przemył twarz zimną wodą. Spojrzał w lustro i doszedł do wniosku, że nie musi się golić. Potem doprowadził mundur do porządku. Jedyнным stałym elementem rozpadłego na kawałki świata więźnia miała być twarz i postawa przesłuchującego. Watutin nawet ćwiczył

przed lustrem spojrzenie: dumne, aroganckie, ale i współczujące. Teraz był zadowolony z tego, co zobaczył. To zawodowiec — określił swoje odbicie w lustrze. Nie barbarzyńca, nie degenerat, tylko sprawny człowiek wykonujący trudną, acz niezbędną robotę.

Gdy więzień wszedł do pokoju przesłuchań, Watutin jak zawsze siedział. Nieodmiennie wydawał się czymś zajęty, potem na dźwięk otwieranych drzwi z niejakim zdziwieniem podnosił

głowę, jakby chciał powiedzieć: „Ach, to znowu wy?”. Teraz zamknął skoroszyt i włożył go do teczki. Filitow usiadł naprzeciw niego. To dobrze — pomyślał Watutin, nie podnosząc wzroku —

badanemu nie trzeba mówić, co ma robić. Jego umysł skupia się na jedynej jego rzeczywistości, na Watutinie.

— Mam nadzieję, że spaliście dobrze? — zapytał Filitowa.

— Dość dobrze — padł odpowiedź. Oczy starego człowieka były zamglone, a ich błękit nie miał już owego blasku, który Watutin tak podziwiał w czasie pierwszego przesłuchania.

— Żywią was chyba dobrze?

— Jadałem już lepiej. — Nikły uśmiech, zdradzający jeszcze nieco oporu i dumy, lecz już nie tak wiele, jak mu się wydawało. — Ale bywało i gorzej.

Watutin beznamiętnie szacował siły więźnia: osłabły. Wiesz — pomyślał pułkownik —

wiesz, że musisz przegrać. Wiesz, że to tylko kwestia czasu. Widzę to — mówił jego wzrok, szukając

i znajdując słabość w oczach tamtego. Filitow starał się nie ugiąć, jego odporność była jednak nadszarpnięta i pod wpływem spojrzenia Watutina coś w nim zaczęło pękać. Wiesz, że przegrywasz, Filitow.

O co tu chodzi, Misza? — coś w nim pytało. On ma czas, on włada czasem. Użyje wszystkiego, by cię zniszczyć. Wygrywa. Wiesz o tym — podszeptowała mu rozpacz.

Powiedzcie mi, towarzyszu kapitanie, dlaczego zadajecie sobie takie głupie pytania?

Dlaczego musicie sobie wyjaśniać, że jesteście mężczyzną? — zapytał znajomy głos. — Od Brześcia po Wiaźnę wiedzieliśmy, że przegrywamy, ale nigdy się nie poddałem. Wy także.

Jeżeli potrafiłście odeprzeć armię niemiecką, to z pewnością jesteście w stanie przeciwstawić się temu zniewieściałemu mieszcuchowi czekaście!

Dziękuję wam, Romanow.

Jakże wy sobie kiedykolwiek radziliście beze mnie, kapitanie? — rozległ się chichot. —

Mimo całej waszej inteligencji bywacie bardzo głupi.

Watutin zauważył, że coś się zmieniło: oczy rozbłysły, a przygarbione plecy wyprostowały się.

Co cię podtrzymuje? Nienawiść? Czy aż tak nie znosisz państwa za to, co przydarzyło się twej rodzinie... czy też jest to coś całkiem innego...?

— Powiedzcie mi — zaczął Watutin — powiedzcie, dlaczego nienawidzicie ojczyzny.

— Ależ skąd! — odpowiedział Filitow. — Zabijałem dla ojczyzny. Przelewałem krew za ojczyznę, paliłem się dla ojczyzny. Lecz nie robiłem tego wszystkiego dla takich, jak wy. —

Mimo osłabienia jego oczy płonęły pogardą. Watutin nie zareagował.

Byłem blisko, ale coś go zmieniło. Jeżeli uda mi się dojść co, Filitow, będę cię miał!

Watutin nie mógł się oprzeć poczuciu, że już ma to, czego szukał. Sztuka polegała na tym, by to określić.

Przesłuchanie trwało. Mimo że Filitow stawiał teraz opór, może oprze się jeszcze następnym razem, czy nawet parę następnych razy, Watutin wysysał z więźnia energię fizyczną i emocjonalną. Obaj o tym wiedzieli. To tylko kwestia czasu. Co do jednego wszakże obaj byli w błędzie. Uważali, że Watutin włada czasem, zapominając, że to czas jest najwyższym władcą człowieka.

Gierasimow był zaskoczony najnowszą pilną informacją z Ameryki, wysłaną przez Płatonowa. Otrzymana depesza zwracała uwagę na przeznaczony tylko dla niego meldunek, idący pocztą dyplomatyczną. To było doprawdy niezwykle. KGB, bardziej niż inne organy wywiadu, nadal wykorzystywała system jednorazowych bloków szyfrowych. Teoretycznie nie sposób go było złamać,

chyba że znało się samą sekwencję szyfrowania. Metoda ta była powolna, ale pewna, na tym zaś KGB najbardziej zależało. Poza taką drogą przekazywania informacji istniał jednak także inny system: każda większa placówka miała swój szyfr specjalny, bez nazwy, służący do bezpośredniej łączności między rezydentem a przewodniczącym.

Płatonow zajmował stanowisko znacznie ważniejsze, niż przypuszczało CIA: był szefem rezydentury w Waszyngtonie.

Kiedy nadszedł szyfrogram, dostarczono go wprost do biura Gierasimowa.

Przewodniczący nie wezwał swego osobistego szyfranta, kapitana o nienagannyh referencjach: osobiście odszyfrował pierwsze zdanie — było to ostrzeżenie o „śpiochu”. KGB nie miało własnego terminu na zdrajcę w swoich szeregach, ale wyżsi rangą oficerowie znali określenie używane na Zachodzie.

Meldunek był dość długi i odczytanie go zajęło Gierasimowowi całą godzinę, przy czym co chwila przeklinał swój brak zręczności w posługiwaniu się blokami szyfrowymi.

Agent wewnątrz KGB? — zastanawiał się. — Gdzie? Wezwał osobistego sekretarza i polecił, by przyniesiono mu akta agenta „Kasjusza” i J. P. Ryana z CIA. Rozkaz wykonano szybko, jak każde jego polecenie. Odłożył na bok akta „Kasjusza” i otworzył teczkę Ryana.

Zawierała sześciostronicowy szkic biograficzny, uaktualniony zaledwie pół roku temu, oraz oryginalne wycinki prasowe. Nie potrzebował załączonych do nich tłumaczeń: Gierasimow mówił znośnie po angielsku, chociaż z wyczuwalnym obcym akcentem. Ryan miał trzydzieści pięć lat i cieszył się zaufaniem w kręgach biznesu, nauki i wywiadu. Szybko awansował w CIA.

Specjalny oficer łącznikowy u Anglików. Pierwsza krótka opinia o nim zabarwiona była, jak się zorientował, poglądami politycznymi analityków z Placu Dzierżyńskiego. Bogaty, wydelikacony dyletant. Nie, to nieprawda. Nie awansowałby tak szybko, gdyby taki był, chyba że miałby poparcie polityczne, o którym w opinii nic jednak nie wspomniano. Prawdopodobnie inteligentny człowiek. Pisarz — czytał Gierasimow — którego dwie książki dostępne są w Moskwie.

Niewątpliwie dumny, przyzwyczajony do wygod i przywilejów.

A więc naruszyłeś amerykańskie przepisy dewizowe, tak? Przewodniczącemu KGB

nietrudno było to zrozumieć. W każdym społeczeństwie korupcja jest drogą do bogactwa i władzy. Ryan, jak wszyscy inni, miał swoje słabe strony. Gierasimow wiedział, że w jego własnym przypadku była nią żądza władzy, ale uważał, iż tylko głupiec mógłby pragnąć czegoś mniej istotnego. Ponownie zajął się meldunkiem Płatonowa.

„Ocena: — czytał w zakończeniu — Obiekt nie kieruje się motywami ideologicznymi ani finansowymi. Powoduje nim złość i miłość własna. Żywi niekłamany strach przed więzieniem, lecz bardziej przed osobistą hańbą. J. P. Ryan prawdopodobnie dysponuje informacjami, na które się

powołuje. Jeżeli CIA rzeczywiście ma «śpiocha» w moskiewskim Centrum, to najprawdopodobniej Ryan widział jego meldunki, chociaż nie zna ani nazwiska, ani twarzy. Dane te powinny wystarczyć do ustalenia źródła przecieku.

Sugestie: Propozycję należy przyjąć z dwóch powodów. Po pierwsze: by zidentyfikować amerykańskiego szpiega. Po drugie: by wykorzystać Ryana w przyszłości. Ta wyjątkowa okazja ma poza tym dwa aspekty. Jeżeli wyeliminujemy świadków przeciwko naszemu obiektowi, będzie on naszym dłużnikiem. Jeżeli natomiast akcja się wyda, będzie można przerzucić winę na CIA, a to pociągnie za sobą rozgłos, który przyniesie poważny uszczerbek amerykańskiej służbie wywiadowczej”.

Mhm — mruknął Gierasimow, odkładając teczkę.

Akta „Kasjusza” były o wiele grubsze. Ten agent znajdował się na najlepszej drodze, by zostać jednym z najcenniejszych źródeł KGB w Waszyngtonie. Gierasimow parokrotnie już czytał te materiały, teraz więc przekartkował je tylko, aż doszedł do najświeższych informacji.

Dwa miesiące temu prowadzono jakieś śledztwo dotyczące Ryana, ale szczegóły nie były znane.

„Kasjusz” określił te wiadomości jako nie udokumentowaną plotkę. Przewodniczący pomyślał, że to właśnie przemawia za jej prawdziwością; ponadto oznacza, że nie ma związku między propozycją Ryana a tym, co zdarzyło się ostatnio...

Filitow?

A jeżeli owym wysoko uplasowanym agentem, którego może zidentyfikować Ryan, jest ten, którego właśnie aresztowaliśmy? — zastanawiał się Gierasimow.

Nie. Ryan sam znajdował się dostatecznie wysoko w hierarchii CIA, by nie pomylić jednego ministerstwa z innym. Naprawdę martwiło przewodniczącego to, że przeciek z wysokiego szczebla KGB był mu w tej chwili najmniej potrzebny. Żle, że w ogóle istniał, ale gdyby coś na ten temat wydostało się poza budynek... to byłaby katastrofa. Gdybyśmy wszczęli pełne śledztwo, wiadomość o tym wyjdzie na zewnątrz. Jeżeli nie znajdziemy szpiega pośród nas... jeżeli jest ulokowany tak wysoko, jak mówi Ryan... a jeżeli CIA dowiedziała się, że Aleksandrow i ja...?

Co by zrobili?

Gierasimow uśmiechnął się i spojrział przez okno. Będzie mu tego brak, tego miejsca i całej gry. Każdy fakt miał co najmniej trzy aspekty, a każda myśl — sześć. Nie, gdyby w to uwierzył, musiałby też przyjąć, że „Kasjuszem” kieruje CIA i wszystko zostało zaplanowane przed aresztowaniem Filitowa. To zaś było oczywiście niemożliwe.

Przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego sprawdził w kalendarzu, kiedy

przyjeżdżają Amerykanie. W tym czasie będzie więcej imprez towarzyskich. Jeżeli Amerykanie rzeczywiście postanowili włączyć do rozmów swoje „Gwiezdne Wojny”, pozycja sekretarza generalnego Narmonowa poprawi się, lecz czy zmieni układ głosów w Biurze Politycznym? Nie bardzo, przynajmniej dopóki utrzymuję w ryzach Aleksandrowa. A gdybym mógł się wykazać zwerbowaniem agenta na tak wysokim szczeblu CIA... gdybym potrafił przewidzieć, że Amerykanie przehandlują swoje programy obronne, to w sprawie inicjatyw pokojowych mógłbym niepostrzeżenie wyprzedzić Narmonowa...

Decyzja została podjęta.

Ale Gierasimow nie należał do osób impulsywnych. Przesłał Płatonowowi (tym razem przez łącze satelitarne), polecenie by za pośrednictwem agenta „Kasjusza” sprawdził kilka szczegółów.

Sygnal z radzieckiego satelity łączności Raduga-19 dotarł do Waszyngtonu w godzinę później, zarówno do ambasady radzieckiej, jak i do Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, gdzie został zarejestrowany w pamięci komputerów obok tysięcy innych rosyjskich przekazów, nad których rozszyfrowaniem pracowała bez przerwy Agencja.

Rosjanom było łatwiej: wiadomość dostarczono do ściśle strzeżonej części ambasady, gdzie porucznik KGB przełożył zaszyfrowany tekst na normalny. Potem informacja została zamknięta w sejfie aż do rana, gdy pojawił się Płatonow.

Było to o szóstej trzydziści. Na biurku zastał już plik gazet. Uważał czytanie prasy amerykańskiej za przydatne dla KGB. Pojęcie wolności słowa było mu tak obce, że nigdy nie zastanawiał się nad jej prawdziwymi funkcjami. Teraz jednak miał inne sprawy, o szóstej czterdziści pięć pojawił się oficer dyżurny zmiany nocnej, który złożył meldunek o jej przebiegu i przekazał wiadomości, które nadeszły z Moskwy, gdzie była już pora obiadowa. Na pierwszym miejscu wśród informacji znalazła się notatka o depeszy „tylko do wglądu szefa placówki”.

Płatonow wiedział, o co chodzi i bezzwłocznie poszedł do sejfu. Młody oficer KGB, który strzegł tej części ambasady, dokładnie sprawdził dokumenty — jego poprzednik wyleciał stąd za to, że ośmielił się rozpoznawać Płatonowa po twarzy zaledwie po dziewięciu miesiącach. Wiadomość w odpowiednio opisanej i zapieczętowanej kopercie spoczywała we właściwej przegródce.

Płatonow włożył kopertę do kieszeni, a potem zamknął drzwi na klucz.

Rezydentura KGB w Waszyngtonie była większa niż placówka CIA w Moskwie, ale tylko pod względem pomieszczeń, ponieważ liczba pracowników ambasady równa była obsadzie placówki amerykańskiej w Związku Radzieckim. Amerykanie od lat przestrzegali takiej równowagi. Zazwyczaj o siódmej trzydziści Płatonow spotykał się ze swymi kierownikami sekcji, ale dziś wezwał jednego z nich wcześniej.

— Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku — przywitał się oficer. KGB nie słynie ze zbyt

uprzejmości.

— Potrzebuję od „Kasjusza” informacji o tej sprawie z Ryanem. Musimy koniecznie sprawdzić czy rzeczywiście wszedł teraz w konflikt z prawem, i to tak szybko, jak tylko możliwe. To znaczy dzisiaj, jeżeli uda się wam to załatwić.

— Dzisiaj? — zapytał oficer z pewnym zakłopotaniem, czytając otrzymane polecenie. —

Takie szybkie działanie może być ryzykowne.

— Przewodniczący jest tego świadom — odpowiedział sucho Płatonow.

— Tak jest, dzisiaj — potwierdził oficer.

Gdy wyszedł, szef rezydentury uśmiechnął się, co zdarzało mu się może raz na miesiąc: ten młody ma przed sobą przyszłość.

— Jest Butch — powiedział agent FBI na widok człowieka wychodzącego z budynku ambasady. Znano oczywiście jego prawdziwe nazwisko, ale pierwszy ze śledzących go agentów powiedział kiedyś, że wygląda jak sławny rewolwerowiec z filmu, i tak już zostało. Do jego porannych zajęć należało otwarcie kilku biur w ambasadzie i załatwienie codziennych spraw przed pojawieniem się o dziewiątej wyższych urzędników ambasady. Oznaczało to pochłonięcie śniadania w najbliższej kafejce, kupienie paru dzienników i tygodników... a nierzadko zostawienie również jakiegoś znaku w tym czy innym miejscu. Jak zwykle w działaniach kontrwywiadu, najtrudniejsze było wykrycie pierwszego przypadku; potem to już prosta policyjna robota. Butcha przyłapali po raz pierwszy półtora roku temu.

Szedł teraz ulicą, ubrany lekko jak na takie zimno — chyba uważał waszyngtońskie zimy za dość łagodne. Przeszedłszy kilka przecznic wszedł do baru, który, jak większość tego rodzaju miejsc, miał swoich stałych bywalców. Wśród nich było trzech agentów FBI. Dwóch z nich, obwieszonych narzędziami ciesielskimi, wtaczało się do środka tuż przed przyjściem Butcha lub zaraz po nim. Trzecim była kobieta, spokojnie, lecz wytwornie ubrana, zawsze czytająca samotnie „Wall Street Journal” przy stoliku w rogu. Dziś ta trójka już na niego czekała.

Oczywiście nie przesiadywali tu stale. Kobieta, Hazel Loomis, dopasowała swoją obecność do pracy biur, nie pojawiając się w dni wolne. Było to ryzykowne, ale ścisła inwigilacja choćby najstaranniej zaplanowana, nie może być zbyt regularna. Agenci bywali w barze także w te dni, kiedy wiedzieli, że Butch nie przyjdzie, by w żaden sposób nie ujawnić swego zainteresowania obserwowanym.

Agentka Loomis zanotowała czas wejścia Butcha na marginesie gazety — zawsze coś tam skrobała. Dwóch „cieśli” przeżuwał klopsiki i głośno wymieniając żarty, obserwowało go w lustrzanej ścianie za bufetem. Jak zwykle Butch wziął ze stojaka przed barem cztery różne czasopisma, w tym tygodniki, które wychodziły we wtorki. Kelnerka bez pytania naląła mu kawę. Zapalił papierosa

takiego samego jak zawsze — Marlboro, ulubiony przez Rosjan gatunek

— i popijając kawę, przeglądał pierwszą stronę „Washington Post”, swojej codziennej gazety.

W odpowiednim czasie dostał dolewkę, które były tutaj bezpłatne. Wszystko razem zabrało mu zaledwie sześć minut, czyli tyle ile potrzeba. Zebrał gazety i zostawił na stoliku parę monet. Kiedy odstawiał naczynia na kontuar, zmiął papierową serwetkę w kulkę i położył ją na talerzyku obok pustej filiżanki.

Jest sprawa — zorientowała się od razu Loomis. Butch wziął rachunek, podszedł do kasy, zapłacił i wyszedł. Dobrze to robi — przyznała w myślach agentka. Wiedziała, gdzie i jak zostawia informację, ale rzadko udało się jej zaobserwować samą czynność.

Wszedł następny stały klient. Był to kierowca taksówki, który zwykle wpadał na filiżankę kawy przed rozpoczęciem pracy. Usiadł przy końcu bufetu, otworzył gazetę na stronie z wiadomościami sportowymi i jak zawsze rozejrzał się po barze. Spostrzegł serwetkę na spodku.

Nie miał takiej wprawy jak Butch. Oparł gazetę na kolanach, sięgnął pod blat, zabrał wiadomość i wsunął ją w gazetę.

Reszta była już prosta. Loomis zapłaciła rachunek i wyszła. Wsiadła do swego Forda Escorta i pojechała do budynku Watergate. Miała klucz do mieszkania Hendersona —

„Kasjusza”:

— Dostanie pan dziś wiadomość od Butcha — powiedziała.

— W porządku. — Henderson właśnie jadł śniadanie. Niezbyt mu odpowiadało, że to ta dziewczyna kieruje nim jako podwójnym agentem. Szczególnie mu się nie podobało, że przydzielono ją do tej sprawy ze względu na jej urodę, i że „przykrywką” ich związku był jakoby romans, którego oczywiście w rzeczywistości być nie mogło. Mimo całej jej słodyczy, jej miękkiego południowego akcentu i oszłamiającej, co musiał przyznać, urody, Henderson aż nazbyt dobrze wiedział, że Loomis uważała go za coś w rodzaju mikroba. — Niech pan sobie zapamięta — powiedziała mu kiedyś — że czeka na pana pokoik. Miała na myśli więzienie federalne w Marion, w stanie Illinois, które po zamknięciu Alcatraz stało się domem dla najgorszych przestępców. To nie było miejsce dla absolwenta Harvardu. Powiedziała to jednak tylko raz, poza tym traktowała go uprzejmie, a nawet czasami w miejscach publicznych brała go pod rękę. Wtedy czuł się jeszcze gorzej.

— Chce pan posłuchać dobrych wiadomości? — zapytała Loomis.

— Jasne.

— Jeżeli ta sprawa wyjdzie tak, jak chcemy, może będzie pan wolny. Całkiem. — Dotąd niczego takiego nie mówiła.

— O co chodzi? — z zainteresowaniem zapytał „Kasjusz”.

— Jest taki pracownik w CIA o nazwisku Ryan...

— Tak, słyszałem, że sprawdza go komisja giełdowa, a w każdym razie sprawdzała kilka miesięcy temu. Pozwoliliście mi o tym powiedzieć Rosjanom...

— Ten facet śmierdzi. Naruszył przepisy, zarobił pół miliona dolarów na poufnych informacjach z giełdy, za dwa tygodnie sędziowie dobiorą mu się do tyłka, wielka afera. — Jej ostre słowa zyskiwały na mocy, gdy towarzyszył im słodki uśmiezek piękności z Południa. —

Agencja zamierza zostawić go swemu losowi. Żadnej pomocy, znikąd. Ritter nie znosi jego bezczelności. Nie wie pan dlaczego, ale słyszał pan o tym od asystenta senatora Fredenburga. Ma pan wrażenie, że robią z niego kozła ofiarnego za jakąś spartaczoną sprawę, ale nie wie pan za jaką. Chyba coś w środkowej Europie, jakieś parę miesięcy temu, ale nic więcej nie obito się panu o uszy. Część powie pan im od razu, na resztę niech zaczekają do popołudnia. Jeszcze jedno. Doszły pana plotki, jakoby Inicjatywa Obrony Strategicznej miała być włączona do negocjacji. Według pana to niemożliwe, ale słyszał pan, jak któryś z senatorów mówił coś takiego. Wszystko jasne?

— Tak — kiwnął głową Henderson.

— Dobrze. — Loomis wyszła do łazienki. Ulubiona knajpka Butcha była zbyt brudna jak na jej wytrzymałość.

Henderson poszedł do sypialni, by wybrać krawat. Naprawdę koniec? — zastanawiał się zaczynając go wiązać. Gdyby to była prawda... a musiał przyznać, że nigdy dotąd go nie okłamała. Traktowała mnie jak śmieć — pomyślał — ale nigdy nie kłamała. Uwolnij się od tego... I co potem? Czy to ważne?

To było ważne, ważniejszą jednak była możliwość uwolnienia się.

— Bardziej podoba mi się ten czerwony — powiedziała Loomis od drzwi, uśmiechając się słodko.

— Myślę, że na dziś potrzebny jest taki „uderzeniowy” krawat.

Henderson posłusznie sięgnął po czerwony. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by się sprzeciwić. — Czy mógłbym wiedzieć...

— Ja nie wiem, co powinien pan wiedzieć. Ale nie pozwolono by mi powiedzieć czegoś takiego, gdyby ktoś tam nie uważał, że spłacił pan część długu.

— Nie mogłaby pani choć raz powiedzieć do mnie Peter?

— Mój ojciec był dwudziestym dziewiątym pilotem zestrzelonym nad Wietnamem Północnym. Dostali go żywego, były nawet jego zdjęcia. Na nich jeszcze żył, ale nigdy nie wrócił.

— Nie wiedziałem.

Mówiła tak obojętnie, jakby rozmawiała o pogodzie. — Nie wiedział pan wielu rzeczy, panie Henderson. Nie mogę, tak jak tato, pilotować samolotów, ale pracując w FBI tak utrudniam skurwielom życie, jak tylko potrafię. To mogę robić. Mam nadzieję, że im tak dopiekam, jak oni dopiekli mnie. — Znowu się uśmiechnęła. — Chyba nie wyrażam się jak zawodowiec.

— Przepraszam, nie wiem co powiedzieć.

— Ależ wie pan. Powie pan swemu kontaktowi to, co kazałam panu powiedzieć. —

Rzuciła mu miniaturowy magnetofon. Miał on specjalny zegar i urządzenie zabezpieczające, co pozwalało na okresowe kontrolowanie Hendersona w czasie jazdy taksówką. Gdyby próbował

jakoś ostrzec swego rozmówcę, mogliby to — nie wiedział tylko z jaką dozą prawdopodobieństwa — wykryć. Nie lubili go i nie ufali mu. Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie zyska sympatii ani zaufania, ale wystarczy, jeśli pozwolą mu z tym skończyć.

W parę minut później opuścił mieszkanie i schodami zszedł na dół. W pobliżu przejeżdżało sporo taksówek, ale żadnej nie zatrzymywał. Począł, aż jedna z nich stanęła przy nim. Zaczęli rozmawiać dopiero, gdy wyjechali na Virginia Avenue.

Taksówka zawiozła go do Głównego Urzędu Rachunkowości na ulicy G. Znalazłszy się w budynku, oddał magnetofon innemu agentowi FBI. Henderson podejrzewał, że jest to również nadajnik radiowy, chociaż naprawdę tak nie było. Magnetofon dotarł do siedziby FBI. Loomis już tam czekała. Taśmę przewinięto i przesłuchano.

— W końcu CIA ma, czego chciała — powiedziała Loomis do swego przełożonego. Z

faktu, że był z nimi jeszcze ktoś z kierownictwa, natychmiast wywnioskowała, że sprawa jest poważniejsza niż sądziła.

— Teraz pasuje. Takie źródło jak Ryan nie trafia się zbyt często. Henderson wyrecytował swoją kwestię całkiem dobrze.

— Powiedziałam mu, że może jest to jego przepustka na wolność. — Ton jej głosu dopowiedział resztę.

— A pani się z tym nie zgadza? — zapytał zastępca dyrektora FBI, nadzorujący operacje kontrwywiadowcze.

— Jeszcze nie dość zapłacił za to, co zrobił.

— Kiedy się już to wszystko zakończy, wyjaśnię pani, na czym polega pani błąd. Niech się tym pani

nie zajmuje, dobrze? Wykonała pani świetną robotę w tej sprawie. Proszę teraz tego nie zepsuć.

— Co się z nim stanie? — zapytała.

— Jak zawsze. Zostanie objęty programem ochrony świadków i wyląduje, na przykład, w Montanie, gdzie będzie prowadził jakiś bar. — Dyrektor wzruszył ramionami. — Pani dostanie awans i przeniesienie do biura nowojorskiego. Mamy następnego, którym może się już pani naszym zdaniem zająć: pewien dyplomata z ONZ potrzebuje dobrego oficera prowadzącego.

— Doskonale. — Tym razem uśmiech nie był wymuszony.

— Złapali haczyk, i to mocno — powiedział Ritter do Ryana. — Mam nadzieję, chłoptasiu, że się do tego nadasz.

— Nie ma tu żadnego niebezpieczeństwa — Jack rozłożył ręce. — To ma się odbyć kulturalnie.

Ale tylko w tej części, o której wiesz — pomyślał Ritter, głośno zaś dodał: — Ryan, jeżeli chodzi o działalność operacyjną, jesteś amatorem. Nie zapominaj o tym.

— Taki właśnie muszę być, żeby zagrało — zauważył Jack.

— Kogo bogowie chcą zgubić, temu najpierw dają pychę — odrzekł Ritter.

— Nie tak to brzmiało u Sofoklesa — uśmiechnął się Jack.

— Moja wersja brzmi lepiej. Kazałem nawet zainstalować na „Farmie” tablicę z tym moim cytatem.

Pomysł Ryana był prosty, za prosty — i ludzie Rittera w ciągu dziesięciu godzin przetworzyli go w pełną operację. Mimo prostoty założenia, mogły pojawić się komplikacje. Tak było we wszystkich operacjach, a Ritter tego nie lubił.

Bart Mancuso już od dawna przywykł do myśli, że spanie nie znajdowało się na liście czynności, których oczekiwano od kapitanów okrętów podwodnych. Szczególnie jednak nie znosił pukania do drzwi w kwadrans po tym, gdy w końcu się położył.

— Wejść! — krzyknął i dodał w myślach... żeby cię cholera!

— Wiadomość specjalna, tylko dla kapitana — przeprasząco powiedział porucznik.

— Oby tylko dobra! — warknął Mancuso, ściągając z siebie koc. W samej bieliźnie poszedł do kabiny łączności, znajdującej się na lewej burcie, za przedziałem bojowym. Wyszedł

stamtąd po dziesięciu minutach i podał nawigatorowi pasek papieru.

— Chcę tam być za dziesięć godzin.

— Nie ma sprawy, kapitanie.

— Jeżeli ktoś mnie jeszcze obudzi, to tylko z wiadomością o wojnie atomowej! —
pogroził i na bosaka wrócił do kabiny.

— Wiadomość przekazana — powiedział Henderson do Loomis przy kolacji.

— Coś jeszcze? — Wieczór przy świecach i w ogóle... pomyślała.

— Chciałem po prostu potwierdzić. Nie żądali nowych informacji, a tylko upewnienia się co do tego, co już otrzymali z innych źródeł. W każdym razie tak to odebrałem. Mam dla nich coś jeszcze.

— Cóż takiego?

— Nowe opracowanie na temat ochrony przeciwlotniczej pola walki. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego im tak na tym zależy. Przecież pod koniec miesiąca mogą o tym przeczytać w „Aviation Week”.

— Teraz jednak niech pan nie narusza ustalonych zasad postępowania.

Tym razem informacja została przesłana normalną drogą wśród innych materiałów.

Zaadresowana została do przewodniczącego, ponieważ dotyczyła starszego stopniem pracownika obcego wywiadu. W wyższych kręgach KGB znano upodobanie Gierasimowa do plotek na tematy osobiste, nie tylko rosyjskich, ale i zachodnich.

Gdy następnego dnia zjawił się w biurze, wiadomość już na niego czekała.

Przewodniczącemu KGB bardzo przeszkadzała ośmiogodzinna różnica czasu między Moskwą i Waszyngtonem: to cholernie komplikowało różne sprawy! Wydanie przez moskiewskie centrum rozkazu natychmiastowego wykonania jakiejś operacji automatycznie pociągało za sobą ryzyko ujawnienia wobec Amerykanów radzieckich agentów. Dlatego też wysłano tylko niewiele takich rozkazów, przewodniczący KGB czuł się zaś urażony tym, że jego władzę obraca w niwecz coś tak prozaicznego, jak długość geograficzna.

„Wobec osobnika R. — rozpoczął czytanie Gierasimow — wszczęto obecnie tajne śledztwo w sprawie kryminalnej, nie związanej z działalnością wywiadowczą. Można jednak podejrzewać, że u podłoża zainteresowania działalnością R. leżą motywy polityczne: jest to prawdopodobnie próba niektórych postępowych elementów w Kongresie ugodzenia w CIA za jakąś nieudaną operację, chyba w Europie Środkowej, ale nie zostało to, powtarzam, nie zostało potwierdzone. Wykazanie, że R. popełnił przestępstwo, przyniesie ze względu na jego stanowisko, ujmę wyższym funkcjonariuszom CIA. Tutejsza placówka ocenia informacje w tej sprawie jako całkowicie wiarygodne. Trzy

niezależne źródła potwierdzają przypuszczenia przekazane w mojej depeszy nr 88(B)531-C/EOC. Pełne dane przesyłam pocztą dyplomatyczną.

Sugeruję kontynuację sprawy. Kierownik placówki — Waszyngton. Koniec”.

Gierasimow schował meldunek do biurka. Taak — mruknął do siebie. Spojrzał na zegarek: za dwie godziny miał być na porannym, odbywającym się co czwartek, posiedzeniu Biura Politycznego. Jak będzie tym razem? Jedno wiedział: będzie ciekawie. Zaplanował

wprowadzenie do swej gry nowego wariantu — Gry o Władzę.

W czwartki codzienna odprawa operacyjna trwała zazwyczaj trochę dłużej. Nigdy nie zaszkodzi rzucić na posiedzeniu paru smakowitych kąsków. Jego towarzyszom z Biura Politycznego spiskowanie przychodziło równie łatwo jak oddychanie, od stulecia zaś nie było jeszcze nigdzie takiego rządu, którego członkowie nie chcieliby usłyszeć czegoś o tajnych operacjach. Gierasimow zrobił kilka notatek, wybierając tylko to, co mógł poruszyć nie narażając ważnych spraw operacyjnych. O wyznaczonej godzinie jego samochód ruszył z dużą prędkością w kierunku Kremla, poprzedzany przez samochód z ochroną.

Gierasimow nigdy nie pojawiał się jako pierwszy, ani też jako ostatni. Tym razem wszedł

tuż za ministrem obrony.

— Dzień dobry, Dymitrze Timofiejewiczu — powitał marszałka przewodniczący bez uśmiechu, lecz mimo to dość serdecznie.

— Dzień dobry, towarzyszu przewodniczący — odpowiedział Jazow. Obaj zajęli swoje miejsca. Jazow miał co najmniej parę powodów, by zachowywać się powściągliwie. Nad głową wisiała mu, jak przysłowiowy miecz, sprawa Filitowa, ponadto sam był zaledwie zastępcą członka tego najwyższego organu Związku Radzieckiego, Gierasimow natomiast był pełnym członkiem. Dawało to KGB przewagę władzy politycznej nad Ministerstwem Obrony. Minister obrony miał w tym gremium głos jedynie wtedy, gdy był przede wszystkim człowiekiem partii

— jak Ustinow. Jazow zaś uważał się przede wszystkim za żołnierza. Dla niego, też lojalnego członka partii, mundur nie był przebraniem, tak jak dla jego poprzednika. Przy tym stole Jazow nigdy nie będzie miał pełnych praw.

Do sali, z właściwą mu energią, wszedł Andriej Iljicz Narmonow. Spośród członków Biura Politycznego tylko przewodniczący KGB był od niego młodszy i Narmonow uważał za konieczne okazywać swoją werwę starszym, zgromadzonym wokół „jego” stołu konferencyjnego. Widać było po nim napięcia i stesy związane ze stanowiskiem. Czarna gęstwa włosów szybko siwiała, a ich linia wydawała się cofać znad czoła. Z drugiej strony jednak u pięćdziesięciolatka nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Gestem ręki poprosił obecnych o zajęcie miejsc.

— Dzień dobry, towarzysze — powiedział urzędowym tonem. — Dyskusja wstępna dotyczyć będzie

przyjazdu amerykańskiego zespołu na rozmowy rozbrojeniowe.

— Mam dobre nowiny — zgłosił się natychmiast Gierasimow.

— Naprawdę? — zanim Sekretarz Generalny zdążył zareagować, Aleksandrow już podkreślał swoją pozycję.

— Nasze informacje wskazują, że Amerykanie skłonni są w zasadzie uwzględnić w rozmowach swój program obrony strategicznej — zameldował przewodniczący KGB. — Nie wiemy, czego zażądają w zamian, ani też nie znamy zakresu ustępstw z tego programu, na jakie są gotowi pójść, niemniej oznacza to pewną zmianę w stanowisku amerykańskim.

— Trudno mi w to uwierzyć — zabrał głos Jazow. — Ich prace są daleko zaawansowane.

Tak mi powiedzieliście, Nikołaju Borysowiczu, w zeszłym tygodniu.

— Właśnie dowiedzieliśmy się, że wśród członków rządu amerykańskiego są osoby nie zgadzające się z jego polityką, a w samej CIA prawdopodobnie toczy się w tej chwili walka o władzę. W każdym razie takie mamy informacje, i uważamy je za dość wiarygodne.

— To zaskakujące. — Na dźwięk sceptycznych słów ministra spraw zagranicznych wszystkie głowy obróciły się ku niemu. — W tej kwestii Amerykanie byli dotychczas nieugięci.

Mówicie, „dość wiarygodne”, ale nie całkowicie?

— Informacja pochodzi z wysokiego szczebla, lecz nie została dotąd dostatecznie potwierdzona. Do końca tygodnia będziemy wiedzieć więcej.

Głowy wokół stołu pokiwały ze zrozumieniem. Delegacja amerykańska miała przylecieć w sobotę około południa, a rozmowy zaczną się dopiero w poniedziałek. Te półtorej doby pozwoli Amerykanom przyzwyczać się do zmiany stref czasowych. Na okres ten przewidziano właściwie tylko przyjęcie powitalne w hotelu Akademii Nauk.

— Taka informacja ma oczywiście duże znaczenie dla mojego zespołu negocjacyjnego, ale jest dla mnie wysoce zaskakująca, szczególnie w świetle tego, co usłyszeliśmy na temat naszych badań o nazwie JASNA GWIAZDA oraz ich odpowiednika amerykańskiego.

— Są podstawy do przypuszczeń, że Amerykanie dowiedzieli się o JASNEJ

GWIEŹDZIE — spokojnie odpowiedział Gierasimow. — Może to ich nieco otrzeźwiło.

— Dotarli do JASNEJ GWIAZDY? — zapytał ktoś. — W jaki sposób?

— Nie wiemy dokładnie. Zajmujemy się tym obecnie — odparł Gierasimow, starając się nie patrzeć w kierunku Jazowa: Wasz ruch, towarzyszu ministrze.

— Amerykanie byliby więc bardziej zainteresowani przerwaniem naszych badań niż ograniczeniem swoich — zauważył Aleksandrow.

— Oni natomiast uważają, że nasze wysiłki zmierzały w przeciwnym kierunku —

warknął minister spraw zagranicznych. — Bardzo bym się cieszył, gdybym mógł powiedzieć moim ludziom, o co tu właściwie chodzi!

— Towarzyszu marszałku? — zwrócił się Narmonow do Jazowa. Nie zdawał sobie sprawy, że wystawia własnego człowieka na cel.

Do tej pory Gierasimow nie miał pewności co do Jazowa, nie wiedział, czy czując się zagrożony nie przedstawi sprawy Filitowa swemu szefowi. Teraz miał otrzymać odpowiedź na te wątpliwości. Jazow obawiał się możliwości — pewności! — poprawił się w myślach Gierasimow

— że teraz go pograżymy. Boi się także, że Narmonow nie narazi na szwank swej własnej pozycji, by go ratować. Czyżby więc udało mi się skaptować i Jazowa, i Waniejewa? Jeżeli tak, to trzeba się zastanowić, czy warto utrzymać Jazowa, kiedy zostanie sekretarzem generalnym...

To zależy od ciebie, Jazow...

— Przewyciężyliśmy problem mocy wyjściowej lasera. Pozostała jeszcze sprawa komputerowego sterowania. W tej dziedzinie pozostajemy w tyle za Amerykanami ze względu na wyższość ich przemysłu komputerowego. W zeszłym tygodniu towarzysz Gierasimow dostarczył nam część amerykańskiego programu sterowania, ale nie zdążyliśmy nawet zabrać się do jego analizy, gdy dowiedzieliśmy się, że już się zdezaktualizował. Nie jest to, oczywiście, krytyka pod adresem KGB...

No tak! — W tym momencie Gierasimow był już pewny. — To on robi gest w moją stronę. A co najlepsze, nikt tutaj, nawet Aleksandrow, nie rozumie, co zaszło.

— ...lecz ilustracja kwestii technicznych. Jest to jednak tylko kwestia techniczna, towarzysze, którą także możemy przewyciężyć. Moim zdaniem, wyprzedzamy Amerykanów.

Jeżeli o tym wiedzą, będą się tego obawiali. Nasze dotychczasowe stanowisko polegało na sprzeciwianiu się wszelkim broniom instalowanym w kosmosie, ale nie systemom naziemnym, bo te, jak wszyscy tu wiemy, są lepsze od swych amerykańskich odpowiedników. Może potwierdza to zmiana w stanowisku amerykańskim. Jeżeli tak jest, byłbym przeciwko prehandlowaniu JASNEJ GWIAZDY — za cokolwiek.

— To uzasadniona opinia — powiedział po chwili Gierasimow. — Dymitr Timofiejewicz poruszył tu kwestię dającą wiele do myślenia. — Wszyscy wokół stołu pokiwali głowami, jak im się wydawało, ze zrozumieniem. Mylili się jednak bardziej niż którykolwiek z nich ośmieliłby się przypuszczać. Przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego i minister obrony skwitowali zawartą właśnie transakcję zaledwie spojrzeniem i uniesieniem brwi.

Gierasimow popatrzył teraz ku szczytowi stołu. Sekretarz generalny Narmonow pilnie przysłuchiwał się debacie, sporządzał notatki, ale nie zauważył wzroku przewodniczącego KGB.

Ciekaw jestem, czy jego stołek jest wygodniejszy od mojego.

Podróżnicy

Ryan zauważył z przyjemnością, że nawet w 89. Skrzydle Wojskowego Lotnictwa Transportowego troszczono się o bezpieczeństwo. Wartownicy pilnujący prezydenckich samolotów w bazie lotnictwa Andrews obnosili się nie tylko z załadowaną bronią, ale i z poważnymi minami na twarzy, mającymi wywrzeć wrażenie na „Dostojnych Gościach”, jak w Siłach Powietrznych nazywano Bardzo Ważne Osobistości. Połączenie uzbrojonych żołnierzy i zwykłej, skomplikowanej procedury lotniskowej gwarantowało, że nikt nie porwie samolotu do... Moskwy. Tym miała się zająć jego załoga.

Przed lotem Ryan zawsze myślał o tym samym. Czekaając na przejście przez bramkę wykrywacza metali, wyobrażał sobie, że na jej części poprzecznej ktoś umieścił napis: PORZUĆCIE WSZELKĄ NADZIEJĘ, WY, KTÓRZY TU WCHODZICIE. Udało mu się już właściwie przewyciężyć lęk przed lataniem i jego obawy, jak sobie wmawiał, dotyczyły teraz całkiem czegoś innego. Ale to nie pomagało. Lęki wzmacniają się nawzajem, nie sposób ich od siebie oddzielić. Z tą myślą wyszedł z budynku.

Mieli lecieć tym samym samolotem, co zeszyłem razem, o numerze bocznym 86971. Był

to model 707, który w 1958 roku opuścił zakłady Boeinga w Seattle, a później został przerobiony na wersję VC-137, wygodniejszą od VC-135 oraz wyposażoną w okienka. Ryan wprost nie znosił latania samolotem bez okien. Nie było rękawa lotniskowego, musieli więc wdrapać się po staroświeckich schodkach na kółkach. Wnętrze samolotu przedstawiało się jak mieszanka powszedniości i wyjątkowości. Przednia umywalnia znajdowała się w normalnym miejscu, naprzeciwko drzwi, za nią natomiast umieszczono urządzenia łącznościowe, które zapewniały maszynie natychmiastowe, szyfrowane połączenia radiowe z dowolnym miejscem na świecie za pośrednictwem satelitów. Dalej znajdowały się całkiem wygodne pomieszczenia dla załogi, a za nimi kuchnia. Jedzenie podawano zupełnie dobre. Ryan siedział w strefie „Prawie Dostojnych Gości”, na jednej z dwóch kanapek umieszczonych po obu stronach kadłuba, tuż przed strefą z sześcioma fotelami dla tych najważniejszych. Z tyłu, po obu stronach było po pięć miejsc dla dziennikarzy, ochrony i innych ludzi uważanych przez decydentów za mniej ważnych. Tym razem miejsca te miały pozostać nie zajęte, chociaż młodszy członek delegacji będą tu przychodzić, by rozprostować trochę nogi.

Jedyną wadę stanowił ograniczony zasięg VC-137. Nie mógł on jednym skokiem dostać się do

Moskwy i zazwyczaj trzeba było zatrzymywać się w Shannon na tankowanie. Samoloty prezydenckie wykorzystujące konstrukcję Boeingów 707-320 dalekiego zasięgu, miano wkrótce zastąpić ultranowoczesnymi modelami 747. Siły Powietrzne chciały mieć nowy samolot prezydencki, który byłby młodszy od większości jego załogi. Ryan miał nadzieję, że taki dostaną.

Ten, w którym siedział obecnie, opuścił bramy fabryki, kiedy on był jeszcze w drugiej klasie, co wydawało mu się dziwne. Ale jak to właściwie miało wyglądać? Czy ojciec powinien był go wtedy zabrać do Seattle, pokazać mu samolot i powiedzieć: Popatrz, pewnego dnia polecisz nim do Rosji...?

Ciekawe, czy można przewidzieć los? Czy można przewidzieć przyszłość... Z początku zabawna, myśl ta już po chwili go zmroziła.

Nasz zawód to właśnie przewidywanie przyszłości, ale czy naprawdę wyobrażasz sobie, że to potrafisz? Czego tym razem nie odgadłeś, Jack?

A niech to...! — zezłościł się na siebie. — Za każdym razem, gdy wsiadam do jakiegoś pieprzonego samolotu... Zapiął pasy, patrząc na siedzącego po przeciwnej stronie eksperta technicznego z Departamentu Stanu, który uwielbiał latać.

W minutę później uruchomiono silniki i samolot rozpoczął kołowanie. Komunikaty podawane przez głośniki niewiele różniły się wprawdzie od tych z samolotów rejsowych, można jednak się było zorientować, że samolot nie należał do żadnego towarzystwa lotniczego. Jack wcześniej już to wywnioskował. Stewardesa miała wąsy. Chichotał z tego cicho, gdy maszyna rozpędzała się na „Pierwszym-Lewym” pasie startowym.

VC-137 wystartował pod wiejący z północy wiatr, a w minutę później skręcił w prawo.

Jack też się obrócił, patrząc w dół, na autostradę numer 50. Ta droga prowadziła do jego domu w Annapolis. Stracił ją z oczu, gdy samolot wszedł w chmury. Ten bezosobowy biały welon wyglądał często jak piękna zasłona, ale teraz... ale teraz zasłaniał mu widok drogi do domu. Cóż, nic nie mógł na to poradzić. Postanowił wykorzystać fakt, że miał całą kanapkę dla siebie.

Zrzucił buty i ułożył się do drzemki. Przede wszystkim będzie potrzebował wypoczynku. Tego był pewien.

„Dallas” wynurzył się w wyznaczonym miejscu i czasie, tylko po to, by otrzymać wiadomość o zmianie planów. Teraz wynurzał się ponownie. Mancuso pierwszy wspiął się na pomost w kiosku, za nim młodszy oficer i dwóch obserwatorów. Wysunięty peryskop przeczesywał powierzchnię wypatrując innych jednostek. Noc była spokojna i jasna, a niebo, które można zobaczyć tylko na morzu, rozświetlone gwiazdami, jarzącymi się jak klejnoty na atlasowym tle.

— Mostek, tu centrala.

Mancuso nacisnął przycisk. — Tu mostek, słucham.

— System ostrzegawczy ujawnił radar lotniczy z kierunku jeden-cztery-zero, namiar stały.

— Bardzo dobrze. — Kapitan obrócił się. — Możecie włączyć światła pozycyjne.

— Prawa burta czysta — zameldował jeden z obserwatorów.

— Lewa burta czysta — odezwał się drugi.

— Źródło nadal w namiarze jeden-cztery-zero. Moc sygnału rośnie.

— Cel powietrzny, lewa burta od dziobu! — zawołał obserwator. Mancuso podniósł lornetkę do oczu i zaczął przeszukiwać ciemności.

Jeżeli tam był, to bez światel pozycyjnych... teraz zauważył, jak coś przesłoniło kilka gwiazd na niebie...

— Widzę. Masz dobre oko, Everly! O, teraz zapalił światła.

— Mostek, tu centrala, otrzymujemy właśnie wiadomość radiową.

— Przełączcie tutaj — odpowiedział natychmiast Mancuso.

— Gotowe, panie kapitanie.

— Echo-Golf-Dziewięć, tu Alfa-Whiskey-Pięć, odbiór.

— Alfa-Whiskey-Pięć, tu Echo-Golf-Dziewięć, słyszę was dobrze. Wasz sygnał rozpoznawczy, odbiór.

— Bravo-Delta-Hotel, odbiór.

— Zrozumiałem, dziękuję. Czekamy. Słaby wiatr, morze spokojne. — Mancuso włączył

oświetlenie przyrządów na mostku. Nie było potrzebne, ponieważ okrętem kierowano z centrali, ale wskazało nadlatującej maszynie jej cel.

W chwilę później usłyszeli łopot wirnika, a potem wizg silników turbinowych śmigłowca.

Po niecałej minucie poczuli powietrze pchane w dół łopatomi wirnika: maszyna zatoczyła dwa kręgi, by pilot mógł zorientować się w ich położeniu. Mancuso ciekaw był, czy zapali światła lądowania, czy też będzie się popisował pilotażem...

Jednak się popisował, a ściśle mówiąc, potraktował tajne zadanie transportu osobowego jak zadanie bojowe. Kierując się na światła zapalone w kiosku okrętu, pilot zawiesił śmigłowiec pięćdziesiąt metrów nad lewą burtą. Potem zmniejszając wysokość, ześlizgnął się nad okręt.

Otworzyły się drzwi ładowni i pokazała się w nich ręka, która uchwyciła koniec liny wciągarki.

— Uwaga — rzucił Mancuso do swych ludzi. — Już to kiedyś robiliśmy. Sprawdzić zabezpieczenia. Bądźcie ostrożni.

Strugi spod wirnika groziły zdmuchnięciem ich po schodni w dół, do centrali. Mancuso widział, jak z drzwi śmigłowca zawieszono tuż nad głowami wysuwa się ludzki kształt i opuszcza w dół. Te trzydzieści sekund zdawało się trwać wieczność. Kręcąca się lina obracała żywym ładunkiem. Jeden z marynarzy uchwycił w końcu stopę i ściągnął człowieka ku sobie.

Kapitan złapał rękę i obaj wciągnęli go na mostek.

— Dobra, mamy go — powiedział Mancuso. Mężczyzna wysliznął się z upręży, która powędrowała w górę, i obrócił się.

— Mancuso!

— Skurczybyku! — wykrzyknął kapitan.

— Czy tak się wita towarzysza?

— A niech to! — Ale najpierw służba. Mancuso spojrzał w górę. Śmigłowiec był już dwieście metrów nad nimi. Kapitan obrócił się ku wyłącznikom i trzykrotnie błysnął światłami pozycyjnymi: „W porządku”. Śmigłowiec natychmiast pochylił nos i odleciał ku niemieckiemu wybrzeżu.

— Włącz pod pokład — roześmiał się Bart. — Obserwatorzy pod pokład. Opuścić mostek.

— Do siebie zaś mruknął: A to skurczybyk. Gdy wszyscy zeszli na dół, wyłączył oświetlenie pomostu i raz jeszcze sprawdził wszystko przed zejściem na dół. W chwilę później był już w centrali.

— Teraz ja proszę o zezwolenie wejścia na pokład? — zapytał Marko Ramius.

— Nawigator?

— Wszystkie systemy sprawdzone. Okręt gotowy do zanurzenia — zameldował tamten.

Mancuso odruchowo odwrócił się, by spojrzeć na panele sygnalizacji świetlnej.

— Bardzo dobrze. Zanurzenie! Głębokość trzydzieści metrów, kurs zero-siedem-jeden, jedną trzecią naprzód. — Teraz obrócił się ku gościowi. — Witamy na pokładzie, kapitanie.

— Dziękuję, kapitanie. — Ramius objął Mancuso żelaznym uściskiem i ucałował go w policzek. Potem zdjął plecak. — Czy możemy porozmawiać?

— Pójdziemy stąd.

— Pierwszy raz jestem na pokładzie waszego okrętu — zauważył Ramius.

W chwilę później wysunęła się głowa z przedziału sonarzystów.

— Kapitan Ramius! Tak mi się wydawało, że to pański głos! — Jones spojrział na Mancuso. — Przepraszam, panie kapitanie. Właśnie uchwyciliśmy kontakt. Namiar zero-osiem-jeden. Wygląda na handlowy. Jedna śruba, napędzana wolnym dieslem. Prawdopodobnie dość daleko. Zaraz zgłoszę oficerowi wachtowemu.

— Dziękuję, Jones. — Mancuso wprowadził Ramiusa do swojej kajuty i zamknął drzwi.

— O co, u diabła, chodziło? — w chwilę później zapytał Jonesa młody sonarzysta.

— Mamy gościa.

— Czy on nie ma trochę dziwnego akcentu?

— Może trochę. — Jones wskazał na ekran sonaru. — Ten kontakt ma też akcent. No to zobaczymy, jak szybko uda ci się rozpoznać, co to za łajba.

To niebezpieczne — myślał Łucznik — ale całe życie jest niebezpieczne. Granicę radziecko-afgańską stanowiła tu rzeka, wijąca się wąwozami wśród gór i odcinek ten był dobrze strzeżony. Na szczęście jego partyzanci ubrani byli jak Rosjanie, którzy już dawno zaopatrzyli swych żołnierzy w prostą, lecz ciepłą odzież zimową, podobną do tej, jaką mieli na sobie partyzanci. Musieli uzbroić się w cierpliwość. Łucznik leżał na górskiej grani i za pomocą rosyjskiej lornetki wojskowej rozglądał się po okolicy. Jego ludzie czekali o kilka metrów za nim i poniżej. Mógłby uzyskać pomoc od miejscowego oddziału partyzanckiego, ale zaszedł już zbyt daleko, by ryzykować takie posunięcie. Rosjanie skaptowali niektóre plemiona z północy, a w każdym razie tak się mówiło. Niezależnie od tego czy to prawda, czy nie, i tak już wiele ryzykował.

Na lewo od niego, w odległości sześciu kilometrów, na szczycie góry znajdowała się rosyjska strażnica. Była dość duża, mieściła chyba pluton żołnierzy KGB, którzy odpowiadali za patrolowanie tego odcinka. Samą granicę wytyczał płot i pola minowe. Rosjanie uwielbiali pola minowe... ale ziemia zamarzała, zaś radzieckie miny często zawodziły w zamarzniętym gruncie, chociaż niekiedy wybuchały samoczynnie, gdy mróz je ścisnął.

Wybrał to miejsce z rozmysłem. Granica wyglądała tu na nie do przejścia — lecz tylko na mapie; przemytnicy chodzili tędy od niepamiętnych czasów. Po drugiej stronie rzeki była kręta ścieżka, wyłobiona przez ściekającą od wieków wodę z topniejących śniegów. Ścieżka, stroma i śliska tworzyła jakby mały kanion, do którego można było zajrzeć tylko z góry. Jeżeli Rosjanie go pilnują, będzie to oczywiście śmiertelna pułapka. Stanie się zgodnie z wolą Allaha —

powiedział sobie Łucznik, poddając się przeznaczeniu. Już czas.

Najpierw zobaczył błyski: dziesięciu ludzi z wielkokalibrowym karabinem maszynowym i jeden z jego bezcennych moździerzy. Kilka żółtych smug przecięło granicę kierując się na obóz rosyjski. Widział, jak parę pocisków odbiło się od skał i znacząc dziwaczny szlak pomknęło w granatowe niebo. Teraz Rosjanie zaczęli odpowiadać ogniem. Wkrótce dotarł też do nich dźwięk wystrzałów. Miał nadzieję, że jego ludziom uda się ujść cało. Obrócił się i ruchem ręki poderwał grupę naprzód.

Zbiegli po zboczu góry, nie zważając na bezpieczeństwo. Sprzyjającą okolicznością było to, że wiatr zdmuchnął śnieg ze skał, co pozwalało znajdować porządne oparcie dla stóp. Łucznik prowadził ich ku rzece. To zadziwiające, ale nie było na niej lodu, opadała bowiem tak stromo, że woda nie zamarzała. Oto i druty!

Jeden z młodych specjalnymi nożycami przeciął je i znowu ruszyli naprzód. Wzrok Łucznika przywykł już do ciemności. Szedł teraz wolniej, wypatrując na ziemi charakterystycznych garbów, które oznaczały zakopane w niej miny. Nie musiał mówić tym, którzy szli za nim, by posuwali się gęsiego, stąpając po skałach, gdzie tylko to było możliwe. Po lewej stronie, w oddali, flary zdobiły niebo, ale strzelanina nieco przycichła.

W godzinę później wszyscy ludzie Łucznika przeszli już rzekę i ruszyli szlakiem przemytniczym. Dwóch pozostało na wierzchołkach wzgórz nad zasiekami. Widzieli jeszcze, jak saper-amator naprawił je, by ukryć przejście, a potem i on zniknął w ciemności.

Łucznik zatrzymał się dopiero o świcie. Nie mieli żadnego opóźnienia i mogli przystanąć, by przez kilka godzin odpocząć i zjeść, jego oficerowie powiedzieli, że wszystko przebiegło dobrze, lepiej niż się spodziewali.

Międzylądowanie w Shannon trwało krótko, tylko tyle by nabrać paliwa i przyjąć na pokład radzieckiego pilota, który miał im pomóc w porozumiewaniu się z rosyjską kontrolą ruchu powietrznego. Przy lądowaniu Jack obudził się i pomyślał, że warto rozprostować nogi.

Zdecydował jednak, że sklepy wolnocłowe poczekają aż do jego powrotu. Rosjanin usiadł na rozkładanym siedzeniu w kabinie pilotów i Boeing znowu zaczął kołowanie.

Była noc. Pilot był w gadatliwym nastroju, oznajmił, że ponownie wlecieli nad ląd w okolicach Wallasey, oraz że w całej Europie jest pogodnie i zimno. Jack obserwował

pomarańczowożółte światła angielskiego miasta, przepływające pod nimi. W samolocie wzmagało się napięcie — a może oczekiwanie byłoby tu lepszym słowem. Słyszał, że wysokość tonu głosów nieco wzrosła, chociaż ich natężenie zmalało. Nie można lecieć ku Związkowi Radzieckiemu nie zachowując się choć trochę konspiracyjnie. Wkrótce wszystkie rozmowy prowadzono chrapliwym szeptem. Jack uśmiechnął się nieznacznie w plastikowe okienko, a jego odbicie zapytało, coż go tak cholernie śmieszy. Znowu pokazała się pod nimi woda: lecieli nad Morzem Północnym ku Danii.

Potem pojawił się Bałtyk. Widać było gdzie Wschód graniczy z Zachodem. Miasta zachodniemieckie, na południu, były rozświetlone, otoczone ciepłą poświatą. Inaczej po wschodniej stronie. Obecni na pokładzie zauważyli tę różnicę i rozmowy jeszcze bardziej przycichły.

Samolot leciał trasą G-24. Nawigator w kabinie miał na stole częściowo rozłożoną mapę Jeppesena, która ukazywała jeszcze jedną różnicę między Wschodem i Zachodem: niedostatek szlaków przelotowych w tym pierwszym. Cóż — pomyślał nawigator — nie ma tu zbyt wielu awionetek typu Cessna czy Piper... chociaż była jedna Cessna, która...

— Dolatujemy do punktu zwrotnego. Wejdziemy na kurs zero-siedem-osiem i w obszar radzieckiej kontroli powietrznej.

— Jasne — potwierdził po chwili pilot, czyli oficjalnie mówiąc „dowódca statku powietrznego”. Był zmęczony po całodziennym locie. Znajdowali się na Poziomie 381 czyli 11.600 metrów. Po wykonaniu zwrotu przelecieli jeszcze ze sto kilometrów, zanim dotarli do granicy radzieckiej na wysokości Ventspils.

— Nooo, to jesteśmy — powiedział ktoś koło Ryana. Nocą, z powietrza w porównaniu z terytorium radzieckim wschodnie Niemcy wyglądały jak Nowy Orlean w ostatnim dniu karnawału. Przypomnił sobie nocne zdjęcia satelitarne. Bardzo łatwo można było wskazać obozy gułagu — jedyne świecące prostokąty w całym kraju... co za okropne miejsce, gdzie tylko więzienia są dobrze oświetlone...

Pilot potraktował przekroczenie granicy jako jeszcze jeden nawigacyjny punkt odniesienia. Jeżeli wiatr się nie zmieni, pozostało jeszcze osiemdziesiąt pięć minut. Kontrolerzy ruchu powietrznego na tej trasie (zwanej tu G-3) byli jedynymi w kraju, którzy mówili po angielsku. Do zakończenia lotu radziecki oficer (oczywiście z wywiadu lotnictwa) nie był

właściwie potrzebny, ale gdyby nastąpiły komplikacje, sytuacja mogła ulec zmianie. Rosjanie lubili stosować instrukcje. Polecenia dotyczące kursu i wysokości, jakich teraz słuchali, były o wiele dokładniejsze niż te, których udzielano w amerykańskiej przestrzeni powietrznej; tak jakby nie wiedzieli, co mają robić, dopóki nie powie im jakiś głupek z ziemi.

Dowódcą samolotu był pułkownik Paul von Eich. Jakieś sto lat temu jego rodzina przeniosła się z Prus do Ameryki, ale nikt z nich nie rozstał się z tym „von”, niegdyś ważnym dla pozycji rodziny. Pułkownikowi przyszło na myśl, że jego przodkowie kiedyś walczyli gdzieś tam, na zaśnieżonych równinach Rosji, a niedawno z pewnością również kilku bliższych krewnych. Prawdopodobnie ten i ów z nich leżał pogrzebany w ziemi, nad którą on przelatywał

teraz z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę. Jego bladoniebieskie oczy omiatały niebo w poszukiwaniu światła innego samolotu. Jednocześnie zastanawiał się, co też tamci polegli sądziliby o jego pracy.

Jak większość pasażerów, Ryan oceniał wysokość nad ziemią według tego, co mógł

zobaczyć, lecz teraz uniemożliwiała mu to czerń spowijająca rosyjską ziemię. Zorientował się, że byli blisko, gdy samolot rozpoczął szeroki zakręt w lewo. Usłyszał mechaniczny jęk wypuszczanych klap i poczuł zmniejszenie huku silników. Niedługo potem widział już pojedyncze drzewa umykające do tyłu. Rozległ się głos pilota, nakazujący zgaszenie papierosów oraz zapięcie pasów. W pięć minut później byli znowu na ziemi — na lotnisku Szeremietiewo.

Chociaż wszystkie lotniska na świecie wyglądały niemal tak samo, tego właśnie Ryan nie mógł

pomylić z innymi: miało najbardziej wyboiste drogi kołowania.

Rozmowy w kabinie nieco się ożywiły. Podniecenie rosło wraz z krzątaniną załogi samolotu. Dalej wszystko przebiegło już szybko. Komitet powitalny odpowiedniego szczebla uwiózł Ernie Allena w limuzynie ambasady, a resztę skazano na autobus. Ryan siedział sam, patrząc na krajobraz za oknami pojazdu.

Czy Gierasimow połknie przynętę?

A jeżeli nie?

A jeżeli tak? — zadał sobie z uśmiechem pytanie.

To wszystko wyglądało całkiem prosto w Waszyngtonie, ale tutaj, ponad osiem tysięcy kilometrów od domu... cóż... Najpierw się wyśpi, w czym pomoże mu mała czerwona pigułka.

Potem porozmawia z paroma osobami w ambasadzie. Reszta potoczy się sama.

Klucz do przeznaczenia

Ryana obudziło brzęczenie budzika. Panowało przeraźliwe zimno, i mimo że była już dziesiąta, okna pokrywał mróz. Przypomniał sobie, że przed położeniem się spać nie sprawdził, czy ogrzewanie było włączone. Zaczął więc dzień od wciągnięcia skarpetek. Okna pokoju na siódmym piętrze (zwanego „kawalerką”) wychodziły na kompleks budynków ambasady.

Zbierały się chmury, a szarość dnia zapowiadała śnieg.

Wspaniale — mruknął do siebie Jack idąc do łazienki. Wiedział, że mogło być gorzej.

Dostał ten pokój tylko dlatego, że urzędnik, który tu mieszka, wyjechał w podróż poślubną.

Przynajmniej rury nie były zatkane. Znalazł jednak przylepioną do lustra apteczki kartkę upominającą, by nie nabałagał tu tak, jak ostatni przejezdny. Potem zajrzał do małej lodówki.

Pusta, czyli „Witamy w Moskwie”. Wrócił do łazienki, umył się i ogolił. Jedną z osobliwości ambasady stanowiło to, że, by wydostać się z siódmego piętra, trzeba było najpierw wjechać na dziewiąte, a stamtąd zjechać inną już windą na parter. Jack wciąż jeszcze z niedowierzaniem kręcił głową, gdy wchodził do kantyny.

— Czyż ta zmiana czasu nie jest czymś cudownym? — powitał go jeden z członków delegacji. — Kawa jest tam.

— Ja to nazywam szokiem podróżnym. — Ryan napełnił kubek i wrócił do stolika. —

Kawa nawet przyzwoita. Gdzie pozostali?

— Chyba jeszcze kimają. Wujek Ernie też. Ja złapałem kilka godzin w czasie lotu, no i dzięki Bogu za tę pigułkę, którą nam dali.

Ryan roześmiał się. — Tak samo było ze mną. Może do wieczornego przyjęcia dojdą jakoś do siebie.

— A gdybyśmy tak połazili? Chciałbym się przejść, ale...

— Chodzić wolno tylko parami — przytaknął Ryan. Zasada ta dotyczyła jedynie członków delegacji. Obecna faza negocjacji miała być dość delikatna i dlatego zespół

obowiązywały twardsze niż zazwyczaj zasady. — Może później. Mam jeszcze coś do zrobienia.

— Nasza ostatnia szansa to dziś i jutro — zauważył dyplomata.

— Wiem — zapewnił go Ryan. Spojrzał na zegarek i postanowił nie jeść aż do lunchu.

Jego cykl snu dopasował się już do czasu moskiewskiego, ale żołądek jeszcze się nie przestawił.

Jack ruszył do części biurowej ambasady.

Korytarze były prawie puste. Chodzili po nich marines z ochrony z poważnymi minami, co było wynikiem wcześniejszych wydarzeń. Poza tym w sobotnie rano nie było zbyt wiele ruchu. Jack podszedł do odpowiednich drzwi i zastukał. Wiedział, że są zamknięte.

— Pan nazywa się Ryan?

— Zgadza się.

Drzwi otworzyły się, a kiedy wszedł do środka, zostały ponownie zamknięte i zaryglowane.

— Proszę siadać. — Nazywał się Tony Candela. — O co chodzi?

— Mamy przygotowaną operację.

— To dla mnie nowina. Jest pan z informacyjnego, a nie z operacyjnego — zdziwił się Candela.

— No właśnie, Rusczy też o tym wiedzą. To będzie taka ciekawostka. — Przez następne pięć minut Ryan wyjaśniał sytuację.

— I pan mówi, że to „ciekawostka” — przewrócił oczami Candela.

— Potrzebuję kogoś, kto nadzorowałby część tej sprawy. Potrzebuję numerów telefonów, pod które mógłbym dzwonić, a może i czterech kółek, które byłyby w odpowiednim miejscu.

— Musiałbym zmobilizować środki.

— Wiemy o tym.

— Jeżeli, oczywiście, to się uda...

— No właśnie. Trzeba się do tego przyłożyć.

— Czy Foleyowie o tym wiedzą?

— Raczej nie.

— Szkoda. Mary Pat by się to spodobało. Ma kowbojską naturę. Ed to bardziej typ urzędnika. A więc spodziewa się pan, że w poniedziałek lub we wtorek wieczorem tamci ruszą?

— Taki jest plan.

— To ja powiem panu co nieco o planach — odrzekł Candela.

Pozwalali mu spać. Watutin pomrukiwał pod nosem, myśląc o ponownych ostrzeżeniach lekarzy. Jak mógł cokolwiek osiągnąć, kiedy oni wciąż...

— Znowu to nazwisko — powiedział zmęczonym głosem człowiek ze słuchawkami. —

Romanow. Jeżeli gada we śnie, to dlaczego się nie przyznaje...?

— Może rozmawia z duchem cara — zażartował inny oficer. Watutin podniósł głowę.

— Albo kogoś innego — Watutin wstrząsnął się; już prawie zasypiał. Nazwisko Romanow, mimo że nosiła je wymordowana rodzina królewska Imperium Rosyjskiego, nie było takie znów rzadkie: nawet jeden z członków Biura Politycznego tak się nazywał. — Gdzie są jego akta z wojny ojczyźnianej?

— Tutaj. — Żartowniś otworzył szufladę i wręczył je Watutinowi. Ważyły sześć kilogramów i podzielone były na kilka odrębnych działów. Watutin zapoznał się przedtem z wszystkimi, ale koncentrował się na dwóch ostatnich. Tym razem otworzył dział pierwszy.

— Romanow — szepnął do siebie. — Gdzie ja to widziałem...? — Poszukiwania zajęły mu kwadrans. Przerzucał wystrzępione stronicę tak szybko, jak na to pozwalał ich stan.

— Mam! — Była to wypisana ołówkiem pochwała honorowa: „Kapral A. I. Romanow, poległ w walce 6 października 1941... nie zważając na niebezpieczeństwo wjechał czołgiem pomiędzy wroga a uszkodzony czołg dowódcy swego oddziału, umożliwiając tamtemu ewakuację rannej załogi...” No tak! Jako dziecko czytałem o tym w książce. Misza załadował

załogę na pancierz innej maszyny, sam wskoczył do środka i osobiście wykończył czołg, który rozbił maszynę Romanowa. Romanow ocalił Miszy życie i został pośmiertnie odznaczony Czerwonym Sztandarem... — Watutin zamilkł. Zdał sobie sprawę, że nazwał badanego „Misza”.

— Niemal pięćdziesiąt lat temu?

— Byli towarzyszami broni. Ten Romanow przez kilka pierwszych miesięcy należał do załogi czołgu Filitowa. Tak, to był bohater. Zginął za ojczyznę, ratując życie swemu dowódcy —

podsumował Watutin i pomyślał: A Misza ciągle z nim rozmawia...

Teraz cię mam, Filitow.

— Czy obudzić go i...?

— Gdzie jest lekarz? — zapytał Watutin.

Okazało się, że już prawie wychodził do domu i nie był zbyt zachwycony, że go zawrócono, lecz ze swoim stopniem nie mógł sobie pozwolić na zadzieranie z pułkownikiem Watutinem.

— Jak mamy do tego podejść? — zapytał Watutin, wytłumaczywszy swoje przypuszczenia.

— Powinien być zmęczony, ale całkiem rozbudzony. To się da bez trudu zrobić.

— A więc obudzimy go teraz i...

— Nie — pokręcił głową lekarz — nie w fazie REM...

— W jakiej?

— Rapid Eye Movement, czyli szybkich ruchów gałek ocznych, występujących kiedy pacjentowi coś się śni. Ten ruch oczu wskazuje zawsze na marzenia senne, niezależnie od tego czy pacjent coś mówi, czy nie.

— Ale nie możemy tego zobaczyć — zaproponował jeden z oficerów.

— Może powinniśmy rozważyć zmianę systemu obserwacji? — zastanawiał się doktor.

— Lecz nie ma to większego znaczenia. W fazie REM ciało jest jakby sparaliżowane. Czy widzicie, że teraz się nie porusza? W ten sposób umysł zapobiega uszkodzeniom ciała. Kiedy sen się skończy, znowu zacznie się ruszać.

— Jak długo to potrwa? — zapytał Watutin. — Nie chcemy, żeby zbyt długo wypoczął.

— To zależy od osobnika, ale nie martwiłbym się tym zbyt długo. Każcie strażnikowi przygotować mu śniadanie, i gdy tylko zacznie się ruszać, trzeba go obudzić i nakarmić.

— Jasne — uśmiechnął się Watutin.

— Później nie dać mu zasnąć... no, przez jakieś osiem godzin. Tak, to powinno wam wystarczyć?

— Z nadwyżką — odpowiedział Watutin z większą pewnością niż powinien. Wstał, spojrzął na zegarek, a następnie zadzwonił do Centrali i wydał kilka poleceń. Jego organizm także domagał się odpoczynku. Ale na niego czekało wygodne łóżko. Potrzebował całego swego sprytu, gdy nadejdzie pora. Teraz rozebrał się, wezwał ordynansa i kazał mu wyczyścić buty i wyprasować mundur w czasie, gdy on będzie spał. Był tak zmęczony, że nawet nie miał ochoty się napić. Teraz cię mam — wymamrotał, zapadając w sen.

— Dobranoc, Bea — zawołała Candi od drzwi, gdy jej przyjaciółka otwierała drzwiczki samochodu. Taussig odwróciła się raz jeszcze i pomachała. Candi i ten jej głupek nie mogli zobaczyć, z jaką złością wbiła kluczyk do stacyjki. Przejechała kilkadziesiąt metrów, skręciła w przecznicę, zatrzymała samochód przy krawężniku i zapatrzyła się w noc.

Już to robią — pomyślała. — Jak on patrzył na nią przez całą kolację. A ona na niego! W

tej chwili te niezdarne łapy grzebią przy guzikach jej bluzki...

Zapaliła papierosa i odchyliła się na oparciu: wyobrażała sobie tę scenę, a żołądek jej tężał w napełnioną kwasem kulę. Pryszczaty i Candi. Wytrzymała trzy godziny. Candi, jak zawsze, przygotowała wspaniałą kolację. Przez dwadzieścia minut, gdy coś tam jeszcze kończyła, ona została uwięziona w saloniku — z nim, jego kretyńskimi żartami, na które musiała odpowiadać uśmiechem. Było jasne, że Alan też jej nie lubi, ale ponieważ była przyjaciółką Candi, czuł się zobowiązany być dla niej miły. Biedna Bea, zmierzająca ku staropanieństwu, czy jak to się tam nazywa — czytała w jego głupich oczach. Jego protekcyjnalne zachowanie się było wystarczająco wstrętne, ale ta litość...

A teraz dotykał jej, całował, słuchał jej szeptów, sam szeptał te swoje głupie, obrzydliwe czułości — a Candi to lubiła! Jak to możliwe?

Taussig wiedziała, że Candace jest więcej niż po prostu ładna. To wolny duch. Miała umysł odkrywcy połączony z serdeczną, czułą duszą. Miała też prawdziwe uczucia. Była tak cudownie kobieca, obdarzona takim rodzajem piękna, które poczyna się w sercu i promieniuje we wspaniałym uśmiechu.

A teraz oddaje się temu, temu... Na pewno już się do tego zabrał. Ta pokraka nie ma najmniejszego pojęcia, jak niespiesznie objawić prawdziwą miłość i czułość. Mogę się założyć, że właśnie to robi, bełkocząc głupoty i chichocząc jak jakiś śmierdzący nastolatek. Jak ona może!

— O, Candace! — wyrwało jej się. Ogarnęły ją nudności i z całych sił starała się nad tym zapanować. Udało się jej i przez następne dwadzieścia minut siedziała w samochodzie cicho płacząc, zanim na tyle doszła do siebie, by jechać dalej.

— Co o tym sądzisz?

— Według mnie to lesbijka — odpowiedziała po chwili zastanowienia agentka Jennings.

— Peggy, w jej aktach nic o tym nie ma — zauważył Will Perkins.

— Sposób, w jaki patrzy na dr Long, sposób, w jaki zachowuje się wobec Gregory'ego...

...takie mam odczucie.

— Ale...

— No właśnie: ale co możemy na to poradzić? — powiedziała Margaret Jennings. Przez chwilę rozważała, czy nie pojechać za Taussig, lecz to był już i tak wystarczająco męczący dzień.

— Brak dowodów, a nawet gdybyśmy je zdobyli, byłoby cholernie dużo kłopotów.

— Przypuszczasz, że oni we trójkę...

— Will, znowu naczytałeś się tych magazynów — roześmiała się Jennings, na chwilę wracając do rzeczywistości. Perkins był mormonem i nigdy nie widziano, by tykał jakieś wydawnictwa pornograficzne. — Ci dwoje są tak w sobie zakochani, że nie mają najmniejszego pojęcia, co się wokół nich dzieje — oprócz pracy. Mogę się założyć, że ich rozmowy w łóżku są ściśle tajne. Chodzi o to, Will, że Taussig wypada z życia swej przyjaciółki i jest z tego powodu nieszczęśliwa. Przykre.

— No to jak mamy ją opisać?

— Nijak. Dużo o niczym. — Ich zadaniem na dzisiejszy wieczór było sprawdzenie doniesienia o dziwnych samochodach, które widywano przed domem Gregory'ego i Long.

Pochodziło prawdopodobnie — pomyślała agentka Jennings — od jakiejś tutejszej świętoszki, której nie podobało się, że dwoje młodych żyje ze sobą bez odpowiedniego papierka. Sama była pod tym względem nieco staromodna, ale to jeszcze nie znaczy, że tych dwoje zagraża bezpieczeństwu. Z drugiej jednak strony...

— Uważam, że powinniśmy się zabrać za Taussig.

— Mieszka samotnie.

— Z pewnością. — Sprawdzenie każdego pracownika wyższego szczebla w KLIPRZE

HERBACIANYM zabierze sporo czasu, lecz tego rodzaju śledztwa nie można przyspieszać.

— Nie powinnaś tu przychodzić — powiedziała z miejsca Bisiarina, chociaż nie dała po sobie poznać, że jest wściekła. Wzięła Taussig za rękę i wprowadziła do środka.

— Anno, to takie okropne!

— Usiądź. Czy ktoś cię śledził? — A to idiotka! Zboczona! — pomyślała. Właśnie wyszła spod prysznic i miała na sobie płaszcz kąpielowy, a głowę zawiniętą ręcznikiem.

— Nie, cały czas patrzyłam.

Jasne — pomyślała Tania. Zdziwiłaby się, gdyby to była prawda. W KLIPRZE

HERBACIANYM niezbyt wprawdzie ściśle przestrzegano zasad bezpieczeństwa — pozwolić tam pracować komuś takiemu! — jednakże przyjeżdżając tutaj jej agentka złamała wszelkie możliwe reguły.

— Nie możesz tu długo zostać.

— Wiem. — Wytarła nos. — Już prawie skończyli pierwszy projekt nowego programu.

Ta pokraka skróciła go o osiem tysięcy wierszy, wyrzucając wszystko, o co rozbijała się ta sprawa ze Sztuczną Inteligencją. Wiesz, myślę, że zapamiętał tę nową wersję... wiem, wiem, to niemożliwe.

— Kiedy będziesz mogła...

— Nie wiem — po twarzy Taussig przemknął uśmiech. — Powinniście skłonić go do pracy dla was. Według mnie on jeden rozumie cały program, chciałam powiedzieć — całe przedsięwzięcie.

Niestety, mam tylko ciebie — pomyślała Bisiarina. To, co zrobiła, przyszło jej z trudem.

Ujęła rękę Taussig.

Znowu popłynęły łzy. Beatrice omal nie rzuciła się w ramiona Tani, która objęła ją mocno, starając się współczuć swej agentce. W akademii KGB było sporo wykładów, i wszystkie miały pomóc w prowadzeniu agentów. Trzeba im dawkować trochę współczucia i trochę dyscypliny, trzeba ich traktować jak rozpuszczone dzieci, używając na przemian pochlebstw i przekleństw, by nakłonić do pracy. Agentka „Liwia” była zaś ważniejsza niż większość z nich.

Mimo to Tani było ciężko obrócić twarz ku głowie spoczywającej na ramieniu i pocałować w policzek, słony od niedawnych i świeżych łez. Bisiarina odetchnęła z ulgą, zdając sobie sprawę, że dalej nie musi się posuwać. Nigdy nie posuwała się dalej, ale żyła w strachu, że pewnego dnia „Liwia” tego od niej zażąda. Z pewnością wydarzy się to wtedy, gdy sobie uświadomi, że jej wymarzona kochanka w najmniejszym nawet stopniu nie interesuje się jej zalotami. Bisiarina nie mogła tego pojąć. Beatrice Taussig była na swój sposób bystra, niewątpliwie inteligentniejsza od prowadzącej ją oficer KGB, lecz tak mało znała się na ludziach.

Szczytem ironii było to, że pod wieloma względami przypominała Alana Gregory’ego, człowieka, którego tak nie znosiła. Była wprawdzie ładniejsza i bardziej bywała w świecie, brakowało jej jednak umiejętności sięgnięcia po to, czego pożądała. Gregory zrobił to prawdopodobnie jeden jedyny raz w życiu, i na tym polegała różnica między nimi. On był

pierwszy, ponieważ Beatrice zabrakło odwagi. I dobrze się stało — pomyślała Bisiarina — odrzucenie mogło ją zniszczyć.

Tania zastanawiała się, jaki naprawdę był Gregory. Pewnie jeszcze jeden naukowiec, czy jak to tam mówili, jajogłowy. Zdolny jajogłowy — cóż, każdy pracujący w KLIPRZE

HERBACIANYM był zdolny w tej czy w innej dziedzinie. To ją przerażało. Na swój sposób Beatrice odczuwała dumę z tego przedsięwzięcia, chociaż uważała je za zagrożenie dla światowego pokoju, z czym zgadzała się Bisiarina. Gregory to jajogłowy, który chce zmienić świat. Bisiarina rozumiała te pobudki: ona też chciała zmienić świat, tylko w inny sposób, a Gregory i KLIPER HERBACIANY stanowili tu zagrożenie. Nie nienawidziła go. Raczej pewnie by go polubiła. Ale osobiste upodobania czy niechęci nie miały zupełnie nic wspólnego z działalnością wywiadu.

— Teraz lepiej? — zapytała, gdy Bea przestała płakać.

— Muszę już iść.

— Na pewno wszystko w porządku?

— Tak. Nie wiem, kiedy będę mogła...

— Rozumiem. — Tania odprowadziła ją do drzwi. Zauważyła, że „Liwia” miała przynajmniej dość zdrowego rozsądku, by zaparkować samochód daleko od domu. Czekala, trzymając drzwi lekko uchylone, aż usłyszała charakterystyczny odgłos sportowego samochodu.

Potem spojrzała na ręce i poszła do łazienki, by je umyć.

Noc w Moskwie zapadła szybko, gdy słońce skryło się za chmurami, które zaczęły zrzucić swój ładunek śniegu. Członkowie delegacji, zebrani w holu ambasady, wychodzili szeregiem do przydzielonych samochodów, które miały ich zawieźć na powitalną kolację. Ryan znalazł się w samochodzie numer trzy, co było, jak zauważył z przekąsem, pewnym postępem w stosunku do ostatniej podróży. Gdy sznur aut ruszył, przypomniał sobie komentarz jednego z kierowców, że nazwy ulic w Moskwie oznaczają w gruncie rzeczy zbiory wybojów. Teraz samochód trząsał się na pustych przeważnie ulicach miasta, jadąc w kierunku wschodnim. W

pobliżu Kremla przejechali przez rzekę, a potem koło parku Gorkiego. Miejsce było dobrze oświetlone, w padającym śniegu ludzie jeździli na łyżwach. To miło zobaczyć prawdziwych ludzi przy prawdziwej zabawie. Zreflektował się, że przecież Moskwa jest miastem, w którym żyją normalni ludzie z normalnymi problemami. Łatwo się o tym zapominało, gdy praca zmuszała do zajmowania się małą grupą przeciwników.

Samochód wyjechał z placu Oktiabrskiego i po skomplikowanym manewrowaniu zatrzymał się przed hotelem Akademii Nauk. Był to rzekomo nowoczesny budynek, który w Ameryce uchodziłby za biurowiec. Smutne pasmo brzoź oddzielało szarą, betonową ścianę od ulicy, a ich nagie, martwe gałęzie wyciągały się ku upstrzonemu gwiazdami niebu. Ryan pokręcił

głową. Jeszcze kilka godzin opadów i mogłaby to być piękna scena. Temperatura około zera —

Fahrenheita oczywiście — i prawie nie czuć wiatru. Wspaniałe warunki na śnieg. Wchodząc do hotelu, czuł wokół siebie ciężkie, zimne powietrze.

Budynek, jak większość gmachów w tym kraju, był nadmiernie ogrzewany. Jack zdjął

plaszcz i podał go szatniarzowi. Delegacja radziecka ustawiła się już w szeregu, by witać swych amerykańskich partnerów. Amerykanie posuwali się wzdłuż tej linii, docierając w końcu do stołu z drinkami, z których każdy korzystał. Do właściwej kolacji pozostało jeszcze półtorej godziny, którą wypełniało picie i towarzyskie rozmowy. Witamy w Moskwie. Ryanowi podobał się taki pomysł. Odpowiednia ilość alkoholu może sprawić, że każdy posiłek smakować będzie wyśmienicie, on zaś miał dopiero próbować lepszej niż zwykle kuchni rosyjskiej. Sala była słabo oświetlona, co pozwalało zebranym patrzeć przez olbrzymie tafle okien na padający śnieg.

— Witam ponownie, doktorze — usłyszał znajomy głos.

— Siergieju Nikołajewiczu, mam nadzieję, że nie siądzie pan dzisiaj za kierownicą. —

Jack wskazał swym kieliszkiem z winem trzymaną przez Gołówkę wódkę. Policzki były już zaczerwienione, a niebieskie oczy błyszczały po alkoholu.

— Jak się panu wczoraj leciało? — zapytał pułkownik GRU i zanim Ryan zdążył odpowiedzieć, roześmiał się wesoło. — Nadal boi się pan latania?

— Nie, boję się uderzenia w ziemię — uśmiechnął się Jack. Żartowanie ze swego przysłowiowego już lęku przychodziło mu z łatwością.

— No tak, te pańskie kłopoty z plecami po wypadku śmigłowca. Należy tylko współczuć.

Ryan wskazał na okno. — Ile jeszcze śniegu dziś spadnie?

— Może pół metra, może więcej. To nie jest wielka śnieżycza, ale jutro powietrze będzie świeże i czyste, a miasto skrzyć się będzie białą kołdrą śniegu. — Gołówko był w swym opisie niemal poetą.

Już jest pijany — pomyślał Ryan. Cóż, dziś wieczór miało być tylko przyjęcie, nic więcej, Rosjanie zaś potrafili być cholernie gościnni, jeżeli tylko chcieli. Chociaż, pewien człowiek doświadczał czegoś zupełnie innego — przypomniał sobie Jack.

— W rodzinie wszystko w porządku? — zapytał Gołówko tak, że usłyszał go inny z amerykańskich delegatów.

— Tak. A u pana?

Gołówko kiwnął na Ryana, by poszedł z nim do stołu z drinkami. Kelnerzy jeszcze się nie pojawili. Radziecki oficer wziął następny kieliszek kryształowego napoju. — Wszyscy czują się dobrze. — Siergiej uśmiechnął się szeroko: wyglądał teraz jak typowy rosyjski brat-łata. Jego twarz nie zmieniła się ani trochę, gdy wypowiadał następne zdanie: — Rozumiem, że chce się pan spotkać z przewodniczącym Gierasimowem.

Chryste! Jack czuł swój przyklejony do twarzy uśmiech, a serce w nim zamarło. —

Doprawdy skąd to panu przyszło do głowy?

— Tak naprawdę, Ryan, to nie jestem z GRU. Mój przydział pierwotny to Zarząd Trzeci, ale teraz zajmuję się innymi sprawami — wyjaśnił tamten i znowu się roześmiał. Tym razem śmiech był szczerzy. Właśnie unieważnił prawdziwość swoich akt w CIA, a także obserwacje samego Ryana. Poklepał go po ramieniu. — Teraz pana zostawię. Za pięć minut wyjdzie pan przez te drzwi

znajdujące się za panem, a potem na lewo, jakby szukał pan toalety. Później otrzyma pan dalsze instrukcje. Jasne? — Znów poklepał Ryana po ramieniu.

— Tak.

— Dziś już się nie zobaczymy. — Podali sobie ręce i Gołowko odszedł.

Cholera — wymamrotał Ryan. Do sali przyjęć wszedł zespół skrzypków. Było ich dziesięciu czy piętnastu. Krążąc wśród gości grali cygańskie melodie. Musieli dobrze to przećwiczyć — pomyślał Jack — żeby grać w tak doskonałej synchronizacji mimo ciemnego pomieszczenia i poruszania się bez planu po sali. Ich ustawiczne przemieszczania się oraz względna ciemność nie pozwalały rozróżnić poszczególnych osób w czasie przyjęcia. Było to sprytne, zawodowe pociągnięcie mające umożliwić Jackowi łatwiejsze wymknięcie się.

— Witam, panie doktorze — odezwał się ktoś. Był to młody dyplomata radziecki, taki

„chłopiec na posyłki”, który prowadził notatki i załatwiał sprawy starszych urzędników. Teraz Jack wiedział, że był to także człowiek KGB. A więc Gierasimow nie zadowolili się jedną niespodzianką tego wieczoru. Chciał oszołomić Ryana sprawnością swojej instytucji. To się zobaczy — pomyślał Ryan, ale ta zuchowatość wydała się sztuczna nawet jemu samemu. Za szybko. Za szybko.

— Dobry wieczór, jeszcze się nie znamy. — Jack sięgnął do kieszeni spodni i wyczuł tam łańcuszek do kluczy. Nie zapomniał go.

— Nazywam się Witalij. Nikt nie zauważy pańskiej nieobecności. Toaleta męska znajduje się tam. — Wskazał kierunek. Jack oddał szklankę i podszedł do drzwi. Po drugiej stronie stanął

jak wryty. Obecni w sali na pewno nie domyślali się, że z korytarza usunięto wszystkich, z wyjątkiem jednego tylko człowieka stojącego w drugim końcu. Skinął on na Ryana, by ku niemu podszedł.

O kurwa, zaczęło się...

Był to młody człowiek, tuż po trzydziestce. Wyglądało na to, że jego głównym atutem były mięśnie: chociaż budowę ciała maskował płaszcz, szybkie, celowe ruchy wskazywały na typ sportowca. Po wyrazie twarzy i świdrujących oczach można było rozpoznać ochroniarza.

Ryanowi przyszło do głowy, że powinien wyglądać na zdenerwowanego. Nie trzeba było do tego zbytniego talentu. Za rogiem mężczyzna podał mu płaszcz i futrzaną czapkę, a potem rzekł jedno tylko słowo:

— Idziemy.

Wyprowadził Ryana korytarzem dla obsługi na zewnątrz, w zimne powietrze uliczki.

Czekał tam inny mężczyzna — obserwator. Skinął krótko towarzyszowi Ryana, który obrócił się i machnął na Jacka, żeby się pospieszył. Uliczka wychodziła na Szabołowkę i teraz obaj skręcili w prawo. Jack spostrzegł od razu, że znajdują się w starej części miasta. Większość budynków pochodziła sprzed rewolucji. Środkiem brukowanej jezdni biegły tory tramwajowe, a nad nimi trakcja. Obok przejechał tramwaj — właściwie były to dwa szczipione ze sobą wagony, pomalowane na biało i czerwono. Przebiegli przez śliską ulicę ku budynkowi z czerwonej cegły, pokrytemu czymś, co wyglądało jak metalowy dach. Ryan nie wiedział, co to jest, dopóki nie skręcili za róg.

Zajezdnia tramwajowa — przypomniał sobie podobny budynek z czasów dzieciństwa w Baltimore. Zakręcały tu tory, a później rozchodziły się do poszczególnych stanowisk w zajezdni.

Zatrzymał się na chwilę, ale jego towarzysz ruchem ręki nakazał mu pośpiech, idąc ku lewemu stanowisku na samym skraju. Wewnątrz tramwaje stały jak bydło śpiące w ciemności. Panowała zupełna cisza — skonstatował ze zdziwieniem. Powinni tu pracować ludzie, powinny huczeć młoty i obrabiarki, było jednak całkiem cicho i pusto. Serce mu waliło, gdy szedł wzdłuż dwóch nieruchomych wagonów. Towarzyszący mu człowiek zatrzymał się przy trzecim. Z otwartych drzwi wyszedł kolejny ochroniarz i spojrzał na Ryana. Natychmiast sprawnie przebiegł dłońmi po ubraniu Jacka w poszukiwaniu broni. Nie znalazłszy niczego ruchem kciuka polecił mu wejść po schodkach do wnętrza wagonu.

Ten chyba niedawno powrócił, bo na pierwszym stopniu był jeszcze śnieg. Ryan pośliznął

się i byłby upadł, gdyby jeden z ludzi KGB nie chwycił go pod ramię. Jego spojrzeniu towarzyszyłby na Zachodzie uśmiech, ale Rosjanie nie należą do tych, co się uśmiechają bez szczególnego powodu. Znowu ruszył w górę, mocno trzymając się poręczy. Musisz tylko...

— Dobry wieczór — odezwał się jakiś głos, nie za głośno, ale nie było to konieczne.

Ryan rzucił ukradkowe spojrzenie w ciemność i dostrzegł jarzący się pomarańczowy punkcik papierosa. Zaczepnął tchu i poszedł w tym kierunku.

— Przewodniczący Gierasimow, jak sądzę?

— Pan mnie nie poznaje? — Cień zdziwienia w głosie. Tamten zapalił gazową zapalniczkę, oświetlając swą twarz. Był to Nikołaj Borysowicz Gierasimow. Płomień nadał jego twarzy właściwy wygląd. Książę Ciemności we własnej osobie...

— Teraz tak — odpowiedział Jack, starając się zapanować nad głosem.

— Rozumiem, że chciał pan ze mną mówić. Czym mogę służyć? — zapytał niezwykle uprzejmym głosem, który przeczył okolicznościom.

Jack obrócił się i wskazał dwóch ochroniarzy, stojących przed wagonem. Nie musiał nic mówić. Gierasimow rzucił coś po rosyjsku i obaj odeszli.

— Proszę im wybaczyć, ale ich zadaniem jest ochrona przewodniczącego, a moi ludzie traktują swe obowiązki poważnie. — Wskazał miejsce naprzeciw siebie i Ryan usiadł.

— Nie wiedziałem, że tak dobrze mówi pan po angielsku.

— Dziękuję. — Uprzejme kiwnięcie głową, zaraz potem rzeczowa uwaga: —

Uprzedzam, że jest mało czasu. Czy ma pan dla mnie informację?

— Tak, mam. — Jack sięgnął do kieszeni płaszcza. Gierasimow na moment zeszywniał, ale potem odprężył się. Tylko szalenic chciałby zabić szefa KGB, wiedział zaś z dossier Ryana, że nie jest on szalony. — Mam tu coś dla pana — powiedział Ryan.

— Ach tak? — Niecierpliwość. Gierasimow nie lubił czekać. Patrzył na powoli poruszające się ręce Ryana. Zdziwił go dźwięk metalu ocierającego się o metal. Niezręczność Jacka znikła wraz z odczepieniem klucza z kółka. Teraz głos jego zabrzmiał jakby zgarniał

przeciwnikowi pulę sprzed nosa.

— Proszę — podał klucz Ryan.

— Co to? — Teraz podejrzenie. Coś tu było nie w porządku, tak bardzo, że aż dało się poznać po głosie.

Jack nie kazał mu czekać. Przemówił w sposób, który ćwiczył już od tygodnia. Nie zdając sobie z tego sprawy, mówił szybciej, niż zamierzał. — Panie przewodniczący, to jest klucz do odpalania rakiet z radzieckiego okrętu podwodnego „Czerwony Październik”. Dał mi go, po swej ucieczce, kapitan Marko Aleksandrowicz Ramius. Ucieszy się pan słysząc, że zarówno jemu, jak i wszystkim jego oficerom podoba się nowe życie w Ameryce.

— Okręt został...

Ryan mu przerwał. Przy tym świetle trudno było dostrzec zarys twarzy Gierasimowa, dostrzegł jednak wyraźnie zmieniony jej wyraz.

— ...zniszczony przez własne ładunki zatapiające? Nie. Ten agent na pokładzie, pod przykrywką okrętowego kuka, nazywał się chyba Sudets — cóż, nie ma co ukrywać. Zabiłem go.

Nie jestem z tego bardzo dumny, ale nie miałem innego wyjścia — albo ja, albo on. Muszę przyznać, że był to bardzo odważny młody człowiek — powiedział Jack, przypominając sobie owe dziesięć strasznych minut w przedziale rakietowym okrętu. — Moje akta u was nic nie wspominają o działalności operacyjnej, prawda?

— Ale...

Jack znowu mu przerwał. Nie pora teraz na delikatność. Trzeba było nim potrząsnąć, i to mocno potrząsnąć.

— Panie Gierasimow, chcemy od pana paru rzeczy.

— Bzdura. Nasza rozmowa jest zakończona. — Ale Gierasimow nie wstawał i tym razem Ryan przez chwilę trzymał go w niepewności.

— Chcemy pułkownika Filitowa. Pański oficjalny meldunek dla Biura Politycznego na temat „Czerwonego Października” stwierdzał, że okręt z całą pewnością uległ zniszczeniu i że prawdopodobnie nigdy nie planowano ucieczki, raczej natomiast przeniknięto w szeregi GRU i okręt otrzymał fałszywe rozkazy, kiedy dokonano sabotażu uszkadzając jego napęd. Takie informacje otrzymał pan za pośrednictwem agenta „Kasjusza”. Pracuje on także dla nas —

wyjaśnił Jack. — Posłużył się pan tym do usunięcia admirała Gorszkowa i do wzmocnienia swej kontroli nad wewnętrzną służbą bezpieczeństwa armii. Ciągłe są wściekli z tego powodu, prawda? A więc jeżeli nie dostaniemy pułkownika Filitowa, w przyszłym tygodniu w Waszyngtonie ta historia dostanie się do prasy i znajdzie się w wydaniach niedzielnych. Będzie tam parę szczegółów całej operacji, zdjęcie okrętu w ukrytym suchym doku w Norfolk, w Wirginii. Potem ujawnimy kapitana Ramiusa. Powie, że oficer polityczny okrętu, zdaje się, że z waszego Zarządu Trzeciego, także należał do spisku. Niestety, Putin zmarł po przyjeździe na atak serca. To kłamstwo, ale proszę to udowodnić.

— Ryan, nie możecie mnie szantażować! — Teraz nie było w głosie żadnej emocji.

— I jeszcze jedno. Inicjatywa Obrony Strategicznej nie będzie przedmiotem rokowań.

Czy powiedział pan Biuru Politycznemu coś innego? — zapytał Jack. — Panie Gierasimow, jest pan skończony. Mamy możliwość wtrącić pana w niełaskę, a jest pan zbyt dobrym celem, by odmówić sobie przyjemności trafienia. Jeżeli nie dostaniemy Filitowa, rozpowiemy różne rzeczy.

Niektóre będą miały potwierdzenie, ale tym najważniejszym oczywiście zaprzeczymy, FBI natomiast rozpocznie pilne śledztwo mające ujawnić źródła przecieków.

— Nie zrobiliście tego wszystkiego tylko ze względu na Filitowa — powiedział

Gierasimow, tym razem już ostrożnie.

— Nie całkiem. — Znowu kazał mu przez sekundę czekać: — Chcemy, żeby przeszedł

pan do nas.

W pięć minut później Jack opuścił wagon tramwaju. Jego towarzysz odprowadził go do hotelu. Dbalność o szczegóły robiła wrażenie: przed powrotem na salę przyjęć buty Jacka wytarto do sucha. Kiedy się tam znalazł, natychmiast podszedł do stołu z napojami, ale nic już nie było.

Spostrzegł kelnera z tacą i złapał pierwszy z brzegu kieliszek. Była to wódka, ale pochłonął ją jednym łykiem i sięgnął po następną. Kiedy ją wypił, zaczął zastanawiać się, gdzie naprawdę jest męska toaleta. Okazało się, że tam, gdzie mu ją uprzednio wskazano. Dotarł do niej w ostatniej chwili.

Wszystko było dopięte na ostatni guzik, jak to zawsze bywa przy symulacjach komputerowych. W taki sposób nigdy jeszcze żadnej nie przeprowadzono, ale o to właśnie chodziło w tej próbie. Komputer kontroli naziemnej nie wiedział co robi, podobnie jak pozostałe.

Jedną z maszyn zaprogramowano tak, by informowała o seriach odległych ech radarowych.

Miała po prostu odbierać sygnały przypominające sygnały pochodzące z satelity „Latająca Chmura”, a przekazywane za pośrednictwem jednego z satelitów systemu ostrzegania DSP, znajdującego się na orbicie geosynchronicznej. Komputer transmitował te informacje do komputera kontroli naziemnej, który sprawdzał kryteria do przełączenia systemu w położenie bojowe i decydował czy zostały one spełnione. Włączenie zasilania laserów zabierało kilka sekund i dopiero wtedy otrzymywano potwierdzenie gotowości. Fakt, że lasery nie istniały, był w tej próbie nieistotny. Istniało wszakże zwierciadło naziemne, które reagowało na polecenia komputera, wysyłając ową wyobrażoną wiązkę światła do zwierciadła pośredniego umieszczonego na wysokości ośmiuset kilometrów. Zwierciadło to, zamontowane uprzednio na promie kosmicznym, a obecnie znajdujące się w Kalifornii, otrzymywało polecenia i zmieniało odpowiednio swe ukształtowanie, przesyłając wiązkę laserową do zwierciadła bojowego. To ostatnie mieściło się w zakładach Lockheed, a nie na orbicie i polecenia przychodziły tam za pośrednictwem łącz naziemnych. W odniesieniu do wszystkich trzech zwierciadeł prowadzono dokładny zapis stale zmieniających się ogniskowych i ustawień kierunkowych; dane te przesyłane były do komputera zliczającego w centrum kontroli KLIPER HERBACIANY.

Próba, którą kilka tygodni temu obserwował Ryan, miała kilka celów. Oprócz potwierdzenia działania systemu otrzymano także bezcenne dane empiryczne dotyczące rzeczywistych właściwości operacyjnych urządzeń. Dzięki temu można było przeprowadzić symulację naziemną niemal całkowicie polegając na wyliczeniach teoretycznych.

Gregory bawił się długopisem, który przed chwilą przestał żuć, by nie nałykać się tuszu, i obserwował dane pojawiające się na monitorze.

— No, już ostatnie odpalenie — powiedział jeden z techników. — Teraz mamy wynik...

— A niech to! — wykrzyknął Gregory. — Dziewięćdziesiąt sześć na sto! Jaki jest czas pełnego cyklu?

— Zero przecinek zero jeden sześć — odpowiedział specjalista od programów. — To znaczy o zero przecinek zero zero cztery poniżej zakładanego, możemy więc sprawdzić raz jeszcze każdą komendę naprowadzania na cel w czasie cyklu uzbrajania lasera...

— Co podnosi moc szczytową o trzydzieści procent — stwierdził Gregory. —

Moglibyśmy nawet spróbować procedury „pal — patrz — pal” zamiast „pal — pal — patrz”, i to jeszcze z zapasem czasu. Ludzie! — krzyknął, skacząc na równe nogi. — Udało się!

Załadowaliśmy program do tej pieprzonej maszyny! — I to o cztery miesiące wcześniej!

W pokoju rozległy się okrzyki, których prawdopodobnie nie zrozumiałby nikt spoza tej trzydziestoosobowej grupy.

— No dobra, wy laserowe dupki! — zawołał ktoś. — Teraz zbierzcie się do kupy i zróbcie nam promienie śmierci! Celownik jest już gotowy!

— Bądźcie mili dla laserowych dupków — roześmiał się Gregory — bo ja też z nimi pracuję.

Wybuch radości usłyszała Beatrice Taussig przechodząc korytarzem obok tych drzwi na jakieś zebranie pionu administracyjnego. Nie mogła wejść do laboratorium — był tam zamek szyfrowy, którego kombinacji nie знаła — ale dobiegające ją odgłosy nie pozostawiały wątpliwości. Przeprowadzono eksperyment, o którym oboje napomknęli w czasie kolacji zeszłego wieczoru, i to najwyraźniej pomyślnie. Jest tam Candi, i prawdopodobnie stoi obok tej pokraki — pomyślała Bea i poszła dalej.

— Dzięki Bogu, nie ma dużo lodu — rzucił Mancuso, patrząc przez peryskop. —

Powiedzmy, jakieś pół metra, może metr.

— Tu będzie oczyszczone przejście — powiedział Ramius — przybrzeżne lodołamacze umożliwiają podejścia do wszystkich portów.

— Peryskop w dół! — rozkazał kapitan. Potem podszedł do stołu nawigacyjnego. —

Idziemy dwa tysiące metrów na południe, a potem siadamy na dnie. W ten sposób będziemy mieli nad sobą dach, który ukryje nas przed tymi Griszami i Mirkami.

— Tak jest, panie kapitanie — potwierdził zastępca dowódcy.

— Chodźmy na kawę — zwrócił się Mancuso do Ramiusa i Clarka. Zeszli o jeden poziom niżej, a potem do mesy oficerskiej na prawej burcie. Mimo że w ciągu ostatnich czterech lat Mancuso wykonywał kilkakrotnie podobne manewry, tym razem był zdenerwowany.

Znajdowali się na głębokości mniejszej niż sześćdziesiąt metrów, w zasięgu widzialności z radzieckiego brzegu. Gdyby jakiś okręt radziecki wykrył ich i zlokalizował, zostaliby zaatakowani. To się już zdarzało. Chociaż żaden zachodni okręt podwodny nie został naprawdę uszkodzony, kiedyś musi przyjść ten pierwszy raz — myślał kapitan USS „Dallas” —

szczególnie gdy zaczyna się być zbyt pewnym siebie. Pół metra lodu to za dużo, by mogły się przezeń przebić okręty patrolowe klasy Grisza o nie wzmocnionych kadłubach. Ich główne uzbrojenie przeciwpodwodne, wielolufowa wyrzutnia torped raketowych typu RBU-6000 była nieprzydatna na lodzie, ale Grisza mógł wezwać okręt podwodny, których parę kręciło się w pobliżu. Dwa słyszeli wczoraj.

— Kawy, panie kapitanie? — zapytał steward, a otrzymawszy potwierdzające kiwnięcie głową, wyciągnął dzbanek i filiżanki.

— Jest pan pewien, że to wystarczająco blisko? — spytał Clarka Mancuso.

— Tak, dostanę się tam i z powrotem.

— To nie będzie zbyt zabawne — zauważył kapitan.

— Dlatego tak dużo mi płacą. Jestem...

Umilkli na chwilę. Osiadający na dnie kadłub zgrzytnął i okręt lekko się przechylił.

Mancuso spojrział na poziom kawy w filiżance i ocenił przechył na sześć do siedmiu stopni.

Podwodniacka duma nie pozwoliła mu okazać po sobie niczego, ale dotąd jeszcze nie wykonywał czegoś podobnego, w każdym razie nie na „Dallas”. Było kilka okrętów podwodnych Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych specjalnie przystosowanych do takich zadań.

Znawcy rozpoznawali je na pierwszy rzut oka po rozmieszczeniu pewnych elementów wyposażenia na kadłubie. „Dallas” nie należał jednak do owych jednostek.

— Ciekaw jestem, jak długo to potrwa? — rzucił od niechcienia Mancuso.

— Może nic z tego nie być — odrzekł Clark. — Prawie połowa tych zadań nie wypala.

Pamiętam, jak siedziałem kiedyś w ten sposób przez... dwanaście dni. Czas dłużył się okrutnie.

A w końcu nic z tego nie wyszło.

— Ile razy się nie udało? — zapytał Ramius.

— Przykro mi, panie kapitanie. Nie wolno mi — pokręcił głową Clark.

— Wiecie, kiedy byłem chłopcem — odezwał się z zadumą Ramius — wiele razy łowiłem tu ryby, właśnie tu. Nie wiedzieliśmy, że wy, Amerykanie też przyprawiacie tutaj na ryby.

— To zwariowany świat — przytaknął Clark. — Jak się tu łowiło?

— W lecie bardzo dobrze. Stary Sasza zabierał mnie swoją łodzią. Tu właśnie uczyłem się morzą, uczyłem się być marynarzem.

— A co z miejscowymi patrolami? — zapytał Mancuso, sprowadzając zebranych na ziemię.

— Stan gotowości normalny. W Moskwie są teraz wasi dyplomaci, jest więc mała szansa wybuchu wojny. Okręty patrolowe na powierzchni to głównie KGB. Ochrona przed przemytnikami... i szpiegami. — Tu wskazał na Clarka. — Niezbyt dobra przeciwko okrętom podwodnym, ale to się już zmieniało, kiedy stąd wypływałem. Zwiększano działalność przeciwpodwodną we Flocie Północnej i, jak słyszałem, we Flocie Bałtyckiej. Lecz to złe miejsce na wykrycie podwodniaka. Dużo tu słodkiej wody z rzek i lód nad nami — wszystko to utrudnia działanie sonarów.

Miło słyszeć — ucieszył się w duchu Mancuso. Na okręcie wprowadzono stan podwyższonej gotowości bojowej. Urządzenia hydroakustyczne były w pełni obsadzone, i tak miało pozostać aż do odwołania. „Dallas” mógł ruszyć w ciągu dwóch minut. Powinno wystarczyć — pomyślał.

Gierasimow też myślał. Był sam w gabinecie. Jak przystało na człowieka, który panował

nad emocjami bardziej niż większość Rosjan, jego twarz nie wyrażała niczego szczególnego, mimo że w pobliżu nie było nikogo, kto by na niego patrzył. U większości ludzi byłoby to zachowanie godne uwagi, tylko nieliczni bowiem są w stanie obiektywnie rozważać własną zgubę.

Przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego oceniał swą sytuację równie dokładnie i beznamytnie, jak rozmaite aspekty zadań służbowych. „Czerwony Październik”. Od tego się wszystko zaczęło. Wykorzystał wtedy tę sprawę najpierw do przekupienia Gorszkowa, a następnie do pozbycia się go. Posłużyła mu również do wzmocnienia pozycji swojego Zarządu Trzeciego. Wojskowi rozwinęli własną służbę bezpieczeństwa, ale Gierasimow, korzystając z informacji agenta „Kasjusza”, przekonał Biuro Polityczne, że tylko KGB może zapewnić lojalność i bezpieczeństwo Armii Radzieckiej. Ściągnął tym na siebie niechęć. Zameldował, także na podstawie danych dostarczonych przez „Kasjusza”, że „Czerwony Październik” został

zniszczony. „Kasjusz” doniósł KGB, że Ryana czeka postępowanie karne, no i...

No i wpadliśmy — ja wpadłem! — w pułapkę.

Jak zdołałby to wyjaśnić Biuru Politycznemu? Jeden z jego najlepszych agentów został

przeciągnięty na drugą stronę — ale kiedy? Zapytano by go o to, a on nie znał odpowiedzi. Tym samym wszystkie meldunki „Kasjusza” stałyby się podejrzane. Mimo że otrzymano od tego agenta wiele cennych informacji, świadomość, że nie wiadomo kiedy zaczął pracować dla wroga, poddawała w wątpliwość ich wartość. A to przekreślało całe wyczucie zachodniej myśli politycznej, którym Gierasimow tak się chełpił.

Twierdził, że okręt podwodny nie został uprowadzony, i nie wykrył tego błędu.

Amerykanom trafiła się wywiadowcza gratka, a KGB o tym nie wiedziało. GRU też nie, ale to niewielka pociecha.

Zameldował również o poważnej zmianie w amerykańskiej strategii rozmów rozbrojeniowych, i tu także się mylił.

Czy uda mi się przetrzymać ujawnienie tych trzech spraw naraz? — zastanawiał się Gierasimow.

Prawdopodobnie nie.

W innych czasach pozostałaby mu tylko śmierć, co znacznie ułatwiłoby decyzję. Nikt jednak nie wybiera śmierci, w każdym razie nikt będący przy zdrowych zmysłach, a Gierasimow we wszystkim, co robił, kierował się zimnym rozsądkiem. Teraz nie trzeba już wybierać takiego wyjścia. Wyląduje gdzieś na pozaministerialnej posiadce, będzie przekładał papierki. Jego kontakty z KGB staną się bezużyteczne, poza tak nieznaczącymi korzyściami, jak dostęp do porządnie zaopatrzonych sklepów. Ludzie będą na niego patrzeć na ulicy, nie bojąc się spojrzeć mu w twarz, nie bojąc się jego władzy, będą go pokazywać palcami i za plecami śmiać się z niego. W biurze powoli przestaną mu okazywać szacunek, będą się odszczekiwać, a nawet podnosić nań głos, gdy tylko się przekonają, że jego potęga minęła raz na zawsze. Nie —

powiedział do siebie — tego nie wytrzymam.

A więc uciekać? Spaść z pozycji jednego z najpotężniejszych ludzi świata do pozycji najemnika, żebraka, który sprzedał to, co wiedział, za pieniądze i wygodne życie? Gierasimow godził się na to, żeby jego życie stało się wygodniejsze w sensie fizycznym — ale utrata władzy!

O to w końcu chodziło. Wyjedzie czy zostanie — i tak będzie już tylko zwykłym człowiekiem... to by się równało śmierci, prawda?

No i co teraz zrobisz?

Musiał zmienić swoją pozycję, zmienić reguły tej gry, zrobić coś tak dramatycznego...

ale co?

Czy miał wybierać między upadkiem a ucieczką? Utracić wszystko, na co pracował — o krok przed osiągnięciem celu — i stanąć wobec takiego wyboru?

Związek Radziecki nie jest krajem hazardzistów. Jego strategia narodowa zawsze odzwierciedlała raczej rosyjskie upodobanie do szachów: ciąg wyważonych, zaplanowanych ruchów, nie za wiele ryzyka, bronienie swej pozycji przez wyszukiwanie małych, zyskownych posunięć wszędzie tam, gdzie to tylko możliwe. Biuro Polityczne niemal zawsze tak właśnie działało. W przeważającej większości składało się z podobnych sobie ludzi. Ponad połowa z nich to aparatczyki, wypowiadający właściwe słowa, tworzący niezbędne gremia, korzystający z osiągalnych przywilejów, pnący się w górę dzięki powściągliwości okazywanej najdoskonalej wokół

kremłowskiego stołu. Ich zadaniem było wywieranie łagodzącego wpływu na tych, którzy aspirowali do władzy — a ci byli hazardzistami. Hazardzistą był Narmonow, był też nim i Gierasimow. Rozgrywał swą własną grę, sprzymierzając się z Aleksandrowem, by zyskać poparcie ideologiczne i szantażem zmuszając Waniejewa i Jazowa, by zdradzili swego mistrza.

Ta gra była zbyt piękna, żeby się z niej tak łatwo wycofać. Musiał znowu zmienić jej reguły, chociaż w gruncie rzeczy nie obowiązywały tu żadne zasady oprócz jednej: WYGRAĆ.

Gdyby wygrał, jego potknięcia nie miałyby znaczenia, prawda?

Gierasimow wyciągnął z kieszeni klucz i po raz pierwszy obejrzał go w świetle lampy na biurku. Wyglądał zwyczajnie. Użyty tak, jak zaplanowano, spowodowałby śmierć...

Pięćdziesięciu milionów? Stu milionów? Jeszcze więcej? Ludzie Zarządu Trzeciego na okrętach podwodnych i w pułkach raketowych mieli taką władzę. Tylko zampolit, oficer polityczny, miał

prawo uzbroić głowice, bez których rakiety były jedynie sztucznymi ogniami. Wiedział, że przekręcenie tego klucza w odpowiedni sposób i w odpowiednim czasie przeobrazi rakiety w najbardziej przerażające narzędzia śmierci, jakie wymyślił umysł człowieka. Po odpaleniu nic już ich nie mogło zatrzymać...

Ale ta zasada też miała się przecież zmienić, pamiętasz?

Czy warto być człowiekiem, który potrafiłby to zrobić?

Taak — uśmiechnął się Gierasimow. To warte więcej, niż wszystkie inne zasady razem wzięte. Przypomniał sobie, że Amerykanie także złamali zasadę, zabijając swego łącznika na przyfabrycznej stacji rozrządowej. Podniósł słuchawkę i wezwał oficera łączności. Chociaż raz różnica w długościach geograficznych działała na jego korzyść.

Dr Taussig zdziwiła się, zobaczywszy znak. Wiedziała, że Anna nigdy nie zmienia przyjętego rozkładu dnia. Poza tym, że pod wpływem impulsu odwiedziła prowadzącą ją agentkę, Bea zachowywała się zgodnie z planem, czyli jak co sobota udała się do centrum handlowego. Zaparkowała swego Datsuna dość daleko, żeby jakiś głupek w Chevrolecie Malibu nie walnął w niego drzwiami. Idąc w kierunku centrum zobaczyła Volvo Anny: osłona przeciwsłoneczna od strony kierowcy była opuszczona. Taussig spojrzała na zegarek i przyspieszyła kroku. Weszła do środka i skręciła w lewo.

Peggy Jennings była dziś sama na służbie. Za mało ich było, by wykonać robotę tak szybko, jak tego chciał Waszyngton, ale w końcu to przecież żadna nowość. Otoczenie miało zarówno dobre jak i złe strony. Śledzenie obiektu do pasażu handlowego nie nastęrczało większych trudności, w środku natomiast było prawie niemożliwością, jeśli nie robił tego cały zespół agentów. Dotarła do drzwi zaledwie w minutę po wejściu Taussig, z góry wiedząc, że już ją zgubiła. Cóż, ostatecznie to tylko rozpoznanie wstępne. Rutynowe, powiedziała sobie Jennings, otwierając drzwi.

Rozejrzała się po pasażu, ale nigdzie nie dostrzegła tej, której szukała. Zmarszczyła lekko brwi, a potem ruszyła wolno od sklepu do sklepu, wpatrując się na wystawy i zastanawiając, czy Taussig nie poszła czasem do kina.

— Witaj, Anno!

— Bea! Co u ciebie? — odpowiedziała napotkana w „Listkach Ewy” Bisiarina.

— Stale zajęta. Świetnie w tym wyglądasz — skomplementowała ją dr Taussig.

— Na nią wszystko pasuje — dorzuciła właścicielka sklepu.

— Takiej to dobrze — zgodziła się ponuro Bea. Zdjęła kostium z najbliższego wieszaka i podeszła do lustra. Prosty krój harmonizował z dzisiejszym nastrojem. — Czy mogę przymierzyć?

— Oczywiście — odpowiedziała natychmiast właścicielka. Ten komplet kosztował trzysta dolarów.

— Pomóc ci? — zapytała Anna.

— Jasne. Przy okazji opowiesz mi, co porabiasz. — Obie ruszyły do przymierzalni.

W środku gawędziły o sprawach codziennych, niewiele różniących się od tematów poruszanych przez mężczyzn. Bisiarina wyciągnęła skrawek papieru. Taussig przeczytała go i na chwilę straciła wątek rozmowy, po czym skinęła głową na znak, że się zgadza. Na jej twarzy odmalował się najpierw szok, potem przyzwolenie, wreszcie przybrała ona wyraz, którego Bisiarina wcale nie lubiła. Ale KGB nie płaciło jej za to, żeby lubiła swoją robotę.

Kostium leżał dobrze, jak zauważyła właścicielka, gdy obie znowu się pojawiły. Taussig zapłaciła, jak większość klientów, kartą kredytową. Anna pomachała jej i wyszła. Przeszła obok sklepu z bronią i opuściła pasaż.

W parę minut później Jennings zobaczyła, że kobieta, którą śledziła, wychodzi ze sklepu niosąc plastikową torbę z zakupem. Więc o to chodziło — powiedziała sobie. — Tamtego wieczora miała jakieś kłopoty, i żeby poprawić samopoczucie, ruszyła na zakupy i sprawiła sobie jakiś ciuch. Jennings śledziła ją jeszcze przez godzinę, a potem przerwała obserwację. Nie było tu nic ciekawego.

— Ma cholernie zimną krew — powiedział Ryan do Candelii. — Nie spodziewałem się, że rzuci mi się w ramiona i podziękuje za propozycję, spodziewałem się jednak jakiejś reakcji!

— No cóż, jeżeli połknie haczyk, szybko się pan o tym dowie.

— O tak.

Pierwsze rozdanie

Łucznik próbował przekonać samego siebie, że pogoda nie jest niczym sprzymierzeńcem, ale najwyraźniej było inaczej. Rozciągało się nad nimi przejrzyste niebo, a zimny wiatr dmuchał z północnego wschodu, znad centrum mroźnej Syberii, Łucznikowi zaś bardziej odpowiadałyby chmury. Teraz mogli posuwać się tylko po ciemku, co spowalniało tempo marszu. Im dłużej przebywali tu, na terytorium radzieckim, tym bardziej narażali się na wykrycie, a gdyby ich wykryto...

Nie warto nad tym rozmyślać. Uniósłszy głowę, obserwował pojazdy opancerzone, przejeżdżające drogą na Dangarę. W pobliżu stacjonował co najmniej batalion, jeżeli nie cały pułk zmechanizowany, który nieustannie patrolował drogi i przejścia. Jego oddział, jak na warunki partyzanckie, był duży i silny, ale gdyby stanęli wobec rosyjskiego pułku i to na obcej ziemi... tylko sam Allah mógł ich ocalić. A może i On by nie mógł? — pomyślał Łucznik i zaraz skarcił się za niewypowiedziane bluźnierstwo.

Jego syn znajdował się niedaleko, prawdopodobnie w odległości mniejszej od tej, którą pokonali przybywając tu — ale gdzie? W jakimś miejscu, którego nie odnajdzie. Był tego pewien. Łucznik już dawno porzucił nadzieję. Syn zostanie wychowany przez obcych, niewiernych Rosjan — mógł się jedynie modlić, by Allah do niego dotarł, zanim będzie za późno. Kraść dzieci — to niewątpliwie najohydniejsza zbrodnia. Ograbiać je z rodziców i ich wiary... cóż, nie trzeba się nad tym zastanawiać.

Każdy z jego ludzi miał wystarczające powody, by nienawidzić Rosjan. Pozabijane lub rozproszone rodziny, zbombardowane domostwa. Ci ludzie nie wiedzieli, że tak właśnie wygląda współczesna wojna. Będąc „ludem prymitywnym” uważali, że potyczki to sprawa tylko wojowników. Ich dowódca natomiast wiedział, że przestało to być prawdą na długo przed ich urodzeniem. Nie rozumiał, dlaczego „cywilizowane” narody świata zmieniły tę rozsądną regułę; jedyne, co musiał wiedzieć to to, że już ona nie obowiązuje. Wraz z tą wiedzą przyszła świadomość, że nie wybrał tego przeznaczenia dobrowolnie. Zastanawiał się czy ktokolwiek naprawdę wybiera swój los, czy też spoczywa on w rękach potężniejszych od tych, które trzymają książkę lub karabin. Była to jednak jeszcze jedna zawila, bezużyteczna myśl, dla Łucznika i jego ludzi świat sprowadzał się bowiem do kilku prostych prawd i kilku głębokich nienawiści. Być może któregoś dnia to się zmieni, ale świat mudżahedinów ograniczał się do tego, co widzieli i odczuwali w chwili obecnej. Wykraczając poza ów świat traciło się z pola widzenia to, co istotne, a to oznaczało śmierć. Jediną wielką myślą, ożywiającą jego ludzi, była ich wiara — i ta na razie wystarczała.

Ostatni pojazd kolumny zniknął za zakrętem drogi. Łucznik pokręcił głową: na dziś miał

dość myślenia. Rosjanie, których przed chwilą obserwował, znajdowali się wewnątrz gąsienicowych

bojowych wozów piechoty BWP-1, gdzie było im ciepło i skąd niewiele widzieli, co dzieje się na zewnątrz. To właśnie powinno go zajmować. Obejrzał się na swoich ludzi, odzianych w rosyjskie ubiory maskujące i dobrze schowanych za skałami i w zagłębieniach.

Podział na dwójki umożliwiał jednemu z nich sen, podczas gdy drugi obserwował okolicę.

Łucznik spojrział w niebo i zobaczył słońce schodzące ku ziemi. Wkrótce wśliznie się za górski łańcuch i wtedy znowu ruszą na północ. Słoneczne promienie błysnęły na aluminiowym pokryciu samolotu lecącego wysoko nad ich głowami.

Siedzący przy oknie pułkownik Bondarienko patrzył w dół, na posępne szczyty.

Przypomniawszy sobie swoją krótką służbę w Afganistanie, nieskończone góry, w których nogi odmawiały posłuszeństwa, w których można było chodzić w kółko, a mimo to wydawało się, że droga prowadzi tylko pod górę. Pokręcił głową: przynajmniej to miał już za sobą. Odsłużył

swoje, posmakował walki i teraz mógł zajmować się tym, co lubił najbardziej: oceną prototypów uzbrojenia i wdrażaniem ich do produkcji. Działania zbrojne to zabawa dla młodych, a Giennadij Josifowicz był już po czterdziestce. Udowodnił, że potrafi wspinać się po górach z młodzikami i nie zamierzał tego więcej uprawiać. Teraz martwił się czymś innym.

Co się dzieje z Miszą? — zadawał sobie pytanie. Kiedy Filitow zniknął z ministerstwa, Bondarienko przypuszczał, że zachorował. Kiedy nieobecność trwała już parę dni, pomyślał, że to coś poważnego i zapytał ministra, czy pułkownik znajduje się w szpitalu. Otrzymał wówczas uspokajającą odpowiedź — lecz teraz miał wątpliwości. Odpowiedź ministra Jazowa była nieco zbyt gładka, a potem Bondarienko otrzymał rozkaz powrotu do JASNEJ GWIAZDY, by wykonać pogłębioną analizę przedsięwzięcia. Pułkownik wyczuwał, że odsunięto go na bok —

ale dlaczego? Czy miało to coś wspólnego z reakcją Jazowa na jego niewinne pytanie? No i sprawa wykrytej przez niego inwigilacji. Czy te dwie sprawy są jakoś powiązane? Związek był

tak oczywisty, że Bondarienko w ogóle nie rozważał go świadomie. To, by Misza stał się przedmiotem badania przez służbę bezpieczeństwa, było po prostu niemożliwe, a jeszcze mniej możliwe byłoby ujawnienie w wyniku śledztwa faktycznych dowodów działalności przestępczej.

Doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej Jazow wysłał Misze z jakimś ściśle tajnym zadaniem. Na pewno zdarzało się tak nie raz. Bondarienko spojrział w dół, na masywną bryłę zapory elektrowni nurieckiej. Drugi ciąg linii przesyłowych był już prawie gotowy. Zauważył to, gdy samolot wypuścił klapy i podwozie przed lądowaniem w Duszanbe. Wyszedł na płytę lotniska jako pierwszy.

— Giennadiju Josifowiczu!

— Dzień dobry, towarzyszu generale — Bondarienko nie zdołał ukryć pewnego zaskoczenia.

— Chodźcie ze mną — powiedział Pokryszkin, podnosząc dłoń do czapki w odpowiedzi na gest pułkownika. — Nie chcecie chyba jechać tym cholernym autobusem. — Kiwnął na sierżanta, by zabrał bagaż przybysza.

— Nie musieliście przyjeżdżać osobiście.

— Bzdura. — Pokryszkin poprowadził ich ku śmigłowcowi, którego wirnik już się obracał. — Kiedyś będę musiał przeczytać raport, który napisaliście. Wczoraj zjechało tu aż trzech ministrów. Teraz wszyscy rozumieją, jacy jesteśmy ważni. Zwiększono nasze fundusze o dwadzieścia pięć procent. Żebym to ja umiał napisać taki raport!

— Ale ja...

— Pułkowniku, nie chcę nic słyszeć. Poznaliście prawdę i przekazaliście ją innym.

Należycie teraz do rodziny Jasnej Gwiazdy. Chciałbym, żebyście po wypełnieniu zadań w Moskwie pomyśleli o przeniesieniu się do nas. W waszych aktach wyczytałem, że macie zdolności inżynierskie i administracyjne. Chyba nie uda mi się namówić was na mundur lotniczy?

— Towarzyszu generale, ja...

— Wiem, wiem. Jak ktoś jest żołnierzem Armii Czerwonej, to zostaje nim na zawsze. Nie będziemy mieli wam tego za złe. Poza tym pomożecie mi podkreślić tych baranów z KGB -

owskiej ochrony. Mogą się chlępić swym doświadczeniem przed uziemionym pilotem myśliwskim, ale nie wobec człowieka odznaczonego Czerwonym Sztandarem za udział w walce.

— Generał dał znak pilotowi, by startował. Bondarienko był zdziwiony, że dowódca sam nie usiadł za sterami. — Mówię wam, Giennadiju, że za kilka lat będzie to całkiem nowy rodzaj wojsk. Może „Wojska Obrony Kosmicznej”. Będziecie mieli sporo okazji do nowej działalności i awansów. Chciałbym, żebyście pomyśleli o tym poważnie. Prawdopodobnie za trzy albo cztery lata i tak zostanieie generałem, ale ja mogę zagwarantować wam więcej gwiazdek niż wojska lądowe.

— Póki co jednak... — Pomyśli o tym, ale nie w śmigłowcu.

— Przyglądamy się amerykańskim planom zwierciadeł i komputerów używanych przez Amerykanów. Szef naszej grupy od zwierciadeł uważa, że może zastosować ich opracowania do naszego sprzętu. Przygotowanie dokumentacji zajmie około roku, jak mówi, ale nie wie, jak będzie z wykonaniem. Na razie montujemy parę laserów zapasowych i próbujemy uprościć ich konstrukcję dla ułatwienia obsługi.

— To robota na kolejne dwa lata — stwierdził Bondarienko.

— Co najmniej — zgodził się generał Pokryszkin. — Przed moim odejściem nie dojdzie do pełnej realizacji tego projektu. Niestety. Jeżeli uda się nam jeszcze jedna poważna próba, odwołają mnie do Moskwy na kierownicze stanowisko w ministerstwie i przed moim przejściem na emeryturę system

nie zostanie uruchomiony. — Ze smutkiem pokręcił głową. — Ciężko się z tym pogodzić, że takie przedsięwzięcia zabierają tyle czasu. Dlatego jesteście mi tu potrzebni.

Potrzebuję młodego człowieka, który doprowadzi to przedsięwzięcie do końca. Przyglądałem się kilkunastu oficerom. Jesteście z nich najlepszy, Giennadiju Josifowiczu. Chcę, żebyście zajęli moje miejsce, kiedy nadejdzie pora.

Bondarienko był zupełnie oszołomiony. Pokryszkin wybrał jego najwyraźniej przedkładając go nad oficerów ze swego rodzaju wojsk. — Ale prawie mnie nie znacie...

— Nie zostałem generałem, gdybym nie znał się na ludziach. Macie te cechy, których poszukuję, no i jesteście we właściwym okresie służby, gotowi do objęcia samodzielnego dowodzenia. Wasz mundur nie jest tak ważny jak to, kim jesteście. Już teleksowałem do ministra w tej sprawie.

No, no — pomyślał Bondarienko, wciąż zbyt zaskoczony, by odczuwać zadowolenie. —

A wszystko stąd, że według starego Miszy, byłem najlepszym człowiekiem do przeprowadzenia inspekcji. Mam nadzieję, że nie jest bardzo chory.

— Już od dziewięciu godzin jest na nogach — powiedział niemal z wyrzutem jeden z oficerów do Watutina. Pułkownik nachylił się nad okularom światłowodu i przez kilka minut obserwował więźnia. Tamten najpierw położył się na łóżku. Przekręcał się z boku na bok, starając się zmusić do snu, ale jego wysiłki skazane były na niepowodzenie. Potem przyszły wymioty i biegunka, efekt kofeiny, która nie dawała mu zasnąć. W końcu wstał i znowu zaczął

przemierzać celę tam i z powrotem, co już uprzednio robił przez wiele godzin, by zmęczeniem zwabić sen, którego domagała się część jego organizmu, choć inna odrzucała.

— Sprowadzić go tu za dwadzieścia minut. — Pułkownik z rozbawieniem spojrzął na swych podkomendnych. Spał siedem godzin, a dwie ostatnie spędził na sprawdzaniu, czy rozkazy, które wydał przed położeniem się, zostały w pełni wykonane. Wziął potem prysznic i ogolił się. Goniec przyniósł mu z mieszkania świeży mundur, a ordynans wypolerował buty do lustrzanego błysku. Watutin skończył śniadanie i pozwolił sobie na dodatkową filiżankę kawy, którą przyniesiono mu z kasyna dla starszych oficerów. Nie zwracał uwagi na spojrzenia pozostałych członków zespołu przesłuchującego, nawet nie przesłał im porozumiewawczego uśmiechu, by dać im znać, że wie, co robi. Jeżeli nie zorientowali się do tej pory, to czort z nimi.

Wypiwszy kawę, wytarł usta serwetką i udał się do pokoju przesłuchań.

Jak w większości takich pomieszczeń, kryło się tu więcej niż mogło się wydawać. Pod wystającą krawędzią blatu stołu znajdowało się kilka przycisków, które mógł niepostrzeżenie naciskać. W pozornie gładkich ścianach zainstalowano mikrofony, a jedyne upiększenie ścian —

lustro — było półprzepuszczalne, co pozwalało obserwować i fotografować badanego z sąsiedniego pokoju.

Watutin usiadł i wyciągnął teczkę, którą miał odłożyć, gdy pojawi się Filitow. Jeszcze raz przebiegł w myślach, co ma zrobić. Oczywiście, wszystko to już dokładnie zaplanował, nawet ustny meldunek, jaki złoży przewodniczącemu Gierasimowowi. Spojrzał na zegarek, skinął

głową w kierunku lustra i przez następne parę minut przygotowywał się do tego, co miało nastąpić. Filitow wszedł dokładnie wtedy, kiedy powinien.

Watutin spostrzegł, że trzyma się mocno. Mocno, ale wzrok ma nieprzytomny. To z powodu kofeiny, której dodano mu do ostatniego posiłku. Próbował stworzyć wrażenie nieugiętości, ale była to krucha i cienka fasada. Po raz pierwszy wykazywał rozdrażnienie; dotąd była to tylko stanowczość.

— Dzień dobry, Filitow — odezwał się Watutin, prawie nie podnosząc głowy.

— Dla was: pułkowniku Filitow. Powiedzcie mi, kiedy się skończy ta zabawa?

On chyba nawet w to wierzy — pomyślał Watutin. Tak często powtarzał historię o tym, jak Watutin włożył mu kasetę do ręki, że już niemal sam w nią uwierzył. To się często zdarza.

Filitow usiadł bez pytania, a Watutin ruchem ręki nakazał strażnikowi opuszczenie pokoju.

— Kiedy zdecydowaliście się zdradzić ojczyznę? — zapytał.

— Kiedy zdecydowaliście się zaprzestać napastowania małych chłopców? —

odpowiedział stary człowiek ze złością.

— Filitow, wybaczcie — pułkowniku Filitow, wiecie, że zostaliście aresztowani z mikrofilmem w rękę, zaledwie dwa metry od pracownika wywiadu amerykańskiego. Na tym mikrofilmie były informacje o ściśle tajnym obiekcie badawczym sił zbrojnych naszego państwa i takie informacje od lat przekazywaliście Amerykanom. Co do tego nie ma żadnej wątpliwości

— mówię to na wypadek, gdybyście zapomnieli — cierpliwie wyjaśnił Watutin. — Pytam was teraz, od jak dawna to robiliście?

— Odpieprz się — rzucił Misza. Watutin zauważył lekkie drżenie jego rąk. — Jestem trzykrotnym Bohaterem Związku Radzieckiego. Zabijałem wrogów tego kraju, gdy wy byliście zaledwie śwędzeniem w kroczu ojca, a teraz macie czelność nazywać mnie zdrajcą?

— Wiecie, kiedy byłem w podstawówce, czytałem o was książki. Misza odpierający faszystów od bram Moskwy. Misza — diabelski czołgista. Misza — bohater spod Stalingradu.

Misza — pogromca Niemców. Misza prowadzący kontratak na Łuku Kurskim. Misza —

powiedział w końcu Watutin — zdrajca ojczyzny.

Misza machnął ręką, która, jak spostrzegł z irytacją, drżała. — Nigdy nie miałem wielkiego poważania dla czekistów. Kiedy prowadziłem swych żołnierzy, też tam byli — ale za nami. Byli bardzo sprawni w rozstrzeliwaniu jeńców, i to jeńców, których pojмали prawdziwi żołnierze. Byli też dość dobrzy w mordowaniu ludzi, zmuszonych do odwrotu. Pamiętam nawet taki przypadek, kiedy porucznik-czekista przejął dowodzenie kompanią czołgów i wpieprzył ją w bagno. Przynajmniej Niemcy, których zabijałem, byli żołnierzami. Nienawidziłem ich, ale mogłem ich poważać za to, że walczyli jak na żołnierzy przystało. Wy natomiast... być może my, prości żołnierze, nigdy nie rozumieliśmy, kto naprawdę jest naszym wrogiem. Czasami zastanawiam się, kto zabił więcej Rosjan: Niemcy czy tacy jak wy?

Watutin nie zareagował. — Zwerbował was ten zdrajca Pieńkowski, prawda?

— Bzdura! To ja zameldowałem o Pieńkowskim — obruszył się Filitow. Dziwiły go własne odczucia, lecz nie mógł nad nimi zapanować. — Chyba wam podobni są jednak do czegoś potrzebni. Oleg Pieńkowski był starym, zagubionym człowiekiem, który zapłacił cenę, jaką płacą tacy ludzie.

— I jaką wy zapłacicie — powiedział Watutin.

— Nie mogę wam przeszkodzić w zabiciu mnie, ale widziałem śmierć zbyt wiele razy.

Śmierć zabrała mi żonę i synów. Śmierć zabrała też wielu mych towarzyszy, i jakże często zabierała się do mnie. Wcześniej czy później zwycięży, niezależnie od tego czy to wy będziecie jej sprawcą, czy ktoś inny. Zapomniałem już, jak się jej bać.

— Powiedzcie mi, czego się boicie?

— Nie was. — Powiedział to nie z uśmiechem, lecz z zimnym, wyzywającym spojrzeniem.

— Ale wszyscy ludzie czegoś się boją — zauważył Watutin. — Czy baliście się walki?

— zapytał i pomyślał; No, Misza, teraz za dużo mówisz. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

— Tak, na początku. Gdy po raz pierwszy pocisk uderzył w mój T-34, zlałem się w gacie.

Ale tylko za tym pierwszym razem. Potem wiedziałem już, że pancierz wytrzyma większość trafień. Człowiek jest w stanie przyzwyczać się do niebezpieczeństwa fizycznego, a gdy się jest oficerem, ma się często zbyt wiele zajęć, żeby pamiętać o strachu. Boimy się o podkomendnych, boimy się niepowodzenia w wykonaniu zadania bojowego, bo inni na nas polegają. Zawsze boimy się bólu. Nie śmierci, lecz bólu. — Filitowa zaskoczyło, że mówi tak dużo, ale dość miał

tego KGB-owskiego tępaka. To było niemal jak szaleńcze podniecenie walką: siedzieć tu i prowadzić pojedynek z tym człowiekiem.

— Czytałem, że wszyscy żołnierze boją się walki, ale na duchu podtrzymuje ich wyobrażenie o sobie. Wiedzą, że nie mogą dopuścić, by towarzysze uznali ich za gorszych niż oni sami się widzą.

Dlatego też — ciągnął Watutin — żołnierze bardziej obawiają się tchórzostwa niż niebezpieczeństwa. Boją się, że sprzeniewierzą się swej męskości i swym towarzyszom. — Misza skinął lekko głową. Watutin przycisnął jeden z guzików pod blatem stołu. — Filitow, wy zdradzaliście swych żołnierzy. Czy tego nie rozumiecie? Czy nie pojmujecie, że przekazując tajemnice wojskowe wrogowi zdradziliście wszystkich żołnierzy, którzy z wami służyli?

— Potrzeba czegoś więcej niż waszych słów, by...

Drzwi otworzyły się cicho. Młody człowiek, który w nich stanął, ubrany był w brudny, zatłuszczony kombinezon i miał na głowie hełmofon czołgisty. Wiernie odtworzono wszystkie szczegóły: zwisający przewód telefonu czołgowego, ostry zapach prochu, podarty i osmalony kombinezon. Twarz i ręce młodego człowieka były zabandażowane. Krople krwi, kapiące spod opatrunku na oku, złościły ślad na brudnym policzku. Był to żywy wizerunek Aleksieja Iljicza Romanowa, kaprała Armii Czerwonej, a w każdym razie tak do niego zbliżony, jak tylko KGB

zdołało pośpiesznie przygotować w ciągu jednej nocy.

Filitow nie słyszał wchodzącego, ale gdy poczuł zapach, odwrócił się — i z wrażenia otworzył usta.

— Powiedźcie mi, Filitow — odezwał się Watutin — jak, według was, zareagowałiby wasi żołnierze, gdyby się dowiedzieli, coście zrobili?

Młody człowiek, a był to w rzeczywistości kapral z Zarządu Trzeciego, nie odezwał się ani słowem. Środek chemiczny drażnił mu oczy, powodując ich łzawienie, i choć starał się powstrzymać wywołane tym grymasy twarzy, łzy spływały mu po policzkach. Filitow nie zdawał

sobie sprawy, że dodano mu czegoś do posiłku. Zdezorientowany swym pobytem w Lefortowie, nie był już w stanie rejestrować w pamięci tego, co z nim robiono. Kofeina wywołała stan dokładnie przeciwny upojeniu alkoholowemu. Umysł miał tak świeży, jak to bywało w walce, jego zmysły domagały się bodźców, postrzegały wszystko, co działo się wokół niego — ale w ciągu nocy nic się nie zdarzyło. Nie otrzymując żadnych sygnałów, zmysły poczęły same je tworzyć, i kiedy przyszli po niego strażnicy, Filitow miał już halucynacje. Obiektem, na którym mogła skupiać się jego psychika, był Watutin. Ale Misza był też zmęczony, wyczerpany tym, czemu go poddano. Mieszanina czujności i morderczego zmęczenia wywołała stan podobny do snu, w którym nie był już zdolny odróżnić rzeczywistości od zmyśleń.

— Obróćcie się, Filitow! — zagrzemiał Watutin. — Patrzcie na mnie, kiedy do was mówię! Zadałem wam pytanie: Co z tymi, którzy z wami walczyli?

— Kto...

— Kto? Ludzie, którymi dowodziłeś, ty stary głupcze!

— Ale... — Filitow ponownie się obrócił, lecz owej postaci już nie było.

— Przeglądałem wasze akta, wszystkie te pochwały, których udzielaliście swym żołnierzom — więcej niż inni dowódcy. Iwanienko, Puchow i ten kapral Romanow. Co pomyśleliby teraz ci wszyscy, którzy za was zginęli?

— Zrozumieliby — odpowiedział Misza, całkowicie opanowany już przez gniew,

— Co takiego zrozumieliby? Powiedźcie mi, co takiego zrozumieliby?

— Zabili ich tacy jak wy! Nie ja, nie Niemcy, ale tacy jak wy!

— Waszych synów też, co?

— Tak. Moich dwóch przystojnych synów, dwóch silnych, dzielnych chłopców, którzy poszli w moje ślady i...

— Waszą żonę też?

— Zwłaszcza ją! — odwarknął Filitow i przechylił się przez stół. — Zabraliście mi wszystko, wy bękarty z Czeka, a teraz się dziwicie, że musiałem się wam odplacić? Nikt nie służył ojczyźnie lepiej ode mnie i patrzcie, jaką dostałem nagrodę, jak mi się partia odwdzięczyła. Zabraliście mi cały mój świat, a teraz mówicie, że zdradziłem Rodinu! To wy ją zdradziliście, i zdradziliście mnie!

— Z tego powodu zwrócił się do was Pieńkowski, i z tego też powodu przesyłaliście na Zachód informacje. Przez te wszystkie lata oszukiwaliście nas!

— To nic wielkiego oszukiwać takich jak wy! — Słowom towarzyszyło uderzenie pięści w stół. — Przez trzydzieści lat, Watutin, przez trzydzieści lat prze... — zamilkł z dziwnym wyrazem twarzy, zastanawiając się nad tym, co przed chwilą powiedział.

Watutin też milczał przez dłuższą chwilę, ale gdy się odezwał, głos jego brzmiał

uprzejmie. — Dziękuję, towarzyszu pułkowniku. To na razie wystarczy. Później porozmawiamy szczegółowo o tym, co przekazaliście Zachodowi. Pogardzam wami, Misza, za to, co zrobiliście.

Nie mogę przebaczyć ani zrozumieć zdrady, ale jesteście najdzielniejszym człowiekiem, jakiego spotkałem. Mam nadzieję, że równie dzielnie stawicie czoło temu, co wam w życiu zostało.

Ważne jest, abyście stawili czoło sobie i swoim zbrodniom równie odważnie, jak kiedyś faszystom, żeby wasze życie zakończyło się tak honorowo, jak przebiegało. — Watutin nacisnął

guzik i drzwi się otworzyły. Strażnicy wyprowadzili Filitowa, który wciąż jeszcze ze zdumieniem wpatrywał się w śledczego. Ze zdumieniem, że dał się wyprowadzić w pole. Nigdy nie pojmie, jak to się stało, ale tacy rzadko rozumieją — powiedział do siebie pułkownik Watutin. Sam po chwili także wstał, pozbierał i dokładnie ułożył akta, a później opuścił pokój i poszedł na górę.

— Byłby z was świetny psychiatra — zauważył lekarz.

— Mam nadzieję, że wszystko zostało zarejestrowane — zwrócił się Watutin do techników.

— Tak, na trzech magnetofonach i na magnetowidzie.

— To najtwardszy facet, jakiego widziałem — odezwał się jeden z oficerów.

— Tak, ten był twardy, i dzielny. Nie żaden awanturnik czy dysydent. To był patriota, lub tak przynajmniej myślał o sobie ten biedny skurczybyk. Chciał wybawić kraj od partii. —

Pułkownik pokręcił głową ze zdumieniem. — Skąd im się biorą takie pomysły?

Twój przewodniczący — pomyślał — chce zrobić prawie to samo, albo mówiąc dokładniej, wybawić kraj dla partii. — Watutin na chwilę oparł się o ścianę, próbując rozstrzygnąć, jak podobne lub różne były tu motywacje. Szybko doszedł do wniosku, że zwykły oficer kontrwywiadu nie powinien tego rozważać. W każdym razie jeszcze nie teraz. — U

Filitowa wzięło się to z niezręcznego potraktowania przez partię jego rodziny.

Cóż, partia twierdzi wprawdzie, iż nie popełnia błędów, wszyscy jednak wiemy, że jest inaczej. Szkoda, że Misza nie wziął tego pod uwagę. Ostatecznie partia to wszystko, co mamy.

— Doktorze, proszę dopilnować, żeby odpoczął — rzucił Watutin, wychodząc do czekającego na niego samochodu.

Zdziwił się, że to już ranek. W ciągu ostatnich dwóch dni tak bardzo pochłonięty był

sprawą, że wydawało mu się, że będzie noc. Tym lepiej: od razu pójdzie do przewodniczącego.

Najbardziej zdumiewające było to, że w końcu powrócił do względnie normalnego rozkładu dnia: będzie mógł wieczorem pójść do domu, wyspać się, znowu przebywać z żoną i rodziną, pooglądać telewizję. Uśmiechnął się do siebie. Mogę też spodziewać się awansu — pomyślał. —

Przecież zламаłem go wcześniej niż obiecywałem. Przewodniczący powinien być zadowolony.

Watutin dostał się do niego między zebraniem. Gierasimow w zamyśleniu spoglądał przez okno na ruch uliczny na placu Dzierżyńskiego.

— Towarzyszu przewodniczący, mam to przyznanie się — powiedział Watutin.

Gierasimow obrócił się ku niemu.

— Filitowa?

— Ależ... tak, towarzyszu przewodniczący — z widocznym zdziwieniem potwierdził

Watutin.

Po chwili Gierasimow uśmiechnął się. — Wybaczenie, pułkowniku. Zastanawiam się w tej chwili nad pewną sprawą operacyjną... Naprawdę macie to zeznanie?

— Jeszcze bez szczegółów, ale przyznał się, że przesyłał na Zachód tajemnice, i że robił to od trzydziestu lat.

— Trzydzieści lat... a myśmy tego nie wykryli przez cały ten czas — cicho powiedział

Gierasimow.

— To prawda — przyznał Watutin — ale ujęliśmy go, i przez następne tygodnie będziemy się dowiadywać, co sprzedał. Myślę, że okaże się, iż jego stanowisko i metody operacyjne utrudniały wykrycie, ale wyciągniemy z tego wnioski, tak jak wyciągaliśmy je z wszystkich podobnych wypadków. W każdym razie, chcieliście przyznania się i oto je mamy —

podkreślił na koniec pułkownik.

— Świetnie — odpowiedział przewodniczący. — Kiedy przygotujecie raport na piśmie?

— Jutro? — spytał Watutin, zanim pomyślał. Niemal skurczył się, czekając na odpowiedź. Oczekiwał, że posypią się gromy, ale po nie kończących się sekundach namysłu Gierasimow skinął głową.

— Wystarczy. Dziękuję, towarzyszu pułkowniku. To już wszystko. Watutin stanął na baczność i zasalutował. Jutro? — pomyślał już na korytarzu. — Po tym wszystkim gotów jest czekać do jutra? O co, u diabła, chodzi?

Coś tu się nie zgadzało, ale Watutinowi nie nasuwało się żadne wyjaśnienie. Poza tym musiał jeszcze napisać raport. Poszedł do swego gabinetu, wyciągnął blok liniowanego papieru i zaczął pisać pierwszą wersję protokołu przesłuchania.

— A więc to tutaj? — zapytał Ryan.

— Właśnie tu. Kiedyś po drugiej stronie, o tam, był sklep z zabawkami. Nazwał się

„Świat dziecka”, wyobraża pan sobie? Chyba ktoś się w końcu zorientował, że to czyste wariactwo i sklep przeniesiono. Ten pomnik pośrodku to Feliks Dzierżyński. Był z niego krwawy skurwiel — Heinrich Himmler przy nim to harcerzyk.

— Himmler nie był tak sprytny — zauważył Jack.

— Racja. Feliks udaremnił co najmniej trzy próby obalenia Lenina, w tym jedną bardzo poważną. Całej sprawy nigdy nie ujawniono, ale założę się, że tu właśnie są dokumenty na ten temat — powiedział kierowca. Był to Australijczyk, członek zespołu zaangażowanego przez ambasadę do ochrony zewnętrznej, niegdyś komandos australijskich oddziałów specjalnych.

Nigdy nie prowadził działalności wywiadowczej (w każdym razie nie dla Amerykanów), lecz często grał taką rolę, dokonując najdziwniejszych rzeczy. Nauczył się wykrywać i gubić „cienie”, co utwierdziło Rosjan w przekonaniu, że jest z CIA, czy z podobnej firmy. Był także wspaniałym przewodnikiem.

Spojrzał w lusterko. — Nasi przyjaciele ciągle tam są. Czy pan się czegoś spodziewa?

— To się okaże. — Jack obejrzał się. Nie byli zbyt subtelni, ale też nie oczekiwał tego po nich. — Gdzie jest ulica Frunzego?

— Na południe od ambasady. Trzeba było mi powiedzieć, że chce pan tam pojechać, to byśmy zawadzili o nią najpierw. — Przepisowo zawrócił, podczas gdy Ryan nadal spoglądał do tyłu. Oczywiście, Żiguli, wyglądające jak stary model Fiata, zrobiło to samo, podążając za nimi jak wierny pies. Przejechali ponownie koło domu dla personelu ambasady, a dalej obok byłej cerkwi, określanej przez dowcipnisiów z ambasady, jako cerkiew pod wezwaniem Matki Boskiej Elektronicznej, ze względu na mnogość urządzeń podsłuchowych, które z pewnością tam zainstalowano.

— Co my właściwie robimy? — zapytał kierowca.

— Po prostu jeździmy po mieście. Kiedy byłem tu ostatnim razem, widziałem tylko drogę do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i z powrotem oraz wnętrza jakiegoś pałacu.

— A jeżeli nasi przyjaciele się zbliżą?

— Cóż, jeżeli będą chcieli ze mną porozmawiać, mogę wyświadczyć im tę uprzejmość — odpowiedział Ryan.

— Mówi pan poważnie? — Kierowca wiedział, że Ryan jest z CIA.

— No jasne — zaśmiał się Jack.

— Czy pan wie, że muszę składać pisemne meldunki o takich wypadkach?

— Pan ma swoją robotę, a ja swoją. — Jeździli jeszcze przez godzinę, ale ku rozczarowaniu Jacka i uldze kierowcy nic się nie wydarzyło.

Przyjechali tak, jak zwykle. Samochód, czteroletni Plymouth Reliant z rejestracją Oklahomy, zatrzymał się przy budce straży granicznej. W samochodzie znajdowało się trzech mężczyzn: jeden z

nich chyba spał i trzeba było go obudzić.

— Dobry wieczór — powiedział strażnik. — Poproszę o dokumenty. — Wszyscy trzej podali swoje prawa jazdy: zdjęcia odpowiadały twarzom w aucie. — Coś do zadeklarowania?

— Trochę alkoholu. Po dwie kwarty, chciałem powiedzieć, litr na każdego. — Patrzył z ciekawością na psa obwąchującego samochód. — Czy mamy zjechać na bok i otworzyć bagażnik?

— Po co byliście w Meksyku?

— Pracujemy w Cummings -Oklahoma Tool. Sprzęt dla rafinerii i rurociągów —

wyjaśnił kierowca. — Głównie duże zegary kontrolne i takie różne... Próbujemy sprzedać trochę tego Pemexowi. W bagażniku mamy wzory i materiały.

— Jak poszło? — zapytał strażnik graniczny.

— To pierwsze podejście. Zrobimy jeszcze kilka, ale zazwyczaj idzie nieźle.

Przewodnik psa pokręcił przecząco głową. Jego labrador nie zainteresował się samochodem: żadnego śladu narkotyków, żadnego zapachu materiałów wybuchowych. Poza tym nie pasowali do typowej charakterystyki: byli dość prostolinijni, a na przekroczenie granicy wybrali czas poza godzinami szczytu.

— Witamy w domu — powiedział strażnik. — Szerokiej drogi.

— Dziękujemy — kiwnął głową kierowca i wrzucił bieg. — Do zobaczenia.

Gdy odjechali już sto metrów od punktu granicznego, mężczyzna z tylnego siedzenia odezwał się po angielsku: — Nie do uwierzenia. Nie mają najmniejszego pojęcia o kontroli.

— Mój brat jest majorem w Wojskach Ochrony Pogranicza. Chyba dostałby ataku serca, gdyby zobaczył, jakie to łatwe — odpowiedział kierowca. Nie uśmiechał się. Najtrudniejszą częścią będzie wydostanie się stąd, jako że od tej chwili znajdowali się na terytorium wroga.

Jechał zgodnie ze znakami ograniczenia prędkości, podczas gdy miejscowi kierowcy wyprzedzali ich z szumem. Lubił auta amerykańskie. Nie prowadził dotąd samochodu z więcej niż czterema cylindrami, toteż nie spostrzegł, że ich Plymouth nie ma dużej mocy. Już cztery razy był w Stanach Zjednoczonych, ale nigdy na takiej robocie, i po tak krótkim przygotowaniu.

Wszyscy trzej mówili doskonale amerykańską odmianą angielskiego, trochę przez nos, jak to na preriach, co miało być zgodne z ich papierami — tak bowiem myśleli o swoich prawach jazdy i kartach ubezpieczeniowych, chociaż trudno je było właściwie nazwać „papierami”. To dziwne, ale kierowca lubił Amerykę, zwłaszcza ogólnie tu dostępne, niedrogie, smaczne jedzenie. W drodze do Santa Fe zatrzyma się w jakimś przydrożnym barze szybkiej obsługi, najlepiej w jakimś „Burger

Kingu”, gdzie dogodzi swoim chęciom na hamburgera z rusztu, podanego z sałatą, pomidorami i majonezem. To właśnie zadziwiało Rosjan w Ameryce: każdy mógł kupić żywność bez stania w kilometrowych kolejkach. I była to zazwyczaj dobra żywność.

Jak to jest — zastanawiał się — że Amerykanie są tacy sprawni w czymś tak trudnym jak produkcja i dystrybucja żywności, a tacy głupi w tak prostych jak zachowanie bezpieczeństwa?

Nie miało to żadnego sensu, ale rozumiał, że błędem, niebezpiecznym błędem byłoby odnosić się do nich z pogardą. Amerykanie grali według reguł tak odmiennych, że aż niezrozumiałych... i tyle tu było przypadkowości. To najbardziej przerażało oficera KGB. Ich zachowanie było równie trudno przewidzieć jak zachowanie kierowcy na drodze. I to przede wszystkim owa nieprzewidywalność przypominała mu, że znajduje się na nieprzyjacielskim terytorium. On i jego ludzie musieli być ostrożni, zachowywać się tak jak ich przeszkolono. Czuć się swobodnie w obcym środowisku to najpewniejsza droga do klęski — tę zasadę nieustannie wbijano im do głowy w akademii. Tylko że było tak wiele spraw w których szkolenie nie pomagało. KGB

rzadko umiało przewidzieć, co zrobi rząd amerykański. Tym bardziej więc nie potrafiło ich przygotować na poszczególne działania jednostek — ponad dwustu milionów ludzi, którzy przeskakiwali od jednej decyzji do drugiej.

W tym cały kłopot — pomyślał. Oni musieli codziennie podejmować wiele decyzji: jakie kupić jedzenie, którą drogą pojechać, i jakim samochodem. Ciekaw był, jak jego ziomkowie poradziliby sobie z takim ciężarem decyzji, zrzuconym na nich codziennie. Wiedział, że wynikłby z tego chaos, anarchia — a więc coś, czego historia nauczyła Rosjan obawiać się najbardziej.

— Żebyśmy mieli takie drogi u nas — powiedział mężczyzna obok niego. Ich towarzysz z tyłu spał, tym razem naprawdę. Dla tych dwóch był to pierwszy pobyt w Ameryce. Operację przygotowano zbyt szybko. Oleg wykonał kilka zadań w Ameryce Południowej, zawsze pod przykrywką amerykańskiego biznesmena. Był moskwianinem i pamiętał, że tam dwadzieścia kilometrów poza zewnętrzną obwodnicą jechało się już po drogach żwirowych lub po prostu ubitych. W Związku Radzieckim nie było żadnej drogi o utwardzonej nawierzchni, która prowadziłaby od jednej granicy do drugiej.

Kierowca — nazywał się Leonid — powiedział po chwili namysłu: — A skąd wziąć na to pieniądze?

— Rzeczywiście — zgodził się zmęczony Oleg. Jechali już od dziesięciu godzin. — Ale wydawałoby się, że moglibyśmy mieć takie drogi chociaż jak w Meksyku.

— Mhm — mruknął i pomyślał: Tylko że wtedy ludzie musieliby wybierać, dokąd chcą jechać, a dotychczas nikt nie troszczył się o to, by ich nauczyć dokonywania wyboru. Spojrzał na zegarek na desce przyrządów. Jeszcze sześć, może siedem godzin.

To samo pomyślała kapitan Tania Bisiarina, spojrzawszy na zegarek w swoim Volvo.

Tym razem lokalem konspiracyjnym nie był budynek, ale stara przyczepa mieszkalna, wyglądająca jak te, których używają jako ruchomych biur przedsiębiorcy budowlani i instalatorzy. Takie też funkcje spełniała, zanim firma budowlana porzuciła ją parę lat temu, przerwawszy prace w górach na południe od Santa Fe. Instalacje kanalizacyjne, które tu zakładano dla nowego osiedla, nigdy nie zostały ukończone. Inwestor stracił źródła finansowania, a sprawy własnościowe ciągle pozostawały przedmiotem prawniczych sporów.

Miejsce było świetne, blisko autostrady międzystanowej i miasta, ale schowane za wzgórzami.

Jedyny drogowskaz stanowiła piaszczysta droga, której nie odkryły i nie wykorzystały nawet nastolatki na parkowanie po potańcówkach. Miało jednak pewną wadę. Gąszcz sosenek zasłaniał wprawdzie przyczepę od strony drogi, ale także pozwalał na skryte podejście. Będą musieli wystawiać wartownika. Trudno, nie można mieć wszystkiego naraz. Dojechała tu bez świateł, zaplanowawszy przyjazd na czas, kiedy najbliższa droga jest pusta. Z bagażnika Volvo wyjęła dwie torby z żywnością. W przyczepie nie było elektryczności nie mogła to więc być żywność łatwo się psująca, toteż przywiozła tylko kiełbasę w plastikowym opakowaniu i kilkanaście puszek sardynek. Rosjanie je uwielbiali. Gdy wniosła już jedzenie do środka, wyciągnęła z samochodu małą walizeczkę i postawiła ją obok dwóch kanistrów z wodą w nieczynnej łazience.

Wolałaby mieć w oknach zasłony, ale zbyt duża zmiana wyglądu przyczepy to nie był dobry pomysł. Nie było nim również parkowanie tu samochodu. Po przyjeździe zespołu ustawia go o jakieś sto metrów dalej, w mocno zadrzewionym miejscu. Stanowiło to pewną niedogodność, ale należało być na to przygotowanym. Zakładanie lokali konspiracyjnych nigdy nie jest takie łatwe, jak się ludziom wydaje, nawet w miejscach tak otwartych jak Ameryka. Byłoby to nieco łatwiejsze, gdyby ją odpowiednio uprzedzono, lecz operację przygotowano właściwie w ciągu jednego dnia i dysponowała tylko tą prowizorką, którą wyszukała wkrótce po przybyciu do Ameryki. Miało to być miejsce, w którym mogłaby się zaszyć lub przechować agenta, gdyby powstała taka konieczność. Nigdy nie było przeznaczone do zadań takich, jak obecne, ale nie było czasu na znalezienie czegoś innego. Pozostawał jeszcze jej dom, lecz to oczywiście nie wchodziło w rachubę. Bisiarina zastanawiała się, czy dostanie jej się za to, że nie wyszukała lepszego miejsca, ale wiedziała, że w całej swej działalności operacyjnej wypełniała ściśle wszystko, co jej polecono.

Umeblowanie było funkcjonalne, choć przybrudzone. Nie mając nic innego do roboty, przetarte je z kurzu. Szefem zespołu, który miał przyjechać, był jakiś wyższy oficer. Nie znała ani jego nazwiska, ani twarzy, ale musiał być wyższy rangą od niej, skoro zlecono mu tę robotę.

Doprowadziwszy jedyną kozetkę w przyczepie do znośnego stanu, nastawiła mały budzik i wyciągnęła się, by się zdrzemnąć na kilka godzin. Wydawało się jej, że ledwie się położyła, gdy dzwonek zerwał ją z obitej plastikiem leżanki.

Zjawili się na godzinę przed świtem. Leonid nauczył się całej trasy na pamięć, a pomagały im znaki drogowe. Zjechał z autostrady międzystanowej w prawo, w boczną drogę.

Tuż za przydrożną reklamą papierosów zobaczył piaszczystą drogę, wiodącą jakby donikąd.

Wyłączył światła samochodu i wjechał w nią na wolnym biegu, pilnując się, by dotknięciem pedału hamulca nie spowodować zapalenia się świateł, co mogłoby go zdradzić wśród drzew. Za pierwszym małym wzniesieniem droga opadała łukiem w prawo. Zobaczył Volvo, a obok niego jakąś postać.

Ta część zawsze wiązała się z największym napięciem. Miał nawiązać kontakt z oficerem KGB, ale znał przypadki, kiedy nie wszystko potoczyło się właściwie. Zaciągnął hamulec ręczny i wysiadł.

— Zgubił pan drogę? — zapytał kobiecy głos.

— Szukam Panoramy Gór — odparł.

— To po drugiej stronie miasta — powiedziała kobieta.

— Chyba skręciłem w niewłaściwym miejscu. — Widział, że usłyszawszy tę ostatnią część umówionej wymiany zdań kobieta odprężyła się.

— Jestem Tania Bisiarina. Mówcie do mnie Anna.

— Jestem Bob — przedstawił się Leonid. — W samochodzie są Bili i Lenny.

— Jesteście zmęczeni?

— Jedziemy od wczorajszego ranka — odpowiedział Leonid-Bob.

— Możecie spać w przyczepie. Macie jedzenie i picie. Nie ma ani prądu, ani bieżącej wody. W środku są dwie latarki i lampa benzynowa, której możecie użyć do zagotowania wody na kawę.

— Kiedy?

— Dzisiaj. Niech twoi ludzie wejdą do środka, a ja pokażę, gdzie postawić samochód.

— Jak się wydostaniemy?

— Jeszcze nie wiem. To, co mamy dziś zrobić, jest dość skomplikowane. — Tu zaczęła opisywać plan operacji. Zdumiał ją, chociaż nie powinien, profesjonalizm tej trójki. Każdy z nich musiał się zastanawiać, czym kierowało się Centrum moskiewskie planując tę operację. To, co robili, było wystarczająco szalone, nie mówiąc już o czasie wykonania. Ale żadne z czworga nie pozwoliło odczuciom osobistym przeszkodzić w zadaniu. Operację zleciło moskiewskie Centrum, a Moskwa wie, co robi. Tak mówią wszystkie podręczniki i wierzą w to wszyscy oficerowie operacyjni, nawet wtedy gdy wiedzą, że nie powinni.

Beatrice Taussig zbudziła się w godzinę później. Dni stawały się dłuższe i słońce już nie świeciło jej

w twarz, gdy jechała do pracy. Za to zaglądało do sypialni jak oskarżycielskie oko.

Dziś — powiedziała sobie — z tym świtem zaczyna się dzień, który ma być naprawdę nowym dniem. Przygotowała się na jego spotkanie. Najpierw wzięła prysznic, a potem wysuszyła suszarką włosy. Ekspres do kawy już się włączył i pijąc pierwszą filiżankę, zastanawiała się, w co się dziś ubrać. Powiedziała sobie, że to ważna decyzja, i doszła do wniosku, że, by ją podjąć potrzebuje obfitszego śniadania niż tylko filiżanka kawy z bułeczką. Takie rzeczy wymagają więcej energii — stwierdziła poważnie i dodatkowo przygotowała jajka. Będzie musiała pamiętać, by nie jeść dużo w czasie lunchu. Taussig utrzymywała stałą wagę przez ostatnie cztery lata i bardzo dbała o figurę.

To musi być coś marszczonego — zdecydowała. Nie miała wiele takich rzeczy, ale może ta niebieska... Jedząc śniadanie, włączyła telewizor i trafiła na wiadomości CNN, w których bełkotano coś o rozmowach rozbrojeniowych w Moskwie. Być może świat stanie się bezpieczniejszy. Przyjemnie pomyśleć, że na coś takiego pracowała. Była osobą dokładną i przed pójściem do sypialni włożyła naczynia do automatycznej zmywarki. Niebieski komplet z falbankami pochodził sprzed roku i był niemodny, ale mało kto w biurze to zauważy...

oczywiście sekretarki, lecz kto by się nimi przejmował? Na szyję założyła jednak delikatny, wzorzysty szalik z wełny — niech wiedzą, że Bea to zawsze Bea.

Zaparkowała na zarezerwowanym dla niej miejscu o zwykłej porze. Przepustka na złotym łańcuszku powędrowała z torebki na szyję i Bea przepłynęła przez drzwi obok strażników.

— Dzień dobry, pani doktor — powiedział jeden z nich. To przez tę garsonkę —

pomyślała. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, co dla obojga było niezwykłym początkiem dnia, ale nic nie powiedziała: nie będzie rozmawiać z jakimś tam facetem, którego wyrzucili ze studiów.

Jak zawsze była w biurze pierwsza. Oznaczało to, że mogła nastawić ekspres po swojemu, na bardzo mocną kawę. Czekając aż się zaparzy, Bea otworzyła specjalną szafkę na dokumenty i wyjęła z niej pakiet, nad którym pracowała poprzedniego dnia.

Poranek minął szybciej niż się spodziewała. Pomogła w tym praca. Do końca miesiąca miała przedstawić analizę przewidywanych kosztów i żeby ją wykonać, musiała przekopać się przez pliki dokumentów, z których większość już sfotografowała i oddała Annie. To takie wygodne mieć własny gabinet i sekretarkę, która nigdy nie wchodzi bez pukania. Sekretarka jej nie lubiła, Bea zaś odwzajemniała to uczucie: dla tej stukniętej najlepszą rozrywką było śpiewanie nabożnych pieśni! Tak, teraz wiele się zmieni — powiedziała sobie dr Taussig. To na pewno dziś: na podjeździe zobaczyła Volvo zaparkowane w umówionym miejscu.

— Ma osiem koma jeden na lesbometrze — powiedziała Peggy Jennings.

— Trzeba było widzieć, jakie ciuchy kupuje.

— A więc to ekscentryczka — zauważył pobłażliwie Will Perkins. — Peg, dopatrujesz się czegoś,

czego ja nie dostrzegam. Poza tym widziałem, jak wchodziła dziś rano: wyglądała całkiem przyzwoicie, oprócz tego szaliczka.

— Coś szczególnego? — zapytała Jennings, odsuwając na bok wrażenia osobiste.

— Nie. Wstaje straszliwie wcześnie. Może rano potrzebuje czasu, żeby się rozruszać. Nie widzę specjalnego powodu, żeby przedłużać obserwację. — Lista była długa, a im brakowało ludzi. — Wiem, Peg, że nie przepadasz za ciotami i lesbijkami, ale w tym przypadku nawet nie masz żadnego dowodu. Może po prostu nie lubisz tej dziewczyny — zasugerował Will.

— Obiekt zachowuje się w sposób zwracający uwagę, ale ubiera się konserwatywnie.

Wygadana na wszystkie tematy, w ogóle nie mówi jednak o pracy. Jest zbiorem sprzeczności. —

Nie musiała dodawać, że opis zgadza się z modelową charakterystyką.

— A może nie mówi o pracy, bo nie wolno jej o tym mówić, bo zakazują im te mądrale ze służby bezpieczeństwa. Prowadzi samochód jak ktoś ze Wschodniego Wybrzeża, zawsze się spieszy, ale ubiera się spokojnie. Może podoba się jej taki właśnie wygląd? Peggy, nie możesz być tak podejrzliwa.

— Wydawało mi się, że na tym polega nasza robota — prychnęła Jennings. —

Wytłumacz mi to, co widzieliśmy tamtej nocy.

— Nie umiem tego wytłumaczyć, ale ty za wiele sobie dośpiewujesz. Brak dowodów, Peg, nawet takich, by nasilić obserwację. Słuchaj, jak skończymy z wszystkimi na liście, przyjrzymy się jej jeszcze raz.

— To wariactwo, Will. Podejrzewa się przeciek ze ściśle tajnego projektu, a my musimy chodzić na paluszkach, bojąc się, żeby przypadkiem kogoś nie urazić. — Agent Jennings wstała i na chwilę podeszła do swego biurka stojącego zaledwie kilka kroków dalej. Miejscowe biuro FBI pełne było ludzi przybyłych z pionu kontrwywiadowczego, a pokój śniadaniowy zajęli przybysze z centrali. Za biurka służyły im więc stoliki śniadaniowe.

— Wiesz co? Zbierzemy wszystkich, którzy mają dostęp do tego wypuszczonego materiału i podłączymy ich do pudełka. — „Podłączenie do pudełka” oznaczało poddanie próbie z „wykrywaczem kłamstwa”. Ostatnim razem przy podobnej próbie w KLIPRZE

HERBACIANYM o mało nie wybuchła rewolucja. Naukowcy i inżynierowie to nie ludzie z wywiadu, którzy rozumieją, że coś takiego jest konieczne, ale akademicy, którzy postępowanie takie uważają za obrazę ich patriotyzmu. Lub za zabawę: jeden z inżynierów-programistów usiłował nawet zastosować technikę biologicznego sprzężenia zwrotnego, żeby spieprzyć wyniki badania. Cała ta operacja, przeprowadzona półtora roku temu, wykazała przede wszystkim, że personel naukowy odczuwa znaczną wrogość wobec bezpieczniaków, co nie było niczym szczególnie zaskakującym.

Sprawdzania definitywnie wstrzymano po pełnej oburzenia notatce jednego z naukowców, który udowodnił, że nie wykryto co najmniej kilku jego celowych kłamstw. To, oraz rozprzężenie jakie powstało w poszczególnych działach, zamknęło sprawę, zanim doprowadzono badania do końca.

— Poprzednim razem Taussig nie podłączono do pudełka — zauważyła Jennings.

Sprawdziła to już wcześniej. — Nie podłączono nikogo z pracowników administracyjnych.

Wybuchnął bunt i do nich już nie doszli. Była jedną z tych, którzy...

— Bo to do niej przyszedli z protestami ci od programów. Nie zapominaj, że należy do administracji i jej obowiązkiem jest dbać o to, by naukowcy czuli się dobrze. — Perkins też to sprawdzał. — Słuchaj, jeżeli tak się przy tym upierasz, wrócimy do niej później. Ja nie dostrzegam nic szczególnego, ale wierzę w twoje wyczucie. Na razie jednak musimy sprawdzić pozostałych.

Margaret Jennings skinieniem głowy potwierdziła swą kapitulację. W gruncie rzeczy Perkins miał rację. Nie mogli wskazać na nic konkretnego. To po prostu moje... no właśnie, co?

— zastanawiała się Jennings. Uważała Taussig za lesbijkę, ale to już teraz nie taka znowu zbrodnia, jak wystarczająco często orzekły sądy. Poza tym nie ma przecież dowodów na poparcie swych podejrzeń. Nagle zdała sobie sprawę, skąd w niej te podejrzania. Przed trzema laty, tuż przed przejściem do pionu kontrwywiadu, zajmowała się sprawą porwania, w które zamieszana była para...

Zdawała sobie również sprawę, że Perkins podchodzi do tego bardziej zawodowo.

Chociaż był mormonem, człowiekiem niebywale porządnym, nie pozwalał sobie na mieszanie odczuć osobistych z pracą. Nie mogła się jednak pozbyć wewnętrznego wrażenie, że pomimo tego, co mówią jej logika i doświadczenie, nie myli się. Tak czy inaczej, mieli jeszcze do napisania sześć meldunków przed ponownym zajęciem się obserwacją. Praca w terenie zajmowała zaledwie połowę czasu. Resztę spędzało się przy biurku (lub przystosowanym stole śniadaniowym) tłumacząc różnym osobom, co się robiło, kiedy się nie siedziało przy biurku.

— Al? Tu Bea. Mógłbyś wpaść do mnie?

— Jasne. Będę za pięć minut.

— Dziękuję. — Taussig odłożyła słuchawkę. Nawet Bea podziwiała Gregory'ego za punktualność. Przyszedł dokładnie po pięciu minutach.

— Nie przeszkodziłam ci, prawda?

— Nie. Przeprowadzana jest kolejna symulacja z geometrii celu, ale do tego nie jestem im potrzebny. O co chodzi? — zapytał major Gregory, a potem dodał: — Bea, podoba mi się ten kostium.

— Dzięki, Al. Potrzebna mi twoja pomoc.

— W czym?

— Chodzi o prezent urodzinowy dla Candi. Chcę coś kupić dziś po południu i potrzebuję kogoś do pomocy.

— Uua, rzeczywiście. To już za trzy tygodnie.

Taussig posłała mu uśmiech. Nawet odgłosy wydaje takie niewydarzone. — Będziesz musiał zacząć pamiętać o takich sprawach.

— Co chcesz jej kupić? — uśmiechnął się jak mały chłopiec.

— To niespodzianka, Al — a po chwili dodała: — To coś, czego jej potrzeba. Zobacysz.

Candi przyjechała dziś swoim wozem?

— Tak, po pracy ma pójść do dentysty.

— Nic jej nie mów, dobrze? — poprosiła Bea. — To wielka niespodzianka. Al widział, że stara się zachowywać powagę. Musi to być naprawdę duża niespodzianka — pomyślał sobie i uśmiechnął się.
— W porządku, Bea. Spotkamy się o piątej.

Minęło południe, kiedy się obudzili. Bob poczłapał najpierw do łazienki, ale przypomniał

sobie, że nie ma bieżącej wody. Spojrzał przez okno, czy nikt się nie kręci w pobliżu i dopiero potem wyszedł na zewnątrz. Zanim wrócił, woda już się gotowała. Mieli tylko kawę rozpuszczalną, ale Bisiarina kupiła dość przyzwoity gatunek. A śniadanie było typowo amerykańskie, pełne słodkości. Wiedzieli, że będzie im to potrzebne. Gdy wszyscy mieli już za sobą zwykłe „poranne” czynności, wyciągnęli mapy, przybory i zaczęli powtarzać szczegóły operacji. Przez trzy godziny zapamiętali wszystko tak, że w końcu każdy z nich wiedział już dokładnie, jak to ma przebiegać.

To tam — pomyślał Łucznik. W górach widać na duże odległości. Widzieli już cel swojej wyprawy, choć był jeszcze o dwie noce marszu od nich. W czasie, gdy jego dowódcy rozmieszczali partyzantów w kryjówkach, Łucznik oparł lornetkę o kamień i przyjrzał się ośrodkowi. Jeszcze... dwadzieścia pięć kilometrów? — zastanowił się, a potem sprawdził na mapie. Tak. Będzie musiał poprowadzić ludzi z góry, przez mały strumień, a później na morderczą wspinaczkę po drugiej stronie. Ostatni obóz założą... tu. Spojrzał przez lornetkę w to miejsce. Pięć kilometrów od celu właściwego, osłoniętego przez grzbiet góry. Ostateczna wspinaczka będzie ciężka. Ale nie mieli wyboru. Mógłby dać ludziom godzinę odpoczynku przed przypuszczeniem ataku. To by się im przydało, pozwoliłoby mu także przedstawić dokładnie poszczególne zadania, dałoby czas na modlitwę. Ponownie spojrzął w stronę celu.

Najwyraźniej nadal prowadzono prace budowlane, ale w tego rodzaju obiektach nigdy one nie ustają.

Dobrze, że są tu teraz. Jeszcze kilka lat i miejsce to będzie nie do zdobycia.

Natomiast teraz...

Wyteżył wzrok w poszukiwaniu szczegółów. Nawet za pomocą lornetki nie mógł

dostrzec przedmiotów mniejszych niż wieże strażnicze. W promieniach wschodzącego słońca widoczne były pojedyncze wypukłości, oznaczające budynki. Dopiero gdy podejść bliżej, zdoła rozróżnić punkty, od których zależeć będą ostateczne szczegóły jego planu. Na razie interesowało go ukształtowanie terenu. Jak tam najlepiej podejść? Jak wykorzystać położenie góry? Jeżeli ośrodka chronią wojska KGB, jak wynikało z dokumentów CIA, które przeglądał, są to oddziały równie leniwe co okrutne.

Wieże... trzy... od północy — zastanawiał się. — Będzie też ogrodzenie. Miny? Czy są czy nie, najpierw trzeba załatwić wieże. Uzbrojone są na pewno w wielkokalibrowe karabiny maszynowe i rozciąga się z nich widok na całą okolicę. Jak je opanować?

— A więc to jest to miejsce — odezwał się zza jego pleców były major.

— Co z ludźmi?

— Ukryci — odpowiedział major i przez minutę, w milczeniu, przyglądał się obiektowi.

— Czy pamiętasz opowieści o fortecy Asasynów w Persji?

— Ach, tak! — obrócił się gwałtownie Łucznik. To właśnie przywodził na pamięć widok ośrodka!

— Jak zdobyto tamtą twierdzę?

Major uśmiechnął się, nie spuszczać wzroku z ich celu. — Mając większe siły niż nasze, przyjacielu... Jeżeli kiedyś umocnią cały wierzchołek, samo dostanie się tam będzie wymagało użycia pułku, i to ze wsparciem śmigłowców. Jak zamierzasz przeprowadzić tę akcję?

— Dwoma grupami.

— Zgoda — odpowiedział major, chociaż wcale się nie zgadzał. Wyszkolenie, jakie otrzymał od Rosjan, mówiło mu, że podobne zadanie dla tak małego oddziału to szaleństwo.

Zanim jednak będzie mógł sprzeciwić się komuś takiemu jak Łucznik, musi wykazać swoje umiejętności wojskowe. A to oznacza podjęcie owego szaleńczego ryzyka. Na razie, major będzie się starał drobnymi posunięciami naginać metody walki we właściwym kierunku.

— Cała maszyna znajduje się na zboczach od północy, ludzie na szczycie południowym. — Patrzyli jak reflektory autobusów przesuwają się z jednego miejsca na drugie: kolejna zmiana. Łucznik brał to pod uwagę, ale musiał dokonać ataku i wycofać się pod osłoną ciemności, w przeciwnym razie nie zdołałby ująć.

— Jeżeli uda nam się niepostrzeżenie podejść bliżej... czy mogę coś zaproponować?

— Słucham.

— Podciągnąć wszystkich na to wzniesienie pośrodku, a potem zaatakować z góry oba punkty.

— To niebezpieczne — od razu spostrzegł Łucznik. — Po obu stronach trzeba by przejść dużo otwartej przestrzeni.

— Ale łatwiej dojść na pozycje wyjściowe. Mniejsze jest prawdopodobieństwo zauważenia jednej grupy niż dwóch. Gdybyśmy ustawili broń ciężką tutaj, mogliby wspierać oba zespoły atakujące...

Taka jest różnica — przyznał w duchu Łucznik — między instyktownie działającym wojownikiem, a wyszkolonym żołnierzem. Major umiał lepiej od niego szacować niebezpieczeństwa. — Nie wiem jednak nic o wieżach. Co myślisz?

— Nie jestem pewien. Chyba... — Major gwałtownie przycisnął głowę swego dowódcy ku ziemi. W sekundę później nad doliną przemknął samolot.

— To rozpoznawczy MIG-21. Nie mamy do czynienia z głupcami. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy wszyscy żołnierze są ukryci. — Być może już nas sfotografowano.

— Czy oni...

— Nie wiem. W Bogu nadzieja, przyjacielu. Nie po to pozwolił nam dojść tak daleko, by nas teraz opuścić — powiedział major, zastanawiając się, czy tak jest rzeczywiście.

— A więc dokąd jedziemy? — zapytał Gregory, gdy byli już na zatłoczonym parkingu.

— Spotkajmy się w pasażu, południowa strona parkingu, dobrze? Mam nadzieję, że zmieści się to do samochodu.

— Do zobaczenia — Gregory wsiadł do swojego auta i odjechał.

Bea odczekała parę minut, zanim ruszyła za nim. Nie chciała, żeby ktokolwiek zauważył, że odjechali w tym samym czasie. Ogarnęło ją podniecenie. By je przezwyciężyć, starała się jechać wolno, ale było to tak niezgodne z jej charakterem, że raczej podsycalo ekscytację. Jej Datsun jakby sam z siebie, zmieniał biegi i pasma ruchu. Dojechała na parking koło pasażu handlowego w dwadzieścia minut później.

Al już czekał. Zaparkował o dwa stanowiska od jakiegoś kombi, z dala od najbliższego sklepu. Nawet wybrał dość dobre miejsce — pomyślała Taussig, parkując obok niego.

— Dlaczego tak długo? — zapytał.

— Nie ma pośpiechu.

— To co teraz?

Tak naprawdę, to Bea nie wiedziała. Wiedziała, co ma się zdarzyć, ale nie jak oni zamierzali to zrobić. W gruncie rzeczy nawet nie była pewna, czy są jacyś „oni”. Może Ann miała zamiar załatwić to sama. Bea roześmiała się, by pokryć zdenerwowanie.

— Idziemy — ruchem ręki wskazała kierunek.

— Ależ to musi być prezent — powiedział Al. Z dala po prawej stronie spostrzegł samochód wyjeżdżający tyłem ze stanowiska.

Bea zauważyła, że parking pełen był aut, lecz nie ludzi. Popołudniowi klienci odjechali do domów na obiad, następna ich fala była już w środku, a tłum z kina wysypie się dopiero za jakąś godzinę. Mimo to w napięciu rozglądała się wokół. Miała znajdować się w pobliżu wejścia do kina. Czas był właściwy. Gdyby coś się nie udało — niemal zachichotała pod nosem — będę musiała wybrać jakiś potężny prezent. Ale nie musiała. Naprzeciw niej szła Ann, niosąc tylko dużą torbę.

— Cześć, Ann! — zawołała Taussing.

— Witaj, Bea... o, major Gregory.

— Cześć — powiedział Al, starając się przypomnieć sobie, czy zna tę kobietę. Nie miał zbyt wiele pamięci do twarzy, ponieważ głowę zajmowały mu tylko cyferki.

— Poznaliśmy się zeszłego lata — powiedziała Ann, wprawiając go w jeszcze większe zakłopotanie.

— Co tutaj porabiasz? — zapytała Bea.

— Takie szybkie zakupy. Mam dziś randkę i potrzebowałam... Zaraz ci pokażę.

Sięgnęła do torby i wyciągnęła coś, co przypominało Gregory'emu atomizer z perfumami, czy jak tam się nazywa te wszystkie małe rozpylacze. Cieszył się, że Candi nie jest taka. Ann rozpyliła trochę substancji na przegub i podsunęła pod nos Bei. Alejką podjechał jakiś samochód.

— To by się podobało Candi... co o tym myślisz, Al? — zapytała Bea, podczas gdy rozpylacz zbliżył się do jego twarzy.

— Że co? — W tym momencie uderzył go w twarz gaz obezwładniający. Anna dokładnie wyliczyła moment naciśnięcia zaworu i gdy Al robił wdech, prysnęła pod okulary tak, by gaz dostał się do oczu. Miał wrażenie, że twarz mu staje w płomieniach, a palący ból wdarł się do płuc. Po chwili

padł na kolana, przyciskając ręce do twarzy. Nie mógł wydać najmniejszego dźwięku, nic nie widział — nawet samochodu, który zatrzymał się tuż obok. Drzwiczki otworzyły się i kierowca, zrobiwszy zaledwie pół kroku w jego kierunku, uderzył Gregory’ego kantem dłoni w bok szyi.

Bea zobaczyła, jak Al osuwa się miękko. Co za precyzja — pomyślała. Otworzyły się tylne drzwiczki samochodu i jakieś ręce złapały Gregory’ego pod ramiona. Bea i Ann podniosły go za nogi, a kierowca zajął swoje miejsce. Gdy tylko tylne drzwi się zatrzasnęły, przez okno wyfrunęły w ich stronę kluczyki do samochodu Ala i Plymouth odjechał. Wszystko odbyło się tak błyskawicznie, że wyglądało to jakby samochód wolno przejechał, wcale się nie zatrzymując.

Anna szybko rozejrzała się, ale nikt ich nie obserwował. Upewniła się o tym, gdy ruszyły z Bea od sklepów w stronę parkingu.

— Co chcecie z nim zrobić? — zapytała Bea.

— A co cię to obchodzi? — usłyszała w odpowiedzi.

— Chyba go nie...

— Nie, nie zabijemy. — Ann zastanawiała się, czy rzeczywiście go nie zabiją. Nie była pewna, przypuszczała jednak, że w tej grze nie przewidywano morderstwa. Złamano już jedną nienaruszalną regułę. To wystarczy jak na jeden dzień.

Śmiałe przedsięwzięcia

Leonid, który w czasie tej operacji miał się przedstawić jako Bob, zmierzał w stronę wyjazdu z parkingu. Jak na akcję podjętą praktycznie bez przygotowania, jej najniebezpieczniejsza część poszła dość sprawnie. Zadaniem Lenny’ego, mocno zbudowanego mężczyzny, niegdyś służącego w radzieckich wojskach specjalnego przeznaczenia, znanych pod skrótem Specnaz, było pilnowanie amerykańskiego oficera, którego właśnie porwali. Siedzący obok Bill został wyznaczony do tej operacji jako ekspert wywiadu naukowego. To, że specjalizował się w chemii, wcale Moskwy nie obchodziło. Potrzebny był specjalista naukowy, a on znajdował się właśnie pod ręką.

Z tyłu major Gregory zaczął pojękiwać i ruszać się. Uderzenie w szyję było wystarczające, by go ogłuszyć, ale nie spowodowało żadnych poważnych skutków, poza dojmującym bólem głowy. Nie po to zadali sobie tyle trudu, żeby przez przypadek zabić go, a coś takiego już się kiedyś zdarzyło. Z tego samego powodu niczego mu nie wstrzyknięto. Może się to bowiem okazać znacznie niebezpieczniejsze, niż się na ogół sądzi: w ten sposób przypadkowo uśmiercono radzieckiego uciekiniera, pozbawiając ludzi z Zarządu Drugiego okazji dobrania się do jego pamięci. Lenny patrzył na Gregory’ego jak na dziecko budzące się z długiego snu.

Zapach gazu w samochodzie był jeszcze tak intensywny, że musieli trochę opuścić wszystkie szyby, by nie zaszkodził oficerom KGB. Zastanawiali się nad związaniem go, ale gdyby ktoś to zauważył, mogłyby wyniknąć kłopoty. Lenny był oczywiście w stanie zapanować nad Amerykaninem, tyle że ostrożność, wypływająca z wieloletniego doświadczenia, nakazywała nie przyjmować niczego za pewnik. A gdyby tak okazało się, że hobby Gregory'ego to walka wręcz?

Nie takie rzeczy widzieli. Kiedy już nieco oprzytomniał, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był tłumik pistoletu przed nosem.

— Majorze Gregorij — powiedział Lenny, celowo wymawiając nazwisko z rosyjska —

wiemy, że jest pan zdolnym, a być może i odważnym młodzieńcem. Jeżeli będzie pan stawiał

opór zabijemy pana — skłamał. — Mam w tym dużą wprawę. Proszę nic nie mówić i zachowywać się spokojnie. Jeżeli będzie pan tego przestrzegał, nic się panu nie stanie. Proszę kiwnąć głową, jeżeli pan zrozumiał.

Gregory doszedł już do siebie. Ani na chwilę nie stracił całkiem przytomności, był tylko ogłuszony ciosem, po którym rozsadzało mu głowę, jak nadmuchany do ostateczności balon.

Każdy wdech wydawał się palić płuca. Gdy wciągano go do samochodu, nakazał sobie działanie, ale jego członki nie słuchały szaleńczych żądań rozwścieczonego umysłu. W ułamku sekundy dotarło do niego: To dlatego nienawidzę Bei! Wcale nie chodziło o to, że traktowała go lekceważąco, czy dziwnie się ubierała. Teraz jednak odsunął od siebie te myśli. Były rzeczy ważniejsze. Jego umysł pracował tak szybko, jak nigdy dotąd. Skinął głową.

— Świetnie — powiedział ten sam głos, a mocne ramiona podźwignęły go z podłogi na tylne siedzenie. Lufa pistoletu, ukrytego pod lewym ramieniem siedzącego obok mężczyzny znajdowała się teraz na wysokości jego piersi.

— Działanie środka paralizującego minie za jakąś godzinę — zwrócił się do niego Bill —

nie pozostawiając żadnych trwałych skutków.

— Kim jesteście? — zapytał Al szeptem, głosem chropowatym jak papier ścierny.

— Lenny kazał panu siedzieć cicho — odpowiedział kierowca. — Poza tym ktoś tak inteligentny jak pan musiał już chyba zrozumieć, kim jesteśmy. Czyż nie mam racji? — Bob spojrział w lusterko i zobaczył kiwnięcie głową.

Rosjanie! — pomyślał Al z mieszaniną zdziwienia i pewności. Rosjanie tutaj... robią coś takiego... Do czego jestem im potrzebny? Czy mnie zabiją? Wiedział, że nie może wierzyć w ani jedno ich słowo. Będą mówili cokolwiek, byle nie wymknął się im z rąk. Czuł się głupio. Niby mężczyzna, oficer, a tak naprawdę to jest równie bezsilny jak czteroletnia dziewczynka, i płacze jak dziecko.

Nienawidził każdej łzy, która spływała mu po policzkach. Nigdy w. życiu nie odczuwał takiej żądz zabijania jak teraz. Spojrzał na prawo i zdał sobie sprawę, że nie ma najmniejszej szansy. Człowiek z pistoletem był prawie dwa razy cięższy od niego, a poza tym nie miał, tak jak on, przytkniętej do piersi lufy pistoletu. Gregory mrugał powiekami, ruchem podobnym do ruchu wycieraczek samochodowych. Nie widział zbyt dobrze, ale dostrzegł, że człowiek z pistoletem obserwuje go z klinicznym zainteresowaniem, bez żadnej emocji. Był

zawodowcem w użyciu przemocy. Specnaz — pomyślał od razu Gregory. Wziął głęboki wdech, a w każdym razie próbował: gwałtowny kaszel mało nie rozerwał płuc.

— Niech pan tego nie robi — ostrzegł go mężczyzna siedzący koło kierowcy. — Proszę oddychać płytko. Z czasem przejdzie. — Taki gaz to wspaniała rzecz — pomyślał Bill. — W

Ameryce każdy może go kupić. Zdziwiająca.

Bob wyjechał już z olbrzymiego parkingu. Trasy do kryjówki nauczył się wprowadzić na pamięć, lecz nie czuł się swobodnie. Nie miał czasu, by przejechać ją przedtem i przećwiczyć czas przejazdu czy ustalić ewentualne drogi okrężne. Spędził jednak tyle czasu w Ameryce, że wiedział, jak jeździć ostrożnie i zgodnie z przepisami. Na ogół jeżdżono tu lepiej niż na Wschodnim Wybrzeżu, oprócz autostrad międzystanowych, na których każdy kierowca z Zachodu czuł się uprawniony przez samego Boga, by pędzić jak wariat. Ale teraz jechał nie drogą międzystanową, lecz czteropasmową, na której popołudniowa fala samochodów przemieszczała się łagodnie od skrzyżowania do skrzyżowania. Zdawał sobie sprawę, że nazbyt optymistycznie ocenił czas, jaki zajmie im przejazd, ale nie miało to znaczenia. Lenny nie będzie miał kłopotów z upilnowaniem ich „gościa”. Było już dość ciemno, latarni niewiele, a oni w swym samochodzie byli jak tyłu innych wracających z pracy do domu.

Biszarina ujechała już osiem kilometrów w przeciwnym kierunku. Wnętrze wozu wyglądało gorzej niż się spodziewała. Była osobą schludną, toteż przeraził ją widok podłogi, którą ten młody człowiek zasypał jakimiś plastikowymi opakowaniami. Ciekawe, że w tym Chevrolecie nie ma jeszcze mrówek. Na samą myśl ciarki przebiegły jej po plecach. Spojrzała w lusterko, by się upewnić, że Taussig jedzie za nią. W dziesięć minut później wjechała do dzielnicy robotniczej. Wszystkie domy miały tu podjazdy, ale nawet tutaj większość rodzin posiadała więcej niż jeden samochód, i te dodatkowe stały na ulicy. Znalazła wolne miejsce za rogiem i zaparkowała przy krawężniku. Kiedy pojawił się Datsun Taussig, przesiadła się do niego, pozostawiając Chevroleta wśród innych samochodów. Przy najbliższym znaku „Stop”

opuściła szybę po swojej stronie i wrzuciła kluczyki Gregory’ego do studzienki kanalizacyjnej.

Tym samym zakończyła się najbardziej niebezpieczna dla niej część zadania. Nie czekając na wskazówki Taussig ruszyła w kierunku pasażu handlowego, gdzie Biszarina zostawiła swe Volvo.

— Czy na pewno go nie zabijecie? — zapytała po chwili.

— Z pewnością nie — odpowiedziała Ann. Zdziwiło ją, że Bea odzyskała nagle sumienie.

— Wydaje mi się nawet, że będzie miał szansę prowadzić swe prace dalej... gdzie indziej. Jeżeli okaże chęć współpracy, będzie bardzo dobrze traktowany.

— Przydzielicie mu też dziewczynę, prawda?

— Jeden z lepszych sposobów uszczęśliwiania mężczyzn — przyznała Bisiarina. —

Ludzie szczęśliwi pracują lepiej.

— To dobrze — rzuciła Taussig, zaskakując tym nieco swą prowadzącą, a po chwili wyjaśniła: — Nie chcę, żeby coś mu się stało. Jego wiedza pomoże obu stronom w stworzeniu bezpieczniejszego świata. — W głębi duszy zaś pomyślała: I niech mi zejdzie z drogi!

— Jest zbyt wartościowy, by mu się coś stało — zauważyła Ann i dodała w myślach: Chyba, że coś pójdzie źle, a wtedy mogłyby mieć zastosowanie całkiem inne metody...

Bob zdziwił się, gdy samochody przed nim zaczęły się cofać. Stał tuż za mikrobusem. Jak wielu Amerykanów, nie znosił tego rodzaju pojazdów, ponieważ zasłaniały widok na drogę.

Otworzył popielniczkę i wepchnął w gniazdko zapalniczkę. Zmarszczył brwi myśląc o komplikacjach w planie. Siedzący obok Bill też sięgnął po papierosa. Pomagało to choć trochę zabić gryzący smród gazu, którym nasiąkły obicia w samochodzie. Bob postanowił, że na noc zostawi wszystkie szyby opuszczone, by pozbyć się tego zapachu. Teraz, gdy pęd powietrza nie wydmuchiwał chemicznego oparu z wnętrza, jego oczy również zaczęły łzawić. Prawie zrobiło mu się przykro z powodu porządnej dawki, jaką dali więźniowi, ale i tak było to lepsze od narkotyku, który mógł go zabić czy uderzenia, które mogło złamać jego chudą szyjkę.

Przynajmniej teraz zachowywał się grzecznie. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, przed końcem tygodnia zostanie dostarczony do Moskwy. Odczekają parę dni, zanim ruszą do Meksyku. Przejadą przez inny punkt graniczny, prawdopodobnie posługując się jakimś, jeszcze nie ustalonym podstępem, który przyspieszy przeprawę na granicy do wygodnego kraju, skąd można złapać samolot na Kubę, a stamtąd bezpośrednio do Moskwy. Po tym wszystkim cały zespół dostanie w Zarządzie Pierwszym miesiąc urlopu. Miło będzie — pomyślał Bob — znowu zobaczyć rodzinę. Za granicą człowiek czuje się samotnie, tak samotnie, że raz czy dwa był

niewierny swej żonie, co stanowi naruszenie obowiązujących przepisów. Chociaż wielu oficerów tego naruszenia nie bierze poważnie, osobiście czuł się z niego dumny. Może dostanie nowe stanowisko w Akademii KGB. Był już starszym oficerem, a po wykonaniu takiego zadania...

Samochody znowu ruszyły. Ze zdziwieniem spostrzegł, że mikrobus włączył

kierunkowskaz. W dwie minuty później ze zgrozą zobaczył dlaczego. Drogę blokował skrecony ciągnik z naczepą, a pod jego przednimi kołami widać było resztki zmiażdżonego małego auta.

Kilkanaście migających świateł oświetlało wysiłki policjantów i strażaków, by wydobyć tego durnia, który prowadził ową zagraniczną zabawkę — jej marki Bob nie był nawet w stanie określić. Jak większość kierowców, przez kilka sekund, gapił się zafascynowany na wrak, zanim nie przypomniał sobie, kim jest i gdzie jest. Ubrany na czarno policjant kładł na jezdni nowe flary oświetlające i kierował cały ruch w kierunku południowym na boczną drogę. Bob był już znowu oficerem wywiadu. Począł, aż koło policjanta będzie wolne pasmo i dodał gazu.

Ściągnął na siebie tylko gniewne spojrzenie, nic więcej. Co ważniejsze, policjant nie mógł dobrze przyjrzeć się samochodowi. Bill pomknął naprzód, ale uprzytomnił sobie, że wskutek chwilowego rozproszenia uwagi tam, na autostradzie, nie spojrzał dokąd prowadzi objazd. Nie zabrałem mapy — pomyślał teraz. Zniszczył ją uprzednio, ze względu na znajdujące się na niej zakreślenia. W samochodzie nie było żadnych map: niebezpiecznie mieć je ze sobą, a poza tym umiał nauczyć się na pamięć wszystkich informacji potrzebnych w działaniach. Ale w tej okolicy nie przebywał wystarczająco długo i znał tylko jedną trasę prowadzącą do kryjówki.

Szlag by trafił te wszystkie operacje „do wykonania natychmiast”!

Na pierwszym skrzyżowaniu skręcił w lewo, w wijącą się ulicę prowadzącą przez osiedla.

Po kilku minutach zdał sobie sprawę, że w tym pagórkowatym terenie wszystkie ulice krzyżują się ze sobą tak, że nie wiedział, w którą stronę jedzie. Po raz pierwszy, choć na mgnienie oka, stracił zimną krew. Jedno nieme rosyjskie przekleństwo przypomniało mu, że nie wolno mu nawet myśleć w ojczystym języku. Zapalił papierosa i jadąc powoli, starał się zorientować w okolicy. Załzawione oczy nie były w tym pomocne.

Zgubił się — zdał sobie po chwili sprawę Gregory. Naczytał się dość powieści szpiegowskich, by wiedzieć, że wiozą go do lokalu konspiracyjnego, lub na tajne lotnisko, czy do innego pojazdu, który zabierze go... dokąd? Gdy jednak rozpoznał samochód, koło którego przejeżdżali już kilka minut temu, musiał powstrzymać się od uśmiechu. Coś im się pokręciło.

Teraz znów zjeżdżali ze wzgórzy i Gregory utwierdził się w swym podejrzeniu, gdy ponownie zobaczył migające światła przy rozbitym samochodzie. Zauważył, że kierowca klnie pod nosem, gdy na podjeździe wykręcił, by raz jeszcze ruszyć pod górę.

Wszystko, czego Rosjanie nienawidzili w Ameryce powróciło do Boba ze zwielokrotnioną siłą. Zbyt wiele dróg, za dużo samochodów i ten cholerny amerykański dureń, który nie zatrzymał się przed znakiem „Stop”. Mam nadzieję, że zdechł — warczał do siebie, patrząc na zaparkowane wzdłuż ulicy samochody — że zdychając krzyczał w męce! Poczł się lepiej wypluwając z siebie te myśli.

Co dalej?

Jechał teraz inną drogą, prowadzącą przez wierzchołek wzgórza, z którego mógł spojrzeć w dół i dostrzec następną autostradę. Gdyby skręcił na południe, może dotarłby do tej drogi, na której był uprzednio... Można spróbować — pomyślał. Siedzący po prawej Bill spojrzał na niego pytająco, ale

Lenny był zbyt zajęty więźniem na tylnym siedzeniu, by zorientować się, że mają kłopoty. Gdy samochód nabrał prędkości, wpadające przez okno powietrze przywróciło mu przynajmniej ostrość widzenia. U podnóża wzniesienia zauważył światła drogowe, lecz był też znak „Zakaz skrętu w lewo”.

Gawno! — pomyślał Bob, skręcając w prawo na czteropasmową drogę, przedzieloną betonową barierą.

Trzeba było poświęcić więcej czasu mapie. Trzeba było przez kilka godzin pojeździć po okolicy. Teraz już na to za późno. Wiedział, że nie ma czasu. Jechali na północ. Bob spojrzął na zegarek, zapominając o zegarze na tablicy przyrządów. Stracił już piętnaście minut. Znajdował

się na terenie wroga, z dala od kryjówki wystawiał się na niebezpieczeństwo. A jeżeli ktoś widział ich wtedy na parkingu? A może policjant przy rozbitym samochodzie zapisał ich numer?

Bob nie poddał się panice. Zbyt dobrze go wyszkolono. Nakazał sobie odetchnąć głęboko i przebiegł w pamięci mapy tego obszaru, które przedtem oglądał. Był na zachód od autostrady międzystanowej. Gdyby zdołał ją odnaleźć, to pamiętając wyjazd, z którego korzystał za dnia (czy to wciąż jeszcze ten sam dzień?), dojechałby do kryjówki z zawiązanymi oczami. Jeżeli więc znajdował się na zachód od międzystanowej, wystarczyło tylko odszukać drogę prowadzącą na wschód. Na wschód trzeba jechać w prawo. Kolejny głęboki wdech. Pojedzie na północ, aż zobaczy jakąś większą drogę z zachodu na wschód, i wtedy skręci w prawo. Dobrze. Zajął mu to prawie pięć minut, ale znalazł drogę ze wschodu na zachód. Nie zadał sobie nawet trudu, by sprawdzić, jak się nazywa. Po następnych pięciu minutach z ulgą spostrzegł tarczę w czerwono-biało-niebieskie pasy, informującą, że o osiemset metrów przed nim była autostrada międzystanowa. Zaczął oddychać swobodniej.

— Jakiś kłopot? — zapytał w końcu Lenny z tylnego siedzenia.

— Musiałem zmienić trasę — odpowiedział mu po rosyjsku Bob głosem o wiele spokojniejszym, niżby zdołał parę minut przedtem. Ale mówiąc to, obrócił się do tyłu i przeoczył

znak.

Przed nimi był wiadukt międzystanowej. Zielone znaki informowały, że może jechać na północ albo na południe. Chciał jechać na południe, a wjazd na autostradę...

Znalazł się w nieodpowiednim miejscu. Jechali prawym pasem, a wjazd był po lewej, i to zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej. Bez oglądania się szarpnął kierownicą w lewo. Jadący tuż za nim kierowca Audi wdusił hamulec i walnął dłonią w klakson. Bob zlekceważył to i już skręcał

w lewo na podjazd. Jechał łukiem pod górę, obserwując ruch na międzystanowej, gdy zobaczył

za sobą światła migające na dachu czarnego samochodu. Błysnęły reflektory, wiedział, co będzie dalej.

Nie wpadaj w panikę — powiedział sobie. Nie musiał nic mówić swym towarzyszom.

Bob nawet nie rozważał możliwości ucieczki. Tego ich także uczono. Amerykańscy policjanci są uprzejmi i fachowi. Nie żądają zapłaty na miejscu, jak moskiewska drogówka. Wiedział także, że amerykańscy gliniarze uzbrojeni są w rewolwery typu Magnum.

Bob zatrzymał Plymoutha tuż za wiaduktem i czekał. Widział w lusterku, jak samochód policyjny zatrzymuje się za nimi, trochę bardziej w lewo. Wsiadł z niego policjant z notatnikiem w lewym ręku. Bob wiedział, że w ten sposób ma wolną prawą, tę od rewolweru. Lenny ostrzegł

więźnia, co go czeka, jeżeli się odezwie.

— Dobry wieczór, panu — przywitał go policjant. — Nie wiem, jakie są przepisy w Oklahomie, ale tutaj nie lubimy, jeżeli ktoś w ten sposób zmienia pas ruchu. Mogę prosić o prawo jazdy i dowód rejestracyjny? — Czarny mundur ze srebrzystymi elementami przywiódł

Leonidowi na myśl SS, ale nie była to pora na takie porównania. Zachowuj się uprzejmie —

powiedział sobie spokojnie — weź mandat i ruszaj. Podał dokumenty i czekał, podczas gdy policjant zaczął wypisywać blankiet mandatu. Może teraz wypada przeprosić...?

— Przepraszam, ale myślałem, że wjazd jest po prawej stronie i...

— Po to właśnie, panie Taylor, wydajemy pieniądze na oznakowanie. Czy to pański aktualny adres?

— Tak. Jak mówiłem, przepraszam. Jeżeli chce mi pan wlepić mandat, to chyba na to zasłużyłem.

— Chciałbym, żeby wszyscy wykazywali tak dobrą wolę — zauważył policjant. Nie każdy ją jednak okazywał, postanowił więc zobaczyć, jak ten uprzejmy facet wygląda. Spojrzał

na fotografię w prawie jazdy, a potem schylił się, by sprawdzić, czy zgadza się z osobą. Oświetlił twarz Boba. Twarz ta sama, ale... — Co tu tak śmierdzi?

W sekundę później już wiedział: gaz. Przesunął światło latarki. Ludzie w samochodzie wyglądali całkiem normalnie: dwóch z przodu, dwóch z tyłu... jeden z tych na tylnym siedzeniu miał na sobie coś jakby mundur...

Gregory zastanawiał się, czy jego życie naprawdę stanęło na rozstajach... Postanowił to sprawdzić i modlił się, by policjant był spostrzegawczy.

Ten po lewej stronie z tyłu, ten w mundurze, samym tylko ruchem warg bezgłośnie wyrzekł jedno słowo: pomocy... To obudziło zainteresowanie policjanta, ale mężczyzna siedzący obok kierowcy też to zobaczył i szarpnął się. W tym momencie wszystkie odruchy gliniarza zadziały natychmiast. Prawa dłoń ześlizgnęła się ku służbowemu rewolwerowi i odpięła pasek zabezpieczający.

— Wysiądać z wozu, po jednym, ale już!

Widok pistoletu go przeraził. Pojawił się jakby w czarodziejski sposób w ręku faceta na prawym tylnym siedzeniu i zanim zdążył wyciągnąć swój rewolwer...

Prawa dłoń Gregory'ego spóźniła się, ale łokieć trafił: ręka Lenny'ego drgnęła.

Policjant był zdziwiony, że nic nie usłyszał oprócz kilku słów w języku, którego nie znał, ale zanim doszło to do jego świadomości, biały obłoczek rozwalil mu szczękę, co bardziej usłyszał niż poczuł. Z rewolwerem w dłoni, strzelającym jakby samoczynnie, padł do tyłu.

Bob skulił się i wrzucił bieg. Przednie koła zabuksowały na żwirze, ale złapały grunt i odciągnęły, trochę za wolno, samochód od huków rewolweru. Na tylnym siedzeniu Lenny, ten który strzelił, uderzył Gregory'ego kolbą pistoletu w głowę. Jego precyzyjnie wycelowana kula powinna przejść dokładnie przez serce policjanta, zamiast tego jednak trafiła go w twarz; nie wiedział, czy to wystarczyło. Krzyknął coś, ale Bob go nie słuchał.

W trzy minuty później Plymouth zjechał z autostrady międzystanowej. Za miejscem wypadku, który blokował ruch, droga była prawie pusta. Wyłączywszy światła, Bob zjechał z niej i samochód dotarł do przyczepy, zanim więzień odzyskał przytomność.

Jadący autostradą kierowca zobaczył leżącego policjanta i zatrzymał się, by mu pomóc.

Mężczyzna wił się z bólu, z krwawiącą raną twarzy i dziewięcioma wybitymi zębami. Kierowca podbiegł do samochodu policyjnego i nadał wezwanie przez radio. Całą minutę zabrało dyżurnemu zrozumienie, o co chodzi, ale w trzy minuty później był już tam drugi radiowóz, a po pięciu minutach kilka następnych. Ranny oficer nie mógł mówić, podniósł jednak notatnik, w którym zapisał numer rejestracyjny i opis samochodu. Miał także prawo jazdy „Boba Taylora”.

To wystarczyło pozostałym policjantom. Natychmiast nadano wezwanie na wszystkich lokalnych częstotliwościach: ktoś strzelał do policjanta. Przystępstwo, które popełniono uprzednio, było o wiele poważniejsze, lecz policja o tym nie wiedziała, zresztą i tak by jej nie obchodziło.

Candi była zaskoczona, że Ala nie ma w domu. Po zastrzyku Xylocainy wciąż miała zdrętwiałą szczękę i dlatego zdecydowała się na zupę. Ale gdzie jest Al? Może musiał dłużej zostać w pracy? Mogła wprawdzie zadzwonić, ale w końcu to nie taka istotna sprawa. W tym stanie i tak dużo by nie powiedziała.

W komendzie policji przy Cerrillos Road już szumiały komputery. Natychmiast wysłano teleks do Oklahomy. Tamtejsi koledzy — policjanci, błyskawicznie uznali rozmiar zbrodni i przejrzeni zasoby swoich komputerów. Wykryli od razu, że nie ma prawa jazdy wystawionego na Roberta J. Taylora, zamieszkałego przy 108 Ulicy pod numerem 1353 w Oklahoma City (kod pocztowy OK 73210), ani też Plymoutha Reliant z tablicą rejestracyjną KSW-498. W istocie takiego numeru w ogóle nie było. Kierujący sekcją komputerów sierżant poczuł coś więcej niż tylko zdziwienie. Dowiedzieć się, że nie ma w rejestrze jakiejś tablicy to nic nadzwyczajnego, ale żeby nie trafić ani na tablicę, ani na prawo jazdy, i to w sprawie o postrzelenie policjanta? Coś podobnego nie mieściło się w ramach teorii

prawdopodobieństwa. Zadzwoił do starszego oficera dyżurnego.

— Panie kapitanie, mamy tu coś cholernie dziwnego w sprawie postrzelenia Mendeza.

W stanie Nowy Meksyk jest mnóstwo terenów należących do rządu federalnego, na których ód dawna odbywają się różne ściśle tajne działania. Kapitan nie miał pojęcia co się wydarzyło na autostradzie, ale od razu zdał sobie sprawę, że to nie jest zwykły incydent drogowy. W minutę później telefonował już do miejscowego biura FBI.

Jennings i Perkins dotarli do szpitala, zanim Mendeza wywieziono z sali operacyjnej. W

poczekalni roiło się od policji, dobrze się więc złożyło, że nie przywożono w tym czasie na chirurgię innych pacjentów. Oprócz prowadzącego śledztwo kapitana, był także kapelan policji stanowej, paru innych policjantów, którzy pracowali na tej samej zmianie co Mendez oraz pani Mendez, w siódmym miesiącu ciąży. Wkrótce pojawił się lekarz i oznajmił, że pacjentowi nic nie grozi. Bez trudu poradzono sobie z jedynym poważnym uszkodzeniem tętnicy. Najbardziej ucierpiał żuchwa i zęby, ale za parę dni zajmie się tym chirurg szczękowy. Żona policjanta trochę popłakała, potem pozwolono jej zobaczyć męża, wreszcie dwóch jego kolegów odwiozło ją do domu. Teraz nadszedł czas, by zabrać się do sprawy.

— Facet chyba trzymał temu biedakowi pistolet pod żebrami — wolno mówił Mendez, a jego słowa zniekształcała odrutowana żuchwa. Odmówił wzięcia środka przeciwbólowego.

Skłonny był trochę pocierpieć, byle szybko przekazać to, co widział. Był wściekły. — Tylko dlatego mógł tak szybko strzelić.

— Czy zdjęcie w prawie jazdy było prawdziwe? — zapytała agentka Jennings.

— Tak, proszę pani. — Pete Mendez był młodym policjantem i zwracając się do niej w ten sposób dał Jennings odczuć różnicę wieku. Następnie podał przybliżony opis pozostałej dwójki, a w końcu opis ofiary: — Około trzydziestki, chudy, w okularach. Miał na sobie kurtkę, jakby mundurową. Nie widziałem żadnych insygniów, ale nie zdążyłem się przyjrzeć. Był też krótko ostrzyżony, jakby służył w wojsku. Nie widziałem koloru oczu, ale było w nich coś ciekawego... jakby błyszczące... no tak, zapach gazu. Może to dlatego. Nic nie powiedział, tylko tak jakby poruszył ustami. Pomyślałem, że to dziwne, ale ten facet koło kierowcy aż podskoczył.

Byłem wolny, za wolny. Powinienem zadziałać szybciej.

— Mówi pan, że jeden z nich coś powiedział? — zapytał Perkins.

— Ten skurwiel, który do mnie strzelił. Nie wiem, co to było. Ani angielski, ani hiszpański. Pamiętam tylko ostatnie słowo... mat, albo, coś takiego. — Tak, właśnie tak —

potwierdził Mendez. — A co to znaczy?

— To znaczy „kurwa twoja mać”. Przepraszam — wyjaśnił Perkins, a jego twarz jak przystało na mormona, oblał rumieniem. Mendez zeszywniał na łóżku. Takich rzeczy nie mówi się w obecności rozgniewanego człowieka o latyńskim nazwisku.

— Co? — wtrącił się kapitan policji.

— To jedno z ulubionych rosyjskich przekleństw. — Perkins spojrzął na Jennings.

— O rany! — Wciągnęła głęboko powietrze, z trudnością zbierając myśli. — Dzwonimy do Waszyngtonu.

— Musimy zidentyfikować tego... chwileczkę, czyżby to Gregory? — zapytał Perkins.

— Dobry Boże. Ty dzwoń do Waszyngtonu. Ja zadzwonię do ośrodka.

Okazało się, że najszybciej potrafi działać policja stanowa. Candi usłyszała pukanie, otworzyła drzwi i z zaskoczeniem zobaczyła, że stoi za nimi policjant. Zapytał uprzejmie, czy mógłby zobaczyć się z majorem Alanem Gregory i usłyszał, że nie ma go w domu. Młodej kobiecie powracało czucie w obolałej szczęce, gdy świat dookoła niej zaczął się walić. Ledwie zdążyła wysłuchać tego, co miał do powiedzenia policjant, kiedy przyjechał szef służby bezpieczeństwa w KLIPRZE HERBACIANYM. Była zaledwie biernym świadkiem nadawania przez radio wezwania do poszukiwań samochodu Ala, zbyt wstrząśnięta, by choćby zapłakać.

Fotografia z prawa jazdy Boba Taylora trafiła już do Waszyngtonu, gdzie sprawdzali ją funkcjonariusze kontrwywiadu FBI, ale w kartotece znanych im oficerów radzieckich nic nie znaleziono. Starszy oficer dyżurny wezwał zastępcę dyrektora FBI do spraw kontrwywiadu z jego domu w Alexandrii. Z kolei zastępca zadzwonił do dyrektora naczelnego, Emila Jacobsa, który zjawił się w siedzibie Biura w Hoover Building o drugiej nad ranem. Z trudem przyszło im w to uwierzyć, ale ranny policjant ponad wszelką wątpliwość rozpoznał na zdjęciu majora Alana T. Gregory'ego. Nigdy dotąd Rosjanie nie uciekli się do użycia przemocy na terenie Stanów Zjednoczonych. Zasadę tę uznawano za tak oczywistą, że nawet najwyżsi rangą zbiegowie radzieccy mogli, jeśli tylko chcieli, żyć tu bez potrzeby ukrywania się i ochrony. To, co się teraz zdarzyło było gorsze niż zlikwidowanie kogoś, kto według prawa radzieckiego jest zdrajcą zasługującym na wyrok śmierci. Porwano obywatela amerykańskiego, a dla FBI porwanie niewiele się różni od morderstwa.

Niemniej teoretycznie wszystko przewidziano. Chociaż do tej pory nic podobnego się nie zdarzyło, eksperci, których zadaniem było myślenie o tym, co jest nie do pomyślenia, wiedzieli, co w takim wypadku należy zrobić. Przed świtem z bazy lotnictwa Andrews odleciało trzydziestu agentów FBI, w tym członkowie elitarnego Zespołu Ratowania Zakładników. Agenci z terenowych biur FBI na południowym zachodzie Stanów poinformowali o sprawie funkcjonariuszy straży granicznej.

Bob-Leonid siedział samotnie, popijając letnią kawę: Dlaczego nie pojechałem prosto i nie zawróciłem dopiero na końcu ulicy? Dlaczego tak się spieszyłem? Dlaczego się tak denerwowałem,

kiedy nie było potrzeby?

Teraz dopiero nadszedł czas na zdenerwowanie. W samochodzie były trzy dziury od kul, dwie po lewej stronie i jedna w pokrywie bagażnika. Policja miała jego prawo jazdy, a w nim zdjęcie.

W ten sposób, tawariszcz, nie dostaje się miejsca wykładowcy w naszej akademii —
uśmiechnął się do siebie posepnie.

Jedyna pociecha, że znajdował się w bezpiecznym schronieniu. Mógł się tu kryć przez dzień albo dwa. Była to najwyraźniej „meta” kapitan Bisiariny, a więc z założenia tylko miejsce, w którym zaszyć się może oficer zmuszony do ucieczki. Dlatego też nie było tu ani telefonu, ani innej możliwości skontaktowania się z miejscowym rezydentem. A jeżeli ona nie wróci? —

pomyślał. Wtedy będzie musiał zaryzykować jazdę samochodem ze znanymi numerami — i śladami od kul! — aż uda mu się ukraść gdzieś następny wóz. Przed oczami stawał mu obraz tysięcy policjantów patrolujących drogi z jedną tylko myślą: znaleźć tych szaleńców, którzy postrzelili ich kolegę. Jak mógł dopuścić, by wszystko potoczyło się tak źle, i to tak szybko!

Usłyszał podjeżdżający samochód. Lenny nadal pilnował więźnia. Bob i Bill wyciągnęli pistolety i wyjrzeni ostrożnie przez jedyne okno wychodzące na polną drogę prowadzącą do przyczepy. Odetchnęli z ulgą na widok Volvo Bisiariny. Wysiadła, wykonała umówiony znak ręką „Wszystko w porządku” i ruszyła w kierunku przyczepy, trzymając dużą torbę.

— Gratulacje! W telewizji aż huczy o was — powiedziała wchodząc. Idiota. Nie musiała nic mówić. Wisiało to w powietrzu jak burzowa chmura.

— To długa historia — odpowiedział, świadom, że to kłamstwo.

— Nie wątpię. — Postawiła torbę na stole. — Jutro wynajmę wam nowy samochód.

Jazda waszym jest zbyt niebezpieczna. Gdzie go...

— Dwieście metrów stąd, w największej gęstwinie, w jaką mogliśmy go wpakować, przykryty gałęziami. Trudno go będzie zauważyć, nawet z powietrza.

— Właśnie, nie zapominajcie o tym. Tutejsza policja ma śmigłowce. Trzymajcie. —

Rzuciła w stronę Boba czarną perukę, potem okulary: jedną parę ze zwykłymi szklami, drugą z „lustrzanymi”. — Macie uczulenie na makijaż?

— Na co?!

— Na makijaż, wy głupie...

— Towarzyszko kapitan... — zaczął gniewnie Bob, ale Bisiarina zgasiła go wzrokiem.

— Macie bladą skórę. Jeżeli jeszcze tego nie zauważyliście, to przyjmijcie do wiadomości, że spora część tutejszej ludności jest pochodzenia latynoskiego. To mój teren i zrobicie teraz to, co wam powiem. — Przerwała na chwilę. — Wyciągnę was stąd.

— Ta Amerykanka zna was z widzenia...

— Oczywiście. Rozumiem, że chcecie ją zlikwidować? W końcu złamaliśmy już jedną zasadę, więc dlaczego by i nie drugą? Co za pieprzony szalenciec zarządził tę operację?

— Rozkaz przyszedł z bardzo wysokiego szczebla — odparł Leonid.

— Jak wysokiego? — zapytała, ale odpowiedziało jej nader wymowne uniesienie brwi.

— Chyba żartujecie.

— Charakter rozkazu, klauzula „wykonać natychmiast”... jak myślicie?

— Myślę, że nasze kariery są skończone, a to zakłada, że... no, że my też. Ale nie zgodzę się na zamordowanie mojej agentki. Jeszcze nikogo nie zabiliśmy, a nie wydaje mi się, żeby otrzymane rozkazy przewidywały...

— Macie rację — powiedział głośno Bob, jednocześnie jednak wyraźnie pokręcił głową.

Bisiarina zastygła w niemym zdumieniu.

— To może rozpocząć wojnę — powiedziała cicho po rosyjsku. Nie chodziło jej o wojnę prawdziwą, ale raczej o coś równie groźnego, o jawny konflikt między KGB i CIA, coś, do czego nigdy jeszcze naprawdę nie doszło, nawet w krajach Trzeciego Świata, gdzie kończyło się zazwyczaj na zabijaniu zastępczych ofiar przez zastępczych zabójców, i to nieświadomych swej roli. Ale nawet takie rzeczy zdarzały się rzadko. Zadaniem wywiadu jest zbieranie informacji.

Przemoc, co milcząco uznawały obie strony, przeszkadza w wykonaniu tego zadania. Jeżeli jednak obie strony zaczną mordować kluczowe postaci swych przeciwników...

— Trzeba było odmówić wykonania rozkazu — powiedziała po chwili.

— Jasne — odrzekł Bob. — O ile wiem, o tej porze roku obozy na Kołymie, pokryte skrzącą warstwą śniegu, wyglądają przepięknie. — Ludziom z Zachodu mogło się wydać dziwne, że nikt z nich nawet nie rozważał ujawnienia się z prośbą o azyl polityczny. Uniknęliby wtedy zagrożeń osobistych, lecz oznaczałoby to zdradę ojczyzny.

— To, co tu robicie, to wasza sprawa, ale ja swojej agentki nie zabiję — powiedziała Ann ucinając rozmowę na ten temat. — Wyciągnę was.

— Jak?

— Jeszcze nie wiem. Chyba samochodem, ale muszę wymyślić coś innego. Może nie osobowym. Może ciężarowym — zastanawiała się. Jeździło tu mnóstwo ciężarówek, a kobieta za kierownicą nie była niczym nadzwyczajnym. Może przejechać granicę furgonetką, furgonetką ze skrzyniami... Gregory, odurzony i zakneblowany, w skrzyni... a może wszyscy... jak postępują celnicy w takich przypadkach? Dotąd się tym nie interesowała. Gdyby o operacji uprzedzono ją wcześniej, miałyby czas na znalezienie odpowiedzi na wiele pytań.

Spokojnie — powiedziała sobie. Mieliśmy już dość pośpiechu, prawda?

— Za jakieś dwa, może trzy dni.

— To długo — zauważył Leonid.

— Tyle będzie mi potrzeba dla oceny podjętych przez nich środków, z którymi będziemy musieli się liczyć. Jak na razie, nie gólcie się.

Po chwili Bob kiwnął głową. — To wasz teren.

— Kiedy wróćcie, wykorzystajcie ten przypadek do napisania studium „Dlaczego operacje wymagają odpowiedniego przygotowania” — powiedziała Bisiarina. — Czy potrzebujecie jeszcze czegoś?

— Nie.

— W porządku. Zobaczymy się jutro po południu.

— Nie — odpowiedziała Beatrice Taussig agentom. — Rozmawiałam z Alem dziś po południu. Chciałam — spojrzała niepewnie na Candi — chciałam, żeby mi jutro pomógł... no, żeby mi pomógł z prezentem urodzinowym dla Candace. Widziałam go potem na parkingu, ale to wszystko. Czy naprawdę uważacie, że... że Rosjanie...?

— Na to wygląda — odparła Jennings.

— Mój Boże.

— Czy major Gregory wie dość... — Ku zdumieniu Jennings zamiast dr Long odpowiedziała Taussig:

— Tak, jest jedynym, który w pełni obejmuje całe przedsięwzięcie. Al to bardzo inteligentny facet. No i przyjaciel — dodała, czym zasłużyła sobie na ciepły uśmiech Candi.

Teraz w oczach Bei pokazały się prawdziwe łzy. Przykro jej było widzieć rozpacz przyjaciółki, chociaż wiedziała, że teraz wszystko ułoży się dla niej pomyślnie.

— Ryan, to się panu spodoba. — Candela podał telegram Jackowi, który właśnie wrócił z kolejnej rundy rozmów w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, mieszczącym się przy Bulwarze Smoleńskim w dwudziestopiętrowym torcie ala Stalin.

— A to skurwysyn — wydyszał Ryan.

— Chyba nie spodziewał się pan, że będzie współpracował? — zapytał sardonicznie oficer, ale po chwili zmienił zdanie. — Przepraszam, doktorze, ja też się tego nie spodziewałem.

— Znam tego dzieciaka. Sam obwoziłem go po Waszyngtonie, kiedy do nas przyjechał z instruktażem... — To twoja wina, Jack — pomyślał. — Przecież to skutek twojego posunięcia.

Zadał kilka pytań.

— Tak, to właściwie pewne — odpowiedział Candela. — Wygląda na to, że spieprzyli sprawę. Zdaje się, że wymyślili to z dnia na dzień. Chłopie, oficerowie KGB to w końcu też nie supermeni, wykonują rozkazy, tak jak i my.

— Ma pan jakiś pomysł?

— Tutaj nie możemy dużo działać, możemy tylko mieć nadzieję, że lokalne gliny do wszystkiego dojdą.

— Ale jeżeli to się dostanie do wiadomości publicznej...

— Proszę o dowody. Nie oskarża się obcego rządu o coś takiego bez dowodów. Do diabła, przecież w ciągu ostatnich dwóch lat lewicowi terroryści zamordowali w Europie z pół

tuzina naukowców współpracujących z programem Inicjatywy Obrony Strategicznej, że już nie wspomnę o kilku „samobójstwach”. Z tego też nie robimy sprawy publicznej.

— Ale to, do cholery, narusza zasady.

— Tak naprawdę, doktorze, jest tylko jedna zasada: wygrać.

— Czy Rządowa Agencja Informacyjna nadal prowadzi tę światową sieć telewizyjną?

— Chodzi panu o „Worldnet”? Jasne. Świetny program.

— Jeżeli nie dostaniemy go z powrotem, osobiście puszcze na cały świat sprawę

„Czerwonego Października” i pieprze konsekwencje! — zaklął Ryan. — Zrobię to, nawet gdyby miało mnie to kosztować karierę.

— „Czerwony Październik”? — Candela nie miał pojęcia, o czym Ryan mówi.

— Proszę mi wierzyć, to dobry numer.

— Niech pan to powie swym przyjaciołom z KGB... to może nawet poskutkować.

— Nawet jeśli nie poskutkowało — dopowiedział Ryan spokojniejszym już tonem. To twoja wina Jack — pomyślał. Widział, że w tym Candela się z nim zgadza.

Według policji stanowej najzabawniejsze było to, że prasie nie rzucono na żer tej sprawy.

Natychmiast po przyjeździe zespołu FBI ustalono pewne zasady. Na razie był to zwykły przypadek strzelaniny z policją. Udział agencji rządowych miał być trzymany w sekrecie, a gdyby wyszedł na jaw, oświadczy się, że poproszono o pomoc federalną w ujęciu międzynarodowego handlarza narkotyków. Policja w Oklahomie miała odpowiadać ciekawskim dziennikarzom, że udzielała tylko swym kolegom-policjantom pomocy w identyfikacji.

Tymczasem sprawę przejęła FBI i jej agenci zaczęli akcję w terenie. Obywatelom powiedziano, że pobliskie bazy wojskowe przeprowadzają specjalne ćwiczenia w poszukiwaniu i ratownictwie żołnierzy, co tłumaczyło niezwykłą aktywność śmigłowców. Pracowników KLIPRA HERBACIANEGO poinformowano o tym, co się stało i również nakazano zachować wszystko w tajemnicy.

Samochód Gregory'ego znaleziono już po kilku godzinach. Brak było odcisków palców (Bisiarina nosiła oczywiście rękawiczki) i jakichkolwiek innych przydatnych śladów, choć miejsce, w którym pozostawiono auto oraz miejsce strzelaniny potwierdzały jedynie, że była to sprawka zawodowców.

Gregory był dla Waszyngtonu osobą ważniejszą niż Ryan. Tego ranka pierwszymi gośćmi prezydenta byli: generał Bill Parks, dyrektor FBI Emil Jacobs i sędzia Moore.

— Co nowego? — zapytał prezydent Jacobsa.

— Takie sprawy potrzebują czasu. Pracuje tam, panie prezydencie, paru moich najlepszych śledczych, ale zagłądanie im przez ramię może tylko spowolnić działania.

— Bill — teraz prezydent zwrócił się do generała — jak ważny jest ten chłopak?

— Jest bezcenny — odpowiedział po prostu Parks. — To jeden z moich trzech najlepszych ludzi, i nie tak łatwo ich zastąpić.

Prezydent wysłuchał tego z powagą. Potem zwrócił się do sędziego Moore'a: — To myśmy to spowodowali, prawda?

— Można by tak powiedzieć, panie prezydencie. Niewątpliwie uderzyliśmy Gierasimowa w bardzo czułe miejsce. Moja ocena zgadza się z oceną generała. Potrzebują wiedzy Gregory'ego. Gierasimow prawdopodobnie uważa, że jeżeli uzyska tak ważne informacje, uda mu się przezwyciężyć polityczne konsekwencje ujawnienia sprawy „Czerwonego Października”.

Trudno to stwierdzić z tej strony oceanu, ale najprawdopodobniej jego ocena sytuacji jest prawidłowa.

— Wiedziałem, że nie powinniśmy tego robić... — powiedział cicho prezydent, a potem pokręcił głową. — Cóż, ja za to odpowiadam. To ja wydałem zgodę. Jeżeli prasa...

— Panie prezydencie, jeżeli prasa czegoś się dowie, to na pewno nie od CIA. Po drugie, zawsze możemy powiedzieć, że była to desperacka, wolałbym określenie „zdecydowana”, próba uratowania życia naszego agenta. Nie ma potrzeby mówić nic więcej, a w końcu od wywiadu należy oczekiwać takich działań. Oni idą na całego, by ratować swych agentów, my też. To jedna z reguł tej gry.

— Jak wpasować Gregory’ego w te reguły? — zapytał Parks. — A jeśli dojdą do wniosku, że mamy szansę go odbić?

— Nie wiem — przyznał Moore. — Jeżeli Gierasimowowi uda się przetrzymać, prawdopodobnie powiadomi nas, że go do tego zmusiliśmy, że przeprasza, że to się nigdy nie powtórzy. Będzie oczekiwał, że raz czy dwa odpłacimy mu pięknym za nadobne, ale na tym koniec, ponieważ ani KGB, ani CIA nie chcą wszczynać wojny. Mówiąc bez ogródek, panie generale, uważam, że prawdopodobnie mają rozkaz całkowitej eliminacji obiektu.

— To znaczy zamordowania go? — zapytał prezydent.

— Niewykluczone. Wydaje się, że Gierasimow zlecił to zadanie w pośpiechu. Ludzie zdesperowani skłonni są wydawać desperackie rozkazy. Byłoby nieostrożnością z naszej strony zakładać coś innego.

Prezydent przez chwilę rozważał słowa sędziego. Odchylił się w fotelu i popijał kawę. —

Emilu, jeżeli zdołamy go odnaleźć...?

— Zespół Ratowania Zakładników jest w pogotowiu. Są już na miejscu. Lotnictwo wojskowe właśnie transportuje ich pojazdy, ale na razie mogą tylko siedzieć i czekać.

— Jeżeli wkroczą do akcji, jaka jest szansa, że go uratują?

— Spora, panie prezydencie — odpowiedział Jacobs.

— „Spora” nie załatwia sprawy — rzucił Parks. — Jeżeli Rosjanie mają rozkaz go wywieźć...

— Moi ludzie są nie gorzej wyćwiczeni — odpowiedział dyrektor FBI.

— Jakie mają zasady użycia broni? — naciskał Parks.

— Szkoleni są do zabijania w obronie własnej oraz osób niewinnych. Jeżeli wygląda na to, że ktoś zagraża zakładnikowi, ten ktoś jest już martwy.

— To nie wystarczy — stwierdził Parks.

— O co ci chodzi? — zapytał prezydent.

— Ile trzeba czasu, żeby się obrócić i rozwalić komuś głowę? A jeżeli tamci są gotowi zginąć, byle tylko wypełnić zadanie? Tego przecież spodziewamy się po naszych ludziach, prawda?

— Arturze? — Głowy obecnych zwróciły się ku sędziemu Moore'owi. Dyrektor CIA wzruszył ramionami. — Nie mogę wyrokować, do jakiego stopnia Rosjanie zdolni są do podobnego poświęcenia. Czy to możliwe? Tak, chyba tak. Czy to pewne? Tego nie wiem. Nikt tego nie wie.

— Zarabiałem kiedyś na życie latając myśliwcami. Znam czas ludzkich reakcji —

powiedział Parks. — Jeżeli taki facet zdecyduje się obrócić i strzelić, to nawet jeżeli wasz człowiek będzie go miał na muszce, może nie być dość szybki, by uratować Ala.

— To co mam zrobić, kazać moim ludziom zabijać każdego, kogo zobaczą? — zapytał

Jacobs spokojnie. — Tego nie robimy. Tego nam nie wolno robić.

Teraz Parks zwrócił się do prezydenta. — Sir, nawet jeżeli Rosjanie nie dostaną Gregory'ego, jeżeli go stracimy, oni i tak wygrają. Miną lata, zanim ktoś go zastąpi. Chciałbym zauważyć, że ludzie dyrektora Jacobsa są wyszkoleni do działań przeciw kryminalistom, a nie takim jak ci, i nie w takiej sytuacji. Panie prezydencie, proponuję ściągnąć Delta Force z Fortu Bragg.

— Oni nie mają takich uprawnień — natychmiast zaproponował Jacobs.

— Mają odpowiednie przeszkolenie — powiedział generał. Prezydent odezwał się dopiero po dłuższej chwili. — Emilu, czy twoi ludzie dokładnie wykonują rozkazy?

— Zrobią to, co pan rozkaże. Ale musi to być pański rozkaz, na piśmie.

— Czy możesz mnie z nimi połączyć?

— Tak, panie prezydencie. — Jacobs podniósł słuchawkę i zlecił połączenie linią szyfrowaną, za pośrednictwem swego biura w Hoover Building.

— Z agentem Wernerem proszę... Agent Werner? Tu dyrektor Jacobs. Mam dla pana specjalną wiadomość. Proszę czekać. — Podał słuchawkę prezydentowi. — To Gus Werner, dowódca zespołu od pięciu lat. Odrzucił awans, byle tylko zostać w Zepole.

— Pan Werner? Mówi prezydent. Czy poznaje pan mój głos? To dobrze. Proszę słuchać uważnie. W przypadku, gdybyście mieli podjąć próbę ratowania majora Gregory'ego, waszym jedynym zadaniem jest wydostanie go całego. Wszystkie inne względy są wobec tego drugorzędne. Aresztowanie tych kryminalistów nie jest, powtarzam, nie jest kwestią zasadniczą.

Czy to jasne? Tak, nawet możliwość zagrożenia życia zakładnika jest wystarczającą podstawą do użycia broni. Major Gregory jest dla naszego kraju niezastąpiony. Jedynym waszym zadaniem jest uratowanie mu życia. Złożę to, co powiedziałem, w formie pisemnej na ręce waszego dyrektora. Dziękuję i życzę powodzenia. — Prezydent odłożył słuchawkę. — Mówi, że rozważali taką możliwość.

— On na pewno — skinął głową Jacobs. — Gus ma wyobraźnię. A teraz notatka, panie prezydencie.

Prezydent wziął z biurka kartkę papieru i napisał rozkaz. Dopiero kiedy skończył, zdał

sobie sprawę z tego, co zrobił. Nie wymagało to wielkiego wysiłku myślowego: przed chwilą własnoręcznie wystawił nakaz egzekucji. Okazało się to przygnębiająco łatwe. — Generale, czy jest pan zadowolony?

— Mam nadzieję, że ci ludzie są tak dobrzy, jak twierdzi dyrektor. — Parks nie miał nic więcej do powiedzenia.

— Panie sędzio, czy będą jakieś reperkusje z drugiej strony?

— Nie, panie prezydencie. Nasi radzieccy koledzy rozumieją takie postępowanie.

— To na razie tyle. — A w myślach dodał: I niech Bóg zlituje się nad mą duszą.

Nikt nie zmrużył oka. Oczywiście Candi nie poszła do pracy. Od przyjazdu ekipy śledczej w Waszyngtonu Jennings i Perkins byli cały czas przy niej. Należało brać pod uwagę możliwość

— nawet nikłą — że Gregory’emu uda się zbiec, a wtedy najpierw skontaktowałby się z nią. Był też i inny powód, ale na razie go nie podawano.

Beatrice Taussig rozpierała wręcz energia. Spędziła noc robiąc porządki w domu i parząc wszystkim kawę. Jakkolwiek mogło się to wydać dziwne, pozwalało jej to zająć się czymś, a nie tylko siedzieć z przyjaciółką. Oczywiście dużo przebywały razem, to jednak nikogo nie dziwiło.

Tak zazwyczaj postępują przyjaciółki.

Dopiero po kilku godzinach Jennings zauważyła, że Bea ma na sobie strój naprawdę kobiecy. Poprzedniego dnia zadała sobie wiele trudu, by ładnie wyglądać. Teraz większość efektu została zniweczona. Raz czy dwa popłakały się razem z Candi i łzy wyłobiły ślady na umalowanej twarzy. Ubranie było pomięte, a wełniany szaliczek wisiał w szafie, na tym samym wieszaku, co jej płaszcz. Ale najbardziej interesujący — rozmyślała siedząca w fotelu Jennings

— jest stan jej umysłu. Jakies zastanawiające napięcie. Ożywiona działalność w czasie długiej nocy nieco je złagodziła, niemniej... Jest w tym coś więcej, niż po prostu chęć niesienia pomocy

— pomyślała agentka, nic jednak nie powiedziała Perkinsowi.

Taussig nie zwracała uwagi na agentkę i nie obchodziło jej, o czym tamta myśli.

Wyglądała przez okno, oczekując drugiego już wschodu słońca od czasu, gdy ostatnio wstała z łóżka i zastanawiała się, skąd bierze się ta jej energia. Może to kawa — pomyślała z niedostrzegalnym uśmiechem. Zawsze zabawnie jest okłamywać samą siebie. Rozważała niebezpieczeństwo, któremu będzie może musiała stawić czoło, ale odsunęła od siebie to zmartwienie. Ufała zawodowstwu Ann. Jedną z pierwszych rzeczy, które usłyszała wchodząc na tę drogę, było zapewnienie, że będzie chroniona za wszelką cenę. Takie obietnice muszą być prawdziwe — powiedziała jej wtedy Ann — ponieważ mają wymiar praktyczny. To całe rzemiosło — pomyślała Bea. Wierzyła, że ci, którzy je uprawiają, wiedzą jak sobie radzić.

Najgorsze, co się mogło zdarzyć, to znalezienie Ala przez policję lub FBI, ale powtarzała sobie, że już chyba wyjechali. Albo też go zabili, wbrew temu, co Ann powiedziała jej zeszłego wieczora. To byłoby smutne. Chciała usunąć go z drogi, nie zabić, tylko usunąć. Pamiętała rozmowy w ośrodku o Niemcach, Włochach, Brytyjczykach pracujących nad tematami związanymi z Inicjatywą Obrony Strategicznej, którzy zginęli w tajemniczych okolicznościach.

A więc takie rzeczy się zdarzały, prawda? Gdyby Al wrócił żywy... no, to po wszystkim. W

prowadzeniu tej sprawy musiała zaufać swej „szefowej”. Już za późno. Teraz skupiła swą uwagę na przyjaciółce.

Candi gapiała się obojętnie na przeciwległą ścianę. Wisiał na niej obrazek, wykonany na drukarce laserowej, przedstawiający start promu kosmicznego z przylądka Canaveral. Nie prawdziwy obraz, ale coś, co Al dostał za darmo od którejś ze współpracujących firm i zdecydował się powiesić na ścianie. Myśli Bei powróciły do Candi. Jej oczy były podpuchnięte od płaczu.

— Musisz trochę odpocząć — powiedziała Bea, ale Candace wydawała się jej nie słyszeć, nawet nie odwróciła głowy. Bea objęła ją ramieniem i podniosła z kanapy. — Chodźmy.

Candi wstała jak we śnie, Bea poprowadziła ją z saloniku, po schodach, i do sypialni. Gdy weszły do środka, zamknęła drzwi.

— Dlaczego, Bea? Dlaczego to zrobili? — Candi usiadła na łóżku i znowu wpatrywała się w ścianę.

— Nie wiem — odpowiedziała Bea, nie uświadamiając sobie nawet, jak szczerą to odpowiedź. Naprawdę nie wiedziała, ale i nie obchodziło jej to.

Znowu zaczęły się łzy i urywane oddechy, i mokry nos. Patrzyła na swą przyjaciółkę rozpamiętującą świat, który ktoś zniszczył. Na krótką chwilę ogarnęło ją poczucie winy, że jest jedną z tych, którzy to uczynili, ale wiedziała, że zrobiłaby to jeszcze raz. Bea, która mimo całego swego wyzywającego

zachowania była osobą bojaźliwą. Znalazła w sobie niespodziewaną odwagę, by pracować dla obcego rządu, a jeszcze większą, by zrobić coś, czego nie sądziła, że kiedyś od niej zażądata. Teraz znów musiała się zebrać na odwagę. Usiadła obok przyjaciółki i objęła ją mocno, przyciskając jej głowę do swego ramienia. Było to bardzo trudne dla Bei. Miała za sobą jedynie przelotne doświadczenia w czasach studenckich. Podejmowała próby zwalczenia tego, ale mężczyźni, z którymi się umawiała, nie wystarczali. Jej pierwsze doświadczenie seksualne w ramionach niezdarnego nastolatka-futbolisty było takie straszne... nie zamierzała jednak poddawać samej siebie psychoanalizie. Z nieznanymi czy ledwo znanymi to co innego, lecz teraz musiała sprostać swemu obrazowi w oczach przyjaciółki. Cierpiącej przyjaciółki. Przyjaciółki w potrzebie. Przyjaciółki, która — jak sobie chłodno przypomniała —

zdradziła. Nienawidziła Gregory'ego jak przedtem, ale nie mogła lekceważyć faktu, że dla jej przyjaciółki wiele znaczył i w tym sensie nadal stał między nimi, nawet w tej sypialni. Ta licha karykatura mężczyzny na tym właśnie łóżku...

Czy kiedykolwiek go zastąpisz? — zapytała samą siebie.

Czy chociaż spróbujesz?

Jeżeli byłaś gotowa go usunąć i zranić ją, a potem nawet nie zaryzykować... to czym ty jesteś?

Mocno objęła swą przyjaciółkę, a ta odwzajemniła uścisk. Candi usiłowała po prostu trzymać się resztek swego rozpadającego się świata, ale tego Bea nie rozumiała. Pocałowała ją w policzek, a Candi przytuliła się jeszcze mocniej.

Ona cię potrzebuje — pomyślała.

Zebrała całą odwagę. Jej serce biło już szybko. Natrzęsała się z siebie, jak to robiła od lat.

Bea zadufana w sobie. Bea twarda, opryskliwa wobec każdego, kto się jej nie podobał, każdego kto jeździł samochodem tej samej marki co ona, kto nosił jej fason ubrań, i do diabła z tym, co kto myśli. Bea Tchórz, która zaryzykowałaby wszystko, nie miała teraz śmiałości, by sięgnąć po tę jedyną osobę na świecie, na której jej zależało. Jeszcze jeden niepewny krok. Znowu ją pocałowała i poczuła jej słone łzy oraz rozpaczliwą chęć w obejmujących ją ramionach.

Wstrzymała oddech i opuściła dłoń na pierś przyjaciółki.

Jennings i Perkins wpadli przez drzwi w niespełna pięć sekund po usłyszeniu krzyku.

Zobaczyli zgrozę na twarzy Long i coś podobnego, a zarazem bardzo różnego na twarzy Taussig.

Doskonale opracowane plany

— Zdaniem rządu Stanów Zjednoczonych — mówił od swej strony stołu Ernest Allen —

systemy mające na celu obronę niewinnej ludności cywilnej przed bronią masowego rażenia nie mają charakteru zastraszającego czy destabilizującego i nakładanie ograniczeń na rozwój takich systemów niczemu nie służy. Stanowisko to konsekwentnie prezentujemy od ośmiu lat i nie mamy żadnych powodów, aby je zmieniać. Z zadowoleniem witamy inicjatywę rządu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich zmierzającą do redukcji broni ofensywnych aż o pięćdziesiąt procent. Z zainteresowaniem przeanalizujemy szczegóły tej propozycji. Redukcja broni ofensywnych nie ma jednak związku z bronią defensywnymi, a te ostatnie nie są przedmiotem negocjacji, ponieważ objęte są umowami obowiązującymi oba nasze kraje.

— W kwestii inspekcji na miejscu — ciągnął Allen — z rozczarowaniem zauważamy, że osiągnięty ostatnio znaczny postęp w tej sprawie wydaje się obecnie...

Nie sposób nie podziwiać tego człowieka — pomyślał Ryan. Nie zgadzał się z tym, co mówił, ale takie było stanowisko jego rządu, a Ernie Allen nie należał do tych, którzy ujawnialiby w czasie obrad osobiste odczucia. Gdy Allen skończył swą przemowę, w dniu dzisiejszym wygłoszoną już po raz trzeci, nastąpiła przerwa w obradach. Wymieniono zwyczajowe uprzejmości. Ryan uściśnił rękę swemu radzieckiemu partnerowi, przekazując jednocześnie karteczkę, tak jak go nauczono w Langley. Gołowko niczego po sobie nie okazał, co Ryan skwitował przyjaznym skinieniem głowy przy rozstaniu. Jack nie miał właściwie wyboru. Musiał dalej realizować plan. Wiedział, że w ciągu paru najbliższych dni dowie się, jakiej klasy hazardzistą jest Gierasimow. Wobec ryzyka rewelacji ze strony CIA, a przy tym zagrożenia ujawnieniem kilku jeszcze bardziej sensacyjnych spraw niż obiecał Jack... Ale Ryan nie mógł zdobyć się na podziw dla tego człowieka. Uważał, że Gierasimow jest naczelnym zbirzem w głównej firmie zbirów w kraju, który pozwolił, by rządziły nim zbiry. Wiedział, że to uproszczony i niebezpieczny sposób myślenia, ale nie był pracownikiem operacyjnym (choć wykonywał teraz takie zadania) i jeszcze nie nauczył się, że świat, który zazwyczaj oglądał zza biurka w spokoju klimatyzowanego siódmego piętra siedziby CIA, nie jest tak dokładnie określony, jakby wynikało z jego raportów. Spodziewał się, że Gierasimow spełni jego żądanie

— oczywiście oceniwszy najpierw swe położenie, ale spełni. Zastanowiło go to, że myślał jak mistrz szachowy, ponieważ zakładał, że tak myśli Gierasimow, a tymczasem spotkał się z człowiekiem, który chce zagrać w kości, czyli postąpić w sposób bliższy skłonnościom Amerykanów. Tkwiąca w tym ironia powinna mu właściwie bawić, myślał Jack, idąc przez marmurowy hol Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ale nie bawiła.

Jeszcze nigdy Jennings nie widziała nikogo, kto byłby tak doszczętnie zdruzgotany jak Beatrice Taussig. Pod kruchą, na pozór butną powłoką biło ludzkie serce, zzerane samotną wściekłością na

świat, który nie traktował jej tak jakby chciała, ale i nie był w stanie sprostać jej wymaganiom. Było jej niemal żal tej kobiety w kajdankach, ale współczucie nie rozciągało się na zdradę, a już z pewnością nie na porwanie, czyli największą, czy może najniższą zbrodnię na liście przestępstw ściganych przez FBI.

W każdym razie Taussig załamała się zupełnie i tylko to miało teraz znaczenie — to oraz fakt, że Jennings i Perkinsowi udało się wydostać od niej informacje. Było jeszcze ciemno, gdy wyprowadzili ją do czekającego samochodu FBI. Jej Datsun pozostał na podjeździe, by wyglądało na to, że nie opuściła domu. W kwadrans później weszła tylnymi drzwiami do biura FBI w Santa Fe i złożyła zeznania przed niedawno przybyłymi śledczymi. Tak naprawdę to nie było tego dużo: nazwisko, adres, typ samochodu, ale agenci potrzebowali na początek takich danych. Wkrótce koło owego domu przejechał samochód Biura; stwierdzono, że Volvo stoi we wskazanym miejscu. Potem z książką telefoniczną pod ręką zadzwoniono do mieszkającej naprzeciw rodziny, uprzedzając ich, że za minutę dwóch agentów pojawi się przy tylnych drzwiach. Agenci założyli stanowisko obserwacji w pokoju gościnnym, co było dla młodego małżeństwa zarówno przerażające, jak i podniecające. Powiedzieli agentom, że Ann, bo pod takim imieniem ją znali, jest spokojną kobietą o nie znanym im zawodzie, nie sprawiającą nikomu żadnych kłopotów, chociaż od czasu do czasu widywano ją o dziwnych porach, jak to bywa u ludzi samotnych. Na przykład ostatniego wieczoru wróciła do domu dość późno, jak zauważył gospodarz, jakieś dwadzieścia minut przed końcem programu Carsona w telewizji.

Pomyślał sobie wtedy, że wraca z porządnej randki... Chociaż, co dziwne, nigdy nie widzieli, by przyprowadzała kogoś do domu.

— Wstała już. Zapalają się światła. — Jeden z agentów podniósł lornetkę, która na tę odległość przez ulicę nie była właściwie potrzebna. Drugi agent trzymał kamerę z teleobiektywem i wysokoczułą taśmą. Przez zaciągnięte kotary widzieli jedynie poruszający się cień. Ulicą, obok Volvo, przejechał mężczyzna w kasku ochronnym, na rowerze z przerzutką, jakby w ramach porannych ćwiczeń. Ze swojego punktu obserwacyjnego widzieli, jak przyczepia sygnalizator radiowy do wewnętrznej strony tylnego zderzaka samochodu, ale zauważyli to tylko dlatego, że widzieli czego wypatrywać.

— Co za cwaniak ich tego uczy? — zapytał człowiek z kamerą.

— Stanley jakiś tam, z akademii w Quantico. Kiedyś grałem z nim w karty — zaśmiał się ten drugi. — Oddał mi potem pieniądze i pokazał, jak to się robi. Od tamtej pory nie gram w pokera na pieniądze.

— Czy możecie nam powiedzieć, o co tu chodzi? — zapytał właściciel domu.

— Niestety nie. Dowiedzie się, ale nie w tej chwili. Uwaga!

— Widzę. — W aparacie zaczęła trzaskać migawka i przewijać się film.

— Ledwie zdążyliśmy! — Mężczyzna z lornetką uniósł radiotelefon. — Obiekt wychodzi, wsiada do samochodu.

— Jesteśmy gotowi — nadeszła odpowiedź.

— Uwaga, ruszyła. Jedzie na południe, zaraz stracimy ją z oczu. Już. Teraz jest wasza.

— Tak, mamy ją. Koniec.

Do obserwacji wyznaczono aż jedenaście samochodów osobowych i ciężarowych, ale o wiele ważniejsze były śmigłowce krążące półtora kilometra nad ziemią. Inny śmigłowiec stał w bazie lotnictwa wojskowego. Zakładano teraz liny desantowe.

Ann prowadziła samochód na pozór zupełnie zwyczajnie, ale jej oczy, schowane za przeciwsłonecznymi okularami, co kilka sekund spoglądały w lusterko. Teraz musiała wykorzystać wszystkie swe umiejętności, wszystko, czego ją nauczono i chociaż spała tylko pięć godzin, zachowała swoją profesjonalną sprawność. Na siedzeniu obok niej leżał termos z kawą.

Sama wypła już dwie filiżanki. Reszta miała być dla trzech jej kolegów.

Bob też już był na nogach. Ubrany w strój roboczy i długie buty, biegł truchtem przez sosnowy las, zatrzymując się tylko po to, by spojrzeć na kompas. Na pokonanie tego trzykilometrowego odcinka wyznaczył sobie czterdzieści minut, i teraz zdał sobie sprawę, że wcześniej nie będzie na miejscu. Duża wysokość i rozrzedzone powietrze powodowały, że dyszał

ciężko, zanim jeszcze zaczął pokonywać wzniesienia. Teraz nie było istotne, kto zawinił, teraz ważne było tylko zadanie. Zdarzało się — choć dotychczas nie jemu — że nie wszystko przebiegało pomyślnie, ale cechą prawdziwego oficera operacyjnego jest zdolność radzenia sobie z przeciwnościami i wypełnienie zadania. Dziesięć minut po siódmej zobaczył drogę, a przy niej, po swojej stronie, pawilon sklepowy. Zatrzymał się dwadzieścia metrów przed ostatnimi drzewami i czekał.

Obrana przez Ann trasa była przypadkowa, a w każdym razie tak się mogło zdawać.

Dwukrotnie zbaczala z głównej drogi, zanim zdecydowała się na jazdę ku swemu celowi. O

siódmej piętnaście zaparkowała przed pawilonem i weszła do środka.

Obiekt był tak zręczny w wymykaniu się obserwacji, że zespół śledzący FBI stopniał do dwóch samochodów. Po każdym jej zakręcie odpadał jeden, zakładano bowiem, że rozpozna samochód widziany więcej niż raz. Pilnie wezwano kolejne wozy. Ten sklep też wybrała starannie: nie można go było obserwować z żadnego miejsca na drodze, gdyż nie pozwalał na to ruch pojazdów. Wóz numer dziesięć wjechał na ten sam parking. Jeden z pasażerów wszedł do środka, a drugi pozostał w samochodzie.

Ten w sklepie miał jako pierwszy z pracowników FBI okazję przyjrzeć się Ann, która kupowała pączki. Postanowiła też kupić duże plastikowe pojemniczki z kawą oraz napoje z wysoką zawartością kofeiny, czego jednak agent FBI nie zauważył. Stał tuż za nią do kasy, płacąc za dwie duże kawy i gazetę. Odprowadził ją wzrokiem do drzwi i zobaczył jakiegoś mężczyznę, który wsiada do jej samochodu tak naturalnie, jakby był narzeczonym kobiety lubiącej prowadzić. Agent wypadł przez drzwi w kierunku własnego auta, lecz mimo to o mało jej nie zgubili.

— Proszę — Ann podała gazetę. Zdjęcie Boba znajdowało się na pierwszej stronie.

Wydrukowano je nawet w kolorze, chociaż jakość reprodukcji z prawa jazdy nie była zachwycająca.
— Dobrze, że pamiętałeś o założeniu peruki.

— Jaki jest plan? — zapytał Leonid.

— Najpierw wynajmę wam nowy samochód. Wrócisz nim do kryjówki. Potem kupię trochę kosmetyków, żebyście mogli zmienić sobie cerę. Następnie skombinujemy małą ciężarówkę, którą przejedziemy granicę. Będą też potrzebne skrzynie. Nie wiem jeszcze, skąd je wziąć, ale przed końcem dnia coś wymyślę.

— A przejście granicy?

— Jutro. Wyjedziemy przed południem i przekroczymy granicę w porze obiadu.

— Tak szybko? — zapytał Leonid-Bob.

— Da. Myślałam o tym... jeżeli będziemy zwlekać, tamci będą wszędzie. — Resztę drogi przejechali w milczeniu. Wrócili do miasta. Zaparkowała samochód, pozostawiając Leonida w środku.

Sama przeszła przez ulicę, a potem jeszcze parędziesiąt metrów, aż do agencji wynajmu samochodów, znajdującej się na wprost dużego hotelu. Tam w ciągu kwadransa załatwiła niezbędne formalności i wkrótce podjechała Fordem do swego Volvo. Rzuciła kluczyki Bobowi i poleciła mu jechać za sobą aż do autostrady międzystanowej, skąd miał ruszyć sam.

Kiedy dotarli do autostrady, FBI kończyły się już samochody. Trzeba było podjąć decyzję, i agent odpowiedzialny za obserwację zgadł dobrze. Nieoznakowany samochód policji stanowej przejął śledzenie Volvo, podczas gdy ostatni wóz FBI wjechał za Fordem na autostradę.

W tym czasie pięć wozów, które uczestniczyły w porannym śledzeniu Ann, pomknęło za Bobem i jego Fordem. Trzy z nich obrały ten sam zjazd i pojechały za nim podrzędną drogą wiodącą ku kryjówce. Przestrzegał prędkości podanej na znakach drogowych, dwa samochody były więc zmuszone go wyprzedzić, ale trzeciemu udało się utrzymać z tyłu — do momentu kiedy Ford zjechał na pobocze i zatrzymał się. Ten odcinek drogi przez ponad półtora kilometra biegł prosto jak strzała, a Bob stanął w połowie.

— Mam go, mam go — zameldował agent w śmigłowcu, z odległości trzech mil obserwujący samochód przez stabilizowaną lornetę. Widział małą sylwetkę mężczyzny, który otworzył maskę, zajrzał do środka, potem zamknął ją i ruszył dalej. — Ten chłop to zawodowiec

— powiedział do pilota.

Nie całkiem — pomyślał pilot, nie spuszczać wzroku z białej plamki samochodowego dachu. Widział, jak Ford zjeżdża na nie utwardzoną drogę, która znikła między drzewami.

— Mamy ich!

Spodziewano się, że kryjówka będzie na odludziu. Ukształtowanie terenu bardzo temu sprzyjało. Natychmiast po ustaleniu jej położenia z bazy lotnictwa Bergstrom w Teksasie wystartował RF-4C Phantom z 67. Skrzydła Lotnictwa Rozpoznania Taktycznego. Dwuosobowa załoga samolotu potraktowała to wszystko jak jakiś żart, ale nie mieli nic przeciwko niespełna godzinnemu lotowi. Było to zadanie tak proste, że każdy mógł je wykonać. Phantom dokonał

czterech przelotów na dużej wysokości nad wskazanym obszarem i po zużyciu kilkuset metrów taśmy w pokładowych kamerach, wylądował w bazie Kirtland w pobliżu Albuquerque. Kilka godzin wcześniej wylądował tam samolot transportowy z dodatkowym sprzętem i obsługą. Gdy pilot Phantoma wyłączył silniki, dwóch żołnierzy obsługi naziemnej wyjęło kasetę z filmem i dostarczyło ją do przyczepy, będącej przewoźnym laboratorium fotograficznym, już w pół

godziny po powrocie samolotu specjaliści interpretacji fotograficznej mieli przed sobą wilgotne jeszcze taśmy, prosto z automatu wywołującego.

— Proszę bardzo — powiedział pilot, kiedy doszli do odpowiedniego ujęcia — mieliśmy dobre warunki: bez chmur, chłodno, mała wilgotność, właściwy kąt oświetlenia. Nie zostawiliśmy nawet smug kondensacyjnych.

— Dziękuję, panie majorze — odpowiedziała kobieta w stopniu sierżanta przeglądająca film z kamery panoramicznej KA-91. — Tu mamy drogę polną, odchodzącą od autostrady, przechodzi przez małe wzniesienie... a tu coś jakby przyczepa, samochód zaparkowany o pięćdziesiąt metrów dalej... jeszcze jeden, trochę przykryty. A więc są dwa samochody. Dobrze, co jeszcze...

— Chwileczkę, nie widzę drugiego samochodu — powiedział agent FBI.

— Tutaj. Słońce odbija się od czegoś, co jest trochę za duże jak na butelkę po coca coli.

Prawdopodobnie szyba samochodu. Może tylna, chociaż według mnie przednia.

— A to dlaczego? — chciał wiedzieć agent.

Kobieta nie podniosła nawet głowy. — Gdybym ja tam była i miała ukryć samochód, wjechałabym tyłem, żeby móc szybko wyjechać, no nie? Agent powstrzymał się od uśmiechu. —

Macie rację, sierżancie.

Przewinęła film do kolejnej klatki. — Proszę bardzo, tu odbłysek zderzaka, a to prawdopodobnie maska. Widzi pan, jak go przykryli? Proszę spojrzeć tu, koło przyczepy. Chyba w cieniu ktoś stoi... — Obejrzała następną klatkę. — Tak, to postać ludzka. — Mężczyzna miał

jakieś metr osiemdziesiąt, był dobrze zbudowany, ciemnowłosa, a cień na twarzy wskazywał, że dziś się nie golił. Nie było widać żadnej broni.

Tylko trzydzieści ujęć nadawało się do czegoś. Z ośmiu wykonano powiększenia wielkości plakatu i zanesiono do hangaru, gdzie znajdował się śmigłowiec UH-1N. Był tam Gus Werner. Nie lubił pośpiesznych zadań tak samo jak ludzie w tamtej przyczepie, ale miał równie ograniczony wybór jak oni.

— A więc, pułkowniku Filitow, jest rok siedemdziesiąty szósty.

— Dymitr Fiodorowicz zabrał mnie ze sobą, kiedy został ministrem obrony. To, oczywiście, ułatwiało działanie.

— I zwiększyło wasze możliwości — zauważył Watutin.

— Rzeczywiście.

Nie było teraz żadnych oskarżeń, wzajemnych zarzutów, komentarzy co do natury przestępstwa popełnionego przez Misze. Na razie tego nie poruszano. Jak zawsze pierwsze było przyznanie się do winy, i jak zawsze najtrudniejsze. Ale kiedy już przesłuchiwanego złamano albo podstępnie nakłoniono do zeznań, wszystko stawało się proste. Mogło to trwać tygodniami; w tym przypadku Watutin nie miał pojęcia, kiedy skończą. Faza wstępna miała na celu określenie z grubsza czynów Filitowa; dokładne opisy każdego zdarzenia nastąpią potem. Takie dwustopniowe przesłuchanie pozwalało sporządzić indeks tematyczny, co udaremniało późniejsze ewentualne próby zmieniania zeznań lub zaprzeczania określonym faktom. Już jednak obecna faza, w której pomijano szczegóły, przejęła Watutina i jego ludzi zgrozą. Dane techniczne każdego typu czołgu i działa w Armii Radzieckiej, w tym odmian nigdy nie wysyłanych ani do Arabów — bo równałoby się to przekazaniu ich Izraelczykom, a co za tym idzie, Amerykanom

— ani do państw Układu Warszawskiego, były przekazywane na Zachód, zanim jeszcze prototypy weszły do produkcji seryjnej. Dane techniczne sprzętu latającego. Skuteczność głowic zarówno konwencjonalnych, jak i nuklearnych każdego rodzaju. Celność rakiet strategicznych.

Wewnętrzne spory w Ministerstwie Obrony. Kłótnie polityków najwyższego szczebla od czasu, gdy Ustinow został członkiem Biura Politycznego — teraz omawiali ten właśnie okres. Co gorsza, Filitow przekazał na Zachód wszystko, co wiedział o radzieckiej strategii — a wiedział

wszystko, co można było wiedzieć. Był powiernikiem Dymitra Ustinowa, a jako legendarny żołnierz — również okiem tego biurokraty na świat prowadzenia wojny.

Watutin pomyślał, że Ustinow z pewnością tysiące razy zadawał to samo pytanie: „No więc, Misza, co o tym myślisz...?” i nigdy nie podejrzewał, że...

— Jakim człowiekiem był Ustinow? — zapytał pułkownik.

— Wspaniałym — natychmiast odpowiedział Filitow. — Jego talenty administracyjne nie miały sobie równych. Z takim wyczuciem procesów produkcyjnych, na przykład, nie spotkałem się nigdy przedtem ani nigdy potem. Mógł pociągnąć nosem i już wiedział czy fabryka pracuje dobrze, czy źle. Potrafił przewidzieć następne pięć lat i określić jakie typy broni będą potrzebne, a jakie nie. Nie bardzo tylko rozumiał ostateczne ich zastosowanie na polu walki i dlatego często się spieraliśmy, gdy próbowałem coś zmieniać, by ułatwić ich użycie. To znaczy on poszukiwał

łatwiejszych sposobów wytwarzania, żeby przyspieszyć produkcję, a ja zwracałem uwagę na łatwość użycia produktu końcowego na polu bitwy. Zazwyczaj udawało mi się go przekonać, ale nie zawsze.

Zadziwiająco — pomyślał Watutin, robiąc notatki — że Misza nigdy nie ustawał w staraniach o usprawnienie broni, chociaż wszystko przekazywał Zachodowi. Dlaczego? Ale teraz nie mógł o to zapytać, i jeszcze długo z tym poczeka. Dopóki cała jego zdrada nie zostanie całkowicie udokumentowana nie mógł pozwolić, by Misza uważał się znów za patriotę. Wiedział

już, że opis szczegółów zajmie całe miesiące.

— Która teraz godzina w Waszyngtonie? — zapytał Candelę Ryan.

— Dochodzi dziewiąta rano. Dzisiaj miał pan krótsze obrady.

— Tak. Druga strona chciała wcześniejszej przerwy z jakiegoś tam powodu. Czy w sprawie Gregory'ego przyszło coś z Waszyngtonu?

— Nic — ponuro odparł Candela.

— Powiedzieliście nam, że zgłoszą do negocjacji swoje systemy obronne — zwrócił się Narmonow do szefa KGB. Przed chwilą minister spraw zagranicznych poinformował o czymś przeciwnym. Tak naprawdę to wiedzieli już o tym od wczoraj, ale dziś upewnili się, że nie była to zwykła zagrywka. Rosjanie dali do zrozumienia, że odstąpią od uzgodnień w części projektu dotyczącej weryfikacji, która została już w zasadzie omówiona. Spodziewali się w ten sposób zmiękczyć, choć troszeczkę, amerykańskie stanowisko w kwestii Inicjatywy Obrony Strategicznej, lecz to posunięcie natrafiło na opór.

— Wygląda na to, że nasze źródło się myliło — przyznał Gierasimow. — Albo uzyskanie spodziewanego ustępstwa zajmie więcej czasu.

— Nie zmienili swego stanowiska, i nie zmienią go. Zostaliście błędnie poinformowani, Nikołaju Borysowiczu — powiedział minister spraw zagranicznych, określając tym samym swoją pozycję jako

ściśle związaną z Generalnym Sekretarzem partii.

— Czy to możliwe? — zapytał Aleksandrow.

— Jednym z problemów w zbieraniu informacji wywiadowczych o Amerykanach jest to, że oni sami często nie wiedzą, jakie jest ich stanowisko. Moja informacja pochodziła z dobrze uplasowanego źródła, a raport ten zgodny był z doniesieniem innego agenta. Być może Allen chciał na to pójść, ale mu zabroniono.

— Jest to możliwe — zgodził się minister spraw zagranicznych, nie chcąc zbyt mocno przypierać Gierasimowa do muru. — Od dawna odnoszę wrażenie, że w tej sprawie ma on własny pogląd. Ale teraz to nie ważne. Musimy po prostu zmienić trochę swoje podejście.

Czyżby to oznaczało, że Amerykanie dokonali następnego przełomu technicznego?

— Niewykluczone. Pracujemy teraz nad tym. Mój zespół stara się ściągnąć tu dość ważny materiał. — Gierasimow nie śmiał rozwijać tematu. Jego operacja porwania amerykańskiego majora była bardziej desperacka niż przypuszczał Ryan. Gdyby wyszła na jaw, na forum Biura Politycznego oskarżono by go o próbę zniweczenia ważnych negocjacji, i to bez uprzedniego porozumienia się z pozostałymi członkami. Nawet ci z Biura Politycznego powinni przedstawiać w tym gronie swoje działania — ale on nie mógł tego zrobić. Jego sprzymierzeniec Aleksandrow chciałby wtedy wiedzieć dlaczego, a Gierasimow nie mógł ryzykować ujawnienia komukolwiek, w jaką wpadł pułapkę. Z drugiej strony był pewien, że Amerykanie nie uczynią nic, by ujawnić sprawę porwania. Naraziliby się na podobne ryzyko, pewne siły polityczne w Waszyngtonie starałyby się bowiem oskarżyć konserwatystów o wykorzystanie tego przypadku do storpedowania rozmów dla własnych celów. Gra szła o najwyższą stawkę i chociaż ryzyko, które podejmował Gierasimow, było duże, przydawało jedynie smaku tej rozgrywce. Już za późno, by zachować ostrożność. Na to posunął się za daleko, lecz mimo że ważyło się jego życie, skala rozgrywki warta była ostatecznego celu.

— Czy on na pewno tam jest? — zapytał Paulson, starszy strzelec Zespołu Ratowania Zakładników. Należał do „Klubu Ćwierćcalowców” w FBI: z dwustu metrów trafiał trzema strzałami w kółko o średnicy poniżej połowy cala, przy czym średnica pocisku wynosiła jedną trzecią cala.

— Niestety, to wszystko, co mamy — przyznał Gus Werner. — Jest ich trzech. Z

pewnością na miejscu jest dwóch. Nie zostawiliby tylko jednego przy zakładniku. Zawodowcy tak nie postępują.

— Wszystko to prawda, Gus — zgodził się Paulson. — Ale wiedzieć tak na pewno, to nie wiemy...

— Nad tym nie mieli się co zastanawiać.

— W porządku. — Paulson obrócił się i popatrzył na ścianę. Zajmowali pokój dla dyżurujących załóg samolotów. Jego ściany były wyłożone korkiem, stanowiącym izolację dźwiękową, ale także

świetnie nadającym się do przypinania map i fotografii. Widać było, że przyczepa należy do najtańszych: tylko parę okien, dwoje drzwi, z czego jedno zabite deskami.

Zakładali, że pomieszczenie z czynnymi drzwiami zajmują „zbóje”, w drugim zaś znajduje się zakładnik. Dobrą stroną tej sprawy było to, że ich przeciwnicy to zawodowcy, a więc ich działania da się jakoś przewidzieć. Będą raczej działali z rozmysłem, a nie jak zwykli kryminaliści, którzy robią to, co w danej chwili wpadnie im do głowy.

Paulson przeniósł wzrok na inne zdjęcie, potem na mapę i zaczął wybierać trasę podejścia. Udało im się z tymi zdjęciami wysokiej rozdzielczości. Pokazywały jednego mężczyznę na zewnątrz, który obserwował drogę, tę najlepiej nadającą się do podejścia. Trochę chodzi dookoła — pomyślał Paulson — ale głównie pilnuje drogi. A więc grupa snajperska powinna zbliżyć się od strony przeciwnej.

— Myślisz, że to miastowi? — zapytał Wenera.

— Chyba tak.

— Ja pójdę tutaj. Razem z Martym podejdziemy na jakieś czterysta metrów do tego grzbietu, a potem zejdziemy tędy, równoległe do przyczepy.

— Gdzie będzie twoje stanowisko?

— Tutaj — Paulson stuknął palcem w najlepszą z fotografii. — Według mnie powinniśmy zabrać karabin maszynowy. — Wyjaśnił dlaczego, i wszyscy się z nim zgodzili.

— Jeszcze jedna sprawa — oświadczył Wener. — Mamy zmienione zasady użycia broni. Jeżeli komukolwiek z nas choćby tylko wyda się, że zakładnikowi coś grozi, ma wykończyć zbójów. Paulson, jeżeli któryś będzie w pobliżu naszego, kiedy ruszymy, zdejmujesz go pierwszym strzałem, niezależnie od tego czy będzie trzymał broń, czy nie.

— Chwileczkę, Gus — zaprotestował Paulson. — Przecież to będzie...

— Ważny jest zakładnik, a mamy podstawy podejrzewać, że jakakolwiek próba odbicia go skończy się jego śmiercią...

— Ktoś się chyba naoglądał za dużo filmów — powiedział jeden z członków Zespołu.

— Kto? — zapytał Paulson, cicho, lecz stanowczo.

— Prezydent. Rozmawiałem też z dyrektorem Jacobsem. Ma to na piśmie.

— To mi się nie podoba — powiedział strzelec. — Ktoś tam go niańczy, a ty chcesz, żebym go rąbnął niezależnie od tego czy mu zagraża, czy nie.

— Dokładnie tak — potwierdził Werner. — Jeżeli nie potrafisz, powiedz mi teraz.

— Gus, muszę znać powód.

— Prezydent określił go jako osobę bezcenną dla kraju. Jest jednym z ważnych pracowników jakiegoś programu badawczego, tak ważnym, że osobiście informował prezydenta o pracach. Dlatego właśnie go porwali. Uważa się, że w wypadku, gdy nie uda im się go utrzymać, to nam też go nie dadzą. Popatrzcie, co już zrobili — zakończył szef Zespołu.

Paulson przez moment się zastanawiał, po czym kiwnął głową twierdząco. Spojrzał na swego wspierającego, Martiego, a ten również przytaknął.

— Dobra, musimy wejść przez któreś okno. To robota na dwie lufy.

Werner podszedł do tablicy i narysował plan ataku najdokładniej jak potrafił. Nie znali rozkładu przyczepy i wiele miało zależeć od tego, co ujrzy na miejscu Paulson dzięki dziesięciokrotnemu celownikowi optycznemu. Szczegóły planu nie różniły się od podobnych ataków wojskowych. Przede wszystkim Werner ustalił zasady dowodzenia. Znali je wszyscy, ale jeszcze raz dokładnie je określono. Potem przyszła pora na skład grup szturmowych i ich zadania cząstkowe. W pogotowiu mieli być lekarze i karetki oraz zespół dokumentacyjny. Minęła godzina, a plan nadal nie był tak dopracowany jak tego chcieli, ale ich wyszkolenie przewidywało takie luki. Po rozpoczęciu operacji wszystko będzie zależeć od doświadczenia i oceny poszczególnych członków Zespołu, lecz w gruncie rzeczy zawsze tak jest. Po omówieniu planu, ruszyli do akcji.

Zdecydowała się na furgonetkę wielkości mikrobusego lub małego samochodu dostawczego. Uznała, że zapełnianie pudłami większej ciężarówki zajmie zbyt wiele czasu. Pudła odebrała godzinę później z firmy produkującej skrzynie na potrzeby rolnicze. Czegoś takiego nigdy jeszcze nie robiła — dotychczas wszelkie informacje otrzymywała w postaci filmu w kasecie bez trudu mieszczącej się w kieszeni. Wystarczyło jednak przejrzeć książkę telefoniczną i przeprowadzić kilka rozmów. Zakupiła dziesięć skrzyń z drewnianymi kantami i ściankami z laminowanej tektury. Skrzynie były w elementach, trzeba je było tylko potem złożyć. W tej samej firmie kupiła nalepki do wypisania zawartości skrzyń oraz styropianowy wypełniacz dla zabezpieczenia ładunku w środku, na co namówił ją sprzedawca. Dwóch mężczyzn załadowało wszystko do furgonetki i Tania odjechała.

— Jak uważasz, po co to wszystko? — zapytał jeden z agentów.

— Chyba chce coś gdzieś zawieźć. — Kierowca jechał o kilkaset metrów za nią, a jego kolega wezwał innych agentów, by porozmawiali z tamtą firmą. Furgonetkę łatwiej było śledzić niż Volvo.

Paulson z trzema ludźmi wysiadł z Chevroleta Suburban na krańcu osiedla, odległym o jakieś dwa kilometry od przyczepy. Jakieś dziecko przed domem gapiło się na mężczyzn, którzy weszli do lasu: dwóch z normalnymi karabinami, trzeci z maszynowym M-60. Po odjeździe Chevroleta zostały tu dwa radiowozy, ich załogi zaś chodziły po domach, mówiąc ludziom, by nie rozmawiali o tym, co widzieli — a w większości przypadków, czego nie widzieli.

Gdy już weszli głębiej w las, Paulson pomyślał, że dobrą stroną sosen jest to, że mają igły, a nie

szeleszczące pod nogami liście, jak na wzgórzach Zachodniej Wirginii, które co roku jesienią przemierzał w poszukiwaniu jeleni. W tym sezonie nic nie ustrzelił. Miał dwie dobre okazje, ale napotkane kozły były mniejsze niż planował przywieźć do domu. Postanowił zostawić je do następnej jesieni i szukał innej okazji, ale już się nie nadarzyła.

Paulson, urodzony w Tennessee, był człowiekiem lasu, czującym się najlepiej w ostępach, kiedy szedł cicho przez tereny ozdobione drzewami i wyłożone dywanem zwiędłej roślinności, która pokrywała nietkniętą ziemię. Prowadził teraz tych trzech, powoli i ostrożnie, czyniąc jak najmniej hałasu. Tak jak ci z urzędu skarbowego — pomyślał bez uśmiechu — którzy w końcu zmusili jego dziadka do zaprzestania destylacji „Białej Błyskawicy”. W ciągu piętnastu lat służby Paulson jeszcze nikogo nie zabił. Zespół Ratowania Zakładników miał najlepiej wyszkolonych strzelców wyborowych na świecie, którzy jednak nie wykazali do tej pory swych umiejętności.

On sam kilkakrotnie był tego bliski, ale za każdym razem znalazł się powód, by nie strzelać. Dziś miało być inaczej. Był tego prawie pewien i to popsuło mu nastrój. Co innego, kiedy idzie się na robotę wiedząc, że może dojść do strzelaniny. W FBI zawsze należało się liczyć z taką możliwością. Było się na to przygotowanym, zawsze mając nadzieję, że nie będzie konieczne. Aż nadto dobrze wiedział, co się działo, kiedy policjant kogoś zabił: koszmarne sny, depresja, rzadko pokazywane w telewizyjnych filmach gangsterskich. Doktorek już tu leci — pomyślał. FBI miało swego psychiatrę, by pomógł agentom w najtrudniejszym dla nich okresie po strzelaninie. Nawet bowiem kiedy się wie, że nie było wyboru, ludzka psychika wzdraga się przed realnością niepotrzebnej śmierci i karze tego, który został przy życiu za to, że jest żywy, kiedy jego ofiara jest martwa. Taka jest cena postępu — pomyślał Paulson. Nie zawsze tak było, i z większością kryminalistów tak nie jest. Na tym polega różnica między nami, a kryminalistami. Ale do której grupy należy jego cel? Do kryminalnej? Nie, to wyszkoleni zawodowcy, patrioci — z punktu widzenia ich społeczeństwa. Ludzie wykonujący swoją robotę. Tak jak ja.

Usłyszał jakiś dźwięk. Podniósł lewą rękę i cała czwórka przypadła do ziemi. Coś się ruszało... gdzieś na lewo. Przesuwało się dalej na lewo, coraz dalej od ich szlaku. Może to jakiś dzieciak — pomyślał — bawiący się w lesie. Poczekał, by upewnić się, że to coś się od nich oddala, potem ruszył dalej. Grupa strzelców na kamizelki kuloodporne miała założone ubiory maskujące w zielono-brązowy wzór pasujący do otoczenia leśnego. Po pół godzinie Paulson zajrzał do mapy.

— Jestem na pierwszym punkcie — powiedział do radiotelefonu.

— Zrozumiałem — odpowiedział odległy o pięć kilometrów Werner. — Jakieś kłopoty?

— Nie. Gotowi do przejścia pierwszego wzniesienia. Za piętnaście minut powinniśmy zobaczyć cel.

— Zrozumiałem. Ruszajcie.

— Tak jest. Wyłączam się. — Paulson i jego grupa posuwali się tyralierą w kierunku pierwszego

wzgórza. Było to małe wzniesienie, a o dwieście metrów za nim było kolejne. Z tego będą już mogli zobaczyć przyczepę.

Teraz zaczęli działać powoli. Paulson podał swój karabin czwartemu strzelcowi, który samotnie ruszył naprzód, wybierając taką drogę, która zapewniała najcichsze podejście. W

gruncie rzeczy chodziło raczej o to, którędy się idzie niż o to jak, czyli o coś, czego mieszcuchy nie rozumieją, uważając, że po leśnej podściółce nigdy nie da się stąpać cicho. Było tutaj sporo odcinków kamienistych. Snajper przeslizgnął się przez nie i dotarł do drugiego wzniesienia po pięciu minutach prawie bezgłośnego marszu. Teraz Paulson przywarł do drzewa i wyciągnął pokrytą zielonym plastikiem lornetkę.

— Uszanowanie, chłopaki — powiedział do siebie. Jeszcze nikogo nie dostrzegł. Miejsce, gdzie spodziewał się zobaczyć wartownika zewnętrznego, zasłaniała mu przyczepa, a także sporo drzew przed nią. Paulson rozejrzał się po najbliższej okolicy. Przez kilka minut patrzył i słuchał, ale nic się nie ruszało. Ruchem ręki przywołał pozostałych. Podejście zajęło im dziesięć minut.

Paulson spojrział na zegarek: byli w lesie od półtorej godziny. Dotarli trochę wcześniej niż planowali.

— Widziałeś kogoś? — zapytał drugi strzelec, przypadając u boku Paulsona.

— Jeszcze nie.

— Boże, chyba nie odjechali — powiedział Marty. — Co teraz?

— Przejdziemy w lewo, potem w dół tym jarem. O, tam jest nasze stanowisko.

— Wszystko jak na zdjęciach.

— Gotowi? — zapytał Paulson. Postanowił zaczekać chwilę przed wyruszeniem, by każdy mógł wypić łyk wody. Powietrze tutaj było rozrzedzone i suche, wysuszało gardła. Tylko tego brakowało, żeby ktoś zakaszał. Pastylki na kaszel — pomyślał. — Powinniśmy je włączyć do wyposażenia...

Kolejne pół godziny zajęło im rozmieszczenie się na swoich stanowiskach. Paulson wybrał zagłębienie obok granitowego głazu, który zostawił w tej okolicy ostatni lodowiec.

Znajdował się jakieś pięć metrów ponad przyczepą, tyle, ile było mu potrzebne, oraz prawie pod kątem prostym w stosunku do niej. Widział duże okno z tyłu. Jeżeli Gregory był w środku, to właśnie tu, według ich przypuszczeń, powinien się znajdować. Nadszedł czas, by to sprawdzić.

Paulson rozłożył dwójnog w karabinie, ściągnął osłony z celownika i zaczął obserwację. Znowu włączył radio i wsadził do ucha słuchawkę. Mówił szeptem cichszym od szumu wiatru w gałęziach sosen nad głową.

— Tu Paulson. Jesteśmy na miejscu, obserwujemy. Będziemy w kontakcie.

— Zrozumiałem — odpowiedziało radio.

— O rany — pierwszy powiedział Marty. — Jest tam, po prawej.

Al Gregory siedział w fotelu. Nic nie mógł zrobić. Ręce miał skute z przodu — dla jego wygody zgodzono się na takie ustępstwo — ale ramiona i podudzia przywiązane do fotela.

Zabrano mu okulary i teraz zarysy wszystkich przedmiotów rozmyły się. Dotyczyło to także tego, który nazywał siebie Billem. Pilnowali go na zmianę. Bill siedział w drugim końcu pomieszczenia, poniżej okna. Za paskiem miał wetknięty pistolet, lecz Gregory nie widział go dokładnie, tylko znany trójkątny kształt.

— Co...

— ...zrobimy z tobą? — dokończył jego pytanie Bill. — Gdybym to ja wiedział, majorze.

Myślę, że są tacy, którzy interesują się tym, za co panu płacą.

— Nie będę...

— Ależ z pewnością — przerwał mu z uśmiechem Bill. — No, ale prosiliśmy, żeby siedział pan cicho, albo znowu będę musiał założyć knebel. Spokojnie, chłopcze.

— Mówiła, po co jej te skrzynie? — zapytał agent.

— Powiedziała, że jej firma wysyła kilka rzeźb. Mówiła, że jakiegoś tutejszego artysty, na wystawę, chyba w San Francisco.

W San Francisco jest radziecki konsulat — natychmiast pomyślał agent. — Chyba tego nie zrobią... a może?

— Mówi pan, że skrzynie były wielkości człowieka?

— W tych dużych to można by dwójkę położyć bez problemu, albo kilku mniejszych.

— Ile czasu potrzeba?

— Niepotrzebne są żadne specjalne narzędzia. Najwyżej pół godziny. Pół godziny? Jeden z agentów wyszedł z pokoju, by zatelefonować.

Informacja została przekazana przez radio do Wenera.

— Uwaga — powiadomiła słuchawka radiotelefonu — od drogi głównej nadjeżdża mała furgonetka.

— Stąd jej nie możemy zobaczyć — zaburczał Paulson w kierunku Marty'ego leżącego z lewej strony. Kłopot polegał na tym, że nie widzieli całej przyczepy i tylko fragmenty drogi, która do niej prowadziła. Za dużo było drzew. Żeby mieć lepszy widok, trzeba byłoby ruszyć do przodu, a to oznaczało ryzyko, którego nie chcieli podejmować. Według wskazań dalmierza laserowego znajdowali się sto dziewięćdziesiąt metrów od przyczepy, a celowniki karabinów miały nastawy na dwieście metrów. W ubiorach maskujących byli niewidoczni pod warunkiem, że się nie poruszali. Nawet przez lornetkę drzewa tak bardzo zasłaniały widok, że oko rozpraszało się na mnóstwie szczegółów.

Usłyszał furgonetkę. Zepsuty tłumik — pomyślał. Potem trzask metalowych drzwi i skrzypnięcie przy otwieraniu innych. Słyszał głosy, ale nie był w stanie rozróżnić ani słowa.

— Te powinny być wystarczająco duże — powiedziała Leonidowi kapitan Bisiarina. —

Mam takie dwie i trzy mniejsze, które postawimy na wierzchu.

— Co przewozimy?

— Rzeźby. Za trzy dni będzie wystawa, a my przekroczymy granicę w punkcie najbliższym miejsca, gdzie się odbywa. Jeżeli wyjedziemy za dwie godziny, dotrzemy na granicę we właściwym czasie.

— Czy jesteś pewna, że...

— Przeszukują ładunki jadące na północ, a nie na południe — zapewniła go Bisiarina.

— Świetnie. Zmontujemy skrzynie wewnątrz przyczepy. Powiedz Olegowi, żeby przyszedł.

Bisiarina weszła do środka. Lenny znajdował się na zewnątrz, ponieważ lepiej od pozostałych umiał zachowywać się w lasach. Kiedy Oleg i Leonid wnosili skrzynie, Bisiarina poszła do tyłu przyczepy, żeby popilnować Gregory'ego.

— Witam, majorze! Wygodnie?

— Jeszcze jeden — powiedział Paulson, kiedy pojawiła się w polu widzenia. — To kobieta, była na zdjęciach, ta z Volvo — mówił do mikrofonu, — Rozmawia z zakładnikiem.

— Widać trzech mężczyzn — odezwało się radio. Był to agent, który ulokował się po przeciwnej stronie przyczepy. — Wnoszą skrzynie do środka. Powtarzam: trzech mężczyzn, kobieta wewnątrz, niewidoczna.

— To chyba wszyscy. Powiedz mi coś o skrzyniach. — Werner stał koło śmigłowca, o kilka kilometrów dalej, z planem przyczepy w ręku.

— Są w częściach, nie złożone. Chyba będą je montować.

— Wiemy o czterech osobach — zwrócił się Werner do swoich ludzi. — No i jest tam zakładnik...

— Dwóch będzie zajętych montowaniem skrzyń — wyliczał ktoś z zespołu — jedna na zewnątrz, jedna wewnątrz z zakładnikiem... to wygląda nieźle, Gus.

— Uwaga, mówi Werner. Ruszamy. Wszyscy przygotować się. — Kiwnął na pilota śmigłowca, który zaczął rozruch silnika. W czasie gdy jego ludzie wsiadali do helikoptera, szef Zespołu jeszcze raz przemyślał sytuację. Gdyby Rosjanie chcieli wywieźć porwanego, jego ludzie mogliby spróbować przechwycić ich w drodze, ale ten rodzaj furgonetek miał okna tylko w kabinie... znaczyłoby to, że dwie lub trzy osoby byłyby niewidoczne... mogliby zabić zakładnika, zanim Zespół zdołałby temu zapobiec. Jego pierwszy odruch był właściwy: musieli zacząć teraz. Chevrolet Suburban wyjechał na drogę wiodącą do przyczepy.

Paulson odbezpieczył karabin. Marty zrobił to samo. Uzgodnili dalsze działanie. O parę metrów od nich obsługa karabinu maszynowego przygotowała go powoli, by uniknąć szczęknięć części o siebie, do otwarcia ognia.

— Nigdy nie idzie zgodnie z planem — cicho powiedział Marty.

— Dlatego właśnie musimy tyle trenować. — Paulson naprowadził krzyż lunety na cel.

Nie było to łatwe, ponieważ w okiennej szybie bardzo odbijały się pobliskie drzewa. Z trudem dostrzegł jej głowę: była to kobieta określona jako jeden z celów. Oceniał, że wiejący z prawej strony wiatr ma prędkość pięciu metrów na sekundę. Na dystansie dwustu metrów zepchnąłby pocisk o jakieś pięć centymetrów w lewo. Musiał wziąć na to poprawkę. Nawet w celowniku o dziesięciokrotnym powiększeniu z tej odległości ludzka głowa nie jest duża. Paulson skierował

karabin troszeczkę w lewo, utrzymując siatkę nitek stale na głowie spacerującej tam i z powrotem kobiety. Obserwował nie tyle swój cel, co przesłaniającą go siatkę celownika. Automatycznie wykonywał teraz wszystko, czego go nauczono. Wyregulował oddech, wsparł się na łokciach i mocniej przycisnął karabin.

— Kim pani jest? — zapytał Gregory.

— Tania Bisiarina. — Chodziła po pokoju, by wyprostować zdrętwiałe nogi.

— Czy macie rozkaz mnie zabić? — Tani podobał się sposób, w jaki o to zapytał. Nie był może idealnym obrazem żołnierza, ale to co najważniejsze zazwyczaj nie rzuca się w oczy.

— Nie, panie majorze. Pojedzie pan w małą podróż.

— Jest nasza furgonetka! — powiedział Werner. Mieli sześćdziesiąt sekund od drogi do przyczepy. Podniósł radiotelefon. — Atakować! — Drzwi śmigłowca odsunęły się. Na podłodze leżały liny gotowe do wyrzucenia. Werner walnął pięścią w ramię pilota, ale ten był tak zajęty, że nawet nie

poczuł bólu. Popchnął drążek sterowy i śmigłowiec zanurkował na przyczepę, znajdującą się teraz zaledwie o kilometr od nich.

Najpierw usłyszeli ten dźwięk: charakterystyczne „łup-hip-łup” dwu-łopatego wirnika.

Ponieważ w okolicy latało wiele śmigłowców, nie od razu uświadomili sobie niebezpieczeństwo, jakie niósł ze sobą. Ten, który stał na zewnątrz, podszedł do rogu przyczepy i spojrzał w górę, przez wierzchołki drzew, a potem obrócił się, gdy usłyszał, jak mu się zdawało, odgłos nadjeżdżającego samochodu. W przyczepie Leonid i Oleg podnieśli głowy znad częściowo zmontowanej skrzyni, raczej rozdrażnieni niż zaniepokojeni, ale to uczucie błyskawicznie się zmieniło, gdy warkot śmigłowca przeszedł w ryk: maszyna zawisła tuż nad nimi. Bisiarina, znajdująca się z tyłu przyczepy, podeszła do okna i zobaczyła go pierwsza. Była to ostatnia rzecz, jaką w życiu widziała.

— Cel — powiedział Paulson.

— Mam cel — potwierdził drugi strzelec.

— Ognia!

Wystrzelili prawie jednocześnie, ale Paulson wiedział, że ten obok wypalił pierwszy.

Kula rozbiła gruba szybę, lecz odbijając się od pękającego szkła, poszła rykoszetem. Druga kula, z wgłębieniem wierzchołkowym, wpadła o ułamek sekundy za pierwszą, trafiając agentkę w twarz. Paulson widział to, w pamięci pozostał mu jednak obraz siatki celownika zakrywający kobietę. Celowniczy karabinu maszynowego po lewej stronie już strzelał, gdy Paulson zameldował: — Środek głowy.

— Cel trafiony — rzucił drugi strzelec w mikrofon. — Kobieta trafiona. Widać zakładnika. — Obydwaj przeładowali karabiny i zaczęli rozglądać się w poszukiwaniu następnych celów.

Po linach z obciążnikami, spuszczonej ze śmigłowca, zsunęło się na ziemię czterech ludzi. Werner pierwszy, z pistoletem maszynowym MP5 w ręku, wdarł się do środka przez rozbite okno. Gregory był tam, coś krzyczał. Za Wernerem wskoczył inny członek Zespołu, obalił fotel na podłogę i przykląkł między nim, a resztą przyczepy. Dołączył do nich jeszcze jeden i teraz cała trójka wycelowała broń w tę samą stronę.

Na zewnątrz, w chwili gdy nadjeżdżał Chevrolet Zespołu jeden z ludzi KGB strzelał

właśnie do czwartego agenta, który wylądował na dachu i zaplątawszy się w czymś, nie mógł odpowiedzieć ogniem. Dwóch mężczyzn wyskoczyło z samochodu i wystrzeliło po trzy pociski.

Rosjanin padł na miejscu. Agent na dachu przyczepy wyswobodził się w końcu i pomachał kolegom.

W środku Leonid i Oleg sięgnęli po broń. Nieustanny strumień pocisków z karabinu maszynowego ciał metalową ścianę przyczepy, najwyraźniej, by powstrzymać ich od zbliżenia się do Gregory'ego. Oni jednak mieli swoje rozkazy.

— Zakładnik bezpieczny, zakładnik bezpieczny, kobieta trafiona — krzyknął Werner przez radio.

— Cel zewnętrzny trafiony — meldował inny agent znajdujący się przed przyczepą. Jego kolega założył mały ładunek wybuchowy na drzwi, cofnął się i skinął głową. — Uwaga!

— Karabin maszynowy, przerwać ogień, przerwać ogień! — rozkazał Werner.

Dwóch oficerów KGB usłyszało, że strzały milkną i ruszyło w kierunku tyłu przyczepy.

W tym momencie wybuch wyrwał drzwi z zawiasów. Miał ich także zdezorientować, ale byli już na to przygotowani. Oleg obrócił się i podniósł oburącz pistolet, by osłonić Leonida. Strzelił do pierwszego, który pokazał się w drzwiach i trafił go w ramię. Agent upadł, próbował jednak skierować broń w jego stronę. Strzelił — i chybił, ale zwrócił tym na siebie uwagę Olega. Drugi, który pokazał się w drzwiach, trzymał w rękach MP5. Wystrzelił dwa razy. Ostatnim wrażeniem Olega było zdziwienie: nie słyszał strzałów. Zrozumiał, gdy zobaczył rurowaty tłumik.

— Agent ranny, zbój trafiony. Drugi zbój idzie na tył. Straciłem go z oczu. — Agent pobiegł za nim, ale potknął się o skrzynię.

Dali mu przejść przez drzwi. Jeden z agentów, w kamizelce kuloodpornej, znajdował się przed zakładnikiem. Teraz mogli zaryzykować. Werner poznał go od razu: to ten z wynajętego samochodu. Rosjanin jeszcze nie uniósł broni. Zobaczył trzech ludzi, ubranych w kombinezony skoczków z czarnego gumowatego tworzywa i najprawdopodobniej w kamizelkach kuloodpornych. Na jego twarzy pojawiło się wahanie.

— Rzuć broń! — krzyknął Werner. — Nie...

Leonid zobaczył Gregory'ego i przypomniał sobie rozkaz. Jego pistolet zaczął się unosić.

Werner zrobił to, czego dotychczas zakazywał swym ludziom, chociaż później nie będzie pamiętał dlaczego. Wystrzelił z pół tuzina pocisków w ramię tamtego, i to, co dziwne, poskutkowało. Ręka z bronią podskoczyła jak ręka lalki, a pistolet wypadł z niej w chmurze krwi.

Werner skoczył do przodu, przewrócił Leonida i przystawił mu wylot tłumika do czoła.

— Trzeci obezwładniony! Zakładnik bezpieczny! Zespół, meldować!

— Na zewnątrz jeden trafiony. Martwy.

— W przyczepie jeden trafiony, martwy! Jeden agent ranny w rękę, niegroźnie.

— Kobieta trafiona, martwa — zgłosił Werner. — Jeden ranny, pod strażą. Zabezpieczyć teren! Ściągnąć karetki! — Od pierwszych strzałów minęło dwadzieścia dziewięć sekund.

Przy oknie, przez które wszedł Werner z dwójką agentów, stało trzech innych. Jeden z tych w środku wyciągnął nóż szturmowy, przeciął więzy Gregory'ego i prawie wyrzucił go na zewnątrz. Tam złapano go i jak kukłę zaniecono do samochodu, który natychmiast ruszył w kierunku szosy. Kilka kilometrów dalej wylądował śmigłowiec Sił Powietrznych. Gdy tylko wrzucono do niego Alę, maszyna wystartowała.

Wszyscy członkowie Zespołu mają przeszkolenie medyczne, a dwóch z grupy szturmowej szkoliło się nawet z sanitariuszami służb miejskich. Jeden z nich, ranny w rękę, udzielał teraz funkcjonariuszowi, który zastrzelił Olega wskazówek jak ją zabandażować. Drugi wszedł do przyczepy i zajął się Leonidem.

— Nic poważnego, chociaż przyda się tu chirurg, szefie. Ma zdruzgotaną kość promieniową, łokciową i barkową.

— Trzeba było rzucić pistolet — powiedział Werner do Leonida. — Nie miałeś żadnej szansy.

— O Boże. — To był Paulson. Stał przy oknie i patrzył na to, co zrobiła jego kula. Jeden z agentów obszukał zwłoki, a potem wstał, kręcąc głową. Strzelec dowiedział się więc czegoś, czego wolałby nie wiedzieć. W tym momencie zrozumiał, że już nigdy nie pójdzie na polowanie.

Pocisk wszedł tuż pod lewym okiem: większość z tego, co było przedtem głową znajdowało się na przeciwległej ścianie. Paulson pomyślał, że nie powinien był tego oglądać. Po pięciu długich sekundach odwrócił się i rozładował karabin.

Śmigłowiec zabrał Gregory'ego bezpośrednio do ośrodka. Czekają tam na niego sześciu uzbrojonych funkcjonariuszy ochrony, którzy szybko zaprowadzili go do wnętrza. Ze zdziwieniem zauważył, że ktoś robi mu zdjęcia. Ktoś inny rzucił mu puszkę coca coli; kiedy ją otworzył, oblał go gazowany prysznic. Łyknął trochę i zapytał: — O co tu, do cholery, chodziło?

— Sami nie bardzo wiemy — odpowiedział szef służby bezpieczeństwa KLIPRA HERBACIANEGO. Umysł Gregory'ego potrzebował jeszcze kilku sekund, by nadażyć za tym, co się wydarzyło. Dopiero wtedy major zaczął drzeć.

Werner i jego ludzie stali przed przyczepą. W środku pracował zespół dokumentacyjny.

Nadjechało też kilku funkcjonariuszy Policji Stanu Nowy Meksyk. Rannego agenta FBI i rannego oficera KGB załadowano do tej samej karetki. Tego drugiego przykuto do noszy. Ze wszystkich sił starał się nie krzyknąć z bólu, spowodowanego roztrzaskaniem trzech kości w rękę.

— Dokąd go zabieracie? — zapytał kapitan policji.

— Do szpitala bazy lotnictwa w Kirtland. Naszego też — odpowiedział Werner.

— Spory kawałek.

— Rozkaz mówi, że ma to pozostać w sekrecie. To ten facet, który wygarnął do waszego policjanta. W każdym razie odpowiada rysopisowi, który nam podano.

— Jestem zaskoczony, że wzięliście go żywcem. — Kapitan zobaczył dziwne spojrzenie Wenera. — Chodzi mi o to, że przecież wszyscy byli uzbrojeni?

— Tak — zgodził się Werner z osobliwym uśmiechem. — Ja też jestem zaskoczony.

Reguły gry

Najciekawsze było to, że do prasy nic się nie przedostało. Padło tylko parę głośnych strzałów, ale takie odgłosy to nic szczególnego na amerykańskim Zachodzie. Na zapytanie w sprawie postrzelenia policjanta Mendeza, Policja Stanu Nowy Meksyk odpowiedziała, że śledztwo nadal trwa i wkrótce należy się spodziewać konkretnych wyników. Co do śmigłowców, ich loty określono jako część ćwiczeń ratownictwa, przeprowadzanych wspólnie przez policję stanową i lotnictwo wojskowe. Nie była to zbyt dobra historyjka, pozwoliła jednak powstrzymać ciekawość reporterów przez kilka następných dni.

Zespół dokumentacyjny przetrząsnął całą przyczepę, ale, co było do przewidzenia, nie znalazł nic godnego uwagi. Fotograf policyjny — mówił o sobie, że zawodowo przetrząsa groby

— wykonał niezbędne zdjęcia wszystkich ofiar, a potem oddał kasetę z filmem znajdującemu się na miejscu starszemu agentowi FBI. Ciała zapakowano do worków i przewieziono do Kirtland, a stamtąd samolotem do bazy lotnictwa Dover, gdzie znajdował się specjalny ośrodek medycyny sądowej. Wywołane zdjęcia martwych oficerów KGB zostały elektronicznie przesłane do Waszyngtonu. Miejskowa policja i FBI zaczęły rozważać, w jaki sposób poprowadzić sprawę przeciwko żyjącemu oficerowi KGB. Stwierdzono, że naruszył z tuzin przepisów, tak stanowych jak i federalnych. Wszystko to będą musieli uporządkować prawnicy, chociaż wiadano, że ostateczna decyzja zostanie podjęta w Waszyngtonie. Był to jednak błędny pogląd. Po części miało się to zadecydować zupełnie gdzie indziej.

Była czwarta nad ranem, gdy Ryan poczuł na swym ramieniu czyjąś rękę. Obrócił się w momencie, gdy Candela zapalał lampkę przy łóżku.

— Co jest? — zdołał wymamrotać względnie zrozumiale.

— FBI się udało: mają Gregory'ego. Czuje się dobrze — powiedział Candela, podając kilka fotografii. Oczy Ryana, dotąd półprzymknięte, teraz otworzyły się szeroko.

— Warto się zrywać z łóżka, żeby zobaczyć coś takiego — stwierdził, zanim zobaczył

zdjęcie Tani Bisiariny. — O kurwa! Rzucił resztę fotografii na łóżko i poszedł do łazienki.

Candela usłyszał szum wody, a potem Ryan wyszedł, wyjął z lodówki puszkę wody sodowej i otworzył ją z głośnym sykiem.

— Przepraszam, chce pan też? — kiwnął w stronę lodówki.

— Dla mnie trochę za wcześnie. Przekazał pan wczoraj wiadomość Gotowce?

— Tak. Rozmowy zaczynają się dziś po południu. Chciałbym spotkać się z naszym przyjacielem około ósmej. Zamierzałem wstać o piątej trzydzieści.

— Myślałem, że będzie pan chciał to od razu zobaczyć — powiedział Candela, na co Jack mruknął potakująco.

— Jasne. W porannej gazecie nic takiego nie znajdę... Teraz dobraliśmy się mu do dupy.

— Ryan wpatrywał się w dywan. — Chyba że...

— Chyba że będzie walczył do końca — dokończył oficer CIA.

— A jego żona, córka? Jeżeli ma pan jakieś zdanie na ten temat, z chęcią go wysłucham.

— Spotkanie tam, gdzie proponowałem?

— Tak.

— Trzeba go przycisnąć jak najmocniej. — Candela zebrał z łóżka zdjęcia i włożył je do koperty. — Proszę mu je pokazać. Nie sądzę, żeby to poruszyło jego sumienie, ale z pewnością zrozumie, że nie żartujemy. Jeżeli chce pan wiedzieć, to przedtem myślałem, że wariat z pana.

Teraz uważam — tu Candela uśmiechnął się — że przemyślny z pana wariat. Wróć, kiedy się pan całkiem rozbudzi.

Ryan skinął głową, poczekał aż tamten wyjdzie i poszedł pod prysznic. Woda była gorąca i Jack mył się powoli, wypełniając małe pomieszczenie parą, którą potem musiał wytrzeć z lustra.

Goląc się, świadomie starał się patrzeć na brodę, a nie w swoje oczy. To nie pora na zwątpienie.

Za oknami było ciemno. Moskwa nie jarzyła się światłami jak miasta amerykańskie.

Może dlatego że o tej godzinie na ulicach prawie nie było samochodów. W Waszyngtonie zawsze panował ruch, co dawało jakąś podświadomą pewność, że gdzieś tam już kręcą się ludzie koło swoich spraw, cokolwiek by to było. Tutaj nie czuło się niczego podobnego. Tak jak słowa jednego języka nigdy nie odpowiadają dokładnie i w pełni słowom innego języka, tak Moskwa przypominała Ryanowi inne miasta, w których bywał i tym bardziej była mu obca w tym, czym się od nich różniła. Tutaj ludzie nie zajmowali się swoimi sprawami. Zajmowali się głównie tym, co im nakazywali inni.

Ironia polegała na tym, że wkrótce sam będzie wydawał polecenia, i to osobie, która zapomniała, jak wykonuje się cudze rozkazy.

Ranek w Moskwie nastawał powoli. Odgłosy przejeżdżających tramwajów i głębokie dudnienie ciężarówek tłumiał śnieg. Przez okno swego pokoju Ryan nie widział wstającego świtu.

Dotychczasowa szarość zaczynała nabierać kolorów, jakby dziecko bawiło się regulatorem barwy w telewizorze. Jack wypił trzecią filiżankę kawy i odłożył książkę, którą czytał. Była siódma trzydzieści. W takich sytuacjach jak obecna, punktualność to rzecz najważniejsza, twierdził

Candela. Raz jeszcze poszedł do łazienki, a potem ubrał się i udał na poranny spacer.

Chodniki uprzątnięto po niedzielnej śnieżycy, choć zwały śniegu leżały wzdłuż krawężników. Ryan kiwnął głową strażnikom, Australijczykowi, Amerykaninowi i Rosjaninowi i skręcił na Czajkowskiego. Ostry północny wiatr wiejący w twarz wyciskał mu łzy z oczu.

Poprawił szalik wokół szyi. Szedł w kierunku placu Wosstania, moskiewskiej dzielnicy ambasad. Poprzedniego ranka skręcił w prawo po przeciwległej stronie placu i zobaczył z pół

tuzina porozrzucanych po nim przedstawicielstw dyplomatycznych. Dziś rano skręcił najpierw w lewo w Kurdinski Zaułek — Rosjanie mieli co najmniej dziewięć różnych nazw na określenie

„ulicy”, ale Jack nie chwycił różnic — następnie w prawo, w ulicę Barrikadnaja.

„Barykada” to dość dziwna nazwa jak na ulicę i kino. Jeszcze dziwniej wyglądało to w alfabecie rosyjskim: „B” jeszcze można było rozróżnić, lecz litery „r” przypominały rzymskie

„p”. Jack szedł tak blisko budynków, jak to było możliwe. Teraz zgodnie z oczekiwaniem otwarły się jakieś drzwi, wszedł w nie, znowu go obszukano. Ochroniarz znalazł w kieszeni zalakowaną kopertę, lecz jej nie otworzył, co Ryan przyjął z ulgą.

— Idziemy. — Jack zauważył, że tak samo odezwał się za pierwszym razem. Może jego słownictwo było ograniczone.

Gierasimow siedział na sali kinowej w fotelu koło przejścia, tyłem do wchodzącego Jacka.

— Dzień dobry — powiedział Ryan ku głowie, która się nawet nie obróciła.

— Jak się panu podoba nasza pogoda? — zapytał Gierasimow, gestem odprawiając ochronę. Wstał i poszedł z Jackiem w stronę ekranu.

— Tam, gdzie dorastałem nie było tak zimno.

— Trzeba nosić czapkę. Większość Amerykanów tego nie robi, a tu jest to konieczne.

— W Nowym Meksyku też jest zimno — powiedział Ryan.

— Tak słyszałem. Spodziewał się pan, że będę siedział z założonymi rękami? — zapytał przewodniczący KGB beznamiętnie, jak nauczyciel mówiący do niezbyt rozgarniętego ucznia.

Ryan pozwolił mu jeszcze przez chwilę cieszyć się poczuciem siły.

— Pańskim zdaniem mam pertraktować z panem w sprawie uwolnienia majora Gregory'ego — zapytał Jack obojętnie, a w każdym razie starał się, by tak to brzmiało.

Dodatkowa poranna kawa zaostrzyła jego reakcje.

— Jeżeli pan sobie życzy — odpowiedział Gierasimow.

— Myślę, że to pana zainteresuje. — Jack podał mu kopertę. Gierasimow otworzył ją i wyciągnął trzy zdjęcia. Oglądając je nie dał po sobie nic poznać, lecz gdy spojrzał na Ryana, dzisiejszy mroźny wiatr uznać można było za tchnienie wiosny.

— Jeden żyje — poinformował go Jack. — Jest ranny, ale wydobrzeje. Nie ma tu jego zdjęcia, bo coś sknócili po tamtej stronie. Mamy Gregory'ego, całego i zdrowego.

— Rozumiem.

— Powinien pan też zrozumieć, że znalazł się pan w sytuacji, na której nam zależało.

Muszę wiedzieć, jaka jest pańska decyzja.

— To chyba jasne?

— Obcując z waszym krajem nauczyłem się, że nic tu nie jest tak jasne, jakbyśmy sobie życzyli. — Wywołało to u Gierasimowa coś na kształt uśmiechu.

— Jak będę traktowany?

— Całkiem dobrze — odpowiedział Ryan i pomyślał: Znacznie lepiej niż na to zasługujesz.

— Moja rodzina?

— Oni też.

— A jak zamierzacie wyciągnąć stąd naszą trójkę?

— O ile wiem, pańska żona jest Łotyszką i często jeździ w rodzinne strony. Niech tam pojedą w piątek wieczorem. — Potem Ryan podał mu dalsze szczegóły.

— Dokładnie co...

— Tego nie musi pan wiedzieć.

— Ryan, nie możecie przecież...

— Owszem, panie przewodniczący, mogę — przeciął Jack, zastanawiając się, dlaczego powiedział to „panie przewodniczący”.

— A co ze mną? — zapytał Gierasimow. Ryan wytłumaczył mu, co ma robić i tamten zgodził się, po czym dorzucił: — Mam jeszcze pytanie.

— Tak?

— Jak oszukał pan Płatonowa? Jest przecież niegłupi.

— Rzeczywiście, było małe nieporozumienie z komisją giełdową, ale to nie takie ważne.

— Ryan zbierał się do odejścia. — Nie mogliśmy tego zrealizować bez waszego udziału.

Musieliśmy zaaranżować porządne przedstawienie, bez lipy. Pół roku temu był tu kongresman Trent. Poznał chłopaka o imieniu Walery. Bardzo się zaprzyjaźnili. Później dowiedział się, że Walery dostał pięć lat za „działalność antyspołeczną”. Chciał wyrównać rachunki i kiedy poprosiliśmy go o pomoc, natychmiast się zgodził. Można więc chyba powiedzieć, że użyliśmy waszych uprzedzeń przeciwko wam.

— A co, według pana, mielibyśmy robić z takimi ludźmi?

— Proszę pana, ja nie ustanawiam praw — powiedział Ryan i wyszedł. W drodze powrotnej do ambasady myślał sobie, że to przyjemnie mieć dla odmiany wiatr w plecy.

— Dzień dobry, towarzyszu sekretarzu generalny.

— Nie bądź taki formalny, Ilja. Są w Biurze Politycznym ludzie na wyższych od twojego stanowiskach, a jednak tylko zastępcy członków. Jesteśmy przyjaciółmi od tak dawna... Masz jakiś kłopot? — zapytał ostrożnie Narmonow. Cierpienie w oczach jego kolegi było wyraźnie widoczne. Planowali rozmowę o plonach zbóż ozimych, ale teraz...

— Andrieju Iljiczu, nie wiem jak mam zacząć. — Waniejew ledwie wykrztusił z siebie te słowa, a z oczu zaczęły mu płynąć łzy. — Chodzi o moją córkę... Następne piętnaście minut zajęła jego chaotyczna opowieść.

— No i? — zapytał Narmonow, gdy mu się wydawało, że to już wszystko, ale było oczywiste, iż na tym się nie skończy.

— A więc Aleksandrow i Gierasimow — Narmonow odchylił się w fotelu i zapatrzył w ścianę. — Wymagało to od ciebie, przyjacielu, ogromnej odwagi, żeby przyjść z tym do mnie.

— Nie mogę im pozwolić... nawet gdyby miało mnie to kosztować karierę. Nie mogę im pozwolić, Andrieju, by ci przeszkodzili. Masz zbyt wiele do zrobienia, my... ty musisz tak wiele zmienić. Ja muszę odejść, wiem o tym. Ale ty musisz pozostać. Jesteś narodowi potrzebny, jeżeli mamy cokolwiek osiągnąć.

Godne uwagi było to, że powiedział „narodowi”, a nie „partii” — pomyślał Narmonow.

Czasy naprawdę się zmieniały. Nie. Pokręcił głową. Jeszcze nie. Zaledwie stworzył atmosferę, w której czasy mogłyby się zmienić. Waniejew rozumiał, że sprawa polega nie tyle na celach, ile na procesie dochodzenia do nich. Wszyscy członkowie Biura Politycznego wiedzieli, i to od lat, co należało zmienić. Nie można było jedynie uzgodnić metody przeprowadzenia tych zmian.

Przypominało to nadanie statkowi nowego kursu — myślał — ze świadomością, że może to spowodować pęknięcie steru. Trzymając się dotychczasowego kursu statek nadal kierowałby się na... no właśnie, dokąd zmierzał Związek Radziecki? Nawet tego nie wiedzieli. Zmiana kursu oznaczała jednak ryzyko, a jeżeli pękłby ster, jeżeli partia utraciłaby swój wpływ, nastąpiłoby rozprzężenie. Żaden rozsądny człowiek nie chciałby stawać wobec takiego wyboru, ale też nikt rozsądny nie mógł zaprzeczyć, że nie sposób go uniknąć.

Nawet nie wiemy, co nasz kraj robi — rozmyślał Narmonow. Przez co najmniej osiem minionych lat dane ekonomiczne były tak czy inaczej fałszowane, nakładały się na siebie, aż w końcu prognozy gospodarcze sporządzane przez Gosplan stawały się równie fałszywe, jak lista cnót Stalina. Statek, którym kierował, pogrążał się coraz bardziej w mgłę kłamstw głoszonych przez aparatczyków, którym prawda zniszczyłaby kariery. Mówił o tym na cotygodniowych posiedzeniach Biura Politycznego. Czterdzieści lat świetlanych celów i przepowiedni wytyczało kurs na mapie bez konturów. Samo Biuro Polityczne nie знаło stanu, w jakim znajdował się Związek Radziecki. Czegoś takiego Zachód nawet nie podejrzewał.

Rozwiązanie alternatywne? W tym cała trudność. W chwilach przygnębienia Narmonow zastanawiał się, czy on, lub ktokolwiek inny, naprawdę może coś zmienić. Celem całego jego politycznego życia było osiągnąć władzę. Teraz ją miał, i dopiero teraz w pełni rozumiał, jak bardzo jest ograniczona. Wspinając się po szczeblach kariery zauważał rzeczy, które należy zmienić, nie zdając sobie jednak sprawy, jakie to będzie trudne.

Władza, którą sprawował, nie równała się władzy Stalina. Postarali się o to jego poprzednicy. Obecnie Związek Radziecki był nie tyle statkiem, którym należało kierować, ile olbrzymią biurokratyczną sprężyną, która pochłaniała i rozpraszała energię, drgając z właściwą sobie, jałową częstotliwością. Jeżeli to się nie zmieni... Zachód mknął ku nowej erze przemysłowej, podczas gdy Związek Radziecki nadal nie był w stanie sam się wyżywić. Chiny pobierają lekcje ekonomii u

Japończyków i za dwa pokolenia mogą stać się trzecią potęgą gospodarczą świata: miliard ludzi, mocna, ekspansywna gospodarka, tuż za naszą granicą, łaknąca ziemi, a do tego rasowa nienawiść do wszystkich Rosjan, przy której legiony Hitlera mogłyby się wydać grupką piłkarskiej chuliganerii. Wobec takiego strategicznego zagrożenia kraju znaczenie nuklearnych arsenałów Ameryki i NATO malało niemal do zera. A mimo to partyjni biurokraci nie rozumieli, że albo się zmienią, albo staną się sprawcami swej własnej zagłady.

Ktoś musi spróbować — a ten ktoś, to ja.

Ale żeby spróbować, najpierw sam musi przetrzymać, i to na tyle długo, by móc przekazać swą wizję narodowych celów najpierw partii, potem narodowi — a może odwrotnie?

Żadne z podejść nie będzie łatwe. Partia miała swoje sposoby działania, była oporna na zmiany, naród zaś przestał już zważać na to, co partia i jej przywódca do niego mówią. To było zabawne: Zachód, wróg jego narodu, cenił go bardziej niż jego rodacy.

A cóż to znaczy? — rozmyślał dalej. — Jeżeli to wrogowie, to czy ich poparcie oznacza, że podążam dobrą drogą — dobrą dla kogo? Narmonow ciekaw był czy amerykański prezydent jest równie samotny jak on. Zanim jednak zabierze się do tego niemożliwego zadania, ma przed sobą codzienny, taktyczny problem własnego przetrwania. Nawet teraz, nawet w sprawie zaufanego kolegi. Narmonow westchnął. Był to odruch bardzo rosyjski.

— No więc, co zrobisz, Ilja? — zapytał człowieka, który nie chciał popełnić zdrady bardziej haniebnej, niż ta, jakiej winna była jego córka.

— Poprę cię, nawet jeżeli będzie to oznaczać moją kompromitację. Moja Swietłana będzie musiała ponieść konsekwencje swego czynu. — Waniejew wyprostował się i przetarł

oczy. Wyglądał jak człowiek, który za chwilę stanie przed plutonem egzekucyjnym, a teraz zbiera siły na ostatni akt oporu.

— Może sam będę musiał cię potępić — powiedział Narmonow.

— Zrozumiem to, Andriuszka — odrzekł Waniejew głosem pełnym godności.

— Wolałbym, żeby do tego nie doszło. Potrzebuję cię, Ilja. Potrzebuję twej rady. Jeżeli będę mógł uratować twoje stanowisko, zrobię to.

— O nic więcej nie proszę.

Nadeszła pora, by dodać temu człowiekowi otuchy. Narmonow wstał, obszedł biurko i ujął dłoń przyjaciela. — Cokolwiek będą mówić, zgadzaj się bez zastrzeżeń. Kiedy przyjdzie czas, pokażesz im, że jesteś mężczyzną.

— Ty też, Andrieju.

Narmonow odprowadził go do drzwi. Do następnego spotkania miał jeszcze pięć minut.

Jego rozkład dnia wypełniały sprawy gospodarcze, decyzje, które musiał podejmować sam z powodu niezdecydowania

ludzi

w

ministerialnych

fotelach,

potrzebujących

jego

błogosławieństwa, jakby był wiejskim kapłanem. Jakbym nie miał dość kłopotów — powiedział

sobie sekretarz generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Spędził te pięć minut licząc głosy. Powinno być mu łatwiej niż jego amerykańskiemu odpowiednikowi. W Związku Radzieckim prawo głosu mieli tylko pełni członkowie Biura Politycznego, a takich było tylko trzynastu. Każdy z nich reprezentował jednak jakiś zbiór interesów i od każdego z nich Narmonow żądał rzeczy, o których przedtem nawet nie śnili. W końcu najbardziej liczy się siła

— powiedział sobie sekretarz generalny: mógł jeszcze liczyć na ministra obrony Jazowa.

— Myślę, że się tu wam spodoba — powiedział generał Pokryszkin, kiedy przechodzili przez bramę w ogrodzeniu. Wartownicy z KGB zaszalutowali, a oni odpowiedzieli niedbałym ruchem. Psów już nie było, co Giennadij uważał za błąd, niezależnie od tego czy mieli kłopoty z żywnością, czy nie.

— Ale nie mojej żonie — odpowiedział Bondarienko. — Od blisko dwudziestu lat jeździ ze mną od jednostki do jednostki. Trafiliśmy w końcu do Moskwy, i tam się jej podoba. —

Odwrócił się, by spojrzeć za ogrodzenie i uśmiechnął się: Czy można kiedykolwiek mieć dość takiego widoku? Tylko co na to żona, gdy jej to powiem? Niezbyt często radziecki żołnierz ma możliwość takiego wyboru, więc chyba zrozumie...?

— Może generalskie gwiazdki pomogą jej zmienić zdanie. Poza tym staramy się, by żyło się tutaj przyjemniej. Czy macie pojęcie, jak ciężko musiałem o to walczyć? W końcu powiedziałem im, że moi naukowcy są jak tancerze: wynik ich pracy zależy od tego, czy są szczęśliwi. Ten człowiek z Komitetu Centralnego był chyba miłośnikiem baletu „Bolszoi”, bo to go w końcu przekonało. Wtedy to zgodzono się na teatr, wtedy też zaczęliśmy otrzymywać porządną żywność. Do przyszłego lata będzie wykończona szkoła, i ściągniemy tu wszystkie dzieci. Oczywiście — zaśmiał się — trzeba

będzie postawić jeszcze jeden blok, a następny komendant JASNEJ GWIAZDY będzie musiał być również kierownikiem szkoły.

— Za pięć lat może już nie starczyć miejsca dla laserów. Jak widzę, zostawiliście dla nich teren na samym szczycie.

— Tak. Przez dziewięć miesięcy przekonywałem kogo trzeba, że być może kiedyś zechcemy zbudować w tym miejscu coś o wiele silniejszego niż mamy teraz.

— Prawdziwą JASNĄ GWIAZDĘ — dodał Bondarienko.

— To wy ją zbudujecie, Giennadiju Josifowiczu.

— Tak jest, towarzyszu generale, zbuduję. Przyjmuję nominację, jeżeli nadal mnie tu chcecie. — Rozejrzał się: Pewnego dnia to wszystko będzie moje...

— Wola Allaha — powiedział major wzruszając ramionami.

Łucznik miał już dość wysłuchiwania tego. Jego cierpliwość, a nawet jego wiara zostały wystawione na próbę wskutek wymuszonej zmiany planów. Przez ostatnie trzydzieści sześć godzin radzieckie oddziały przejeżdżały drogą w dolinie tam i z powrotem. Połowa ludzi Łuczniaka zdążyła przejść na drugą stronę drogi zanim zaczął się ten ruch. Teraz musiał się pogodzić z rozdzieleniem sił. Partyzanci po obu stronach patrzyli na przejeżdżające ciężarówki i transportery opancerzone, zastanawiając się, czy Rosjanie zatrzymają się, wyskoczą z pojazdów i znajdą na zboczach gór nieproszonych gości. Gdyby tego spróbowali, rozgorzałyby krwawa bitwa, zginęłoby wielu Rosjan... ale nie przybył tu tylko po to, by zabijać Rosjan. Chciał ugodzić ich boleśniej niż zdołałyby tego dokonać największe nawet straty w ludziach.

Musiał jednak wspiąć się na górę, a już miał duże opóźnienie w stosunku do planu, jedynym zaś pocieszeniem, jakie słyszał zewsząd, była wola Allaha. Gdzie był Allah — pomyślał

— gdy bomby spadły na mą żonę i córkę? Gdzie był Allah, gdy zabrano mi syna? Gdzie był

Allah, gdy Rosjanie zbombardowali nasz obóz uchodźców...? Dlaczego życie musi być tak okrutne?

— Niełatwo jest czekać, prawda? — powiedział major. — Czekanie to najtrudniejsza rzecz. Umysł nie ma się czym zająć i pojawiają się pytania.

— Jakie są twoje pytania?

— Kiedy skończy się wojna? Mówi się, że... ale mówi się tak od lat. Jestem tą wojną zmęczony.

— Dużą jej część spędziłeś po drugiej...

Major odwrócił się gwałtownie. — Nie mów tak! Od lat przekazywałem informacje waszemu

oddziałowi. Czy dowódca nie mówił wam o tym?

— Nie, wiedzieliśmy, że coś tam dostaje, ale...

— Tak, to był dobry człowiek, wiedział, że należy mnie chronić. Czy wiesz, ile to razy wysyłałem moich żołnierzy na niepotrzebne patrole tak, żeby na was nie trafiali? Ile razy do mnie strzelali nasi, ile razy chcieli mnie zabić, jak przeklinali moje imię... — Ten nagły przyływ emocji zaskoczył obu mężczyzn. — Dłużej nie mogłem już tego wytrzymać. Tych z moich żołnierzy, którzy chcieli działać z Rosjanami... cóż, wysłanie ich wprost w wasze zasadzki nie było trudne, ale nie mogłem przecież wysyłać tylko ich. Czy wiesz, przyjacielu, jak wielu mych żołnierzy, mych dobrych ludzi, skazałem na śmierć z waszych rąk? Ci, których oszczędziłem, byli lojalni wobec mnie i wobec Allaha. Nadeszła w końcu pora, by związać się z mudżahedinami na dobre. Niech Bóg wybaczy mi tych, którzy tego nie dożyli. Każdy z nas ma na co się skarżyć — pomyślał Łucznik i wypowiedział jedyne zdanie, które łączyło te ich historie:

— Życie jest ciężkie.

— Dla tych na szczycie góry stanie się wkrótce jeszcze cięższe. — Major rozejrzał się dokoła. — Pogoda się zmienia. Wiatr wieje teraz z południa. Chmury przyniosą wilgoć. Być może Allah jednak nas nie opuścił. Może pozwoli nam kontynuować akcję. Może jesteśmy narzędziem Jego, a On za naszym pośrednictwem dowiedzie im, że powinni opuścić naszą ziemię, byśmy nie musieli wkroczyć do nich.

Łucznik chrząknął twierdząco i spojrzał na górę. Nie widział już swego celu, ale to nie miało znaczenia, w przeciwieństwie bowiem do majora nie widział też końca wojny.

— Reszta przejdzie na drugą stronę dziś wieczorem.

— Tak, przyjacielu, wszyscy kiedyś przejdą na drugą stronę.

— Panie Clark? — Był już na bieżni prawie godzinę. Mancuso mógł rozpoznać to po kroplach potu, gdy wyłączył urządzenie.

— Tak, kapitanie? — Clark zdjął słuchawki.

— Czego pan słucha?

— Ten chłopak z sonaru, Jones, pożyczył mi swój magnetofon. Ma tylko Bacha, ale to wystarczy, żeby zająć myśli.

— Jest wiadomość dla pana. — Mancuso podał papier, na którym było tylko sześć wyrazów — z pewnością słów kodowych, ponieważ same przez się nic nie znaczyły.

— Jest decyzja.

— Kiedy?

— Tego nie podają. Będzie osobna wiadomość.

— Myślę, że już najwyższy czas, by mi pan opowiedział, jak to ma się odbyć — zauważył kapitan.

— Ale nie tutaj — powiedział cicho Clark.

— Moja kajuta jest tam — wskazał drogę Mancuso. Poszli ku dziobowi, obok silników turbinowych, potem przedziałem reaktora, przez stanowisko dowodzenia, aż do kabiny Mancuso.

Był to prawie najdłuższy spacer, jaki można odbyć na okręcie podwodnym. Kapitan rzucił Clarkowi ręcznik, by otarł pot z twarzy.

— Mam nadzieję, że się pan nie wykończył.

— To wszystko z nudów. Pańscy ludzie mają coś do roboty, a ja? Ja siedzę i czekam.

Czekanie cholernie denerwuje. Gdzie jest kapitan Ramius?

— Śpi. To jeszcze nie jego pora na włączenie się do sprawy?

— Jeszcze nie — zgodził się Clark.

— Co to właściwie za robota? Może mi pan teraz powiedzieć?

— Wyciągam dwójkę ludzi — odrzekł po prostu Clark.

— Dwóch Rosjan? Nie zabiera pan rzeczy, ale ludzi?

— Zgadza się.

— I chce mi pan powiedzieć, że stale pan to robi? — zapytał Mancuso.

— Może nie stale — odparł Clark. — Raz trzy lata temu, raz rok wcześniej. Dwie inne akcje nie doszły do skutku, i nigdy nie dowiedziałem się dlaczego. „Nie wasza sprawa”, i takie tam.

— Już coś takiego słyszałem.

— To śmieszne — zastanawiał się Clark — ale wydaje mi się, że ludzie, którzy podejmują takie decyzje, nigdy nie wystawili tyłka na mróz...

— Ci ludzie, których ma pan zabrać... czy oni o tym wiedzą?

— Nie. Wiedzą tylko tyle, że o określonej godzinie mają być w określonym miejscu.

Niepokoi mnie, że mogą mieć towarzystwo KGB-owskiej odmiany naszej grupy specjalnej SWAT.
— Clark podniósł radiotelefon. — Pańskie zadanie jest łatwe. Jeżeli nie podam umówionego hasła w umówiony sposób i w określonym czasie, zabiera pan swój okręt i zjeżdża stąd jak najszybciej.

— Zostawiam pana. — Nie było to pytanie.

— Chyba że chce pan mi towarzyszyć w lefortowskim więzieniu. Oczywiście ze swoją załogą. To wyglądałoby fatalnie na pierwszych stronach gazet, panie kapitanie.

— Wydawało mi się, że jest pan człowiekiem rozsądnym. Clark roześmiał się. — Długo by o tym opowiadać.

— Czy pan pułkownik Eich?

— Von Eich — poprawił Jacka pilot. — Moi przodkowie byli Prusakami. A pan to doktor Ryan? W czym mogę pomóc? — Jack usiadł. Znajdowali się w gabinecie attache wojskowego.

Jego gospodarz, generał lotnictwa, oddał go im do dyspozycji.

— Wie pan dla kogo pracuję?

— Wydaje mi się, że jest pan z wywiadu, ale ja jestem tylko pańskim kierowcą.

Wszystkie ważniejsze rzeczy zostawiam do załatwienia ludziom w cywilnych ubraniach —
odpowiedział pułkownik.

— Już nie. Mam teraz dla pana robotę.

— Co to znaczy: robotę?

— Na pewno się panu spodoba. — Ale Jack był w błędzie. Nie spodobała się.

Ciężko mu było skupić się na sprawach oficjalnych. Po części utrudniała to ogłupiająca nuda procesu negocjacyjnego, przede wszystkim jednak znaczenie zadania nieoficjalnego. Nad nim to w gruncie rzeczy rozmyślał, kręcąc słuchawką, by usłyszeć symultaniczne tłumaczenie przemówienia wygłaszanego w tej chwili przez negocjatora radzieckiego. O wspomnianej poprzedniego dnia możliwości większego niż uzgodniono ograniczenia inspekcji na miejscu nie było już mowy. Zamiast tego Rosjanie chcieli szerszych uprawnień do inspekcji urządzeń amerykańskich. A to się w Pentagonie ucieszą — pomyślał Jack powściągając uśmiezek.

Rosyjscy oficerowie wywiadu łączy po fabrykach i zjeżdżający do szybów startowych, by przyrzec się amerykańskim rakietom — wszystko pod baczным okiem oficerów amerykańskiego kontrwywiadu

i wartowników Dowództwa Lotnictwa Strategicznego, przebijających palcami po kolbach pistoletów Beretta. A podwodniacy, którzy nierzadko uważali resztę swojej własnej marynarki wojennej za potencjalnego wroga? Co oni by powiedzieli na Rosjan na okręcie? Brzmiało to tak, jakby tamci mieli tylko stać na pokładzie i patrzeć jak obsługa wyrzutni otwiera ich pokrywy pod baczynym okiem załogi i marines, z ochrony bazy atomowych okrętów podwodnych. To samo będzie po stronie radzieckiej. Każdy oficer delegowany do zespołu inspekcyjnego będzie agentem wywiadu, czasem włączą może oficera liniowego, notującego rzeczy widoczne tylko dla specjalisty. To było zadziwiające. Po trzydziestu latach amerykańskich żądań, Rosjanie zgodzili się w końcu na propozycję, by obie strony oficjalnie uznały szpiegostwo. Kiedy do tego doszło, a było to w czasie poprzedniej rundy rozmów o raketach średniego zasięgu, Amerykanie zareagowali oszołomieniem i podejrzliwością: Dlaczego Rosjanie godzą się na nasze warunki? Dlaczego powiedzieli „tak”? O

co im naprawdę chodzi?

Niemniej był to jakiś postęp, jeżeli to lepiej rozważyć. Obie strony uzyskiwały możliwość poznania, co druga strona robi i co ma. Nie ufałyby sobie wzajemnie — agencje wywiadowcze obu państw już by się o to postarały. Nadal grasowałyby szpiegostwo, szukając czegoś, co wskazywałoby, że strona przeciwna oszukuje montując rakiety w tajnych zakładach i ukrywając je w dziwnych miejscach w celu dokonania niespodziewanego ataku. Znajdowałiby takie wskazówki, wypisywaliby wstępne raporty ostrzegawcze i próbowali te informacje sprawdzić.

Zinstytucjonalizowana paranoja przetrwałaby dłużej niż same systemy broni. Traktaty tego nie zmieniają, mimo tej całej euforii w gazetach. Jack podniósł wzrok na Rosjanina, który wciąż jeszcze przemawiał.

Dlaczego? Ludzie, dlaczego zmieniliście zdanie? Czy wiecie, co napisałem w swojej ocenie wywiadowczej dla prezydenta? Nie pojawiło się to jeszcze w prasie, ale być może już to widzieliście. Napisałem tam, że w końcu zdaliście sobie sprawę, po pierwsze, ile to cholerstwo kosztuje, po drugie, że dziesięć tysięcy głowic wystarczy do usmażenia całej Ameryki osiem razy, a wystarczyłyby trzy lub cztery smażenia, i po trzecie, że oszczędzicie pieniądze wyrzucając wszystkie stare rakiety, na których utrzymanie was nie stać. Napisałem, że jest to po prostu interes, a nie zmiana w waszych poglądach. Ach tak, jeszcze po czwarte: to robi świetną prasę, a wy nadal lubicie takie gierki pod publikę, mimo że za każdym razem potraficie to dokumentnie spieprzyć.

My, oczywiście, nie mamy nic przeciwko temu...

Gdy wreszcie umowa zostanie podpisana, a Jack uważał, że zostanie, obie strony zaoszczędzą około trzech procent swoich wydatków zbrojeniowych. No, Rosjanie może jakieś pięć procent, bo ich system rakietowy jest bardziej różnorodny. Byłby to wprawdzie drobny ułamek wydatków na obronę, pozwoliłby jednak Rosjanom na budowę kilku nowych fabryk, lub dróg, tego bowiem potrzebują naprawdę. Jak zostaną zainwestowane te ich oszczędności? No a jak amerykańskie? Jack miał też przygotować taką prognozę, czyli jeszcze jedną specjalną ocenę wywiadowczą. Jak na zawartość, tytuł trochę górnolotny: ma to być przecież taka urzędowa zgadywanka, do której, jak na razie, Jack nie miał punktu zaczepienia.

Rosjanin zakończył przemówienie i ogłoszono przerwę na kawę. Ryan zamknął oprawny w skórę notatnik i razem z innymi wyszedł z sali. Dla odmiany wziął filiżankę z herbatą, a na spodku położył parę drobnych przekąsek.

— No, i co pan myśli? — To był Gołowko.

— Rozmawiamy oficjalnie czy towarzysko? — zapytał Jack.

— Możemy towarzysko.

Jack podszedł do najbliższego okna i wyjrzał na zewnątrz. Któregoś dnia — obiecał sobie

— obejrzę trochę Moskwę. Chyba mają tu coś wartego wypstrykania kilku zdjęć. Może pewnego dnia wybuchnie pokój i będę mógł tu przyjechać z rodziną... Odwrócił się — ale nie dziś, nie w tym roku, nie w następnym. Szkoda.

— Siergieju Nikołajewiczu, gdyby świat miał sens, to ludzie tacy jak pan i ja usiedliby razem i w dwa lub trzy dni odwaliliby całą robotę. Przecież, u diabła, obaj wiemy, że i nasza i wasza strona chcą zmniejszenia arsenału raketowego o połowę. Sprawa, o którą spieramy się od tygodni, to określenie na ile godzin wcześniej należy przesłać zawiadomienie o niespodziewanej kontroli zespołu inspekcyjnego. Ponieważ jednak żadna ze stron nie może w tej sprawie zebrać się do kupy, omawiamy tematy, które już uzgodniliśmy, zamiast posuwać się naprzód.

Gdybyśmy załatwiali to między sobą, powiedziałbym „godzina”, a pan powiedziałby „osiem”, i ostatecznie doszlibyśmy do trzech lub czterech...

— Czterech lub pięciu — zaśmiał się Gołowko.

— No więc czterech — zawtórował mu Jack. — Widzi pan? My byśmy to, cholera, załatwili, no nie?

— Ale nie jesteśmy dyplomatami — zauważył Gołowko. — Wiemy, jak dobijać targu, lecz nie tak, jak to jest przyjęte. Pan i ja jesteśmy zbyt bezpośredni, zbyt praktyczni. Iwanie Emmetowiczu, jeszcze zrobimy z was Rosjanina. — Gołowko użył rosyjskiej wersji imienia Jacka: Iwan Emmetowicz, czyli Jan, syn Emmeta.

Wracamy do pracy — pomyślał Jack. Zebrał się w sobie i postanowił, że teraz on dla odmiany, potrząśnie swym rozmówcą. — Nie, nie wydaje mi się to możliwe. Robi się tu trochę za chłodno. Wie pan co, pan pójdzie do swojego głównego, a ja pójdę do wujka Erniego i powiemy im, że ustaliliśmy czas ostrzeżenia o inspekcji na cztery godziny. To co, idziemy teraz?

Jack zauważył, że zrobiło to wrażenie na Gołowce. Rosjanin przez ułamek sekundy myślał, że Ryan mówi poważnie. Opanował się natychmiast, tak że Ryan ledwo dostrzegł zmianę wyrazu jego twarzy. Uśmiech prawie nie zszedł mu z warg, na moment jednak znikł z oczu, lecz zaraz powrócił. Jack nie zdawał sobie sprawy, jak poważny błąd właśnie popełnił.

Powinieneś być zdenerwowany, Iwanie Emmentowiczu, a nie jesteś. Dlaczego? Przedtem byłeś. Wtedy wieczorem, na przyjęciu byłeś tak napięty, że o mało nie eksplodowałeś. Wczoraj, kiedy przekazywałeś mi kartkę, czułem pot na twojej dłoni. A dziś stroisz sobie żarty. Starasz się wyprowadzić mnie z równowagi swoimi kpinkami. Skąd ta zmiana, Ryan? Nie jesteś oficerem operacyjnym. Dowodzi tego twoja wcześniejsza nerwowość, ale dziś zachowujesz się jak zawodowiec. Dlaczego? — zastanawiał się Gołowko. Uczestnicy wracali już do sali obrad, przygotowując się do następnej rundy monologów. Rosjanin przyglądał się swemu partnerowi.

Zauważył z pewnym zdziwieniem, że teraz Ryan zachowuje się swobodnie. A w poniedziałek i wtorek robił wrażenie niespokojnego. Obecnie wyglądał na znudzonego, nic więcej. A powinieneś czuć się nieswojo, Ryan — pomyślał Gołowko.

Dlaczego chciałeś spotkać się z Gierasimowem? Dlaczego po raz drugi? Dlaczego denerwowałeś się przed i po pierwszym... oraz przed, ale nie po drugim spotkaniu?

Nie mógł wymyśleć niczego sensownego. Słyszał brzęczenie w słuchawce — tym razem to Amerykanin gadał coś o rzeczach już postanowionych — ale jego myśli błądziły gdzie indziej, po aktach Ryana w KGB. Ryan, John Patrick. Syn Emmeta Williama Ryana i Catherine Ryan z domu Burke. Oboje nie żyją. Żonaty, dwoje dzieci. Studia ekonomiczne i historyczne. Zamożny.

Krótką służbę w piechocie morskiej. Były makler giełdowy i nauczyciel historii. Cztery lata temu, po rocznej pracy konsultingowej dla CIA, przeszedł do Agencji na pół etatu. Wkrótce dostał pełny etat analityka. Nigdy nie przechodził szkolenia operacyjnego w ośrodku CIA w Camp Peary, w Wirginii. Zamieszany w dwa incydenty o dość gwałtownym przebiegu, wyszedł z obu bez szwanku, zapewne dzięki szkoleniu w piechocie morskiej. Oprócz tego pewne cechy wrodzone, znajdujące uznanie w oczach Rosjanina: bardzo zdolny, w razie potrzeby odważny, czyli niebezpieczny przeciwnik. Ryan podlegał bezpośrednio zastępcy dyrektora CIA do spraw informacyjnych. Podobno przygotował wiele Specjalnych Ocen Wywiadowczych... ale żeby specjalna misja wywiadowcza? Nie był do tego szkolony. Prawdopodobnie nie miał właściwej osobowości. Zbyt otwarty — pomyślał Gołowko — i za mało w nim przebiegłości. Kiedy coś ukrywał, nie wiedziało się co, ale wiedziało się, że coś ukrywa.

Ukrywałeś coś przedtem, ale teraz już nie, prawda? I co to w ogóle oznacza, Iwanie Emmentowiczu? — pomyślał Gołowko, a potem bez związku przypomniało mu się: Co to u diabła za imię, Emmet?

Jack dostrzegł badawcze spojrzenie Rosjanina, zobaczył też to pytanie w jego oczach.

Pomyślał, że facet nie jest głupcem. Myśleliśmy, że to GRU, a okazało się, że jest z KGB. A w każdym razie, tak się wydaje — poprawił się Jack. — Czy jest jeszcze coś, czego o nim nie wiemy?

Pułkownik von Eich stał w tylnych drzwiach swego samolotu, parkującego na stanowisku numer dziewięć lotniska Szeremietiewo. Koło niego sierżant, zaopatrzony w olbrzymi zestaw narzędzi,

dłubał coś przy uszczelce drzwi. Jak w innych samolotach pasażerskich tak i tu drzwi otwierały się na zewnątrz dopiero po cofnięciu się do wewnątrz, przez co uszczelka hermetyzująca usuwała się z ramy drzwi tak, by nie ulec uszkodzeniu. Wadliwe uszczelki drzwi były przyczyną licznych wypadków lotniczych, w tym najgłośniejszej podparyskiej katastrofy DC-10, paręnaście lat temu. Pod wejściem, na płycie lotniska, stał uzbrojony wartownik z KGB.

Załoga von Eicha musiała przejść przez kontrolę. Wszyscy Rosjanie traktowali sprawy bezpieczeństwa bardzo poważnie, a KGB miało na tym punkcie prawdziwego bzika.

— Nie rozumiem, panie pułkowniku, dlaczego świeci się panu lampka ostrzegawcza —

powiedział sierżant po dwudziestu minutach. — Uszczelka jest w najlepszym stanie, włącznik kontrolki też wygląda na dobry, tak czy inaczej, drzwi są w porządku. Zabiorę się teraz do tablicy w kabinie.

Dotarło do ciebie? — miał ochotę zapytać Paul von Eich strażnika KGB stojącego pięć metrów niżej, ale nie mógł.

Załoga już przygotowywała samolot do lotu powrotnego. Mieli swoje kilka dni na zwiedzanie. Tym razem był to stary klasztor jakieś sześćdziesiąt kilometrów za miastem, z czego ostatnie piętnaście kilometrów po drogach, które latem pokrywał prawdopodobnie kurz, ale teraz mieszanina błota i śniegu. Odbili też wycieczkę po Moskwie, z przewodnikiem i obstawą.

Pułkownik jeszcze nie poinformował swej załogi o tym, co przekazał mu Ryan. Zrobi to jutro wieczorem. Ciekaw był, jak na to zareagują.

Posiedzenie skończyło się zgodnie z planem, przy czym Rosjanie dali do zrozumienia, że skłonni są jutro omówić czas ostrzeżenia przed inspekcją. Będą musieli mówić szybko —

pomyślał Ryan — ponieważ delegacja wieczorem już wyjeżdża, a z czymś przecież będzie musiała wrócić do kraju po obecnej rundzie rozmów. Nieoficjalnie ustalono jednak datę spotkania na szczycie, które tym razem ma odbyć się w Moskwie. Moskwa wiosną — pomyślał

Ryan. Ciekaw jestem, czy zabiorą mnie na ceremonię podpisania traktatu? Ciekawe, czy w ogóle będzie jakiś traktat? Oby — zakończył rozmyślenia.

Gołowko odczekał, aż Amerykanie wyjdą, potem wezwał swój samochód i pojechał do siedziby KGB. Poszedł bezpośrednio do gabinetu przewodniczącego.

— Z czego to zrezygnowali dzisiaj nasi dyplomaci? — zapytał bez wstępów Gierasimow.

— Myślę, że jutro przedłożymy naszą zmienioną propozycję w sprawie zawiadomienia o inspekcji.
— Zrobił przerwę. — Rozmawiałem dziś z Ryanem. Wydaje mi się, że zaszła w nim jakaś zmiana. Uważałem, że powinienem was o tym powiadomić.

— Mówcie dalej — polecił przewodniczący.

— Towarzyszu przewodniczący, nie wiem o czym z nim rozmawialiście, ale nastąpiła taka zmiana w jego zachowaniu, że według mnie powinniście o tym wiedzieć. — Następnie Gołowko opowiedział swoje wrażenia.

— No tak. Nie mogę omawiać tu naszych rozmów z Ryanem, ponieważ są ściśle tajne, ale na waszym miejscu, pułkowniku, nie martwiłbym się. Zajmuję się tą sprawą osobiście.

Niemniej przyjmuję wasze spostrzeżenia do wiadomości. Ryan będzie się musiał nauczyć lepszego panowania nad emocjami. Może nie jest jeszcze dość „rosyjski” — Gierasimow zazwyczaj nie żartował, ale tym razem zrobił wyjątek. — Czy coś jeszcze w sprawie rozmów?

— Moje uwagi w formie pisemnej będą u was na biurku jutro rano.

— Dobrze. Możecie odejść. — Twarz Gierasimowa nie zmieniła się, dopóki za wychodzącym Gołowką nie szczęknął zamek w drzwiach. Nie dość, że się przegrało — pomyślał

— to jeszcze przegrało się z nieprofesjonalistą... Ale przegrał, sam zresztą też nie był

zawodowcem, a jedynie funkcjonariuszem partyjnym, który wydawał zawodowcom rozkazy.

Decyzję już podjął. Szkoda tych oficerów, tam w Ameryce, ale zawiedli i zasłużyli sobie na swój los. Podniósł słuchawkę telefonu i polecił swej osobistej sekretarce, by zarezerwowała dla jego żony i córki miejsca na lot do Tallina. Tak, będą też potrzebować samochodu i kierowcy. Nie, tylko jeden. Kierowca będzie zarazem ochroniarzem. Niewiele osób wie, kim jest jego żona, wyjazd nie był wcześniej planowany, po prostu w odwiedziny u starych znajomych. Świetnie.

Gierasimow odłożył słuchawkę i rozejrzał się po gabinecie. Będzie mu tego brakować. Nie tyle gabinetu, co władzy. Ale wiedział, że o wiele bardziej brakowałoby mu życia.

— A ten pułkownik Bondarienko? — zapytał Watutin.

— Świetny młody oficer. Bardzo zdolny. W odpowiednim czasie będzie z niego dobry generał.

Watutin zastanawiał się, jak to przedstawić w raporcie końcowym. Nie było żadnych podejrzeń w stosunku do tego człowieka, z wyjątkiem związku z Filitowem. Ale wobec Filitowa też nie było nigdy żadnych podejrzeń, mimo powiązań z Olegiem Pieńkowskim. Pułkownik Watutin pokręcił głową z zadumą. Tę sprawę będzie się jeszcze przez lata omawiać na wykładach z kontrwywiadu. Dlaczego tego nie zauważono? — będą dopytywać się młodzi oficerowie. Dlaczego wszyscy byli tacy głupi? Dlatego że tylko najbardziej zaufani ludzie mogą być szpiegami: ci, którym się nie ufa, nie dostają tajnych informacji. Z tego wniosek, jak zawsze, jeden: nie ufać nikomu. Wrócił myślą do Bondarienki. Ciekawe, co z nim będzie. Jeżeli jest tak lojalnym i wyjątkowym oficerem, jak się wydaje, ta sprawa nie powinna mu zaszkodzić. Ale —

zawsze jest jakieś „ale” — trzeba jeszcze odpowiedzieć na parę pytań. Watutin przebiegł listę do końca. Wstępny raport z przesłuchań winien znaleźć się na biurku Gierasimowa już jutro.

Wspinaczka trwała przez całą noc, w kompletnej ciemności. Chmury, które napłynęły z południa, zakryły księżyc i gwiazdy i jedyne światło dawały lampy wokół obiektu. Byli teraz już blisko celu, więc choć czekał ich jeszcze spory marsz, poszczególnym grupom można było wyznaczyć zadania i pokazać, gdzie miały je wykonywać. Łucznik wybrał wyżej położone miejsce, oparł lornetkę na skale i lustrował ośrodek. Składał się on z trzech części, z czego dwie były ogrodzone, a w trzeciej pod pomarańczowobiałym światłem reflektora umieszczonego na słupie podobnym do miejskiej latarni dostrzegł stosy pali i materiału na ogrodzenie. Wielkość obiektu zdumiała go. Zbudować coś takiego, i to na szczycie góry! Jak ważne musiało być to miejsce, skoro warte było całego tego wysiłku i całych tych pieniędzy? Coś, co wysyłało laserowy promień w niebo... po co? Amerykanie pytali go wówczas, czy widział, w co ten promień trafił. Wiedzieli więc, że trafił? Coś na niebie. Cokolwiek to było, przestraszyło Amerykanów, produkujących przecież rakiety, którymi on strącił tyle radzieckich samolotów...

Co mogło przestraszyć ludzi, którzy sami potrafili tak wiele? Łucznik patrzył na obiekt, ale nie dostrzegł nic groźniejszego niż wieże strażnicze z karabinami maszynowymi. W którymś z tych budynków znajdowali się żołnierze z ciężką bronią. Tego należało się obawiać. W którym?

Musiał to wiedzieć, bo ten budynek trzeba będzie zaatakować jako pierwszy. Ich moździerze przede wszystkim na niego skierują ogień. Ale który to?

Później...? Rozdzieli partyzantów na dwie sekcje, w każdej po stu. Major z jedną pójdzie na lewo. On weźmie drugą i pójdzie na prawo. Łucznik wyznaczył sobie cel ataku, gdy tylko zobaczył górę. To w tamtym budynku — pomyślał — są ci ludzie. Tam właśnie mieszkają. Nie żołnierze, ale ci, których żołnierze strzegą. W niektórych oknach paliły się światła. Taki blok mieszkalny wybudowany na szczycie góry. Cóż to musieli być za ludzie, że Rosjanie postawili im budynek, jaki widuje się tylko w miastach. Ludzie, którzy potrzebowali wygody. Ludzie, których należało chronić. Ludzie, którzy pracowali nad czymś, czego bali się Amerykanie.

Ludzie, których zabiję bez litości — pomyślał Łucznik.

U jego boku pojawił się major. — Wszyscy są dobrze ukryci — powiedział i skierował

swoją lornetkę na obiekt. Było tak ciemno, że Łucznik ledwie widział zarys jego twarzy i nikły cień sterczących wąsów. — Patrząc z tamtego wzgórza źle oceniliśmy teren. Podejście zajmie nam trzy godziny.

— Według mnie koło czterech.

— Nie podobają mi się te wieże — powiedział major. Obaj drżeli z zimna. Wiatr przybrał

na sile, a masyw góry już ich przed nim nie chronił. Będzie to trudna noc dla wszystkich. — Na każdej jest jeden lub dwa wielkokalibrowe karabiny maszynowe. Mogą nas zmieść ze stoku podczas ataku.

— Nie ma reflektorów — zauważył Łucznik.

— Więc stosują noktowizory. Sam ich używałem.

— Są dobre?

— Ich zasięg jest ograniczony ze względu na zasadę działania. Na tę odległość widać przez nie duże przedmioty, jak ciężarówki. Człowieka na takim nierównym terenie... na jakieś trzysta metrów. Jak na ich potrzeby to wystarczy. Najpierw musimy załatwić wieże. Użyjemy moździerzy.

— Nie — potrząsnął głową Łucznik. — Nie mamy nawet stu pocisków. Ostrzelamy nimi budynek koszarowy. Jeżeli uda nam się zabić śpiących tam żołnierzy, będziemy mieli łatwiej, gdy dostaniemy się do środka.

— Jeśli obsługa karabinów maszynowych na wieżach dostrzeże nas w czasie podchodzenia, połowa naszych będzie martwa, zanim zbudzi się reszta strażników — zauważył

major.

Łucznik mruknął pod nosem. Jego towarzysz miał rację. Dwie wieże były tak ustawione, że ich obsługa mogła ostrzeliwać strome zbocze, po którym musieli się wspiąć na szczyt góry.

Mógł użyć przeciw nim swoich karabinów maszynowych... ale taki pojedynek wygrywał

zazwyczaj atakowany. Wiatr dmuchał gwałtownie. Obaj wiedzieli, że ryzykują odmrożenia, jeżeli nie znajdą sobie osłony.

— Co za cholerne zimno! — rzucił major.

— Czy myślisz, że na wieżach też jest zimno? — zapytał po chwili Łucznik.

— Jeszcze zimniej niż tu. Są bardziej wystawieni na wiatr.

— Jak są ubrani rosyjscy żołnierze?

Major zaśmiał się. — Tak samo jak my. W końcu nosimy ich ubiory, prawda?

Łucznik przytaknął, próbując uchwycić myśl, która krążyła na obrzeżach jego świadomości. W końcu dotarła do jego otępiełego z zimna umysłu. Wstał z miejsca, polecając majorowi, by został. Wrócił z wyrzutnią Stingera. Na zimnej rurze zmontował podzespoły, które nosił pod ubraniem dla ochrony baterii przed chłodem. Wprawnie uruchomił całość, a później wsparł policzek na metalowej prowadnicy i skierował broń ku najbliższej wieży...

— Posłuchaj — powiedział, podając wyrzutnię majorowi. Ten skierował ją według wskazówek.

— Aha. — W czerni nocy zaświeciły zęby w szerokim uśmiechu.

Clark też był zajęty. Ostrożny facet — pomyślał Mancuso na widok wykładanego i sprawdzanego sztuka po sztuce sprzętu. Ubiór Clarka wydawał się normalny, tyle że nie najlepszej jakości, nieco podniszczony.

— Kupione w Kijowie — wyjaśnił Clark. — Trudno wyglądać jak tubylec w ubraniach od Harta, Schaffnera czy Manca. — Miał też kombinezon w maskujące pasy, pełny zestaw dokumentów osobistych — wypisanych po rosyjsku, którego Mancuso nie znał — i mały pistolet, niewiele większy od tłumika, który leżał obok.

— Jeszcze takiego nie widziałem — powiedział kapitan.

— To wyrób Qual-A-Tec. Tłumik typu przegrodowego, bezmembranowy, z wewnętrznym zatrzaskiem blokującym zamek.

— Co, co...?

Clark roześmiał się. — Kapitanie, jak tylko znalazłem się na pokładzie, cały czas słyszałem tę waszą podwodniacką gadkę. Teraz pora na rewanż. Mancuso podniósł pistolet. —

Taki kaliber? Pięć koma sześć?

— Wytłumienie strzału z dużego kalibru jest prawie niemożliwe, chyba że chce się mieć tłumik długości przedramienia, taki, jakiego używają chłopaki z FBI do swoich zabawek. Ja muszę mieć coś, co mieści się w kieszeni. To najlepszy wyrób Mickey'a, a od niego lepszego nie ma.

— Od kogo?

— Mickey'a Finna. Jest projektantem w Qual -A-Tec. Nie używam innych tłumików, tylko jego. To nie jest tak, jak w telewizji, kapitanie. Żeby tłumik dobrze działał, kaliber broni musi być mały, pocisk o prędkości poddźwiękowej, zamek blokowany po każdym strzale, aby uniknąć trzasku mechanizmu. I lepiej być na otwartej przestrzeni. Tutaj byłoby słychać ze względu na stalowe ściany. Na zewnątrz słyszałby pan coś jeszcze z dziesięciu metrów, ale nie wiedziałby pan, co to takiego. Tłumik wchodzi na pistolet tak, a teraz przekręcić — pokazał

Clark — i już można raz strzelić. Do następnego strzału trzeba przekręcić z powrotem i ręcznie przeładować.

— Chce pan powiedzieć, że się tam wybiera z takim małokalibrowym pistoletem, i to na ogień pojedynczy?

— Tak to jest, panie kapitanie.

— Czy kiedykolwiek...

— Naprawdę nie musi pan tego wiedzieć. A poza tym, nie mogę o tym mówić. — Clark uśmiechnął się. — Mnie samemu nie wolno tego wiedzieć. Jeżeli to coś panu pomoże, to owszem, boję się, ale za to mi płacą.

— A jeżeli...

— Zmiata pan stąd natychmiast. Mam prawo wydać panu taki rozkaz, pamięta pan, kapitanie? Jeszcze nic się nie wydarzyło. Proszę się nie martwić. Wystarczy, że ja martwię się za nas obu.

Wszyscy gotowi

Maria i Katrin Gierasimowe zawsze traktowane były z najwyższą atencją, z jaką traktuje się rodziny członków Biura Politycznego. Ze swego strzeżonego, ośmiopokojowego mieszkania na, Kutuzowskim Prospekcie pojechały samochodem KGB na lotnisko Wnukowo, wykorzystywane głównie do lotów krajowych, gdzie zaprowadzono je do saloniku zarezerwowanego dla wierchuszki. Salonik obsługiwało więcej osób niż z niego korzystało, a tego ranka pozostali pasażerowie zajmowali się sobą. Jedna ze stewardes zabrała ich kapelusze i okrycia, druga podprowadziła do kanapy, a trzecia zapytała, czy mają może ochotę coś zjeść albo wypić. Zamówiły tylko kawę. Obsługa saloniku z zazdrością spoglądała na ich ubiory. Szatniarka przejechała dłonią po jedwabistym włosiu futer i pomyślała, że jej przodkowie za caratu patrzyli pewnie z podobną zazdrością na dobrze urodzonych, jak ona teraz na te dwie. Siedziały w królewskim wprost odosobnieniu — nawet ochrona trzymała się w pewnej odległości —

popijając kawę i spoglądając przez olbrzymie okna na parkujące samoloty.

Maria Iwanowna Gierasimowa nie była Estonką, chociaż urodziła się w Tallinie. Cała jej rodzina to rdzenni Rosjanie, ponieważ za czasów carskich państwka nadbałtyckie wchodziły w skład rosyjskiego imperium. W okresie międzywojennym, kiedy zaznały „wolności” — jak to określają różni awanturnicy — estońscy nacjonałiści nie umilali życia Rosjanom. Wspomnienia z jej wczesnego dzieciństwa w Tallinie były niezbyt przyjemne, ale jak wszystkie dzieci, zawarła przyjaźnie, które przetrwały całe życie. Przetrwały nawet jej zamążpójście za młodego partyjniaka, który ku zdumieniu wszystkich, a szczególnie jej samej, doszedł do kierowania najbardziej znienawidzonym organem władzy radzieckiej. Co gorsza, swą karierę zrobił na represjonowaniu dysydentów. To, że przyjaźnie z dzieciństwa przetrzymały tę próbę, świadczyło o inteligencji Marii Iwanownej. Dzięki jej wstawiennictwu kilka osób uniknęło skazania na obozy pracy, albo zostało przeniesionych z obozów o zastrzonym reżimie do łagodniejszych.

Dzięki jej wpływom dzieci przyjaciół dostawały się na uczelnie. Gorzej powodziło się tym, którzy w dzieciństwie wyśmiewali się z jej rosyjskiego nazwiska, chociaż pomogła kiedyś jednemu z nich na tyle, by pokazać swą wielkoduszność. Takie postępowanie pozwalało zachować znajomości w małej tallińskiej dzielnicy, mimo że dawno temu wyjechała do Moskwy.

Swój wpływ miało także to, że mąż tylko raz towarzyszył jej do miejsca gdzie się wychowafa.

Nie była złą osobą, raczej taką, która wykorzystuje swą szczególną pozycję tak, jak robiłaby to księżna z jakiejś minionej epoki: arbitralnie, lecz rzadko złośliwie. Miała coś władczego w wyrazie twarzy, co pasowało do tego obrazu. Dwadzieścia pięć lat temu była piękną dziewczyną, obecnie zaś nadal przystojną kobietą, tyle że trochę poważniejszą. Będąc niejako częścią oficjalnego wizerunku męża, musiała odgrywać swą rolę w tej grze, choć nie tak dalece jak żony zachodnich polityków i

zachowywać się stosownie. Ta długoletnia praktyka bardzo się teraz przydała: ci, którzy ją obserwowali, nigdy nie zgadliby, o czym myśli.

Ciekawa była, co się stało. Wiedziała tylko tyle, że sprawa była niezwykle poważna. Mąż kazał jej być w określonym miejscu o określonej porze, nie zadawać mu żadnych pytań, obiecać tylko że będzie robiła dokładnie to, co jej powie, niezależnie od konsekwencji. To polecenie, wydane spokojnym, beznamiętnym głosem, w pobliżu odkręconego kranu w kuchni, było najbardziej przerażającą rzeczą, jaką usłyszała od chwili, gdy w 1941 roku niemieckie czołgi wtoczyły się z łoskotem do Tallina. Ale to niemiecka okupacja nauczyła ją, co znaczy „przeżyć”.

Córka nie wiedziała o niczym. Jej odruchom nie można było wierzyć. W przeciwieństwie do matki, Katrin nigdy nie zaznała niebezpieczeństwa, spotykała się tylko czasami z drobnymi niedogodnościami. Ich jedynaczka była na pierwszym roku Uniwersytetu Moskiewskiego, studiowała ekonomikę i zadawała się z mnóstwem równie ważnych dzieci równie ważnych rodziców, co najmniej szczebla ministerialnego. Należała już do partii — wstępować można po skończeniu osiemnastu lat — i też grała swą rolę. Zeszłej jesieni, razem z koleżankami i kolegami z grupy, pomagała przy żniwach, a to głównie dla zdjęcia, które ukazało się później na drugiej stronie „Komsomolskiej Prawdy”, gazety Związku Młodzieży Komunistycznej. Nie pojechała z własnej woli, ale dlatego że zgodnie z nowymi zasadami Moskwa „zachęcała” dzieci ludzi z aparatu władzy, by przynajmniej udawały, że też wnoszą swój wkład. Nie było źle: wróciła po tym doświadczeniu z nowym chłopakiem. Matka zastanawiała się czy łączyły ich stosunki intymne, czy też powstrzymały go od tego ochroniarze oraz świadomość, kim jest jej ojciec. Czy traktował ją jako szansę do wstąpienia do KGB? A może należał do tej nowej generacji, której na niczym nie zależało. Córka należała do takich właśnie. Do partii wstępowało się po to, by wzmocnić swoją pozycję, a stanowisko jej ojca znacznie skracało wyścig do wygodnej posady. Katrin siedziała w milczeniu obok matki, przeglądała zachodniemiecki żurnal mody, który obecnie sprzedawano w Związku Radzieckim i zastanawiała się, jakie nowe zachodnie modele nadawałyby się na uczelnię. Będzie się musiała nauczyć — pomyślała jej matka — przypominając sobie, że gdy ma się osiemnaście lat, węższe lub szersze horyzonty świata zależą od tego, w jakim się jest nastroju.

Gdy kończyły już kawę, zapowiedziano ich lot. Czekają: bez nich samolot nie odleci. W

końcu po ostatnim komunikacie przyniesiono im kapelusze i okrycia, a stewardesa sprowadziła je, wraz z ochroną do samochodu. Pozostałych pasażerów przywieziono przedtem do samolotu autobusem — Rosjanie jeszcze nie „odkryli” rękawów lotniskowych — toteż gdy ich samochód podjechał, mogły już bez tłoku wejść po schodkach. Stewardesa pokładowa troskliwie poprowadziła je do miejsc w przedniej części kabiny. Nie nazywano ich miejscami pierwszej klasy, ale były szersze, pozwalały na wyprostowanie nóg, no i były rezerwowane. Samolot wystartował o dziesiątej czasu moskiewskiego, poleciał do Leningradu, a w Tallinie wylądował

tuż po pierwszej.

— Macie więc, pułkowniku, zestawienie jego działalności? — zapytał od niechcienia Gierasimow. Watutin od razu spostrzegł, że przewodniczący jest czymś zaabsorbowany. Jego zainteresowanie

powinno być większe, tym bardziej że za godzinę zaczynało się posiedzenie Biura Politycznego.

— Będą o tym pisać książki, towarzyszu przewodniczący. Filitow miał dostęp praktycznie do wszystkich naszych tajemnic wojskowych. Pomagał nawet w tworzeniu polityki obronnej. Na samo streszczenie jego działalności potrzebowałem trzydziestu stron. Pełne przesłuchanie zajmie dobrych kilka miesięcy.

— Pośpiech jest tu mniej ważny niż dokładność — rzucił niedbale Gierasimow.

Watutin nie okazał zdziwienia. — Jak sobie życzycie, towarzyszu przewodniczący.

— Wybaczcie, ale mam dziś rano posiedzenie Biura Politycznego. Watutin wyprężył się na baczność, wykonał w tył zwrot i wyszedł.

W poczekalni dostrzegł Gołowkę. Znali się trochę: ukończyli akademię KGB w odstępie jednego roku, otrzymywali awanse mniej więcej w tym samym czasie.

— Pułkownikowi Gotówko — powiedziała sekretarka — przewodniczący musi teraz wyjść.

Proponuję, żebyście przyszli jutro rano o dziesiątej.

— Ale...

— Właśnie wychodzi — przerwała sekretarka.

— Dobrze — Gołowko podniósł się z miejsca. Razem z Watutinem wyszli z pokoju.

— Przewodniczący jest zajęty — zauważył w drodze Watutin.

— Wszyscy jesteśmy zajęci, prawda? — odparł Gołowko, gdy drzwi się za nimi zamknęły. — Myślałem, że jest mu to potrzebne. Przyjechałem tu o czwartej rano, żeby napisać ten cholerny raport! Cóż, chyba pójdę na śniadanie. Co tam w „Dwójce”, Klementi Władymirowiczu?

— Też pracujemy. Społeczeństwo nie płaci nam za siedzenie na tyłku. — Watutin także przyszedł rano, by skończyć papierkową robotę i już burczało mu w brzuchu.

— Chyba jesteś głodny, co? Zjemy razem?

Watutin przytaknął i obaj ruszyli do bufetu. Starsi oficerowie, od pułkownika wzwyż, mieli osobną jadalnię, w której obsługiwali ich ubrani na biało kelnerzy. Nigdy nie bywało tu pusto. KGB pracuje przez całą dobę, a nieregularne zajęcia to nieregularne posiłki. Poza tym, jedzenie było dobre, szczególnie dla starszych oficerów. Panował tu spokój: wszystkie rozmowy, nawet o sporcie, prowadzono niemal szeptem.

— Przydzielono cię zdaje się do negocjacji rozbrojeniowych? — zapytał Watutin, popijając herbatę.

— Tak, niańczenie dyplomatów. Amerykanie, rozumiesz, myślą, że jestem z GRU. —

Gołowko uniósł brwi, częściowo jako wyraz rozbawienia poglądem Amerykanów, a częściowo, by zasygnalizować koledze z uczelni, jak ważna jest jego przykrywka.

— Naprawdę? — Watutin był zaskoczony. — Myślałbym, że są lepiej poinformowani, przynajmniej... cóż... — wzruszył ramionami, by okazać, że dalej nie może się posunąć: Ja też mam, Siergiej Nikołajewiczu, takie sprawy, o których nie mogę mówić.

— Myślę, że przewodniczący jest zajęty posiedzeniem Biura Politycznego. Mówi się...

— Jeszcze nie jest gotowy — przerwał mu Watutin ze spokojną pewnością siebie człowieka znającego kulisy.

— Jesteś pewien?

— Całkowicie.

— Jak to widzisz? — zapytał Gołowko.

— A ty? — odpowiedział Watutin. Obaj wymienili rozbawione spojrzenia, ale po chwili Gołowko spoważniał.

— Narmonowowi trzeba dać szansę. Traktat rozbrojeniowy to dla nas dobra rzecz, jeżeli tylko dyplomaci przestaną się lenić i doprowadzą do niego.

— Naprawdę tak myślisz? — Watutin nie miał właściwie zdania.

— Naprawdę. Musiałem stać się specjalistą od zbrojeń obu stron. Wiem, co my mamy, i wiem, co mają oni. Dość tego. Kiedy ktoś już zginął, to nie ma potrzeby dalej do niego strzelać.

Są lepsze sposoby na wydawanie pieniędzy. Wiele spraw należy zmienić.

— Powinieneś wypowiadać się ostrożniej — przestrzegł go Watutin. Gołowko zbyt wiele podróżował. Był na Zachodzie, skąd wielu oficerów KGB wracało z cudownymi opowieściami: gdyby tylko Związek Radziecki mógł zrobić to, lub tamto, lub owo... Watutin wyczuwał w tym prawdę, ale zachowywał właściwą sobie ostrożność. Był człowiekiem „Dwójki”, który wyszukiwał niebezpieczeństwa, Gołowko natomiast był z Zarządu Pierwszego i wyszukiwał okazje.

— Czyż nie jesteśmy strażnikami? Jeżeli my nie możemy mówić, to kto może? —

powiedział Gołowko, zaraz jednak się wycofał. — Jasne, że ostrożnie, cały czas pod kierownictwem partii, ale nawet partia widzi potrzebę zmian. — Co do tego się zgadzali. Każda radziecka gazeta

głosiła potrzebę nowego podejścia, a każdy taki artykuł wymagał zatwierdzenia przez kogoś ważnego i politycznie nieskazitelnego. Partia nigdy się nie myliła, co obaj wiedzieli, lecz z pewnością bardzo zmieniła sposób swego kolektywnego myślenia.

— Szkoda, że partia nie widzi potrzeby wypoczynku dla swych strażników. Zmęczeni ludzie popełniają błędy, Siergieju Nikołajewiczu.

Gołowko przez jakiś czas wpatrywał się w talerz, a później jeszcze bardziej ściszył głos.

— Klementi... załóżmy na chwilę, że wiem o spotkaniach wysoko postawionego oficera KGB z wysoko postawionym oficerem CIA.

— Jak wysoko?

— Powyżej szefa zarządu — odpowiedział Gołowko, dając tym samym Watutinowi wyraźnie do zrozumienia, o kogo chodzi, nie wymieniając wszakże nazwiska czy funkcji. —

Przyjmijmy, że aranżuję te spotkania, i że on mi mówi, że nie muszę wiedzieć, o co w nich chodzi. W końcu załóżmy, że ów wysoki oficer zachowuje się... dziwnie. Co mam zrobić? —

zapytał i otrzymał odpowiedź jakby prosto z podręcznika:

— Oczywiście powinieneś napisać raport do Zarządu Drugiego. Gołowko o mało nie udławił się jedzeniem. — Świetny pomysł. Zaraz potem mogę sobie poderżnąć gardło brzytwą i zaoszczędzić wszystkim czasu i energii na przesłuchania. Niektórzy ludzie są poza wszelkim podejrzeniem, lub mają taką władzę, że nikt nie śmie ich podejrzewać.

— Siergieju, w ciągu ostatnich kilku tygodni nauczyłem się, że nie ma czegoś takiego jak

„poza wszelkim podejrzeniem”. Prowadzimy sprawę na tak wysokim szczeblu Ministerstwa Obrony... nie uwierzyłbyś nawet. Sam z trudnością w to wierzę. — Watutin skinął na kelnera, by przyniósł im świeżej herbaty. Ta przerwa dała jego partnerowi możliwość namysłu. Gołowko bardzo dobrze poznał to ministerstwo w związku ze swym udziałem w rozmowach rozbrojeniowych. Któż to może być? Niewielu jest ludzi, których KGB nie mogłoby podejrzewać

— w zasadzie Komitet nie przewidywał takich wypadków — a jeszcze mniej na wysokich szczeblach Ministerstwa Obrony, które KGB miało traktować z najwyższą podejrzliwością.

Ale...

— Filitow?

Watutin pobladł, i popełnił błąd: — Kto ci powiedział?

— Przecież to on instruował mnie zeszłego roku w sprawach rakiet średniego zasięgu.

Słyszałem, że zachorował. Chyba nie żartujesz, co?

— Nie ma w tym nic śmiesznego. Nie mogę ci dużo powiedzieć, a i to nie może wyjść poza ten stolik, ale... tak, Filitow pracował dla... dla kogoś poza granicami kraju. Przyznał się, i pierwsza faza przesłuchań jest już zakończona.

— Ależ on wie wszystko! Trzeba powiadomić zespół negocjacyjny, ponieważ to całkowicie zmienia pozycję wyjściową do rozmów — powiedział Gołowko.

Watutin nie zastanawiał się nad tym jeszcze, ale nie do niego należało podejmowanie decyzji politycznych. Ostatecznie był jedynie policjantem o specjalnych zadaniach. Może ocena Gołowki była prawidłowa, lecz przepisy to przepisy.

— Ta informacja jest na razie ściśle tajna. Nie zapominaj o tym, Siergieju Nikołajewiczu.

— Sektorowe utajnianie informacji może działać zarówno na naszą korzyść, jak i przeciw nam — stwierdził Gołowko. Zastanawiał się, czy powinien ostrzec negocjatorów.

— To prawda — przyznał Watutin.

— Kiedy go aresztowaliście? — Na swoje pytanie Gołowko zaraz otrzymał odpowiedź.

Ta zbieżność w czasie... Odetchnął głęboko, zapominając o negocjacjach. — Przewodniczący co najmniej dwa razy spotkał się z wysokim funkcjonariuszem CIA...

— Z kim i kiedy?

— W niedzielę wieczorem i wczoraj rano. Nazywa się Ryan. Jest moim partnerem w zespole amerykańskim, ale to facet od informacji, a nie oficer operacyjny, jakim ja kiedyś byłem.

Rozumiesz coś z tego?

— Czy jesteś pewien, że nie jest z operacji?

— Z pewnością. Mogę ci nawet powiedzieć, w którym pokoju pracuje. To nie ulega wątpliwości. Jest analitykiem, starszym analitykiem, ale tylko urzędnikiem — specjalnym asystentem ich zastępcy dyrektora do spraw informacyjnych. Przedtem należał do grupy łącznikowej wysokiego szczebla w Londynie. Nigdy nie zajmował się działalnością operacyjną.

Watutin wypił herbatę i nalał sobie następną filiżankę. Potem posmarował masłem kawałek chleba. Namyslał się przez dłuższy czas. Miał sporo możliwości, by opóźnić odpowiedź, ale...

— To wszystko jest niezwykle. Może przewodniczący prowadzi coś tak poufnego...

— No tak... albo ma to tak właśnie wyglądać — stwierdził Gołowko.

— Jak na człowieka z „Jedynki”, myślisz Siergieju zadziwiająco po naszymu. Świetnie.

W normalnej sytuacji — to nie jest normalna sytuacja, ale wiesz o co mi chodzi... a więc w normalnej sytuacji zbieramy dane i przedstawiamy je dyrektorowi Zarządu Drugiego.

Przewodniczący ma ochroniarzy. Wzięłoby się ich na bok i przepytało. Mój szef musiałby z tym pójść do... no właśnie, do kogo? — pytanie Watutina było właściwie pytaniem retorycznym. —

Chyba do członka Biura Politycznego, albo do sekretarza Komitetu Centralnego, choć... sprawa Filitowa prowadzona jest bardzo cicho. Moim zdaniem przewodniczący chce ją wykorzystać do nacisków politycznych na ministra obrony i Waniejewa...

— Co takiego?

— Córka Waniejewa działała jako szpieg na rzecz Zachodu, a dokładnie mówiąc, jako łącznik. Złamaliśmy ją i...

— Dlaczego nie podano tego do publicznej wiadomości?

— Wróciła do pracy, i to z polecenia przewodniczącego — odpowiedział Watutin.

— Klementi, czy masz u diabła jakieś pojęcie o tym, co się tutaj dzieje?

— Nie, teraz już nie. Przypuszczałem, że przewodniczący próbuje wzmocnić swą pozycję polityczną, ale te spotkania z człowiekiem z CIA... jesteś tego absolutnie pewien?

— Sam je organizowałem — powtórzył Gołowko. — Pierwsze musiało być ustalone przed przyjazdem Amerykanów, i do mnie należały tylko detale. Potem Ryan zażądał kolejnego.

Przekazał mi to na kartce — niezbyt zręcznie, jak oficer na pierwszym ćwiczebnym spotkaniu w czasie szkolenia. Spotkali się wczoraj w kinoteatrze na Barikadnej. Klementi, dzieje się coś bardzo dziwnego.

— Na to wygląda. Ale nie mamy nic...

— Co chcesz powiedzieć...

— Siergieju, śledztwa to mój zawód. Nie mamy nic oprócz nie powiązanych z sobą informacji, które łatwo dadzą się wytłumaczyć. Nic tak nie szkodzi śledztwu, jak zbyt pospieszne działanie. Zanim cokolwiek postanowimy, musimy zebrać i przeanalizować to, co mamy. Wtedy możemy pójść do mojego szefa, i to on dopiero może dać zgodę na dalsze kroki. Czy myślisz, że dwóm pułkownikom wolno się tym zajmować bez uzgodnienia ze zwierzchnikami? Musisz spisać wszystko, co wiesz i przynieść mi. Kiedy byłbyś gotowy?

— Muszę być na rozmowach delegacji za — spojrzął na zegarek — dwie godziny.

Negocjacje potrwać do szesnastej, a potem będzie przyjęcie. Amerykanie wyjeżdżają o dwudziestej drugiej.

— Mógłbyś nie iść na przyjęcie?

— Będzie to trochę niezręczne, ale tak.

— Bądź w moim biurze o szesnastej trzydzieści — powiedział oficjalnie Watutin.

Gołowko, który był oficerem o rok dłużej od niego, po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Wedle rozkazu, towarzyszu pułkowniku.

— Jakie jest stanowisko ministerstwa, towarzyszu marszałku? — zapytał Narmonow.

— Nie mniej niż sześć godzin — odpowiedział Jazow. — W tym czasie zdążymy ukryć większość ściśle tajnych urządzeń. Jak wiecie, wolelibyśmy, aby nasze obiekty w ogóle nie były kontrolowane, lecz kontrola instalacji amerykańskich stwarza pewne możliwości wywiadowcze.

Minister Spraw Zagranicznych skinął głową. — Amerykanie będą chcieli krótszego czasu, ale myślę, że uda się nam doprowadzić do tych sześciu godzin.

— Nie zgadzam się. — Głowy członków Biura Politycznego zwróciły się ku Aleksandrowowi. Na jego twarzy znowu pojawiły się niezdrowe rumieńce. — Wystarczająco niekorzystna jest już sama redukcja naszych arsenałów, ale żeby jeszcze Amerykanie sprawdzali nasze fabryki i wykradali nam sekrety, to szaleństwo!

— Michaile Pietrowiczu, już to omawialiśmy — powiedział cierpliwie sekretarz generalny Narmonow. — Czy ktoś jeszcze? — spojrzął po siedzących przy stole. Pokręcili głowami. Gensek zaznaczył w notatniku, że ten punkt wyczerpano i skinął w stronę ministra spraw zagranicznych.

— Sześć godzin, i ani trochę krócej.

Minister wydał szeptem polecenie swemu asystentowi, który natychmiast wyszedł z sali, by zadzwonić do przewodniczącego zespołu negocjacyjnego. Potem nachylił się nad stołem. —

Zostaje teraz zagadnienie, które z broni należy wyeliminować... to oczywiście pytanie najtrudniejsze. Wymagać będzie jeszcze jednej rundy i to dość długiej.

— Nasze spotkanie na szczycie przewidziane jest za trzy miesiące... — zauważył

Narmonow.

— Tak, i do tego czasu należy podjąć decyzję. Wstępne rozmowy w tej kwestii nie napotkały poważniejszych sprzeciwów.

— Co z amerykańskimi systemami obrony? — zapytał Aleksandrow. Głowy znowu odwróciły się, tym razem ku przewodniczącemu KGB.

— Nadal trwają wysiłki w celu spenetrowania amerykańskiego programu badawczego KLIPER HERBACIANY. Jak wicie, jest on bardzo zbliżony do naszej JASNEJ GWIAZDY, chociaż wydaje się, że w najważniejszych dziedzinach jesteśmy bardziej zaawansowani —

powiedział Gierasimow, nie podnosząc głowy z nad notatnika.

— Zmniejszymy nasze siły raketowe o połowę, a w tym czasie Amerykanie nauczą się zestrzeliwać nasze rakiety — zrzędził Aleksandrow.

— Ale oni też zmniejszą o połowę swoje siły, gdy my osiągniemy to samo — zauważył

Narmonow. — Michaile Pietrowiczu, pracujemy nad tym od ponad trzydziestu lat, i to o wiele usilniej niż oni.

— Jesteśmy też bardziej zaawansowani w próbach — dodał Jazow — natomiast...

— Oni już o tym wiedzą — powiedział Gierasimow. Chodziło mu o próbę, którą Amerykanie obserwowali z pokładu „Cobra Belle”, Jazow jednak o tym nie wiedział. KGB nie udało się dojść, w jaki sposób próbę dostrzeżono, a tylko tyle, że Amerykanie o niej wiedzieli. —

Proszę pamiętać, że oni też mają służby wywiadowcze.

— Ale nic o tym nie wspomnieli — zauważył Narmonow.

— Amerykanie są niekiedy powściągliwi w omawianiu takich tematów. Skarżą się na jakieś techniczne szczegóły naszej działalności obronnej, ale nie na wszystkie, w obawie przed ujawnieniem swoich metod zbierania informacji wywiadowczych — wyjaśnił od niechcienia Gierasimow. — Zapewne przeprowadzili podobne próby, chociaż nic o nich nie wiemy. Jeśli potrzeba, też potrafią zachować tajemnicę. — Taussig nigdy nie udało się zdobyć takich informacji. Gierasimow odchylił się w fotelu, pozwalając mówić innym.

— innymi słowy, obie strony będą nadal działały po swojemu — podsumował

Narmonow.

— O ile nie poczynią ustępstw — powiedział minister spraw zagranicznych — co jest mało prawdopodobne. Czy ktoś spośród obecnych uważa, że powinniśmy ograniczyć nasze badania nad systemami antyrakietowymi? — Nikt tak nie uważał. — To dlaczego mielibyśmy się spodziewać, że z Amerykanami jest inaczej?

— A co będzie, jeżeli nas prześcigną? — szarpnął się Aleksandrow.

— To dobre pytanie, Michaile Pietrowiczu — skorzystał z okazji Narmonow. —

Dlaczego zawsze wygląda na to, że Amerykanie nas wyprzedzają? — zapytał zebranych. —

Dzieje się tak nie dlatego, że są czarodziejami, ale dlatego, że im na to pozwalamy, dlatego że nie potrafimy doprowadzić do sprawnego działania naszej gospodarki. Przez to marszałek Jazow nie otrzymuje urządzeń, których potrzebują nasi ludzie w mundurach, nasza ludność nie osiąga standardu życia, którego się spodziewa, a my nie mamy możliwości dorównania Zachodowi.

— Dorównujemy im w uzbrojeniu! — zaprotestował Aleksandrow.

— Ale jaką daje nam ono przewagę, skoro Zachód także ma broń? Czy jest tu ktoś, kogo zadowala zrównanie się z Zachodem? Dokonują tego nasze rakiety — ciągnął Narmonow — ale wielkość narodu to coś więcej niż zdolność zabijania. Jeżeli mamy pokonać Zachód, to nie przy pomocy bomb atomowych... chyba że chcecie, aby po nas świat odziedziczyli Chińczycy. —

Narmonow zamilkł na chwilę. — Towarzysze, jeżeli mamy być górą, musimy ożywić naszą gospodarkę.

— Ależ ona żyje — rzucił Aleksandrow.

— Jak długo jeszcze pożyje? Czy któryś z nas to wie? — zapytał Waniejew, zaogniając atmosferę.

Przez kilka minut trwała burzliwa dyskusja, ale powoli uspokoiła się, przechodząc w zwykły tryb wymiany zdań Biura Politycznego. Narmonowowi pozwoliło to ocenić siły opozycji.

Uznał, że jego frakcja ma lekką przewagę nad frakcją Aleksandrowa. Waniejew się nie odsłonił, bo przecież Aleksandrow chciał, by udawał, że jest po stronie sekretarza generalnego, czyż nie?

Poza tym gensek miał jeszcze Jazowa. Narmonow wykorzystał także posiedzenie do odebrania problemom ekonomicznym kraju wymiaru politycznego poprzez zachęcanie do reform jako środka mającego wzmocnić siłę wojskową państwa — co nie tylko było prawdą, lecz ponadto czemu nie mogli zaprzeczyć Aleksandrow i jego klika. Narmonow uważał, że przejmując inicjatywę będzie w stanie ponownie ocenić siłę strony przeciwnej, a przez otwarte postawienie sprawy zepchnie ich, przynajmniej na jakiś czas, do psychologicznej defensywy. Niczego więcej nie uda mu się na razie osiągnąć. Jeszcze któregoś dnia podejmę walkę — powiedział sobie. Gdy traktat o kontroli zbrojeń przejdzie, jego siła przy tym stole wzrośnie o kolejne oczko. Narodowi się to spodoba; po raz pierwszy w historii Związku Radzieckiego odczucia narodu zaczynały się liczyć. Gdy tylko zapadnie decyzja, które z broni będą wyeliminowane i według jakiego harmonogramu, będzie wiadomo, ile dodatkowych pieniędzy można wydać. Pozycja Narmonowa pozwoli mu je rozdysponować i umocnić zarazem swą władzę w Biurze Politycznym, ponieważ jego członkowie będą walczyć o uzyskanie funduszy na realizację popieranym przez siebie inwestycji. Aleksandrow nie zdoła temu przeszkodzić, gdyż jego zaplecze miało charakter bardziej ideologiczny niż ekonomiczny. Narmonow

doszedł do wniosku, że ostatecznie chyba wygra. Mając wsparcie w armii i Waniejewa w kieszeni, wyjdzie obronną ręką z tej próby sił, nagnie KGB do swojej woli i odeśle Aleksandrowa na zieloną trawkę. Chodziło tylko o to, kiedy poruszyć tę sprawę. Najpierw trzeba uzgodnić traktat: z przyjemnością ustąpi w drobniejszych sprawach na tamtym polu, byle tylko umocnić swą pozycję w kraju. Zachód się zdziwi, ale pewnego dnia zdziwi się jeszcze bardziej, gdy zobaczy, co może zdziałać żywotna gospodarka dla państwa, będącego głównym jego rywalem. Najpilniejszą sprawą dla Narmonowa było polityczne przetrwanie. Kolejnym zadaniem było ożywienie gospodarki kraju. Był jeszcze cel, bardziej dalekosiężny, który nie zmienił się od trzech pokoleń, choć Zachód wciąż wynajdywał

nowe sposoby, by go lekceważyć. Nie na nim głównie skupiał się Narmonow, niemniej nie sposób było o nim zapomnieć.

Dzięki Bogu — pomyślał Ryan — że to ostatnie posiedzenie. Znowu zaczął się denerwować. Nie było powodu, dla którego wszystko nie miałoby pójść dobrze, chociaż Ryan nie miał pojęcia, co się stanie z rodziną Gierasimowa. Tu usłyszał ponownie to powtarzane do znudzenia „nie wasza sprawa”. Część operacji obejmująca wyciągnięcie Gierasimowa i Kardynała była jednak tak nieprawdopodobnie prosta, że nigdy by tego nie wymyślił. Zajął się tym Ritter, a ten stary drań naprawdę był pomysłowy.

Tym razem pierwsi przemawiali Rosjanie. W pięć minut po rozpoczęciu zaproponowali z jakim wyprzedzeniem należy zawiadamiać o niespodziewanej kontroli instalacji. Zdaniem Jacka najlepiej byłoby w ogóle nie uprzedzać, ale było to nierozsądne. Zagląkanie do rakiet, jakkolwiek pożądane, nie było konieczne. Wystarczyło policzyć wyrzutnie i głowice bojowe, a do tego zapewne wystarczyło powiadomienie z wyprzedzeniem poniżej dziesięciu godzin, tym bardziej że owe nagłe wizyty były koordynowane z przelotami satelitów, które wyłapywałyby wszelkie próby oszukiwania. Rosjanie proponowali dziesięć godzin. Ernest Allen zażądał trzech. W dwie godziny później strona radziecka zeszła do siedmiu, amerykańska zaś skłonna była przystać na pięć. Po następnych dwóch godzinach, ku zdumieniu wszystkich Amerykanie powiedzieli

„sześć”, a przewodniczący delegacji rosyjskiej skinął głową. Obaj wstali i pochyliwszy się nad stołem, uścisnęli sobie ręce. Jack był zadowolony, że mają to już za sobą, ale on spróbowałby upierać się przy pięciu godzinach. Ostatecznie z Gołówką przecież zgodzili się na cztery, no nie?

Cztery i pół godziny na uzgodnienie jednego pieprzonego punktu — pomyślał Jack. —

To chyba rekord świata. Rozległy się nawet oklaski, kiedy wstawano od stołu. Jack ruszył za innymi ku najbliższej toalecie. Kiedy po kilku minutach wrócił, natknął się na Gołówkę.

— Wasi nie przyciskali nas za mocno — zauważył oficer KGB.

— Powinien być pan zadowolony, że nie ja się tym zajmowałem — przyznał Jack. —

Tyle się napracować przy paru drobiazgach.

— Według pana to drobiazgi?

— W tym Wielkim Rzeczy Porządku... cóż, są ważne, ale nie tak bardzo. Dla mnie oznacza to przede wszystkim, że możemy lecieć do domu — powiedział Jack z lekkim niepokojem w głosie: To jeszcze nie koniec.

— Cieszy się pan na to? — zapytał Gotówko.

— Niespecjalnie, ale cóż można na to poradzić — odrzekł Ryan i pomyślał: Tym razem, cwaniaku, to nie lot mnie denerwuje.

Załoga samolotu mieszkała w hotelu „Ukraina”, w pobliżu rzeki Moskwy, zajmując wspólnie olbrzymie pokoje, robiąc zakupy w hotelowym sklepiku z pamiątkami i zwiedzając, co się da. Jednocześnie na zmianę pełniono dyżur w samolocie. Teraz wymeldowali się wszyscy razem i załadowali do autokaru, który przejechawszy rzekę, podążył Prospektem Kalinina na wschód, w kierunku portu lotniczego. Cała jazda, przy niedużym ruchu ulicznym, zabrała pół godziny.

Gdy zjawił się pułkownik von Eich, ludzie z zespołu British Airways, który zapewniał

obsługę jego samolotu, kończyli właśnie tankowanie pod baczynym okiem sierżanta-szefa personelu pokładowego, do którego „należy” samolot oraz drugiego pilota, kapitana mającego zasiąść na prawym fotelu VC-137. Członkowie załogi przeszli przez punkt kontroli KGB, którego obsada sumiennie sprawdziła tożsamość wszystkich, potem wdrapali się na pokład, ułożyli swoje bagaże i zaczęli przygotowywać się do lotu powrotnego do bazy lotnictwa wojskowego Andrews. Pilot zebrał swoją piątkę w kabinie i pod osłoną dźwięków z czyjś przenośnego radia, poinformował ich o tym, co robić będą dziś wieczorem, a co miało być

„trozkę inne”.

— O rany — odezwał się sierżant-szef — a to dopiero „trochę inne”!

— Czymże jest życie bez małych podniet? — zapytał von Eich. — Wszyscy wiedzą, co mają robić?

— Skinienia głów. — No to zabieramy się do roboty. — Pilot i drugi pilot wzięli listy procedury przedstartowej i razem z sierżantem wyszli na zewnątrz. Dobrze będzie wrócić do domu, to jasne, jeżeli uda się oderwać opony od betonu, który był, według sierżanta, zimny jak tyłek więdźmy. Ubrani w przepisowe lotnicze kurtki z kapturami, w rękawicach, powoli sprawdzali samolot od zewnątrz. Ich 89. Skrzydło Lotnictwa Transportowego miało nieskalaną wypadkiem historię przewożenia Dostojnych Gości po całym świecie, a udawało się im to tylko dzięki skrupulatnemu traktowaniu każdego detalu. Von Eich ciekaw był, czy ich passa siedmuset tysięcy godzin bezwypadkowego latania zostanie dziś wieczór przerwana.

Ryan był już spakowany. Mieli wyjechać na lotnisko prosto z przyjęcia. Postanowił

jeszcze raz się ogolić i umyć zęby przed włożeniem zestawu kosmetycznego do jednej z kieszeni walizki. Miał na sobie jeden ze swych angielskich garniturów, wystarczająco ciepły na tutejszy

klimat, ale obiecał sobie, że jeżeli jeszcze kiedyś będzie jechał w zimie do Moskwy, zabierze długie kalesony. Już miał wyjść, gdy usłyszał stukanie do drzwi. Był to Tony Candela.

— Przyjemnego lotu życzę — powiedział.

— Dobrze, dobrze — roześmiał się Ryan.

— Myślałem, że się na coś przydamy — wziął walizkę, tak że Jackowi została tylko aktówka. Poszli do windy, która zawiozła ich z piętra siódmego na dziewiąte. Tam zaczekali na inną, mającą zjechać do holu.

— Czy wie pan, kto projektował ten budynek?

— Najwyraźniej ktoś z poczuciem humoru — odpowiedział Candela. — Chyba wzięli tego samego faceta do budowy nowej ambasady. — Roześmieli się obaj. Ta historia warta była utrwalenia w formie kolejnego filmu katastroficznego. W budynku było tyle urządzeń elektronicznych, że dałoby się z nich złożyć duży komputer. W chwilę później przyjechała winda. W holu Candela podał Ryanowi walizkę.

— Połamania nóg! — rzucił i odszedł.

Jack skierował się do czekających samochodów i wrzucił walizkę do otwartego bagażnika. Noc była jasna, niebo rozgwieżdżone, i widać było lekki poblask zorzy polarnej nad północnym horyzontem. Mówiono mu, że ten fenomen natury można niekiedy zobaczyć z Moskwy, choć dotąd nie udało mu się go zaobserwować.

Sznur samochodów wyruszył dziesięć minut później w kierunku Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jechali trasą, według której ukształtowała się mizerna wiedza Ryana o tym mieście liczącym osiem milionów dusz. Jeden po drugim samochody zakręcały na małym placyku, a ich pasażerów prowadzono do wnętrza budynku. Dzisiejsze przyjęcie nie było nawet w części tak wystawne jak to ostatnie na Kremlu, ale i obecne rozmowy nie miały takiego znaczenia jak ówczesne. Następne posiedzenie będzie trudne, ponieważ zbliża się termin spotkania na szczycie, ale za to odbędzie się w Waszyngtonie. Reporterzy już czekali: głównie prasa, i tylko parę kamer telewizyjnych. Ktoś podszedł do Jacka, gdy tylko oddał płaszcz.

— Doktor Ryan?

— Tak? — obrócił się.

— Jestem Mike Paster z „Washington Post”. W Waszyngtonie mówi się, że pańska sprawa w Komisji Nadzoru Giełdowego została wyjaśniona.

Jack roześmiał się. — O Boże, jak miło jest chociaż raz nie rozmawiać o rozbrojeniu. Już wcześniej mówiłem, że nie zrobiłem nic złego. Chyba ci kretyni... ale proszę tego nie pisać, ci ludzie, w końcu się o tym przekonali. To dobrze. Nie chciałem być zmuszony do wynajęcia adwokata.

— Mówi się, że CIA przyłożyła się do...

— Wie pan co — przerwał mu Ryan — niech pan poinformuje swoją redakcję, że jak mi dadzą parę dni na wyplątanie się z obecnych spraw, to przedstawię im wszystko, co robiłem.

Wszystkich transakcji dokonuję za pomocą komputera, ale zachowuję kopie na twardym dysku.

To co, umowa stoi?

— Jasne, ale dlaczego...

— Skąd ja mam to wiedzieć. — Jack wziął z tacy przechodzącego kelnera kieliszek z winem. Musiał wypić jednego, ale dziś wieczór będzie to jedyny. — Może paru ludzi w Waszyngtonie chce przepieprzyć Agencji. Ale na miłość boską, niech pan tego też nie cytuje.

— No więc, jak poszły rozmowy? — zapytał reporter.

— Szczegółów dowie się pan od Erniego, ale mówiąc nieoficjalnie, dość dobrze. Może nie aż tak jak ostatnim razem, bo sporo jeszcze zostało do załatwienia, uzgodniliśmy jednak kilka trudnych spraw, czyli właściwie wszystko, co przewidywaliśmy na tę rundę.

— Czy porozumienie zostanie zawarte przed szczytem? — zapytał Paster.

— Nie do druku — zastrzegł natychmiast Jack, na co reporter skinął głową. — Według mnie jest siedemdziesięcioprocentowa szansa.

— A co na ten temat sądzi Agencja?

— Pamięta pan, że nie powinniśmy angażować się politycznie? Praktycznie biorąc, redukcja o pięćdziesiąt procent to coś, z czym można żyć. Ale i tak niczego nie zmienia, prawda?

Chociaż brzmi dobrze, przyznaję.

— Mam to przytoczyć jako pańską wypowiedź? — zapytał Paster.

— Proszę mnie nazwać „urzędnikiem rządowym bardzo niskiego szczebla” —

uśmiechnął się Jack. — W porządku? Wujek Ernie może wypowiadać się oficjalnie, ale mnie nie wolno.

— Jaki to będzie miało wpływ na utrzymanie się Narmonowa przy władzy?

— To nie moja działka — gładko skłamał Ryan. — Moje opinie na ten temat są prywatne, nie zawodowe.

— A więc...

— A więc niech pan o to zapyta kogoś innego — zaproponował Jack. — Mnie może pan pytać o rzeczy naprawdę ważne, na przykład, kogo Red Skins powinni skaperować do pierwszej rundy?

— Olsona z Baylor — odpowiedział natychmiast reporter.

— Mnie też podoba się ten pensylwańczyk.

— Życzę dobrej podróży — reporter zamknął notatnik.

— Dziękuję, niech pan dobrze spędzi resztę zimy.

Reporter zbierał się do odejścia, ale jeszcze się zatrzymał. — Niech mi pan coś powie, całkowicie prywatnie, o Foleyach, tej parze, którą Rosjanie odesłali do domu w zeszłym...

— O kim? Ach, to ci, których oskarżono o szpiegostwo? Mówiąc całkowicie prywatnie, bo nic pan ode mnie nie usłyszał, to kompletna bzdura. A oficjalnie, to „bez komentarzy”.

— Jasne — reporter odszedł, uśmiechając się.

Jack stał samotnie. Rozglądał się za Gołowąką, ale nigdzie go nie widział. Był

rozczarowany. Wróg czy nie, można z nim było porozmawiać i Ryan zdążył już polubić te rozmowy. Zjawił się minister spraw zagranicznych, potem Narmonow. Było też wszystko, co trzeba: skrzypce, stoły pełne przekąsek, kelnerzy obnoszący srebrne tace z winem, wódką i szampanem. Ludzie z Departamentu Stanu zagłębiali się w dyskusje ze swymi radzieckimi kolegami. Ernie Allen i jego partner w negocjacjach śmiali się z czegoś. Tylko Jack stał

samotnie, co mu nie odpowiadało. Podeszedł do najbliższej grupki, przez nikogo prawie nie zauważony, i sącząc małymi łykami wino, spoglądał od czasu do czasu na zegarek.

— Już czas — odezwał się Clark.

Cały trudny okres przygotowań i czekania mieli za sobą. Sprzęt Clarka został już umieszczony w wodoszczelnym szybie, prowadzącym z centrali na pomost kiosku i zaopatrzonym na obu końcach w zamykane włązy. Razem z Clarkiem poszedł na ochotnika jeden z marynarzy. Pokrywa dolnego włązu została zamknięta i dokręcona. Mancuso podniósł telefon.

— Sprawdzam łączność.

— Słyszę dobrze — odpowiedział Clark. — Jestem gotów.

— Proszę nie ruszać pokrywy, dopóki nie powiem.

— Tak jest, kapitanie.

Mancuso obrócił się. — Przejmuję dowodzenie.

— Kapitan przejmuje dowodzenie — ogłosił oficer wachtowy.

— Oficer zanurzenia, wypompować tysiąc trzysta kilogramów. Podnosimy się z dna.

Maszynownia, uwaga na komendy.

— Rozkaz. — Oficer zanurzenia, który był także szefem okrętu, wydał niezbędne rozkazy. Pompy zbiorników trytowych wyrzuciły blisko półtorej tony wody morskiej i „Dallas”

powoli się wyprostował. Mancuso rozejrzał się. Stanowiska były obsadzone, zespół namierzania celów gotów do działania. Ramius stał obok nawigatora. Pulpity odpalania kontrolowane.

Poniżej, w przedziale torpedowym, wszystkie cztery wyrzutnie były załadowane, a jedna z nich już napełniona wodą.

— Sonar, tu kapitan. Coś nowego?

— Nic, kapitanie, kompletnie nic.

— Dobrze. Oficer zanurzenia, wychodzimy na dwadzieścia siedem metrów.

— Rozkaz, dwadzieścia siedem.

Żeby ruszyć naprzód, musieli najpierw podnieść się z dna. Mancuso obserwował

głębokościomierz, podczas gdy szef okrętu powoli i zręcznie ustawiał trym.

— Jest dwadzieścia siedem. Trudno to będzie utrzymać.

— Maszyny, prędkość pięć węzłów. Ster prawo piętnaście na kurs zero-trzy-osiem.

— Rozkaz, ster prawo piętnaście na kurs zero-trzy-osiem — potwierdził sternik. — Jest ster prawo piętnaście.

— Dobrze. — Mancuso patrzył na żyrokompas, wskazujący teraz kierunek północno-wschodni. Wyplyniecie spod lodu zabrało pięć minut. Kapitan nakazał wyjście na peryskopową.

Jeszcze jedna minuta.

— Peryskop w górę! — rozkazał Mancuso. Starszy sternik przekręcił zawór i spod podłogi wybiegły ku kapitanowi rękojeści i okular peryskopu.

— Stop!

Peryskop zatrzymał się pół metra pod powierzchnią. Mancuso sprawdził, czy nie ma w pobliżu lodu lub jakiegoś cienia, ale nic nie dojrzał. — Pół metra w górę. — Klęczał teraz przed okularem. — Jeszcze pół i tak trzymać.

Używał cieńszego peryskopu bojowego, a nie grubszego obserwacyjnego. Chociaż obserwacyjny miał lepszą jasność układu, nie chciał ryzykować większego odbicia w wiązce radarowej. W ciągu ostatnich dwunastu godzin na okręcie paliły się tylko czerwone lampy, w których światło żywność wyglądała dość dziwnie, ale które poprawiały widzialność w złych warunkach. Teraz Mancuso powoli zlustrował horyzont. Nie było widać nic oprócz dryfującego po powierzchni lodu.

— Czysto — ogłosił. — Dookoła czysto. Podnieść antenę wykrywania. — Ze świstem urządzeń hydraulicznych podniósł się maszt-czujnik z włókna szklanego, grubości zaledwie jednego centymetra, prawie niewidoczny na ekranach radarowych. — Peryskop w dół!

— Mam jeden radar obserwacji powierzchni w namiarze zero-trzy-osiem — zameldował operator urządzeń wykrywczych, podając także charakterystykę częstotliwości i pulsu. — Sygnał jest słaby.

— No to ruszamy. — Mancuso połączył się z pomostem. — Gotowy?

— Tak, kapitanie — odpowiedział Clark.

— Przygotować się, i powodzenia. — Kapitan odłożył słuchawkę i odwrócił się. —

Wystawiamy komin, gotowość do szybkiego zanurzenia.

Zabrało to całe cztery minuty. Górna część czarnego kiosku „Dallas” przecięła powierzchnię, ustawiając się dokładnie na najbliższy radziecki radar, by ograniczyć do minimum odbicie jego wiązki. Utrzymanie takiego zanurzenia było dość trudne.

— Clark, wychodź!

— Rozumiem.

Pływający po wodzie lód powinien, zdaniem Mancuso, znacznie zniekształcić obraz na ekranie radaru. Zobaczył, że świetlny znak na włączniku zmienił się z kreski, oznaczającej

„zamknięty” na kółko — „otwarty”.

Szyb kończył się w miejscu znajdującym się o metr poniżej podłogi pomostu. Clark odkręcił pokrywę górnego wjazdu, wyszedł, a potem wyciągnął z szybu, przy pomocy stojącego poniżej marynarza,

pakiet z łodzią. Stał teraz sam na pomoście, na szczycie kiosku. Ułożył pakiet na krawędzi wiatrochronu i pociągnął za linkę napełniania. Zgrzytliwy pisk wlatującego powietrza wydał się tak głośny, że Clark aż się skrzywił. Gdy nagumowane płótno naprężyło się, krzyknął do marynarza, by zamknął właz do szybu, a sam podniósł słuchawkę telefonu na pomoście.

— Wszystko gotowe. Właz zamknięty. Do zobaczenia za kilka godzin.

— Rozumiem. Powodzenia — zabrzmiał głos Mancuso.

Clark zręcznie wśliznął się na łódź, pod którą kiosk okrętu zapadał się już pod wodę, i włączył napęd elektryczny. Na „Dallas” marynarz wyskoczył z szybu, po czym razem z kapitanem zakręcili właz.

— Główny zamknięty, gotowi do zanurzenia — zameldował szef, gdy na sygnalizatorze włazu pokazała się znowu kreska.

— No i już — powiedział Mancuso. — Poruczniku Goodman, proszę przejąć dowództwo.

Wie pan, co robię.

— Przejmuję dowództwo — potwierdził oficer wachtowy i natychmiast zanurzył okręt, kierując go w stronę dna. Kapitan poszedł naprzód, do kabiny hydrolokacji.

Jak za dawnych czasów — pomyślał Mancuso — znowu Jones jest starszym sonarzystą.

Okręt ustawił się dziobem, mieszczącym antenę sonaru, wzdłuż kursu, który obrał Clark. W minutę później do kabiny przyszedł Ramius.

— Dlaczego nie chciałeś podejść do peryskopu? — zapytał Mancuso.

— Ciężko jest widzieć swoje strony i wiedzieć, że nie można...

— To on — przerwał Jones, stukając palcem w ekran. — Robi osiemnaście węzłów. Dość cichy jak na silnik burtowy. Elektryczny, co?

— Zgadza się.

— Mam nadzieję, kapitanie, że akumulator jest dobry.

— Mówił mi, że litowy.

— Klasa — mruknął Jones. Wytrząsnął z paczki papierosy i podsunął kapitanowi, który na chwilę zapomniał, że rzucił palenie. Jones przypalił i przybrał zamyśloną minę.

— Wie pan, kapitanie, przypomniałem sobie, dlaczego wówczas zrezygnowałem ze służby... — jego

głos ciągnął się jak ślad obiektu na ekranie. Zespół namierzania celów aktualizował zamiary ogniowe, byle tylko mieć coś do roboty. Jones podniósł głowę i nadśluuchiwał. „Dallas” był cichy jak zawsze, a powietrze wydawało się znacznie gęstsze od napięcia niż od dymu papierosów.

Clark leżał niemal płasko w łodzi wykonanej z nagumowanego nylonu i pomalowanej w zielono-szare łaty, by nie odróżniała się od koloru morza. Rozważano też białe plamy ze względu na lód, pojawiający się tu w zimie, ale później ktoś zdał sobie sprawę, że na tym obszarze kanał

jest stale oczyszczany przez lodołamacz i taki biały punkt poruszający się szybko po ciemnej powierzchni to nie najlepszy pomysł. Clarka niepokoił przede wszystkim radar. Kiosk okrętu mógł się zgubić w zakłóceniach, ale jeżeli rosyjskie urządzenia radiolokacyjne mają wskaźnik celów ruchomych, to nawet zwykły komputer analizując odbite sygnały bez trudu zdoła wyłapać coś, co przemieszcza się z prędkością dwudziestu mil na godzinę. Sama łódź wystawała pół

metra nad wodę, a silnik pokryty materiałem pochłaniającym fale radarowe — drugie tyle. Clark starał się trzymać głowę na poziomie silnika i znów się zastanowił, czy kilka metalowych uzupełnień, które kryły się w jego ciele, jest wystarczająco dużych, by także mogli je dostrzec.

Wiedział, że to niemożliwe (nie uruchamiały nawet lotniskowych wykrywaczy metalu), ale samotni ludzie w niebezpiecznych miejscach mają skłonność do puszczania wodzy wyobraźni.

Lepiej jednak być głupkiem — pomyślał sobie — bo inteligencja tylko uświadamia ci, jak niebezpieczne to zabawy. Gdy już będzie po wszystkim, kiedy miną dreszcze, pod gorącym prysznicem można rozwodzić się nad swą odwagą i przebiegłością — ale nie teraz. Teraz robienie czegoś takiego wydawało się niebezpiecznym, by nie powiedzieć szaleńczym działaniem.

Linia brzegu była wyraźnie widoczna: ciąg punkcików pokrywających horyzont. Widok niby normalny, ale to wrogie terytorium. Świadomość tego mroziła bardziej niż czyste nocne powietrze.

Przynajmniej morze jest spokojne — powiedział sobie. W gruncie rzeczy jakaś metrowa fala lepiej osłaniałaby go przed radarem, za to gładka, jakby oleista powierzchnia sprzyjała rozwijaniu większej prędkości, a zawsze wolał poruszać się szybko. Spojrzał do tyłu. Łódź nie zostawiała za sobą dużego kilwateru, a i ten zmniejszył się, gdy zredukował prędkość zbliżając się do przystani.

Cierpliwości — pouczał się daremnie, nie znosił bowiem samego pojęcia cierpliwości: Kto lubi czekać na cokolwiek? Jeżeli ma się coś zdarzyć, to niech się zdarzy i już. Takie szybkie załatwianie spraw to nie najbezpieczniejszy sposób, ale gdy człowiek jest w ruchu, to coś się dzieje. Kiedy jednak uczył innych, jak się robi takie rzeczy — a tym zajmował się na co dzień —

zawsze mówił, by byli cierpliwi. Ty pieprzony hipokryto — rugał się w myślach.

Widząc boje przystani zorientował się, że jest blisko brzegu. Zmniejszył prędkość do dziesięciu węzłów, potem do pięciu, a w końcu do trzech. Silnik elektryczny wydawał ledwie słyszalne buczenie. Clark przyciągnął uchwyt, kierując łódź ku walącemu się pomostowi. Musiał

być stary: pale były spękane i wyszlifowane przez krę wielu zim. Bardzo powoli Clark wyciągnął lunetę noktowizyjną i obejrzał teren. Nie zauważył w pobliżu niczego. Słyszał coś, jakby ruch uliczny, którego odgłosy dochodziły przez wodę, jakąś muzykę. W końcu to piątkowy wieczór i nawet w Związku Radzieckim w restauracjach odbywają się zabawy, ludzie tańczą, W gruncie rzeczy jego plan zakładał jakieś nocne życie — w Estonii kwitło ono bardziej niż w reszcie kraju

— molo było puste, tak jak go wcześniej poinformowano. Podpłynął i przywiązał łódkę do pala ze szczególną starannością: gdyby zdryfowała, miałyby poważne kłopoty. Obok pala była drabina.

Clark zrzucił z siebie kombinezon i z pistoletem w ręku wspiał się na górę. Dopiero teraz poczuł zapach przystani: różnił się trochę do tego, jakim przesiąknięte są podobne miejsca w Ameryce: czuł zaduch oleju i stęchłą gnijącego drewna. Na północ od niego kilkanaście łodzi rybackich stało przy innym pomoście, a na południe, na jeszcze innym leżały stopy budulca. A więc przystań remontowano i to wyjaśniało stan mola, do którego przybił. Spojrzał na zegarek, podniszczonego rosyjskiego Poliota. Jeszcze czterdzieści minut. Rozejrzał się gdzie by tu przeczekać. Wypływając musiał liczyć się z tym, że morze będzie bardziej burzliwe. Przybył

wcześniej i miał teraz czas na zastanowienie się, jakim jest wariatem podejmując się takich zadań ewakuacyjnych.

Borys Filipowicz Morozow wyszedł z koszarowego budynku, w którym dotąd mieszkał i spojrzał w górę. Światła JASNEJ GWIAZDY zamieniły niebo w pierzastą kopułę opadających płatków śniegu. Lubił takie chwile.

— Kto tam? — usłyszał władczy głos.

— Morozow — odpowiedział młody inżynier. W kręgu światła pojawiła się postać w oficerskim ubiorze.

— Dobry wieczór, towarzyszu inżynierze. Jesteście z zespołu sterowania zwierciadeł, tak? — zapytał Bondarienko.

— Czy już się spotkaliśmy?

— Nie — pokręcił głową pułkownik. — Wiecie, kim jestem?

— Tak, towarzyszu pułkowniku.

Bondarienko wskazał na niebo. — Pięknie, prawda? Myślę, że to jakieś pocieszenie, choć jesteśmy w najdalszym zakątku nicości.

— Nie, towarzyszu pułkowniku, jesteśmy na najbardziej wysuniętym przyczółku czegoś bardzo ważnego.

— Miło mi to słyszeć. Czy cały wasz zespół tak uważa?

— Tak, towarzyszu pułkowniku. Sam prosiłem o przydzielenie mnie tutaj.

— Tak? A skąd wiedzieliście o tym miejscu? — zainteresował się pułkownik.

— Byłem tu zeszłej jesieni w grupie komsomolskiej. Pomagaliśmy w wysadzaniu skał i ustawianiu podpór pod zwierciadła. Na studiach specjalizowałem się w laserach i dlatego zgadłem, czym jest JASNA GWIAZDA. Oczywiście nikomu o tym nie powiedziałem — dodał

Morozow. — Wiedziałem jednak, że to miejsce dla mnie.

Bondarienko spojrział na młodzieńca z widoczną aprobatą. — Jak idą prace?

— Myślałem, że będę w zespole laserów, ale mój obecny szef niemal siłą zaciągnął mnie do swojej grupy — uśmiechnął się Morozow.

— Jesteście z tego niezadowoleni?

— Nie, nie, wybaczcie, źle mnie zrozumieliście. Nie wiedziałem, jak ważna jest grupa od zwierciadeł. Teraz wiem. Próbuje przystosować system zwierciadeł do bardziej precyzyjnego sterowania komputerowego... Może niedługo zostanę zastępcą szefa sekcji — powiedział z dumą Morozow. — Znam się także na systemach komputerowych.

— Kto jest waszym kierownikiem sekcji? Czy nie Goworow?

— Zgadza się. Wspaniały inżynier-praktyk, jeżeli wolno mi tak powiedzieć. Chciałbym o coś zapytać.

— Proszę.

— Mówi się, że może będziecie... to wy jesteście tym nowym pułkownikiem, prawda?

No więc mówią, że może będziecie nowym zastępcą komendanta programu.

— Te plotki mają pewne podstawy — przyznał Bondarienko.

— Czy mogę więc coś zaproponować, towarzyszu pułkowniku? — zapytał Morozow.

— Słucham.

— Jest tu wielu niezonatych mężczyzn...

— ... a brakuje niezamężnych kobiet?

— Jest zapotrzebowanie na pomoce laboratoryjne.

— Wasza uwaga została przyjęta do wiadomości, towarzyszu inżynierze — odpowiedział

Bondarienko z uśmiechem. — Planujemy także budowę nowego bloku mieszkalnego, by rozładować zagęszczenie. Jak tam w koszarowcu?

— Atmosfera jest koleżeńska, bardzo aktywnie działają kółka astronomiczne i szachowe.

— Dawno już nie grałem na poważnie w szachy. Czy przeciwnicy są silni? — spytał pułkownik.

Młody człowiek uśmiechnął się. — To mordercy, dzikusy!

Odległy o pięć kilometrów Łucznik błogosławił imię swego Boga. Padał śnieg, a płatki nadawały powietrzu magiczną właściwość, tak ukochaną przez poetów — i żołnierzy. Można było słyszeć, a nawet odczuć tę wytłumioną ciszę. Śnieg pochłaniał wszystkie dźwięki. Wokół

nich, jak wzrokiem sięgnąć, wisiała zasłona z bieli, ograniczająca widzialność do dwustu metrów. Zebrał dowódców grup i zaczął przygotowania do ataku. Po kilku minutach ruszyli.

Łucznik był z grupą prowadzącą pierwszej kompanii, a jego zastępca z tyłu, z resztą oddziału.

Szło im się zadziwiająco dobrze. Rosjanie powyrzucali dookoła urobek z odstrzałów skały. Odłamki te, mimo że pokryte śniegiem, nie były na szczęście śliskie; ich szlak wiódł

niebezpiecznie blisko stumetrowego urwiska. Wynajdywanie drogi było trudne. Łucznik szedł na pamięć, ale przedtem spędził godziny na obserwacji celu i znał każdy zakamarek góry, a w każdym razie myślał, że zna. Teraz jak zawsze, pojawiły się wątpliwości, dlatego z całych sił

koncentrował się na zadaniu. Przed wyruszeniem odnotował w pamięci kilkanaście punktów kontrolnych: tu głaz, tam rozpadlina, w tym miejscu ścieżka skręcała w lewo, od tamtego — szła na prawo. Najpierw marsz wydawał się nieznośnie wolny, ale im bliżej byli celu, tym szybsze stało się tempo. Cały czas kierowali się na światła. Jakże pewni siebie byli Rosjanie montując tu oświetlenie — pomyślał Łucznik. Nawet jadący pojazd — sądząc po odgłosie, autobus — miał

włączone światła. Te małe, ruchome punkciki przebijały przez otaczającą je białą chmurę.

Wartownicy, znajdujący się w większej bańce światła, byli teraz w niekorzystnym położeniu. W

normalnej sytuacji skierowane na zewnątrz reflektory służyć miały do oślepienia intruzów. Teraz sytuacja się odwróciła. Niewiele światła przenikało przez padający śnieg, natomiast dużo się od niego odbijało, uniemożliwiając obserwację. W końcu grupa prowadząca osiągnęła ostatni punkt kontrolny. Łucznik rozmieścił swoich ludzi i czekał na nadejście reszty. Zajęło to pół godziny.

Partyzanci skupiali się po trzech, po czterech i wykorzystywali czas na gaszenie pragnienia i polecanie swych dusz Allahowi, gotując się zarówno na bitwę, jak i na jej żniwo. Takie było przeznaczenie wojownika. Ich wróg był także wrogiem ich Boga. Cokolwiek uczynią tym, którzy

obrazili ich Boga, będzie im wybaczone. Każdy z ludzi Łuczniaka przypominał sobie przyjaciół i rodziny, które zginęły z rosyjskich rąk.

— To zadziwiające — szepnął major, który właśnie nadszedł.

— Allah jest z nami, przyjacielu — odpowiedział Łucznik.

— Niewątpliwie. — Znajdowali się zaledwie pięćset metrów od szczytu, a jeszcze ich nie zauważono. Może nawet uda się nam przeżyć — pomyślał major.

— O ile bliżej możemy...

— Sto metrów. Noktowizory, które mają, widzą przez śnieg na około czterysta metrów.

Najbliższa wieża straży jest o sześćset metrów stąd, w tamtą stronę — pokazał niepotrzebnie, Łucznik bowiem dokładnie wiedział, gdzie stoi ta oraz następna, oddalona o kolejne dwieście metrów.

Major spojrział na zegarek i przez chwilę się zastanawiał.

— Jeżeli stosują tu ten sam rozkład, co w Kabulu, strażę zmieniają się za godzinę. Ci po służbie będą zmęczeni i zziębnięci, a zmiana jeszcze nie całkiem rozbudzona. Wtedy nadejdzie nasza pora.

— Powodzenia — rzekł Łucznik. Uścisnęli się.

— „Dlaczego mamy odmawiać walki za sprawę Boga, kiedy zabrano nam domy nasze i dzieci nasze”,

— „Kiedy spotkali Goliata i jego wojowników, zakrzyknęli: Panie, napełnij serca nasze hartem. Spraw, by nogi pewnie stąpały, i wspomóż nas przeciw niewiernym”.

Były to wyjątki z Koranu, ale żaden z nich nie uważał za niezwykle, że cytat dotyczył

bitwy Izraelitów przeciw Filistynom. Muzułmanom także znani byli Dawid i Saul oraz ich dzieje.

Major uśmiechnął się raz jeszcze i pobiegł ku swoim ludziom.

Łucznik odwrócił się i ruchem ręki przywołał zespół z rakietami. Dwóch ze Stingerami na ramionach podążyło za swym dowódcą pod górę. Jeszcze jedno wzniesienie, i już spoglądali na widoczne poniżej wieże strażnicze. Zdziwił się, że było stąd widać trzy. Przygotowano trzecią raketę. Łucznik powiedział im, co robić i wrócił do reszty oddziału. Na wzniesieniu czujniki naprowadzania wyrzutni zaczęły operatorom swą pieśń śmierci: wieże były ogrzewane, a Stingery szukały tylko źródeł ciepła.

Następnie Łucznik polecił obsłudze moździerza, by podeszła bliżej — bliżej, niżby chciał, ale słaba

widzialność przeszkadzała nie tylko mudzahedinom. Widział, jak kompania majora schodzi w dół na lewo i niknie wśród śniegu. Oni zaatakują urządzenia laserowe, natomiast on i jego ludzie uderzą w miejsce, gdzie mieszka większość załogi. Nadeszła ich kolej.

Łucznik podprowadził ich jak mógł najbliżej do miejsca, dokąd sięgały przez śnieg reflektory.

Zobaczył wartownika, okutanego, pozostawiającego za sobą w powietrzu białe chmurki oddechu.

Jeszcze dziesięć minut. Łucznik wyciągnął radiotelefon, jeden z czterech, które mieli. Do tej pory nie odważyli się ich użyć, obawiając się wykrycia przez Rosjan.

Nie powinniśmy byli pozbywać się psów — pomyślał Bondarienko. — Gdy tylko się tu rozgoszczę, przede wszystkim sprowadzę je z powrotem. Chodził wokół obozu, rozkoszując się zimnem i śniegiem oraz wykorzystując ciszę do uporządkowania myśli. Było tu parę rzeczy, które wymagały zmiany, a do tego potrzeba prawdziwego żołnierza. Generał Pokryszkin nazbyt ufał planowi ochrony, a żołnierze KGB byli zbyt leniwi. Nie wysyłali, na przykład, nocnych patroli. Ich dowódca twierdził, że na tym terenie to zbyt niebezpieczne, patrole dzienne i tak wykryją każdego, kto spróbuje się zbliżyć. Na wieżach są noktowizory, reszta terenu jest oświetlona reflektorami. Ale przy takiej pogodzie efektywność działania noktowizorów spadała do dwudziestu procent. A jeżeli gdzieś w pobliżu jest grupa afgańska? Przede wszystkim zadzwonię do pułkownika Nikołajewa z dowództwa Specnazu — powiedział sobie Bondarienko

— i poprowadzę ćwiczebny atak na ośrodek, żeby wykazać tym idiotom z KGB, ile mają słabych punktów. Na przykład ten wartownik: rozgrzewa się zabijając ręce, a karabin zwisa na ramieniu.

Potrzeba czterech sekund, żeby go ściągnąć, odbezpieczyć i wycelować. Cztery sekundy —

pomyślał pułkownik — z czego przez trzy ostatnie byłby już martwy, gdyby tam krył się ktoś sprawny... Cóż, zastępca dowódcy w każdej jednostce to, zdaniem wszystkich, kawał

skurwysyna. A jeżeli czekałsi chcą się bawić w żołnierzy, to będą też musieli zachowywać się jak żołnierze. Bondarienko zawrócił w kierunku domu.

Samochód Gierasimowa zatrzymał się przed bocznym wejściem do więzienia lefortowskiego. Kierowca został w środku, ale ochroniarz towarzyszył przewodniczącemu.

Gierasimow pokazał swoją legitymację wartownikowi i przeszedł nie zatrzymując się ani na chwilę. KGB pilnowało bezpieczeństwa, twarz przewodniczącego znano jednak bardzo dobrze, a już tym bardziej jego władzę. Gierasimow skręcił w lewo, w kierunku biur. Naczelnika więzienia, oczywiście nie było, lecz był jeden z jego zastępców. Gierasimow zastał go nad jakimiś formularzami.

— Dobry wieczór. — Tylko okulary na nosie zastępcy uchroniły jego oczy przed całkowitym wyjściem z orbit.

— Towarzysz przewodniczący! Nic mi...

— I tak miało być.

— Czym mogę...

— Więzień Filitow. Natychmiast jest mi potrzebny — zażądał szorstko Gierasimow. —

Natychmiast — powtórzył z naciskiem.

— W tej chwili! — zastępca naczelnika więzienia skoczył na równe nogi i wybiegł do drugiego pokoju. Po chwili był z powrotem. — Potrwa pięć minut.

— Musi być odpowiednio ubrany — powiedział Gierasimow.

— W mundur? — zapytał zastępca naczelnika.

— Nie, ty idioto — warknął przewodniczący. — W ubranie cywilne. Musi wyglądać porządnie. Macie wszystkie jego rzeczy, tak?

— Oczywiście, towarzyszu przewodniczący, ale...

— Nie zamierzam spędzić tu reszty nocy — powiedział cicho Gierasimow. A nie ma nic groźniejszego niż cichy ton głosu u przewodniczącego KGB. Zastępca naczelnika niemal wyfrunął z pokoju. Gierasimow obrócił się do swego ochroniarza, który uśmiechnął się z rozbawieniem. Nikt nie lubi „klawiszy”. — Ile to potrwa według ciebie?

— Niecałe dziesięć minut, towarzyszu przewodniczący, mimo że będą musieli znaleźć jego ubranie. Przecież to zero wie, jak wspaniale się tutaj mieszka. Znam go.

— Tak?

— Był kiedyś w „Jedynce”, ale słabo wypadł na pierwszym zadaniu, i od tamtej pory jest „klawiszem”. — Ochroniarz spojrział na zegarek.

Po ośmiu minutach Filitow pojawił się niemal ubrany, chociaż miał nie zapiętą koszulę, a krawat tylko owinięty wokół szyi. Zastępca naczelnika trzymał podniszczony płaszcz. Filitow nie kupował sobie wielu ubrań. Był pułkownikiem Armii Radzieckiej i bez munduru czuł się nieswojo. Jego rozbiegane oczy dostrzegły w końcu Gierasimowa.

— O co chodzi? — zapytał.

— Pojedziesz ze mną, Filitow. Zapnij koszulę. Postaraj się wyglądać jak człowiek!

Misza chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Spojrzenie, jakie posłał

przewodniczącemu, wystarczyło, by ochroniarz poruszył się niespokojnie. Filitow zapiął koszulę i zawiązał krawat, ale krzywo, bo nie było lustra.

— A teraz, towarzyszu przewodniczący, proszę tu podpisać...

— To tak przekazujecie mi przestępcę?!

— Co...

— Dawać kajdanki! — ryknął Gierasimow.

Zastępca naczelnika wyciągnął parę z szuflady, założył Filitowowi i już miał włożyć kluczyk do kieszeni, gdy zobaczył wyciągniętą dłoń Gierasimowa.

— Świetnie. Odeślę go wam jutro wieczorem.

— Ale musicie podpisać... — zastępca naczelnika spostrzegł, że mówi do znikających pleców.

— Cóż, wśród tych wszystkich, którymi kieruję — powiedział Gierasimow do ochroniarza — zawsze musi być kilku takich...

— Rzeczywiście, towarzyszu przewodniczący. — Ochroniarz był niezwykle sprawnym czterdziestodwuletnim mężczyzną, byłym oficerem operacyjnym, świetnie znającym wszystkie formy walki z bronią i bez broni. Wszystko to powiedział Miszy jego silny chwyt.

— Filitow — rzucił Gierasimow przez ramię — pojedziemy, a raczej polecimy na małą wycieczkę. Nic się ci nie stanie. Jeżeli będziesz się dobrze zachowywał, to może nawet dostaniesz jeden czy dwa przyzwoite posiłki. Jeżeli nie, to Wasilij sprawi, że tego pożałujesz.

Czy to jasne?

— Jasne, towarzyszu czekisto.

Wartownik poderwał się na baczność, a potem otworzył drzwi. Strażnicy na zewnątrz oddali honory, co zostało skwitowane skinięciem głowy. Kierowca otworzył drzwi samochodu, Gierasimow zatrzymał się i obrócił.

— Wasilij, posadź go z tyłu, koło mnie. Będziesz miał na wszystko oko z przedniego siedzenia.

— Jak sobie życzyście.

— Na Szeremietiewo — polecił kierowcy Gierasimow. — Terminal towarowy, od południa.

Nareszcie lotnisko — pomyślał Ryan. Powstrzymał czknięcie o smaku wina i sardynek.

Sznur samochodów wjechał na teren portu lotniczego, potem skręcił w prawo, przejechał obok głównego wejścia do hali, ku strefie parkowania samolotów. Jak zauważył, wszystko było dokładnie strzeżone. W tej dziedzinie na Rosjanach można polegać. Gdziekolwiek spojrzął

widział uzbrojonych żołnierzy w mundurach KGB. Za budynkiem głównym samochód minął

dobudowany ostatnio pawilon. Nie był używany, wyglądał jak obcy statek kosmiczny na spielbergowskich „Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia”. Ryan nawet chciał kogoś zapytać, po co to wybudowano, ale nie zdążył. Może następnym razem — pomyślał.

Oficjalne pożegnanie odbyło się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Teraz kilku młodszych urzędników stało przy schodkach, by ścisnąć ręce, nikt jednak nie spieszył się z opuszczaniem ogrzanych wewnątrz limuzyn. Samochód Ryana szarpnął i zatrzymał się. Człowiek po prawej stronie otwierał drzwi, a kierowca zwolnił klapę bagażnika. Jemu też nie chciało się wysiadać: wewnątrz nagrzało się dopiero pod koniec jazdy. Jack wyciągnął swoją walizkę i teczkę i ruszył w stronę schodków.

— Mam nadzieję, że pańska wizyta była udana — powiedział radziecki urzędnik.

— Chciałbym tu jeszcze kiedyś przyjechać na zwiedzanie miasta — odpowiedział Jack, ściskając rękę tamtego.

— Będzie nam bardzo miło.

Nie wątpię — pomyślał Jack wchodząc po schodkach. Gdy znalazł się w środku, spojrzął w kierunku kabiny pilotów. Na rozkładanym siedzeniu zobaczył rosyjskiego oficera, który miał pomagać w rozmowach z kontrolą lotów. Wzrok miał utkwiony w zasłonięty pulpit łączności.

Ryan skinął głową pilotowi, a ten mrugnął do niego.

— Boję się jak diabli aspektu politycznego — powiedział Watutin. W budynku przy placu Dzierżyńskiego 2 sprawdzali z Gołowąką swoje notatki.

— Nie jest już tak, jak kiedyś. Nie mogą nas rozstrzelać za to, że postępujemy zgodnie z przepisami i tym, czego nas uczono.

— Doprawdy? A jeżeli Filitow działał za wiedzą przewodniczącego?

— Bzdura — odparł Gołowko.

— Taak? A jeżeli jego wcześniejsze działania przeciwko dysydemtom umożliwiły mu kontakt z Zachodem? Wiemy, że parę razy osobiście interweniował w niektórych sprawach —

głównie w republikach nadbałtyckich, ale nie tylko.

— Teraz to naprawdę myślisz jak człowiek z „Dwójki”.

— Sam pomyśl przez chwilę. Aresztujemy Filitowa i zaraz potem przewodniczący spotyka się osobiście z człowiekiem z CIA. Czy coś takiego kiedykolwiek się zdarzyło?

— Słyszałem historie o Philbym, ale... nie, to dopiero po tym, jak przeszedł do nas.

— Co za cholerny zbieg okoliczności — powiedział Watutin, trąc oczy. — Nie uczą nas wierzyć w zbiegi okoliczności, a...

— Job twaju mat’!- warknął Gołowko. Watutin spojrział na niego z irytacją i zobaczył, że tamten przewraca oczyma. — Gdy ostatnim razem byli tu Amerykanie... jak mogłem o tym zapomnieć! Ryan rozmawiał z Filitowem... zderzyli się niby przypadkowo i...

Watutin podniósł słuchawkę i nakręcił numer. — Połączcie mnie z dyżurnym naczelnikiem... mówi pułkownik Watutin. Zbudźcie więźnia Filitowa. W ciągu godziny chcę go tu widzieć... Co takiego? Kto? Dobrze, dziękuję. — Pułkownik Watutin wstał. — Kwadrans temu Gierasimow zabrał Filitowa z więzienia. Powiedział, że jadą w specjalną podróż.

— Gdzie masz samochód?

— Mogę zamówić...

— Nie — rzucił Gołowko. — Twój własny samochód.

Wbrew prawom

Jeszcze nie było pośpiechu. W kabinie załoga usadzała pasażerów, a w tym czasie pułkownik sprawdzał listę czynności przedstartowych. Samolot podłączony był do akumulatora lotniskowego, dzięki któremu silniki można zapuścić łatwiej niż przy użyciu własnego systemu rozruchowego. Von Eich spojrzął na zegarek. Miał nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

W tyle kabiny Ryan przeszedł obok swego zwyczajowego miejsca, przed przedziałem Ernie Allena, i usiadł w ostatnim rzędzie. Ten odcinek kabiny wyglądał podobnie jak w normalnym samolocie rejsowym, chociaż w rzędzie było tylko pięć foteli. Siedzieli tu zazwyczaj ci, którzy nie zmieścili się w części przedniej, „ważniejszej”. Jack wybrał lewą stronę, gdzie stały po dwa fotele, podczas gdy kilkanaście osób starało się, jak radził jeden z członków załogi, usiąść możliwie blisko z przodu, by nie odczuwać wibracji. Szef załogi zamiast w przedziale służbowym z przodu miał siedzieć w fotelu po prawej stronie Jacka. Ryan chciałby mieć jeszcze kogoś do pomocy, ale nie mogli zachowywać się zbyt ostentacyjnie. Na pokładzie znajdował się radziecki oficer i odejście od przyjętych zwyczajów mogłoby zwrócić jego uwagę. Chodziło o to, by wszyscy byli przekonani, że wszystko jest tak, jak być powinno.

Pilot w kabinie doszedł do końca listy przedstartowej.

— Wszyscy są na pokładzie?

— Tak jest. Możemy zamykać drzwi.

— Uwaga na sygnalizator drzwi służbowych. Coś z nim nie tak — powiedział von Eich do inżyniera pokładowego.

— Jakiś kłopot? — zapytał radziecki pilot ze swojego fotelika. Nagła dekompresja to poważna sprawa dla każdego lotnika.

— Kiedy je sprawdzamy, drzwi wydają się w porządku. Prawdopodobnie uszkodzony przekaźnik w tablicy przyrządów, ale jeszcze drania nie znaleźliśmy. Sam sprawdzałem tę cholerną uszczelkę — zapewnił Rosjanina. — Musi być usterka gdzieś w obwodzie.

— Gotowość do startu — odezwał się inżynier pokładowy.

— Dobrze. — Pilot upewnił się, czy usunięto już schodki. Załoga w kabinie założyła słuchawki. — Lewa burta czysta.

— Prawa burta czysta — odpowiedział drugi pilot.

— Włączam pierwszy. — Poszły w ruch przyciski, przełączniki i łopatki turbiny lewego zewnętrznego silnika zaczęły się obracać. Wskazówki paru zegarów poruszyły się i wkrótce zatrzymały się w zakresie oznaczającym bieg jałowy. Akumulator lotniskowy odjechał: samolot miał już własne zasilanie.

— Włączam czwarty — powiedział pilot. Przełączył swój mikrofon na łączność kabinową. — Dobry wieczór państwu, mówi pułkownik von Eich. Właśnie przeprowadzamy rozruch silników. Startujemy za jakieś pięć minut. Proszę zapiąć pasy. Pałących proszę o powstrzymanie się przez pewien czas.

Siedzący w ostatnim rzędzie Ryan, dałby teraz wszystko za papierosa. Szef załogi spojrzał w jego stronę i uśmiechnął się. Jack pomyślał, że to odpowiedni twardziel do tej roboty.

Dobijał pięćdziesiątki, ale wyglądał na faceta, który mógłby nauczyć moresu obrońców z ligi futbolowej. Na rękach miał skórzane rękawice robocze z mocno ściągniętymi paskami.

— Gotów? — zapytał Jack bez obawy, że ich ktoś usłyszy: huk silników zagłuszał wszystko.

— Kiedy tylko pan powie.

— Będzie pan sam wiedział, kiedy.

— Taak — mruknął Gierasimow. — Jeszcze go nie ma. — Port towarowy był zamknięty, a jedyne światło rzucały reflektory wartownicze.

— Mam zadzwonić? — zapytał kierowca.

— Nie ma pośpiechu. Co tam... — Umundurowany strażnik machnął, by się zatrzymali.

Już przejechali przez jeden punkt kontrolny. — No tak, Amerykanie przygotowują się do startu.

To dlatego wszystko się popieprzyło.

Strażnik podeszedł do okienka kierowcy i poprosił o przepustki. Kierowca machnął w kierunku tylnego siedzenia.

— Dobry wieczór, kapralu — powiedział Gierasimow, okazując legitymację. Młody żołnierz wyprężył się na baczność. — Za kilka minut ma tu być mój samolot. Amerykanie trochę to wszystko psują. Czy ochrona jest gdzie trzeba?

— Tak jest, towarzyszu przewodniczący. Cała kompania.

— Skoro już tu jesteśmy, to może zrobimy szybki przegląd? Kto jest waszym dowódcą?

— Major Zarudin, tow...

— Co się tu do cholery dzieje! — przerwał mu jakiś porucznik. Podeszedł do miejsca, gdzie stał kapral i dopiero wtedy zobaczył, kto siedzi w samochodzie.

— Poruczniku, gdzie jest major Zarudin?

— W wieży kontroli lotów, towarzyszu przewodniczący. To najlepsze miejsce do...

— Z pewnością, z pewnością. Połączcie się z nim przez radio i powiedzcie, że dokonam przeglądu posterunków, a potem podjadę do niego i powiem, co o tym sędzę. Ruszamy — rzucił

kierowcy. — Na prawo.

— Wieża, tu dziewięć siedem jeden, proszę o zezwolenie na kołowanie, pas dwa pięć prawy — powiedział von Eich do mikrofonu.

— Dziewięć siedem jeden, zezwalam. Skręć w lewo, droga kołowania jeden. Wiatr dwa osiem jeden, jedenaście metrów na sekundę.

— Zrozumiałem, wyłączam się — odpowiedział pilot. — Dobra, ruszamy.

— Drugi pilot pchnął manetki i samolot zaczął się toczyć. Na płycie lotniska przed nimi jakiś człowiek z dwoma podświetlanymi pałkami niepotrzebnie wskazywał im kierunek na rozbieg, chyba dlatego że Rosjanie zawsze uważają, że każdemu trzeba powiedzieć, co ma robić.

Von Eich wyjechał ze stanowiska i skierował się na południe, ku drodze kołowania numer dziewięć, a potem skręcił w lewo. Przednia goleń podwozia jak zawsze stawiała opór i samolot reagował ze zwłoką. Von Eich starał się zachowywać ostrożność, gdy tu przylatywał. Drogi kołowania były tak nierówne, że zawsze obawiali się uszkodzeń. Nie chciał, żeby coś się dzisiaj przydarzyło. Do końca drogi numer jeden pozostał jeszcze kilometr, a już te podskakiwania i drgania doprowadzić mogły do mdłości. W końcu skręcili na drogę numer pięć.

— Wartownicy są na miejscach — powiedział Wasilij, kiedy dojechali do pasa startowego „Dwadzieścia Pięć Lewy”. Kierowca wyłączył reflektory i starał się trzymać skraju.

W ich kierunku podążał jakiś samolot i na to niebezpieczeństwo zwracali uwagę tak ochroniarz, jak i kierowca. Nie zauważyli, że Gierasimow wyciągnął z kieszeni kluczyk i otworzył kajdanki na rękach zaskoczonych Filitowa. Potem z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął pistolet.

— Cholera, tam jest jakiś samochód — powiedział pułkownik von Eich.

— Co, u diabła, robi tu samochód?!

— Miniemy go bez trudności — odparł drugi pilot. — Jadą skrajem pasa.

— No pięknie. — Pilot jeszcze raz zakręcił na ostatni odcinek pasa startowego. —

Pieprzeni niedzielni kierowcy.

— I jeszcze coś się panu nie spodoba, pułkowniku — odezwał się inżynier pokładowy. —

Zapalił się sygnalizator tylnych drzwi.

— A niech to cholera! — zaklął von Eich. Przełączył mikrofon na łączność kabinową i przybierając odpowiedni ton głosu, polecił: — Szefie, sprawdźcie tylne drzwi.

— Zaczyna się — powiedział sierżant. Ryan rozpiął pas i podszedł do drzwi, patrząc jak sierżant naciska dźwignię.

— Gdzieś tu musi być zwarcie — stwierdził inżynier w kabinie pilotów.

— Właśnie siadły światła z tyłu kabiny. Strzelił bezpiecznik i nie mogę włączyć go z powrotem.

— Może jest uszkodzony? — zapytał von Eich.

— Wezmę zapasowy.

— Ruszaj, a ja powiem tym w kabinie, dlaczego nie mają światła. — To było wystarczająco dobre kłamstwo, a ludziom przypiętym pasami do foteli trudno było obrócić się i spojrzeć do tyłu kabiny.

— Gdzie jest przewodniczący? — zapytał Watutin porucznika.

— Przeprowadza inspekcję... A wy to kto?

— Pułkownik Watutin, a to pułkownik Gołowko. Gdzie jest ten pieprzony przewodniczący, ty idioto!

Porucznik coś zabelkotał, a potem wskazał ręką.

— Wasilij — powiedział przewodniczący. Było mu naprawdę przykro. Ochroniarz obrócił się na przednim siedzeniu i zobaczył wylot lufy. — Poproszę o twój pistolet.

— Ale...

— Nie ma czasu na gadanie. — Odebrał broń i włożył ją do kieszeni. Potem wyciągnął

kajdanki. — Dla obu, ale przełoż rękę przez kierownicę.

Kierowca osłupiał, obaj jednak zrobili tak, jak kazano. Wasilij zatrzasnął jedno ogniwo na lewym przegubie, przełożył rękę przez kierownicę i zapiał drugie na ręku kierowcy. W tym czasie Gierasimow odłączył mikrofon radiostacji i schował go do kieszeni.

— Kluczyki — zażądał Gierasimow i kierowca podał mu je lewą, wolną ręką. Najbliższy wartownik znajdował się o jakieś sto metrów od nich, a samolot zaledwie dwadzieścia.

Przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego osobiście otworzył drzwi samochodu.

Nie robił tego od wielu miesięcy. — Pułkowniku Filitow, pozwólcie ze mną.

Misza był tak samo zaskoczony, jak pozostali, ale zrobił to, co mu kazał Gierasimow. Na oczach wszystkich w porcie — a przynajmniej tych niewielu, którym chciało się obserwować jeden ze startów — podeszli do ogona VC-137, pomalowanego w czerwono-białoniebieskie pasy. Jakby na rozkaz tylne drzwi się otworzyły.

— Pospieszcie się. — Ryan wyrzucił z nich drabinkę sznurową.

Nogi zawiodły Filitowa. Wiatr i podmuch od silników spowodowały, że drabinka trzepotała jak flaga na wietrze. Mimo pomocy Gierasimowa Misza nie mógł trafić na szczebel.

— O Boże, popatrz! — krzyknął Gołowko. — Ruszamy!

Watutin nie odpowiedział. Rzucił się do samochodu i włączył długie światła.

— Będą kłopoty — powiedział sierżant, kiedy zobaczył samochód. W ich stronę biegł także jakiś człowiek z karabinem. — Właż, dziadku! — ponaglał Kardynała z Kremla.

— Cholera! — Ryan odepchnął sierżanta i skoczył na dół. Było jednak za wysoko, upadł

źle, skręcając nogę w kostce i rozrywając spodnie na lewym kolanie. Mimo bólu poderwał się na nogi. Wziął Filitowa za jedno ramię, Gierasimow za drugie i podsadzili go na drabinkę tak, że sierżant stojący w drzwiach mógł go już złapać i wciągnąć na pokład. Za nim wszedł

Gierasimow, też z pomocą Ryana. Teraz przyszła kolej na Jacka — ale powtórzyła się sytuacja Filitowa. Lewe kolano już mu zeszywniało, a kiedy spróbował postawić prawą, zwichniętą stopę na szczeblu, noga odmówiła mu posłuszeństwa. Jego przekleństwo słychać było mimo huku silników. Próbował wspiąć się na rękach, lecz stracił uchwyt i padł na beton.

— Stój, stój! — krzyknął ktoś z karabinem o parę metrów od niego. Jack podniósł głowę ku drzwiom samolotu.

— Zjeżdżajcie! — krzyknął. — Zamknijcie te cholerne drzwi i zjeżdżajcie! — krzyknął.

— Zamknijcie te cholerne drzwi i zjeżdżajcie.

Sierżant zrobił tak bez chwili wahania. Sięgnął ręką do uchwytu i zatrzaskał je w kilka sekund. Podniósł mikrofon łączności pokładowej i przekazał pilotowi, że drzwi są odpowiednio

zabezpieczone.

— Wieża, tu dziewięć siedem jeden na rozbiegu. — Pilot pchnął manetki do obrotów startowych. Siła podmuchu silników dosłownie zepchnęła stojących z oblodzonej końcówki pasa startowego. Leżący na brzuchu Jack patrzył, jak błyskające czerwone światło na szczycie statecznika pionowego zaczyna się oddalać, po czym wstał. Widać już było tylko jarzące się promienniki podczerwieni, zabezpieczające samolot przed raketami „ziemia-powietrze”. Ryan niemal wybuchnął śmiechem, ale ktoś go obrócił. Zobaczył przed nosem pistolet.

— Witaj, Siergiej — powiedział do pułkownika Gołowki.

— Gotowi — usłyszał w radiostacji Łucznik. Podniósł pistolet i wystrzelił pojedynczą raketę, która rozbłysła dokładnie nad jednym z warsztatów.

Teraz wszystko rozegrało się jednocześnie. Po jego lewej stronie odpalono trzy Stingery.

Każdy z nich pomknął ku swojej wieży, a dokładniej, ku elektrycznym grzejnikom, które tam zamontowano. W każdej było dwóch strażników: wszyscy ze zdumieniem spostrzegli rozbłysk rakiety sygnałowej nad ośrodkiem, ale tylko jeden z nich dostrzegł nadlatującą ku nim żółtą smugę, tak szybką, że nie miał czasu na reakcję. Wszystkie trzy rakiety trafiły w cele — trudno, żeby nie trafiły w cele nieruchome — i trzykilogramowe głowice bojowe zadziałały zgodnie z przeznaczeniem. W pięć sekund po wystrzeleniu pierwszego pocisku wieży już nie było i nie było karabinów maszynowych, które miały osłaniać urządzenia laserowe.

Potem zginął wartownik znajdujący się na wprost Łucznika. Nie miał żadnej szansy: strzelało do niego jednocześnie czterdzieści karabinów, z czego połowa serii dosięgła celu.

Potem brzęknęły moździerze, a Łucznik za pomocą radia korygował ogień na obiekt, który uważał za budynek laserowy.

Odgłosów strzałów z broni maszynowej nie sposób pomylić z niczym innym. Pułkownik Bondarienko właśnie doszedł do wniosku, że spędził już dość czasu na obcowaniu z piękną, choć zimną przyrodą i kierował się do domu, gdy dźwięk ten go zatrzymał. W pierwszej chwili pomyślał, że to któryś z wartowników KGB wystrzelił przez nieuwagę. Potem usłyszał nad głową „trach!”, spojrzął w górę i zobaczył pękającą flarę. Kiedy z terenu urządzeń laserowych dobiegły go wybuchy, jak za przekręceniem wyłącznika zmienił się z zaskoczonego człowieka w żołnierza pod ostrzałem. Koszary KGB znajdowały się o dwieście metrów na prawo od niego.

Pobiegł tam jak mógł najszybciej.

Zobaczył, że pociski spadają na nowy, duży warsztat tuż za budynkiem, z którego wybiegali właśnie ludzie. Musiał zatrzymać się i podnieść ręce, żeby go nie postrzelono.

— Jestem pułkownik Bondarienko! Gdzie wasz oficer?

— Tutaj! — pokazał się jakiś porucznik. — Co... — Ktoś właśnie naprawiał swój błąd: kolejny pocisk uderzył w tył koszarów.

— Za mną! — krzyknął Bondarienko, odciągając żołnierzy od najbardziej oczywistego celu ataku. Dookoła rozlegał się śmiercionośny grzechot karabinków, radzieckich karabinków.

Pułkownik od razu zorientował się, że nie zdoła odróżniać stron według odgłosów strzałów. Do diabła!

— Przygotować się!

— Co jest...

— Poruczniku, jesteśmy atakowani! Ilu macie ludzi?

Tamten obrócił się i liczył, Bondarienko zrobił to jednak szybciej. Było ich czterdziestu jeden, uzbrojonych, lecz bez broni ciężkiej i bez radiostacji. Bez karabinów maszynowych mogli się obejść, ale nie bez radia.

Psy — powtarzał sobie bez sensu — trzeba było zostawić psy...

Sytuacja taktyczna była przerażająco zła, a wiedział, że jeszcze się pogorszy. Seria wybuchów rozerwała noc.

— Lasery, musimy... — zaczął porucznik, ale pułkownik złapał go za ramię.

— Maszyny możemy odtworzyć, naukowców nie. Musimy się dostać do bloku mieszkalnego i utrzymać go tak długo, aż nadejdzie odsiecz. Wyślijcie dobrego sierżanta do budynku kawalerskiego i ściągnijcie ich wszystkich do bloku.

— Nie, towarzyszu pułkowniku! Mam rozkaz ochraniać lasery i... muszę...

— Rozkazuję wam zebrać ludzi...

— Nie! — wrzasnął na niego porucznik.

Bondarienko powalił go na ziemię, zabrał mu karabin, odbezpieczył i dwukrotnie wystrzelił w pierś oficera. Obrócił się. — Kto jest najlepszym sierżantem?

— Ja, towarzyszu pułkowniku — odpowiedział drżącym głosem młody człowiek.

— Jestem pułkownik Bondarienko. Obejmuję dowództwo — powiedział oficer z taką mocą, jakby było to przykazanie Boga. — Weźcie czterech ludzi, idźcie do kwater kawalerskich i zabierzcie wszystkich na wzgórze, do bloku. Biegiem! — Sierżant wybrał czwórkę i pobiegli. —

Reszta za mną! — Poprowadził ich w padający śnieg. Nie było czasu na zastanawianie się, co ich tam spotka. Nie uszli nawet dziecięciu metrów, gdy wszystkie światła w ośrodku zgasły.

Przy bramie prowadzącej na teren urządzeń laserowych stał gazik z zamontowanym ciężkim karabinem maszynowym. Usłyszawszy eksplozję, generał Pokryszkin wybiegł z budynku sterowania laserami i z zaskoczeniem zobaczył, że po trzech wieżach wartowniczych pozostały jedynie stosy płonących odłamków drewna. Nadjechał gazik z dowódcą oddziału KGB.

— Atakują nas — powiedział bez potrzeby oficer.

— Zbierzcie tu swoich ludzi. — Pokryszkin dostrzegł nadbiegające postacie. Były wprawdzie w radzieckich mundurach, jakoś jednak wyczuł, że nie są to Rosjanie. Generał

wskoczył na gazik i ponad głowę zdziwionego oficera KGB obrócił ku nadbiegającym karabin maszynowy. Nacisnął spust, ale bez skutku. Musiał przeładować broń i dopiero za drugim razem z satysfakcją zobaczył, jak trzech z nich pada. Dowódca oddziału wartowniczego nie potrzebował dodatkowej zachęty. Włączył radiotelefon i zaczął wydawać rozkazy.

Rozpoczynająca się walka musiała od razu przerodzić się w zamieszanie, ponieważ obie strony były identycznie umundurowane i uzbrojone. Lecz Afgańczyków było więcej niż Rosjan.

Morozow i kilku jego kolegów wyszło przed kwaterę kawalerską, gdy tylko usłyszeli odgłosy strzelaniny. Większość, w odróżnieniu od niego, miała pewne doświadczenie wojskowe, jednakże i tak nie miało to najmniejszego znaczenia: nikt nie wiedział, co mają robić. Z

ciemności wybiegło pięciu mężczyzn w mundurach i z bronią.

— Chodźcie, chodźcie wszyscy z nami! — W pobliżu rozległy się strzały i dwóch żołnierzy KGB upadło, jeden ranny, jeden zabity. Ranny nacisnął na spust, opróżniając magazynek jedną długą serią. W ciemności rozległ się krzyk, a potem nawoływania. Morozow wbiegł do budynku i zawołał na pozostałych: inżynierów nie trzeba było ponaglać.

— W górę! — zawołał sierżant — Do bloku! Szybko! — Żołnierze KGB wskazując im kierunek, rozglądali się wokoło, ale widzieli tylko rozbłyski. Pociski sypały się zewsząd. Kolejny żołnierz padł ze śmiertelnym okrzykiem, ale sierżant trafił jego zabójcę. Kiedy ostatni inżynier opuścił pomieszczenie, sierżant z jednym z żołnierzy zebrali leżącą broń i poprowadzili rannego kolegę w stronę wzgórza.

Łuczniczka zbyt późno zorientował się, że osiemdziesięciu ludzi to za mało jak na to zadanie. Teren był zbyt rozległy, za dużo budynków.

Niemniej dużo tu niewiernych i to dlatego przywiódł tu swych ludzi. Jeden z nich pociskiem z granatnika przeciwpancernego RPG-7 zniszczył autobus. Buchnęły płomienie, pojazd stoczył się z

drogi i począł koziółkować po stoku góry przy akompaniamencie krzyku znajdujących się wewnątrz pasażerów. Zespoły partyzantów z ładunkami wybuchowymi weszły do budynków. Znajdujące się w nich obrabiarki skąpane były w oliwie. Szybko podpalili lonty i wybiegli, zanim eksplozje wzniciły pożary. Łucznik zorientował się o minutę za późno, który z budynków należał do ochrony. Płonął już, kiedy podprowadził swoją drużynę, by zetrzeć z powierzchni ziemi tych, którzy znajdowali się w środku. Spóźnił się, ale jeszcze o tym nie wiedział. Zabłąkany pocisk moździerzowy przeciął linie energetyczne zasilające reflektory ośrodka. Teraz partyzanci Łuczniaka oślepieni ogniem z luf swej broni nie widzieli już nic.

— Dobra robota, sierżancie! — pochwalił chłopaka Bondarienko. Inżynierom polecił

przejsć na wyższe piętro. — Nasze pozycje obronne będą wokół budynku. Jeśli zmuszą nas do cofnięcia się do środka, zorganizujemy obronę na parterze. Te ściany są z betonu. Mogą nas szarpnąć granatniki, ale kule karabinowe nie przejdą przez dach i ściany. Poślijcie jednego z waszych do budynku, niech wyszuka ludzi z doświadczeniem wojskowym. Dajcie im te karabiny. Jeżeli ktokolwiek padnie, zabierajcie jego broń i dawajcie temu, kto umie się nią posługiwać. Wejdę tam na chwilę i sprawdzę, czy uda mi się zatelefonować.

— W biurze na parterze jest radiotelefon — powiedział sierżant. — Są takie we wszystkich budynkach.

— Dobrze! Utrzymujcie pozycję, wróć za parę minut. — Bondarienko wbiegł do środka.

Radiotelefon wisiał na ścianie. Z ulgą spostrzegł, że jest to model wojskowy, z własnym zasilaniem. Zarzucił go na ramię i wybiegł na zewnątrz.

Atakujący — kto to był? — źle zaplanowali natarcie. Przede wszystkim nie rozpoznali koszar KGB, po drugie — spóźnili się z atakiem na blok mieszkalny. Ruszyli dopiero teraz, natknęli się jednak na linię żołnierzy leżących w śniegu. Były to co prawda Wojska Pograniczne KGB, ale mające podstawowe przeszkolenie wojskowe. Poza tym żołnierze wiedzieli, że nie ma dokąd uciekać. Bondarienko zauważył, że młody sierżant dobrze dowodził: poruszał się wzdłuż linii obrony i dodawał otuchy żołnierzom, mówił, co mają robić. Pułkownik włączył radio.

— Tu pułkownik Bondarienko z ośrodka JASNA GWIAZDA. Jesteśmy atakowani, powtarzam, JASNA GWIAZDA została zaatakowana. Każda jednostka używająca tej sieci łączności zgłosić się natychmiast. Odbiór.

— Giennadij, tu Pokryszkin z zespołu laserów. Jesteśmy w budynku sterowania. Jaka sytuacja u ciebie?

— Jestem w bloku. Wszyscy cywile, których znaleźliśmy, są tu w środku. Mam czterdziestu ludzi, spróbujemy się utrzymać. Co z pomocą?

— Próbuję. Stąd, Giennadiju, nie możemy ci pomóc. Utrzymacie się?

— Będę wiedział za dwadzieścia minut.

— Chronście moich ludzi, pułkowniku, chronście moich ludzi! — krzyczał Pokryszkin do mikrofonu.

— Aż do śmierci, towarzyszu generale. Wyłączam się. Bondarienko zarzucił radio na plecy i podniósł karabinek.

— Sierzancie!

— Jestem, towarzyszu pułkowniku! — odpowiedział młody człowiek. — Teraz „macają”

nas. To jeszcze nie jest atak...

— Szukają słabych punktów. — Bondarienko ukląkł. W powietrzu świszczało od kul, ale nie był to skoncentrowany ostrzał. Z tyłu za nimi leciało z okien szkło. Pociski cięły po prefabrykowanych ścianach, obsypując broniących się kawałkami betonu. — Zajmijcie stanowisko na przeciwległym rogu budynku. Dowodzicie obroną ściany północnej i wschodniej.

Ja zajmę się tymi dwoma. Powiedzcie ludziom, żeby strzelali tylko do celów widocznych...

— Już to zrobiłem, towarzyszu pułkowniku.

— Świetnie! — Bondarienko klepnął sierżanta po ramieniu. — Nie cofajcie się, chyba że was zmuszą, ale wtedy zawiadomcie mnie o tym. Ci ludzie w środku to nasz bezcenny skarb.

Muszą przeżyć. Idźcie już! — Pułkownik popatrzył w ślad za odbiegającym sierżantem. Może jednak KGB wyszkoliło przynajmniej kilku niezłych. Pobiegł na swój narożnik.

Miał dwudziestu, nie, osiemnastu ludzi. Ich ubiory maskujące utrudniały liczenie.

Przebiegał od jednego do drugiego i przytrzymując radiotelefon wskazywał im pozycje, instruował, kiedy i jak mają strzelać. Właśnie skończył inspekcję wzdłuż ściany zachodniej, gdy z ciemności dał się słyszeć chór głosów.

— Nadchodzą! — krzyknął któryś z żołnierzy.

— Nie strzelać! — wrzasnął pułkownik.

Sylwetki biegnących pojawiły się jakby znikąd. Jeszcze przed chwilą przed nimi był tylko padający śnieg — i nagle wyrósł szereg ludzi strzelających z biodra z Kalasznikowów. Dopuścił

ich na prawie pięćdziesiąt metrów.

— Ognia! — Zobaczył, że dziesięciu padło natychmiast. Pozostali zawahali się, stanęli, a potem cofnęli, zostawiając na śniegu jeszcze dwa ciała. Z drugiej strony budynku nadal dobiegała

strzelanina. Bondarienko ciekaw był, czy sierżant się utrzymał, ale nic im nie mógł pomóc. Jęki w pobliżu były oznaką, że wśród jego żołnierzy też są ofiary. Sprawdził stan: jeden z nich nie dawał znaków życia. Zostało ich tylko piętnastu.

Wznoszenie bez kłopotów — pomyślał pułkownik von Eich. O parę metrów za nim siedzący na rozkładanym fotelu Rosjanin rzucał ciekawe spojrzenia na tablicę rozdzielczą instalacji elektrycznej.

— Co z zasilaniem? — zapytał pilot z pewną irytacją.

— Silniki i hydraulika w porządku. Chyba coś z oświetleniem — odpowiedział inżynier, niezauważenie wyłączając światła pozycyjne na ogonie i końcach skrzydeł.

— Cóż... — Oświetlenie tablicy przyrządów w kabinie działało, brakowało tylko oświetlenia ogólnego. — Naprawimy to, kiedy dolecimy do Shannon.

— Pułkowniku — rozległ się w słuchawkach głos sierżanta-szefa.

— Słuchamy — powiedział inżynier, wyłączając uprzednio na tablicy słuchawki Rosjanina.

— Słucham, sierżancie.

— Mamy naszych dwóch... dwóch nowych pasażerów, ale pan Ryan został, panie pułkowniku.

— Powtórzcie — zażądał von Eich.

— Powiedział, żebyśmy ruszali. Dwóch facetów z bronią, którzy... powiedział, żebyśmy ruszali — powtórzył szef załogi.

Von Eich westchnął głęboko. — Rozumiem. Jak tam z tyłu?

— Wsadziłem ich do ostatniego rzędu. Chyba nikt nie zauważył przy tym hałasie silników.

— I niech tak zostanie.

— Tak jest. Kazałem Freddiemu, żeby trzymał resztę pasażerów na przedzie kabiny.

Kibel z tyłu nam się zepsuł...

— Jaka szkoda. Jeżeli będą musieli, to niech korzystają z toalety na przedzie.

— Oczywiście, panie pułkowniku.

— Siedemdziesiąt pięć minut — powiadomił nawigator.

Mój Boże, Ryan — pomyślał von Eich. — Mam nadzieję, że ci się tam spodoba...

— Powiniennem zabić cię tu i teraz! — krzyknął Gołowko.

Byli już w samochodzie przewodniczącego. Ryan miał przed sobą czterech rozzłoszczonych oficerów KGB. Najbardziej wściekły wydawał się ten facet na przednim prawym siedzeniu. To ochroniarz Gierasimowa — pomyślał Ryan — jego najbliższy. Wyglądał

na silnego faceta, dobrze więc, że dzieliło ich oparcie foteli. Ważniejsze było jednak co innego.

Jack spojrzął na Gołowkę i pomyślał, że dobrze byłoby go uspokoić.

— Siergiej, to spowodowałyby taki incydent międzynarodowy, o jakim nawet nie masz pojęcia — powiedział spokojnie. Potem usłyszał prowadzoną po rosyjsku rozmowę. Nie rozumiał, o czym mówią, ale zawartość emocjonalna wydawała się jasna: nie wiedzieli, co robić.

A to bardzo Ryanowi odpowiadało.

Clark szedł ulicą o jakieś kilkaset metrów od przystani, gdy ich zobaczył. Była jedenasta czterdzieści pięć. Dzięki Bogu, zjawili się w samą porę. W tej części miasta znajdowały się restauracje i, co go bardzo zdziwiło, kilka dyskotek. Właśnie wychodzili z jednej z nich gdy ich zauważył: dwie kobiety, ubrane tak, jak się spodziewał, i mężczyzna. Ochroniarz. Tylko jeden, tak właśnie miało być. To miła niespodzianka, że jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem. Na chodnikach Clark doliczył się jeszcze kilkunastu innych przechodniów — trochę głośnych grup, kilka spokojnych par, niektórzy zataczali się nieco od nadmiaru alkoholu. Ale był to piątkowy wieczór i tak w piątkowe wieczory wyglądają ludzie na całym świecie. Nie tracąc z oczu trzech osób, które go interesowały, zbliżał się do nich.

Ochroniarz znalazł się na rzeczy. Szedł z prawej strony, rękę miał wolną do sięgnięcia po broń. Chociaż wyprzedzał obie kobiety, rozglądał się na wszystkie strony. Clark poprawił szalik na szyi, włożył rękę do kieszeni i namacał pistolet. Przyspieszył kroku, by zbliżyć się do nich.

Nie było to trudne. Podchodzące do narożnika kobiety wydawały się nie spieszyć, starsza rozglądała się po okolicy. Tutejsze budynki wyglądały na stare, w istocie jednak były nowe.

Druga wojna światowa przeszła przez Tallin dwiema niszczącymi falami, po których zostały tylko osmalone ruiny. Później podjęto decyzję o odbudowie miasta, przywróceniu mu postaci sprzed wojny. Clarkowi wydawało się ono różne w charakterze od wszystkich widzianych przezeń miast Związku Radzieckiego. Przywodziło mu na myśl Niemcy, chociaż nie wiedział

dlaczego. Była to jego ostatnia błaha myśl tego wieczoru. Znajdował się już dziesięć metrów za nimi. Wyglądał jak jeszcze jeden przechodzień zdążający w zimną lutową noc do domu, z futrzaną czapką wciśniętą na spuszczonej głowie, by uniknąć podmuchów wiatru. Słyszał ich głosy. Już czas.

— Russkije? — zapytał z moskiewskim akcentem. — Więc w tym mieście są nie tylko bezczelni Bałtowie!

— To stare i piękne miasto, towarzyszu — odezwała się starsza. — Okażcie mu nieco szacunku.

No to zaczynamy — pomyślał Clark. Wyminął je krokiem człowieka po paru głębszych.

— Proszę wybaczyć łaskawa pani. Życzę miłego wieczoru — powiedział mijając je, i zderzył się z ochroniarzem. — Przepraszam, towarzyszu. — Potrącony spostrzegł przed twarzą lufę pistoletu. — Skręć w lewo, w tę uliczkę. Trzymaj ręce tak, żebym je obie widział.

Zaskoczenie na twarzy tego biedaka bardzo Clarka rozbawiło, ale pamiętał, że to też fachowiec i też ma broń w kieszeni. Złapał go z tyłu za kołnierz i przytrzymał na odległość wyciągniętej ręki.

— Mamo... — odezwała się zaskoczona Katrin.

— Bądź cicho i rób, co ci powiem. Rób to, co powie ci ten człowiek.

— Ale...

— Twarzą do ściany — polecił Clark, trzymając pistolet przystawiony do potylicy ochroniarza. Nie zmieniając pozycji, przełożył pistolet do lewej ręki, a prawą uderzył go w bok szyi. Mężczyzna padł na ziemię nieprzytomny. Clark założył mu kajdanki, potem knebel, związał

kostki u nóg i zaciągnął w najciemniejsze miejsce, jakie udało mu się znaleźć.

— Może panie pozwolą ze mną.

— O co chodzi? — zapytała Katrin.

— Nie wiem — przyznała jej matka. — Ojciec kazał mi...

— Panienko, ojciec pani postanowił odwiedzić Amerykę i chce, żeby pani i pani matka pojechały razem z nim — powiedział Clark po rosyjsku. Najwyraźniej władał nim biegle.

Katrin nie odpowiedziała. Chociaż oświetlenie uliczki było bardzo słabe, Clark zobaczył, że twarz jej nagle pobladła. Matka wyglądała nieco lepiej.

— Ale — odezwała się w końcu dziewczyna — ale to jest zdrada... Nie wierzę.

— Kazał... kazał mi robić wszystko, co ten człowiek powie — powtórzyła Gierasimowa.

— Katrin, musimy się do tego zastosować.

— Ale...

— Katrin — ciągnęła jej matka — jakie będziesz miała życie, jeżeli twój ojciec ucieknie, a ty zostaniesz tutaj? Co z twoimi przyjaciółmi? A co stanie się z tobą? Wykorzystają cię, by zmusić go

do powrotu, Katiu, wszystko zrobią.

— Pora na nas — Clark ujął obie kobiety pod ramiona.

— Ale... — Katia wskazała na ochroniarza.

— Nic mu nie będzie. Nie zabijamy, w tym fachu jest to źle widziane. — Clark wyprowadził je na ulicę. Skręcili w lewo, w kierunku przystani.

Major rozdzielił swoich ludzi na dwie grupy. Mniejsza zakładała ładunki wybuchowe na wszystkim, na co się natknęli. Obojętnie czy był to słup oświetleniowy, czy urządzenie laserowe.

Grupa większa wykosiła żołnierzy KGB, którzy próbowali podejść bliżej i rozmieściła się wokół budynku sterowania laserami. Z założenia nie miał to wprawdzie być schron, projektanci najwyraźniej uznali jednak, że centrum sterowania trzeba zabezpieczyć tak, jak sterownię na kosmodromie w Lenińsku. A może uważali, że pewnego dnia nad wierzchołkiem góry wybuchnie bomba atomowa. W każdym razie powstał bunkier z żelazobetonowymi ścianami o grubości jednego metra, jak to najprawdopodobniej przewidywały przepisy dla tego rodzaju obiektów. Ludzie majora, którzy zabili dowódcę oddziału KGB i zabrali jego samochód z karabinem maszynowym, prowadzili nieustanny ostrzał szczelin obserwacyjnych budynku.

Oczywiście nikt nie wyglądał przez nie, a kule po rozbiciu grudek szkła cięły w środku komputery i urządzenia sterowania. Wewnątrz dowodzenie objął teraz generał Pokryszkin. Miał

około trzydziestu żołnierzy KGB, uzbrojonych tylko w broń lekką z niewielkim zapasem amunicji, jaki ze sobą zabrali w momencie rozpoczęcia ataku. Jeden z poruczników starał się, najlepiej jak potrafił, kierować obroną, natomiast generał próbował przez radio sprowadzić pomoc.

— Będziemy za godzinę — słyszał głos dowódcy pułku. — Moi żołnierze wyruszają w tej chwili.

— Pośpieszcie się! — krzyczał Pokryszkin. — Tu umierają ludzie! — Pomyślał o śmigłowcach, ale w taką pogodę nic nie mogłyby poradzić. Atak śmigłowców to byłoby już nie ryzyko, lecz samobójstwo. Wyłączył radiostację i wziął do ręki pistolet. Słyszał huki na zewnątrz: wysadzano wszystkie urządzenia ośrodka. Zdołał się z tym pogodzić, bo chociaż to ogromna strata, najbardziej liczyli się ludzie. W bunkrze znajdowała się blisko jedna trzecia kadry technicznej. Gdy rozpoczął się atak, jeszcze trwała narada, w której uczestniczyli. Gdyby nie to, byłoby tam tylko parę osób, a reszta pracowałaby w warsztatach i przy urządzeniach.

Tutaj przynajmniej mieli jakąś szansę.

Po drugiej stronie betonowej ściany major próbował coś wymyślić. Nie spodziewał się natknąć na budowlę tego rodzaju. Jego granatniki przeciwpancerne zaledwie ją muskały, wycelowanie ich zaś w wąskie otwory było w ciemnościach dosyć trudne. Można w nie było strzelać z karabinów maszynowych, ale to za mało.

Znajdź słabe punkty — powiedział sobie. Nie spieszył się, przemyślił to dokładnie. Nakazał

swoim ludziom prowadzić stały ostrzał, a sam ruszył wokół budynku. Ci w środku mogli prowadzić obronę okrężną, ale nawet takie bunkry mają przynajmniej jedno słabe miejsce...

Major musiał je po prostu odkryć.

— Co się dzieje? — zaskrzeczało radio.

— Zabiliśmy około pięćdziesięciu. Reszta jest w bunkrze, staramy się do nich dostać. Co u was?

— Jesteśmy pod blokiem mieszkalnym — odpowiedział Łucznik. — Są w nim wszyscy, i... — dał się słyszeć odgłos wystrzałów — ...zaraz ich dostaniemy.

— Jeszcze trzydzieści minut i musimy wracać — powiedział major.

— Tak! — potwierdziło radio i zamilkło.

Major pomyślał, że Łucznik to dobry człowiek, do tego dzielny, ale o ileż skuteczniej by działał po tygodniowym chociaż przeszkoleniu... tylko tydzień, by uporządkować to, czego się nauczył sam w walkach... by przekazać wszystko, czego nauczono się za cenę życia tylu innych.

Rozmyślając tak, major obserwował północną ścianę bunkra — i wreszcie znalazł.

Znalazł słabe miejsce.

Kiedy pociski moździerzy zaczęły spadać na dach budynku, Bondarienko uśmiechnął się.

Wreszcie strona przeciwna zrobiła coś naprawdę głupiego. Osiemdziesięciodwumilimetrowe pociski w żaden sposób nie mogły rozbić betonowych płyt dachowych, gdyby nimi natomiast ostrzelano okolice bloku, zginęłoby wielu żołnierzy. Bondarienko miał ich już tylko dziesięciu, w tym dwóch rannych. Karabiny zabitych znajdowały się w środku, na pierwszym piętrze. Naliczył

na przedpolu dwadzieścia ciał. Atakujący — był teraz pewien, że to Afgańczycy —

przemieszczali się w ciemnościach, prawdopodobnie zastanawiając się nad kolejnym posunięciem.

Po raz pierwszy Bondarienko nabrał poczucia, że mimo wszystko może uda im się przeżyć. Generał powiedział mu przez radio, że z Nurka jedzie już pułk zmechanizowany.

Wstrząsnął się na myśl o jeździe BTR po oblodzonych górskich drogach, ale i tak uważał, że strata paru drużyn piechoty to nic w porównaniu z utratą owej zespołowej wiedzy i doświadczenia, których teraz bronił.

Strzały stały się rzadsze, taki ogień nękający, który dawał czas do namysłu. Gdyby Bondarienko miał

więcej ludzi, spróbowaliby kontrataku. Wytrącanie przeciwnika z równowagi to dobry pomysł, ale w obecnej sytuacji było to niemożliwe. Nie mógł ryzykować mając zaledwie drużynę do obrony bloku z dwóch stron.

Czy mam się teraz wycofać? Im dłużej trzymam ich z dala od budynku, tym lepiej, ale czy nie powinienem się teraz wycofać? Wahał się. Wewnątrz żołnierze mieliby lepszą osłonę, ale ze względu na ściany działowe utraciłby nad nimi kontrolę. Gdyby wycofali się do środka, na górne piętra, Afgańczycy mogliby podrzucić ładunki wybuchowe... nie, to chybiony pomysł.

Bondarienko słyszał pojedyncze wystrzały, kończące się jękami ranionych i zabijanych — i nie mógł się zdecydować.

O dwieście metrów dalej Łucznik właśnie podejmował decyzję za niego. Uznawszy mylnie, że straty, które tu poniósł, oznaczają, iż ta strona budynku jest najbardziej broniona, przeszedł z resztkami swojej grupy na przeciwną stronę bloku. Zajęło mu to pięć minut, a w tym czasie paru Afgańczyków, pozostawionych na poprzedniej pozycji, prowadziło pojedynczy ostrzał Rosjan. Skończyły się już pociski do moździerzy i do granatników przeciwpancernych, zostało mu tylko, oprócz karabinków, kilka granatów i ładunków wybuchowych. Wokół niego pożary topiły pomarańczowoczerwonymi płomieniami opadający śnieg. Słyszał jęki rannych.

Postanowił, że z tymi pięćdziesięcioma, których jeszcze ma, zaatakuje jedną zwartą grupą, a sam stanie na czele, on, który ich tu przyprowadził. Odbezpieczył swojego Kałasznikowa i przypomniał sobie trzech pierwszych, których z niego zabił.

Bondarienko obrócił się gwałtownie, usłyszawszy okrzyki po drugiej stronie budynku. Po tej stronie nie działo się nic. Trzeba się było na coś zdecydować i miał nadzieję, że wybrał

właściwie:

— Wycofać się do budynku! Szybko! — Dwóch rannych nie mogło się ruszać i musieli im pomóc. Po chwili noc znowu rozgorzała seriami pocisków. Bondarienko wziął pięciu żołnierzy i pobiegł głównym korytarzem na parterze do wyjścia po drugiej stronie.

Nie mógł się zorientować czy przedarto się przez linię obrony, czy też żołnierze po tej stronie także się wycofują. Nakazał przerwanie ognia, bo obie strony były identycznie ubrane.

Jeden z biegnących w stronę budynku wystrzelił. Bondarienko przyklęknął i powalił go krótką serią. Pokazało się kilku następnych i już prawie naciskał spust, gdy usłyszał: — Naszy, naszy!

Było ich ośmiu, na końcu sierżant, ranny w obie nogi: — Tylu ich, już nie mogliśmy...

— Do środka! — rozkazał Bondarienko. — Możecie jeszcze walczyć?

— Pewnie, kurwa.

Obaj rozejrzeli się. Nie mogli koordynować ognia z poszczególnych pokojów, musieli stworzyć stanowiska na korytarzach i klatkach schodowych.

— Pomoc w drodze. Jedzie pułk z Nurka. Do tego czasu mamy się utrzymać! — rzucił

Bondarienko żołnierzom, ale nie powiedział, ile czasu to zajmie. Była to pierwsza dobra wiadomość od pół godziny. Dwóch cywilów z karabinkami zeszło po schodach.

Jednym z nich był Morozow. — Potrzebujecie pomocy? — Uniknął służby w wojsku, ale właśnie się przekonał, że strzelanie z Kałasznikowa nie jest takie trudne.

— Co tam u was, na górze? — spytał Bondarienko.

— Mój szef sekcji nie żyje. To jego broń. Jest wielu rannych, a reszta, podobnie jak ja, przestraszona.

— Zostańcie tu z sierżantem — polecił pułkownik. — Głowa do góry, towarzyszu inżynierze, może jeszcze pożyjemy. Nadciąga pomoc.

— Mam nadzieję, że się skurczybyki pośpieszą. — Morozow pomógł sierżantowi przejść w drugi koniec korytarza.

Bondarienko ustawił część żołnierzy na klatce schodowej, a drugą połowę przy windach.

Znowu było cicho. Słyszał obcy szwargot na zewnątrz, ale strzelanina na moment umilkła.

— W dół, po drabinie, ostrożnie — powiedział Clark. — Na dole jest deska, na której można stanąć.

Gierasimowa z odrazą spojrzała na cienką drewnianą konstrukcję, wykonując jego polecenia jakby we śnie. Za nią zeszła Katrin. Clark, który szedł ostatni, wyminął je i wskoczył

do łodzi. Odwiązał sznur i wiosłując ręką podsunął ponton w miejsce, na którym stały obie kobiety. Od drabiny dzielił go jeszcze metr.

— Ty pierwsza, Katrin. Spuść powoli nogi, a ja cię złapię. — Kolana jej drżały z niepewności i strachu. Clark złapał ją za kostkę i pociągnął ku sobie. Spadła do łodzi z elegancją worka kartofli. Teraz przyszła kolej na Marię. Polecił jej zrobić to samo, ale Katrin próbując im pomóc, poruszyła nieco łódź. Maria puściła się drabiny i z krzykiem wpadła do wody.

— Kto tam? — usłyszeli czyjś głos z drugiego końca pomostu.

Nie zważając na to, Clark chwycił szamoczące się w wodzie ręce kobiety i wciągnął ją do łodzi. Z zimna ledwo oddychała, teraz jednak nic nie mógł na to poradzić. Usłyszał tupot nóg po deskach pomostu. Włączył silnik i łódź ruszyła przed siebie.

— Stój, stój! — zawołał ktoś. To gliniarz — pomyślał Clark — to jakiś cholerny gliniarz.

Obrócił się i zobaczył snop światła z latarki, który nie sięgnął wprawdzie łodzi, oświetlał jednak kilwater, jaki pozostawiała za sobą. Clark włączył radiotelefon.

— Wujku Joe, mówi Willy. Jestem w drodze. Słońce zaszło!

— Zdaje się, że ich wykryli — przekazał kapitanowi oficer łączności.

— No to ładnie! — Mancuso zwrócił się do wachtowego. — Goodman, dajcie na kurs zero osiem pięć, i do brzegu na dziesięciu węzłach!

— Kapitanie, tu sonar, jest kontakt, namiar dwa dziewięć sześć. Silnik dieslowski — usłyszał głos Jonesa. — Dwie śruby.

— Chyba okręt patrolowy KGB, klasy Grisza — odezwał się Ramius. — Normalny patrol.

Mancuso nie odpowiedział, tylko wskazał na zespół namierzania celów, który miał

wypracować namiar ogniowy na okręt. „Dallas” płynął na głębokości peryskopowej, z wysuniętą anteną radiową.

— Dziewięć siedem jeden, tu kontrola lotów Wielikije Łuki. Skręć w prawo na nowy kurs jeden zero cztery — rozległ się rosyjski głos w słuchawkach von Eicha. Pilot nacisnął włącznik radiostacji na wolancie.

— Powtórz, Łuki. Odbiór.

— Dziewięć siedem jeden, nakazuję zwrot prawo, kurs jeden zero cztery, wracasz do Moskwy. Odbiór.

— Dziękuję, Łuki, ale idziemy na dwa osiem sześć, zgodnie z planem lotu. Odbiór.

— Dziewięć siedem jeden, rozkazuję zawrócić do Moskwy! — nalegał kontroler.

— Zrozumiałem. Dziękuję, wyłączam się. — Von Eich sprawdził czy autopilot utrzymuje właściwy kurs, i powrócił do obserwowania przestrzeni wokół samolotu.

— Nie zawracacie? — zapytał przez interkom Rosjanin z tylnego siedzenia.

— Nie — odpowiedział von Eich i obrócił się ku niemu. — Nie przypominam sobie, żebyśmy tam coś zostawili.

— Ale otrzymaliście rozkaz...

— Synku, to ja tu rozkazuję, a mam polecenie dotarcia do Shannon.

— Ale... — Rosjanin rozpiął pasy i zaczął się podnosić.

— Siadać! — rozkazał pułkownik. — Bez mojego zezwolenia nikt nie ma prawa wychodzić z kabiny! Panie, jest pan tu gościem i niech pan do cholery robi, co panu każe!

Cholera, a miało być tak łatwo — pomyślał i kiwnął w stronę inżyniera pokładowego, który przerzucił jakiś wyłącznik. Światła w kabinie samolotu zgasły i od tej chwili VC-237 był

całkowicie nie oświetlony. Von Eich znowu włączył radiostację.

— Łuki, tu dziewięć siedem jeden, marny kłopoty z elektrycznością. Nie wykonam żadnej zmiany kursu, dopóki tego nie wyjaśnimy. Jak zrozumiałeś? Odbiór.

— Co się stało? — zapytał kontroler.

Pilot zastanowił się, zanim przekazał następną serię kłamstw:

— Łuki, jeszcze nie wiemy. Tracimy napięcie. Wszystkie światła siadły. Samolot jest kompletnie nie oświetlony, powtarzam, lecimy bez świateł. Jestem trochę zdenerwowany i muszę się skupić. — Ta odpowiedź dała mu dwie minuty ciszy i dalszych trzydzieści kilometrów lotu na zachód.

— Dziewięć siedem jeden. Powiadomiłem o waszych kłopotach Moskwę. Polecają wam natychmiast zawracać. Umożliwią podejście awaryjne — zaproponował kontroler.

— Zrozumiałem, dziękuję, Łuki, ale nie chcę teraz ryzykować zmiany kursu, chyba to rozumiecie. Pracujemy nad usunięciem awarii. Nie wyłączajcie się, będziemy informować.

Koniec. Pułkownik von Eich spojrział na zegar na tablicy przyrządów. Do linii brzegowej zostało jeszcze trzydzieści minut.

— Co takiego? — zdziwił się major Zarudin. — Kto wsiadł do tego samolotu?

— Przewodniczący Gierasimow i aresztowany szpieg wroga — odpowiedział Watutin.

— Do amerykańskiego samolotu? Chcecie mi powiedzieć, że to sam przewodniczący ucieka amerykańskim samolotem? — Dowódca Służb Bezpieczeństwa na lotnisku panował nad sytuacją na tyle, na ile pozwalały mu na to przepisy. Miał w swoim biurze dwóch pułkowników, podpułkownika, kierowcę, jakiegoś Amerykanina, a do tego jeszcze ta najbardziej zwariowana historia, jaką kiedykolwiek słyszał. — Muszę zadzwonić po instrukcje.

— Jestem starszy stopniem — powiedział Gołowko.

— Ale nie starszy od mojego przełożonego — odparł Zarudin, sięgając po słuchawkę telefonu. Nakazał już kontrolerom lotów, by spróbowali zawrócić amerykański samolot, jego gości nie zdziwiło jednak, że tamten odmówił.

Ryan siedział spokojnie i zupełnie nieruchomo, prawie nie oddychając. Powiedział sobie, że dopóki tamci nie zdenerwują się nadmiernie, jest bezpieczny. Gołowko był za sprytny, żeby zrobić coś wariackiego. Wiedział, kim jest Jack, wiedział też, co się stanie, jeżeli członkowi misji dyplomatycznej, która tu przybyła, spadnie choćby włos z głowy. Ryan był wprawdzie nieco poturbowany — kostka bolała go jak diabli, z kolana ciekła krew — lecz te krzywdy wyrządził

sobie sam. Gołowko patrzył na niego, ale Ryan nie odwzajemnił spojrzenia. Przełknął strach i starał się nadal wyglądać niewinnie.

— Gdzie jest jego rodzina? — zapytał Watutin ochroniarza.

— Poleciały wczoraj do Tallina — odpowiedział bezradnie Wasilij. — Gierasimowa chciała odwiedzić kilku przyjaciół...

Wszyscy mieli już coraz mniej czasu. Ludziom Bondarienki zostało niespełna pół

magazynek na każdego. Dwóch zabiły wrzucone granaty. Pułkownik widział, jak jeden z szeregowych skoczył na granat, by uratować kolegów i został rozerwany na strzępy, a krew pokryła parkiet jak farba. W drzwiach leżało sześciu Afgańczyków. Jak pod Stalingradem —

pomyślał pułkownik. W walkach w mieście nikt nie może równać się z radzieckim żołnierzem.

Jak daleko od nich jest ten pułk zmechanizowany? Godzina to tak krótko. To pół filmu, to program telewizyjny, to miły wieczorny spacer... tak krótko, jeżeli nikt do ciebie nie strzela.

Teraz sekundy ciągnęły się niemiłosiernie, strzałki zegarka jakby zastygły i tylko serce biło szybko. To dopiero jego drugie doświadczenie walki bezpośredniej. Po pierwszym został

odznaczony, czy po drugim go pochowają? Nie mógł do tego dopuścić. Na wyższych piętrach znajdowało się kilkaset osób, naukowców, inżynierów, ich żony i dzieci, a życie ich wszystkich zależało od tego, czy potrafi przez niecałą godzinę powstrzymać szturm Afgańczyków.

Odejdźcie — zwracał się do nich w myślach. — Czy myślicie, że to my chcieliśmy przyjść i dać się zastrzelić w tym nędznym rumowisku, które wy nazywacie „ojczyzną”? Jeżeli chcecie zabić tych, którzy za to odpowiadają, to dlaczego nie udacie się do Moskwy? Ale przecież nie tak się mają rzeczy na wojnie. Politycy nigdy nie zbliżają się na tyle, by zobaczyć, do czego doprowadzili. Nigdy naprawdę nie wiedzą, co robią, no a teraz mają jeszcze rakiety atomowe. Te dranie władne są zabić miliony, lecz nie mają nawet odwagi przyjrzeć się potwornościom zwykłego pobojuwiska.

Co za bzdury przychodzą ci do głowy w takiej chwili! — wściekł się na siebie Bondarienko.

Zawiódł. Jego ludzie powierzyli mu dowodzenie, a on ich zawiódł. Łucznik rozejrzał się: dookoła ciała leżące w śniegu zdawały się go oskarżać. Umiał zabijać pojedynczych żołnierzy, umiał strącić samolot z nieba, ale nie potrafił dowodzić większą grupą. Czy to przekleństwo Allaha za to, że torturował rosyjskich pilotów? Nie! Musiał jeszcze zabijać wrogów. Kiwnął na swoich, by weszli do budynku przez porozbijane okna na parterze.

Zgodnie z oczekiwaniem mudzahedinów, major był na czele. Poprowadził swoją dziesiątkę pod samą ścianę, potem pod przykryciem ognia reszty kompanii w kierunku drzwi głównych. Idzie dobrze — pomyślał. Stracił pięciu ludzi, a to niedużo, jak na takie zadanie...

Dziękuję wam, rosyjscy przyjaciele, za wszystko, czego mnie nauczyliście...

Drzwi główne były ze stali. Osobiście założył po jednym ładunku w dolnych narożach i wstawił zapalniki, po czym odczołgał się za róg. Nad jego głową strzelały karabiny Rosjan, ci wewnątrz nie wiedzieli jednak, gdzie jest. Ale to się zmieni. Pociągnął za sznury.

W tym momencie Pokryszkin aż się skulił. Kiedy się obejrzał, zobaczył, jak ciężkie stalowe drzwi, przeleciawszy przez pomieszczenie, rozbijają konsolę sterowniczą. Wybuch zabił

na miejscu porucznika KGB, a kiedy ludzie Pokryszkina rzucili się, by zająć pozycje przy wyłomie w murze, do środka wleciały jeszcze trzy ładunki. Nie było dokąd uciekać. Żołnierze strzelali, zabijając jednego z atakujących, ale wtedy eksplodowały ładunki.

Co za dziwnie głuchy odgłos — pomyślał major. Huk wybuchu wytłumiły solidne betonowe ściany. W sekundę później był ze swoimi ludźmi w środku. Rozerwane urządzenia elektryczne iskrzyły, za chwilę wszystko się zapali. Zobaczył, że nikt w pomieszczeniu nie utrzymał się na nogach. Jego ludzie poruszali się szybko między leżącymi, zbierając broń i dobijając ogłuszonych. Major dostrzegł rosyjskiego oficera z generalskimi gwiazdkami, któremu z nosa i uszu leciała krew. Zabił go, gdy tamten próbował podnieść pistolet. Po minucie podłoga zasłana była trupami. Budynek szybko wypełniał się gęstym, gryzącym dymem. Major nakazał

odwrót.

— My już swoje zrobiliśmy — rzucił w radiotelefon. Nie było odpowiedzi. — Jesteś tam?

Łucznik stał przy ścianie, tuż obok na wpół otwartych drzwi. Jego radiotelefon był

wyłączony. Na zewnątrz pokoju jakiś żołnierz obserwował korytarz. Już czas. Partyzant pchnął

drzwi lufą karabinka i strzelił do Rosjanina, nim tamten zdążył się odwrócić. Łucznik krzyknął i z innych pokoi wyskoczyło pięciu ludzi, ale dwóch zabito, nim zdolali wystrzelić. Rozejrzał

się po korytarzu, z obu stron zobaczył jednak tylko płomyki wystrzałów i częściowo ukryte postaci.

O pięćdziesiąt metrów od niego Bondarienko zorientował się w nowym zagrożeniu, krzyknął do swoich ludzi, by nie wychodzili z ukrycia, sam zaś z morderczą precyzją zaczął

strzelać do tych, którzy poruszali się na otwartej przestrzeni. W identyfikacji celów pomagało mu awaryjne oświetlenie korytarza. Warunki przypominały teraz strzelnicę. Położył dwóch dwoma strzałami. Następny biegł w jego stronę, krzycząc coś niezrozumiałego i strzelając bez przerwy.

Bondarienko, ku swemu zdumieniu, chybił, ale ktoś inny trafił. Jazgot strzelaniny odbijał się od betonowych ścian, ogłuszając wszystkich. Z napastników został już tylko jeden. Pułkownik zobaczył, że kule dosięgły dwóch żołnierzy, a seria Afgańczyka odłupała beton tuż przy jego twarzy. Bondarienkę zapiekły oczy i poczuł nagły ból po prawej stronie policzka. Pułkownik odsunął się z linii ognia, przełączył karabinek na ogień seryjny, nabrał głęboko powietrza i wyskoczył na korytarz. Tamten był niecałe dziesięć metrów od niego.

Chwila, w której obaj podnieśli broń, rozciągnęła się w wieczność. Zobaczył oczy Afgańczyka. Twarz, którą oświetlała lampa tuż nad nim, była młoda, ale te oczy... Na widok malujących się w nich wściekłości i nienawiści, Bondariencie nieomal zamarło serce — był

jednak przede wszystkim żołnierzem. Pierwszy strzał Afgańczyka chybił. Jego znalazł cel.

Łucznik poczuł wstrząs, lecz padając nie czuł bólu w piersi. Jego mózg wysłał do rąk polecenie, by skrzyły broń w lewo; ręce nie usłuchały i wypuściły karabinek. Padał powoli, najpierw na kolana, potem na plecy, aż w końcu zobaczył sufit. To koniec. Tamten stanął przy nim. Nie ma zawziętej twarzy — pomyślał Łucznik. — To wróg, niewierny, ale jest też człowiekiem. Widział na niej ciekawość. Chce wiedzieć, kim jestem — i wydając ostatnie tchnienie Łucznik powiedział:

— Allah akbar!

Tak, chyba Bóg jest wielki — powiedział sobie Bondarienko, stojąc nad trupem. Bardzo dobrze znał to zawołanie. Czy dlatego tu przybyłeś? Zobaczył, że zabity ma przy sobie radio.

Podniósł je i włączył.

— Jesteś tam? — usłyszał. Na to pytanie zadane w pusztu padła odpowiedź po rosyjsku:

— Tu już wszystko skończone.

Major spojrział na swój aparat, a potem podniósł gwizdek, by zwołać tych, którzy jeszcze zostali. Grupa Łuczniaka знаła drogę do punktu zbornego, ale teraz najważniejsze to dostać się do swoich. Policzył partyzantów. Stracił jedenastu, sześciu było rannych. Jeżeli dopisze mu szczęście, dotrze do granicy, zanim śnieg przestanie padać. W pięć minut później jego ludzie schodzili już z góry.

— Zabezpieczyć teren! — polecił Bondarienko pozostałym sześciu żołnierzom. —

Zebrać broń i rozdać innym. — Pomyślał, że już chyba po wszystkim, ale tak naprawdę po wszystkim będzie dopiero wtedy, gdy zjawią się żołnierze pułku.

— Morozow! — W chwilę później pojawił się inżynier.

— Słucham, towarzyszu pułkowniku.

— Czy na górze jest jakiś lekarz?

— Tak, nawet kilku. Przyprawdzą tu któregoś.

Pułkownik zdał sobie sprawę, że jest spocony. W budynku nadal było dość ciepło.

Ściągnął z pleców radiostację i ze zdumieniem spostrzegł, że trafiły w nią dwa pociski. Jeszcze bardziej zdziwiły go ślady krwi na pasie nośnym. Został ranny i nawet tego nie poczuł. Podszedł sierżant i obejrzał zranienie.

— Lekkie draśnięcie, jak na moich nogach.

— Pomóżcie mi zdjąć płaszcz. — Bondarienko wyszarpnął się ze swego szynela; pod spodem miał mundur. Zdjął z niego baretkę Orderu Czerwonego Sztandaru i przypiął ją do bluzy młodego podoficera. — Zasługujecie, sierżancie, na coś lepszego, ale teraz mogę wam dać tylko tyle.

— Peryskop w górę! — Mancuso używał teraz peryskopu obserwacyjnego, zaopatrzonego w urządzenia poprawiające widzialność. — Nic... — obrócił peryskop na zachód.

— Echo, maszt na dwa siedem zero.

— To nasz kontakt z sonaru — zupełnie zbytecznie dodał porucznik Goodman.

— Sonar, tu kapitan. Czy macie dane tego kontaktu?

— Brak danych — odpowiedział Jones. — Lód powoduje odbicia, warunki akustyczne fatalne. Wiadomo tylko, że to diesel na dwóch śrubach.

Mancuso włączył sprzężoną z peryskopem kamerę telewizyjną. Ramiusowi wystarczyło tylko jedno spojrzenie na monitor. — Grisza.

Mancuso zerknął w stronę zespołu namierzania celów. — Coś macie?

— Tak, ale to trochę niepewne — odpowiedział oficer broni podwodnej. — Przeszkadza nam lód.

— Chodziło o to, że torpedzie Mk-48 po wystrzeleniu na powierzchnię mogłaby przeszkadzać pływająca kra. Zastanawiał się przez chwilę. — Kapitanie, jeżeli to Grisza, to dlaczego nie złapaliśmy radaru?

— Nowy kontakt! Kapitanie, tu sonar, mamy nowy kontakt, namiar zero osiem sześć... to chyba nasz przyjaciel — zawiadomił Jones. — W pobliżu niego jeszcze coś, wysokie obroty śrub... tak, to coś nowego, namiar zero osiem trzy.

— Peryskop pół metra w górę — rzucił Mancuso sternikowi. Peryskop podjechał w górę.

— Widzę go, na horyzoncie... odległość jakieś trzy mile. Za nim jakieś światło! — Złożył

uchwyty i peryskop natychmiast uciekł w dół. — Idziemy tam, szybko. Dwie trzecie naprzód.

— Rozkaz, dwie trzecie naprzód. — Sternik dał sygnał maszynom. Nawigator wykreślił pozycję nadpływającej łodzi i zaczął obliczać odległość.

Clark spoglądał w stronę brzegu. Po wodzie w lewo i w prawo biegał snop światła. Któż to taki? Nie wiedział, czy miejscowa policja ma łodzie, ale musiał tu być oddział Wojska Pogranicza KGB: mieli swoją małą flotę i małe lotnictwo. Czy jednak w piątkową noc byli tak czujni? Z pewnością bardziej, niż wtedy kiedy ten niemiecki dzieciuch postanowił polecieć do Moskwy... i to przez ten właśnie sektor granicy — przypomniał sobie Clark. Muszą tu więc być bardzo czujni... Gdzie jesteś, „Dallas”? Podniósł radiotelefon i powiedział:

— Wujku Joe, tu Willy. Słońce wstaje, a my jesteśmy daleko od domu.

— Mówi, że jest blisko, kapitanie — zameldował oficer łączności.

— Nawigator? — zapytał Mancuso.

Nawigator podniósł głowę znad stołu. — Jeżeli robi piętnaście węzłów, to powinniśmy teraz być w odległości pięciuset metrów od niego.

— Jedna trzecia naprzód! — rozkazał kapitan. — Peryskop w górę! — Naoliwiona stalowa rura pomknęła z sykiem w górę, do końca.

— Kapitanie, mamy od rufy w namiarze dwa sześć osiem radar typu Don-2 — zgłosił się operator urządzeń wykrywających.

— Kapitanie, tu sonar, oba wrogie kontakty zwiększyły prędkość. Z obrotów śruby wynika, że robi dwadzieścia węzłów — zameldował Jones. — Potwierdzam: cel to okręt klasy Grisza. Kontakt od wschodu nadal nie rozpoznany, jedna śruba, silnik chyba benzynowy, też robi około dwudziestu.

— Odległość prawie sześć tysięcy metrów — padło od strony zespołu namierzania.

— Ale zabawa! — powiedział Mancuso. — Mam ich. Namiar!

— Zero dziewięć jeden.

— Odległość — Mancuso nacisnął przycisk laserowego dalmierza w peryskopie.

— Sześćset metrów.

— Dobrze trafienie, nawigatorze. Co z tym Griszą? — zapytał oficera broni podwodnej.

— Wyrzutnie dziobowe numer dwa i cztery gotowe. Pokrywy jeszcze zamknięte.

— Tak trzymać. — Mancuso podszedł do dolnego włazu szybu na pomost. — Pierwszy, objąć dowodzenie. Sam ich przyjmę. Ruszajmy.

— Wszystko stop — polecił pierwszy oficer. Mancuso otworzył włącz i po drabince poszedł ku pomostowi. Zamknięto włącz. Słyszał jak woda chlupocze wokół kiosku, potem uderzenia fal na powierzchni. Powiedziano mu przez interkom, że może otworzyć włącz na pomost. Odkręcił koło blokujące i dźwignął się na ciężkiej stalowej pokrywie w górę. Chlusnęła mu w twarz zimna, słona, oleista morska woda, ale nie zwrócił na to uwagi. Podszedł do wiatrochronu.

Najpierw spojrział ku rufie. Tam był Grisza, światła jego masztów widać było nad horyzontem. Potem obrócił się do przodu i wyciągnął z kieszeni latarkę. Skierował ją dokładnie ku łodzi i nadał morsem literę „D”.

— Światło, światło! — krzyknęła Maria. Clark spojrział w tamtą stronę, zobaczył je i zmienił bieg łodzi. Wtedy zobaczył też coś innego.

Łódź patrolowa była o dobre dwie mile za Clarkiem, a jej szperacz świecił w niewłaściwą stronę. Mancuso obrócił się na zachód, w stronę drugiego kontaktu. Zdawało mu się, że na Griszach też są szperacze, ale pozwolił sobie zlekceważyć ten fakt. Ostatecznie, cóż szperacze mogą obchodzić okręt podwodny? Bo idzie także na powierzchni — odpowiedział sam sobie.

Tamten okręt był jeszcze za daleko, by go dostrzec, ale to szybko się zmieni. Widział światło błyskające po powierzchni wody gdzieś za rufą jego okrętu i nagle doszedł do spóźnionego wniosku, że tamci mają już pewnie „Dallas” na radarze.

— Tutaj, Clark, ruszaj się! — krzyknął przez fale, machając latarką w lewo i w prawo.

Następne trzydzieści sekund wydawało się ciągnąć aż do następnego miesiąca. W końcu dobili.

— Pomóż paniom — powiedział Clark, przypierając silnikiem łódź do kiosku okrętu.

„Dallas” nadal płynął: musiał, żeby utrzymać swe bezcenne zanurzenie, na wpół wynurzony, na wpół pod wodą. Ta pierwsza zachowuje się i porusza jak młoda dziewczyna — pomyślał kapitan wciągając ją na pomost. Druga była mokra i miała dreszcze. Clark zatrzymał się na chwilę i postawił na silniku małe pudełko. Mancuso zdziwił się, że się nie ześlizguje, aż w końcu zdał

sobie sprawę, że były tam magnesy, albo jakiś klej.

— Proszę na dół — zwrócił się do pań.

Clark wdrapał się na pokład i powiedział coś po rosyjsku, chyba to samo. A do Mancuso rzucił już po angielsku. — Za pięć minut wybuch.

Obie kobiety zeszły szybem. Za nimi Clark, a na końcu Mancuso, rzucając ostatnie spojrzenie na łódź. Zobaczył jeszcze, że łódź patrolowa z portu zmierza prosto na nich. Opuścił

się w dół i zatrzasnął za sobą włącz. Potem nacisnął klawisz interkomu: — Zanurzenie i ruszamy!

Pod nimi otworzył się dolny właz i Mancuso usłyszał, jak pierwszy oficer wydaje komendy: — Zanurzenie trzydzieści, dwie trzecie naprzód, ster lewo na burt!

Przy dolnym włazie pomagał paniom jakiś chorąży: zdziwienie na jego twarzy w każdej innej chwili byłoby nawet śmieszne. Clark ujął je pod ręce i poprowadził do swojej kabiny.

Mancuso udał się na rufę.

— Przejmuję dowodzenie — oznajmił.

— Kapitan przejął dowodzenie — potwierdził pierwszy. — Urządzenia wykrywające sygnalizują wymianę radiową na wysokich częstotliwościach. Dość blisko, to chyba Grisza rozmawia z tym drugim.

— Ster na kurs trzy pięć zero. Wchodzimy pod lód. Prawdopodobnie już wiemy, że tu jesteśmy... a w każdym razie wiemy, że coś tu jest. Nawigator, co pan czyta z mapy?

— Wkrótce czeka nas zwrot. Osiem tysięcy dalej jest płycizna. Proponuję wejść na nowy kurs dwa dziewięć jeden. — Mancuso polecił natychmiast wykonać ten manewr.

— Zanurzenie na dwadzieścia sześć, trzymujemy — zgłosił oficer zanurzeniowy. —

Prędkość osiemnaście węzłów. — Z powierzchni dobiegł ich odgłos, który oznaczał, że łódź i silnik uległy zniszczeniu.

— Dobrze, teraz musimy tylko się wydostać — powiedział Mancuso ludziom w centrali, ale przypominający plaśnięcie dźwięk o wysokiej częstotliwości zapowiedział, że nie będzie to łatwe.

— Kapitanie, tu sonar, macają nas. To „promienie śmierci” z Griszy — powiedział Jones używając potocznego określenia aparatury rosyjskiej. — Mogą nas mieć.

— Jesteśmy pod lodem — zawiadomił nawigator.

— Odległość do celu?

— Niecałe cztery tysiące metrów — odpowiedział oficer broni podwodnej. — Wyrzutnie numer dwa i cztery gotowe.

Cały problem polegał na tym, że nie mogli strzelać. „Dallas” znajdował się na radzieckich wodach terytorialnych i nawet gdyby Grisza do nich strzelił, odpowiedzenie ogniem byłoby nie samoobroną, lecz aktem wojny. Mancuso spojrział na mapę: miał dziesięć metrów wody po kilem i zaledwie sześć nad kioskiem. Minus grubość lodu...

— Marko? — zwrócił się do Ramiusa.

— Najpierw zażądają instrukcji — analizował sytuację Marko — a im więcej będą mieli czasu, tym większa jest szansa, że będą strzelać.

— Dobrze, cała naprzód — zarządził Mancuso. Przy trzydziestu węzłach wyjdzie w ciągu dziesięciu minut na wody międzynarodowe.

Zgłosił się Jones. — Grisza idzie na trawersie lewej burty. — Mancuso wszedł do kabiny hydroakustyków.

— Co tam?

— Wysokie częstotliwości bardzo dobrze przechodzą przez lód, dlatego omiatają nas tam i z powrotem. Wiedzą, że coś tu jest, ale jeszcze nie wiedzą dokładnie co.

Mancuso podniósł słuchawkę telefonu. — Uwaga, wyrzutnie pomocnicze, odpalić dwie „grzechotki”.

Z lewej burty wyrzucono dwa pozoratory, wytwarzające bańki gazowe.

— Świetnie, Mancuso — odezwał się Ramius. — Ich sonar skupi się na tym. Nie mogą zbyt dobrze manewrować w lodzie.

— Za minutę się przekonamy. — Ledwie wymówił te słowa, gdy wybuch od ogona wstrząsnął okrętem, gdzieś z przodu rozległ się kobiecy krzyk.

— Cała naprzód! — rozkazał kapitan.

— Te pozoratory — zastanawiał się Ramius — to ciekawe, że tak szybko zareagował...

— Sonar wysiada, kapitanie — Jones wskazał na ekran, zamazany dźwiękiem wywołanym przez wybuch. Mancuso i Ramius wrócili do centrali. Nawigator miał już kurs naniesiony na mapę.

— Aha... musimy przejść tu, gdzie kończy się lód. O ile się założysz, że oni też o tym wiedzą? — Mancuso podniósł głowę. Nadal ich „macano”, a on nie mógł strzelać. Griszy może się w końcu udać.

— Radio... Mancuso, pozwól mi powiedzieć coś przez radio! — odezwał się Ramius.

— My tego nie załatwiamy w ten sposób — odpowiedział Mancuso. Amerykańska doktryna przewidywała wymykanie się tak, by druga strona nigdy nie miała pewności, czy w ogóle jest tam jakiś okręt podwodny.

— Wiem, ale my nie jesteśmy amerykański okręt, kapitanie Mancuso, my okręt radziecki

— zaproponował Ramius i Bart Mancuso przytaknął. Taką kartą nigdy jeszcze nie zagrywał.

— Podnieść okręt na wysokość anteny!

Radiooperator ustawił częstotliwość radzieckich okrętów patrolowych i cienka antena VHF podniosła się, gdy tylko kiosk wyszedł z lodu. Podniesiono też peryskop.

— Jest wprost przed dziobem, kąt zero. Peryskop w dół!

— Echo na radarze, namiar dwa osiem jeden — rozległo się w głośniku. Kapitan Griszy schodził właśnie z tygodniowego patrolu po Bałtyku.

Miał już sześć godzin opóźnienia, a przed sobą cztery dni wolne. Wtedy otrzymał

wiadomość przez radio, że milicja portowa z Tallina zauważyła coś dziwnego wypływającego z przystani. Potem przyszło coś z KGB, potem jakiś mały wybuch w pobliżu łodzi patrolowej, potem te kontakty złapane przez hydrolokator. Dwudziestodwuletni starszy porucznik, dowodzący okrętem od pełnych trzech miesięcy, dokonał oceny sytuacji i rozkazał odpalić bomby głębinowe w kierunku tego, co jego hydrolokacja określiła jako „niewątpliwie okręt podwodny”. Teraz zastanawiał się, czy popełnił błąd, a jeżeli tak, to jak wielki. Nie miał

najmniejszego pojęcia, co się tu dzieje, ale jeżeli tropił okręt podwodny, to będzie się on kierował na zachód.

Teraz miał kontakt radarowy od dziobu. W głośniku zatrzeszczały słowa nadawane na częstotliwości wojsk pogranicza.

— Przerwij ogień, ty idioto! — trzykrotnie ryknął metaliczny głos.

— Wy kto? — zapytał dowódca Griszy.

— Tu „Nowosibirskij Komsomolec”! Dlaczego, do cholery, używacie ostrej amunicji w czasie ćwiczeń! To wy się przedstawcie!

Młody oficer spojrział na mikrofon i zaklął. „Nowosibirskij Komsomolec” był okrętem wydzielonym do zadań specjalnych, bazującym w Kronsztadzie. Często działał w operacjach Specnazu.

— Tu „Kriepkij”.

— Dziękuję. Pomówimy o tym wypadku pojutrze. Koniec. Kapitan spojrział na obsadę mostka. — Jakies ćwiczenia...?

— Jest źle — powiedział Marko, odkładając mikrofon. — Za dobrze zareagował. Teraz kilka minut zajmie mu łączność z bazą, i...

— Tyle właśnie potrzebujemy. A tamci nadal nie wiedzą, co się dzieje. — Mancuso odwrócił się. — Nawigator, jaka jest najkrótsza droga?

— Proponuję kurs dwa-siedem-pięć, odległość jedenaście tysięcy.

Przy trzydziestu czterech węzłach okręt szybko pokonał ten dystans. W dziesięć minut później byli już na wodach międzynarodowych. Spadek napięcia odczuli wszyscy znajdujący się w centrali. Mancuso nakazał zmienić kurs na głębsze wody i zmniejszyć prędkość do dwóch trzecich, a potem poszedł do sonaru.

— No to po wszystkim — ogłosił.

— Kapitanie, o co tu chodziło? — zapytał Jones.

— Cóż, chyba nie mogę ci nic powiedzieć.

— A czy mogę chociaż wiedzieć, jak ona się nazywa? — Ze swego miejsca Jones mógł obserwować przejście.

— Sam tego nie wiem. Ale się dowiem. — Mancuso przeszedł na drugą stronę i zapukał do kajuty Clarka.

— Kto tam?

— Zgadnijcie — odpowiedział Mancuso. Clark otworzył drzwi i kapitan zobaczył młodą kobietę, elegancko ubraną, ale z mokrymi nogami. Potem z ubikacji wyszła starsza, ubrana w koszulę i spodnie kierownika maszyn na „Dallas”. W rękę niosła własne, mokre ubranie.

Wręczyła je kapitanowi, mówiąc coś po rosyjsku.

— Ona chce, żeby kazał pan to wyprać — przetłumaczył Clark i zaczął się śmiać. — To nasi nowi goście, pani Gierasimow i jej córka Katrin.

— A cóż w nich takiego specjalnego? — zapytał Mancuso.

— Mój ojciec jest szefem KGB! — odparła Katrin.

Kapitanowi udało się nie upuścić trzymanyh ubrań.

— Mamy towarzystwo — zgłosił drugi pilot. Z prawej strony pojawiły się światła pary myśliwców. — Zbliżają się szybko.

— Dwadzieścia minut do wybrzeża — zameldował nawigator, ale pilot już o tym wiedział.

— Cholera! — parsknął von Eich. Myśliwce przeleciały koło nich w odległości niecałych dwustu metrów. Po chwili VC-137 szarpnął się w ich strugach.

— Kontrola lotów Engure, tu lot Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych numer dziewięć siedem jeden. Przed chwilą uniknęliśmy zderzenia. Co się tam u was, do cholery, dzieje?!

— Chcemy mówić z radzieckim oficerem! — odrzekł jakiś głos. Chyba nie był to kontroler.

— Ja mówię w imieniu tego samolotu — odpowiedział von Eich. — Idziemy na kursie dwa-osiem-sześć, pułap przelotowy jedenaście tysięcy sześćset metrów. Wykonujemy odpowiednio zgłoszony lot w wyznaczonym korytarzu powietrznym. Mamy kłopot z elektrycznością i nie chcemy, żeby jacyś walnięci akrobaci bawili się z nami w berka. To jest amerykański samolot z dyplomataami na pokładzie. Chcecie zacząć trzecią wojnę światową czy co? Odbiór!

— Dziewięć siedem jeden, nakazuję wam zawrócić!

— Odmawiam! Mamy kłopoty z elektrycznością i nie możemy, powtarzam, nie możemy wykonać polecenia. Lecimy bez świateł, a ci wariaci w MiG -ach o mało nas nie staranowali!

Czy chcecie nas zabić? Odbiór!

— Porwaliście radzieckiego obywatela! Musicie wrócić do Moskwy!

— Powtórzcie jeszcze raz — poprosił von Eich.

Ale kapitan nie mógł powtórzyć. Był oficerem naprowadzania myśliwców. Ściągnięto go po udzieleniu zwięzłej informacji przez miejscowego oficera KGB, do Engure, ostatniego punktu kontroli ruchu powietrznego na terenie Związku Radzieckiego, by zmusił samolot amerykański do zawrócenia. Nie powinien był powiedzieć tego, co powiedział przed chwilą w eter.

— Musicie zatrzymać ten samolot! — krzyknął generał KGB.

— To proste. Rozkażę moim MiG-om, żeby go zestrzeliły! — odwarknął kapitan. — Czy wydajecie mi taki rozkaz, towarzyszu generale?

— Nie mam takich uprawnień. Musicie go zatrzymać.

— Tego nie da się zrobić. Możemy go zestrzelić, ale nie możemy go zatrzymać.

— Chcecie, żeby was zastrzelić? — zapytał generał.

— Gdzie on się podział? — zapytał pilot MiG-a-25 swego kolegę z towarzyszącego mu samolotu. Widzieli go tylko raz, przez krótką chwilę. Mogli śledzić intruza na radarach pokładowych — chociaż, jak wiedzieli, samolot opuszczał właśnie ich obszar, nie był więc intruzem — a potem zestrzelić za pomocą kierowanych pocisków raketowych, ale żeby zbliżyć się do celu w

ciemności... Noc była względnie jasna, cel leciał jednak bez świateł i próba odnalezienia go oznaczała ryzyko zderzenia się w powietrzu, czyli szybkiej i spektakularnej śmierci wszystkich uczestników kolizji.

— Prowadzący „Młota”, tu „Warsztat”. Nakazuję zbliżyć się do celu i zmusić go do zawrócenia — powiedział kontroler. — Masz cel na godzinie dwunastej, twój pułap, odległość trzy tysiące.

To wiem — powiedział do siebie pilot. Miał samolot na radarze, lecz go nie widział; jego radar nie był dość dokładny, by go ustrzec przed nagłym zderzeniem. Musiał też troszczyć się o tego drugiego, który mu towarzyszył.

— Nie podchodź — powiedział mu — sam się tym zajmę. — Pchnął dźwignię przepustnicy i lekko ruszył drążkiem w prawo. MiG-25 to myśliwiec ciężki, powolny, niezbyt zwrotny. Pod każdym skrzydłem podwieszona była para pocisków „powietrze-powietrze” i żeby zatrzymać tamten samolot, pilot powinien teraz... Ale zamiast rozkazać mu wykonać to, czego go uczono, jakaś pierdoła z KGB próbuje...

Tam. Nie tyle zobaczył, co wyczuł, że coś przed nim ucieka. Przyciągnął drążek, by zyskać kilkaset metrów przewagi i... jest! Widział Boeinga na tle morza. Zbliżał się powoli i ostrożnie, aż zajął pozycję o dwieście metrów wyżej.

— Światła po prawej — zameldował drugi pilot. — To myśliwiec, ale nie wiem, jaki typ.

— Gdybyś był na jego miejscu, co byś zrobił? — zapytał von Eich.

— Zdezerterowałbym — odpowiedział drugi pilot i pomyślał: Albo bym strzelał...

Siedzący z tyłu na rozkładanym fotelu radziecki pilot, którego jedynym zadaniem miało być mówienie po rosyjsku w razie sytuacji awaryjnych, nie miał pojęcia, co robić. Odcięto go od łączności radiowej, mógł używać tylko interkomu kabinowego. Moskwa chciała, żeby zawrócili.

Nie wiedział dlaczego, ale... ale co? — zadał sobie pytanie.

— Idzie ślizgiem na nas.

Pilot MiG-a sprowadził swój samolot na lewo najostrożniej jak potrafił. Chciał wejść nad kabinę pilotów Boeinga i z tej pozycji lekko zmniejszając wysokość, zmusić go do zejścia w dół.

Wymagało to wszystkich jego umiejętności i mógł się tylko modlić, żeby Amerykanin okazał się równie biegły w swym rzemiośle. Ustawił się tak, by móc widzieć... lecz...

W MiG-u-25 będącym z założenia myśliwcem przechwytyjącym, widzialność z kabiny była bardzo ograniczona. Pilot stracił z pola widzenia swego kolegę z pary. Zobaczył przed sobą w odległości kilku kilometrów brzeg morza. Gdyby nawet teraz zmusił Amerykanina do obniżenia pułapu, to i tak znalazłby się nad Bałtykiem. Ściągnął na siebie drążek i odszedł w górę, w prawo. Potem wszedł na

kurs powrotny.

— „Warsztat”, tu prowadzący „Młota” — zameldował się. — Amerykanin nie zmieni kursu. Próbowałem, ale nie spowoduję kolizji bez rozkazu.

Kontroler widział na ekranie radarowym, jak dwa punkciki zlewają się w jeden i serce mu zamarło. Co się tam u diabła działo? To był amerykański samolot. Nie mogli zmusić go do zatrzymania, a gdyby zdarzył się wypadek, to kogo będą winić? Podjął decyzję.

— Wracaj do bazy. Koniec.

— Zapłacicie mi za to! — pogroził generał KGB oficerowi naprowadzania. Ale był w błędzie.

— Dzięki Bogu — powiedział von Eich, gdy przelatywali nad linią brzegową. Potem zawołał starszego stewarda. — Jak tam w kabinie?

— Przeważnie śpią. Wieczorem byli chyba na dużym przyjęciu. Kiedy znowu będzie prąd?

— Inżynier pokładowy! — zwrócił się pilot. — Ludzie chcą wiedzieć, co z elektrycznością.

— Chyba wysiadł bezpiecznik. Myślę, że... No, już gotowe.

Pilot wyrztał przez okno. Światła pozycyjne na końcach skrzydeł znowu się paliły. Także kabina była oświetlona — oprócz tylnej części. Po przejściu nad Ventspils, skręcili na kurs dwa-pięć-dziewięć. Teraz odetchnął głęboko. Do Shannon było jeszcze dwie i pół godziny. —

Przydałoby się trochę kawy — pomyślał na głos.

Gołowko odwiesił słuchawkę i wypluł kilka słów, których Jack nie zrozumiał, ale których sens ogólny był wystarczająco jasny.

— Siergiej, czy mógłbym przemyć kolano?

— Ryan, co ty właściwie zrobiłeś? — zapytał oficer KGB.

— Wypadłem z samolotu, a te skurwiele odleciały beze mnie. Proszę zawieźć mnie do ambasady, ale najpierw kolano... boli.

Gołowko i Watutin spojrzeli na siebie. Obu nękały te same pytania: Co się naprawdę stało? Co się stanie z nimi? Co począć z Ryanem?

— Do kogo mamy teraz zadzwonić? — rzucił Gołowko.

Konszachty

Watutin postanowił zadzwonić do szefa swojego zarządu, który zadzwonił do pierwszego zastępcy przewodniczącego KGB, a tamten jeszcze do kogoś i potem do nich, na lotnisko, gdzie wszyscy czekali. Watutin przyjął polecenia, zaprowadził ich do samochodu Gierasimowa i wydał

kierowcy instrukcje, których Jack nie zrozumiał. Samochód pomknął pustymi ulicami Moskwy.

Było tuż po północy i widzowie kin, opery czy baletu wrócili już do domów. Jack, którego ulokowano między dwoma pułkownikami KGB, miał nadzieję, że wiozą go do ambasady, ale jechali dalej przez miasto, w stronę Wzgórz Leninowskich, minęli je i otoczyły ich lasy wokół

miasta. Teraz Jack poczuł strach. Immunitet dyplomatyczny zdawał się mieć większą wartość na lotnisku niż w lesie.

Po godzinie samochód zwolnił, skręcił z szosy na wysypaną żwirem drogę, wijącą się wśród drzew. Przez okno Ryan dostrzegł mundury. Jacyś żołnierze z bronią. Na ten widok zapomniał o bolącym kolanie i zwichniętej kostce. Gdzie właściwie jesteśmy? Po co mnie tu przywieźli? A ci ludzie z karabinami...? Już wyobrażał sobie to złowieszcze zdanie: Zabierzcie go na przejażdżkę i...

Nie! Tego nie mogą zrobić — odpowiedział mu rozum. — Masz paszport dyplomatyczny. Zbyt wielu ludzi widziało cię żywego. Prawdopodobnie ambasador już... —

Nie, ambasador nie robi nic. Nie powiadomiono go o tym, co się stało, chyba że z pokładu samolotu... Tak czy inaczej, nie mogą przecież... Ale w Związku Radzieckim, jak się powszechnie mówi, zdarzają się rzeczy, które się zdarzać nie mogły. Gołowko otworzył

drzwiczki, wysiadł i wyciągnął za sobą Ryana. Jack wiedział, że w tej chwili żaden opór nie ma sensu.

Stali przed domem, zwykłym drewnianym domem wśród drzew. Okna przysłonięte firankami jarzyły się żółtym światłem. Ryan dostrzegł wokół siebie kilkunastu ludzi, umundurowanych, uzbrojonych, patrzących na niego z takim samym zainteresowaniem, z jakim obserwuje się tarczę na strzelnicy. Jeden z nich, jakiś oficer, podszedł i obszukał go dokładnie, wywołując stłumiony okrzyk bólu, gdy przesunął dłonią po krwawiącym kolanie i rozerwanych spodniach. Zdziwił Ryana czymś, co brzmiało jak zdawkowe przeprosiny. Oficer skinął głową w stronę Gołowki i Watutina, którzy podali mu swe pistolety, a następnie wprowadzili Ryana do środka.

Wewnątrz ktoś wziął ich płaszcze. Dwaj mężczyźni ubrani po cywilnemu byli niewątpliwie funkcjonariuszami milicji lub KGB: marynarki mieli rozpięte, stali tak, jakby mieli pod nimi broń.

Kiwnął im uprzejmie głową, ale jedyną odpowiedzią było ponowne obszukanie, przy czym drugi z nich stał w odległości pozwalającej otworzyć celny ogień. Ryana zaskoczyło, że zrewidowano także Watutina i Gołowkę. Potem jeden ze strażników otworzył im drzwi.

Sekretarz generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Andriej Iljicz Narmonow siedział w miękkim, solidnie wyściełanym fotelu przed kominkiem w którym płonął

ogień. Kiedy czterej mężczyźni weszli do środka, podniósł się i wskazał miejsca na kanapie naprzeciw niego. Ochroniarz stanął za fotelem głowy państwa. Narmonow odezwał się po rosyjsku. Tłumaczył Gołowko.

— Pan jest...?

— John Ryan — odpowiedział.

Sekretarz generalny wskazał mu fotel naprzeciw siebie. Zauważył, że Ryan pociąga nogą.

— Anatolij — zwrócił się do ochroniarza. Ten wziął Jacka pod ramię i zaprowadził do łazienki na piętrze. Tam zwilżył ręcznik ciepłą wodą i podał Ryanowi. Z pokoju dochodziły głosy Rosjan, jego znajomość języka była jednak tak słaba, że nie mógł się w nich połapać.

Przemycie nogi przyniosło mu pewną ulgę, ale spodnie były do wyrzucenia — najbliższa zaś zmiana odzieży znajdowała się — spojrzał na zegarek — w pobliżu Danii. Anatolij obserwował

go przez cały czas, potem wyjął z apteczki opatrunek z gazy i pomógł Jackowi przymocować go plastrem na kolanie. Następnie ostrożnie sprowadził zboląłego Jacka z powrotem.

Watutina już nie było, został tylko Gołowko i pusty fotel czekający na Ryana. Anatolij zajął swe poprzednie miejsce za Narmonowem.

— Przyjemnie jest przy kominku — odezwał się Jack. — Dziękuję, że pozwolił mi pan przemycić kolano.

— Gołowko mówi, że to nie nasza robota. Czy to prawda?

Jackowi pytanie wydało się dziwne, zważywszy, że to Gołowko był tłumaczem. A więc Andriej Iljicz zna trochę angielski. — Tak. To moja wina. Z waszej strony nie spotkało mnie nic złego — odpowiedział i pomyślał: Tylko się cholernie wystraszyłem, ale to też moja wina.

Narmonow przyglądał mu się z zainteresowaniem przez dłuższą chwilę, po czym znowu przemówił:

— Nie potrzebowałem waszej pomocy.

— Nie wiem, o co panu chodzi — skłamał Ryan.

— Czy naprawdę myśleliście, że Gierasimow może mnie usunąć?

— Nie wiem, o czym pan mówi. Moim zadaniem było uratowanie życia jednemu z agentów. Do tego potrzebne było skompromitowanie przewodniczącego Gierasimowa. Kwestia zarzucenia odpowiedniej przynęty.

— I złowienia odpowiedniej ryby — dorzucił Narmonow. W jego głosie słyhać było rozbawienie, ale twarz pozostała całkowicie poważna. — To pułkownik Filitow był waszym agentem?

— Tak. Przecież pan wie.

— Właśnie się o tym dowiedziałem.

A więc wiesz, że Jazow jest też skompromitowany — pomyślał Ryan. — Jak blisko byli już celu, towarzyszu sekretarzu generalny? Narmonow chyba też nie wiedział.

— Czy wie pan, dlaczego zdradził?

— Nie, powiedziano mi tylko tyle, ile powinienem wiedzieć.

— Zatem nie wie pan również o ataku na nasz ośrodek JASNA GWIAZDA?

— Co? — Jack był wyraźnie zaskoczony.

— Proszę mnie nie obrażać. Przecież zna pan tę nazwę.

— To na południowy wschód od Duszanbe. Znam. Zaatakowany?

— Tak jak myślałem. Pan wie, że to akt wojny — zauważył Narmonow.

— Oficerowie KGB porwali parę dni temu amerykańskiego naukowca z programu Inicjatywy Obrony Strategicznej, i to na polecenie samego Gierasimowa — odparował Jack. —

Ten naukowiec nazywa się Alan Gregory, jest majorem Armii USA. Odbiliśmy go.

— Nie wierzę — powiedział Gołowko, zanim przetłumaczył na rosyjski. Narmonow okazał rozdrażnienie z powodu tego wtrętu, ale to co usłyszał wstrząsnęło nim.

— Jeden z waszych oficerów został ujęty, żyje. To wszystko prawda — zapewnił go Jack.

Narmonow pokręcił głową i wstał, by dorzucić do kominka. Poprawił drewna pogrzebaczem. — To szaleństwo — powiedział, stojąc przy ogniu. — Obecna sytuacja jest całkowicie zadowalająca.

— Przepraszam, ale nie zrozumiałem — odezwał się Ryan.

— Sytuacja jest stabilna, prawda? A mimo to pański kraj stara się ją zmienić i zmusza nas do tego

samego. — To, że ośrodek badań rakiet antybalistycznych w Sary -Szagan działał już od ponad trzydziestu lat, było w tej chwili dla Narmonowa nieistotne.

— Panie sekretarzu, jeżeli uważa pan zdolność do zamienienia każdego miasta, każdego domu w moim kraju w ogień taki, jak ten tu...

— W moim kraju również — przerwał Narmonow.

— Tak, w pańskim kraju również, i jeszcze w paru innych. Możecie zabić prawie wszystkich cywilów w naszym kraju, a my możemy zamordować prawie wszystkich w waszym, i to w niecałą godzinę od podniesienia słuchawki przez pana, lub przez mojego prezydenta. Jak nazywamy taką sytuację? Nazywamy ją „stabilną”.

— Bo to jest stabilność — powiedział Narmonow.

— Nie, proszę pana, my używamy na to pojęcia SZAŁ: Strategiczne Zniszczenie Atomowymi Ładunkami. Nie brzmi to zbyt gramatycznie, ale dobrze oddaje sytuację. Tak, obecna sytuacja to jest szal. Fakt, że wymyślili ją podobno inteligentni ludzie, wcale nie zmniejsza jej niedorzeczności.

— Ale to się sprawdza, prawda?

— Dlaczego uważać sytuację, w której kilkaset milionów ludzi znajduje się zaledwie o godzinę od śmierci, za stabilną? Dlaczego uważamy broń, która mogłaby ich ochraniać, za niebezpieczną? Czy nie cofamy się w rozwoju?

— Jeżeli jednak jej nie użyjemy... Czy sądzi pan, że potrafiłbym żyć, mając taką zbrodnię na sumieniu?

— Nie, myślę, że nikt by nie potrafił. Ale ktoś może coś popieprzyć. Po tygodniu prawdopodobnie palnąłby sobie w łeb, ale dla nas mogło by to być trochę za późno. Tak łatwo jest użyć tych cholernych rakiet. Naciska pan guzik, wylatują i wybuchają, bo chyba nic ich nie może powstrzymać. Jeżeli coś im nie przeszkodzi, nie ma powodu sądzić, że nie zadziałają. A dopóki ktoś uważa, że będą działać, nic nie stoi na przeszkodzie, by ich użyć.

— Niech pan będzie realistą. Czy uważa pan, że kiedykolwiek pozbędziemy się broni atomowej?

— Nie, nigdy nie pozbędziemy się wszystkich broni. Wiem o tym. Zawsze będziemy mogli poważnie sobie zaszkodzić, ale czy nie możemy tego nieco utrudnić? Stwórzmy jeszcze jeden powód, by tego guzika nie naciskać. To nie jest destabilizacja, proszę pana, to zdrowy rozsądek, to coś, co pozwoli panu zachować sumienie.

— Mówi pan jak pański prezydent — powiedział Narmonow z uśmiechem.

— Bo ma on rację — odwzajemnił uśmiech Ryan.

— Wystarczy, że muszę spierać się z jednym Amerykaninem. Nie mam zamiaru spierać się z innymi. Co pocniecie z Gierasimowem?

— Z oczywistych przyczyn załatwimy to po cichu — powiedział Jack, mając nadzieję, że mówi prawdę.

— Ujawnienie tej ucieczki bardzo zaszkodziłoby moim rządowi. Proponuję, by zginął w wypadku samolotowym...

— Przekażę to moim władzom, jeżeli pan pozwoli. Możemy także nie ujawniać nazwiska Filitowa. Podając je do publicznej wiadomości nic nie zyskamy, a jedynie skomplikujemy sytuację w obu naszych krajach. I pan i my chcemy, by układ rozbrojeniowy doszedł do skutku, by zaoszczędzić jakieś pieniądze.

— Nieduże — zauważył Narmonow. — To zaledwie kilka procent wydatków na zbrojenia obu stron.

— U nas mówią tak: tu miliard, tam miliard i już zaczynamy mówić o dużych pieniądzach. — Narmonow roześmiał się. — Czy mogę o coś zapytać, panie sekretarzu generalny?

— Słucham.

— Co pan u siebie zrobi z tymi pieniędzmi? Mam coś napisać na ten temat.

— Więc może mi pan coś zaproponuje? Skąd panu przyszło do głowy, że mógłbym to wiedzieć? — zapytał Narmonow. Wstał, a za nim Jack. — Niech pan jedzie do swojej ambasady.

Proszę powiedzieć swoim, że dla obu stron byłoby lepiej, gdyby tej sprawy nie rozgłaszano w prasie i telewizji.

W pół godziny później podwieziono Jacka pod frontowe drzwi ambasady. Pierwszym, który go zobaczył, był sierżant marines z ochrony. Drugim — Candela.

VC-137 wylądował w Shannon z dziesięciominutowym opóźnieniem spowodowanym wiatrem czołowym nad Morzem Północnym. Szef załogi i jeszcze jeden sierżant skierowali pasażerów do przedniego wyjścia, a kiedy wszyscy opuścili samolot, poszli na tył kabiny i otworzyli drugie drzwi. W czasie, gdy w porcie lotniczym błyskały flesze, do tylnych drzwi podjechały schodki, po których zeszły cztery osoby w kurtkach z naszywkami sierżantów Sił

Powietrznych i wsiadły do samochodu, który zawiózł je na drugi koniec lotniska. Tam czekał już samolot z 89. Skrzydła Lotnictwa Transportowego. Był to VC-20A, wojskowa odmiana samolotu dyspozycyjnego Gulfstream-III.

— Witaj, Misza — powitała go przy drzwiach Mary Pat Foley i poprowadziła do przodu.

Nigdy jeszcze go nie ucałowała i teraz odrobiła tę zaległość. — Mamy tu jedzenie, picie, no i jeszcze jeden lot przed sobą. Chodź, Misza. — Wzięła go pod rękę i zaprowadziła do fotela.

Kilka kroków dalej Robert Ritter przywitał Gierasimowa.

— Co z moją rodziną? — zapytał przewodniczący.

— Bezpieczna. Będą w Waszyngtonie za dwa dni. W tej chwili znajdują się na pokładzie amerykańskiego okrętu, na wodach międzynarodowych.

— Mam panu podziękować?

— Spodziewamy się od pana współpracy.

— Mielicie dużo szczęścia — zauważył Gierasimow.

— Tak — zgodził się Ritter. — Rzeczywiście mieliśmy.

Następnego dnia samochód z ambasady zawiózł Ryana na Szeremietiewo. Miał bilet na klasę turystyczną lotu 727 Pan Am do Frankfurtu, ale zmienił rezerwację na pierwszą klasę. W

trzy godziny później przesiadł się na Boeinga 747, też linii Pan Am, lecącego do Waszyngtonu.

Przez większość czasu spał.

Bondarienko wyszedł z tej rzezi cały. Afgańczycy pozostawili na placu boju czterdzieści siedem ciał, a z pewnością straty były większe. Przetrwały tylko dwa zestawy laserowe.

Zniszczone zostały wszystkie warsztaty, teatr i kwatery kawalerskie. Szpital był prawie nietknięty i mieścił teraz mnóstwo rannych. Ważne było to, że Bondariencie udało się uratować trzy czwarte personelu naukowo-technicznego i prawie wszystkich członków ich rodzin.

Przybyło czterech generałów, powtarzających, jakim to jest bohaterem i obiecujących odznaczenia i awans, ale największą nagrodą, jedyną na której mu zależało, było ocalenie wszystkich tych ludzi. Spoglądał teraz na teren ośrodka z dachu budynku mieszkalnego.

— Będzie dużo roboty — usłyszał za sobą. Pułkownik, mający wkrótce zostać generałem, obrócił się.

— A, Morozow. Mamy jeszcze dwa lasery. Możemy odbudować warsztaty i laboratoria.

Rok, może półtora.

— Mniej więcej tyle — powiedział młody inżynier. — Odtworzenie zwierciadeł i komputerowych urządzeń sterowania zajmie co najmniej tyle czasu. Towarzyszu pułkowniku, nasi ludzie prosili mnie, żebym...

— Na tym polega mój zawód, towarzyszu inżynierze, a poza tym nie zapominajcie, że ratowałem też własny tyłek. To się już nigdy nie powtórzy. Od dzisiaj będziemy tu mieć zmechanizowany batalion pułku gwardyjskiego. Już to załatwiłem. Do lata ten ośrodek będzie równie bezpieczny, jak wszystkie

inne w Związku Radzieckim.

— Bezpieczny? A co to znaczy, towarzyszu pułkowniku?

— Takie jest moje nowe zadanie. Wasze też, inżynierze. Już zapomnieliście?

Epilog

Wspólnota

Ortiz nie zdziwił się, gdy major wrócił sam. Relacja z walki zajęła godzinę, a uzupełniało ją kilka plecaków ze sprzętem. Grupie Łuczniaka udało się przebić i pierwszego dnia wiosny do obozu uchodźców powróciło mniej niż pół setki ludzi z dwustu, którzy wyszli na akcję. Major zaczął bezzwłocznie nawiązywać kontakty z innymi grupami; to, czego dokonał jego oddział, pozwalało mu rozmawiać ze starszymi i potężniejszymi dowódcami niemal jak równy z równym.

W tydzień uzupełnił straty nowymi, chętnymi do walki ludźmi, a układ, zawarty przez Łuczniaka z Ortizem, został podtrzymany.

— Już wyruszacie? — zapytał nowego dowódcę oficer CIA.

— Oczywiście. Teraz wygrywamy — odpowiedział major z pewnością siebie, której nawet on sam nie rozumiał.

Ortiz patrzył, jak z nadejściem nocy szereg drobnych, zawziętych wojowników, dowodzonych obecnie przez wyszkolonego żołnierza opuszcza obóz. Miał nadzieję, że z tym nowym przywódcą będzie im się wiodło lepiej.

Gierasimow i Filitow już się nie spotkali. Przesłuchania trwały tygodniami i prowadzone były w różnych miejscach. Filitowa zawieziono do Camp Peary w Wirginii. Tam opowiedział

majorowi Armii wszystko, co pamiętał na temat rosyjskich osiągnięć w technice laserowej.

Staremu człowiekowi wydawało się dziwne, że chłopaka tak bardzo poruszały szczegóły, które zapamiętał, ale których nigdy w pełni nie rozumiał.

Potem, jak zwykle wypytywano go o przyczyny podjęcia działalności równoległej do tej prowadzonej oficjalnie. Odwiedzało go całe pokolenie oficerów operacyjnych, zabierając na posiłki, spacerów czy popijawy, które martwiły lekarzy, lecz których Kardynałowi nie sposób było zabronić. Jego kwatery była pilnie strzeżona — i na podsłuchu. Tych, którzy go podsłuchiwali, dziwiło, że od czasu do czasu mówi przez sen.

Pewien oficer CIA, mający jeszcze pół roku do emerytury, odłożył lokalną gazetę, w której czytał właśnie o wizycie prezydenta w Moskwie, i uśmiechnął się, słysząc te odgłosy w słuchawkach. Smutny, samotny, stary człowiek — powiedział. — Większość jego przyjaciół już nie żyje, spotyka się z nimi tylko w snach. Czy to dlatego zaczął pracować dla nas? Mamrotanie ustało i opiekun

Kardynała, siedzący w sąsiednim pomieszczeniu, znówu podniósł gazetę.

— Towarzyszu kapitanie — odezwał się Romanow.

— Tak, kapralu? — Misza miał poczucie, że ten sen jest bardziej rzeczywisty niż zazwyczaj. W chwilę później wiedział już dlaczego.

Al i Candi spędzali miesiąc miodowy — całe cztery dni, na dłużej nie chcieli odrywać się od pracy — pod ochroną oficerów bezpieczeństwa. Zadzwoił telefon i major Gregory podniósł słuchawkę.

— Jasne... chciałem powiedzieć, tak jest, panie generale. — Candi usłyszała westchnienie. Pokręcił w ciemności głową. — Nawet kwiatów nie można posłać, prawda? Czy ja i Candi możemy... tak, rozumiem. Dziękuję za telefon, panie generale. — Usłyszała, że odłożył

słuchawkę i jeszcze raz głęboko westchnął.

— Candi, nie śpisz?

— Nie.

— Nasze pierwsze dziecko... nazwiemy go Mike.

Szereg oficjalnych obowiązków, wiążących się ze stanowiskiem attache wojskowego, przeszkadzało generałowi majorowi Grigorijemu Dalmatowowi w wykonywaniu zadania podstawowego: zbieraniu danych wywiadowczych. Toteż telefon z Pentagonu wprowadził go w niejakie rozdrażnienie: poproszono, by do nich przyjechał, i to — co najmniej dziwne — w mundurze wyjściowym. Od samochodu towarzyszył mu młody kapitan-spadochroniarz, który zaprowadził go do gabinetu generała Bena Croftera, szefa sztabu Armii.

— Czy mogę wiedzieć, o co chodzi?

— O coś, co naszym zdaniem powinieneś zobaczyć, Grigorij — odpowiedział tajemniczo Crofter.

Przeszli na lądowisko śmigłowców, gdzie ku zdumieniu Dalmatowa wsiedli na pokład jednej z maszyn eskadry prezydenckiej. Śmigłowiec natychmiast wystartował, kierując się na północny wschód, ku wzgórzom Marylandu. W dwadzieścia minut później podchodzili już —

kolejna niespodzianka — do lądowania w Camp David. Ubrany na niebiesko żołnierz piechoty morskiej z oddziału wartowniczego zsalutował u stóp trapu, którym zeszli, i poprowadził ich między drzewami. Kilka minut potem znaleźli się na polanie. Dalmatow nie wiedział, że rosą tu brzozy, jakieś ćwierć hektara brzóz, a z pobliskiego wierzchołka wzgórza roztacza się wspaniały widok na okolicę.

W ziemi wykopano prostokątny dół głębokości dokładnie sześciu stóp. Ciekawe, że nie było nagrobka, a darń pieczołowicie odłożono na boku. Wśród drzew dookoła polany Dalmatow zauważył innych żołnierzy piechoty morskiej, ubranych w mundury polowe i z bronią. Cóż, nic dziwnego, że teren jest ściśle strzeżony. Wśród niespodzianek ostatniej godziny przynajmniej to jedno go nie zaskoczyło.

Najpierw nadjechał dżip. Wskoczyło z niego dwóch żołnierzy marines w niebieskich mundurach wyjściowych i gotowymi elementami obramowało wykop. Generał pomyślał, że musieli to ćwiczyć, ponieważ według jego zegarka zabrało im to zaledwie trzy minuty. Potem spośród drzew wyłoniła się niewielka ciężarówka, a za nią jeszcze parę dżipów. Na platformie ciężarówki stała polerowana dębowa trumna. Samochód zatrzymał się o parę metrów przed wykopem. Ustawiła się asysta honorowa.

— Czy mogę zapytać, dlaczego tu jestem? — nie wytrzymał wreszcie Dalmatow.

— Jest pan z wojsk pancernych, prawda?

— Tak jak pan, panie generale.

— No to właśnie dlatego.

Sześciu żołnierzy asysty honorowej ustawiło trumnę nad dołem. Dowodzący nimi sierżant zdjął wieko. Crofter podszedł bliżej, a zanim Dalmatow. Aż go zatkało, gdy zobaczył, kto leży w środku.

— Misza.

— Wiedziałem, że pan go znał — usłyszał za sobą głos i odwrócił się.

— To pan jest Ryan. — Byli też i inni: Ritter z CIA, generał Parks, jakieś młode małżeństwo po trzydziestce. Kobieta wydawała się być w ciąży, choć dość wczesnej. Cichutko płakała.

— Tak, to ja.

Rosjanin wskazał gestem trumnę. — Gdzie... jak się wam...

— Właśnie przyleciałem z Moskwy. Sekretarz generalny był na tyle uprzejmy, że zezwolił na wydanie mi munduru i odznaczeń pułkownika. Powiedział... powiedział, że w przypadku tego człowieka woli pamiętać o powodach, dla których odznaczono go tymi trzema złotymi gwiazdami. Mamy nadzieję, że przekaże pan swoim, że pułkownik Michaił

Siemionowicz Filitow zmarł spokojnie w czasie snu.

Dalmatow poczerwieniał. — Był zdrajcą naszego kraju... nie będę tu stać i...

— Panie generale — przerwał mu ostro Ryan — powinno być dla pana jasne, że pański sekretarz

generalny nie zgadza się z takim poglądem. Ten człowiek jest może większym bohaterem, tak dla waszego kraju, jak i dla naszego, niż się panu wydaje. Proszę mi powiedzieć, panie generale, w ilu bitwach brał pan udział? Ile ran pan odniósł walcząc za swój kraj? Czy naprawdę jest pan w stanie, patrząc na tego człowieka, nazwać go zdrajcą? Tak czy inaczej... —

Ryan skinął na sierżanta, który zamknął trumnę. Potem jeden z marines przykrył ją radziecką flagą. Obok grobu ustawiła się kompania honorowa. Ryan wyjął z kieszeni kartkę i odczytał listę odznaczeń nadanych Miszy za męstwo. Następnie kompania oddała salwę honorową, a trębacz odegrał capstrzyk pogrzebowy.

Dalmatow wyprężył się i zasalutował. Ryan żałował, że ceremonia musi odbywać się w sekrecie. Jej prostota przydawała jej jednak powagi, a tu należna była powaga.

— Dlaczego tutaj? — zapytał Dalmatow po zakończeniu uroczystości.

— Wolałbym cmentarz w Arlington, ale ktoś mógłby zauważyć. Za tymi wzgórzami jest pole bitwy nad Antietam, jednej z najkrwawszych bitew Północy z Południem, kiedy to wojska Unii powstrzymały ofensywę generała Lee na północ. Dlatego to miejsce wydawało się odpowiednie — powiedział Ryan. — Jeżeli bohater ma spocząć w bezimiennym grobie, niech to przynajmniej będzie w pobliżu miejsca, gdzie padli jego towarzysze.

— Towarzysze?

— Tak czy inaczej wszyscy walczymy za to, w co wierzymy. Czyż to nie swego rodzaju wspólnota? — zapytał Jack i odszedł do samochodu, zostawiając Dalmatowa z tą myślą.